Robert M.

Wegner

Pamięć wszystkich słów

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

powergraph

Robert M. Wegner

Pamięć wszystkich słów

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Warszawa 2015

Robert M. Wegner
Pamięć wszystkich słów
Opowieści z meekhańskiego pogranicza
ISBN: 978-83-64384-25-7

Wydawca:
Powergraph
ul. Cegłowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2015 by Robert M. Wegner
Copyright © 2015 by Powergraph
Copyright © 2015 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik
REDAKTOR PROWADZĄCY: Kasia Sienkiewicz-Kosik
REDAKCJA: Michał Cetnarowski
KOREKTA: Maria Aleksandrow

Wyłączna dystrybucja:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

Prolog

Część I. Stukot kości

Rozdział 1

Rozdział 2

Interludium

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Interludium

Rozdział 6

Interludium

Rozdział 7

Rozdział 8

Interludium

Rozdział 9

Rozdział 10

Interludium

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Interludium

Rozdział 14

Interludium

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Interludium

Część II. Uśmiech głupca

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Interludium

Rozdział 4

Rozdział 5

Interludium

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Interludium

Rozdział 9

Rozdział 10

Interludium

Rozdział 11

Rozdział 12

Interludium

Rozdział 13

Rozdział 14

Interludium

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Interludium

Rozdział 24

Epilog

INDEKS

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Prolog

Zaułek, warstwą grubą na dobre dwie stopy, wypełniały stare szmaty, resztki jakichś skrzyń, porozbijane gliniane garnki i inne śmieci. Oraz szczurze bobki, których odór nadawał specyficzny smak każdemu oddechowi. Na końcu tego królestwa znajdowała się wielka beczka z otworem zasłoniętym czymś, co musiało być kiedyś końską derką, i to taką, pod którą koń zdechł i która przez kilka miesięcy przykrywała jego truchło.

Przed beczką siedziała… chyba starucha, płci tej kupy gnatów bowiem, owiniętych w kilka szmat, ledwo się można było domyślać. Siwe strąki opadały na brudną twarz, wystające z postrzępionych rękawów dłonie zakończone były poczerniałymi pazurami, a odór, który roztaczała, sprawiał, że woń szczurzych bobków nabrała nagle przyjemniejszych nut. Na denku stojącego przed nią odwróconego cebrzyka leżało sześć kości o różnokolorowych ściankach, starych i wyślizganych tak, że zdobiące je kropki były niemal niewidoczne.

Starucha zgarniała je drżącymi rękami do skórzanego kubka, potrząsała nim i rzucała, a każdy jej rzut wywoływał jęk zawodu siedzącego naprzeciw mężczyzny, sądząc po krótkim wamsie z doskonałego materiału i atłasowej koszuli, której mankiety zdobiły zawiłe monogramy – szlachcica.

— Dwa pikle przeciw królowej. Jedynak na koniu bije trzy psy. Bezgłowy wąż gryzie mysz — mamrotała.

Każdy rzut i każde zdanie, wychrypiane gardłowym szeptem, powodowało, że mężczyzna garbił się coraz bardziej, a dłonie, którymi zgarniał kości do kubka, miał coraz mocniej spocone i roztrzęsione. Ale nie przerywał gry.

— Cesarz i dwór — wybuchnął nagłą radością po kolejnym rzucie. — Cesarz i dwór, ty stara oszustko!

Pokręciła głową.

— Los nie oszukuje, los nie kłamie — powiedziała z lekką przyganą w głosie. — Dwa rzuty — dodała. — Dwa rzuty na śmierć władcy. Co postawisz?

— Wszystko. — Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. — Wszystko i jeszcze więcej.

— Więcej nie trzeba. Wszystko wystarczy.

Kości znikły w kubku.

Yatech w milczeniu obserwował całą grę, której ani zasad, ani stawki nie znał. Stojąc pod ścianą, kilka kroków za plecami szlachcica, zdawał się całkowicie niewidoczny dla grających. A sama gra… zdążył już zrozumieć tyle, że liczą się w niej zarówno wyrzucone kropki, jak i kolory. Na przykład ostatni z dotychczasowych rzutów przyniósł szlachcicowi układ od jednego do sześciu na czerwonych ściankach.

Stara kobieta zakręciła kubkiem i posłała kości na drewniane denko wiadra. Potoczyły się szeroko… i zatrzymały, prezentując czarne ścianki ozdobione białymi kropkami. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

— Wrota Domu Snu.

Mężczyzna pobladł.

Kości zagrzechotały w kubku jeszcze raz i potoczyły się po zaimprowizowanym stoliku.

Jeden do sześciu, białe ścianki.

— Odźwierny przekręca klucz. Wrota się otwierają. Śmierć zabiera władcę i jego dwór. Koniec gry.

Mężczyzna zaśmiał się dziwnie, niemal kobiecym chichotem, unosząc jednocześnie blade dłonie do ust.

— Jeszcze jeden rzut — wyszeptał głosem wywołującym ciarki. — Jeden rzut. Nic więcej.

— Dobrze. Co postawisz?

— Wszystko. Wszystko…

— Wszystko już postawiłeś. Nie masz nic. — Kościsty paluch wskazał wyjście z zaułka. — Idź na spotkanie swojego losu.

Szlachcic podniósł się, powoli, lunatycznym gestem, jakby budził się właśnie z długiego snu, przetarł oczy i lekko się zataczając, ruszył we wskazanym kierunku.

Yatech odczekał chwilę, zanim podszedł i zajął miejsce naprzeciw staruchy.

— Każdy może wyzwać Los. Każdy może wygrać coś.

— Albo wszystko przegrać, Labayo z Biuk.

Nie widział momentu, gdy Kanayoness pojawiła się u wejścia do zaułka, ale siedząca przed nim kobieta zamachała żywiołowo rękami, jakby próbowała utkać coś z powietrza. Yatech złapał ją za dłonie i przycisnął je do wiadra. Skórzany kubek spadł na ziemię, kości potoczyły się we wszystkie strony, niknąc w śmieciach.

Jego pani zacmokała z wyraźną przyganą.

— No, no, takie powitanie po tych wszystkich latach… A ja miałam nadzieję na kielich lekkiego wina i kawałek ciasta. Chociaż… jak tak się rozglądam, przechodzi mi apetyt. — Westchnęła dramatycznie. — Powiedz mi, tylko szczerze, nie nudzi jej to już? Ma świątynie i kapliczki w każdym mieście, miasteczku i wiosce, tutaj zresztą też, nie dalej niż dwie ulice stąd wznosi się jej całkiem spory przybytek, a mimo to wraca do korzeni. Ty i twoje siostry… tajemnicze Prządki Przeznaczenia, spotykane w mrocznym zaułku, w kącie karczmy, na rozstajach dróg. Zawsze proponują grę z Losem o spełnienie każdego marzenia, jakie człowiek może tylko mieć. Jedna zawsze wygrywa, druga zawsze przegrywa, trzecia… pół na pół. A po kilku partiach znikają bez śladu. Naprawdę Eyfra nadal chce się w to bawić?

Starucha przestała wyrywać ręce, posłała za to kose spojrzenie za plecy Yatecha.

— Ale to działa, dziecko. Działa, i to jak. Wszyscy znają historie o starej Labayo albo Kitchi od Uśmiechu, albo Ogewrze Pani Nieszczęścia. I niejeden nas szuka. A opowieści o tych, którzy znaleźli i dzięki temu wygrali lepszy los, znaczą więcej niż tysiąc ofiar całopalnych złożonych w tysiącu świątyń jednocześnie. Budzą wiarę, nadzieję… Tak to działało u zarania czasów i tak będzie działało, gdy gwiazdy zaczną spadać na ziemię. Pierwotna Moc napędzana marzeniami.

— Wiem, wiem. Każdy sposób jest dobry, by przyciągnąć uwagę śmiertelników. — Usłyszał szelest i coś pękło z głuchym pogłosem, gdy Mała Kana weszła głębiej w zaułek. — Dziwne, nie słyszę krzyków świątynnych strażników… Czyżby twoja pani postanowiła cię zostawić?

Yatech zacisnął mocniej uchwyt, spodziewając się, że starucha zrobi coś głupiego. Polecenie Kanayoness było jasne: cokolwiek będzie się działo, nie może puścić rąk tej kobiety ani pozwolić jej sięgnąć po to, czym grała.

— Nie. Ale wiesz, co powiadają: jej świątynia jest tam, gdzie grzechoczą kości. A właśnie, skoro my już o tym – tutaj też toczyła się gra. Ja jestem jej kapłanką, a ty stąpasz właśnie po świętej ziemi, dziecko. Uważaj, gdzie stawiasz stopy.

— Uważam. Przecież dopiero co wyczyściłam buty.

Dziewczyna usiadła obok Yatecha i podniosła leżący wśród śmieci kubek.

— Ile to już lat… — Powąchała go jak smakosz wciągający w nozdrza aromat rzadkiego trunku. — To ten sam, prawda? Ten sam, którym zagrała w kości z nią i przegrała. Jeden rzut o los pewnej duszy…

Poczuł, że na niego patrzy.

— Zabawne… — kontynuowała. — Wiesz, nie sądziłam, że Eyfra jest taka sentymentalna. Może ja też będę.

Klasnęła w dłonie i kubek znikł.

Za woalką brudnych strąków oczy staruchy zmieniły się w kulki lodu.

— Kuglarskie sztuczki — parsknęła pogardliwie. — Moja pani nie ściga cię, niechciane dziecko, ale jeśli chcesz, żeby zaczęła, zabierz go ze sobą.

— Och. Ściga mnie już tylu, że jeśli kiedyś dogonią, zrobi się całkiem spory tłum.

Kanayoness westchnęła, sięgnęła dłonią za plecy i wyciągnęła kubek.

— Myślałam, że jestem w tym lepsza, moje dłonie musiały wyjść z wprawy.

Postawiła naczynie na denku wiaderka i podniosła rozsypane kości.

— Każdy może wyzwać Los. Każdy może wygrać coś — wymruczała. — To jak? Zagramy?

Yatech wyczuł, że kobieta kamienieje. Otworzyła i zamknęła usta, jakby odebrało jej mowę.

— Jeden rzut. Jedną kością. Niższy wynik wygrywa. — Mała Kana zdawała się nie zauważać miny staruchy.

— Co… co postawisz?

— Nie zapytasz, o co zagram? Tamten — wskazała na wylot zaułka — grał o śmierć żony i spadek, który mógłby przejąć, prawda? A ja? Jak sądzisz? O co zagram?

Yatech zobaczył krople potu pokrywające czoło Labayi.

— A o co chcesz?

— O spotkanie ze znajomym.

Wojownik kątem oka złowił uśmiech czarnowłosej dziewczyny i był wdzięczny, że nie widzi jej twarzy. Starucha zbladła.

— Szukam go od lat, ale doskonale się ukrywa. Raz, kilka miesięcy temu, prawie nam się to udało, lecz odebrano mi możliwość… konwersacji i nas rozdzielono. Teraz chcę mieć pewność, że go odnajdę i mi nie ucieknie.

— I Los ma ci dać taką szansę?

— Jak widzisz, jestem zdesperowana.

Labaya przymknęła oczy i zastygła na chwilę.

— Co postawisz? — głos staruchy nie zmienił się ani odrobinę, lecz pojawiło się w nim coś… mrocznego.

— Och, przyszłaś, Eyfro. Nie sądziłam, że się zjawisz osobiście. — Dziewczyna przekrzywiła głowę, jak ptak próbujący się lepiej przyjrzeć interesującej go błyskotce. — Keru’weln, możesz ją puścić.

Yatech puścił chude nadgarstki i mimowolnie wytarł ręce o spodnie. Skóra kobiety zrobiła się przed chwilą lodowato zimna i lepka. Poza tym najwyraźniej starucha od bardzo dawna się nie myła. Poczuł dotknięcie na ramieniu.

— Wyjmij miecz.

Yphir zgrzytnął o okucie pochwy.

— Jeśli zdejmę ci dłoń z ramienia, zabij ją — Mała Kana wskazała Labayę. — Mierz w twarz.

Oparł czarną klingę o bok wiadra, kierując sztych w stronę pomarszczonego oblicza.

Odpowiedział mu uśmiech. Chłodny i ironiczny.

— Chcesz mnie rozgniewać, Kanayoness? Odkąd uciekłaś, wielu składa ofiary w moich świątyniach w intencji twojego pojmania. Bez skutku. Na razie.

— Może dlatego, że jestem poza twoim zasięgiem, Eyfro. Choć jeśli komuś uda się mnie dopaść, zapewne ogłosisz, że to zasługa twojej łaski. Jak zwykle. A on nie zdoła cię zranić.

— Ale moją służkę już tak. A ja odpłacam wiernością za wierność.

— Skoro tak twierdzisz…

Zaułek wypełniła cisza, nawet odgłosy głównej ulicy znikły.

— Próbujesz mnie obrazić? Czego chcesz?

— Mówiłam.

— Nie wtrącam się w tę waszą wojenkę. Zachowuję neutralność.

Mała Kana zacmokała, rozbawiona.

— Neutralność… Przypomnij mi, czy to takie zastępcze określenie tchórzostwa, czy głupoty? Nigdy nie mogłam zapamiętać.

— Nie prowokuj mnie.

— Bo? Widzę pot, który żłobi sobie nowe koryta na twarzy twojej służki, i zastanawiam się, czy to jej strach, czy twój. Strach to dobre uczucie. Ja się nie boję, pamiętasz? Zabraliście mój strach, zabiliście go, a potem pozwoliliście mi żyć. To bardzo głupio pozwolić żyć komuś, kogo strach zamordowało się własnymi rękami. Jeden rzut jedną kością, uczciwy, bez twoich zwykłych sztuczek. Niższa wygrywa.

— Co postawisz?

— Wszystko.

Po raz drugi zobaczył, że starusze brakuje słów.

— Jeden rzut, jedną kością — powtórzyła Mała Kana. — Niższa wygrywa. Rzucamy tą samą kością, nie używamy naszych Mocy, niedopuszczalne są krzyki i potrącanie blatu. I śpiewanie. Śpiewanie też jest zabronione. Zdecydowanie. Ten, kto tak zrobi, przegra. To będzie taki… — uśmiech zaczaił się w jej słowach — … powrót do korzeni. Co ty na to? Nie chcesz znów poczuć dreszczyku, gdy wszystko zależy od tego małego, turlającego się drobiażdżku. Przeżyć tej chwili, gdy – nim się zatrzyma – wszystko może się zdarzyć? Łatwo jest wygrywać ze śmiertelnikami, ale nie nudzi cię to już? Ja jestem gotowa zaryzykować. Stawiam wszystko, ty – spotkanie z osobą, której szukam. Decyduj się, bo jeśli wyjdę z tego zaułka, nie dam ci następnej szansy.

Bogini, ukryta w ciele kapłanki, pokręciła głową.

— Wiele ode mnie wymagasz… Gra może się okazać niewarta stawki. Nawet dla mnie.

— Więc zwiększę twoje szanse, Eyfro. Wiek przed urodą i szaleństwem. Remis też da zwycięstwo tobie.

Zapadła cisza. I gdy wydawało się już, że nic z zakładu nie będzie, doczekali się powolnego skinięcia głową i ochrypłego szeptu:

— Zgoda.

Kanayoness, nie puszczając ramienia Yatecha, wolną ręką wrzuciła jedną kostkę do kubka.

— Ja pierwsza.

Zakręciła naczyniem.

Kostka zatańczyła na denku wiadra i sześć kropek na czerwonym polu uśmiechnęło się do nich szyderczo.

Chichot staruchy brzmiał jak pocieranie rzemieniem o kawałek szyby.

— Przegrałaś… przegrałaś… jeszcze nie rzuciłam, a ty już przegrałaś. Los ci nie sprzyja.

Mała Kana nawet nie drgnęła.

— Twój rzut.

— Po co, dziecko? Po co? Nie mogę wyrzucić siódemki, a przecież remis daje mi zwycięstwo. Przegrałaś.

— Każda gra musi mieć swój początek i koniec. Ta nie skończy się, jeśli nie rzucisz.

Podobne do wychudłych pazurów palce zagarnęły kość do kubka.

— No, jeśli zasady są dla ciebie tak ważne… — Labaya potrząsnęła energicznie naczyniem — … to niech wszystkim formalnościom stanie się zadość.

Kolorowy sześcian potoczył się po denku wiaderka.

Dłoń Kanayoness oderwała się od ramienia Yatecha, a jego miecz wystrzelił w stronę twarzy starej kobiety. I natychmiast ta sama dłoń złapała go za nadgarstek, zatrzymując klingę pół cala od pomarszczonego oblicza. Ale było już za późno.

Być może podekscytowana pewnym zwycięstwem bogini rozluźniła kontrolę nad ciałem swojej kapłanki, a może nawet Nieśmiertelni dają się zaskoczyć, dość że starucha wrzasnęła przerażona i rzuciła się w tył, kopiąc z rozmachem w cebrzyk.

Kość spadła z niego i znikła w stercie śmieci.

Zaułek znów wypełnił się ciszą, ale tym razem była to cisza inna niż poprzednia. Gęsta, mroczna. A gdy Yatech spojrzał na podnoszącą się z ziemi Labayę, nie dostrzegł już starej kobiety, tylko Obecność. Doprowadzoną do furii boginię.

— Tyyyyyy…. — głos zdawał się ciąć powietrze.

Jego pani przesunęła się do przodu i uśmiechnęła zagadkowo.

— Tak?

— Oszukałaś mnie!

— Ja? Nie użyłam czarów, nie krzyknęłam i nie potrąciłam blatu. Ani, na litość bliżej nieokreślonego wielkiego bytu, nie zaśpiewałam. Mam

świadka. — Położyła mu znów dłoń na ramieniu. — To ty wrzasnęłaś i przewróciłaś nasz stolik. A kto wie, może jeszcze zatańczysz, wieczór wszak wciąż młody. Przegrałaś.

Yatech nie spuszczał wzroku z twarzy Labayi. Jej oczy płonęły, włosy się unosiły, a skóra zdawała się świecić wewnętrznym blaskiem.

— Uważaj — szept Kanayoness zabrzmiał na granicy słyszalności. — To ciało nie zdoła pomieścić więcej twojej obecności. Jeszcze kilka chwil, a zapłonie. Podobno odpłacasz wiernością za wierność.

Dźwięki z głównej ulicy wkradły się do zaułka, powoli i ostrożnie, jak gromadka ciekawskich dzieci szperających tam, gdzie im nie wolno.

— Tak lepiej. — Dziewczyna zmrużyła oczy. — Uznasz swoją przegraną?

Nieoczekiwanie rozległ się cichy chichot.

— Ale ja nie przegrywam. Nigdy nie przegrywam, najsłodsza. Nie pamiętasz? Los nie ocenia wyrzuconych kości, dla niego Cesarski Dwór ma taką samą wartość jak Zaraza. Ojojoj, cóż za spojrzenie. Przecież sama zgodziłam się na twoje warunki, nieprawdaż? Więc tak, uznam twoją wygraną, ale ty, złodziejko duszy, zrobisz w zamian coś dla mnie.

— Nie tak się umawiałyśmy.

— Wiem… wiem… i wiem też, że w naszej umowie nie było ani słowa o dźganiu mieczem starej kobiety. Nie bądźmy zbyt drobiazgowi. Dotrzymam słowa, lecz spotkanie spotkaniu nierówne. Ty chciałabyś zapewne z nim porozmawiać, wyjaśnić kilka spraw, napić się wina… a nie odnaleźć go na mgnienie oka przed tym, nim miecz oddzieli jego głowę od ciała. Nie mógłby ci wtedy uciec, ale chyba nie o to ci chodziło? Zapewniam cię, że potrafię dotrzymywać umów równie przewrotnie jak ty. Więc?

Yatech zerknął kątem oka na Kanayoness. Uśmiechała się.

— Pamiętasz ją?

— Co? Kogo?

Starucha zmarszczyła brwi, a on omal się nie roześmiał. Nagłe zmiany nastroju, przeskakiwanie na inny temat w środku, zdawałoby się, niesłychanie ważnej rozmowy albo zamilknięcie bez powodu… zdążył już poznać te dziewczynę na wylot, okazało się jednak, że nawet bogów potrafi ona wyprowadzić z równowagi.

— Ją. Tę, która wcisnęła wszystkim twarze w błocko pełne krwi i łez. Uprzejmie i delikatnie, ale tak, że aż zaczęli się nim dławić. Z tobą zagrała

o pewną duszę, bo nie chciałaś się zgodzić na danie jej szansy, dobrze pamiętam?

Oczy, ukryte pod woalką brudnych kłaków, pociemniały.

— On wymordował wszystkie moje dzieci w miastach i osadach wzdłuż całych Wschodnich Dhyrwów, zbezcześcił świątynie, spalił księgi i zrównał z ziemią kręgi wróżb. Nie zasłużył na istnienie.

— A czy w takim razie my zasłużyliśmy? Kto może to ocenić? Przegrałaś z nią jeden rzut kości, ale czy powiedziała ci coś, co pamiętasz do tej pory?

Labaya oblizała wargi.

— Po co… ci to?

— Zbieram jej słowa. Każde, które wypowiedziała. Szukałam ich śladów w świętych księgach, legendach i mitach, ale wiesz, jak to jest. Wszystkie spisano wiele lat po wojnie, czasem wiele pokoleń po niej, na podstawie opowieści przekazywanych z ojca na syna, gdzie każdy dołożył coś od siebie albo starał się upiększyć historię. Choć niektóre z nich są zaskakująco prawdziwe. Ale nie ma to jak sięgnięcie do źródła.

Przez dłuższą chwilę starucha milczała, tylko po jej twarzy przebiegały nerwowe tiki.

— Powiedziała, że żadna gra nie zostaje rozstrzygnięta, póki ostatni gracz nie wykona ruchu. I że przyszłość to zawsze ta część kartki, na którą nie zawędrowało jeszcze pióro.

Westchnienie kazało Yatechowi zerknąć w bok. Dziewczyna uśmiechała się szeroko.

— Zawsze była dobra w obelgach. Powiedzieć tej, która przybrała tytuł Pani Losu, że przyszłość nie istnieje, a jej potęga to iluzja oparta tylko na wierze śmiertelników… — Kanayoness zamrugała szybko. — Dobrze więc, co chcesz, żebym zrobiła?

Bogini odchrząknęła ustami Labayi.

— Powiem ci, jak zostaniemy same. Tylko we dwie.

— Dobrze. Keru’weln, wyjdź i poczekaj na ulicy.

Część I

Stukot kości

Rozdział 1

Strzepnęła krew z klingi ruchem tak szybkim, że esowato wygięta głownia *talhera* rozmazała się w powietrzu. Krople karminu ułożyły się na ziemi półkoliście i przez kilka chwil, nim wsiąkły w piach, wyglądały jak sznur rubinów, drogocenna kolia ciśnięta niedbale na ziemię przez znudzoną arystokratkę. Potem ktoś szurnął nogą i wzór znikł.

To moja krew ściekająca po jelcu wzdłuż klingi, dotarło do niej. Trafiła mnie, pulsowanie w lewym przedramieniu to rana, gorąca wilgoć lepiąca dłoń do rękojeści to moje życie. To dlatego się nie spieszy, z każdym uderzeniem serca tracę siły. Jeszcze kilka, a będę powolna jak pijany żółw.

Cofnęła się, pół kroku, potem jeszcze pół. Omalana czekała, uśmiechając się tym swoim nieśmiałym grymasem, jakby chciała powiedzieć: „Przepraszam, zrobiłam ci krzywdę?”. Jej *sanqui* kołysała się z boku na bok z ostrzem naznaczonym czerwienią.

Deana cofnęła się jeszcze raz. Kolejny krok. Szabla jej przeciwniczki była dłuższa od *talherów,* do tego miała bardzo niewielką krzywiznę ostrza, co dodawało jej zasięgu. Ponownie, czując narastające zdezorientowanie, musnęła spojrzeniem pochwę szabli Omalany. Szara, nijaka, pozbawiona ozdób poza okuciem szyjki, przedstawiającym uśmiechniętego węża. Powinna się domyślić. Wąż – zabójca, niespodziewana śmierć wśród piasków.

Dlaczego ta suka nie nosi bieli na pochwie?!

Nagle *sanqui* pomknęła ku jej twarzy w dość wolnym i przewidywalnym sztychu. Deana odbiła go, nie próbując kontrować, już dwa razy dała się nabrać na niezgrabność takich ataków, w których pozornie prostacka technika ledwo skrywała oszałamiającą precyzję i szybkość. Zabójcza elegancja, z jaką ta kobieta posługiwała się szablą, miała w sobie coś boskiego. Mimo białych pochew *talherów* Deana od dłuższego czasu czuła się jak dziecko, uczące się pod okiem wymagającego i surowego mistrza. Nie ude-

rzaj tak nisko! Za wolno parujesz! To szabla, a nie Długi Ząb! Po co ci dwie ręce, skoro walczysz tylko jedną!

Każda z tych lekcji została jej udzielona.

A trans nie nadchodził.

Zaczęła przenosić ciężar ciała w tył, by cofnąć się jeszcze trochę, gdy Omalana znów zaatakowała. Dwa drobne, szybkie kroki i nagle pojawiła się głownia szabli, lecąca ku twarzy Deany, by w ostatniej chwili zmienić kierunek i uderzyć w serce. Sparowała, sama nie wiedząc jak, odbiła kolejne dwa ciosy, raczej rozpaczliwie machając bronią, niż uprawiając coś, co nawet najbardziej uprzejmy obserwator mógłby nazwać szermierką. Wszystko z niej uleciało, miesiące, lata zmagań z własnymi słabościami, galony wylanego potu, siniaki, naciągnięte ścięgna i mięśnie, rany, ćwiczenie ciała i uczenie się oszukiwania umysłu, ignorowania zmęczenia, strachu, bólu, by sięgnąć głębiej, po wewnętrzny płomień, który dawał siłę każdemu mistrzowi Issaram. Czuła się, jakby była jedną z północnych kobiet, słabych i bezbronnych, którą los postawił na drodze machiny śmierci w postaci szkolonej od dziecka issarskiej zabójczyni. Trans *khaan's* nie nadchodził, uciekał przed nią, wydawał się raczej dziwaczną ideą niż stanem, który jeszcze wczoraj potrafiła osiągnąć tylko dzięki serii ćwiczeń oddechowych. *Sani* – wewnętrzny płomień, zdawał się tylko wspomnieniem o garści popiołu. Sparowała podstępny sztych rozpaczliwym machnięciem klingi, które ozdobiło okolicę następnym rubinowym wisiorem, i spróbowała jeszcze raz sięgnąć po *khaan's*, skupić się na ranie, obkurczyć żyły, wycofać krew w głąb ciała. W transie zrobiłaby to bezwiednie, między dwoma uderzeniami serca, teraz straciła cenne mgnienie oka i nagle zobaczyła wyraźnie, jak sztych *sanqui* sunie ku jej piersi, powoli, wszystko wokół wypełnił brudny olej strachu i bezradności, i tylko ten kawałek stali błyszczy jasnym światłem, jakby odbitym od blasku wybuchającej gwiazdy.

Uderzenie…

Obudziła się, gwałtownie zasysając powietrze, z dłońmi mimowolnie przyciśniętymi do piersi. Nie trafiła mnie, przypomniała sobie, a nasza walka wyglądała inaczej. Mimo iż Omalana nie nosiła białej pochwy, umiała znaleźć drogę do transu *khaan's*, więc wdarła się w życie *afraagry*, zostawiając za sobą kilka trupów i omal nie doprowadzając do wybuchu wojny między rodami. Była dobra, po raz kolejny przyznała w myślach Deana, dobra jak nikt, z kim do tej pory walczyłam, na tyle dobra, by ode-

słać do wspólnej duszy jej fragmenty, które nosili Neeneyr i Kensja. Lecz w ostatecznym rozrachunku ja byłam lepsza.

I ją zabiłam. Nie tak jak we śnie, broniąc się rozpaczliwie i łkając w duszy o szybki koniec. Zabiłam ją w bojowym transie, z którego wyszła o uderzenie serca wcześniej niż ja, ominęłam jej zastawę i trafiłam w tętnicę szyjną. Umierała w fontannie krwi, szczerząc zęby i próbując, mimo wszystko, zabrać mnie ze sobą.

Była prawdziwym wężem.

Ale jest już martwa.

Deana wstała z posłania.

Najpierw *kendet'h. Kaija* – modlitwa po przespanej nocy i modlitwa o dobry dzień.

Pani na Niebie, któraś oddaliła Sąd, któraś zgięła harde karki i wstąpiła po nich na tron, która jesteś początkiem i końcem. Nocą twoje dłonie osłaniały mnie przed złem i ciemnością. Proszę o ich cień za dnia, by słońce nie wypiło mojej krwi, a droga zawiodła mnie pod Twoją opiekę.

Pokłoniła się wschodniej ścianie swojego pokoju.

Nalała wody do miedzianej miski, szybko i ostrożnie, by nie uronić żadnej kropli, obmyła twarz, potem ręce i ramiona. Resztę wody, by wykorzystać ją wieczorem, wlała z powrotem do dzbana, zamknęła szyjkę.

Stare zwyczaje trwają dłużej niż pamięć o ich początkach, pomyślała. Nie musimy już liczyć każdego łyku, pod naszym domostwem i pod każdym innym domem w *afraagrze* znajdują się kamienne zbiorniki wypełnione życiodajnym płynem. Znamy wszystkie źródła w promieniu dwudziestu mil. A jeśli one zawiodą, są jeszcze łapacze rosy, czy to w postaci olbrzymich lejków, czy płacht materii wystawianych rano i wieczorem na wiatr, więc mamy dość wody, bym mogła zużywać codziennie kilka takich dzbanów. I co? Skrzywiła się sardonicznie. Na samą myśl, by rozlać choć kroplę na podłogę, coś ją skręcało w brzuchu. Bo ciotka od dziecka wbijała do głowy, że każda zmarnowana kropla to grzech, zło porównywalne niemal ze zdradą rodu. A ona usłyszała to od własnej ciotki albo babki, które usłyszały to od… Westchnęła. W niektórych sprawach nie jesteśmy niczym więcej jak kartami księgi zapisanymi mądrościami przodków, które pielęgnujemy, nawet jeśli straciły już swój sens.

Ubrała się starannie. Najpierw *koe*, potem *noasm*, na wierzch odświętna *ta'chaffda*, czerwona jak krew, haftowana różnymi odcieniami szkarłatnych

nici w kwiaty i ptaki. Pas od *talherów* zmieniła na śnieżnobiały, pochwy szabel pucowała do połysku przez pół dnia. Wiedziała, jakie zrobi wrażenie, czerwień niewinności przecięta śnieżną bielą kryjącą w środku śmierć. W rodzie d'Kllean aż cztery osoby miały prawo do tej bieli, co samo w sobie stanowiło rzecz niezwykłą, bo obecność już jednego lub dwóch mistrzów broni wśród krewnych była powodem do dumy i chwały dla wszystkich. Prawdę powiedziawszy, nie czuła się jakoś szczególnie wyróżniona, ale nie towarzyszyło jej już to podskórne poczucie winy i wściekłości, które napędzało ją przez lata ćwiczeń. Była mistrzynią i akceptowała to tak samo, jak to, że musi oddychać.

W *afraagrze* mówiono, że ród d'Kllean ma dobrą rękę do walki i zawsze stąpa o pół kroku od bitewnego transu. W rodzie h'Lenns od pokolenia nie było ani jednego Białego Pasa i chyba tylko dlatego nie wybuchła jeszcze prawdziwa wojna. Nawet jeśli Lengana dążyła do niej mniej lub bardziej otwarcie, to ani jej mąż, ani rada rodu nie miała ochoty na otwartą konfrontację. Tym bardziej że starszyzna osady też się temu sprzeciwiała. Ród Lengany był liczniejszy i bogatszy, ród Deany miał lepszych wojowników i popierały go inne małe rody, którym nie w smak było rosnące znaczenie tych bogatych. Starcie między nimi mogło się różnie skończyć, jednak nad każdym z nich unosiło się widmo *afraagry* wypełnionej dziesiątkami trupów oraz płaczem wdów i sierot.

Deana przejrzała się w małym lusterku z polerowanej stali. Za duże usta, często zaciśnięte w wąską kreskę, za mały nos, za blada cera, oczy ni to piwne, ni orzechowe. Ciemne włosy z równo przyciętą grzywką, żeby nie przeszkadzały w walce. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby się wyprzeć odziedziczonej po matce meekhańskiej krwi, która tak doprowadzała do szału Lenganę h'Lenns, że ta poświęciła życie swoich synów i kuzynki w próbie wymordowania ich rodziny. Był czas, kiedy Deana nie lubiła swojej twarzy, za bardzo przypominała jej o północnym dziedzictwie, jednak teraz to nie miało znaczenia. Ważne, żeby dobrze wyglądać, nie okazać strachu, nie odwracać wzroku, nie czerwienić się. Lengana, ta suka, wpuściła węża do *afraagry*, zginęło czterech ludzi, dwóch w rodzie h'Lenns i dwoje w rodzie d'Kllean. I wszystko po to, by dopaść ją, Deanę, jakby wydarzenia sprzed prawie roku, krew na placu ćwiczeń i strata dwóch synów nie ostudziły jej żądzy zemsty.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Żądzy zemsty nie gasi się krwią tego, kto zemsty pragnie, bo to tak, jakby gasić pożar olejem. Zmieniła uśmiech na bardziej chłodny i uprzejmy, taki, który mówił – jestem ofiarą, skrzywdzono mnie, lecz nie noszę w sercu zadry. Vegrela, pierwsza matrona rodu, po to właśnie dała jej lusterko. Ćwicz, Deana, powiedziała, ćwicz, nie możesz być tym zahukanym ptaszkiem, który każdemu schodzi z drogi, tak, wiem, wiem, masz te swoje *talhery* i też jestem z ciebie dumna, ale nie wszystkie bitwy wygrasz stalą. Niektóre musisz stoczyć, nie wyjmując ostrza z pochwy, a twoja twarz mówi: „Uderz mnie, jestem winna". Ćwicz uśmiechy, spojrzenia, grymasy. Ćwicz, jak ćwiczyłaś walkę szablami.

Więc ćwiczyła, przez cały miesiąc, gdy oba rody oddzielono *soh awarej*. To prastare prawo było rzadko używane, lecz tym razem starszyzna zdecydowała się na jego zastosowanie, by gorące głowy mogły ochłonąć, a gniew przygasł. *Soh awarej* – dni wstęgi. Podzielono miesiąc na pół i pierwszego dnia o świcie zgromadzono członków rodu h'Lenns w domostwie, po czym zapieczętowano drzwi. Zrobiono to białą jedwabną wstążką, na znak, że nie siła, lecz poszanowanie obyczajów wystarczają w *afraagrze* za prawo, co nie znaczyło, że wybrani wojownicy nie pilnowali dyskretnie, by nikt nie próbował zlekceważyć wyroku. Drugiego dnia o świcie zdjęto pieczęć z domostwa Lengany i założono ją na drzwi rodu d'Kllean. Dzień trzeci przyniósł kolejną zmianę, i tak dalej…

Przez miesiąc oba rody żyły obok siebie, oddzielone tą jedwabną wstążką skuteczniej niż tysiącem mil. Stara legenda mówiła, że kiedyś, przed wiekami, w jednej z *afraagr* dwa rody żyły tak obok siebie przez dwadzieścia sześć lat, aż wymarło pokolenie, które pamiętało, co właściwie było przyczyną konfliktu. Tu starszyzna osady dała im miesiąc, który Deana wykorzystała na ćwiczenie uśmiechów.

Poprawiła włosy, roztarła kilka kropel pachnącej żywicy w palcach i natarła skronie oraz płatki uszu. Uśmiechnęła się. Szczerze.

— Krew obudziła w tobie nową kobietę — powiedziała jej kilka dni temu jedna z kuzynek. — Taniec *talherów* przestał być tylko zabawą, ćwiczeniem, odesłałaś czyjąś duszę do duszy plemienia i nie złamało cię to. Wczoraj matrona Ganera n'Weerhis pytała, czy po sądzie ich odwiedzisz. Dziewczyna, która w pojedynku zabiła węża, stanie się ozdobą każdego domostwa.

Tak. Pierwsza krew. Deana pokiwała głową. Ich plemię od wielu lat nie brało udziału w prawdziwej wojnie, *afraagra* od wielu lat nie musiała odpierać żadnego ataku, meekhański najazd skierowany był na plemiona mieszkające bardziej na zachód, więc z kobiet jej osady tylko ta głupia, parszywa suka, ta…

Przymknęła oczy. Takie myśli o kimś, kto dzieli z tobą cień tych samych skał i czerpie wodę z tych samych źródeł, są grzechem.

Kendet'h. Oweyreth – trzynasta modlitwa o zrozumienie.

Pani na Niebie. Ja, Deana d'Kllean, dopiero przed miesiącem po raz pierwszy przelałam prawdziwą krew.

Prawdziwą krew nie w ćwiczebnym pojedynku, lecz w walce na śmierć i życie.

Na śmierć i życie, bo widziałam głód i obłęd w oczach mojej przeciwniczki.

Przeciwniczki, która przyszła do afraagry na prośbę oszalałej z bólu i nienawiści kobiety.

Kobiety, która nienawiścią niszczy własny ród, choć tego nie dostrzega.

Nie dostrzega, więc jest ślepa, a ślepcom należy współczuć i podać dłoń.

Dłoń przyjaźni, dłoń niosącą chleb i wino, a w ostateczności wyzwolenie od bólu.

Bólu, którym zarażają innych.

Pani na Niebie.

Czy jeśli wyzwę Lenganę h'Lenns na pojedynek, to wyzwolę ją od bólu?

Kendet'h nie zawsze niesie odpowiedzi. Czasem jest tylko drogą prowadzącą do pytań.

W tym przypadku pytanie brzmiało: „Czy naprawdę tego chcę?". Czy to pragnienie mojej duszy, myślała, czy żądza zemsty? Lengana h'Lenns sprowadziła swoją kuzynkę do *afraagry*, nie podając prawdziwego powodu jej wizyty. Zaprosiła węża między nieświadomych ludzi tylko po to, by zabić ją, Deanę d'Kllean. Oczywiście nikt w osadzie nie podważał prawa matrony do zemsty, kim byliby Issaram, gdyby nie uznawali takich rzeczy za część swojego dziedzictwa. Nawet sposób, jaki wybrała Lengana, choć wielu mógł się nie podobać – w końcu wpuszczenie do *afraagry* szalonej zbójczyni narażało wszystkich – mieścił się jakoś w Prawie Harudiego. Omalana, jako kuzynka Lengany, też mogła chcieć odpłacić za przelaną

krew, ale sytuacja była niezwykła. Pierwsza kobieta w rodzie h'Lenns mściła się za śmierć dwóch synów, którzy zginęli z ręki… kogo?

Deana od wielu miesięcy nie myślała o bracie, Yatech zniknął, całkowicie ulotnił się z życia plemienia, jakby nigdy się nie narodził. Opłakiwała go przez trzy dni, gdy krew na placu ćwiczeń rudziała, a z domostwa rodu h'Lenns dochodził żałobny skowyt. Po tym, co zrobił jej młodszy brat, ona nie miała prawa do publicznej żałoby, nie mogła przeżywać straty, posypując głowę popiołem i drąc szaty. Przez trzy dni i noce nie wychodziła z sypialni, nie jedząc i nie pijąc, płacząc w poduszkę, po czym obmyła twarz, ubrała się i poszła pomagać w kuchni.

Z tamtych dni pamiętała tylko swój ból i wściekłość. Yatech wybrał własną drogę, wstąpił na nią i czas zamknął się wokół niego w pętli, wymazując wszystkie jego dni z historii ludów Issaram. Powinno jej być łatwiej, dlatego że przez kilka lat przebywał poza *afraagrą* i wrócił tylko na chwilę. Lecz nie było. Gdyby wtedy tak bardzo nie tęskniła, gdyby nie cieszyła się tak strasznie z jego powrotu. A on zostawił ją samą jak źdźbło trawy rzucone na pustynny wiatr. Trzy dni łez to i tak zbyt wiele.

Wszyscy w rodzie zachowywali się, jakby nic nie zaszło, za co była im wdzięczna, nie zniosłaby współczujących gestów, porozumiewawczych spojrzeń, całej tej otoczki towarzyszącej niepotrzebnej litości. Pokaleczyłaby każdego, kto ośmieliłby się ją pocieszać. Nawet wizyta, którą trzy miesiące później złożył im ten Meekhańczyk, zdruzgotany, poharatany mężczyzna o duszy jak kawałek zwęglonego drewna, tlącej się tylko chęcią odwetu, nie wstrząsnęła nią za bardzo. Rozmawiali wtedy przez kilka godzin, pokazała mu nawet wykutą w kamieniu historię plemienia, by zrozumiał, kim są.

Nie był pierwszym, który próbował ich pojąć. W *afraagrze* zjawiało się wielu takich, kupców, handlarzy, misjonarzy opiewających potęgę tego lub innego bóstwa, ba, nawet kapłanów i mnichów samej Wielkiej Matki, którzy, o ironio, przychodzili, by nawracać jej lud. To trochę tak, jakby małe dziecko chciało uczyć ojca władania mieczem. Mało który z nich to rozumiał. Odchodzili na północ, za góry, albo na południe, za pustynię, spowici w kokon własnych przesądów, wyobrażeń i poczucia wyższości równie mocno, jak w chwili, gdy spotykali Issaram. Ale on, Aerin-ker-Noel, chyba wreszcie pojął, jak bardzo się różnią, chyba otworzył oczy i spojrzał na nich spoza meekhańsko-imperialnego woalu, który od dziecka nosił na twarzy.

W każdym razie nie wrócił do *afraagry* na czele bandy najemników, których kupił.

Czasem tego żałowała.

Więcej o nim nie słyszała, ale też nie nadstawiała zbytnio uszu. Dlaczegóż to miałaby się interesować losem jakiegoś kupca?

Otrząsnęła się z tych wspomnień. Dziś to dziś, a ją czekała inna walka.

Skończyła się ubierać i wyszła na zewnątrz.

Przed rodowym domostwem spotkała ciotkę Vegrelę. Starsza kobieta zmierzyła ją od stóp do głów, uśmiechnęła się z uznaniem i wskazała grupkę młodych mężczyzn zajętych demonstracyjnym niepatrzeniem w ich stronę.

— Ślubne pasy się plotą od takich spojrzeń — mruknęła. — Wkrótce będziesz w nich przebierać.

Deana oddała uśmiech, ale wzruszyła ramionami.

— Najpierw sąd.

— Racja.

Minął miesiąc, zdjęto pieczęcie z obu domostw i wezwano ich przedstawicieli przed starszyznę osady.

Deana czuła się pewnie, bo sprawa była prosta. Ona, Deana d'Kllean, miała tylko jednego brata, Verneana, który zginął w walce z koczownikami, a synowie Lengany h'Lenns pozabijali się nawzajem w czasie ćwiczebnego pojedynku. Zdarza się, co prawda rzadko, ale się zdarza. Wszyscy współczują rodowi h'Lenns tej strasznej straty, lecz życie się nie kończy, a plemię musi trwać.

Wina leżała więc po stronie Lengany, bo gdzie były podstawy do ściągnięcia do *afraagry* Omalany? Kobiety, która choć potrafiła posługiwać się bronią na poziomie mistrzowskim, która otwierała się na *khaan's* i potrafiła dać się ponieść jego tańcowi, nie była w stanie przyjąć wszystkich darów, jakie niósł trans. To on władał nią, nie ona nim. Nie potrafiła kontrolować gniewu, bitewnego szału, żądzy krwi, walczyła, póki nie zabiła przeciwnika. Obce jej były – płynące z prawdziwego zrozumienia, czym jest *khaan's* – współczucie i szacunek dla życia. Zachowywała się niczym wąż, kąsający odruchowo, całkowicie obojętny na śmierć, którą przynosi.

Deana powinna się tego domyślić od razu, gdy widziała, jak Omalana zabija Kensję. Na twarzy starszej kobiety nie drgnął nawet jeden mięsień, po prostu strzepnęła klingę, wytarła krew o szatę zabitej dziewczyny, scho-

wała szablę do pochwy, odwróciła się i, jakby nigdy nic, kontynuowała przerwaną pogawędkę z jedną z krewnych męża Lengany.

To Kensja ją wyzwała, głupio i nierozważnie, to Kensja pierwsza wyciągnęła broń. Lecz nikt się nie spodziewał, że walka będzie miała taki koniec. Starsza mistrzyni powinna rozbroić młódkę, a gdyby chciała jej dać nauczkę, naznaczyć skórę blizną, może nawet, jeśli nauczka miałaby być szczególnie dotkliwa, na twarzy. Ale nie, Omalana sparowała kilka ataków dziewczyny, po czym od niechcenia, schodząc z linii prostego sztychu, rąbnęła ją w skroń.

Po czym wróciła do przerwanej rozmowy.

Prawdziwy wąż, który zabija i pełznie dalej.

Dzień po śmierci Kensji jej brat poszedł na plac ćwiczeń domagać się sprawiedliwości. Towarzyszyło mu trzech kuzynów. I znów jakaś utarczka, wymiana słownych sztychów i cięć, po której okazuje się, że słowa to za mało, a miecze wyskakują z pochew. Krewni Lengany czuli się pewnie, w końcu mieli za sobą Omalanę, lecz nie docenili gniewu młodego Aewera. Gdy ostrza poszły w ruch, zginął Mayih z rodu h'Lenns, po nim padł jego kuzyn, Konle, ale w chwili, kiedy reszta miała już podać tyły, pojawiła się Omalana.

Deana nie widziała początku tej walki, ćwiczyła na innym placu, gdy nad *afraagrą* wybuchł jęk katowanej stali i bojowe okrzyki. Przerwała w pół ruchu. Zdumiewające, jak bardzo potrafi się różnić szczęk ćwiczebnego starcia od takiego na śmierć i życie, jak inaczej brzmi dziki okrzyk, gdy się go trenuje, niż taki wyrywany z gardła bitewnym szałem.

Wpadła na pole starcia w chwili, gdy Omalana cięła jednego z jej krewniaków, Neeneyra, przez plecy, a drugiemu naznaczyła twarz paskudną raną. Aewer odpierał jej ataki z coraz większą desperacją, cofał się, jego *yphir* po każdej paradzie chwiał się coraz mocniej, drugi miecz leżał już na ziemi, a kobieta-wąż najwyraźniej bawiła się z nim, nie kończyła starcia, mimo iż Deana w ciągu tych kilku uderzeń serca dostrzegła co najmniej dwa momenty, kiedy chłopak się odsłonił.

Wpadła między walczących, *talhery* zapląsały powitalny taniec, ścinając się z szablą Omalany w rytmie szybkim jak łopot serca pustynnego skoczka. Odepchnęła biodrem Aewera, duma młodego wojownika musiała nieźle ucierpieć, i stanęła między nim a wężem. W końcu po to są starsze kuzynki, po to ćwiczyła taniec szabel i nosiła białe pochwy.

Lecz nigdy jeszcze nikogo nie zabiła.

A jej przeciwniczka tak.

Opowiadali jej o tej walce później, gdy uprzątnięto już zwłoki, a starszyzna nakazała obu rodom udać się do domostw. Podobno obie weszły w *khaan's* w pół mgnienia oka, a powietrze wokół nich rozjęczało się brzękiem stali. Deana miała szczęście, że akurat ćwiczyła i była rozgrzana, gdyby nie to, Omalana wyprułaby z niej flaki w drugim albo trzecim złożeniu. Walczyły, otoczone zasłoną rozmigotanej stali, a wszystko, co próbowałoby ją przekroczyć, zostałoby rozniesione na strzępy.

Nie pamiętała zbyt dobrze samego starcia, nie zdołałaby odtworzyć każdego cięcia i sztychu, każdej parady i każdego uniku. To był inny trans niż te ćwiczebne, różnił się od nich jak skok z urwiska różni się od obserwowania lecącego ptaka. Był dziki, szalony, tętnił muzyką we krwi, osładzał każdy oddech. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem i zatańczyć, lecz przecież to właśnie robiła. Tańczyła taniec śmierci, a *talhery* przestały być szablami i stały się częścią jej woli, ciała, umysłu.

Przez chwilę, kilka chwil, kochała nawet Omalanę, kochała szczerą, siostrzaną miłością, jak kocha się kogoś, kto ofiarował ci wspaniały dar. I rozumiała, jak nigdy wcześniej, jej ból, niemożność sięgnięcia po biel na pochwie, rodzącą się wściekłość i pogardę dla innych, poczucie straty, chęć udowodnienia, że jest równie dobra… nie, że jest lepsza od reszty. Oraz pustkę, rosnącą z każdą duszą wyrwaną z ciała. Wiedziała, że mimo iż mają podobne umiejętności bitewne, dzieli je jednak zasadnicza różnica. Omalana nie potrafi tego, co ona. Nie patrzy w przeciwnika, w jego serce, nie rozumie go, nie ma dla niego współczucia i nie widzi w nim własnego odbicia.

I dlatego przegra.

Deana pamiętała samą końcówkę walki, gdy znalazła rytm, kryjący się za pozornym chaosem i nieprzewidywalnością ataków przeciwniczki, gdy poznała, kiedy tamta wyjdzie z *khaan's*, bo frustracja spowodowana niemożliwością dosięgnięcia Deany wypychała ją z transu. Wtedy ją zabiła, nie mogła nic więcej zrobić, tamta nie przyjęłaby porażki, zranienie czy rozbrojenie zmieniłoby ją w boginię zemsty, mordującą ciosem w plecy albo dosypującą trucizny do wody. Poza tym Deana nadal ją kochała, i nadal jej współczuła, więc przez współczucie, bo cóż by innego, rozrąbała jej tętnicę szyjną, odbiła ostatnie dwa ciosy i patrzyła, jak tamta umiera.

Khaan’s niósł wiele darów.

Po walce, gdy wciąż rozedrgana stała nad ciałem Omalany, napotkała wzrok swojego mistrza. Drean h’Keaz wykonał gest nalewania wody. Rozumiesz? Pytały jego oczy. Teraz rozumiesz?

Pokazywał jej ten gest setki razy w czasie ćwiczeń, tłumacząc, że pełny bitewny trans jest jak wlanie wody w nowe naczynie. Wlanie siebie w przeciwnika, wyczucie go, zrozumienie, wejście w skórę wroga.

Wtedy zrozumiała.

Nie pokonujesz obcego, zawsze walczysz ze sobą.

Na takich myślach i wspomnieniach zeszła jej droga do jaskini, w której wydawano wyroki. Potrzebowała tego, żeby nie zacząć się trząść, bo miała wrażenie, jakby wszystkie ćwiczenia przed lusterkiem przepadły w Mroku i nie zdały się na nic.

— Gotowa? — Ciotka jeszcze raz zmierzyła ją od stóp do głów.

— Bardziej nie będę.

— No to wchodzimy.

Połknęło je pęknięcie w skale.

* * *

Jaskinię oświetlały dziesiątki lamp. Starszyzna *afraagry* – sześciu mężczyzn i sześć kobiet, wśród których było dwóch Wiedzących – siedziała pod ścianą. Tysiąclecia palenia lampek oliwnych pokryły kamień patyną sadzy i tłustych osadów. Nieważne – zdawał się mówić ten brud. To nie święte miejsce kultu, tylko zgromadzenie, w którym wydaje się wyroki.

Lengana h’Lenns była już na miejscu. Towarzyszyli jej mąż, syn i garść krewnych. Ród d’Kllean reprezentowała Vegrela, matka Neeneyra, rodzice Kensji oraz Deana. Starszyzna nie życzyła sobie zbiegowiska w trakcie rozstrzygania tej zagmatwanej i nietypowej sprawy.

Z jednej strony sytuacja wydawała się przejrzysta, z drugiej bardziej niż trudna. Wina Lengany polegała na zaproszeniu do *afraagry* swojej kuzynki, mimo iż ta była wężem. Śmierć Kensji świadczyła o tym najlepiej, dziewczyna miała ledwo czternaście lat, tylko wąż zabije taką młódkę i popełznie dalej. Lecz to wina trudna do udowodnienia, nie sposób rozpoznać węża, nim ten nie ukąsi. Założenie, że Lengana ściągnęła Omalanę do *afraagry*,

by ta zemściła się na Deanie, wymagałoby głośnego powiedzenia, za co matrona miała się mścić.

I tu był dół, w którym krył się pustynny pająk.

Nie istniał formalny powód do zemsty.

Od stuleci nie zdarzyła się taka rzecz. Wszyscy, nawet Deana, rozumieli ból Lengany h'Lenns i jej prawo do ukojenia go we krwi. Ale… kto zabił jej synów, jeśli Yatech nigdy się nie narodził?

Deana czekała spokojnie. Była w rodzie Pieśniarką Pamięci, znała niemal wszystkie prawa Issaram i historie rodowych sporów sięgające czasów samego Harudiego, więc wiedziała, że w tej sprawie Lengana nie miała tak silnej pozycji, jak jej się wydawało. Była w *afraagrze* na wpół obca, wyszła za mężczyznę rodu h'Lenns dopiero przed kilkoma laty i choć przywiozła spory posag i trzech dorosłych synów, to w efekcie jej histerycznej obsesji plemię straciło już siedmiu członków. To nie nastroi do niej starszyzny zbyt dobrze.

Wiedziała, że rada może ukarać Lenganę wielomiesięcznym lub wieloletnim zakazem opuszczania domostwa albo odbyciem pielgrzymki do Kan'nolet, miejsca, gdzie Harudi ogłosił Prawa i medytowania tam rok, albo nawet wygnaniem z powrotem do rodzinnego plemienia. To ostatnie byłoby najlepsze, bo wszyscy wiedzieli, że matrona nie przestanie myśleć o pomszczeniu synów. Starszyzna mogła również pod byle pretekstem nakazać im pojedynek. Młoda mistrzyni bitewnego transu i kobieta mogąca być jej matką. Kolejna plama krwi na skale i, być może, wreszcie spokój w *afraagrze*.

A potem ogłoszono decyzję i świat Deany najpierw zamarł, a następnie rozpadł się na kawałki.

* * *

— Warto było?

Krótkie pytanie, ledwo dwa słowa wymówione szeptem, a zawierało się w nich wszystko. Cała historia pomówień, kłamstw, obsesji, nienawiści, ledwo tłumionej pogardy, krwi i zemsty, niczym szkarłatny wir, pożerającej coraz to nowe ofiary.

Starsza kobieta nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na Deanę spokojnie. Po raz pierwszy stały tak blisko, gdyby wyciągnęła dłoń, mogłaby ją

dotknąć, ale oczywiście nie było o tym mowy. W ciemnych oczach Lengany h'Lenns oprócz spokoju widniało ponure wyzwanie. No, spróbuj, mówiło to spojrzenie, no, sięgnij dłonią.

— Nie zrozumiesz… — odezwała się wreszcie cicho. — Nie pojmiesz, póki sama nie zaznasz takiej straty. Potem nie ma już nic, tylko wspomnienia jak groty wbite w ciało. Ty… twój brat…

Obie wiedziały, o którym bracie mowa.

— Twoi synowie.

— Mam jeszcze jednego.

Deana odbiła się od tej odpowiedzi, rozumiejąc, że nigdy nie zrozumie. Ta kobieta nie żałowała śmierci dwóch synów, poświęciłaby i trzeciego, by ją dostać. A jednak przyszła się pożegnać.

— Teraz zaznasz spokoju? — zapytała.

— Może.

— Może?

— Może zdołam zapomnieć, że gdzieś tam, daleko, ty żyjesz. — Szept Lengany był ledwo słyszalny, słowa padały oddzielone wyraźnymi przerwami. — Nie będę szukać wieści o tobie, nie będę szukać… ciebie. Gdy znikniesz, zapomnę. Może. Po to przyszłam, by mieć pewność, że odejdziesz. Kan'nolet jest daleko, to długa droga. Wiem, że nie masz zamiaru wrócić.

Deana potwierdziła, bez uśmiechu. To była prawda. Gdyby wróciła, musiałaby poddać się wyrokowi starszyzny. Prędzej umrze.

— Wolałabym, żebyś nigdy nie pojawiła się w *afraagrze*.

Matrona pokiwała głową.

— Ja też. Ale taka była wola Pani. Spotkałam mężczyznę, wyszłam za niego, a w końcu nawet pokochałam. — Przez chwilę poruszała ustami, jakby coś żuła. — Ale ich nie pokochałabym nigdy. Nie mogłabym. Zabiłabym, a wtedy ty zabiłabyś mnie. Tak jest lepiej.

Gniew zapłonął w żyłach Deany, ledwo się powstrzymała od sięgnięcia po broń. Lepiej? Dla kogo?

— Nie masz racji — syknęła. — Zabiłabym cię, zanimbyś się do nich zbliżyła.

Poprawiła pas, zarzuciła na ramię worek z prowiantem i wyszła z przedsionka *afraagry*. Karawana, do której chciała dołączyć, nie będzie czekać wiecznie.

Rozdział 2

Nic nie wydaje takiego dźwięku, jak morze bawiące się kośćmi.

Altsin szedł kamienistą plażą boso, brodząc po kostki w wodzie. Skórzane sandały związał i przerzucił sobie przez ramię. Bury habit zdążył już pociemnieć dołem od wilgoci, ale to mu nie przeszkadzało. Było ciepło jak na wczesną wiosnę, bardzo ciepło, ale nawet w środku lata kąpiel w tym miejscu byłaby… nawet nie makabryczna. Po prostu niestosowna.

Ominął lekkim łukiem kilka czerepów. Z głębi jednego, rozwalonego najpewniej ciosem topora, wielki krab pustelnik łypnął na niego szypułkowatym okiem i pogroził szczypcami. Kilka kroków stąd zaczynała się Biała Plaża.

Zatrzymał się, uniósł wzrok.

Marzenia. O zdobyczy, nowych ziemiach, wielkich osadach i kamiennych zamkach budowanych na wzór imperialnych warowni, z których władać się będzie podbitymi krainami. Marzenia drugich, trzecich i czwartych synów, dla których nie starczało już ziemi w surowej, mroźnej ojczyźnie, w Loharrach i na wyspach Morza Awyjskiego.

I te marzenia przywiodły tutaj tych głupców, by fale bawiły się ich szczątkami, a kraby mieszkały w czaszkach.

Cała plaża, długa na pół mili, szeroka na kilkadziesiąt kroków, wypełniona była kośćmi. Piszczele jak kawałki drewna pobielałe ze starości, fragmenty kręgosłupów niczym porzucone naszyjniki ludożerczych olbrzymów, klatki żeber i dzbany czerepów. A wszystko otulone kaszą drobnych kosteczek, paliczków wyrwanych z dłoni, pogruchotanych fragmentów stóp, zębów. Ktoś mógłby pomyśleć, że Seehijczycy rozmyślnie rozczłonkowali ciała najeźdźców, ale opowieści z Kamany mówiły coś innego: to morscy padlinożercy rozwlekli szczątki, ogryzając je do czysta. Ponoć w pierwszych dniach po bitwie, gdy przypływ zakrywał plażę, woda gotowała się od żerujących ryb i krabów, a powietrze wypełniał wściekły jazgot ptaków.

Opowieści.

O to właśnie chodziło. Każdy statek opuszczający wyspę zabierał w świat opowieść o Białej Plaży, a północni piraci nie ośmielali się więcej napadać na Amonerię.

Seehijczycy dobrze wybrali miejsce. Dzika plaża z górującym nad nią stromym klifem i prąd morski, który wyrzucał tu wszystko, co przynosiła woda, gwarantowały, że pamiątki po nieudanej inwazji pozostaną na miejscu. Miejska biedota przychodziła tu zbierać drewno, kawałki sieci, a jeśli Eyfra była łaskawa, to nawet jakąś skrzynię czy pakunek zmyty z pokładu niefrasobliwego statku, ale nikt nie ruszał kości. Wyspiarze ustanowili w niektórych sprawach wyraźne zakazy, a jedną z rzeczy, które te zakazy obejmowały, było zabieranie szczątków z plaży. Miały tam zostać i po wsze czasy „tańczyć z falami, śpiewając morzu swoją pieśń”. Jeśli ktoś połakomił się na kości z Białej Plaży, jego własne musiały uzupełnić stratę: do tej pory w mieście opowiadano o głupcu, który zabrał stąd tuzin zębów, by je sprzedać w Kamanie, a nim upłynął miesiąc, seehijscy wojownicy schwytali go, wyrwali dwanaście zębów i rozrzucili je po plaży.

Można powiedzieć, że biedak miał szczęście, bo nie przyszło mu do głowy, aby wziąć stąd jakąś czaszkę.

Morze szumiało cicho, bawiąc się makabrycznym darem, a złodziej doszedł do środka Białej Plaży, gdzie stosy piszczeli, żeber i kręgów miały w niektórych miejscach jard wysokości. Cokolwiek odpływ zabrał, prąd morski, regularne sztormy i fale pędzone wiejącymi z północy wiatrami oddawały, i miało tak być, póki wszystko nie zostanie zmielone na biały piasek. Wtedy dopiero ucichnie kościana grzechotka dla Bliźniąt Mórz.

Bracia Nieskończonego Miłosierdzia przychodzili tu regularnie, by medytować nad kruchością ludzkich żywotów i modlić się do Jasnej Pani o łaskę dla dusz najeźdźców. Seehijczykom to nie przeszkadzało, nie byli małostkowi i mściwi, przynajmniej nie w stosunku do martwych.

Altsin minął pierwszy stos czerepów, wielki jak szałas. To akurat było dzieło ludzi. Stara rybacka sieć mocowana kołkami do ziemi trzymała wszystko razem, dzięki czemu Neneloh z Malaweris miał ciągły dostęp do budulca i nie musiał biegać po plaży, wyrywając morzu zabawki. Ponoć dziesięć lat temu takich stosów było pięćdziesiąt, dziś zostało ich ledwo kilka. Jak łatwo obliczyć, za dwa–trzy lata Odźwierny powinien zostać ukończony.

Ruszył w stronę wyrytej w klifie płaskorzeźby.

Skalna ściana miała w tym miejscu osiemdziesiąt jardów wysokości, a jej ciemną płaszczyznę ozdabiało dzieło ludzkich rąk. Neneloh pracował od przeszło dziesięciu lat, zawsze sam, zawsze zwisając na linie nad przepaścią. Ponoć przez te lata lina pękła tylko raz, w chwili gdy twórca Odźwiernego wisiał jakieś trzydzieści stóp nad ziemią, i od tej pory Aweryjczyk kulał, ale nie przeszkadzało mu to w pracy, bo jak twierdził, dla rzeźbiarza ręce są ważniejsze niż nogi.

Dziś Neneloh jak zwykle wisiał, kuł i wciskał czaszki w szczeliny, mocując je własnoręcznie robioną zaprawą. Odźwierny Domu Snu, wyobrażony jako nieskończenie smutny starzec o ascetycznych rysach, miał już przeszło czterdzieści jardów wysokości i widać go było wiele mil od brzegu. Niektóre statki zmieniały kurs, by załogi mogły nań popatrzeć, biała sylwetka na ciemnej skale przypominała wszystkim o końcu drogi, jaki czekał na każdego człowieka. Altsin też miał okazję przyjrzeć się płaskorzeźbie od strony morza i musiał przyznać, że dzieło było monumentalne. Brakowało mu jeszcze tylko stóp oraz prawej ręki, w której zgodnie z tradycją powinien znajdować się klucz.

Marynarze, zazwyczaj bardzo przesądni, jeśli chodzi o rzeczy związane ze śmiercią, robili wyjątek dla Odźwiernych, wyobrażanych zazwyczaj jako starcy lub mędrcy z kluczami albo kłódką w ręku. Odźwierni mogli zaprowadzić zagubione na morzu dusze do Domu Snu, ocalić od wiecznego błąkania się po bezkresnym oceanie, przynieść spokój. Seehijczycy też nie sprzeciwiali się pracy Neneloha. Gdyby było inaczej, ciało rzeźbiarza znaleziono by z połamanymi rękami i nogami w dzień po umieszczeniu pierwszej czaszki w skalnej ścianie. Klif stanowił część plaży, więc szczątki nie opuszczały przeznaczonego im miejsca. I tyle.

Dranie naprawdę nie byli małostkowi.

Niska, ciemna postać wisiała na skale, zawzięcie pracując młotkiem i dłutem. Neneloh kończył wykuwać przedramię, za kilka dni zacznie wypełniać szczelinę czaszkami. Nawet jeśli zauważył Altsina, drobną postać w burym habicie sto stóp niżej, nie dał nic po sobie poznać. Między rzeźbiarzem a zakonem zawarto niepisane porozumienie: on udawał, że ich nie dostrzega, oni nie wspominali o jego pracy.

Odźwierni Domu Snu nie byli częścią oficjalnej religii Imperium, zaliczali się raczej do sfery folkloru, ludowych lub barbarzyńskich przesądów. Na kontynencie każda świątynia z łatwością zablokowałaby budowę

takiego dzieła, nie wspominając już o trudnościach ze zdobyciem materiałów, lecz tu rządzili Seehijczycy. A jeśli zakon chciał mieć możliwość prowadzenia dzieła misyjnego wśród pobliskich plemion, nie powinien robić niczego, co miejscowi mogliby uznać za obrazę. Więc Bracia Nieskończonego Miłosierdzia udawali, że nie widzą olbrzymiej płaskorzeźby, a szalony Aweryjczyk zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał wędrujących plażą mnichów.

No i była jeszcze, rzecz jasna, wola Rady Kamany, która zorientowała się już, że wiele statków zmienia kurs, by pokłonić się Odźwiernemu, a część z nich zawija potem do portu. Ostatnimi laty Nenelohowi przyznano mieszkanie i wikt na koszt miasta.

Polityka i pieniądze. Siła i smar kręcące podstawą świata.

Altsin zatrzymał się i obejrzał całość. Widziana pod wypaczającym proporcje kątem smutna postać sprawiała jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Jakby Odźwierny miał lada chwila się rozpłakać. Złodziej spojrzał na rzeźbiarza i naszła go ochota, by odwiedzić go w mieście i zapytać, co będzie robił po skończeniu dzieła. Co zrobi człowiek, który kawał życia poświęcił na stworzenie rzeczy oglądanej przez nielicznych i który jest najpewniej zbyt stary, by spróbować przebić to jeszcze większym dziełem? Jaki pozostanie mu cel? Czy spędzi resztę swoich dni, pielęgnując Odźwiernego? Uzupełniając czaszki wyrwane ze skały zimowymi wichurami i jesiennymi sztormami? Póki któregoś dnia lina się pod nim nie zerwie, a do ziemi będzie miał więcej niż trzydzieści stóp? A wtedy jego własne kości dołączą do szczątków Nesbordczyków, i być może ktoś kiedyś wyniesie jego czaszkę wysoko i umieści ją w skalnej szczelinie, by patrzyła na ocean.

Otrząsnął się nagle. Zadygotał.

To się znów działo. Chyba, bo – do ciężkiej cholery – nie mógł być tego do końca pewien. Ale raczej tak. Zwykła myśl, która rozkwita serią skojarzeń, pączkuje w ciąg pytań i wątpliwości, w mgnieniu oka wytrącając go z równowagi.

Czy to znów ty, sukinsynu? Ty?

Brak odpowiedzi.

Nauczył się tego przez ostatnie miesiące. Reagwyr. Pan Bitew, Władca Miecza, Pogromca Ciemności… A może raczej bezlitosny, szalony bydlak, który utopił pół świata we krwi, aż wreszcie inni Nieśmiertelni odwrócili

się od niego ze wstrętem, a własne dzieci zbuntowały się, po czym spróbowały go zabić. I właśnie jemu, Altsinowi Awendeh, jakby nie było innych ludzi w całym przeklętym Ponkee-Laa, zdarzyło się zranić dłoń o klingę jego miecza, TEGO miecza, i wetrzeć krew w rękojeść, by ocknąć się pewnego dnia z głową pełną koszmarów, niechcianych wspomnień, przerażających wizji. Wciąż pamiętał, jak poddał się osądowi rzeki, która wypluła go z własnych trzewi; do tej pory nie wiedział, dlaczego to zrobiła. Z litości? Ze wstrętu? Czy ze strachu?

Koszmary na jawie już go nie nawiedzały, nie było też budzenia się z czarnego jak morskie głębiny snu bez marzeń ani krótkich niby mgnienie oka zaników pamięci. Po wydarzeniach w mieście, po rzezi na dachach i zakrwawionym molo, wszystko znikło.

Zaczął się następny etap, groźniejszy.

Pojawiły się myśli, emocje, odruchy, o które by się nigdy nie podejrzewał. Jak te przed chwilą – co go obchodził los człowieka, którego nie znał, z którym nie zamienił jednego słowa, ba, nawet jednego spojrzenia? Jeśli ten głupiec chciał poświęcić życie jakimś przesądom, by skończyć jako pokarm dla krabów, to była jego sprawa. Altsin Awendeh, złodziej z Ponkee-Laa, nigdy by się nad czymś takim nie zastanawiał, bo jego życiowe motto brzmiało – pozwól ludziom robić każdą głupotę, jaką chcą, dzięki temu mniej pilnują sakiewki.

A teraz proszę, nagła ochota na filozoficzną dyskusję z obłąkanym rzeźbiarzem.

A to nie było wszystko.

Atakowały go krótkie, biorące się znikąd wybuchy złości, niespodziewane decyzje, pragnienia, ogarniające bez powodu fale zniechęcenia. Tak jak dziś. Najpierw rano, w trakcie śniadania, omal nie zwymyślał przeora, dzięki łasce którego gościł w klasztorze, potem naszła go ochota na odwiedzenie kapliczki Laal, później – znikąd pojawiło się przeświadczenie, że na przyklasztornym cmentarzu dzieje się coś strasznego, a jeszcze chwilę potem opanowała go bezdenna jak Szczelina Oweryńska niemoc. Miał ochotę wrócić do celi, położyć się i zasnąć.

Sędziwemu Enrohowi, przeorowi zgromadzenia Braci Nieskończonego Miłosierdzia w Kamanie, pokłonił się tylko nisko i wymawiając się bólem brzucha, wymknął ze wspólnej jadalni. Kapliczkę Laal ominął szerokim łukiem i – żeby przypadkiem nikt nie posłał go do pielęgnacji grobów –

zgłosił się na ochotnika do pracy przy kozach. Po obiedzie składającym się z miski cienkiego bulionu i kawałka owsianego placka – przeor nie zapomniał o jego problemach żołądkowych – wyszedł pod pretekstem odprawienia medytacji na Białej Plaży.

Lepsze to niż położyć się na twardej pryczy i odpłynąć w sen, choć właśnie na sen miał największą ochotę.

Robił uniki. Tak to nazywał, jakby nie mając broni, toczył w myślach pojedynek z widmowym przeciwnikiem. Nie parował ciosów, unikał bezpośrednich konfrontacji, tylko odsuwał się, uciekał, zmieniał miejsce.

Po dwóch miesiącach męki zrezygnował, przynajmniej jeśli chodzi o najprostsze odruchy. Potrzeby ciała pozostawały potrzebami ciała, nie mógł odmawiać sobie jedzenia, picia i odpoczynku tylko dlatego, że ON też mógł czuć głód lub zmęczenie i Altsin nie wiedział, czy spełnia jego pragnienia, czy swoje. Równie dobrze mógłby przestać oddychać.

Co innego, gdy chodziło o zawirowania ducha. Umysłu. Zabawa w moje – czy nie moje? Ja, Altsin Awendeh, były złodziej, były marynarz, były wędrowny pisarz i nauczyciel, nigdy bym tak nie pomyślał, nie poczuł, nie skojarzył. Widząc dwóch okładających się pięściami wyrostków, nie wiedziałbym, że ten mniejszy, z rozbitym łukiem brwiowym, wypluwający właśnie ząb, i tak wygra, bo… bo jego duch jest niezłomny, a ten duży to w gruncie rzeczy tchórz maskujący strach głupawym uśmieszkiem, już zdumiony i przestraszony tym, że ofiara nadal stoi i nie ucieka. Nie wiedziałbym, że ten o głowę większy rozpłacze się po pierwszym porządnym trafieniu, bo najbardziej boi się bólu. Nie wiedziałbym, że przejeżdżający ulicą luzak zaraz się spłoszy, w karczmie wybuchnie bójka, a kupiec na targu bezczelnie oszukuje na wadze, mając dwa komplety odważników.

No dobra – to ostatnie chyba by wiedział, obserwował kupca jakiś czas, a sztuczki z szybkimi dłońmi podmieniającymi odważniki znał na wylot.

Moje czy nie moje? Myśli, wiedza, przeczucia.

I emocje.

Nagłe przypływy gniewu, rozdrażnienia, pustej wesołości, niewytłumaczalnego smutku. Odczucia jak uderzenia ostrogami lub szarpnięcia wędzidłem, którym niewidzialny jeździec próbuje go skierować w pożądanym kierunku. Jak cholernego konia. Na dodatek były bardzo podstępne, bo jak, na wiecznie mokry tyłek Aelurdi, miał ocenić, czy nagły przypływ irytacji na starego Enroha jest „darem” boskiej duszy? Przecież ten spokojny kle-

cha potrafił być naprawdę wkurzający, z tym swoim dobrotliwym uśmiechem i łagodną miną.

Najważniejsze, aby pozostać sobą.

Po raz tysięczny nawiedziła go ta myśl i po raz tysięczny Altsin uśmiechnął się kwaśno. Sobą. To znaczy kim? Kimś, kto jest jak woda dopasowująca się do naczynia. W mieście złodziejem, poza nim marynarzem, mnichem, pastuchem, wioślarzem, drwalem… Był wszystkim, był nikim. To się musiało zmienić – postanowił również po raz tysięczny. Gdy już załatwi sprawę z tkwiącym w jego głowie bogiem, wróci do miasta, jedynego miasta, jakie tak naprawdę się liczyło, Ponkee-Laa, i pomoże Cetronowi zaprowadzić w nim porządek. Liga Czapki powinna być silniejsza, sprawniejsza, bezwzględniejsza, jeśli chciała się przeciwstawić zakusom Rady i różnych fanatyków pokroju hrabiego Terleacha. Dość uciekania, pora się ustatkować.

Uśmiech na jego twarzy poszerzył się i znikł. Powtarzał sobie to od miesięcy i od miesięcy tkwił w miejscu. Zakotwiczył się w klasztorze, bo klasztor to jedyne miejsce, które kojarzyło mu się z bezpieczeństwem. Poprzedni, w którym spędził jakiś czas, uciekając przed koszmarami, należał do Braci Opiekunów Ubogich, a ponieważ męskie i żeńskie klasztory Baelta’Mathran współpracowały ze sobą wzdłuż i wszerz kontynentu, to Altsin nie miał problemów, by przyjęto go w kamańskim zgromadzeniu. Poza tym złożył hojny datek, a i tradycją było, że ludzie szukający spokoju i ucieczki przed światem mogli znaleźć jedno i drugie pod opieką Wielkiej Matki.

I niby wszystko było dobrze, nie pozwalał, by Reagwyr go pochłonął, bo tym tak naprawdę było Objęcie; dusza boga nie mogła tego zrobić bez jego zgody, a prędzej Szary Ocean zmieni się w siki, niż ten sukinsyn ją dostanie. Lecz spędzenie reszty życia na karmieniu stada kóz, plewieniu przyklasztornego ogrodu, modlitwach, medytacjach i unikach, nieustannych unikach…

Za każdym razem, gdy sobie wyobrażał podobną przyszłość, czuł, jakby pod stopami otwierała mu się otchłań.

Nie. Jutro spotka się z człowiekiem, który ponoć wiedział, gdzie przebywa ta plemienna czarownica. Aonel. Wziął na swoje plecy ciężar, który ona powinna nieść, podał jej matce truciznę i posłał łagodną śmiercią, Miękkim Zaśnięciem, jak powiadali skrytobójcy, do przodków. Duch tej

kobiety nie czepiał się jego sumienia, Altsin zrobił to, co trzeba było zrobić, i teraz Aonel miała u niego dług.

Aonel… Szlag by to. Przypływając na wyspę, znał tylko jej imię. Równie dobrze mógłby szukać jakiegoś Aeryha w Ponkee-Laa. Podobno wśród Seehijczyków to jedno z najpopularniejszych imion. Musiał znaleźć plemienną wiedźmę o imieniu Aonel, która kilka lat temu popłynęła na kontynent w poszukiwaniu zaginionej matki. Nic prostszego. Na Jaja Ganra! Nawet nie wiedział, czy udało jej się wrócić do ojczyzny!

Dlatego jutrzejsze spotkanie było takie ważne.

Ruszył w stronę miasta, starając się iść po piasku oblewanym przez fale. Kości było tu mniej, choć i tak piszczele i żebra klekotały szyderczo, a czaszki gapiły się na niego złośliwie jamami oczodołów, jakby chciały powiedzieć: „Też kiedyś mieliśmy plany i marzenia związane z tą wyspą i patrz, co z nas zostało”.

Wyszczerzył się ponuro.

Nie. On nie zostanie tu do końca życia. Ani tym bardziej później.

Interludium

Ogród, podobnie jak sam pałacyk, tonął w świetle.

Kolorowe lampiony rozwieszone na drzewach i krzewach prześwietlały gałęzie miękkim blaskiem, dodatkowo wysokie na dziesięć stóp miedziane lampy rozjaśniały mrok, a służący w ciemnych strojach, z włosami elegancko natłuszczonymi i związanymi w schludne warkocze, uzbrojeni w tuziny świec i galony pachnącej oliwy, krążyli bezszelestnie, pilnując, by żadne światło nie zgasło. Ich obecność była mniej zauważalna niż lekkie podmuchy wiatru, napływające od czasu do czasu od strony morza.

Lecz mimo starań służby cieni nie brakowało, niektóre zakątki rozległej posiadłości wydawały się wręcz ich matecznikiem, światło lamp i lampionów zatrzymywało się trwożliwie na skraju szczególnie gęstych krzewów, które w nocy traciły swój oswojony, cywilizowany wygląd. Zupełnie jakby lata pracy sowicie opłacanych ogrodników w jednej chwili poszły na marne.

Yatech potrząsnął głową i podrapał się pod *ekchaarem*. Za długo przebywał z tą dziewczyną, za często wsłuchiwał się w jej dziwaczne, tchnące obłędem monologi, i teraz sam zaczynał mieć podobne myśli i skojarzenia. Twarz go swędziała, kilka miesięcy bez zasłony odzwyczaiło skórę od szorstkiej pieszczoty materiału, a nowe *yphiry* ciążyły na ramionach.

Nie pozwoliła mu wziąć tych o klingach z czarnego szkła, argumentując, że są zbyt charakterystyczne i każdy, kto je zobaczy, zapamięta. Zamiast tego kupili inne, z jasnej stali, wykonane najpewniej przez któregoś z meekhańskich rzemieślników, bo mieczom brakowało osobistego podpisu mistrza broni Issaram i były… niezgrabne. Wyważenie najwyraźniej wzorowano na prostych mieczach z Północy, rękojeści były ciut za długie, a sztych zbyt szeroki. Cóż, jak każdy dobry oręż, także *yphiry* kopiowano i fałszowano na całym Południu Imperium, a jemu akurat trafiła się podróbka niezbyt udana. Ale w końcu te miecze miały być tym samym, czym *ekchaar* na jego twarzy. Przebraniem.

Skupił się na obserwowaniu okolicy.

Blaskowi lamp towarzyszyły najróżniejsze dźwięki. Muzyka wylewająca się z okien pałacu wpadała między alejki ogrodu i mieszała się z dźwiękami zabawy, szczękiem kryształowych kielichów, szmerem rozmów, kobiecym śmiechem. Gdy tylko minęła północ, większość gości barona opuściła duszne komnaty i korzystając z ciepłej nocy, zajęła się własnymi zabawami.

Na początku Yatech czuł coś w rodzaju zdziwienia, byli w samym sercu Imperium, pod Górami Krzemiennymi, prawie sześćset mil na północny wschód od Ayrepr, gdzie miał okazję obserwować podobne rozrywki możnych i poza niewielkimi różnicami w ubiorach służby oraz lokalnymi przysmakami nie dostrzegał niczego nowego. Także w sposobie, w jaki go traktowano.

Jakaś para przeszła tuż obok, kobieta, śmiejąc się gardłowo, trąciła go krągłym biodrem, a zapach ciężkich, piżmowych perfum przebił się przez *ekchaar,* niosąc zmysłową obietnicę. Mężczyzna podtrzymał ją za ramię, szarpnął mocniej, niż by wypadało, i posłał mu spojrzenie z ostrzem ukrytym w głębi źrenic.

Żadnych pojedynków. Żadnego zwracania na siebie uwagi.

Yatech odwrócił twarz, dostrzegając kątem oka zadowolenie i satysfakcję szlachcica oraz pogardę w uśmiechu kobiety. Jej chichot stał się jeszcze niższy i bardziej kuszący, gdy dla odmiany wsparła się na ramieniu swojego towarzysza.

Znikli w cieniach.

Żadnego zwracania na siebie uwagi? Więc dlaczego Kanayoness kazała mu założyć strój, z którego odarła go przed paroma miesiącami? Po co miał zasłaniać twarz i udawać kogoś, kim już nie był, w mieście, gdzie Issaram spotykano rzadko, więc każdy z nich wzbudzał małą sensację? I dlaczego zabrała ze sobą Iavvę, która nie dość, że nic nie mówiła, to na dodatek przyciągała uwagę nietypową urodą?

Choć w gruncie rzeczy nie przejmował się tym. Wymaganie, by Kanayoness zachowywała się mądrze, przypominało próbę namówienia burzy piaskowej, aby pozostawiła nawiedzaną okolicę bez najmniejszych zmian.

Jeden ze służących wyłonił się z bocznej alejki i skierował wprost ku niemu.

— Panna Genwira nakazała, byś natychmiast stawił się przy niej. Zaprowadzę cię.

Skinął w milczeniu głową i ruszył za sługą.

Genwira-ane-Lobres. Nowe imię i nazwisko jego pani. Wbijała mu je do głowy przez trzy dni, nim zjawili się na tym przyjęciu. Szlachetnie urodzona panna, spowinowacona z kilkoma najlepszymi rodami Południa, choć pochodząca z mniej ważnej rodziny. Yatech ma na nie reagować, jakby rzeczywiście służył jej ojcu od wielu lat. I tyle.

Mężczyzna przeprowadził go przez rozświetlony i wypełniony muzyką parter oraz rozchichotane, tętniące setką głosów pierwsze piętro. Weszli wyżej, na kolejną kondygnację, w krainę względnej ciszy i zalegających wszędzie półcieni, strzeżoną przez dwóch tęgich drabów w strojach domowych strażników. Sługa zaprowadził go pod masywne drzwi i uchylił je na tyle tylko, by wojownik mógł się wślizgnąć do środka.

— Tutaj.

Yatech wszedł. Wnętrze było ciemne, choć gromadka maleńkich oliwnych lampek porozstawianych tu i ówdzie usiłowała z tą ciemnością walczyć. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i ziół, raczej łagodny niż drażniący. A pierwszym, co przyciągnęło jego uwagę, było wielkie łoże i półleżący na nim mężczyzna. Blady, chudy i wymizerowany. Na kolanach opierał sporą drewnianą podpórkę i kreślił coś zawzięcie na pokrywającej ją płachcie papieru.

— Tak. Widzisz, panienko? Tak uzyskujemy perspektywę. Nie prowadź ręki tak sztywno, bo nigdy nie oddasz głębi. I palce, zapewniam cię, że ubrudzenie sobie palców nie przyniesie ci ujmy.

Odszukanie Małej Kany zajęło Yatechowi dwa uderzenia serca. Stała pochylona obok wezgłowia łóżka, a jej ciemna suknia zlewała się ze ścianą, lecz widać było, z jakim nadzwyczajnym przejęciem śledzi ruchy szlachcica.

— Ach, więc to on. — Mężczyzna przerwał rysowanie i spojrzał w stronę drzwi. — Jeden z niepokonanych pustynnych mistrzów miecza. Niewielu z twoich pobratymców dociera aż tutaj, pod Góry Krzemienne, wojowniku.

Issaram zignorował go, patrzył tylko na Kanayoness. Żadnego znaku, po co go tu ściągnęła.

— Och tak. Prawo służby. Najpierw musisz się upewnić, czy nie nastawałem na cześć twojej pani, nieprawdaż? — Gospodarz uśmiechnął się blado i wyciągnął drżącą dłoń ku dziewczynie. — Uwierz, nastawałbym,

nastawał, gdyby mi tylko ująć jakieś trzydzieści lat. Taki kwiat aż się prosi, by ktoś spróbował go zerwać.

Mała Kana wyprostowała się gwałtownie, a potem opuściła skromnie głowę i zarumieniła.

— Ech, minęły wieki, odkąd tak działałem na kobiety. Ale konwenanse to konwenanse. Twoja pani jest bezpieczna pod opieką swojej damy do towarzystwa, a ja jestem równie niegroźny jak noworodek.

Iavvę trudniej było zauważyć niż Małą Kanę. Yatech zdążył już do tego przywyknąć. Jasnowłosa dziewczyna potrafiła zastygnąć bez ruchu niczym kamienna figura i póki się nie ruszyła, człowiek nie był świadomy jej obecności.

Przeniósł wzrok na starca, a ten, wyczuwając jego uwagę, uśmiechnął się przelotnie.

— Zdradź mi swoje imię, wojowniku.

— Panna Genwira go nie zdradziła?

— O! Ciekawy głos. Młody, młodszy, niż można by się spodziewać po twoich ruchach. Ale już głos kogoś, kto wiele widział i przeżył. Czy to prawda, że w pojedynkę zabiłeś gromadę demonów, które na rodzinę ane-Lobres nasłał zawistny czarownik? I pokonałeś dwudziestu fechmistrzów, jednego po drugim, walcząc bez przerwy od świtu do południa? I samotnie wytropiłeś w górach bandę zbójców, która napadała na wasze wioski, po czym przyniosłeś ich głowy i rzuciłeś do stóp matki twojej pani? Makabryczny podarek, moim zdaniem, ale ponoć kobiety żyjące na pograniczu mają inne pojęcie… estetyki. No więc?

Yatech znów zerknął na Kanayoness, która stała wciąż pod ścianą ze wzrokiem skromnie wbitym w podłogę.

— Ech! — Śmiech szlachcica brzmiał, jakby ktoś poruszał starym miechem. — Żartowałem. Nie miej żalu do umierającego mężczyzny o tę odrobinę zabawy. Mity o was, mieszkańcach gór i pustyni, są naprawdę wspaniałe. A im dalej na północ, tym są piękniejsze, i to pomimo rzezi, jaką urządziliście na terenach Meekhanu. Panna ane-Lobres stwierdziła jednak, że twoje plemię nie wzięło w niej udziału. To prawda?

— Tak.

— To dobrze. Dobrze. *Powściągliwość jest nagrodą dla cnotliwych* — odezwał się nagle w *k’issari*, kalecząc słowa i koszmarnie je akcentując. — Dobrze to wymówiłem? Podróżowałem kiedyś przez wasze ziemie jako

ambasador Imperium do księstw Dalekiego Południa. Nauczyłem się kilku zwrotów w waszym języku. I jak?

Kanayoness zerknęła na Yatecha.

— Pan baron — jej dłoń delikatnie dotknęła ramienia mężczyzny — jest dziadkiem naszego gospodarza. Nie bawią go już przyjęcia ani tańce, ale…

— Ale gdy służba doniosła mi, że jedna z goszczących u nas szlachetnych panien ma ze sobą issarskiego strażnika, postanowiłem zaprosić ją na pogawędkę. — Mężczyzna wszedł jej w słowo, po czym delikatnie ujął rękę dziewczyny i złożył na niej czuły pocałunek. — I muszę przyznać, że cierpliwość, jaką ta piękna panna wykazuje, by zabawić starca, daje wspaniałe świadectwo tradycyjnym cnotom, jakie wpaja się młodzieży na pograniczu. Tu, w centralnych prowincjach… — Skrzywił się nagle uśmiechem pełnym octu. — Nie ma dość pergaminu, by opisać ten upadek.

Mała Kana uśmiechnęła się szczerze.

— To zbyt uprzejme. Zapytałam tylko, kto namalował ten obraz na ścianie, a gdy okazało się, że pan baron sam osobiście raczył go stworzyć, wymknęło mi się, że też lubię malować i poprosiłam o kilka porad, bo tak… tak to ja chyba nigdy nie będę umiała oddać światła i cieni. No popatrz, sam popatrz.

Przynaglony niecierpliwymi ruchami rąk, wojownik oderwał się od drzwi i podszedł do ściany. Dwie lampki oświetlały szeroki na jakieś trzy stopy obraz, na którym dumny jeździec w błyszczącej zbroi spinał szlachetnego rumaka, a za nim czarno-szare szczyty wgryzały się w jaśniejące niebo. Coś było wyraźnie nie tak z proporcjami konia, a miecz, który dzierżył mężczyzna, miał absurdalnie wielką klingę. Ale góry wyglądały nieźle.

Gospodarz chrząknął cicho.

— To ja na tle Magarhów widzianych od strony pustyni… pięćdziesiąt lat temu. — Westchnął. — Wiem, moda na tworzenie autoportretów już przeminęła, dlatego więc ten obraz wisi tutaj, a nie, jak kiedyś, w głównej jadalni, ale budzi piękne wspomnienia. Mieliśmy za sobą trzy miesiące morderczej wędrówki, walki z pustynnymi bandytami, szukania oaz, liczenia każdego łyka wody. Ale doszliśmy. Chciałbym dziś widzieć któregoś z tych wymuskanych paniczyków… eeech…

Yatech jeszcze raz spojrzał na obraz. Jeśli wędrowali przez Travahen przez trzy miesiące, to ten ogier wyglądałby raczej jak szkielet konia, choć zapewne w rzeczywistości był wielbłądem albo mułem, z kolei dosiadający

go szlachetny młodzieniec przypominałby zapewne strzęp człowieka z obłędem wypisanym na twarzy, nie zaś dumnego zdobywcę. Prawie parsknął pogardliwie. Wspomnienia starców. Zawsze kłamią.

— … i dlatego, gdy tylko zobaczyłam ten obraz, poprosiłam pana barona, by pokazał mi, jak namalować taki widok. O, popatrz, no, podejdź tu i popatrz. — Kanayoness znów niecierpliwie zamachała ręką. — To Konoweryn nad jeziorem. Widzisz? Widzisz mury na górze i w wodzie?

Miasto na kartce papieru odbijało się w jeziorze. Chyba.

— Och. Gdybym mogła wziąć jeszcze kilka lekcji. Moje własne rysunki są takie… nieskładne.

— Ojciec panienki z pewnością zatrudnił najlepszych nauczycieli malunku, jacy są na Południu.

— Tak — wydęcie ust nadało twarzy Małej Kany wyraz rozkapryszonego podlotka — zatrudnił. Ale szlachcianka nie może być pouczana przez byle prostaka, który umie coś tam maznąć pędzlem. To nie jest właściwe.

Mężczyzna uśmiechnął się pobłażliwie i posłał Yatechowi porozumiewawcze spojrzenie. „Kobiety”.

— No, jeśli zostaniecie jeszcze w mieście, panno Genwiro, będę zaszczycony, mogąc panienkę ponownie gościć. A tę wprawkę wyrzucimy. — Jego dłonie zaczęły miąć papier.

Kanayoness pisnęła cienko i wyrwała mu rysunek z rąk.

— Nie, nie, nie! — Przycisnęła go do piersi niczym skarb. — Jest piękny! Zabiorę go i każę oprawić. Naprawdę!

Cofnęła się nieco, jakby w obawie, że mężczyzna wyskoczy z łoża i rzuci się na nią, by odebrać swoje dzieło.

Ten zaśmiał się jednak tylko, i zakłopotany machnął ręką.

— Dobrze już, dobrze. Niech panna zabierze ten rysunek, lecz proszę pamiętać, że to tylko szkic, ledwo kilka muśnięć ołowianym pręcikiem, nic specjalnego.

Dziewczyna starannie złożyła papier i wsunęła go do rękawa szerokiej sukni.

— Wychodzimy. Nie będziemy już męczyć pana barona. — Dygnęła nisko. — Dziękuję, szlachetny panie, bardzo mi pan pomógł. Bardziej, niż pan myśli. Keru’weln, odprowadzisz mnie do domu.

Wyszli obydwoje. Gdy Yatech zamykał za nimi drzwi, baron zamrugał jak ktoś, kto usiłuje sobie o czymś ważnym przypomnieć. Tak. Bez wątpie-

nia Iavva potrafiła zniknąć tak z ludzkich oczu, jak i pamięci.

— Dlaczego? — zapytał, gdy ruszyli korytarzem.

Mała Kana nie zwolniła kroku ani nie obejrzała się przez ramię.

— Gdy uciekasz, starannie zamiataj za sobą ścieżkę. Poza tym… Nie zrozumiesz. A ja nie będę się tłumaczyć z każdej decyzji temu, kto nosi moje miecze. Idziemy.

Rozdział 3

Ocknęła się z płytkiego, niespokojnego, roszącego całe ciało potem snu. Mimo nocnego chłodu było duszno i parno. Jej klitka nie miała więcej niż dwa kroki szerokości, cztery długości i stanowiła wymyślne narzędzie tortur.

Ściany, zbudowane z suszonych w słońcu cegieł, były pozbawione okien czy nawet świetlików, a wąskie drzwi, które zamykały się na dwa skoble, obito od wewnątrz tkaniną. W środku rozgościł się niepodzielnie zapach stęchlizny, kurzu, starego potu i mysich bobków, wypełniający szczelnie przestrzeń i tworzący gęstą jak zupa mieszaninę, którą musiała oddychać. Zapach strachu, a choć Eanassa, jej nowa przyjaciółka, wolała nazywać go zapachem szacunku, był to tak naprawdę odór przerażenia.

Deana nasłuchiwała. Odległe porykiwania osłów, końskie rżenie, parsknięcia wielbłądów, plusk wody w poidłach. Jakaś karawana szykowała się do wymarszu. Znak, że zbliża się świt.

Ubrała się szybko, odmówiła modlitwę i wyszła na zewnątrz, zakładając starannie ekchaar. Dla kogoś wychowanego w afraagrze konieczność nieustannego zasłaniana twarzy wydawała się czymś dziwnym i uciążliwym. W końcu to ziemia Issaram, ta pustynia i wszystkie oazy w promieniu pięciuset mil od gór należały do nich, a tymczasem obcych było tu więcej niż jej rodaków.

Jakaś kuwijska kobieta z dzbanem na głowie i dzieckiem pod pachą minęła ją szybko, pozdrawiając gestem szczupłej dłoni i starannie omiatając wzrokiem własne stopy.

Uprzejmość i strach.

Słońce wzniosło się nad horyzont, malując wszystko kolorami pustynnego świtu. Savandarum to największa oaza w tej części Travahen, ostatnia tak duża przed drogą wprost na południe, w kierunku pierwszego z daeltryjskich księstw, lub na wschód, do Kan’nolet. Tworzyło ją kilka wyrastających z piasku skał, spomiędzy których wypływał strumień. Wokół rosły

dwa niewielkie gaje, trochę krzewów i traw. Pośrodku oazy zbudowano kiedyś, w niepamiętnych czasach, kamienny zbiornik o średnicy trzystu stóp, obsadzony daktylowcami i tamaryszkami, głęboki tak, że człowiek mógłby w nim utonąć. Cud nad cudami. Deana pamiętała drogę do oazy i opowieści ludzi z karawany, której towarzyszyła, opowieści, którym nie wierzyła, póki po dziesięciu dniach wędrówki sama nie ujrzała Savandarum: błękitnego oka otoczonego zielonymi rzęsami, mrugającego zadziornie refleksami odbitego światła. Wyzwanie rzucone dziesiątkom tysięcy mil bezwodnego pustkowia. Widząc coś takiego, człowiek zaczynał wierzyć w słowa Wielkiej Matki – „Zawsze jest nadzieja i szansa na odkupienie. Póki oddech wypełnia płuca, a serce tętni krwią”.

W oazie Issaram stanowili mniejszość. Wprawdzie przebywało ich tu pewnie ze dwie setki, lecz obcych, kupców, ich strażników, osiadłych tu na stałe handlarzy i rzemieślników, ich kobiet i dzieci było ze dwa tysiące. Wszyscy oni zamieszkiwali kilka setek chat, szałasów i namiotów, które stały w grupach, obrazując plemienną różnorodność pustynnych ludów.

Mimo iż były to ziemie wschodnich Issaram, Prawo Harudiego mówiło, że źródła na pustyni należą do wszystkich i nikogo nie można od nich odpędzić, jeśli nie popełni zbrodni przeciw krwi lub wodzie. Dlatego każdy, kto dotarł do oazy i przestrzegał panujących w niej zwyczajów, mógł zostać. Pierwsi skorzystali z tego kuwijscy, vostrscy i mavvijscy rzemieślnicy, przedstawiciele nomadów z południowego krańca pustyni. Rymarze, kowale, kilku cieśli i kołodziejów. Karawany idące na południe miały przed sobą Sak Ak Mayid – tysiąc mil piasków i, rozsianych z rzadka, błotnistych źródełek. Karawany wędrujące na zachód czekała Sak On Valla – kamienna pustynia, po której można było wędrować wozami, lecz która jeszcze zazdrośniej niż jej piaszczysta siostra strzegła każdej odrobiny wilgoci. Savandarum stanowiła ostatnią oazę, w której można było podkuć konia, naprawić uprząż, załatać dziurę w beczce i naprawić oś w wozie. Można było też pohandlować, wymienić część towaru, zamienić lub kupić zwierzęta, wynająć więcej strażników, posłuchać plotek o coraz bardziej bezczelnych mavvijskich i cvaalskich rozbójnikach.

Można było odpocząć.

Deana odprowadzała kuwijską kobietę wzrokiem. Młoda, niezbyt ładna, z szerokim nosem i ciemną skórą charakterystyczną dla jej pobratymców.

Najpewniej urodziła się w oazie i całe życie spędziła w otoczeniu Issaram, lecz to niczego nie zmieniło. Strach pozostał.

— Nie próbuj — mruknęła w przestrzeń. — Słychać cię z mili, a może nawet z dwóch. Prawdę powiedziawszy, to twoje „skradanie się” — zaakcentowała ostatnie słowa — właśnie mnie obudziło.

Odwróciła się, spoglądając na młodą dziewczynę w białej *ta'chaffdzie*. Ta jęknęła zawiedziona.

— Nie możesz mi tego cały czas robić.

— Mogę. Gdzie twój ojciec?

— Łowi ryby. Jak zwykle. Dlaczego nie mogę cię podejść?

— Już mówiłam. Jesteś głośna jak ten… słoń. Tak? Jeśli takie zwierzę naprawdę istnieje, rzecz jasna. Jak całe stado słoniów.

— Słoni. I to nie było stado, tylko dwa. Wielkie jak domy. Widziałaś łajno.

No tak. Łajno było… imponujące.

Deana uśmiechnęła się mimowolnie, a Eanassa czekała cierpliwie, stojąc kilka kroków od niej, jasny *ekchaar* zasłaniał jej twarz, a biała szata, wyraźnie za duża, ściągnięta była w talii ciężkim pasem, obciążonym z prawej strony szablą. Córka starszego oazy walczyła lewą ręką, całkiem nieźle, stoczyły już trzy ćwiczebne pojedynki, ale ciągle brakowało jej cierpliwości i opanowania, niezbędnego, by kontrolować starcie. Zazwyczaj po pierwszych ciosach zasypywała przeciwnika gradem uderzeń, próbując za wszelką cenę wygrać w ciągu dziesięciu uderzeń serca. No ale jak się ma piętnaście lat, niecierpliwość jest grzechem głównym.

Deana udzieliła jej kilku lekcji, trochę z uprzejmości, a trochę – musiała to przyznać sama przed sobą – z próżności. Białe pochwy *talherów* budziły podziw i szacunek, ojciec Eanassy sam zgłosił się do niej z prośbą, czy nie pokazałyby jego pierworodnej kilku technik. Dziewczyna wychowywała się w oazie i większość Issaram, których spotykała, to byli strażnicy karawan, wśród których rzadko trafiał się prawdziwy mistrz. Ćwiczebne pojedynki obu kobiet gromadziły zazwyczaj spory tłumek ciekawskich, co również mile łechtało próżność Deany.

Były prawie tak popularne jak słoniowe łajno.

Słonie. Na Łzy Matki, spóźniła się dzień, tylko dzień, i mogłaby je zobaczyć. Przez ostatnie trzy dni, odkąd tu przybyła, nie słyszała o niczym innym, tylko o nich. Wracająca do domu karawana z Białego Konoweryn

miała w swoim składzie dwa słonie. Już samo przeprowadzenie ich przez pustynię w drodze na północ, do Meekhanu, było wyczynem godnym pieśni, lecz zabieranie z powrotem, w tysiącmilową wędrówkę na południe, zakrawało na szaleństwo. Plotka – a trudno o bardziej rozplotkowane miejsce niż położona pośrodku pustyni oaza – mówiła, że konowerski książę wysłał te zwierzęta w podarunku meekhańskiemu cesarzowi, ale jego posłańcy odbili się od gór. Przyprawy, jedwab, kamienie szlachetne i kość słoniowa mogły przebyć Anaary na grzbietach ludzi, osłów i mułów, ale nawet Issaram nie znali drogi, którą szare giganty zdołałyby się przedostać na drugą stronę.

Ojciec Eanassy dziwił się, dlaczego wracający posłowie zabrali słonie ze sobą, zamiast, jak nakazywałby rozsądek, zabić je lub porzucić gdzieś na pustyni. Ale w oazie panowało niepisane prawo, by nie zaglądać obcym pod *ekchaar*, więc powściągnął ciekawość, czego nie można było powiedzieć o jego pierworodnej. Eanassa zaprzyjaźniła się, jeśli można tak nazwać upicie kogoś daktylowym winem, z jednym z karawanowych strażników i uraczyła już Deanę kilkoma rewelacjami.

Konowerczycy uważali słonie za zwierzęta szczególne, niektórzy nawet za święte, porzucenie ich lub zabicie ściągnęłoby na głowy wszystkich członków karawany przekleństwo, a głowę jej przywódcy ściągnęłoby z karku – opowiadał jej mężczyzna. Dlatego wydają tu fortunę na wozy, beczki z wodą, zapasy paszy i zamiast powędrować wprost na południe, będą się tłukli po Sak On Valla, kierując się na wschód w stronę Morza Białego. Bo tylko po tej kamienistej, przeklętej przez bogów – z samym Agarem od Ognia na czele – wyżynie przejadą wozy, które będą wiozły wodę dla słoni. Zresztą tak tu przyjechali, prawda? A potem powędrują wzdłuż oceanu, gdzie łatwiej o źródła. I w ten sposób dotrą do domu dwa miesiące później, niż planowali, i lepiej żeby moja baba trzymała kolana ściśnięte, bo jak tym razem usłyszę od sąsiadów, że… praszam panienko, nie uraziłem?

Dziewczyna opowiedziała jej to już ze trzy razy, naśladując szorstki, południowy akcent, którym strażnik kaleczył meekh, odgrywając też jego pijackie kiwanie się na boki. A potem zawsze wyrażała nadzieję, że jeśli Deana wyruszy za dwa dni, jak planuje, to może nawet doścignie słonie i konowerską karawanę. Tak właśnie mówiła. Słonie i karawanę.

No cóż. Kuliste łajno wielkości ludzkiej głowy będzie miejscową atrakcją co najmniej przez najbliższe dziesięć lat.

Minęła je grupka dzieci, z których każde miało wielkie uszy wyplecione z trawy i kawałek sznurka uwiązany pod nosem. Pędziły przed siebie, porykując dziko.

A może nawet przez dwadzieścia lat.

Deana zerknęła na młodszą dziewczynę.

— Poranna lekcja?

— Myślałam, że już nie zapytasz.

* * *

Skończyła lekcję po dwu kwadransach. Poranek, gdy słońce ledwo zerka na świat jednym, rozespanym okiem, to najlepsza pora na ćwiczenia. Człowiek jest wypoczęty, ciało z radością przyjmuje wysiłek. Eanassa uczyła się szybko, dziś wytrzymała prawie kwadrans, nim rzuciła się do tego swojego szaleńczego ataku. Deana rozbroiła ją raz, potem drugi, potem zaś spokojnie pokazała, jak się to robi, i pozwoliła sobie wyłuskać broń z ręki. Ważne, by dziewczyna pamiętała, że to tylko ćwiczenia.

Gdy zakończyły lekcję, Deana odwróciła się do starszego brodatego mężczyzny w błękitnym stroju i turbanie, który od dłuższej chwili nie spuszczał z niej wzroku. San Laweri miał na sobie podróżny płaszcz oraz ciężki tulwar i kilka sztyletów za pasem, co wskazywało, że jest gotów do wyruszenia z oazy.

— *Awyssa* — powitał ją tradycyjnym tytułem.

Do licha, nawet on, mężczyzna, który mógłby być jej ojcem, zachowywał pełen szacunku dystans.

— Onoled. — Odpowiedziała na jego pozdrowienie uprzejmym ukłonem, wsuwając *talhery* do pochew. — Mieliśmy wyruszyć za dwa dni.

Dowódca strażników karawany pokiwał głową.

— To prawda, lecz właśnie przyszła wieść, że agaty i jaspis, na które czekamy, nie dotrą. Więc wyruszamy natychmiast, gdy tylko załadujemy towar na wielbłądy.

— Dobrze, będę gotowa.

Mężczyzna ukłonił się i poszedł w stronę karawanseraju, gdzie trwał już ruch.

Eanassa westchnęła ciężko za jej plecami.

— Już? Już odjeżdżasz? A ja chciałam dzisiaj ugotować dla ciebie kolację.

Deana odwróciła się. Nie potrzebujemy odsłaniać twarzy, by dało się odczytać nasze emocje, pomyślała. Całe ciało dziewczyny mówiło o rozczarowaniu i zawiedzionej nadziei.

— Na pewno byłaby pyszna. Ale widzisz, jak to bywa, jaspis nie dotarł. Pozdrów ojca ode mnie i mu podziękuj.

Złożyła dłonie.

— „Niech Pani na Złotym Tronie ma w opiece ciebie i twój ród. Niech wspomaga twych przyjaciół i napełnia strachem serca wrogów. Niech dusza, którą nosisz, dołączy do duszy plemienia, by oczekiwać na odkupienie”.

Pierworodna starszego oazy skłoniła się formalnie.

— „Z Dłoni pochodzisz, Dłoń cię tu przywiodła, Dłoń pokieruje dalej. Odejdź w pokoju, wróć, kiedy zechcesz”.

Kendet’h regulował każdą sprawę, był klamrą spinającą każdą rzecz, dzień z nocą, sen z przebudzeniem, pierwszy krzyk dziecka z ostatnim oddechem starca. Także powitanie z pożegnaniem. Po tych słowach dalsze nie były już potrzebne.

Karawanseraj oazy stanowił zespół czterech budynków ogradzających spory plac, na którym zazwyczaj gromadzono zwierzęta. Część budowli, zwrócona do środka, miała szereg nisz, w których odpoczywali ludzie. Zewnętrzne ściany wyposażono w strzelnice i furtki wypadowe. Napady na oazy zdarzały się wyjątkowo rzadko, ale się zdarzały. Takie miejsca jak Savandarum były niczym perły w morskich głębinach, gromadziły bogactwa czasem przerastające zawartość skarbca małego księstwa, a o ludziach można powiedzieć jedynie to, że na brzęk złota zapominają o zdrowym rozsądku, więc solidne mury i zapas strzał gwarantowały mieszkańcom oazy spokojniejszy sen.

Na wewnętrznym dziedzińcu stało około dwudziestu wielbłądów, stanowiących trzon karawany. Towarzyszyły im też mały tabun koni i cztery wozy, przewożące głównie beczki z wodą. Z rzadka rozsiane na Sak On Valla źródła bywały kapryśne i niestałe, potrafiły zniknąć na całe miesiące. Większość towarów niosły wielbłądy, a Deana, zgodnie ze zwyczajem, nie pytała, co jest w skrzyniach i pakach, doceniając uprzejmość *onoleda*. To on – jako dowódca strażników karawany – zgodził się, by im towarzyszyła,

a w takich sprawach miał więcej do powiedzenia niż kupcy, którzy go wynajmowali. To on odpowiadał za bezpieczeństwo na szlaku i choć towarzyszyło im dziesięciu Issaram z plemienia g'wersów oraz kilkunastu ciemnoskórych kuwijskich łuczników, to tylko głupiec zlekceważyłby korzyści, jakie daje towarzystwo mistrzyni miecza. Deanie zaproponowano nawet miejsce w siodle, lecz uprzejmie odmówiła. Uwzględniając jej umiejętności jeździeckie, bardzo szybko straciłaby szacunek *laagha*.

Gdy dotarła do karawanseraju, issarscy strażnicy powitali ją kilkoma uprzejmymi ukłonami, lecz żaden się nie odezwał. Była *awyssą* – poszukującą, wędrowała do Kan'nolet, oazy położonej pośrodku Sak On Valla, gdzie dwa i pół tysiąca lat temu Harudi zaczął nauczać Issaram o Prawach i wskazał im drogę do odkupienia. To do niej należała decyzja, czy ma ochotę na towarzystwo i rozmowę, czy woli spędzić podróż, medytując i modląc się.

Oto ścieżka, na którą wypchnęła ją decyzja starszyzny *afraagry*. Ona, Deana d'Kllean, i Kens h'Lenns, ostatni z synów Lengany, mieli wziąć ślub, tylko po to, by mogła urodzić dwoje dzieci, które trafiłyby następnie do rodu h'Lenns. Potem, gdyby chciała, Deana mogłaby odejść i wrócić do swoich. Krew za krew, dwie dusze za dwie dusze. Wnuczęta miałyby uśmierzyć gniew tej szalonej wiedźmy, pozwolić w jej sercu znaleźć drogę do przebaczenia i wyrwania się z okowów nienawiści.

Deana widziała oczy Lengany w czasie ogłaszania decyzji starszyzny oraz wtedy, gdy opuszczała *afraagrę*. Wnuki mające ćwierć meekhańskiej krwi nie przeżyłyby pod opieką matrony choćby jednego dnia. Ran, które starsza kobieta miała w duszy, nie da się wyleczyć dziecięcym gaworzeniem.

A poza tym…

Na litość Pani, musiała przestać to ukrywać przed samą sobą.

Myśl, że średni syn Lengany miałby wejść do jej pokoju, w jej życie, wejść w… nią, że miałaby zostać sprowadzona do roli ruchomego łona, w którym ten bękart zasieje swoje nasienie… Że urodzi dzieci tylko po to, by oddać je w ręce chorej z nienawiści suki lub by znosić obelgi i upokorzenia ze strony Lengany i podporządkowanych jej kobiet, jeśli zostanie ze swym „mężem", a przecież by została, bo nikt nie odda własnej krwi na zatracenie. Lecz czy potrafiłaby je pokochać, tak naprawdę, wiedząc, że poczęto je nie z miłości, namiętności czy pragnienia posiadania dzieci,

tylko z wyroku kilku starców szukających sposobu na zapobieżenie międzyrodowej wojnie? Chciała założyć ślubny pas, mieć dzieci, chciała spotkać mężczyznę, któremu spojrzy w oczy i wyszepcze małżeńską przysięgę, „Nasze dusze się odnalazły”, chciała tego wszystkiego, ale nie w taki sposób.

Wybrała więc wygnanie, które odraczało wykonanie wyroku aż do czasu jej powrotu. Nikt nie mógł jej tego zabronić, Prawa Harudiego były w tym przypadku jasne, pielgrzymka stawiała ją ponad wyrokami i wszelkimi zwyczajami. Deana odnosiła zresztą wrażenie, że większość starszyzny przywitała jej decyzję z zadowoleniem, tak naprawdę było to dla *afraagry* lepsze rozwiązanie. Deana usuwała się z jej życia, znikała sprzed oczu Lengany, nie było już powodu do nienawiści. Cały czas próbowała też zapomnieć o tym, że gdy się pakowała, nawet spora część jej własnego rodu nie wyglądała na zmartwionych z powodu takiego obrotu spraw. Ostatnie miesiące, śmierć, która zagościła w *afraagrze*… Niektórzy mogli ją o to oskarżać.

Szczerze mówiąc, odchodziła z poczuciem ulgi, zabierając tylko odzież na zmianę, broń i pas pielgrzyma, czarny, symbolizujący Otchłań, którą trzeba przebyć, by doznać Przebaczenia. Ten pas otwierał jej drzwi we wszystkich *afraagrach*, uchylał poły wszystkich namiotów i znajdował miejsce w każdej karawanie, z którą wędrowała. On i białe pochwy *talherów*, oczywiście.

Wdrapała się na jeden z wozów. Przewodnik karawany uniósł zieloną witkę, zakręcił nią nad głową. Wielbłądy parsknęły, potrząsnęły kudłatymi łbami, konie zadrobiły niecierpliwie. Czekało ich całe dziesięć dni drogi.

Rozdział 4

Kamana przywitała go usłużnie otwartą bramą, smrodem z fosy, w której woda zmieniła się w paskudny szlam, i ponurymi spojrzeniami miejskich drabów. Altsin pozdrowił ich uniesieniem dłoni. Większość miejscowych stanowili matriarchiści, więc w zamian dostał nieznaczne ukłony. Mnichów szanowano w mieście, a choć wielkość klasztoru wyraźnie dźgała pod żebro miejscowych kupców, nikt nie próbował ich stąd wyrugować. Dobre kontakty i wyraźny mir, jakim przeor Enroh cieszył się wśród miejscowych plemion, warte były więcej niż zakonne budynki, nawet w mieście, w którym każdy jard powierzchni kosztował sto orgów i wciąż drożał.

Otulony cegłami Kamień Graniczny błysnął bielą w murze jakby na przypomnienie, kto rządzi na wyspie.

Kamana była największym miastem na Amonerii, jedynym, gdzie Seehijczycy pozwalali przybijać statkom i zezwolili wybudować port. Pozostałe próby założenia jakichś przyczółków handlowych na wyspie uleciały w niebo wraz z dymem płomieni. Od lat mittarczycy, ponkeelańczycy i mieszkańcy innych handlowych centrów zachodniego wybrzeża kłócili się zażarcie o to, kto właściwie założył miasto, jakby ta wiedza dawała im jakiekolwiek korzyści. Ponieważ początki Kamany sięgały czasów sprzed powstania Imperium, Altsin podejrzewał, że zbudowała ją jakaś garstka desperatów uciekających przed religijnymi wojnami targającymi kontynentem.

W tej chwili, z trzydziestoma tysiącami mieszkańców, nie imponowała wielkością, ale jej rozwój wstrzymywały Kamienie Graniczne – osiemdziesiąt sześć białych głazów, którymi Seehijczycy zaznaczyli teren, jaki miasto może zająć. Kamienie już lata temu wkomponowano w mury miejskie i jeśli nawet komuś z Rady przychodziło do głowy, by sprawdzić, czy dawne umowy wciąż obowiązują, kości grzechoczące na Białej Plaży dość szybko sprowadzały go na ziemię. Miejscowe plemiona nie lubiły żartów z takich rzeczy.

Ledwo znalazł się za bramą, połknęły go wąskie uliczki, a kilkupiętrowe budynki wyrosły nad głową. Miasto się dusiło, mury ściskały je żelazną obręczą, a nie mogąc się za nie wylać, uciekało w jedyną dostępną stronę – ku górze. Poszczególne piętra kamienic dobudowywano coraz szersze, wykorzystując miejsce, jak tylko się dało, więc o ile przy ziemi zabudowę oddzielała solidna piętnastostopowa brukowana ulica, w sam raz by dwa wozy mogły się minąć bez przeszkód, o tyle na wysokości piątego piętra można było przejść między budynkami, dając po prostu lekkiego susa. Jeszcze jedno albo dwa piętra i dachy się ze sobą zetkną, a ulica zamieni w tunel. Oczywiście jeżeli pewnego pięknego dnia całość się nie zawali.

Miejscowi mistrzowie murarscy osiągnęli absolutną perfekcję w stawianiu coraz cieńszych i lżejszych ścian, lecz nawet oni nie byli cudotwórcami – w ciągu ostatniego roku pod gruzami trzech budynków zginęło ponad pięćdziesięciu ludzi. Rada Kamany od lat starała się wprowadzić ograniczenie w budowaniu kolejnych pięter, lecz póki zasiadali w niej właściciele sporej części miejskich kamienic, póty podobne prawo nie miało szans na uchwalenie. Poza tym każde dodatkowe piętro to warsztaty, manufaktury i składy handlowe, będące niczym wymię mitycznej Wantyjskiej Kozy, dające przy każdym pociągnięciu garść pereł. A tylko głupiec zrezygnuje z czegoś, co można opodatkować.

Monopol na handel z całą wyspą – cyną, miedzią i srebrem, bursztynem, futrami, miodem oraz bezcennym, używanym do budowy statków drewnem, w tym słynnym anuhijskim czerwonym dębem – sprawiał, że jak powiadano, w Kamanie nawet bruk był ze złota. Każdy ród kupiecki, każda gildia, każde przybrzeżne miasto starało się umieścić tu swoich przedstawicieli.

Pieniądze przyciągały ludzi, ludzie przyciągali kłopoty, kłopoty przyciągały złodziei, bandytów, przemytników i inne szumowiny. Liga Czapki od lat miała w Amonerii swoich rezydentów, handlujących wszystkim, od skradzionego bursztynu po informacje. Bo wiedza, który statek ma pełną ładownię, co wiezie i gdzie będzie płynął, warta była dla pirackich kapitanów czwartą część łupów.

Altsin potrafił nawiązać kontakt z ludźmi Ligi, lecz przez pierwsze miesiące wolał obchodzić ich z daleka. Nigdy nie wiadomo – Gruby mógł być wprawdzie nieświadomy jego roli w rzezi na dachach Ponkee-Laa i w wyrżnięciu Prawych hrabiego Terleacha, ale zakładanie, że Cetron-ben-

Goron tego nie wie, było jak proszenie rekina, by pozwolił się pogłaskać po języku, w nadziei, że nie jest głodny. A gdyby wiedział, to co? Odpowiedź na to pytanie kryła się w rzucie monetą, której awers miał sztylet zabójcy, a rewers garotę. *Anwalar* nie dopuściłby do tego, by ktoś taki jak Altsin chodził spokojnie po świecie. Dokładnie z tych samych powodów, dla których sięgnął po władzę nad Ligą i stanął do walki z hrabią. Bo czuł się za ten świat odpowiedzialny. No dobrze, może nie za cały świat, tylko za Ponkee-Laa i Ligę, ale dla Grubego miasto było światem, prawda?

Dlatego pierwsze dni Altsin spędził, nasłuchując plotek o ludziach, za których głowy *anwalar* wyznaczył cenę. I dopiero gdy nabrał pewności, że nie ma go wśród nich, mniej więcej dwa miesiące temu spotkał się z niejakim Severem Rają, który przewodził ludziom Ligi w Kamanie. Raja, stary pirat i korsarz, przyjął go ostrożnie, lecz gdy Altsin wykazał się wystarczającą wiedzą o Cetronie, by nie było wątpliwości, że jest jego człowiekiem, poczęstował winem i obiecał pomoc. Za odpowiednią opłatą, oczywiście. Zresztą sytuacja była wciąż napięta, echa wydarzeń w Ponkee-Laa dotarły do Kamany już jakiś czas temu, ale były to echa odległe i zniekształcone, więc lojalność miejscowych w stosunku do Ligi Czapki stała pod lekkim, leciuteńkim znakiem zapytania. Takim na osiem cali dobrej stali między żebrami, jak powiadało złodziejskie przysłowie.

Wkrótce wszystkiego się dowie. Obiecał Raji dwieście orgów za informacje o Aonel, zapłacił jedną trzecią jako zaliczkę i dziś rano dostał zaproszenie na spotkanie. Miało się ono odbyć w kamienicy Raji, między ludźmi, co nie wróżyło źle, bo nikt rozsądny nie popełnia zabójstwa we własnym domu, a na dodatek w przekazanej wiadomości herszt Ligi kazał mu przynieść resztę pieniędzy, co też zapowiadało się dobrze. Może po prostu okazał się uczciwym złodziejem i naprawdę znalazł jakiś ślad po tej cholernej seehijskiej wiedźmie.

No cóż, zobaczy się.

Wrócił myślami do Białej Plaży.

Bracia Gennar i Lonnar z Weyrhów, którzy dowodzili najazdem Nesbordczyków, skierowali swoje osiemset długich łodzi pod miasto i zażądali otwarcia bram. Łaskawie zaproponowali, by wszyscy, którzy chcą odejść, mogli opuścić Kamanę, zabierając tyle majątku, ile zdołają unieść, i gwarantowali nietykalność każdemu rzemieślnikowi, który zdecyduje się zostać. Złodziej myślał czasem nad tym, co zostałoby z miasta, gdyby speł-

niło żądania morskich piratów, którym tak naprawdę chodziło nie tyle o bajeczny łup, ile o bazę wypadową do dalszych podbojów. Na wyspach Morza Awyjskiego robiło im się ciasno, a Amoneria kusiła bogactwem, łagodnym klimatem oraz słabością, wynikającą z podziału władzy na wyspie między dziesiątki skłóconych plemion i klanów zaplątanych w zabójczą sieć wzajemnych wojen, rodowych zemst i niekończących się porachunków. Nic, tylko przypłynąć i brać jak swoje.

Powinni się zastanowić, dlaczego nikt wcześniej nie podbił tej wyspy.

Dwadzieścia lat temu Kamana odmówiła, cechy stanęły na murach, fosa wypełniła się pierwszymi trupami.

A potem z głębi lądu przyszła mgła.

Wielu było takich, którzy chętnie opowiadali o tej bitwie, a ich historie mroziły krew w żyłach. Ponoć mgła rozpuszczała ludzką skórę, oślepiała i paraliżowała Nesbordczyków; ponoć kryła, jak opary z Uroczysk, demoniczne potwory, które rozrywały najeźdźców na sztuki i wysysały im żywcem szpik z kości. Podobno nesbordzcy czarownicy nie potrafili jej rozpędzić, bo mgła była tak naprawdę emanacją seehijskiego plemiennego boga, o którym tubylcy niechętnie rozmawiali i który żywcem pożarł morskich rabusiów.

Przeor Enroh, zapytany o te opowieści, uśmiechnął się tylko i wyjaśnił, że mgła pojawia się kilka razy do roku, wraz ze zmianą kierunku wiatrów wiejących nad oceanem. Gdy ciepłe powietrze znad gorących bagien dociera nad morze i zderza się z zimną, poranną bryzą, wał mgły może mieć sto stóp wysokości i wygląda jak wielka pierzyna, którą Łaskawa Pani przykryła kawałek wyspy. Opar jest gęsty jak mleko i trzeba by stu potężnych magów, żeby go wtedy rozpędzić. Jak łatwo się domyślić, Seehijczycy potrafią przewidzieć jego nadejście.

Uderzyli o świcie, siły trzydziestu plemion zjednoczonych w *kameluuri*. Nie mieli więcej wojowników niż najeźdźcy, lecz walczyli na swoim terenie. Nie pozwolili Nesbordczykom ustawić ściany z tarcz, zza której łucznicy masakrowaliby lżej opancerzonych tubylców. Pozbawili ich oczu, rozbili na małe oddziały i odcięli od plaży i statków, na które resztki północnych żeglarzy próbowały się wycofać. I wybili do ostatniego człowieka.

Gdy świątobliwy starzec o tym opowiadał, oczy świeciły mu się żywo, a ruchy nabierały niespodziewanej precyzji. Zamiast zakonnika pojawiał się żołnierz, a nawet więcej, oficer. To była wiedza, której Altsin złodziej nie

mógł mieć, lecz Altsin głupiec opętany przez boga już tak. Aż się prosiło o pytanie, gdzie Enroh służył i jakie życiowe wiatry zagnały go między łaskawe dłonie Wielkiej Matki.

Zrobił unik i nie zapytał.

Potem przeor pochylił głowę i opowiedział, jak niedobitki nesbordzkiej armii, desperaci w grupkach po kilku–kilkunastu ludzi, podchodzili pod mury i rzucając broń, błagali, by wpuścić ich do miasta. Kamana odmówiła, być może ratując własne istnienie. Bo gdyby nie stawiła oporu najeźdźcom albo udzieliła im schronienia, Seehijczycy najpewniej by ją unicestwili.

I nie byłby do tego wcale potrzebny szturm na mury: wystarczyłoby tylko przerwanie szlaków kupieckich, wyrżnięcie wszystkich karawan, które ośmieliłyby się wyjść za mury, odcięcie Kamany od powietrza, jakim był dla niej handel, a los miasta byłby przesądzony. Mogłoby się utrzymać jakiś czas, sprowadzając żywność morzem, lecz po co? Miasto istniało dla wymiany towarów z miejscowymi plemionami. Bez tego było niczym.

Altsin pogrążył się głębiej w półmroku ulicy. Na dole sklepy, nad nimi warsztaty, na samej górze mieszkania, gdzie w pokoiku o wymiarach dziesięć stóp na dwanaście gnieździło się sześciu, a czasem i ośmiu ludzi, śpiących na piętrowych pryczach niczym żołnierze w koszarach. Ale znosili to bez skargi, w Kamanie niewielu chciało zamieszkać na stałe – ściągano tu z kontynentu, by pomieszkać kilka lat, harując od świtu do zmierzchu, i wrócić w rodzinne strony z kilkoma sakiewkami wypchanymi złotem.

Pod warunkiem że kamienica nie zawali ci się na głowę.

Altsin wyszedł na jeden z czterech placów targowych, który na pierwszy rzut oka wydawał się wręcz nieprzyzwoicie rozległy, ale po bliższym przyjrzeniu się okazywało się, że ma ledwo kilkadziesiąt kroków w każdą stronę. To właśnie w takich miejscach zaopatrywali się wędrowni sprzedawcy szybkich posiłków, przedstawiciele profesji jedynej w swoim rodzaju, których złodziej zobaczył po raz pierwszy właśnie tutaj. Ich wózki jeździły później ulicami-tunelami, turkocząc po bruku, a właściciele sprzedawali wprost przed wejściami do sklepów gorące polewki, placki z grzybami, boczkiem lub owocami morza, rozcieńczone wino i inne specjały, którymi człowiek mógł napełnić brzuch w czasie krótkiej przerwy w pracy. Tak żyła większość miasta, śpiąc w tłoku niczym skazańcy, harując bez przerwy i jedząc byle co z ruchomych straganów.

Minął targ, obojętny na ścigające go obietnice najświeższych w mieście ryb i wołowiny, co to jeszcze o świcie muczała, i ruszył w stronę klasztoru. Mimo że nie złożył ślubów posłuszeństwa, a przeor nie miał nad nim żadnej formalnej władzy, Altsin znał swoje obowiązki. Poza tym lepiej się nie wyróżniać. Zbliżał się wieczór, musiał jeszcze wyplewić grządkę cebuli, nakarmić kozy, pozamiatać dziedziniec, wziąć udział w modlitwach o zmierzchu. Potem czekała go skromna kolacja w klasztornej jadalni, zmywanie naczyń w kuchni i, jeśli pamięć go nie myliła, trwający do północy obchód ulic. Kamana też miała swoich ubogich, żebraków, bezdomnych i dziwki.

Ci, którym się nie poszczęściło, lądowali na bruku – jak w każdym mieście – mając za poduszkę desperację i bezradność za koc, a nazwa zgromadzenia, Bracia Nieskończonego Miłosierdzia, zobowiązywała. Złodziej nie wiedział, jak to jest w innych zakonach, w Ponkee-Laa napatrzył się na sukinsyństwo i obłudę kapłanów wszelkich bogów, lecz tutaj przeor podchodził poważnie do zaleceń swojej wiary.

Mnisi co noc wychodzili trójkami na miasto, niosąc chleb, suszone ryby oraz garnki z polewką, owinięte w grube pledy, by dłużej trzymały ciepło. Rozlewali tę polewkę w wyszczerbione miski trzymane w drżących dłoniach, łamali chleb i ryby, opatrywali rany, czasem, w wyjątkowo zimne noce, zabierali zziębniętych do klasztoru. Altsin wychodził na nocne prace co kilka dni i prawdę powiedziawszy, nie miał nic przeciwko temu. Wspomógł klasztor hojnym datkiem i wolał, żeby pieniądze szły na coś takiego niż na złocone obicie krzesła przeora. Sam zbyt dobrze pamiętał, jak to jest siedzieć w mroku śmierdzącego zaułka z nadzieją, że popiskujący szczur wejdzie w zasięg kija.

Pamiętał smak takich szczurów, patroszonych złomkiem noża znalezionego na śmietnisku i pieczonych na garści szczap wyrzuconych przez morze. Gdyby Gruby nie przyuważył go pewnego dnia na ulicy… no dobrze, gdyby Altsin nie próbował Cetrona okraść i nie został przyłapany, mógłby nie dożyć dwunastego roku życia. Może dlatego dziś lubił te nocne wędrówki zakonników, było w tym coś… cholera jasna, nie znajdował lepszego określenia, coś dobrego. Napełnić żołądek głodnego, napoić spragnionego, opatrzyć rannego… I – to już był jego osobisty wkład – wrzucić do drewnianej miski kilka miedziaków albo oberżniętego dziesiątaka. Podobno nie powinno się żebrakom dawać pieniędzy, bo wydają je na tanie

wino, ale na jaja Bliźniaka Mórz, to były jego pieniądze i jeśli mógł dzięki nim komuś ulżyć, to wara od tego wszystkim mądralom. Zwłaszcza takim, którzy nigdy nie chodzili nocą po zaułkach kamańskiego portu.

Dziś po zachodzie słońca miał wyjść w towarzystwie brata Naywira i brata Domaha. Przynajmniej nie będzie nudno.

Rozdział 5

Studnia była pusta. San Laweri zaklął paskudnie. Deana kątem oka zauważyła, jak jeden z towarzyszących im Issaram skinął do towarzyszy, rzucił kilka przyciszonych słów i czterech z nich znikło między skałami. Przy poprzednim suchym wodopoju zrobili tak samo. Postanowiła, że później spróbuje się dowiedzieć, czego szukali, teraz oparła się o wóz, kryjąc w cieniu, z rękoma mimowolnie pieszczącymi rękojeści *talherów*. Czuła się, jakby ktoś właśnie patrzył na nią wzdłuż bełtu kuszy.

Od trzeciego dnia podróży wiedzieli, że coś jest nie w porządku.

Źródła na szlaku były osuszone. Wszystkie sześć. Kamienne niecki, wyżłobienia między skałami, sadzawki otoczone kręgiem starannie ułożonych kamieni. Wszędzie sucho jak w ustach tysiącletniego trupa leżącego wśród piasków Travahen. Co prawda przed nimi wędrowali tędy Konowerczycy i ich słonie, ale w ciągu kilku dni wodopoje powinny się choć częściowo napełnić. Poza tym na pustyni nigdy nie opróżniano źródeł do samego dna, woda mogła uciec w głąb ziemi i już nie wypłynąć. Jeśli konowerska karawana tak zrobiła… Ale nie, mieli miejscowych przewodników i znali prawa pustyni. Poza tym wędrowali z własnymi zapasami.

Nie. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak. W dwóch miejscach najwyraźniej próbowano pogłębiać źródła, wał żwiru otaczający sadzawki był zbyt świeży, więc wyglądało na to, że poprzednia karawana też nie natrafiła na wodę. Ale mimo wszystko poszła dalej. No cóż, w połowie trasy czekało Oko Pani, głęboka na trzysta stóp studnia, wykopana w żywej skale dwa i pół tysiąca lat temu na polecenie samego Harudiego. Znaki na kamiennym ocembrowaniu zostały wytarte przez wiatr i nieskończoną liczbę dłoni gładzących je z czcią. Głosiły, że „Studnię wykopano na polecenie Harudiego w roku dwudziestym i pierwszym po Objawieniu, gdy prowadził swoich Wiernych przeciw Samondejczykom”. Legenda mówiła, że ta studnia nigdy, przenigdy nie wysychała, przynajmniej Deana – a była przecież

w rodzie Pieśniarką Pamięci – nie słyszała o tym, by Oko Pani poskąpiło swoich łez dla wędrowców. Aż do dziś.

Sama nie mogła w to uwierzyć, lecz wiadra spuszczane po wodę wyciągano bez śladu wilgoci, rzucony do środka kamień nie odpowiadał pluskiem. Czarny otwór zdawał się z nich drwić.

Mocniej oparła się o burtę wozu, czując, że się zakołysał. Niedobrze. Jeszcze dwa dni temu nawet by nie drgnął. Ich zapasy wody skurczyły się już o trzy czwarte, liczyli przecież na pustynne źródła, a teraz przed nimi zaczynała się trudniejsza, wyżynna część Sak On Valla. Teren niemal bez przerwy się wznosił, zwierzęta będą się bardziej męczyć i więcej pić. Wielbłądy pewnie wytrzymają, ich garby jeszcze wypełniał tłuszcz, lecz konie, te pod wierzch i te ciągnące wozy, padną w połowie drogi. O ludzi martwiła się najmniej, znała opowieść o desperacie, który mając tylko mały bukłak wody, wędrował przez pustynię dwanaście dni.

Nieodmiennie ubrany w ciemne błękity, San Laweri odszukał ją wzrokiem i gestem zaprosił bliżej. Stał przy studni w towarzystwie Ganwesa h’Narwi, dowodzącego issarskimi strażnikami, i ciemnego kapitana kuwijskich łuczników, który kazał się nazywać Gałązką.

— Mamy kłopot, *awyssa* — rzucił krótko Kuwijczyk.

— Mam oczy. I rozum za nimi. Co chcecie zrobić?

Issaram chrząknął, poruszył barkami, aż rękojeści *yphirów* podskoczyły o cal.

— Już mówiłem, ale powtórzę… Możemy iść naprzód, nocami, kryjąc się przed słońcem… Jeśli znajdziemy wodę… konie przeżyją… Jeśli inne źródła będą suche… możemy konie zabić, przenieść resztę wody na wielbłądy, towar ukryć i wrócić po niego później… Gdy dotrzemy do Kan’nolet…

Deana zdążyła się już przyzwyczaić, że Ganwes zazwyczaj szarpie się ze słowami, wyrzuca je z siebie w krótkich salwach, robiąc znaczące przerwy, a na dodatek szepcze, jakby zdradzał wszystkim wielkie tajemnice.

Ale jego plan był dobry. Desperacki, ale dobry, bo dawał wszystkim szansę na przeżycie. Był tylko jeden problem.

— Te konie to towar. — Przewodnik karawany wydął wargi, starł palcem kilka kropli potu, które wymknęły się spod błękitnego turbanu. — Taki sam jak kamienie w skrzyniach. W Kan’nolet czeka na nie kupiec.

— Dziwne słowa… słowa handlarza, a nie przewodnika… Masz udziały w tej karawanie?

Issaram trafił w sedno, ale *onoled* nie wyglądał na zawstydzonego.

— Wielu ludzi ma. Ja też. A zatem, jakieś inne propozycje?

Zamaskowany wojownik wymruczał kilka zdań w dialekcie wschodnich Issaram.

— Co mamroczesz?

Rękojeści mieczy znów podskoczyły o cal. „Nieważne”.

— To stare powiedzenie, *onoled*. — Deana uśmiechnęła się pod *ekchaarem*. — Stare, ale mądre. Znaczy mniej więcej: „Travahen lubi grać w kości – kośćmi głupców i ludzi pazernych”. On ma rację. Jeśli pójdziemy nocami, może uda nam się zyskać dzień lub dwa, lecz jeśli kolejne źródła na trasie wyschły, będziemy w końcu musieli zabić konie. Ale my i wielbłądy dotrzemy do oazy. Możemy też zawrócić, również wędrując nocami. Droga do Savandarum jest szybsza i gdybyśmy zaczęli już teraz oszczędzać wodę, pewnie doprowadzimy wszystkie zwierzęta na miejsce. Potem możesz wziąć więcej wozów z zapasami i spróbować jeszcze raz. Oczywiście to kosztuje.

Ciemne oczy zmierzyły ją gniewnym spojrzeniem.

— *Onoled* — postarała się, by tym razem usłyszał w jej głosie delikatne napomnienie. — To nie jest moja wina. Ani twoja, ani nikogo z karawany. To Travahen… Ona daje i odbiera wodę, otwiera się i zamyka przed ludźmi. Możesz zaryzykować utratę zwierząt, wędrując na wschód, lub stratę pieniędzy i czasu, wracając na zachód. Moja pielgrzymka może poczekać… Reszta zależy od ciebie.

Złagodniał i niespodziewanie uśmiechnął się lekko.

— Wybacz, *awyssa*, to mądre słowa, które powinny tu paść, zanim padły inne.

Ciemnoskóry kapitan łuczników skrzywił się, ale nie odezwał.

— I masz rację. — Brodaty mężczyzna odetchnął głęboko. — To moja decyzja. Jest popołudnie, do zmierzchu zostało kilka godzin, mieliśmy tu rozbić obóz i odpocząć, więc tak zrobimy. O zmroku powiem wam, czy idziemy dalej, czy zawracamy. Odpocznijcie, najpewniej tak czy inaczej będziemy wędrować całą noc.

Deana poczuła, że ktoś jej się przygląda. *Onoled* patrzył gdzieś przed siebie, Gałązka z uwagą oglądał czubki butów. Przeniosła wzrok na Gan-

wesa. Skinął głową.

Dwa kwadranse później chrząknął pytająco przed jej namiotem. Dwie płócienne płachty zapewniały odrobinę prywatności, pozwalały zdjąć na chwilę *ekchaar*, obmyć twarz naparstkiem bezcennej wody, ukoić pragnienie. Zaprosiła go do środka, wszedł i usiadł naprzeciw, nie odsłaniając oblicza. Czuła… wiedziała, że bada jej twarz, zdziwiony obcą urodą, jasnymi oczami, śladem meekhańskiej krwi płynącej w jej żyłach. G'wersowie mieszkali dalej na wschód niż jej plemię, rzadziej mieszali krew z innymi ludami, a jeśli już, to nie bardzo było to widać, bo wędrujący po Małych Stepach koczownicy też byli niewysocy, ciemnowłosi i smagli.

— Pięć dni, Poszukująca… Już pięć dni wędrujemy od jednego pustego źródła do kolejnego wypełnionego piachem wodopoju… To nie jest naturalne… — zaszeptał po swojemu.

Pociągnęła mały łyk z glinianego kubka. Woda była ciepła, ale smakowała wybornie. Nic tak nie polepsza jej smaku, jak magiczny zwrot „mniejsze racje". Bez słowa wskazała na drugi kubek i bukłak leżący obok. Pokręcił głową.

— Wypiłem już swoją porcję… Ale dziękuję…

— Znaleźliście coś? — Nie miała sił ani ochoty na długie krążenie wokół celu jego wizyty.

— Ktoś zapieczętował wodopoje.

— Jak?

— Czarami. Sprytnie. Gliniana pieczęć z zaklęciem… Z surowej gliny zmieszanej z piaskiem i solą… Położona w pobliżu źródła na słońcu…

Podał jej płaski, szarobrązowy krążek gruby na cal, szeroki na osiem. Seria znaków, glifów i podobnych do prymitywnych run symboli biegła spiralą po jego spodniej stronie. Właściwie trudno byłoby jej stwierdzić, że ma do czynienia z magicznym artefaktem, gdyby nie uczucie, że trzyma w ręku kawałek lodu, nagły zapach kwiatów, który wypełnił jej nos, i gwałtowne mrowienie w stopach. Odłożyła pieczęć. Sensacje ustały.

— Gdy leży na ziemi, znakami do dołu… Moc jest słabo wyczuwalna… idzie ku ziemi… trzeba by się o niego potknąć, żeby poznać, że to nie jest zwyczajny kamień… A gdy słońce wysuszy glinę do końca… całość zaczyna się kruszyć i pękać… — By zademonstrować, o co chodzi, dowódca issarskich strażników odłamał kilka kawałków z krawędzi dysku. Rozpadały się pod byle dotknięciem. — Za dwa, najdalej trzy dni pieczęć

popęka i zaklęcie straci siłę… a za dziesięć wiatr i piasek zmieli resztki gliny na pył i nie pozostanie najmniejszy ślad… Mógłbym postawić wszystko, co zarobiłem przez ostatni rok… tak… albo i dwa lata… że pierwsze źródła na szlaku są już pełne wody.

Nagłym ruchem wyjął sztylet i uderzeniem rękojeści roztrzaskał gliniany krążek. Deanie zakręciło się w głowie, zapach kwiatów zmieszał się nagle z odorem gnijącego mięsa, po nogach przewędrowała kolumna mrówek. Ganwes wykonał szybki gest, jakby coś łapał i odrzucał. Wykręciło jej żołądek, tak że omal nie zwróciła całego kubka bezcennej wody.

— Wiedzący… Jesteś Wiedzącym.

— Tak… Niezbyt potężnym… ale potrafię wywąchać smród czarów. — Pochylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. — Poszło, zaklęcie znikło i woda wraca na stare ścieżki. Do wieczora Oko Pani napełni się wodą.

Potrzebowała chwili, by dojść do siebie i uporządkować myśli.

— Więc dlaczego, skoro wiedziałeś, nie powiedziałeś o tym Laweriemu?

— Bo się wahałem. Nadal się waham… To nie jego sprawa, nie Kuwijczyków, Mavvijczyków ani nawet tych przeklętych Mahaaldów… Tylko nasza…

— Pustynia nie należy do nikogo.

— Ona nie. Ale oazy i źródła już tak… Gdyby ten ktoś — wskazał na zniszczoną pieczęć — zatruł źródła albo je zniszczył w inny sposób, g’wersowie, p’kamei i pozostałe wschodnie plemiona zrobiłyby wszystko, by go znaleźć. Nie byłoby takiej siły na świecie… zdolnej go ochronić. D’yahirrowie też by go ścigali… wiesz o tym, *awyssa*.

Nie musiała potwierdzać. Czyż należy komentować wschód słońca?

— Ale ta… magiczna pieczęć, która sama ulega zniszczeniu po kilku dniach… nie wiem, co to znaczy… Po co…

Patrzyła na gliniane resztki i myślała. Ktoś próbował na kilka dni osuszyć źródła na szlaku do Kan’nolet.

— My mieliśmy wyruszyć za dwa dni… — wymruczała.

Drgnął.

— Gdybyśmy wyruszyli, jak planowano — kontynuowała — pewnie większość źródeł napełniłaby się już wodą. Może jedno albo dwa zaklęcia jeszcze by trzymały, ale nie zwrócilibyśmy na to uwagi, czasem tak się dzieje. Lecz sześć źródeł z rzędu… Wyruszyliśmy za wcześnie, bo kara-

wana z agatami nie dotarła, i tylko dlatego dowiedzieliśmy się o całej sprawie… Ktoś poluje, ale nie na nas. Tylko na Konowerczyków.

Zaśmiał się szeptem, co przypominało szelest osypującego się piasku.

— Wiedziałem… coś mi umykało, jakbym próbował w nocy złapać pustynnego skoczka… O to chodzi… Wszystko jasne…

— Nic nie jest jasne, Wiedzący. — Deana dopiła resztę wody, odstawiła kubek. — Dlaczego ta karawana nie zawróciła? Znajdowali jedno puste źródło za drugim i mimo wszystko szli przed siebie. Mieli, ile? – ponad pięćdziesiąt zwierząt i setkę ludzi, do tego te dwa słonie, a jak słyszałam, każdy z nich pije tyle co dziesięć koni. Nie zabrali wystarczającej ilości wody, by przejść całą drogę bez uzupełniania zapasów. A jednak poszli dalej, zamiast zawrócić najpóźniej trzeciego dnia.

— My też poszliśmy naprzód…

— Też… ale nawet teraz, w połowie drogi, możemy wyjść z tego, nie tracąc nic poza czasem i pieniędzmi. Oni ryzykowali więcej. Dlaczego?

Ganwes poruszył się lekko. Znów poczuła jego badawcze spojrzenie.

— Jak sądzisz, Poszukująca, dlaczego?

— Nie wiem. — Pokręciła głową. — Znasz to powiedzenie: „Dlaczego ludzie robią głupstwa na pustyni? Bo są głupi”. Bo liczą na szczęście. Wydaje im się, że bogowie darzą ich szczególną łaską. Wierzą we własną nieśmiertelność. Albo po prostu nie mają wyjścia. Konowerczycy chcieli dotrzeć na wschód, nad morze, podobno nie mieli tu już nic do załatwienia, ich poselstwo przekazało dary i wieści Meekhanowi. Nie wieźli zbyt wielu bogactw, to nie karawana kupiecka, za to mieli setkę ludzi, w większości zbrojnych… Osobnym pytaniem pozostaje, po co im ich aż tylu, ale gdybyś chciał ich wybić, a nie miał dwóch albo trzech setek wojowników, to użyłbyś najlepszego oręża, jaki istnieje w tej części świata.

Wskazała na bukłak. Ganwes przechylił głowę na bok.

— A masz jakiś pomysł, Poszukująca… dlaczego nie zawrócili?

Uśmiechnęła się.

— Jestem tylko zwykłą dziewczyną z małej *afraagry*, gdzie mi tam do mądrości wielkich tego świata. A ty, wojowniku? Jak sądzisz?

— Owce zapędzasz do zagrody albo z pomocą psów… albo wybierając im na przewodnika najmądrzejszego barana… Szli za przewodnikiem… wynajęli, jak słyszałem, wynajęli w Savandarum dziesięciu Mahaaldów.

Ze wszystkich koczowniczych plemion przemierzających pustynię Mahaaldzi mieli najpaskudniejszą reputację. Uchodzili za zdradliwych, dwulicowych bandytów, gotowych na wszystko dla garści złota. Zbójowali, kradli i rabowali, kiedy mogli, a oszukanie kogoś spoza własnej krwi uważali niemal za swój obowiązek. Na pogardę innych pustynnych ludów odpowiadali arogancją i legendarnym już okrucieństwem. Lecz były takie szlaki na Travahen, które znali tylko oni, i zdarzały się takie sytuacje, że tylko oni byli pod ręką, kiedy ktoś potrzebował przewodników.

— Konowerczycy musieli być zdesperowani… — szept issarskiego wojownika stał się ledwo słyszalny. — Dokąd się spieszyli, *awyssa*?

— Czy to ważne?

— Nie… nieważne.

— Właśnie. Zresztą — uśmiechnęła się kpiąco — wkrótce sam zaspokoisz ciekawość.

— Skąd wiesz, że jestem ciekaw?

— Sam mówiłeś, to nasze źródła. Nikt nie ma prawa rzucać na nie czarów, nawet takich, które same się rozwiewają. A poza tym zdjąłeś zaklęcie i do wieczora Oko Pani napełni się wodą. Postawię wszystko, czego nie zarobiłam przez ostatni rok, że ruszymy na wschód.

Wiedzący wydał z siebie serię świstów, które musiały być śmiechem.

— Tak, Poszukująca, jestem ciekaw… Ale też mam obowiązki… Na tym szlaku jeszcze się nie zdarzyło, by ktoś próbował zapolować na tak dużą karawanę, jak ta przed nami… I pierwszy raz widzę, by używano do tego takich czarów. Te gliniane pieczęcie to robota naprawdę zdolnego maga. A może magów… A zwykłych pustynnych bandytów nie stać na takie usługi. Jeśli jakiś znudzony czarownik zaczął szukać dodatkowego źródła dochodów, trzeba go szybko powstrzymać, bo gdy rozejdzie się wieść, że szlak z Savandarum do Kan’nolet nie jest bezpieczny… karawany zaczną wybierać inne drogi… moje plemię straci…

Pokiwała głową. Obowiązki wobec plemienia rozumiała jak każdy, kto urodził się w górach. I wiedziała również, dlaczego mężczyzna poświęca jej tyle czasu. Białe pochwy *talherów*… Tylko dlatego. Jeśli chcieliby bliżej przyjrzeć się tej tajemniczej sprawie, pomoc mistrzyni miecza byłaby nie bez znaczenia. Była jednak *awyssą*, Poszukującą, i nie podlegała niczyim rozkazom. Jeśli chciał jej wsparcia, musiał ją do tego przekonać. Lub zainteresować.

W gruncie rzeczy Kan’nolet mogło poczekać. Podobno przez ostatnie dwa i pół tysiąca lat nie ruszyło się z miejsca.

— Kuwijczycy wiedzą?

— Jeszcze nie… Poza tym nie wiem, czego się spodziewać… Może dotrzemy do Kan’nolet i nic się nie wydarzy…? Kto wie….? Ostrzegłem tylko Gałązkę, że możemy się spodziewać kłopotów… Jutro wyślemy przodem dwóch ludzi na wielbłądach… Sprawdzą następne źródło…

— Jeśli masz rację, pewnie będzie jeszcze zapieczętowane.

— To je odpieczętujemy… Poza tym napełnimy tu beczki, napoimy zwierzęta. I będziemy ostrożni… Bardzo ostrożni…

Interludium

Mężczyzna poruszył się i jęknął, po chwili zacharczał i zarzęził. Wreszcie, parskając i siejąc wokół kropelkami czerwieni, złapał oddech, po czym przetoczył się na brzuch. I zaczął pełznąć, powoli, wysuwając przed siebie prawą rękę, wczepiając się paznokciami w ziemię i ciągnąc resztę ciała. Lewa ręka, niemal odrąbana w łokciu, sunęła za nim niczym jakiś potworny płód połączony z ramieniem pępowiną ścięgien i resztek skóry. Jej palce drgały jak kończyny owada.

Yatech przerwał czyszczenie miecza, podniósł się i podszedł do tego, kto jeszcze przed chwilą był aktorem, komediantem, członkiem nieźle prosperującej trupy. Przykląkł mu jednym kolanem na plecach, przycisnął sztych do podstawy czaszki.

— Nie ruszaj się, to pójdzie szybko — mruknął.

Nie wiedział, czy mężczyzna jest w stanie go zrozumieć, ale ukłucie w szyję musiało mu powiedzieć wszystko, bo znieruchomiał i, o dziwo, przycisnął brodę do piersi, odsłaniając kark. Czarna klinga weszła gładko między kręgi, przecinając rdzeń i kończąc mękę. Yatech wyrwał broń, strzepnął energicznie i przejechał szmatką po głowni. Gest niepotrzebny, bo do ostrza podobnego do wulkanicznego szkła krew się nie lepiła. Ani nic innego. Ale takie nawyki pozwalały zająć ręce i odrywały myśli od innych spraw.

Szloch z prawej strony kazał mu się odwrócić. Jedenaście dusz – cztery kobiety i siedmioro dzieci – siedziało pośrodku polanki, zbite w gromadkę, tuląc się i płacząc. Ich oczy wypełniała mieszanina pustki, szoku i obłędu; jeszcze przed kwadransem miały mężów, ojców, braci i kuzynów, a teraz z całej Oszałamiającej Trupy Komedii Saweronego został tylko tuzin członków z jednym mężczyzną, który klęczał przed tą dziwną, czarnowłosą dziewką i drżącymi rękami wręczał jej oprawioną w drewno księgę.

Yatech wrócił na swoje miejsce pod ścianą wymalowanego w lecące ptaki wozu, ale nie usiadł. W spojrzeniu jednej z kobiet ujrzał rodzącego się

demona, zapowiedź przemocy, szału, który może w każdej chwili pchnąć ją do czegoś nierozsądnego. Obserwował szczupłą dłoń, macającą coś za pazuchą.

— Które jest twoje? — rzucił głośno, przyciągając jej wzrok. Tak, miał rację, obłęd i nienawiść prawie przyszpiliły go do wozu.

— Co?

— Dziecko? Które jest twoje?

Wskazała małą, może pięcioletnią dziewczynkę, która rozglądała się wokół spojrzeniem noworodka, ostatni kwadrans odarł ją ze wszystkiego, być może nawet ze zdrowych zmysłów.

— Pilnuj jej. Może zrobić coś głupiego.

Wsunął miecz do pochwy i wskazał oczyma kogoś za plecami kobiety.

Ta odwróciła się i pobladła. A potem pochyliła do przodu, powoli, jak padające drzewo, aż oparła się czołem o ziemię. I zastygła tak, wstrząsana bezgłośnym szlochem. Najwyraźniej jeden z tych, którzy próbowali uciekać, był jej bliskim krewnym.

Iavva wyszła zza kępy krzewów jak zwykle bezszelestnie, z tą swoją instynktowną, niewymuszoną gracją. Jakby wiedziała z góry, gdzie postawić stopę, by nie trzasnęła gałązka, nie zaszeleściły liście. Oba jej sztylety tkwiły schowane w pochwach na udach, a krótką szablę miała za pasem, ale to było bez znaczenia. Przed kilkunastoma minutami udowodniła, że nawet z nożem na gardle jest sto razy groźniejsza niż większość wojowników z bronią w ręku. A teraz, wracając do obozowiska, pokazała też, że ucieczka przed nią również nie ma sensu.

Przypatrzył jej się dokładnie, szukając śladu zmęczenia, zaskoczenia, złości lub gniewu, czegokolwiek, co powinien czuć człowiek, który przed chwilą musiał stoczyć morderczą walkę. Nic. Od chwili, gdy schwytali ją w tym ponurym zamku, odkąd Mała Kana wplotła w jej niemal białe włosy pasmo swoich, czarnych jak noc, i nadała imię, Iavva szła za nią, wykonując każdy rozkaz. Lecz nie odzywała się ani słowem; nigdy, nawet w czasie najzacieklejszej walki, nie wydała z siebie dźwięku głośniejszego niż szybki oddech. Była cicha jak sama śmierć. I podobnie skuteczna.

Oderwał wzrok od jasnowłosej zabójczyni i omiótł spojrzeniem okolicę: siedem wozów, dwa dogasające ogniska, rozwieszone między drzewami sznury z suszącą się bielizną, po prostu sielanka. I tylko tuzin trupów,

zarówno mężczyzn, jak i kobiet, psuł widok, ale to, co się tu wydarzyło, to była cena, jaką zapłacili za swój wybór. I to wcale niewygórowana.

Yatech i jego dwie towarzyszki zorientowali się, że coś jest nie w porządku, już w chwili, gdy zbliżali się do obozowiska. Na spotkanie wybiegły im tylko starsze dzieci, ośmio-, dziesięcioletnie. I choć uśmiechały się i pokazywały różne sztuczki, takie jak żonglowanie i akrobatyczne wygibasy, ich ruchy były nerwowe, a grymasy wykrzywiające usta sztuczne. W obozie zaś, wewnątrz kręgu wozów, choć mężczyźni szczerzyli się szeroko, a zarządzający wszystkim starzec powitał ich, rozkładając radośnie ręce i zapraszając na posiłek, utwierdzili się w swoich podejrzeniach, bo kobiety trzymały wszystkie maluchy przy sobie i nie zbliżały się, jak wcześniej, na widok gości.

Potem wszystko poszło szybko.

Ledwo zsiedli z koni, kilku mężczyzn rzuciło się ku nim z krótkimi mieczami, nożami, siekierkami i pałkami, jednemu udało się nawet zajść Iavvę od tyłu i przyłożyć jej ostrze do gardła.

Mała Kana uśmiechnęła się wtedy, a był to jedyny szczery uśmiech, jaki zagościł w okolicy, i zaczęło się zabijanie.

Ten, który trzymał nóż na gardle Iavvy, zginął pierwszy, z dłonią przeszytą sztyletem o mlecznej klindze i brzuchem rozprutym od krocza po mostek.

Yatech pamiętał, że nie czekał na ciąg dalszy, jego *yphiry* wyskoczyły z pochew może o ćwierć mrugnięcia oka później niż sztylety jasnowłosej, ale to do nich należała druga, trzecia i czwarta śmierć w tym obozie. Bitewny trans wypełnił jego ciało w pół kroku i pchnął na krwawą ścieżkę.

W mniej niż dwadzieścia uderzeń serca było po wszystkim.

Ostatni trzej napastnicy, widząc rzeź kamratów, zatrzymali się i uciekli w las. Mała Kana rzuciła Iavvie tylko jedno słowo, a Yatechowi wskazała resztę mieszkańców obozu, kobiety i dzieci.

— Zbierz je w jednym miejscu. Szybko.

Zebrał, odrywając wyjące kobiety od konających mężczyzn. Nie miał dla nich specjalnego współczucia – mimo że nie był już Issaram, nie zasłaniał twarzy i nie odmawiał *kendet’h*, trudno wyrwać się poza pewien sposób postrzegania świata. Przyjechali tu na umówione spotkanie, więc byli gośćmi. A prawo gościnności powinno być nienaruszalne i jego złamanie musiało mieć swoją cenę. Tam, gdzie Yatech dorastał, pojmowało się takie

rzeczy raczej sercem niż rozumem, ale chyba przez to właśnie zostawały one w człowieku na całe życie.

A jeszcze głębiej, mocniej, rozumiało się to, że plemię, klan czy ród są swego rodzaju jednym ciałem, więc konsekwencje niepowodzeń powinny dosięgnąć każdego jego członka. Ta grupa wyniosłaby zapewne wspólną korzyść, gdyby ich atak się udał, więc słuszne jest, że razem przyjmują na siebie także cenę klęski.

Teraz stał, opierając się o burtę wozu, i obserwował, jak Iavva zajmuje miejsce przed stłoczoną grupką, zupełnie obojętna na ich szlochy, a Mała Kana przegląda wręczoną jej przez starca księgę. To po nią tu przyjechali.

Dziewczyna siedziała na zwalonym pniu, trzymając manuskrypt na kolanach, a mężczyzna klęczał przed nią i nie śmiał podnieść wzroku. Wolumin był olbrzymi, miał jakieś dwadzieścia cali wysokości i piętnaście szerokości, a skórzany grzbiet nie dałby się objąć jedną dłonią. Taka księga, gdyby oprawić ją w najdroższe drewno, złoto i drogie kamienie, stanowiłaby ozdobę każdego klasztoru albo świątyni, więc zupełnie nie pasowała do leśnej polanki z dala od ludzkich siedzib. Ale jego czarnowłosa pani wydawała się zadowolona.

— Jak udało się Wielkie Zgromadzenie? — zapytała starca takim tonem, jakby ostatni kwadrans nigdy się nie wydarzył.

Mężczyzna otworzył i zamknął usta, nie wydając żadnego dźwięku.

— Przyjechali Niesamowici Żonglerzy i Akrobaci Amziciego? Pamiętam ich występ sprzed trzech lat. — Kanayoness zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń. — Byli olśniewający. Zwłaszcza taki jeden młody blondyn. Nie znam jego imienia, ale powinieneś kojarzyć, o kim mówię, miał rozcięte ucho i zaczesywał włosy na bok głowy, by to ukryć. Moim zdaniem niepotrzebnie, taka blizna dodawała mu uroku. Wiesz może, jak się nazywa? — Obdarzyła starca swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem.

Yatech widział już takie zmiany jej nastrojów wiele razy. Wyglądała teraz jak młoda panienka, próbująca wyłudzić coś od swojego dziadka przymilaniem się i urokiem podlotka. Tymczasem przywódca nieistniejącej już trupy teatralnej wpatrywał się w nią z miną człowieka, który próbuje się obudzić z jakiegoś przerażającego koszmaru.

— O… — Dziewczyna zerknęła na kolejną kartę w księdze, tracąc nagle zainteresowanie starcem. — To jest bezużyteczne, ten oszust musiał nama-

lować to na podstawie cudzego opisu.

Energicznym ruchem wyrwała kartkę i rzuciła na ziemię.

— No to jak? Wiesz, jak ma na imię?

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Keru’weln, podejdź tu.

Yatech westchnął i oderwał się od ściany wozu.

— Wyjmij miecz.

Wyjął.

— Przyłóż mu do ucha.

Wykonał polecenie, obserwując, jak w oczach Małej Kany zapalają się figlarne iskierki.

— Obetnij je.

Starzec jęknął i drgnął, a ciemna klinga lekko nacięła mu skórę i zabarwiła się czerwienią.

Yatech oderwał miecz od głowy mężczyzny, strzepnął krótko i wsunął do pochwy.

— Skończyłaś?

Uśmiechnęła się znowu, tak że człowiek miałby ochotę roztopić się w tym uśmiechu. Przynajmniej do chwili, gdy nie spojrzał jej w oczy.

— Znów nieposłuszeństwo?

— Nie może być nieposłuszeństwa w sprawie, której przysięga lojalności nie obejmowała. Ale… — Szturchnął starca nogą. — Radzę odpowiadać. Moja druga towarzyszka robi wszystko, co jej każą.

Mężczyzna pochylił głowę.

— Lirin — wyszeptał. — Nazywa się Lirin, pani.

— Ten blondyn z przyciętym uchem? Ładnie. Brzmi prawie jak *leuwree,* co w anguańskim znaczy „dumnie kroczący”. Zresztą to by do niego pasowało, pięknie chodził po tej linie. Keru, chodź tutaj.

Czuł podskórny dreszcz, gdy skracała jego nowe imię. Imię, na które reagował, lecz do którego się nie przyzwyczaił, wciąż myślał o sobie jako o Yatechu d’Kllean. W gruncie rzeczy jej wymysły i zabawy nie miały dla niego znaczenia. Ale gdy zwracała się do niego w ten sposób, wiedział, że kiedy spojrzy jej w oczy, zobaczy to łuskowate coś, wynurzające się z głębi, by rozejrzeć się po świecie.

Podszedł, skupiając się na księdze. Nie wyjaśniła, do czego jej potrzebuje, tak jak wcześniej nie powiedziała, z jakiego powodu wybierają się

w długą, trwającą wiele dni wędrówkę, na której końcu, w głębi lasu spotkali grupę aktorów i kuglarzy. A on nie pytał. Minęło kilka miesięcy wspólnej podróży, jeszcze kilka, a skończy się jego służba. Co będzie potem? Nie zastanawiał się nad tym. Liczyło się tylko to, by zobaczyć kolejny świt.

Wolumin wypełniały rysunki. Ilustracje wykonane najwyraźniej przez różnych ludzi, różnymi sposobami i na różnych materiałach. Yatech widział pergamin pokryty zawijasami czerwonego i czarnego tuszu, z których dopiero po uważnej obserwacji wyłaniał się widok górskiej grani i przycupniętego na niej zamku. Obok, na grubej karcie czerpanego papieru, pysznił się miejski zaułek, ciemny i duszny, otwierający się na niewielki plac zapełniony straganami. Kanayoness przewracała poszczególne stronice, ukazując mu następne obrazy: miasto zalane światłem dogasającego słońca, rozstaje dróg z imperialnym słupem milowym, ukryta gdzieś w lesie przysadzista chałupa, sad z tysiącem drzew obsypanych bladoróżowym kwieciem, skalny palec wystający pośrodku równiny niczym ostatni ząb w starczej szczęce, wioska w dolinie.

Niektóre rysunki wykonano z cudowną wręcz doskonałością, oddawały najmniejsze szczegóły i wspaniałe kolory, inne zaś składały się z serii kresek i plam i dopiero po chwili człowiek dostrzegał w nich zarys miejsc i pejzaży. Różniły się, podobnie jak różne były materiały, na których je namalowano, od pergaminów, nie zawsze najwyższej jakości, poprzez papier, aż do cieniutkich drewnianych deseczek i płatów kory brzozowej. Dostrzegł nawet coś, co wyglądało jak kawałek materiału pokrytego woskiem, na którym ktoś pracowicie wyskrobał brzeg jakiejś rzeki.

Mała Kana przeglądała księgę strona po stronie, zatrzymując się przy każdym obrazie na chwilę i wpatrując w niego intensywnie. Czasem muskała rysunek palcami lub wodziła po nim dłonią, nie bacząc, że niekiedy rozmazuje farby. I mimo że jeszcze trzy karty zostały wyrwane i ciśnięte na ziemię, wyglądała na usatysfakcjonowaną.

— Dobra robota — pochwaliła nie wiadomo kogo. — Nie myliłam się, że w aktorach i kuglarzach drzemią rozliczne talenty. — Spojrzała na Yatecha, unosząc pięknie zarysowane brwi. — Nie zapytasz, po co nam ta księga?

Wzruszył ramionami. Już kilka razy podróżował z nią przez portale, których bramy zakotwiczone były w miejscach uwiecznionych na malunkach.

Nie musiał pytać.

— Nie zapytasz — skonstatowała z pewnym rozbawieniem. — Bo wiesz, że chciałabym, żebyś zapytał. Robisz mi na złość? Za co? Za wczorajsze lanie?

Wczorajsze lanie. Iavva nie walczyła już tylko swoimi sztyletami, teraz posługiwała się także szablą, a on nawet w bitewnym transie ledwo potrafił odpierać jej ataki. Ale uczył się. Cały czas się uczył. Nie, w ich treningach role ucznia i mistrza nadal się nie zmieniły, ale on nie przejmował się porażkami. Więc nie chodziło o kolejne upokorzenie.

— Nie. Po prostu nie jestem ciekaw odpowiedzi. Dostałaś to, po co przyjechaliśmy?

— Jak widzisz. — Wskazała księgę. — A nawet więcej. Niektóre z tych rysunków to prawdziwe cudeńka, w które ich twórcy włożyli całe serce.

— A to ma znaczenie?

— I to jakie, mój Noszący Miecze. I to jakie.

W jej dłoniach pojawił się kolejny rysunek, w którym Yatech rozpoznał szkic stworzony przez martwego już barona. Mała Kana pieczołowicie umieściła go między innymi malunkami, zamknęła wolumin i poklepała drewniane okładki.

— Gotowe. No, prawie.

Spojrzała na starca.

— Brakuje przynajmniej sześciu rysunków, które zamówiłam. Ile grup nie dotarło?

— Trzy. Trzy, pani.

— Najwspanialsza Kompania Saloge, Trzech Braci i Pies i…?

— Wesoły Fendes i Jego Dziewczęta, pani.

— Tak, właśnie on. Była u niego jedna taka czarnulka, która miała w palcach talent do rysika. Liczyłam na jej rysunki spod Gór Pożegnania. Dotarli tam w ogóle?

— Nie wiem. — Mężczyzna potrząsnął głową. — Nie przyjechali na Zgromadzenie.

— Wiem, już mówiłeś. — Kanayoness uśmiechnęła się łagodnie. — Powiedz, było tak pięknie i kolorowo, jak trzy lata temu? Namioty, występy, licytacja sztuczek, pojedynki linoskoczków i połykaczy ognia, przedstawienia do białego rana?

— Tak… tak, pani. — Starzec nagle ukrył twarz w dłoniach i rozpłakał się cichym, szarpiącym uszy łkaniem. — Tak było.

— I chciałbyś tam wrócić? Za kolejne trzy lata?

Albo skinął głową, albo zgiął się niżej, szlochając.

— Więc dlaczego przyszło ci do głowy, żeby nas napaść? Kto ci o nas powiedział? Kto kazał schwytać?

Ton jej głosu nie zmienił się ani na jotę, ale Yatech wiedział, że jeśli teraz spojrzy jej w oczy, ujrzy ciemność. Lodowatą i bezwzględną.

— Czekaj… Nie mam cierpliwości ani czasu na takie pytania. Nie mam też ochoty ryzykować, że mnie okłamiesz. Zrobimy tak…

Nie drgnęła nawet, a starzec nagle pochylił się do przodu i zarył twarzą w ziemi, jakby ktoś nadepnął mu na kark.

— Nie ruszaj się albo wyrwę ci duszę z ciała przez nos i ją przepytam. Ilu ich było?

Wojownik pamiętał, jak raz spróbowała tego na nim. Wrażenie, jakby lodowata dłoń zaciskała mu się na potylicy, budziło go ze snu jeszcze przez wiele nocy. Ale wtedy była najwyraźniej delikatna, bo teraz dotykający czołem ziemi mężczyzna wyglądał, jakby zaraz miał skonać.

— Je… jeden… pani. Na Zgromadzeniu. Pytał… o czarnowłosą dziewczynę podróżującą z jednym issarskim strażnikiem. Pytał, czy ktoś czegoś nie widział, nie słyszał plotek, nie zauważył czegoś dziwnego…

— I dowiedział się czegoś?

— Wszystkiego. Wszystkiego o wszystkim, pani.

— Wszystkiego o wszystkim — powtórzyła zamyślona. — Czyli niczego. Kupił cię?

— Nie. Nie wiedziałem, że to ciebie szuka. Ty byłaś trzy lata temu z nami na Zgromadzeniu. Razem z trupą Sageliego. A on przedstawił cię jako swoją uczennicę. Dopiero potem… w drodze tutaj zaczęliśmy myśleć. Ten mężczyzna… pytał o dziwne rzeczy, o których mogliśmy słyszeć w czasie wędrówek. Ale dziwne było to, co zrobiłaś trzy lata temu. Pierwszy raz ktoś zamówił obrazy miejsc, w które przyjeżdżamy, i to jeszcze u prawie wszystkich grup na Zgromadzeniu. Płacąc połowę złotem, z góry. I nie przyjechałaś w tym roku, tylko wysłałaś wiadomość, żebym ci przywiózł te malunki. Zaczęliśmy coś podejrzewać. Pani, ja… my… nie chcieliśmy ci zrobić krzywdy. Chcieliśmy tylko…

— Schwytać i sprawdzić, czy to mnie szukają. I wziąć zapłatę, jeśliby rzeczywiście tak było. Ile proponował?

— Trzy… trzy tysiące orgów.

Nawet jeśli suma zrobiła na niej wrażenie, nie pokazała tego po sobie.

— Za tę dziewczynę i jej issarskiego strażnika?

— Tylko za ciebie, pani. Tylko za ciebie.

Yatech kątem oka złowił jej rozbawione spojrzenie. Wzruszył ramionami. Próbowali, nie udało im się, jakie znaczenie ma, kogo chcieli zabić?

Kanayoness nachyliła się nad starcem.

— Kim był? Tak naprawdę? Wiem, że wiesz, albo się domyślasz.

— Szczur… Imperialny Szczur, pani.

— Jesteś pewien?

— Damne… Wielki Żongler… wódz Zgromadzenia tak powiedział. Zebrał wszystkich przywódców trup i rzekł, że to Szczur i że włos z głowy spaść mu nie może. Żadnego wypadku z widłami czy stratowania przez konia. Powiedział, że dostał ostrzeżenie z samej Nory, iż to nie czas na żarty. I tyle. Imperium cię szuka, pani.

Podniósł się powoli, a raczej to ona pozwoliła mu się podnieść, i spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się.

— Mnie? — Zimne okrucieństwo tego kłamstwa cięło jak nóż. — A skąd ci przyszło do głowy, że to ja jestem dziewką, o którą im chodzi? Mój strażnik nie zasłania twarzy jak Issarowie, a moja towarzyszka pochodzi z miejsca, o którym nawet nie słyszałeś. To nie mnie szukają. Przykro mi.

Wzruszyła ramionami, i chyba prostota tego gestu złamała starca do końca. Mężczyzna skulił się, jakby wypowiedziane słowa były kopniakami trafiającymi go w brzuch, po chwili znów uniósł głowę, ale nie patrzył już na Małą Kanę, tylko na ciała dwóch młodzieńców, leżące w takiej pozycji, jakby zmorzył ich nagły sen.

— Tak. — Kanayoness pokiwała głową. — Umarli bez potrzeby. I to jest twoja wina. Gdybyś dostarczył obrazy i wziął zapłatę, jutro wieczorem pilibyście za łatwo zarobione pieniądze. A tak…

— Suuuukaaaaa!!!

Demon, którego Yatech dostrzegł wcześniej w oczach tamtej kobiety, obudził się z rykiem. I to nie sam. Wojownik ledwo zdążył odwrócić głowę i sięgnąć po miecze, gdy dwie, trzy, nie, wszystkie cztery kobiety zerwały

się i runęły na Iavvę, krzycząc coś głosami przepełnionymi szaleństwem. Jej sztylety były szybsze od atakującego węża, ale pchnięcia mlecznych ostrzy zdawały się nie robić na atakujących wrażenia.

Kobiety zdołały ją dopaść, dwie miały noże, trzecia unosiła w dłoni kamień, a czwarta drewnianą pałkę. Przewróciły dziewczynę i cała piątka potoczyła się po ziemi.

Zgrzyt ostrza wyciąganego z pochwy sprawił, że Yatech wyhamował w pół kroku, obrócił się i ciął. Uderzył tak szybko, że zakrzywione klingi wyglądały niczym smuga cienia, a starzec wpadł w ten cień i został przez niego rozrąbany. Prosty nóż wypadł mu z dłoni.

Mała Kana spojrzała na Yatecha, nie, przez niego, w stronę reszty więźniów, a ciemność wypełniała jej oczy.

— *Oghor*.

To było to słowo, które powiedziała, gdy trzech mężczyzn próbowało uciec w las.

Zabij.

Odwrócił się i runął w stronę Iavvy.

Jasnowłosa podniosła się właśnie z ziemi, leżące obok niej ciała wyglądały, jakby setka pijanych szermierzy ćwiczyła na nich ostrość swojej broni, i już biegła ku dzieciom. Przemknęła między dwójką najstarszych, które próbowały się zerwać i uciec, a jej sztylety zatoczyły krótkie łuki i chłopiec oraz dziewczynka zakręcili się w powolnym, koszmarnym piruecie, a potem upadli, też powoli, z oczyma wypełnionymi odbiciem kołyszących się nad nimi drzew.

Chłopczyk, może sześcioletni, otworzył usta w krzyku, który nigdy się nie narodził, bo białe ostrze zdusiło go, trafiając malucha w szyję. Dwójka następnych dzieci umarła bez mrugnięcia, dwie małe kukiełki, którym ktoś podciął sznurki.

Iavva wyhamowała i odwróciła się w stronę ostatniej dwójki, tej pięcioletniej dziewczynki, której matka wybrała śmierć, i młodszego malucha o nieokreślonej płci. Dzieci patrzyły przed siebie wzrokiem, w którym nie było iskry świadomości.

Yatech w biegu wsunął *yphyry* do pochew, dopadł do dziewczyny i pchnął oburącz.

Poleciała w tył, zmieniając upadek w przewrót przez ramię, jakby, na litość wszystkich bogów, ćwiczyli to przez ostatnie miesiące, i stanęła przed

nim ze sztyletami w dłoniach. Doskoczył i zaatakował jeszcze raz. Zrobiła unik, ale zdołał złapać za luźną szatę na jej piersi i szarpnąć. Tym razem zadziałała jego większa masa, wybił ją z równowagi, podciął i przerzucił przez biodro.

Sama go tego nauczyła.

Iavva przetoczyła się płynnie i już stała przed nim.

Ale po raz pierwszy od wielu dni spojrzała mu prosto w oczy.

Jasna twarz, jasne włosy, brwi i rzęsy. I tęczówki tak blade, że w pełnym świetle zlewały się z białkami oczu. Tak jak teraz. Dwa czarne punkciki źrenic patrzyły na niego uważnie, z intensywnością rzadko spotykaną nawet na placu pojedynkowym.

Iavva zawsze patrzyła w ten sposób. Ubierając się, dokładając do ognia, nalewając wina do kubka i obserwując kołujące na niebie ptaki. Jakby każda czynność, nawet najbanalniejsza, angażowała jej uwagę w całości. Mała Kana powiedziała raz, że ich towarzyszka jest tym, co w danej chwili robi.

A teraz zabijała.

I patrzyła wprost na niego.

— To się nazywa dylemat.

Głos Kanayoness dobiegł gdzieś z lewej, Yatech nie zaryzykował spojrzenia w tamtą stronę. Jedno mrugnięcie, a Iavva runie ku ostatniej dwójce dzieci. Sięgnął po *yphyr*, jeden – jeśli chciał ją powstrzymać, nie zabijając, musiał mieć wolną dłoń.

— Ona wie, że nie wolno jej cię zabić ani okaleczyć. A jednocześnie otrzymała rozkaz i nie może go wykonać. Uważaj z tym mieczem, jeśli ją skaleczysz, przestanie być miła.

Yatech nie odpowiedział, wpatrując się w przeciwniczkę. Czarne szpile źrenic świdrowały go bez ustanku.

Ruszyła nagle, bez najmniejszego sygnału, zrobiła pół kroku w lewo, a gdy drgnął w tamtą stronę, runęła w drugą. Ale znał tę sztuczkę, już widział ją raz i drugi, więc tylko wyciągnął rękę, złapał dziewczynę za krótkie włosy i zatrzymał, aż od szarpnięcia zatrzeszczały jej kręgi szyjne.

— Ojojoj, to musiało boleć.

Zignorował Małą Kanę. Pociągnął Iavvę w tył i znów stanął między nią a dziećmi.

— Odwołaj ją.

— Dlaczego? To oni nas zaatakowali. Nigdy nie słyszałeś o tym, że we wrogim plemieniu zabija się też kobiety i dzieci? Żeby nie wyrośli z nich mściciele? Twój lud też tak czyni.

— To co innego.

— Dlaczego?

Nie potrafił odpowiedzieć. Niekiedy, zwłaszcza w czasie korowodów krwawych zemst, które wymknęły się spod kontroli tak, że nawet żelazne łańcuchy Praw Harudiego nie potrafiły ich spętać, Issaram też potrafili wybić wrogi ród do ostatniego członka. Ale robiono to wyjątkowo rzadko, Yatech nie słyszał o takim przypadku za życia swojego ani swoich rodziców. Tu jednak było inaczej. Te dzieci nie potrafiły się bronić, a ich wina była winą rodziców, którzy już nie żyli.

— Najpierw każesz mi zapomnieć, skąd pochodzę, a potem próbujesz przekonać – czym? Prawami ludu, do którego już nie należę? Nie jestem już Issaram. Jestem Keru’weln, ja tylko noszę twoje miecze.

Na znak, którego nie widział, jasnowłosa zabójczyni schowała sztylety i zastygła bez ruchu. Wiedział, że to nie ma większego znaczenia.

— Po prostu je zostaw — dodał. — Dostałaś, co chciałaś, więc zwyczajnie odjedźmy już stąd.

— Nie — głos Kanayoness nabrał nagle nowej, mrocznej barwy. — Nie jestem aż tak okrutna.

Iavva ruszyła, a w jej dłoni błysnęła szabla. Yatech odbił, jeden, drugi, trzeci cios, dopadła go, kopnęła w kolano, pchnęła barkiem, przydeptując stopę. Poleciał na plecy, przedłużył ten ruch, zamieniając go w przewrót przez bark, na chwilę stracił dziewczynę z oczu.

Ruch z lewej.

Delikatny jak muśnięcie spadającego liścia dotyk.

Szybsza niż myśl kontra.

Czarna klinga zmieniająca się w cienistą smugę.

Cichy pisk.

Zamarł w przyklęku, z mieczem zatrzymanym w jakimś nienaturalnym półruchu, patrząc na obsydianowe ostrze. Tylko na nie.

Żeby nie patrzeć na to, co leżało trzy kroki od niego, trzymając się za rozcięty brzuch. Na to, co bezgłośnie skuliło się w pozycji płodowej i zamarło, wstrząsane drgawkami.

— Iavva, stój — głos Małej Kany zdawał się dochodzić z daleka, zza pikowanej kurtyny. — Zostaw.

Wojownik spojrzał na jasnowłosą, stojącą niemal w zasięgu miecza, z ciałem ostatniego dziecka u stóp. Jej szabla zabarwiła się czerwienią.

Dziewczynka, którą zranił, zwinęła się mocniej, objęła kolana rękoma. Zamknęła oczy.

— Odjeżdżamy. Natychmiast. Iavva jedzie ze mną. Ty możesz zostać, żeby posprzątać.

Nawet nie spojrzał w jej stronę.

— To odludne miejsce — kontynuowała. — Ponad trzydzieści mil do najbliższej wioski. Lisy, wilki i zdziczałe psy wkrótce się zjawią. Spójrz w niebo, heroldowie trupożerców już roznoszą wieści.

Nie musiał patrzeć, chrapliwe głosy kruków i wron rozlegały się nad koronami drzew od dłuższej chwili.

Wstał, strzepnął klingę i wsunął ją do pochwy. Usłyszał parskanie koni i skrzyp uprzęży.

— Jedziemy na południe ścieżką, która znasz. Zatrzymamy się na postój tam, gdzie poprzednio. Pospiesz się albo wilki cię wyręczą.

Miękki stukot kopyt po leśnej ściółce zaczął się oddalać.

Yatech podszedł do dziewczynki i przyklęknął. Nie otworzyła oczu ani nie zadrżała pod jego dotykiem. Oddychała płytko.

— Opowiem ci bajkę — wyszeptał, chociaż był pewien, że go nie słyszy. — O pustynnym lisie, jego żonie, zagubionych dzieciach i duchu słońca. Nie martw się, nie jest długa. I wszystko dobrze się kończy. Wszyscy wracają do domu.

Ujął mocniej rękojeść *yphira*.

Rozdział 6

Słońce zachodziło wyjątkowo długo, złote, a później czerwone zorze z niebywałym uporem przełamywały ciemny granat nieba, jakby ta bitwa między światłem a ciemnością miała być ostatnią w dziejach świata. Zaułki dzielnicy portowej, jeżeli te kilkadziesiąt uliczek można było nazwać dzielnicą, śmierdziały bardziej niż zwykle, a cienie w nich zalegające wyglądały złowrogo. Altsin nagle nabrał głębokiego przeświadczenia, że nie powinien tam wchodzić. Wykrzywił się, splunął na bruk gęstą flegmą, przyciągając zdumione spojrzenie brata Naywira, i ruszył naprzód.

Kolejny unik.

Kamanę zbudowano tuż przy naturalnym basenie portowym. Z lądu, kończącego się niemal wszędzie stromym klifem, wyrastał w tym miejscu wąski pas skalistego półwyspu, długiego i wąskiego, odcinającego sierpowato szeroki na ćwierć oraz długi na pół mili fragment morza. Jedyne wejście do zatoki miało niespełna trzysta jardów średnicy i przedzielone było skalistą wysepką, na której stała kamienna strażnica wyposażona obficie w katapulty i balisty. W czasie odpływu, gdy basen portowy zmieniał się niemalże w jezioro, można się było do niej dostać morzem, brodząc po kolana w wodzie. Dodatkowo Rada Miasta wydała kiedyś fortunę, by przegrodzić wejście kilkoma innymi sztucznymi wysepkami, tak że tylko cztery statki mogły jednocześnie wpływać do portu lub z niego wypływać. To dlatego Nesbordczycy nie zaatakowali miasta od strony morza. Nawet oni nie byli tak głupi.

Lecz półwysep, błogosławieństwo dla statków chroniących się za nim przed gniewem oceanu, odcinał jednocześnie niższe rejony miasta od morskiej bryzy. Trzy sąsiadujące z morzem dzielnice, Portowa, Rybacka i Ciesielska, nawet w czasie sztormów oddychały powietrzem, które cuchnęło niczym opary nad nawiedzonym cmentarzem. Zgniłe ryby, stary szlam, rozkładające się wodorosty i oczywiście brudy z całego miasta. Kanalizacji w Kamanie nie było, więc zgodnie z poleceniem Rady wszystkie nieczysto-

ści i odchody należało wywozić beczkami poza mury i zrzucać do morza. W teorii, rzecz jasna, bo to kosztowało, a ludzie zwykli radzić sobie z każdym problemem po swojemu. Najczęściej nocą otwierano okna i wylewano wszystko do rynsztoków, skąd wolno, wolniutko ściekało sobie w dół.

Dzielnica portowa znajdowała się niżej niż reszta miasta, brukowane drogi opadały czasem tak stromo, że do wnoszenia towarów na górę używano tragarzy, bo zwierzęta nie dawały rady ciągnąć wózków, więc wszystko, co trafiło do rynsztoków w wyższych partiach miasta, siłą rzeczy spływało w końcu tutaj. W rezultacie kamański port uchodził za najbezpieczniejszy na świecie; marynarze twierdzili, że nie da się w nim utonąć, bo woda ma gęstość masła i jeśli ktoś szybko przebiera nogami, to bez trudu może dojść po jej powierzchni do brzegu. Na dodatek przyportowe dzielnice cierpiały na to samo, co stanowiło bolączkę reszty miasta – brak miejsca – więc i tu liczył się każdy cal przestrzeni. Nawet tawerny miały w tej dzielnicy po cztery piętra, a magazyny wyrastały ponad nie, niczym ponurzy starcy nad gromadkę rozbrykanej młodzieży.

Było wąsko, ciemno, cuchnąco i lepko. Taki miejski szczur jak on powinien się tu czuć jak w domu.

Altsin zaklął cicho, gdy mimo iż ledwo znaleźli się w porcie, po raz trzeci się poślizgnął. Wolał nie myśleć, w czym brodzi. Jeśli w ciągu najbliższych dni nie spadnie deszcz, to warstwa śmierdzącego szlamu sięgnie miejscami kilku cali. Jedyne, co mógł zrobić, to wysoko podkasać habit; sandały trzeba będzie myć i suszyć przez dwa dni. Brat Naywir zabalansował rękami i by nie upaść, oparł się o najbliższy mur. Jęknął, stęknął i odkleił się od niego z wyraźnym mlaśnięciem. W tej dzielnicy też wylewano nieczystości za okna.

— Znooowuuu…? Pani Piękna w Nieskończonej Dobroci, dlaczego tak doświadczasz swojego wiernego syna?

— Sakwy całe? — zadudniło w ciemności.

— Tak, bracie, tak — bardziej nie dało się tego wysyczeć. — Zgodnie z twoją radą przesunąłem je na brzuch.

— Człowiek upadający na twarz podeprze się rękami, ten, który przewraca się na plecy, nie.

— Kolejne zdanie z tej twojej księgi?

— Oczywiście — głos z ciemności nie wydawał się urażony. — A jaka z tego płynie mądrość?

— Nie wiem jaka. — Brat Naywir próbował najwyraźniej stanąć tak, by lepki habit nie przyklejał mu się do ciała, a jego szczupła twarz zwieńczona szopą byle jak przyciętych jasnych włosów wyrażała całą gamę emocji, od obrzydzenia po rezygnację. — A, poczekaj, już wiem. Bezpieczniej mieć wielki tyłek niż wielki brzuch, co? Albo… jak nie masz rąk, to będziesz co chwila leżał twarzą w błocie?

— To też. Lecz mędrzec powiedziałby, że lepiej upaść, idąc naprzód, niż się cofając. Bracie Altsinie?

Złodziej westchnął i przesunął swoje sakwy na brzuch. Domah z K'eln był jak przypływ, łagodny, spokojny i podobnie nieustępliwy. Jak już sobie coś wbił do głowy, to napominał, prosił, wyrażał uprzejme zainteresowanie i grzecznie się dopytywał, dopóki wszystko nie poszło po jego myśli.

Zaraz na początku stwierdził, że skoro Altsin postanowił odnaleźć spokój między dłońmi Miłosiernej Pani, przywdział habit, pracuje i modli się wraz z innymi, to będzie go tytułował „bratem", choć formalnie było to niezgodne z regułą zakonu. Komuś takiemu jak złodziej, kto nie złożył mnisich ślubów, przysługiwał tytuł „gościa" lub „oczekującego". Jednak dla brata Domaha Altsin był „bratem Altsinem". I koniec, żadnych ustępstw. Podobnie jak z sakwą zawierającą chleb: miała znaleźć się na brzuchu, by dało się chronić ją w czasie upadku. I lepiej ustąpić od razu. A najgorsze było to, że gdyby złodziej go nie posłuchał i wybrudził pakunki, Domah nawet by się nie skrzywił, nie wzdychał dramatycznie ani nie zaczął jęczeć: „A nie mówiłem". Po prostu uśmiechnąłby się łagodnie, pomógł mu wstać, odebrał sakwy i sam zaczął je nieść.

Niewiele jest rzeczy bardziej irytujących niż ludzie, którzy mają rację i nie robią ci z tego powodu wyrzutów.

— Gotowi?

— Tak, bracie. — Naywir przewrócił oczami i zrezygnował z prób odklejania habitu od ciała. — Idziemy.

Złodziej uniósł wyżej lampkę oliwną. Ściany błysnęły plackami odpadającego tynku, zalśniły wilgotnymi liszajami w najróżniejszych kolorach. Najniższe okna znajdowały się dobre dwanaście stóp nad poziomem ulicy, spore utrudnienie dla włamywaczy, lecz kraty w nich zamontowane sugerowały, że właściciele woleli się jeszcze dodatkowo zabezpieczyć. Mądrze.

Ruszyli w głąb uliczek portowej dzielnicy. Złodziej stawiał szeroko nogi, wyszukując w blasku lampki miejsc na bruku, które jakby mniej

lśniły. Brat Naywir starał się podążać jego śladem. Ich cienie skutecznie kryły resztę uliczki w mroku, więc o obecności trzeciego mnicha świadczył tylko odgłos regularnego człapania, a raczej mlaskanie jego butów. Altsin uniósł głowę. Okoliczne budynki, głównie magazyny i noclegownie dla robotników portowych, miały wysokość pięciu pięter, wąski pasek rozgwieżdżonego nieba błyskał w górze mdłymi światełkami. Wszystkie okna były ciemne, gdyby nie lampka, wędrowaliby niczym dnem wąskiego jaru. W takim miejscu łatwo o zasadzkę, przeciwnik może zaczaić się na górze i zmienić jego dno w śmiertelną pułapkę. Kilku łuczników i kuszników, trochę głazów…

Unik.

Uśmiechnął się i w tym uśmiechu jego rodzący się gniew znikł. Nie, nie będzie się wściekał na każde dziwne skojarzenie i myśl. Gniew nie miał sensu, a jego jedynym efektem było poczucie, że robi z siebie idiotę. Przyjdzie czas na załatwienie sprawy tego sukinsyna, który wszedł mu do głowy, a wtedy, jak już go z niej wyciągnie, osobiście nakopie do pewnej boskiej du… szy.

Uśmiechnął się szerzej, zadowolony, że dwójka braciszków tego nie widzi. Tak było lepiej. Jak to radził Jawynder? Ten cholerny *awenderi* martwego boga, który już nawet nie miał imienia? Dźgaj go, raz po raz dźgaj go sztyletem, aż się cofnie. Powinien uprzedzić, że najlepszym sztyletem jest taki, który wykrzywia ci gębę w złośliwym uśmieszku. Przynajmniej wtedy złodziej miał poczucie, że jest sobą.

Człapanie Domaha ucichło nagle. Przystanęli.

— Idźcie przodem, sandał mi się rozwiązał, zaraz was dogonię.

Altsin wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. Po bokach ulicy pojawiły się pierwsze zaułki, ciemne jak myśli samobójcy. Altsin podszedł do pierwszego i zadzwonił trzy razy małym dzwoneczkiem. Cisza. W drugim i trzecim to samo. Za to w czwartym coś się poruszyło.

Na widok dwóch mężczyzn, trzymających w brudnych łapach drewniane, nabijane pordzewiałymi gwoździmi pałki, miał ochotę się uśmiechnąć. Znowu?

Cofnął się jednak tylko o kilka kroków, rozkładając szeroko ręce.

— Bracia ze zgromadzenia Nieskończonego Miłosierdzia Wielkiej Matki — wyjaśnił, jakby na milę nie było widać, kim są. — Roznosimy ciepłą strawę ubogim.

Szmer za plecami kazał mu się obejrzeć. Dwóch kolejnych rabusiów odcięło jemu i Naywirowi drogę ucieczki. Sprytne. Prostackie, ale sprytne.

Podobno kiedyś mnisi wchodzili samotnie w zaułki, lecz odkąd kilku znaleziono nagich, pobitych i ograbionych nawet z habitów, przeor wysyłał ich na rozdawanie jałmużny trójkami. Jak widać, i to nie zawsze powstrzymywało napastników. Wymienił spojrzenie z młodym mnichem. Drobny i chudy Naywir ledwo sięgał mu do ramienia. Żaden przeciwnik nawet dla jednego bandyty i chyba dlatego wszyscy czterej gapili się na Altsina. Westchnął.

— To dobrze, panie. — Niższy ze stojących przed nim napastników uśmiechnął się, prezentując zaskakująco białe i równe uzębienie. — Bo my jesteśmy ubodzy, ubodzy że hej, brzuchy nam do krzyży poprzyrastały, w łbach sie ćmi z głodu, rence latajom na wszystkie strony, o…

Wysunął przed siebie rękę, w której trzymał pałkę. Rzeczywiście, koniec lekko drżał.

— I strate ponieśliśmy niedawno, wielkom strate, takom, co to człowiekowi dusze łamie i serce — westchnął dramatycznie. — Ale trudno, przepadło, za to łaska Bliźniąt zaprowadziła nas prosto do dobrych ludzi, którzy chentnie dzielą sie z potrzebującymi. Czyli nami, jakby co.

Jego towarzysz wykrzywił się kwaśno, nieprzyjemnie, i dodał:

— To my byśmy prosili o jakiś datek. — Mówiący nie mógł się pochwalić tak zdrowymi zębami jak kamrat, ale najwyraźniej miał podobne poczucie humoru. — Te torby z jedzeniem, co by brzuchy dzieci napełnić, habity, żeby zmarznięte grzbiety przyodziać, buty, nic, że śmierdzom, my nie som wybredni.

— Bracie Naywirze? — Złodziej, nie spuszczając wzroku z obu rabusiów, rozluźnił ramiona i starał się nie uśmiechać zbyt prowokacyjnie.

— Myślę, że to marynarze z jakieś zawszonej łajby, którzy zeszli na ląd i szukają szybkiego zarobku. Miejscowi wiedzą, że nie sprzedaliby naszych habitów w tym mieście. Pewnie jutro ich krypa wypływa z portu, więc sądzą, że opchną je gdzieś na kontynencie. Sądząc po ubiorze, zwłaszcza tych czarnych portkach, akcencie i powołaniu się na Bliźnięta Mórz, pochodzą z okolic Ar-Mittar. Patrząc na odciski od wioseł na dłoniach, pewnie są z załogi galery, która wczoraj przywiozła dzbany i szklane kielichy. „Czarna Mewa”. Zgadłem?

Rabusie otworzyli szerzej usta.

Za plecami Altsina ktoś stęknął, rozległ się odgłos, jakby stuknęły o siebie dwa dojrzałe melony, a po chwili, jakby na ziemię upadły dwa worki ziarna.

— Bracie Domahu?

— *a'Kamenoelewarrenn* powiada — głos mnicha nie zmienił się ani na jotę — że hańbą jest poddawać się złu, pochylać przed nim głowę, padać na kolana, zasłaniając się niechęcią do przemocy. Bo zło, któremu się nie przeciwstawisz, urośnie, spotężnieje i pójdzie w świat krzywdzić innych. A ich krzywda będzie twoją winą.

Pałka wyciągnięta w stronę Altsina zadrżała i opadła. Jej właściciel gapił się ponad ramieniem złodzieja i wyglądał, jakby właśnie zobaczył swoją śmierć.

— Czy to zło przeżyje?

— Oczywiście, bracie Altsinie, jak inaczej mogłoby zmienić swoje postępowanie?

— Dobrze. Wy. Hej! Wy! — Musiał podnieść głos, by przyciągnąć uwagę niedoszłych bandytów. — Może trudno w to uwierzyć, lecz brat Domah biega szybciej niż chart. Sam bym mu nie uciekł, nawet jakby mi dał pól mili przewagi. Rzućcie broń.

Pałki stuknęły o ziemię niemal jednocześnie.

— To trzeci raz w ciągu ostatnich czterech miesięcy, gdy nas napadają. I zawsze są to zamiejscowi, jakieś marynarskie męty, co to bezdomnej kobiecie z dzieckiem przy piersi wyszarpną ostatni grosz spomiędzy palców. Tracimy przez was czas, wiecie o tym?

Cisza, spojrzenia wlepione za jego plecy, nerwowe przełykanie śliny.

— To było pytanie!

— Eeee… — Niższy z marynarzy chyba naprawdę zamierzał odpowiedzieć.

— Nie. — Altsin czuł, jak ten cholerny, lodowaty strumień, który czasem wypełniał mu żyły, pojawia się gdzieś w okolicach przepony i z każdym uderzeniem serca płynie dalej. Dziwił się, że gdy oddycha, z ust nie wylatuje mu kłąb pary. — Nie jęcz. Zgadzasz się, że ubodzy potrzebują wsparcia? Skiń tylko głową. Dobrze. No to się rozbieraj. Ten drugi też. A potem rozdziejecie kamratów. Dobre portki i koszule przydadzą się każdemu. Już!

Przez kilka uderzeń serca mężczyźni tkwili w absolutnym bezruchu. Obrabować grupkę mnichów a być obrabowanym przez grupkę mnichów…

Altsin nie mógł zobaczyć, jak brat Domah robi krok w przód, ale stojący przed nim mężczyźni nagle jeszcze bardziej pobladli i zaczęli się rozbierać. Żaden nawet nie pomyślał, by sięgnąć do noży, które nosili u pasa.

— Buty też. Znajdziemy dla nich nowego właściciela. Dajcie rzeczy bratu Naywirowi. Dobrze. A teraz tamtych dwóch. Szybciej!

Właściwie nie musiał podnosić głosu, wystarczył stanowczy ton i odpowiedni akcent. Po chwili Naywir przyciskał do piersi cztery pary spodni, cztery pary marynarskich buciorów i cztery koszule. Noże leżały na bruku u jego stóp. Wyglądał… dość pociesznie z tą zdumioną miną.

Altsin zastanawiał się, czy nie kazać marynarzom ściągnąć też przepasek biodrowych i wełnianych skarpet, ale uznał, że to już byłoby okrucieństwo. Poza tym brat Domah wydał właśnie bardzo zniecierpliwione parsknięcie, co brzmiało, jakby poirytowany byk sapnął złodziejowi za plecami.

Odwrócił się.

Domah z K’eln twierdził, że pochodzi z południa, miejsca leżącego daleko za pustynią Travahen, z jednego z miast-państw zajmujących zachodnie wybrzeże kontynentu i przytulone do niego wyspy. Państewka oczywiście miały własne nazwy, lecz po pierwsze przeciętny Meekhańczyk prędzej język by sobie odgryzł, niż którąś wymówił, a po drugie, jak powiadali marynarze, tamtejsze granice i dynastie zmieniały się szybciej, niż dobra dziwka zmienia klientów. Podobno stolica jednego z owych krajów nazywała się K’eln, a Domah był kapłanem lokalnego kultu Baelta’Mathran. To wszystko nie miało jednak znaczenia, gdy człowiek stawał z nim twarzą w twarz i zaczynał się zastanawiać, za jakie grzechy bogowie postawili go na drodze tego mnicha.

Brat Domah miał siedem stóp i cztery cale wzrostu, a z jego habitu można by zbudować namiot dla sześciu ludzi. Ciemną twarz z orlim nosem i dzikimi oczyma ozdabiały dwie rytualne blizny, tworzące na prawym policzku coś w rodzaju prymitywnego piktogramu. Czarną brodę sięgającą piersi plótł w gruby warkocz, za to głowę golił na łyso. I przy tym był szeroki w barach jak… ech… Łaskawa Pani niektórym nie skąpi niczego.

— Skończyłeś z nimi, bracie? — I znów ten głos, spokojny, uprzejmy. Altsin poczuł, jak odpływa z niego irytacja, a lód w żyłach topnieje.

— Tak, bracie Domahu. Skończyłem.

— Mamy pracę do wykonania.

— Wiem, chodźmy.

Ciemnoskóry olbrzym cofnął się w ciemność i po chwili wynurzył z niej z kotłem pełnym polewki. Dziesięciogalonowy gar owinięty w gruby pled trzymał jedną ręką, jakby to był mały koszyk z pieczywem. Złodziej obejrzał się przez ramię. Niedoszli rabusie zniknęli, zabierając swoich kompanów. Tylko ich noże leżały na ziemi. Kopnął je pod ścianę, gdzie utonęły w warstwie lepkiego błocka.

Pora wracać do pracy.

— Ależ miałeś głos.

— Co? — spojrzał na Naywira.

— Głos. Jak oficer musztrujący swój oddział. „Nie! Nie jęcz! Rozbierać się!”. — Młodszy mnich patrzył na Altsina z uśmiechem. — Służyłeś w wojsku?

Gniew uderzył złodzieja jak chłośnięcie rozpalonym do czerwoności łańcuchem. Skoczył ku Naywirowi tak nagle, aż ten szarpnął się w tył i klapnął na bruk, wciąż przyciskając do brzucha zdobyczne ubrania. Oczywiście nie chodziło o to, że Altsin miał coś wspólnego z wojskiem czy wojną. Raczej o to, że był, do jasnej cholery, przynajmniej częściowo, ale był, kwintesencją wojny, jednej wielkiej, cholernej i przerażającej rzezi, w której nie liczyło się nic i nikt i która ciągnęła się przez pokolenia i pokolenia, zasysając, przeżuwając i miażdżąc miliony jak jakiś przeklęty wir, a ten niedorobiony półgłówek jakby nigdy nic pyta go o to, czy miał coś wspólnego z armią, jakąkolwiek armią, ja, na głowę twojej wydupczonej przez pułk pancerny matki, byłem całą pieprzoną armią! Czułem każdego jej żołnierza, od doboszy i trębaczy po elitę elit, zasranych weteranów, krwawiłem z nimi, płakałem i umierałem, podnosiłem ich ducha, koiłem strach i napełniałem serca rozpalonym żelazem! Walczyliśmy, żeby powstrzy…

Unik!

Nie! Nie, sukinsynu!

Fala lodu wypełniła mu żyły, gorąc i zimno starły się w walce. Zatrzymał się w pół ruchu, powoli wyciągnął ręce i pomógł mnichowi wstać.

— Chodźmy — mruknął.

Reszta nocnej pracy upłynęła im w niemal całkowitym milczeniu. Wędrowali uliczkami-kanionami rozświetlonymi tylko blaskiem ich lampki, a szare ściany pochylały się nad nimi jak wyrzut sumienia. Odwie-

dzali zaułki w pobliżu tawern, jedynych punktów w dzielnicy, gdzie tętniło życie, a gwar i blask wydobywające się z okien przełamywały wrażenie, że mnisi wędrują po jakiejś nekropolii, zachodzili nad sam brzeg zatoki, nad tę cuchnącą niby-wodę, na której nieczystości z całego miasta tworzyły gruby na dwa cale kożuch i gdzie dopiero kilkadziesiąt jardów od brzegu morze błyskało małymi falkami. Wszędzie wkładali w drżące dłonie chleb i suszone ryby, napełniali żebracze miski ciepłą zupą.

Pozbyli się też zdobytych na marynarzach ubrań i butów. Altsin jak zawsze zdumiewał się tym, ilu głodnych i zmarzniętych biedaków czekało w porcie, ale w gruncie rzeczy nie powinien się dziwić. Jeśli komuś się nie powiodło w Kamanie, a nie miał dość pieniędzy, by opłacić podróż statkiem na kontynent, wpadał w pułapkę, jaką okazywało się miasto. Z wyżej położonych dzielnic strażnicy miejscy przepędzali żebraków i bezdomnych, więc ci, niepotrzebni, staczali się na sam dół, wędrując wraz z nieczystościami w kierunku portu. Bo tylko tu mogli znaleźć na wpół wypełniony magazyn, szopę rybacką czy po prostu kawałek mniej zaświnionego bruku i wegetować, licząc na…

Na cud.

Było w tym coś gorzkiego i symbolicznego, olbrzymie bogactwo górujące nad nieskończonym nieszczęściem.

Złodziej pogrążył się w pracy, skupił na niej całkowicie, nie poświęcając towarzyszom nawet przelotnego spojrzenia, a oni, wyczuwając najwyraźniej jego nastrój, o nic nie pytali. W miarę jak znikała zupa z kociołka, a sakwy robiły się coraz lżejsze, opuszczał go gniew. Naywir naruszył niepisaną zasadę, która mówiła, by nigdy nie pytać i nie próbować głośno zgadywać, jaki kaprys Pani Losu zagnał człowieka między opiekuńcze dłonie Wielkiej Matki. Każdy z mnichów miał swoje tajemnice, większość w położonym na krańcu znanego świata klasztorze szukała ciszy i spokoju, niektórzy także odkupienia własnych win. Zagadywanie o cudzą przeszłość było bardzo źle widziane.

No ale brat Naywir, to brat Naywir. Można go posądzić o wiele rzeczy, lecz nie o złą wolę.

Altsin zatrzymał się bez ostrzeżenia, aż idący za nim mnich prawie wpadł mu na plecy, uniósł wyżej lampkę, jakby chciał przyjrzeć się lepiej czemuś skrytemu w cieniach.

— Bracie Naywirze…

— Tak?

Złodziej usłyszał, że tamten wstrzymuje oddech.

— Nie służyłem w żadnej armii ani wolnej kompanii ani nie byłem hersztem rozbójników. A jeśli jeszcze raz zapytasz mnie o przeszłość, sprawdzę, czy czyjś durny łeb da się użyć zamiast piłki.

— Hej, jestem przywiązany do własnej głowy.

— Nie mówiłem, że to będzie łatwe. I nie mówiłem, że oddzielę ten łeb od ciała. To zepsułoby całą zabawę.

Brat Naywir westchnął cicho.

— Domyślam się, bracie Altsinie — zgodził się potulnie.

Ruszyli dalej; złodziej czuł, jak z każdym krokiem opuszcza go wściekłość. I pragnienie, by odwrócić się, walnąć idącego za nim braciszka lampą w głowę, a potem jak najszybciej znaleźć jakiś statek i opuścić Kamanę. Popłynąć na kontynent. Do Ponkee-Laa. To był inny atak niż dotychczas. Niespodziewany i gwałtowny, po raz pierwszy od miesięcy zaczął myśleć w pierwszej osobie, jakby wspomnienia Reagwyra były jego własnymi wspomnieniami. To źle… bardzo źle.

Musi jak najszybciej odnaleźć tę seehijską wiedźmę.

Jutro spotka się z ludźmi Raji i oby mieli dla niego pomyślne wieści. Najlepiej coś w stylu: tak, znaleźliśmy ją, jest w mieście, sprzedaje magiczne proszki pozwalające szybko i bezboleśnie pozbyć się starożytnego bóstwa z głowy.

Po przystępnych cenach.

Uśmiechnął się lekko. Tak lepiej. Dopóki potrafi żartować, jest dobrze.

Jeszcze kilka uliczek i wrócą do klasztoru.

* * *

Natrafili na nie pod koniec pracy, gdy kociołek z zupą świecił już dnem, a sakwy z jedzeniem zostały całkowicie opróżnione. Minęła północ, a o tym, jak byli zmęczeni, najlepiej świadczyło to, że Altsin od dawna nie czuł już żadnych zapachów ani nie zwracał uwagi, w czym brodzi, a brat Naywir nie odezwał się od dobrej godziny. Cokolwiek mówić o tych nocnych wędrówkach, były wyczerpujące.

Leżały na środku uliczki, dwa kształty przypominające w świetle lampki dwie sterty szmat i kawałków drewna, rzucone na brzeg kaprysem morza.

Duży i mały. A raczej mały i mniejszy. Altsin zatrzymał się i przez kilka uderzeń serca patrzył, usiłując rozpoznać, co właściwie widzi. Dopiero po chwili wyodrębnił chude ręce i nogi. Błyszcząca skóra, zasłaniający twarz kołtun ciemnych włosów, jakieś szare łachmany, wyglądające niczym pozszywane z kawałków przeżutych skór. Kobieta? Dziewczyna? Chyba.

I dziecko.

Pierwszy wyminął go brat Domah, siedem stóp i cztery cale miłosierdzia i sumienności. Pochylił się, potem przykląkł, delikatnie odgarniając leżącej włosy z twarzy. Sprawdził puls, najpierw na nadgarstku, który zniknął całkowicie w jego wielkiej łapie, potem na szyi. Zdecydowanym ruchem ściągnął pled otulający kocioł z zupą i okrył dziewczynę.

— A dziecko?

Wielki mnich podniósł mniejsze ciało w górę, potrząsnął. Drewniane ręce i nogi zastukały, workowaty korpus zwisł bezwładnie. Lalka. Złodziej przymknął oczy, psiakrew, dałem się nabrać, pomyślał, przypatrując się dziewczynie, kolejnej ofierze marzeń o bogactwie Kamany, odartej ze złudzeń i kończącej w porcie. Trzeba jej znaleźć jakieś schronienie i, niech tam, zostawić pled.

Powiedział to głośno.

— Nie. — Domah pokręcił głową. — Musimy ją zabrać do przeora.

— I przebrać za młodego braciszka? Słyszałem różne plotki o klasztorach i nareszcie jedna okazuje się prawdziwa. — Altsin pozwolił sobie na sarkazm. — Nie możemy zabierać wszystkiego, co znajdziemy na ulicy, bo zabraknie nam miejsca za murami.

— To nie jest rzecz, bracie Altsinie.

— Nie to powiedziałem.

— Wiem. Wybacz. A teraz spójrz.

Zakonnik odsłonił udo dziewczyny. Wysoko, po wewnętrznej stronie, niemal przy samej pachwinie, skórę szpeciło ciemne znamię.

— Znak galerniczy? — Naywir też minął złodzieja, pochylił się i przeczytał — Ar-Mittar. Wschodni Port. Własność kompanii Koda. Hm. Nie jest wypalony. Niezwykłe.

Właśnie. Na mittarskich galerach służyli i wolni wioślarze, i niewolnicy. Imperialne prawo zakazujące niewolnictwa nigdy nie objęło swoim władaniem Ar-Mittar, więc galery wypływające z tego portu oprócz wolnych marynarzy miały czasem w załogach także skutych łańcuchami nieszczęśni-

ków, brudnych, wychudzonych i obdartych, z galerniczym piętnem wypalonym na skórze i plecami zaznajomionymi z batem.

Ale nigdy nie były to kobiety.

Dziwne.

— To co? Zabierzemy ją do klasztoru i znajdziemy tego Koda? Żeby zwrócić mu własność?

Nie wiadomo, czy brat Domah zrozumiał kpinę. Mittarskie kompanie handlowe obejmowały od kilku do kilkuset statków i zazwyczaj ich nazwy nie miały nic wspólnego z prawdziwym właścicielem. Ustalenie, który ze statków cumujących w porcie należy do kompanii Koda, było właściwie niemożliwe, jeśli jego kapitan sam nie chciał się do tego przyznać. Olbrzym zignorował jednak złośliwość, tylko spojrzał Altsinowi prosto w oczy. Zazwyczaj budził instynktowny lęk, ale gdyby ich pechowi rabusie zobaczyli wyraz jego oczu teraz, pewnie popuściliby w portki ze strachu.

— To nie jest własność, bracie Altsinie — wymruczał groźnie. — Człowiek nie może być cudzą własnością.

— I dlatego przeor nie posyła cię do portu, gdy cumują w nim niewolnicze galery. Kamana nie potrzebuje wojny z Ar-Mittar. Dlaczego chcesz ją zabrać?

— Podejdź i popatrz. — Olbrzym odsłonił nieco bardziej twarz dziewczyny.

Jasna skóra, choć brudna jak nie wiadomo co, wystające kości policzkowe, migdałowy zarys oczu, wąski podbródek. Cholera!

— To niemożliwe. Nie byliby aż tak głupi.

— Nie? Ma ślady po więzach i po biciu.

Potężny mnich wskazał nadgarstki i kostki dziewczyny, zdjął pled i odsłonił plecy. Jęknęła cicho, powieki jej zatrzepotały, na ten ruch Domah pochylił się gwałtownie i podniósł ją z ziemi, przycisnął do piersi. Jakby podnosił małe dziecko.

— Na pewno nie napadli na żadną wioskę — wymruczał już ciszej. — Ale gdyby natknęli się na łódź z dala od brzegu? Albo wręcz wyłowili ją z morza? Prawo Ar-Mittar mówi, że to, co wyłowione z morza, należy do kapitana.

Złodziej popatrzył na trzymaną przez Domaha dziewczynę.

— Uciekła im? Mogli liczyć, że zawiozą ją na kontynent i sprzedadzą w którymś z północnych miast. Albo że popłyną na południe, do was albo

dalej, do Daeltr’ed. Tam za młodą niewolnicę z egzotycznego plemienia można dostać tyle, ile za dobrego wierzchowca.

Naywir zmarszczył zabawnie twarz.

— Nie rozumiem.

Altsin westchnął.

— Przyjrzyj się jej. Nie jak mnich. Jest… była ładna, bardzo ładna. Seehijki uchodzą za wyjątkowo piękne kobiety. Niektórzy mężczyźni są gotowi wiele zapłacić za taką nałożnicę. Cholera jasna, rozdajesz chleb i zupę kobietom, które zarabiają dupą na życie, a przed chwilą odczytywałeś znaki, które ma prawie między nogami, więc się teraz nie czerwień. Założę się, że to dlatego nie wypalili jej ich żelazem. Nie chcieli psuć skóry. — Zgrzytnął zębami. — Niech to szlag! Domah ma rację. Nie możemy jej tu zostawić, bo jutro pół miasta będzie wiedziało, że w porcie jest seehijska dziewczyna, a jeśli jej krewni uznają, że Kamana miało coś wspólnego z tym porwaniem… Zabierzemy ją do klasztoru, przeor zawiadomi Radę. Niech przeprowadzą śledztwo, który kapitan był tak głupi, by narazić się na seehijską zemstę rodową.

Interludium

Jechali w ciszy. Od wielu godzin jechali w ciszy, której żadne z nich nie miało zamiaru przerywać. Nie przeszkadzało mu to. Pamiętał… sceny. Rozpalanie ogniska, kociołek z bulgoczącą zawartością, której ani zapachu, ani smaku nie czuł, chłód ciągnący od ziemi, drżenie dłoni bezwiednie gładzących rękojeści mieczy. Pamiętał mężczyzn, którzy zagrodzili im drogę na pewnej leśnej ścieżce. Czterech. Ich przywódca uśmiechał się, potrząsając trzymanym w dłoniach toporem, po czym spojrzał mu w oczy, odwrócił nagle wzrok i ruszył w krzaki, schodząc z drogi.

Wędrowali powoli, nie spiesząc się, a cisza gęstniała wokół nich jak krzepnąca żywica. Mała Kana obserwowała go spod grzywki czarnych włosów, Yatech czuł to, czasem łapał jej spojrzenie, z którego nie mógł nic wyczytać: ani złości, ani żalu, ani gniewu. Było po prostu absolutnie… obojętne.

Drugiego dnia rozbili obóz w małej kotlince, rozpalili ognisko i zjedli szybką kolację.

A potem na niewidoczny znak Iavva wstała i znikła między drzewami. Zostali sami.

— Co pamiętasz z tamtego obozu?

Pamiętał, że gdy skończył bajkę, ułożył dziewczynkę razem z resztą dzieci na jedynym wozie, który miał drzwi, i zabezpieczył wejście. Jeśli w okolicy nie było niedźwiedzi, padlinożercy nie będą się mogli dobrać do zwłok. Potem ruszył za Kanayoness. Czekało go jeszcze kilka miesięcy służby, po których będzie wolny. Ale o tym nie miał zamiaru teraz mówić. Spojrzał jej tylko w oczy, takie zwyczajne i spokojne, że prawie mógł uwierzyć, iż rozmawia z normalną dziewczyną.

— Nie odpowiesz?

— Nie.

Odezwał się po raz pierwszy od dwóch dni i zdziwił, że głos ma normalny.

— Uważasz, że to moja wina? Że odebrałam ci wszystko, pochodzenie, imię, tożsamość, a na końcu zrobiłam z ciebie mordercę dzieci? To był twój wybór. Nie musiałeś się wtrącać do tego, co robiła Iavva.

— Nie musiałem? Kim… czym bym się wtedy stał?

Kąciki jej ust powędrowały w górę.

— Dobre pytanie. Po pierwszym starciu kazałam oszczędzić te kilka kobiet i tego starca. No dobrze, jego, by cierpiał, by budził się w nocy, szlochając na wspomnienie tych, którzy przez niego zginęli. Ale gdy on i te suki wybrali śmierć… Pomyślałeś, co mogłaby zrobić gromadka dzieci, sama, w lesie, kilkadziesiąt mil od najbliższej ludzkiej siedziby? Teraz wychodzi z ciebie… nie człowieczeństwo, tylko… człowiekowatość. Ten dziwny zestaw cech, będących mieszaniną błędnych pojęć, niemądrych przekonań i sztuki samookłamywania się. Zabiłbyś matkę tej dziewczynki, ale jej samej już nie. Bo dobrzy ludzie nie zabijają dzieci. Mogą je zostawić w głuszy na pewną śmierć z głodu, pragnienia i od wilczych kłów, ale przecież nie będą tego widzieć, więc nie obciąży to ich sumienia. Człowiekowatość w pełnej krasie.

— Więc to była litość? Widziałem, co wylazło z ciebie, gdy kazałaś je zabić…

— Widziałeś? — spoważniała. — Co widziałeś?

Wstała lekko, przeciągnęła się, wdzięcznym, dziewczęcym ruchem odgarnęła grzywkę z czoła.

— Cieszyłaś się z tego. Z zabijania niewinnych.

On również się podniósł i mimowolnie poruszył barkami, poprawiając ułożenie mieczy.

Skoczyła naprzód tak szybko, że nie zdążył nawet sięgnąć po broń, a już była przy nim, twarzą w twarz, jej oczy zdawały się rosnąć, wypełniać przestrzeń, aż pożarły go całego.

Yatech poczuł dotknięcie w pierś, lekkie, niemal jak muśnięcie, ale ziemia uciekła mu spod stóp i upadł na plecy.

Uderzył potylicą o coś twardego z taką siłą, aż gwiazdy rozbłysły mu pod powiekami, a ona usiadła na nim, złapała go za głowę i przycisnęła ją do podłoża. Kolejny błysk rozsadził czaszkę, ale mimo to poczuł pod sobą coś, czego nie spodziewałby się w lesie – gładki ciepły kamień.

Nachyliła się nisko i wyszeptała mu do ucha:

— Zamknij oczy. Słuchaj.

Wzdrygnął się.

— No, zamknij… — Zasłoniła dłonią jego oczy. — Słuchaj.

Dopiero po chwili zrozumiał. Cisza. Bezbrzeżna, nienaturalna, całkowita. Taka cisza, że dopóki człowiek się w niej nie znajdzie, nie ma pojęcia, że tak naprawdę nigdy w życiu prawdziwej ciszy nie zaznał.

— Nie ruszaj się. Słuchaj.

Jej szept miał siłę krzyku. A gdy przebrzmiał, cisza zdawała się jeszcze głębsza, martwa.

Jakiś dźwięk przebił się do jego świadomości. Coś jak… oddech, jakby ktoś nabierał powietrza i wypuszczał je ze szlochem. Cicho, jakby płaczący bał się, że ktoś go usłyszy.

— Słyszysz, prawda? Niewinni? Nie ma niewinnych. Ty, ja… każdy. Wszyscy jesteśmy winni. A ona najbardziej. Nie patrzyła na mnie, choć spotkałyśmy się kilka razy, byłam zbyt nieważna, nieznacząca. A ona… powiedziała… wszyscy powiedzieli, że sto lat… najwyżej dwieście. A nie trzy i pół tysiąca! — Uderzyła jego potylicą o kamień. — Nie tyle! Nie tyle! Słuchaj!

Uniosła się nieco i mocniej przycisnęła jego głowę do ziemi.

Szloch. Jakby świat płakał.

Otworzył oczy, zrzucił z siebie Małą Kanę i zerwał się na równe nogi.

Niebo. Jasnoszare, w odcieniu polerowanego żelaza, przykleiło się do horyzontu i pięło w górę, by nieprzeniknioną kopułą przykryć cały świat, który składał się już tylko z czarnej równiny i wyrastających gdzieś w oddali kilku kamiennych zębów.

Zamarł.

— Gdzie…

— Meekhańczycy nazywają to Mrokiem.

— Mrok? Mrok to…

— To przez Mrok dusze odchodzą do Domu Snu. — Kanayoness zdawała się go nie słyszeć. — To spoza Mroku przybywają demony. To za Mrokiem znajdują się królestwa Nieśmiertelnych, bogów, którym winniśmy posłuszeństwo i lojalność. Tak mówią. Prawda?

Potrząsnął głową. Mrok? Jak? Mrok jest… złem. Mówi się „niech cię Mrok pochłonie” albo „przeklęte dziecko Mroku”, i to są poważne słowa. Takie, na które czasem odpowiada się stalą. Ale to? To miejsce…

Zacisnął pięści.

— Każdy Wiedzący tak mówi.

— Naprawdę? Ale dlaczego? Bo gdy sięgają po Moc, naznaczoną aspektem lub dziką, gdy sięgają głęboko, potężnie, do granicy swoich umiejętności albo i poza nie, natrafiają na barierę. I większość opisuje ją jako czarną ścianę, której granic nie sposób ustalić. Mrok. Ale kiedyś… wy i nie tylko wy… kiedyś nazywaliście to miejsce Zasłoną. Albo Murem. Albo Barierą. Choć od wieków już, jak większość znanego świata, używacie meekhańskiej nazwy. Jest bezpieczniejsza.

— Bezpieczniejsza?

— Zasłona może się unieść, a mur można zwalić. A mrok to mrok, coś, czego nie można pochwycić, a więc jest w swojej istocie niezniszczalne. Prawda? Żyjecie za murem, wybudowanym z niespełnionych przyszłości, i udajecie, że wszystko jest w porządku. A ponieważ nie widzicie ceny, jaką zapłacono za wasze dobre samopoczucie, uważacie, że nic się nie stało. Tak jak w tym lesie, mój miły. — Uśmiechnęła się, i nie był to ładny uśmiech. — Zostawiłbyś te dzieci same na pewną i okrutną śmierć, lecz ponieważ byś jej nie oglądał, nie obciążałaby twojego sumienia. Tak jest z całym światem. Nie widzicie cierpienia, które jest ceną za wasz spokój, więc śpicie spokojnie, a nawet jeśli czasem coś do was dociera, odwracacie wzrok. — Podeszła do niego i dźgnęła palcem w pierś. — Tak naprawdę najgłębszy mrok kryje się tutaj. W waszych sercach. Nieprawdaż?

Cofnął się, wyszarpując miecz i kierując go w jej stronę.

— Co jest prawdą?! Po co mi to pokazujesz?! Co ty mi robisz? Jeszcze kilka miesięcy i odejdę… Po co zadajesz sobie tyle trudu?

Uniosła brwi, a on poczuł, jak kości zmieniają mu się w lodowe drzazgi. Pod tymi pięknie zarysowanymi brwiami, w tych wielkich oczach nie było nic poza czystym szaleństwem.

— Miecz? Mój własny miecz? I oskarżenia? — Uśmiech Małej Kany przypominał wyszczerzenie kłów wściekłego psa. — Próbujesz zwalić winę na mnie? Bo pokazuję ci, że jesteś ślepcem z krainy ślepców? Jak niewiele wiesz i rozumiesz? Znów ta twoja człowiekowatość… Jeśli prawda nie pasuje do mojego obrazu świata, tym gorzej dla prawdy. Muszę ją zignorować, zapomnieć, zniekształcić. A jeśli to się nie uda – zniszczyć. I co teraz zrobisz? Issaram…

Zrobił krok w przód i oparł sztych miecza o jej szyję, w to zagłębienie, gdzie łączą się obojczyki.

— Nie jestem już Issaram. Nie mam duszy i…

— Zamknij się! — Machnęła ręką, nie zwracając uwagi na broń. — Nie można stracić duszy, wyrąbując dziurę w skale i łamiąc miecze, głupcze. Ciało bez duszy jest jak krwawiące jagnię w wilczej norze, łowcy znajdą je w kilka chwil. O tym też zapomnieliście? Narzucony plemienny zwyczaj zniekształcił i wyparł prawdę, a wy akceptujecie go, bo tak jest łatwiej i prościej. Wspólna dusza? W czym niby miałaby istnieć, co? Jakim rodzajem bytu miałaby być? Oświeć mnie. Wyjaśnij.

Pamiętał, że jako dziecko rzeczywiście często pytał, gdzie ona jest, lecz nikt z dorosłych nie potrafił mu dać zadowalającej odpowiedzi. Jedni mówili, że unosi się nad *afraagrą*, inni, że mieszka w ścianach kamiennych domostw albo że kuli się pod tronem Wielkiej Matki, oczekując na koniec czasów i Sąd. Najpopularniejsza koncepcja głosiła, że wspólna dusza zamieszkuje ciała żywych członków plemienia, a po śmierci jednego z nich jego dusza roztapia się wśród reszty, póki więc plemię będzie istnieć, póty jest nadzieja na odkupienie starożytnych grzechów.

To była dobra odpowiedź. Prawdziwa i szczera.

Ale wzbudziła tylko uśmiech politowania, na którego widok ręka trzymająca broń drgnęła mu raptownie.

— Naprawdę? — Uniosła brwi i zakryła usta dłonią, kpiąc z niego w żywe oczy. — A czyż wasi Wiedzący nie twierdzą, że dusza jest księgą zapisującą całe życie człowieka? Jego czyny, emocje, wspomnienia, jego szlachetność i podłość? Że człowiek to dusza, a ciało to tylko kupa mięsa i kości, nic więcej? Więc jak? Czy czułeś kiedyś, że coś w ciebie wstępuje? Po śmierci nawet najbliższego krewnego? Czy też towarzyszyło ci tylko poczucie straty? Odejścia. Czy poczułeś, kiedy umarł twój ojciec? A brat? A matka? Nie urodziła się jako Issaram. Czy jej dusza też powędrowała do mitycznej wspólnoty? Wiesz, co się dzieje, gdy wlejesz do kubka wody łyżkę wina? Nawet dziecko wyczuje zmianę smaku. A gdybyś wlał kilka łyżek? Kilkanaście? Czy gdyby umarło nagle wielu twoich pobratymców, ty stałbyś się innym człowiekiem? Czy po każdej wojnie między plemionami ci, którzy przeżyli, zmieniają się w innych ludzi? Bo fragmenty dusz innych Issaram odcisnęły na nich swoje piętno? Wspólna dusza nie istnieje, głupcze, nie może istnieć, bo przestalibyście być ludźmi takimi, jak ludzi pojmuje reszta świata. Kim stałbyś się, gdyby każda śmierć w plemieniu odmieniała rdzeń twojej osoby?

Pokręcił głową, i to było jedyne zaprzeczenie, na jakie się zdobył, bo najmniej ufał teraz własnemu gardłu. Jej twarz natychmiast skamieniała w grymasie pogardy.

— Ślepiec z krainy ślepców. Pierwszym krokiem do głupoty jest zaprzestanie zadawania niewygodnych pytań. Nie jesteś już Issaram? Po co udajesz? Przecież widzę, jak co rano przecierasz ostrze mieczy wilgotną szmatką, by je napoić, a co wieczór skłaniasz głowę w stronę zachodzącego słońca. Widzę, jak stawiasz stopy, gdy mija cię uzbrojony mężczyzna, i z jaką pogardą patrzysz na tych, którzy nie kłaniają się twojej bogini.

Złapała głownię miecza. Patrzył na ten gest jak zahipnotyzowany, czarna klinga była ostrzejsza niż brzytwa.

— Co właściwie trzyma cię przy mnie? Strach? Nie — odpowiedziała sama sobie. — Honor, a raczej jakieś dzikie, głupie, pierwotne poczucie wierności, które też wyryto ci w głowie plemiennymi bajkami. Wspólna dusza? Wasze dusze po śmierci idą do Domu Snu. *Kendet'h?* Droga? Jaka droga? Dokąd prowadząca? Do mitycznego końca czasów? Ten koniec już nastąpił, a wy go nie zauważyliście. A może do odkupienia? Jakiego? Za co? Pamiętacie? Nie! Harudi był głupcem, durniem, żałosnym półgłówkiem, który przypomniał innym o Baelta'Mathran, by zjednoczyć garść pustynnych plemion, bez których świat byłby lepszy. Ba, które tak naprawdę nie powinny istnieć, ale ona zdecydowała, że pozwoli im żyć. Suka. Sprytna i przebiegła ponad wszelkie wyobrażenie. Zasiać ziarno, mit o własnym istnieniu, zanim wyda się pierwszy krzyk…

Bez trudu odchyliła w bok czarną klingę.

— Nie wyciągaj na mnie broni, którą ci podarowałam — zasyczała. — Nigdy. I nie próbuj mi mówić, kim jesteś albo nie jesteś. To ja o tym decyduję. Dla mnie jesteś *batchi* – bryłą, bytem pośrednim między kawałkiem błota a istotą ludzką. Do tej pory kształtowały cię zwyczaje i prawa ludu, wśród którego się wychowałeś. Rozumiesz, co to znaczy?

— Nie.

— Że gdybyś wyrósł wśród Meekhańczyków, byłbyś jednym z nich, pracowałbyś i walczył dla chwały Imperium. Gdyby wychowali cię pustynni nomadzi, jeździłbyś na wielbłądzie i napadał na karawany. A gdybyś urodził się na wybrzeżu, łowiłbyś ryby albo budował statki. Rozumiesz? Tak naprawdę ciebie nie ma, nigdy nie było, zostałeś ukształtowany przez innych na ich obraz i podobieństwo, włącznie z ich człowiekowatością.

Prawdziwym człowiekiem będziesz, dopiero gdy sam wybierzesz swoją drogę.

Słuchał, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, bo nie pierwszy raz raczyła go takim bełkotem, i nie odrywał wzroku od drobnej dłoni zaciśniętej na ostrzu *yphira*, a w głowie kołatała mu jedna myśl. Przecież ona powinna obciąć sobie palce. Powędrowała za jego wzrokiem.

— Zdziwiony? Te ostrza mnie nie mogą zranić, głupcze. Spójrz jeszcze raz na swoje miecze i na to, na czym stoisz.

Spojrzał. Czarna, jakby wulkaniczna skała, gładka i szklista. I czarne, lśniące niczym obsydian klingi.

— Nadal myślisz, że zrobiłam je z pustynnego piasku?

— Czym one są?

— Mrokiem w czystej postaci. Krzywdą, kłamstwem oraz złamanymi obietnicami. I pamiętaj. Są moje. Ty je tylko nosisz.

Zamknął oczy, żeby nie patrzeć w obłęd, w łuskowate, śluzowate coś, co przyczaiło się na dnie jej źrenic.

— Ten płacz. Jak często go słyszysz?

I zadrżał, gdy odpowiedziała, bo w tej jednej chwili miał pewność, że mówi prawdę i tylko prawdę. Zapadło milczenie, coraz dłuższe i dłuższe, a on wciąż nie miał dość sił, by otworzyć oczy.

— Pojedziemy na południe. Daleko, za pustynię. Pani Losu chciała, bym wzięła udział w jednej z gier, jakie prowadzi, więc staniemy u stóp Agara od Ognia i lepiej, by nie przywitał nas zbyt gorąco.

Jej głos zmienił się, znów brzmiał normalnie, niemal przyjacielsko.

— To był żart. Odwiedzimy komnatę, którą Agar stworzył tysiąc lat temu, gdy otworzył tam swoje Oko, i będziemy świadkami pewnych negocjacji. Tyle mi powiedziała Eyfra. Nie ufam jej za bardzo, więc bądź uważny. Jeśli coś pójdzie źle, ty i Iavva możecie nie wystarczyć.

Poklepała go po policzku palcami zimnymi jak garść lodowych sopli.

— A jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci jeszcze do głowy wyciągnąć na mnie broń, pożałujesz, że nie umarłeś na pustyni, mój drogi Noszący Miecze.

Rozdział 7

Ciemność zapulsowała, zatętniła najpierw odcieniami szarości, potem kolorami. Po chwili kolory zgasły. Deana nabrała powietrza i omal nie krzyknęła. Zabolało. Leżała teraz nieruchomo, żebra przypominały o swoim istnieniu przy każdym oddechu, ale reszta ciała była chyba w porządku, nic innego nie bolało, poza tym, że nie mogła się ruszyć. I nic nie widziała…

Wdech – powolny, głęboki. Zignorować ostrzegawcze ukłucia. Wydech – od przepony, aż zabolą mięśnie brzucha.

Wdech… wydech… wdech…

Dopóki nie zakręci się w głowie, a w końcówkach palców nie pojawi się mrowienie.

Odszukała go, *sani* – płomyk umieszczony tuż poniżej mostka, punkt równowagi, miejsce, gdzie lokuje się kawałek duszy, obszar, przez który przepływa siła witalna całego ciała. Stąd bierze swój początek bitewny trans, tu najwięksi issarscy mistrzowie skupiają całą swoją energię.

Wdech…

Ostatnim wydechem dmuchnęła łagodnie na *sani*, a on rozrósł się, wypełnił ją. Mogłaby wejść w tej chwili w *khaan's* między jednym a drugim skurczem serca.

Wysiłek pozbawiony sensu dla kogoś, kto jest dobrze związany.

Sznury na wysokości kostek, kolan, dłonie skrępowane za plecami. Ktokolwiek ją związał, był bardzo ostrożny.

Jakieś rany oprócz potłuczonych żeber? Pamiętała nagłe wrażenie spadania i gwałtowne mdłości. Wyczuła czar, zanim mag go zwolnił, lecz zaklęcie było potężne… uderzyło szeroko, falą wysoką i głęboką na kilkanaście stóp. Pamiętała, że rzuciła się w bok, z szaleńczym przewrotem i przeturlaniem się po ziemi, w dół kamiennego zbocza, usiłując zejść z drogi czarom. Na końcu zbocza leżało kilka sporych kamieni.

Głowa zadudniła paskudnym, tępym łomotaniem gdzieś za lewym uchem.

Niech to Mrok pochłonie!

Zachowywali w karawanie nadzwyczajną czujność, ale to widać nie wystarczyło. W dzień po wyruszeniu od Oka Pani natrafili na pierwszą padlinę, i nikogo to nie zaskoczyło, bo przez cały ranek widzieli padlinożerców odprawiających w powietrzu taniec wdzięczności dla losu. Dwadzieścia końskich trupów leżało na ziemi, niektóre już spuchnięte, a ptaki ustawiały się karnie w kolejce do jadłodajni. Najpierw zjadacze oczu, mięsa i wnętrzności, potem pożeracze skóry i ścięgien, na samym końcu amatorzy kości. Na pustyni dało się niemal co do godziny ustalić datę czyjejś śmierci, obserwując tylko, kogo akurat karmi jego ciało.

Te konie zabito dwa dni temu, gdy Konowerczycy natknęli się na kolejny pusty wodopój. Każde zwierzę miało litościwie poderżnięte gardło, ich właściciele nie byli okrutni. Mimo to patrząc na czarne jamy oczodołów, rojące się od much, Deana poprzysięgła sobie, że jeśli Pani Losu pozwoli, porozmawia z tymi, którzy zabawiali się magią na pustyni.

Źródło, z którego zdjęto już pieczęć, pociło się właśnie na dnie wilgocią, pogłębili je trochę i do wieczora mieli dość wody. San Laweri wyglądał na zadowolonego, doprowadzi do Kan’nolet towar, zwierzęta i ludzi. Takiej właśnie kolejności użył, gdy o tym mówił, co wywołało ironiczne parsknięcie Ganwesa h’Narwi. Wiedzący powiadomił w końcu przewodnika o swoich podejrzeniach, lecz nie zmieniło to ich planów. Gdyby noszący błękity mężczyzna zawracał na każdą wzmiankę o czającym się na szlaku niebezpieczeństwie, nigdy nie ujechałby dalej niż milę od oazy czy miasta.

Wszyscy już wiedzieli, że posucha wśród wodopojów nie jest naturalna, a gdzieś przed nimi, oprócz konowerskiej karawany, muszą się znajdować także ci, którzy założyli pieczęcie na źródła. Gałązka i jego ludzie stale bawili się swoimi łukami, strażnicy Issaram chodzili bez przerwy z bronią, nie żeby to było coś dziwnego, zmienił się jednak sposób, w jaki ją nosili. Deana widywała takie napięcie u wojowników stających na placu przed pojedynkiem na śmierć i życie. Nawet woźnice i poganiacze wielbłądów ostentacyjnie obnosili się z szerokimi nożami, lekkimi toporkami i oszczepami.

A i tak ich zaskoczono.

Pamiętała, że drugiego dnia po minięciu studni rozbili obóz w cieniu wysokiej skalnej ściany. Słońce właśnie znikło za wzgórzami, zmówiła wie-

czorną modlitwę w towarzystwie kilku Issaram, po czym weszła do swojego namiotu, ściągnęła pas z szablami, sięgnęła po *ekchaar*.

Wspomnienia doprowadzały ją do tego momentu dość gładko, potem jednak był już chaos. Na pustyni zmrok zapada bardzo szybko, ledwo kilka chwil po zniknięciu słońca niebo pociemniało, zamrugało gwiazdami, niespodziewanie zawiał wiatr, ostry, chłodny, niosący piach i drobinki żwiru. Usłyszała, jak Ganwes krzyczy coś, próbując się przebić przez narastający huk, i wtedy ona też to poczuła… mrowienie w dłoniach, łaskotanie za uszami… Wypadła z namiotu, wyszarpując szable z pochew.

Pas poleciał gdzieś w bok. Nagle wokół znalazły się konie. Jeźdźcy, ktoś najeżdżał na nią, ciął z góry. Parada i kontra, zwierzę uniosło w mrok napastnika i jego wrzask. Czar, kolejny, zawisł w powietrzu i przez chwilę miała wrażenie, że ciemność w jednym miejscu stała się gęstsza, bardziej… nasycona, na mgnienie oka wszystko zamarło. Rzuciła się w bok w chwili, gdy obcy mag zwolnił zaklęcie, poturlała w dół zbocza i rozbiła głowę.

I tyle.

Tu pamięć odmawiała współpracy, choć wnioski wydawały się oczywiste. Ich karawanę rozbito nagłym, nocnym atakiem z użyciem potężnej magii, a ona sama dostała się do niewoli. Dlaczego jej nie zabili? Powinni. Issaram nie nadawali się do sprzedaży, mało kto zechce zapłacić za niewolnika, który może poderżnąć swojemu panu gardło albo popełni samobójstwo, bo ktoś ujrzał jego twarz.

Twarz… Aż ją skręciło. Czuła go… czuła *ekchaar*, a na nim opaskę na oczy, ale… Nie. Skup się.

Bardzo trudno jest wyczuć ubranie, fakturę tkaniny, rozmieszczenie szwów. Ciało, nawet nagie, rozgrzane po parowej kąpieli, szybko ignoruje takie rzeczy, zapomina je jako nieważne, ale…

— Nie odsłonili ci twarzy.

Prawie podskoczyła. Jak ją zwiódł? Nic nie słyszała.

— Ludzie tacy jak ja potrafią długo bardzo leżeć w nieruchu. Lubimy… nie głośno?

— Ciszę?

— Ciszę… Mój issarski nie najlepiej. Przyjmij przeprosiny.

Nie odpowiedziała. Teraz, gdy zdradził swoją obecność, mogła go zlokalizować. Szmer oddechu… i tyle. Naprawdę potrafił leżeć w bezruchu.

Mówił z szorstkim, chrapliwym akcentem, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski.

— Wschodnie plemiona?

Zaniósł się suchym śmiechem.

— Tak, mój nauczyciel był z w'wenii. Issarski trudny… Wybacz, że nie podejdę… związany.

— Jesteś więźniem?

— Jak ty. Rozbili naszą karawanę… zabili… nie znam słowa w twoim języku… duże zwierzęta… Jak szare głazy na czterech słupach.

— Słonie?

— Słonie.

— Były już słabe. My też… wody brak…

— Trzeba było się nie pchać na śmierć.

Zamilkł. Tylko oddech mu przyspieszył.

— Na śmierć… Miałem tam przyjaciół… Czasem nie ma wyboru.

— To Mahaaldzi?

Znów śmiech, który brzmiał jak szelest osypujących się kamyków.

— Nie wiem, kim są. Nie mam możliwości… by rozpoznać… zabójców. Język… głos może kłamać.

— Dlaczego cię nie zabili?

— Język… głos może przynieść życie. Potrzebują — zawahał się wyraźnie — kogoś, by rozmawiać z księciem… Jestem… *hamense*. Wielomówcą Książęcego Dworu. Znam dwadzieścia i siedem języków, w tym osiemnaście biegle, na czele z *geijv*, pierwszą mową Dworu. To jeden z powodów, dla którego żyję.

— Znasz meekhański? — przeszła na język Imperium.

Odetchnął głośno.

— O Święty Płomieniu, drugi co do ważności język świata w ustach dziewczyny z pustynnego plemienia. Pani Losu drwi sobie ze mnie — jego meekh był doskonały.

— Drugi?

— Pierwszym jest oczywiście *geijv* – Mowa Ognia. Jestem… Omenar Kamujareh, tłumacz jego wysokości księcia Laweneresa z Białego Konoweryn.

Zamilkł, najwyraźniej na coś czekając.

— Deana d'Kllean z d'yahirrów. *Awyssa* w drodze do Kan'nolet.

— Ładne imię, Deana. Takie… miękkie. Mówili, słyszałem… że jesteś issarską kobietą, ale nie wierzyłem. Dlaczego…

Wahanie w głosie, cień nieufności.

— Nie wiem. Powinni mnie zabić. Ja bym tak zrobiła. Muszą być pewni swego.

Mówiąc to, Deana wsłuchiwała się w ciemność. Ciągle unosiła się tuż nad głębią, w której rozpościerał swe dary bitewny trans, ale teraz przeniosła uwagę nieco dalej. Głos mężczyzny brzmiał głucho, odbijał się od czegoś, z lewej nie słyszała nic, on leżał kilka kroków od jej stóp, jeśli się nie myliła. Tylko z prawej… szelest obuwia na piasku, brzęk metalu, trzask dopalającej się gałązki, szmer… sugestia szmeru cichej rozmowy. Poza tym nic, ani wiatru, ani odgłosów pustyni.

— Jaskinia? Jesteśmy w jaskini? Nie w namiocie?

Po raz pierwszy poruszył się lekko.

— Doskonale. Masz niezły słuch, *awyssa* — ostatnie słowo rzucił w języku Issaram. — Tak. Idziemy na południowy wschód, prosto na Kaled On Bers.

Kaled On Bers. Palec Trupa, jak powiadano. Pustynna wyżyna pełna skał, głazów i kamieni, właściwie pozbawiona wody. Miejsce omijane przez karawany, które wolały nadrabiać i sto mil, byleby nie zapuszczać się w ten odludny rejon. Plotka głosiła, że ktoś, gdzieś, kiedyś znalazł tam jedno jedyne źródło, ukryte głęboko w jaskini, ale nikt nie wiedział, gdzie to jest.

Bandyci musieli być szaleni.

— Są mądrzy. — Mężczyzna dobrze zinterpretował jej milczenie. — Już dwa razy zmienili konie. Tu też… czekały dzbany z wodą i jedzenie. Przygotowali się.

Przygotowali. To oczywiste, ludzie, których stać na wynajęcie do pomocy potężnego czarownika, albo i kilku, którzy zakładają magiczne pieczęcie na źródła i wiele dni czekają na sposobność ataku, muszą cenić umiejętność przygotowywania się i planowania. Trochę to nie pasowało do gorącokrwistych pustynnych plemion, dla których dobra walka to szarża na najbliższego wroga i krótkie starcie z trzema możliwymi zakończeniami – zwycięstwem, ucieczką lub śmiercią. Pułapka, w którą ich złapano, była zaś taka… prawie że meekhańska.

— Dwa razy?

— Dwa. Jedziemy prawie cały dzień.

Cały dzień. To stąd to uczucie, że koza załatwiła się jej w ustach. Deana poprawiła się na tyle, na ile pozwoliły więzy.

— Powiedziałeś księcia? Wcześniej…

— Tak. Księcia Laweneresa z Białego Konoweryn. Dziecięcia Ognia, Oddechu Pożogi i Garści… ten tytuł trudno przetłumaczyć… chyba powinno być Garści Popiołu w Przerażonych do Obłędu i Wykrzywionych Strachem Ustach Jego Wrogów.

— Będzie potrzebował dużo miejsca na nagrobku, czy jak tam w Konoweryn chowacie zmarłych.

— Ciało księcia, zgodnie ze zwyczajem, zostanie spalone, a popioły po zmieszaniu z zaprawą wmurowane w posadzkę Świątyni Agara Czerwonego, Pana Ognia, Dawcy Światła, Pogromcy Wiecznego Mroku, Tego… Chcesz wysłuchać wszystkich tytułów?

— Nie, może kiedy indziej. Schwytali księcia?

— Gdyby tego nie zrobili, już bym nie żył. Tak. Napadli na naszą karawanę, zabili połowę ludzi, porwali księcia i mnie i uprowadzili na środek najbardziej suchej pustyni znanej ludziom.

— Czego chcą?

— Czy to nie oczywiste? Złota, klejnotów, kości słoniowej, przypraw, wygodnego życia, pięknych kobiet i gromady niewolników na każde skinienie. Wszystko to mogą dostać jako okup, a Białe Konoweryn zapłaci za swojego księcia każdą cenę.

W jego głosie zabrzmiała nagle gorycz. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jaki był jej powód. Za jakiegoś tłumacza księstwo nie zapłaciłoby złamanego miedziaka.

Na zewnątrz rozległy się kroki, usłyszała szarpnięcie zasłony, cichy pisk i potok niezrozumiałych słów przepełnionych gniewem. Dziecko? Parsknięcie, na wpół rozbawione, na wpół zniecierpliwione, i odgłos ciała rzucanego na ziemię.

Jej rozmówca odezwał się do tego, kto wszedł, pokornie i cicho, bandyta odpowiedział w języku, którego Deana nie potrafiła rozpoznać, po czym zbliżył się i szturchnął ją nogą.

— Ty żywa. Ty mądra… ty… dobra? Dobra, tak. Jak ty zła — zgrzyt ostrza o okucie pochwy i ukłucie pod brodą — ty martwa.

Mówił… próbował mówić meekhem, który powoli stawał się uniwersalną mową kontynentu.

— Rozumiem — odpowiedziała powoli.

— Ty dobra, ty żywa. On da jeść i pić, nie rozwiąże. Ty towar. Dobra cena. — Klinga przestała ją kłuć w szyję. — Ty mądra, ty żywa.

Bandyta pokręcił się po jaskini, wyszedł i wrócił po chwili, rzucając na ziemię jakiś pakunek i bukłak.

— Jedzenie, picie. Ty żywa, książę… dobry? Posłuszny, tak… posłuszny. Obiecał — reszty słów nie zrozumiała, bo zbój przeszedł znów na swój dialekt.

Omenar odpowiedział kilkoma krótkimi słowami, po których mężczyzna chrząknął znacząco i wyszedł.

Usłyszała głosy. Tłumacza i drugi, młodszy, zdecydowanie należący do dziecka. Rozmawiali cicho, pełnymi pasji zdaniami. Jakby krzyczeli szeptem.

— Książę?

— Tak. Jego wysokość Laweneres z Białego Konoweryn, drugi w kolejce do Czerwonego Tronu, młodszy brat Sameresa Trzeciego, Wielkiego Księcia Białego Miasta.

— A… ile książę ma lat?

— Jedenaście. Lecz wiek nie ma znaczenia w przypadku, gdy błogosławiony ogień płynie ci w żyłach.

Znów kilka zdań, krótkich, gniewnych.

— Książę nie jest zadowolony, że muszę mu zawiązać oczy, ale jak rozumiem, wolałabyś, żeby nie zobaczył twojej twarzy.

— Tak. Rozwiązali cię?

— Tylko ręce. Musisz być cierpliwa.

— Też załóż opaskę.

Cichy śmiech.

— Już mam.

Szelesty, szepty, odgłos pełzania, dotknięcie. Bardzo delikatne.

— Zraniłaś się, upadając, krew zdążyła zaschnąć. — Poczuła, jak muska palcami lewą stronę jej głowy. — Mogę lekko unieść zasłonę z twojej twarzy…

— Zdejmij mi opaskę. Chcę widzieć.

— Dobrze.

Poradził sobie z węzłem w kilka chwil. Zamrugała, by usunąć piasek z oczu. I szarpnęła głową, widząc jego twarz, oczy…

— Zaskoczona? — Uśmiechnął się.

Patrzyła na jego źrenice, białe, zakryte błoną podobną do rybiego pęcherza.

— Ludzie jak ty…

— Tak. Jak ja. To drugi powód, dla którego mnie nie zabili. Ślepiec nie jest groźny, za to może się zająć księciem, przypilnować, nakarmić, no i tłumaczyć. — Jego dotknięcia były niespodziewanie delikatne, nagle zasyczał.

— Czujesz? — Nacisnął mocniej i nagle poczuła pieczenie i tępy, narastający ból. — Krew posklejała twoją zasłonę, trzeba to zrobić delikatnie, ale i tak może zaboleć. Uprzedzę cię…

Zaczął opuszkami palców badać skrzep. A ona poświęciła chwilę, by mu się dokładnie przyjrzeć, młody, na oko nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, czarne włosy miał dość długie i związane w niedbały kucyk, za to czarną brodę krótką i równo przystrzyżoną. I wszystko, ubiór, gładka cera i delikatne dłonie, potwierdzało, że był tym, za kogo się podawał, czyli jakimś dworskim sługą. Potem rozejrzała się wokół. Jaskinia była niewielka, tylko sześć, siedem jardów szerokości, a normalny człowiek miałby kłopot, żeby się w niej wyprostować. Pod sąsiednią ścianą siedział w kucki chłopiec z twarzą przewiązaną czarną opaską. Bogato zdobione jedwabne spodnie i koszula były zakurzone i porwane.

— Książę?

— Owszem. Starszy brat wysłał go w podróż na północ, by jego wysokość zaczął się zapoznawać z niuansami polityki. Białe Konoweryn pragnęło zmniejszenia ceł dla swoich towarów wysyłanych na teren Imperium, oferując w zamian otwarcie portu dla meekhańskich statków. Obecnie gildie kupieckie z Ponkee-Laa mają niemal monopol na handel morski z Dalekim Południem, lecz istnieje inny szlak między Imperium a nami. Przez Morze Białe i wzdłuż wybrzeża.

Badał jej *ekchaar* i nie przestawał mówić. Po raz pierwszy od lat robił to ktoś obcy, po raz pierwszy w życiu ktoś spoza plemienia. Aż coś ją w środku skręcało.

— Po wojnie z koczownikami setki tysięcy niewolników z północy trafiło na ulice Białego Miasta właśnie tą drogą. Najpierw nad morze, potem na pirackie krypy, przez Cieśninę Kahijską i wreszcie wzdłuż… uwaga…

— Szarpnął nagle, a Deana poczuła, jakby zerwał jej z głowy pół skalpu. — Już… już…

Miał chłodne, zwinne palce, mimo to odnosiła wrażenie, że każde jego dotknięcie to uderzenie rozżarzonym młotkiem.

— To jest twoje delikatnie? — wystękała.

— To jedyna delikatność, jaką mogę ci teraz oferować, *awyssa*. Mogłem też zwilżyć opatrunek wodą, ale wtedy dostałabyś pić najwcześniej jutro rano, pod warunkiem, że przeżyłabyś noc. Nie jest źle. To głównie stłuczenie i jedna nieduża, choć głęboka rana.

Pochylił się, powąchał ją.

— I na dodatek nie jest zapaskudzona. Nie umrzesz… przynajmniej nie od gangreny. Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, delikatnie odwinął jej *ekchaar* do końca. To było dziwne, patrzeć nie przez warstwę materiału na obcą twarz, która nie ma zasłoniętych oczu. Czuła się, jakby była naga.

— Najpierw woda, potem coś, co nazywają tu sucharami.

Napoił ją, ostrożnie, najpierw mały łyk, chwila przerwy, potem następny.

— Dużo wiesz jak na zwykłego tłumacza — rzuciła między jednym a drugim pociągnięciem z bukłaka.

— Nie zwykłego. Książęcego. Zaprzysiężonego na Pamięć Ognia do mówienia prawdy i tłumaczenia najlepiej, jak to możliwe. Brałem udział we wszystkich rozmowach księcia, od samego początku do bezsensownego końca. Meekhan przysłał na granicę jakiegoś podrzędnego dyplomatę, który miał uprawnienia zaledwie do wymiany podarunków i podpisania kilku grzecznościowych pism… — Zaklął w swoim języku. — Napij się jeszcze. Mdli cię?

— Nie.

— To dobrze. — Skinął głową, zadowolony. — Imperium szykuje się ponoć do wojny z koczownikami. Znów. Gromadzi wojska, pręży mięśnie… Nie w głowie mu budowa dużego portu na Morzu Białym i wystawianie floty. Nie chciało im się nawet znaleźć drogi przez góry dla słoni, które miały być prezentem dla cesarza. Musieliśmy wrócić do domu z niczym. Pij.

Pozwolił jej na kilka głębszych łyków i wyciągnął przed siebie dłoń, na której leżały trzy bliżej niezidentyfikowane grudki.

— Jedzenie — mruknął tonem lekkiej pogawędki. — Te suchary… Podobno robią je z wielbłądziego łajna i koziej sierści, ale za to nadają się do przechowywania latami, bo żaden szanujący się robak nie spróbuje w nich zamieszkać. Życzę apetytu.

Nie było tak źle. Wręcz przeciwnie, suchary okazały się nawet smaczne. Jak na suchary. Zaczynała rozumieć, na czym polega poczucie humoru jej towarzysza.

— Książę… — Przełknęła i skinęła głową w stronę chłopca, który zachowywał się nad wyraz spokojnie. — Ten bandyta powiedział, że książę obiecał im coś w zamian za moje życie. Czy to prawda?

Niewidomy wzruszył ramionami.

— Prawda nieprawda. Gdyby chcieli cię zabić, toby zabili, nieważne, co by im ktokolwiek obiecał. Książę przyrzekł, że nie będzie sprawiał kłopotów – jakby, na łajno Mamy Bo, mógł takie sprawić – byleby zostawili cię przy życiu. Choć teraz myślę, że i tak by tego nie zrobili. Jesteś cenna… jako towar.

— Issaram są kiepskimi niewolnikami. Gdybym miała swoje *talhery*…

— No. A gdybyśmy my mieli tu książęcą straż. — Z łagodnym uśmiechem uciął jej gdybanie. — Ale Issarowie są dobrymi wojownikami. Poza tym w niektórych południowych księstwach… Nie w Konoweryn, rzecz jasna, nie jesteśmy barbarzyńcami, ale w innych są sposoby, dzięki którym można nieźle zarobić na kimś takim jak ty. Areny, na których walczy się na śmierć i życie, ludzie z ludźmi, ze zwierzętami, z potworami łapanymi na pograniczu Uroczysk. Tysiące przychodzą oglądać takie walki. Jedz.

Pogryzła, przełknęła.

— Nie zmuszą mnie do walki ku uciesze gawiedzi.

— A jeśli zakują cię w łańcuchy, odsłonią twoją twarz przed jakimiś wojownikami, po czym zasłonią ją z powrotem i wypuszczą cię z nimi na arenę? Tylko ty, twój miecz i śmierć tych ludzi, w zamian za ocalenie własnego kawałka duszy? Tak, znam waszą wiarę… Jest wiele kijów, którymi można pognać ludzi tam, gdzie się chce. Issarowie nie różnią się od innych tak bardzo, jak by chcieli. Teraz nie mów, tylko jedz. Jego wysokość nie należy do cierpliwych, a siedzi już tak z kwadrans.

Gdy skończyła, delikatnie założył jej *ekchaar*. Z dużą wprawą.

— Robiłeś to już kiedyś?

— Nauczono mnie tego. W Konoweryn pojawiają się czasem twoi pobratymcy, ci, którzy prowadzą karawany. Uczyłem się języka od kilku z nich. Opowiadali mi o waszych zwyczajach, kulturze, sposobie patrzenia na świat, szaleństwie oczekiwania na kolejną wielką rzeź, którą bogowie mają zgotować nam wszystkim…

Przerwał, jakby czekając na jej reakcję.

— Nic nie powiesz? Myślałem, że potrafię bardziej denerwować ludzi.

— Lepiej być przygotowanym i nie doczekać się nieszczęścia, niż jak głupiec stać plecami do lawiny, pochylając się nad kwiatkiem.

— Tego przysłowia nie słyszałem.

— To powiedzenie mojego wuja.

— Wuj jest mądry. A co mówił o ludziach, którzy nie tyle są przezorni, ile w głębi duszy liczą na nieszczęście? Modlą się o koniec świata? Oczekują go, bo mają nadzieję na to, że są wybrańcami?

— Naprawdę sądzisz, że tego chcemy? No to za wiele nie zrozumiałeś z naszych obyczajów.

Uśmiechnął się, po czym rzucił kilka słów w swoim języku. Chłopak natychmiast zdjął opaskę i podszedł do nich. Z poważną miną skłonił się jej lekko i zapytał o coś, wskazując na więzy.

— Książę pyta, czy ci ich nie poluzować, ale jeśli któryś ze strażników sprawdzi to, zabiją cię na miejscu. Zaryzykujesz?

Poruszyła lekko dłońmi. Zamrowiły.

— Oczywiście jeśli to odkryją, zabiją też mnie, mimo mojej wartości.

— Ślepego niewolnika?

— Ślepego tłumacza. Mówiącego większością języków Dalekiego Południa. Jak sądzisz, ilu takich jak ja można spotkać na targach narzędzi obdarzonych mową? Nie jestem głupcem, moja wartość to ułamek wartości księcia, ale mogą dostać za mnie kilka koni albo dziesięciu niewykształconych niewolników. — Uniósł brwi w dziwnym grymasie. — Może nawet tyle samo, co za ciebie. Co z więzami?

— Niech zostaną. Podziękuj księciu, że się za mną wstawił.

Wymienili kilka zdań, chłopiec zaśmiał się nagle, krótko, szczerze.

— Książę mówi, że to nic takiego. I że powinnaś się cieszyć, że tu jesteś.

Kroki. Chłopiec śmignął pod ścianę jak mała jaszczurka, jego sługa szybkim ruchem założył jej opaskę. Tym razem było ich dwóch. Jeden

odciągnął od niej ślepca, drugi podszedł bliżej, przyłożył jej sztych do szyi i szybko, dokładnie sprawdził więzy.

— No — mruknął cicho — a już miałem nadzieję.

Jego meekh był doskonały. A głos młody.

— Na co?

— Na brak rozsądku. — Cofnął sztylet. — Książę obiecał nam, że będzie grzeczny, jeśli cię nie zabijemy, prawda?

Tłumacz chrząknął.

— Tak. Padła taka obietnica.

— Co prawda — bandyta usiadł przy niej i nagle poczuła jego dłoń wędrującą po ciele, przez udo, brzuch, piersi — istnieje jeszcze kilka interesujących powodów, by utrzymać cię przy życiu, a moi ludzie bez przerwy o nich wspominają, lecz na razie nie mamy na to czasu. Poza tym któryś mógłby się zapomnieć i poluzować ci więzy. Muszę im tłumaczyć, że złoto, które za ciebie dostaniemy, pozwoli im kupić wiele młodych niewolnic.

Nie drgnęła, choć miała wrażenie, że po jej ciele pełznie jadowity wąż.

— Oczywiście książę jest naszym priorytetem. Och, wybacz, to pewnie zbyt trudne słowo, zatem powiem prosto – książę jest najważniejszy, dziesięć, sto razy ważniejszy, więc jeśli zrobisz coś, cokolwiek, co mogłoby nas opóźnić albo w jakikolwiek sposób nam przeszkodzić, ty i jego sługa zapłacicie głowami. Jestem człowiekiem, który lubi wyzwania, przyznam, a utrzymanie cię przy życiu i sprzedaż jest dla mnie wyzwaniem. Lecz nie jestem głupcem.

Zacisnął nagle dłoń na jej piersi, mocno, brutalnie.

— Więc jeśli sprawisz mi kłopot, najmniejszy, choćby sugestię kłopotu, to odżałuję tych kilka niewolnic, pozwolę moim ludziom na chwilę rozrywki, po czym, tuż przed świtem, obejrzę sobie twoją twarz i poczekam, aż pocałuje ją słońce. I będę ci patrzył w oczy. Podobno dusza mieszka w oczach, więc może, jeśli będę miał szczęście, zobaczę, jak twoja umiera. Zrozumiałaś?

Cofnął rękę.

— Tak.

— Doskonale. A sługa księcia umrze wraz z tobą, tak dla równowagi. — Nie widziała twarzy bandyty, ale za jego słowami czaił się lekki, okrutny uśmieszek. — Wyruszymy wieczorem, więc macie kilka godzin na odpoczynek. Radzę je wykorzystać.

Wstał i opuścił jaskinię, ale przez chwilę Deana czuła się tak, jakby jego ręka wciąż znajdowała się na jej ciele. Miała ochotę wytarzać się po ziemi, byleby tylko zetrzeć to wrażenie. Jeszcze nigdy, nikt – nigdy i nikt – nie ośmielił się jej tak dotknąć. Jakby była zwierzęciem, kawałkiem mięsa na sprzedaż.

— Przywiązał nas do siebie, *awyssa*.

— C… co? — Dłoń bandyty nie chciała zniknąć.

— Przywiązał. Nas. Księciu powiedział, że jeśli będzie sprawiać kłopoty, zabije jego sługę i ciebie, tobie powiedział, że zabije mnie, mnie powiedział, że zabije ciebie. Trzymamy nawzajem nasze życia w dłoniach. Nieźle, jak na pustynnego bandytę.

* * *

Gdy oddech leżącej kobiety się wyrównał, książę i sługa przysunęli się do siebie. Chwilę milczeli, wreszcie chłopiec odezwał się w *geijv*:

— Śpi.

— Też tak sądzę. Zdumiewające. — Mężczyzna naprawdę był pod wrażeniem. — Ci Issarowie są twardzi jak skała.

— Myślisz, że przysłali ją nam specjalnie? Żeby szpiegowała?

— Nie wiem. Po co by nas miała szpiegować? Ślepca i chłopca, obu związanych? Zresztą sprawdziłem. Naprawdę ktoś rozbił jej głowę. I naprawdę nie ma pojęcia, kim jesteśmy.

— Skąd wiesz?

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i wyjaśnił. Chłopiec pokręcił głową z dezaprobatą.

— Jesteś szalony, wiesz?

— Wiem. Ale w szaleństwie nasza jedyna nadzieja. I w ich chciwości. Co widziałeś w obozie?

— Dwa tuziny ludzi, trzy koni. Wszyscy pod bronią, z wyjątkiem jednego starego niewolnika, sługi herszta. Ten niewolnik dał mi kawałek placka i dodatkowy łyk wody.

— Może nam pomóc?

Chłopiec zatrząsł się.

— Gdy mnie dotknął, jakby po skórze przepełzł mi wąż. Nie zaufam mu.

— Dobrze. Nie wzięliby go ze sobą, gdyby nie był oddany swojemu panu ciałem i duszą. A teraz spróbuj zasnąć… mój panie.

Parsknięcie jego towarzysza było jedyną odpowiedzią.

* * *

Bandyci wędrowali dzień za dniem, zatrzymując się w sobie tylko znanych miejscach, najczęściej tam, gdzie czekały dzbany z wodą i zapasy jedzenia. Dzięki temu, że nie musieli wieźć jednego i drugiego, poruszali się szybko, robiąc, według oceny ślepego tłumacza, po trzydzieści–czterdzieści mil dziennie. Sama Matka wiedziała, na jakiej podstawie to obliczał.

Deana jechała na koniu z nogami związanymi pod jego brzuchem i już pierwszego dnia zaczęła się modlić, by ją zabili. Tyłek, uda, plecy, wszystko bolało ją jak obite trzonkami toporów, związane za plecami ręce uniemożliwiały zmianę pozycji, a opaska zorientowanie się, gdzie się znajdują. Kiwała się bezwładnie w siodle i tylko od czasu do czasu, gdy już-już miała spaść, czyjaś brutalna dłoń łapała ją za ramię i przytrzymywała.

Pierwsze trzy noclegi pamiętała jako czarne dziury, w które wpadła po zwaleniu się na ziemię i z których wyciągał ją krótki kopniak, obwieszczający początek kolejnego dnia męki. Ślepy tłumacz poił ją i karmił dwa razy dziennie, ale prawie nie rozmawiali. Nie było kiedy.

Dopiero piątego dnia ucieczki bandyci zwolnili, a ich herszt, widząc, jak Deana po raz kolejny prawie spada z konia, kazał jej przywiązać ręce do przedniego łęku i zdjąć opaskę. Najwyraźniej czuł się już pewniej, a dziewczyna zrozumiała czemu, gdy tylko rzuciła okiem na prawo i lewo.

Otaczały ich skały. Szare, brązowe i czerwonawe. Znajdowali się w wąwozie wysokim na kilkanaście jardów, a gdy wreszcie go opuścili, otworzyła się przed nimi plątanina ścieżek, pęknięć w skałach, osypisk wielkich głazów i jarów. Nie musiała pytać, gdzie są. Kaled On Bers. Palec Trupa wyciągnął się w ich stronę, a bandyci wjechali na niego z dziką radością. Najbardziej bezwodna i bezludna część Travahen, gdzie nawet sępy nie zakładają gniazd. Legendy mówiły, że każdy, kto tu zabłądził, w kilka dni zmieniał się w wysuszone na wiór truchło, wywijające co noc dzikie hołubce ku uciesze pustynnych duchów.

Lecz ich porywacze poruszali się w tym labiryncie szybko i bez wahania, odnajdując sobie tylko znane ślady, kierujące ich do kolejnych schow-

ków z zapasami. Prowadził młody herszt, za nim podążał stary niewolnik z żelazną obrożą na szyi, po nich kilku zbrojnych, ona, książę ze sługą na jednym koniu, i reszta oddziału. Bandyci… dobrze uzbrojeni, dobrze odżywieni, żadna tam przypadkowa zbieranina pustynnych wyrzutków. Obserwując, jak szybko i sprawnie rozbijają obozy, Deana przestała się dziwić, że udało im się zaatakować i zniszczyć dwie karawany. Jedno jej tylko nie pasowało, ten tuzin ludzi nie mógł stanowić całej bandy. Było ich zbyt niewielu, no i brakowało czarownika.

Kolejny raz udało jej się porozmawiać z Omenarem dopiero siódmego dnia wędrówki. Do tej pory noclegi odbywały się w obozie – bandyci leżeli kilka kroków od jeńców i każdy ich szept karali uderzeniami kija. Ale wtedy zatrzymali się przy skalnej ścianie upstrzonej otworami niewielkich jaskiń i jedna z nich znów posłużyła im za schronienie. Tłumacz nakarmił ją i napoił, obejrzał ranę na głowie i stwierdził, że nie powinna mieć zbyt dużej blizny.

— Nie mów mi o bliznach — prychnęła mu prosto w twarz. — Co z księciem?

Wskazała na chłopca leżącego twarzą do ściany.

— Śpi. Ma się dobrze. Jest mniejszy, więc potrzebuje mniej wody. Wytrzyma.

— A ty?

— Ja też. Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Gdzieś na Palcu Trupa.

— Tak. Czuję zmianę w powietrzu, słucham rozmów. Mówią, że mamy za sobą już połowę drogi.

— Dokąd?

— Też chciałbym wiedzieć.

— Żeby spotkać się z resztą? — podsunęła.

Uśmiechnął się leciutko.

— Sprytna jesteś. Tak, było ich cztery, może pięć razy więcej. Pij. Powoli. — Przyłożył jej kubek do ust. — Zaraz ci dam jeść. Uciekali zwartą kolumną przez pierwsze kilka godzin, potem rozdzielili się na kilka grup i każda pomknęła w swoją stronę. Powoli, mówię. — Odsunął naczynie. — Jak się zakrztusisz, więcej wody nie będzie. Wątpię jednak, by ci tutaj planowali spotkanie z resztą grup. Któraś z nich mogłaby ściągnąć za

sobą pogoń. Nie, raczej pozostałe odciągnęły pościg i rozproszyły się po pustyni. Nasi gospodarze czują się tu bezpieczni.

Nie musiał jej tego mówić. Od trzech dni jechali wolniej, robiąc może połowę tej drogi, co na początku. Na dodatek bandyci szczerzyli się, żartowali, siedzieli w siodłach z nonszalancją władców świata.

— W myślach wydają już złoto otrzymane za księcia — mruknęła.

— Owszem. Zauważyłaś, że nie dbają już o to, czy będziemy ze sobą rozmawiać, czy nie? Są pewni swego. Rozdają suchary i suszone owoce. — Sardoniczny grymas wykrzywił mu wargi. — Dbają o nas, zwykle niewolnicy dostają kilka garści robaczywego ziarna. Ale masz rację, udało im się.

Zdumiała się, słysząc coś w rodzaju uznania w jego głosie.

— Podziwiasz ich?

Odpowiedzią był kpiący grymas.

— Prawie. Mogą być wrogami, ale to nie znaczy, że nimi gardzę. Pogarda dla wroga odczłowiecza go, pozwala przypisać mu najgorsze cechy, takie jak głupota, tchórzostwo, zezwierzęcenie. Przez pogardę z łatwością sięgamy po okrucieństwo i terror, by przekonać się, że wróg odpowiada nam tym samym, co utwierdza nas w przekonaniu, że się nie pomyliliśmy. Więc gardzimy nim jeszcze bardziej… Na końcu tej drogi dwie oszalałe z nienawiści bestie próbują poprzegryzać sobie gardła.

Przełknęła rozmoczony suchar i kilka rodzynek, które żuła od dłuższej chwili.

— Wody — poprosiła, a gdy pozwolił jej na kilka łyków, dodała — zawsze mówisz takimi długimi zdaniami? Czy tylko gdy się boisz?

— Jestem tłumaczem i uczonym. Podziwiam… sprawny umysł. Zniszczyli karawanę, której strzegła setka zbrojnych, z czego połowa to Słowiki, i dwa słonie. Byliśmy osłabieni brakiem wody, ale i tak… zajęło im to mniej niż kilkadziesiąt mrugnięć oka. Potem rozbili twoją, choć sądzę, że to przypadek, wpadli na was, wycofując się po ataku, a że nie było czasu na zmianę planów, po prostu zaatakowali, by wyciąć sobie drogę. A teraz na dodatek udało im się umknąć pogoni. Cenię ludzi, którzy używają rozumu. Gdybym miał dość pieniędzy, wolałbym, żeby ci bandyci dla mnie pracowali — westchnął. — I owszem, boję się. Jeśli zgubili pogoń, to jesteśmy na ich łasce. I jedyna nasza nadzieja w tym, że wszystko pójdzie po ich myśli.

— A jeśli nie?

— Zabiją nas i książę nigdy nie wstąpi do Oka, by pokłonić się Panu Ognia.

— Powinieneś się martwić o swój los. W razie problemów ty czy ja pierwsi damy gardła.

— Wiem o tym. Więc co z tym zrobisz?

Spojrzała mu w oczy, napotykając mleczną zasłonę. Nie potrafiła z nich nic wyczytać.

— Sprawdzasz mnie?

— A jeśli? Możesz kupić sobie życie i wolność, zdradzając księcia — powiedział nadspodziewanie poważnie.

— A jak — szarpnęła związanymi rękami i nogami — na litość Wielkiej Matki, miałabym to zrobić?

Wzruszył ramionami.

— Wychowałem się na książęcym dworze, jak większość służby. Widziałem intrygi i podstępy pałacowych koterii, świątynnych stronnictw i Rodów Wojny. Twarz zdrady odbita w tysiącu luster uśmiechała się do mnie z każdego zakamarka. Gdy dorastasz w takim miejscu, gdy masz świadomość, że… dla innych jesteś tylko pionkiem, mało znaczącą figurą na planszy, uczysz się… Nie, wybacz, nie to chciałem powiedzieć. To — wskazał palcem oczy — jest pamiątką po jednej z pałacowych gier. Głupi dzieciak zakradł się do sypialni ojca i skosztował wina, które stało na stoliku przy łożu. Skosztował tylko odrobinę, żeby nikt się nie zorientował, i dzięki temu zachował życie. Godzinę później dostał drgawek i z pianą na ustach tańczył po posadzce. Ocalił go jeden ze sług, który rozpoznał truciznę i podał antidotum, choć nie uratował chłopcu oczu. Nigdy nie schwytano tych, którzy chcieli zabić mojego ojca, ot, po prostu jedna z tysięcy pajęczych nici oplatających książęcy pałac, która sięgnęła w nasze życie.

Nagle uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo, co stanowiło dość makabryczny widok.

— Nie zanudziłem cię? Na palcach jednej ręki mogę zliczyć ludzi, którym ufam. Jeśli mam plan i ci go zdradzę, co zrobisz? Pójdziesz do ich herszta, żeby kupić sobie wolność?

Do herszta. Znów poczuła dłoń wędrującą po jej ciele. Parsknęła cicho.

— O tak, chciałabym do niego pójść. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Skinął głową, nagle poważny jak sama śmierć.

— Dobrze. W tym jednym ci zaufam. Muszę, prawda? — Odsunął się od niej. Kolejny szept dobiegł do niej spod ściany. — Jestem ślepcem, który ma pod opieką dziecko. Tłumaczem i uczonym. Nigdy nie ćwiczono mnie w walce i nawet stuletni starzec uzbrojony w kij mógłby mnie pokonać. Jeśli ucieknę z księciem, jak daleko zajdziemy na tej pustyni? A więc jaki mogę mieć plan?

Nie odpowiedziała, świadoma, że słowa są zbędne.

— Mój plan to modlić się o cud i liczyć na to, że issarska wojowniczka okaże się godna legendy swojego ludu.

Po chwili mrok wypluł jeszcze kilka słów.

— I że nas nie sprzeda.

Rozdział 8

Altsin obudził się, jak zwykle, dosłownie kilka chwil przed świtem. W trakcie spędzonych wspólnie miesięcy jego ciało zgrało się z rytmem mnisiego życia i niezależnie od tego, czy miał za sobą noc przespaną spokojnie, czy wypełnioną ciężką pracą i nieprzyjemnymi niespodziankami, otwierał oczy tuż przed chwilą, w której nad klasztorem rozbrzmiewał odgłos porannego dzwonu. Śniły mu się… poszukał w pamięci… krowy, kozy i jakieś rozpaczliwe poszukiwania tych zaginionych zwierząt, poszukiwania, które zakończyły się gonitwą po krętych uliczkach Kamany połączoną z tropieniem uciekających dziewczyn. Normalny sen, splatający bliżej nieokreślone skojarzenia z przeszłości z wydarzeniami ostatnich dni.

Westchnął i usiadł. Miał pojedynczą celę, luksus zarezerwowany dla szczodrych „oczekujących", którzy złożyli odpowiedni datek dla zakonu. Luksus zaczynał się i kończył na zapewnionej w ten sposób samotności, bo drewniana prycza z materacem z morskiej trawy, przykryta wełnianym kocem, stolik, taboret oraz dwa kołki w ścianie, na których wieszał ubrania, to było wszystko, co klasztor mógł mu zaoferować.

Sypiał już w gorszych miejscach.

Dzwon obwieścił, że za kwadrans podadzą śniadanie, potem zaczną się normalne obowiązki. Jako gość Altsin mógł ograniczyć prace w klasztorze, wybierać te, na które miał ochotę, lub nawet zupełnie się z nich wymigać, oznajmiając tylko przeorowi, że ma pilne sprawy do załatwienia. Rzadko korzystał z tego przywileju, czynił to głównie wtedy, gdy przyczajona w jego głowie obecność przypominała o swoim istnieniu, i robił unik.

Wczoraj… wczoraj na chwilę, dosłownie kilka uderzeń serca, stał się kimś innym. Zaczął myśleć, jakby był Bitewną Pięścią Reagwyra, *awenderi* samego Pana Bitew, a wszystko stało się tuż po zajściu z mittarskimi marynarzami, z których jeden…

Niech to zawszony cap wydupczy! Złodziej wstał, omal nie wywracając stolika. Jeden z nich powiedział, że ponieśli jakąś stratę! A dziewczyna

miała mittarski znak galerniczy na skórze. Pani Jasna, gdyby nie był tak zmęczony w chwili, gdy ją znaleźli, skojarzyłby to pewnie od razu! Kilku bandziorów włóczących się nocą po portowych uliczkach. Nie byli pijani, więc nie odwiedzili żadnej tawerny, a prawdopodobieństwo, że specjalnie szukali mnichów roznoszących jedzenie, było żadne. Najpewniej tropili uciekinierkę, a gdy jej nie znaleźli, postanowili choć trochę zarobić, bo ich galera…

Pewnie właśnie wypływała z portu.

Właściwie ta wiedza nic mu nie dawała. Nawet gdyby zgłosili sprawę w porcie, kapitan galery z pewnością wszystkiego by się wyparł, załoga też pewnie zaklajstrowałaby sobie gęby smołą szkutniczą, i jeśli nie mieli na pokładzie innych seehijskich więźniów, niczego nie dałoby im się udowodnić. Lecz jeśli „Czarna Mewa” kiedykolwiek jeszcze zagości w Kamanie, władze portu powinny delikatnie dać jej właścicielowi do zrozumienia, co sądzą o podobnych wybrykach. Trzymanie seehijskiej niewolnicy w mieście, które jest całkowicie uzależnione od dobrej woli tych barbarzyńców… Już rozsądniej jest popływać sobie między rekinami, wykąpawszy się najpierw w kilku galonach krwi.

Przemył szybko twarz, ubrał się i wyszedł do jadalni. Śniadanie było krótkie, proste i sycące, owsianka, placki i ciężkie, gęste piwo miały dostarczyć sił do pracy i modlitwy, a nie głaskać podniebienia. Na zakończenie posiłku przeor odmówił krótką modlitwę i wskazał Altsinowi boczne drzwi.

Korzystanie z cudzej gościnności, nawet odpłatne, zobowiązuje.

Spotkali się na korytarzu za jadalnią, starzec skinął mu tylko głową i ruszył przed siebie, chowając dłonie w rękawy.

— Wybacz, chłopcze, ale w moim wieku żadna ilość gorącej owsianki nie wystarczy, by przestać czuć chłód w dłoniach i stopach. Stary piec nie daje już tyle ciepła co kiedyś. — Zaśmiał się swobodnie.

Początek rozmowy dobry jak każdy inny. Ale Altsin wiedział, że Enroh nie wezwał go, by porozmawiać o starczych dolegliwościach.

— W mieście na pewno jest jakiś zielarz, który ma maści rozgrzewające krew.

— Oczywiście. I kupuje je u nas, od brata Zewara. Ale każdego z nas czekają radości podeszłego wieku.

Złodziej przełknął gładką i złośliwą odpowiedź, choćby „Dziwne, że przy tylu zakonnych starcach Zewar ma jeszcze czym handlować” albo inną

głupotę. Prawdą było, że większość mnichów w klasztorze mogłaby być jego dziadkami, prawdą też było, że surowa reguła i położenie na krańcu świata nie napędzały w jego mury nowicjuszy, no i prawdą było też, że w prywatnych rozmowach ze starszymi braciszkami przeważały narzekania na bóle, niestrawności, gazy, wysypki i hemoroidy. Ale prawdą było również, że przeor szanował jego prywatność i nie narzucał się z byle problemami. Tylko głupiec odpowiada impertynencją na uprzejmość.

Przez chwilę szli w milczeniu.

— „Czarna Mewa” już wypłynęła.

Psiakrew, czyżby ten starzec czytał mu w myślach?

— Brat Naywir przyszedł do mnie dobre dwie godziny temu, bo przypomniał sobie, co powiedział jeden z tych, którzy was napadli. Posłałem natychmiast ludzi do portu. Nie złożono tam żadnej skargi na mnichów napadających na marynarzy. — Przeor uśmiechnął się lekko. — Co potwierdza tylko jego i moje podejrzenia, że ci Mittarczycy woleli nie zwracać na siebie uwagi. Galera wyruszyła w morze przed świtem z ładunkiem bursztynu i skór. Tyle się dowiedzieliśmy.

Pozostawało otwartym pytanie, co z tego wynika.

— Co z tego wynika? — rzucił Enroh.

Czyli jednak przeor czyta w myślach.

— Zawiadomiłem już Radę o waszym znalezisku — kontynuował. — Dziewczyna jest w mojej prywatnej komnacie i… — uśmieszek przeora stał się złośliwy — … jeśli wyobrażasz sobie jurnego starca i bezbronną piękność przywiązaną do łoża, natychmiast przestań, bracie Altsinie.

Złodziej przestał, choć potrzebował całej siły woli, by powstrzymać głupkowaty grymas próbujący zagościć mu na twarzy. Stary mnich kontynuował:

— Bardzo, bardzo prosili, by zachować umiar w rozpowszechnianiu tej wieści.

— Tak?

Nie zdobył się na nic więcej. Przebywał za murami kilka miesięcy i znał sytuację w mieście. Rada nie miała formalnie żadnej władzy nad klasztorem, a Świątynia Baelta’Mathran była zbyt potężna, by opłacało się wchodzić z nią w konflikt, nawet uwzględniając to, że na zachodnim krańcu kontynentu nie miała tylu wyznawców co kult Bliźniąt Mórz czy Pana Bitew. Na dodatek z jakichś powodów Seehijczycy tolerowali poza murami miasta

tylko sługi Wielkiej Matki, więc mnisi często byli pośrednikami w łagodzeniu konfliktów i zajmowali się, jak to ujął jeden z braciszków, „sikaniem na gorące węgle”.

Rada Kamany mogła więc tylko wyrazić uprzejmą prośbę.

— Obiecali nawet, tak między nami mówiąc, że rozpatrzą pozytywnie naszą prośbę o ten kawałek ziemi pod wschodnim murem.

Noooo… to była wieść. Trochę taka, jakby wiecznie niezadowolony i chronicznie skąpy stryj przyrzekł, że ci zapisze w spadku posiadłość na wsi. Znaczyło to mniej więcej tyle, że masz informacje mogące go skompromitować i całkowicie pogrążyć.

Jak również wyjaśniało, dlaczego przeor poświęcał mu czas.

— A bracia…

— Brat Domah złożył właśnie ślub Martwych Ust. Na cały miesiąc. Brat Naywir… — Starzec posłał Altsinowi porozumiewawcze spojrzenie. — Wbrew temu, co mówią, nie jestem aż tak złośliwy. Zgłosił się więc na ochotnika do pracy w piwnicach i kuchni. Przez dłuższy czas nie opuści klasztoru.

Tak, nakazanie ślubów milczenia Naywirowi byłoby równie okrutne jak odebranie rybie wody.

— Ja niewiele pamiętam z tej nocy, przeorze. Byłem bardzo zmęczony.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Tak właśnie pomyślałem. — Przeor pokiwał głową. — Gdyby ktoś pytał, choć nie sądzę, by do tego doszło, ale gdyby… Znaleźliście wczoraj umierającą żebraczkę. Przynieśliście ją do klasztoru, gdzie nieszczęsna oddała duszę w ręce naszej Pani. Pochowano ją w morzu.

Bardzo wygodne było to, że Kamana miała tylko jedną tradycyjną nekropolię. Martwa biedota trafiała do morza.

Doszli do niewielkiego okna, skąd rozpościerał się widok na dziedziniec, po którym już krzątali się mnisi. Altsin oderwał wzrok od pomarszczonej twarzy Enroha i zawiesił go gdzieś za oknem.

— Wiadomo, dlaczego Rada stała się tak hojna?

— Łaska Pramatki oświeca czasem najbardziej zatwardziałe serca.

— Tak. A kawałek sera zakopany pod progiem zmienia się w złoto, wrzeszczący kot przywiązany do masztu odstrasza rekiny, a najlepszym środkiem na czkawkę jest ząbek czosnku wciśnięty w odbyt.

— Próbowałeś kiedyś którejś z tych rzeczy, bracie Altsinie? — w głosie przeora nie było niczego poza szczerym zainteresowaniem.

Złodziej przypomniał sobie dzieciństwo na ulicach Ponkee-Laa.

— Wszystkiego poza czosnkiem. — Uśmiechnął się mimowolnie i zaraz spoważniał. — Wiem, do czego zmierzasz, przeorze, ale nie bawmy się w głupie przegadywanki. Rada najpewniej negocjuje nowe porozumienie z Seehijczykami, a taka wieść mogłaby zniszczyć wszystko, co do tej pory ugrali. Trudno byłoby wytłumaczyć tym barbarzyńcom, że nic nie wiedzieliśmy o porwaniu dziewczyny. Ja będę milczał. Ale rozmowy mogą się lada chwila skończyć, więc radzę przycisnąć ich w sprawie tej ziemi.

Rozbawiony Enroh parsknął.

— Uczył śledź dorsza pływać.

Altsin westchnął cicho i spojrzał na wiekowego mnicha.

— Racja. Nie moja sprawa, a ktoś, kto jest przeorem tego zgromadzenia od chwili, gdy Pramatka wymówiła pierwsze słowo nad światem, z pewnością poradzi sobie z bandą gotową obedrzeć człowieka ze skóry za zaśniedziałego miedziaka. Ale nie tylko po to poświęcasz mi swój cenny czas, prawda, czcigodny?

Na twarzy Enroha pojawiło się coś w rodzaju figlarnego uśmieszku.

— Ach, popatrzcie ludzie, na ileż to sposobów można powiedzieć „streszczaj się, stary dziadu”.

Złodziej wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia.

— Słyszałem, że dziś masz spotkanie z pewnymi ludźmi. — Przeor kichnął nagle raz i drugi, po czym powolnym ruchem podrapał się po nosie, zupełnie jakby chciał dać Altsinowi czas na zamknięcie ust. — Z niebezpiecznymi ludźmi, którzy co prawda mają jakiś tam honor, lecz ten ich honor ma konkretną cenę.

Złodziej zmrużył oczy i wycedził:

— Ktoś już go kupił?

Jeśli Raja go zdradził…

— Nic o tym nie wiem — uspokoił go mnich. — A ktoś miałby powód, by go kupić?

Dobre pytanie, na wszystkie dziwki Ponkee-Laa.

— Raczej nie, przeorze.

Rzeczywiście, gdyby ktokolwiek znający problem Altsina chciał go dorwać, nie opłacałby miejscowej gildii złodziei, tylko przysłał do Kamany

całą pieprzoną flotę inwazyjną z setką czarowników do pomocy. Chyba że to byłaby ta dziwna dwójka z molo. Zabójca z czarnymi mieczami i dziewczyna, w której oczach widniał czysty obłęd.

Ale oni nie wyglądali na takich, którzy wynajmują cudze noże.

— Wśród miejscowych jest bardzo wielu ludzi wiernych Matce. Także wśród szukających… jakby to ująć, innej drogi do wzbogacenia się. Spotkanie jednego z naszych gości z ich pracodawcą zaniepokoiło tych ludzi na tyle, że powiadomili mnie o tym. I nie kierowała nimi troska o dobro tego gościa, lecz przyszłość naszego zgromadzenia. Rada uważa, że klasztor zajmuje zbyt dużo miejsca i od lat szuka wiosła, którym mogłaby nam przywalić, jeśli wiesz, o czym mówię. Teraz są bardziej szczodrzy, lecz jeśli okaże się, że jeden z nas uwikłał się w podejrzane sprawki, ich łaskawość wyparuje jak poranna rosa.

— Nie jestem jednym z was.

Starzec uśmiechnął się przepraszająco.

— Od pół roku nosisz szaty naszego zakonu — przypomniał łagodnym głosem. — Chodzisz w nich po ulicach, a ludzie nie zwracają uwagi na takie subtelności jak to, czy ktoś złożył śluby, czy nie. Poza tym jako przeor odpowiadam także za zachowanie moich gości.

— Rozumiem. Jeżeli to problem, nie będę więcej nadużywał gościnności klasz…

— No proszę. Duma i poczucie własnej wartości. Choć ktoś mniej spostrzegawczy mógłby powiedzieć: pycha i szczeniacka buta. Wiem, wiem, masz już dobrze ponad dwadzieścia lat, ale z mojego punktu widzenia nawet twój ojciec byłby dzieciakiem. Nie wypędzam cię, nasza Pani nikogo nie wygania spod swojej opieki, ale muszę wiedzieć, czy twoje… sprawy za murami mogą nam przysporzyć kłopotów.

Złodziej zamyślił się. Ile powiedzieć?

— Nie sądzę…

Nagle zrozumiał, że jeśli przeor wie o spotkaniu z Rają, to może wiedzieć także o celu jego poszukiwań.

— Szukam kogoś, kto jest mi winien przysługę. Seehijskiej wiedźmy. W ważnej sprawie. Przybywając tu, nie sądziłem, że to tyle potrwa, ale ta wyspa… Seehijczycy…

— Seehijczycy — powtórzył jak echo przeor. — Barbarzyńcy i dzikusy. Prymitywne, brutalne i bezlitosne plemiona, które wyniosły pojęcia dumy,

honoru oraz wierności rodowi i klanowi na szczyt ludzkiej głupoty. *Treiwics* rządzi tu wszystkim: począwszy od tego, czy uszczerbiona miska podana gościowi daje mu prawo do poderżnięcia gardła ukochanemu koniowi gospodarza, po zachowania wywołujące obrazę całego plemienia.

Tak, *treiwics* było słowem, które najczęściej słyszało się w Kamanie, gdy rozmowy schodziły na tubylców. Zestaw reguł i zwyczajów nigdy nie spisany, ale określający co, gdzie i kiedy może być śmiertelną obrazą dla Seehijczyka oraz ile trzeba przelać krwi, by zmyć hańbę. Na szczęście wyspiarze stosowali te zasady niemal wyłącznie w kontaktach z własnymi ziomkami, przybyszy spoza wyspy traktując z pobłażliwą wyniosłością, jak ludzi nie całkiem wiedzących, co to znaczy prawdziwy honor. Gdyby było inaczej, żadna karawana nie wróciłaby do miasta.

Co nie znaczyło, że nie można ich było śmiertelnie obrazić. I zapłacić za to właściwą dla tej wyspy monetą.

— Walczą ze sobą od setek lat, czasem z powodów tak absurdalnych, jak kradzież krowy w czasach, gdy Imperium było młodym państewkiem. — Enroh zdawał się nie zauważać, że złodziej odpłynął myślami. — Sto Plemion, tysiąc klanów, sto tysięcy ostrzy. Są tak podzieleni, że nie udało im się nawet nadać tej wyspie nazwy pochodzącej od jednego plemienia. Aż dziwne, że już dawno nikt ich nie podbił, wykorzystując niechęć i wzajemną wrogość. To wydaje się takie proste.

Tak. A kości tych, którym wydawało się to proste, tańczą z falami ku uciesze Bliźniąt Mórz.

— *Kameluuri* — podjął cicho przeor. — Jeden Oddech. To nie tylko miejscowe prawo, lecz także siła, przez którą nikomu nie udało się zdobyć tej wyspy. Która sprawia, że setka odrębnych plemion, kłócących się i żrących między sobą bez ustanku, zaplątanych beznadziejnie w swoje dzikie zwyczaje, zapomina w mgnieniu oka o waśniach i staje do walki jak jeden mąż. Siła, która sprawia, że miejscowi nie kłaniają się żadnemu ze znanych nam Nieśmiertelnych, czczą tylko swojego plemiennego boga i, och, słowo to pokrywa mi język goryczą, tolerują Pramatkę. Czy wiesz, że gdyby kapłan Bliźniąt, Setrena albo Agara od Ognia opuścił Kamanę, nie uszedłby nawet mili? Seehijczycy zabiliby go i odesłali bezgłowe ciało do miasta. Tylko naszym braciom pozwalają przebywać między sobą.

— Wiem o tym. — Altsin spotykał czasem w mieście kapłanów innych bogów, a ich spojrzenia wypalały dziury w jego habicie. — Wszyscy wie-

dzą.

— Och, chłopcze, musisz się nauczyć, kiedy nie przerywać starcom, którzy chcą tylko przedłużyć sobie przyjemność z rozmowy. Wy, młodzi, znajdujecie czas na nasze towarzystwo tylko wtedy, gdy czegoś chcecie albo gdy was do tego zmusimy.

Enroh westchnął, rozkaszlał się i kontynuował:

— Nie rozumiemy ich. Nie rozumiemy tego, co daje im siłę, by czuć się jednością wobec reszty świata i jednocześnie okrwawia noże wojowników w niekończącym się korowodzie zemsty. Są zamknięci na obcych, a przeniknięcie w ich szeregi… — Mnich pokręcił głową.

— Też byłem zaskoczony, że sprawy mają się tu tak, jak się mają — mruknął złodziej. — Na kontynencie Seehijczycy uchodzą za barbarzyńców. Mściwych, bezwzględnych i honorowych, ale niewielu ludzi wie, że Kamana to tak naprawdę oblężone miasto.

— Aż tak źle nie jest. Dopóki obie strony przestrzegają umów, dopóty mamy spokój. A tak między nami mówiąc, chłopcze, jeśli już poznałbyś miejsce pobytu swojej przyjaciółki, to jak zamierzałeś do niej dotrzeć? Seehijczycy pozwalają wędrować karawanom, lecz każdy obcy, który oddali się na więcej niż sto kroków od wozów, może zginąć.

— Coś bym wymyślił, przeorze.

Tak. Głupie pytanie i głupia odpowiedź. Jedynymi ludźmi z Kamany, którzy mogli w miarę swobodnie poruszać się po wyspie, byli Bracia Nieskończonego Miłosierdzia. Ich habit zapewniał pewną… nie nietykalność czy ochronę. Po prostu dawał szansę, że nie zarobi się od razu strzały.

Altsin stał się „oczekującym” w chwili, gdy dotarło do niego, jak cholernie skomplikowane jest to przedsięwzięcie. Odszukać wiedźmę widzianą tylko w świetle pochodni, znaną tylko z imienia, na wyspie, gdzie miejscowi barbarzyńcy mogą zabić obcego, jeśli uznają jego zachowanie za obraźliwe, czyli z tysiąca możliwych do wyobrażenia powodów.

Wymienili się spojrzeniami.

— Nie wątpię. — Uśmiech starca był tajemniczy jak głębia oceanu. — Pójdziesz teraz na spotkanie?

— Tak. Niegrzecznie byłoby się spóźnić.

— Powodzenia.

Interludium

Miotła szoruje po kamiennej posadzce jednostajnym, hipnotycznym ruchem. Popiół. Zawsze popiół, choć wydawałoby się, że w tym miejscu, pod kopułą z granitu, sto, a może tysiąc stóp pod ziemią, te szare płatki nie mają prawa się pojawić. Ale są. Rodzą się w powietrzu, gdzieś pod poczerniałym sufitem, i łagodnie opadają na kamienne sześciokątne płyty. Łupież boga.

Mężczyzna otarł czoło rękawem, rozmazując kilka z nich w szare smugi, i uśmiechnął się do ostatniej myśli. Sługa, który wypowiedział pierwszy te słowa, odszedł już do Domu Snu, a jego imię zostało zapomniane setki lat temu; a jednak odcisnął swój ślad na historii, nawet jeśli było nim tylko krótkie, obrazoburcze określenie.

Zabawne. Istniejemy tylko o tyle, o ile pozostanie po nas coś wartego zapamiętania.

Starannie omiótł podstawę jednego z tronów. Jedenaście siedzisk, zimnych i niewygodnych, wykonanych z tego samego kamienia co posadzka. Jedenaście na cześć – o czym wielu już zapomniało – liczby *awenderi*, między których podzielił swoje istnienie Pan Ognia, gdy wypalał niegodziwość ze świata. Tylko kilku innych najpotężniejszych bogów musiało podzielić swoją duszę aż na tyle części.

Tak. Wiele zapomniano. Ale nie wszystko.

Szelest szat omiatających posadzkę nie zmusił go do uniesienia głowy. Był sługą. Słudzy nie gapią się na zaproszonych gości.

Zerknął, dopiero gdy skończył omiatać kolejny tron. Spowita w czerń postać zasiadła na jednym z siedzisk. Rękawy szaty spływały jej z dłoni skromnie złożonych na kolanach, stopy ginęły pod falami czarnego jedwabiu, twarz zakrywał welon, ale i tak sposób, w jaki siedziała i trzymała głowę, zdradzał jej płeć. Kobieta.

Pochylił głowę i kontynuował pracę.

Prawie zderzył się z kolejnym gościem. Gośćmi. Mężczyzna w szkarłatnym płaszczu, szkarłatnej kolczudze i ze szkarłatną maską przedstawiającą demona zionącego ogniem stał między dwiema bladymi dziewczętami w strojach nieróżniących się ani o odcień od szarego popiołu spływającego spod kopulastego sufitu. Maskę demona wykonano tak, że nie dało się w niej dostrzec otworów na oczy, więc nie sposób było stwierdzić, czy przybysz jest świadomy obecności kobiety w czerni, bo ani jednym gestem nie dał znać, że ją dostrzega. Ona zresztą też ignorowała go całkowicie.

Miotła, popiół, kolejny tron.

Milczenie.

Śmiech wdarł się w ciężką ciszę jak stado rozbrykanych kociąt. I po raz pierwszy wywołał jakąś reakcję. Kobieta na tronie drgnęła, mężczyzna w czerwieni lekko odwrócił głowę, szukając źródła dźwięku. I tylko towarzyszące mu dziewczęta zachowywały się, jakby nic się nie stało.

Śmiejąca się wyszła zza jednego z tronów, a barwy jej szat zdawały się kpiną z tutejszych szarości i czerni. Błękit, kobalt, żółć, czerwień, róż, każdy kolor w kilku odcieniach, każdy element jej stroju poprzeszywany był dodatkowo złotą i srebrną nicią oraz zdobiony cekinami. Kobieta wykonała piruet, powiewając spódnicami. Kilka warkoczyków zatańczyło wokół jej głowy, a małe dzwoneczki, którymi były ozdobione, zadźwięczały.

— Tak poważnego zgromadzenia nie widziałam od lat. Zwłaszcza tutaj.

Uśmiech odejmował jej lat, a głos mógł należeć do osoby zarówno dwudziesto-, jak i czterdziestoletniej. Twarz zresztą też.

Jedna z dziewcząt towarzyszących mężczyźnie w szkarłatnej zbroi podała mu rękę i odezwała się głosem matowym i szarym jak jej szata:

— Kitchi. Myślałem, że przybędzie twoja siostra.

— Jest zajęta. — Nowo przybyła całkowicie zignorowała mówiącą i zwróciła się bezpośrednio do wojownika. — Ja byłam bliżej. Poza tym wiesz, E’mnekosie, że to nie ma znaczenia.

— Może. Ale z nią lepiej mi się rozmawia. Przyszłaś zobaczyć mój triumf?

— Twój triumf nie jest jeszcze przesądzony. — Siedząca na tronie kobieta wykonała zamaszysty gest, rękaw sukni zafurkotał.

— Mój triumf wykuto w stali, która podcięła gardło jednemu bratu i odbierze życie drugiemu, jeśli ten nie wykaże się rozsądkiem. Cóż jeszcze można zrobić?

Sługa opuścił wzrok. Miotła. Szary popiół. Cóż jeszcze można zrobić?

Kobieta nazwana Kitchi wskoczyła na jeden z tronów i rozparła się na nim z nonszalancją właściwą szaleńcom albo zbuntowanym podlotkom.

— Gra jeszcze się toczy, skarbie. Jesteś pewien, że los wam sprzyja?

Mężczyzna drgnął, a jego maska, choć może sprawiła to gra światła, wykrzywiła się w grymasie gniewu. Dziewczyna, którą trzymał za rękę, wyszeptała:

— Grozisz nam? Czy Eyfra zamierza złamać umowę? Wypowiedzieć nam wojnę?

— Nikt nie złamał umów, słoneczko, to nie czas na łamanie umów. Moja Pani gra zawsze zgodnie z regułami. Powiedzmy jednak, że jeden z wielbłądów wbił sobie kolec w kopyto i jaspis nie dojechał do oazy na czas, więc pewna karawana wyruszyła wcześniej, niż powinna. Tylko tyle. Jeden mały, no, może nie taki mały, ale jednak – wobec planów obalania dynastii i budowy imperiów – zupełnie nieistotny kolec.

Zapadła cisza.

— Imperiów? — Ubrana w czerń kobieta zaszeleściła jedwabiami. — Na czym zamierzacie zbudować imperium? Na bagnie wypełnionym krwią? Kto je będzie budował?

Dziewczyna będąca głosem wojownika w czerwieni spojrzała na nią beznamiętnym wzrokiem. Palce w szkarłatnej rękawicy, oplatające jej nadgarstek, zatańczyły, jakby mężczyzna grał na jakimś instrumencie strunowym.

— Czyż sami nie nauczacie, że role pana i sługi są zawsze… dyskusyjne? — wymruczała. — Przedyskutujemy je więc raz jeszcze. Po wszystkim.

Kobieta w czerni pochyliła się na swoim tronie, jakby zamierzała skoczyć na zamaskowanego.

Kitchi zaklaskała energicznie, przerywając rodzącą się kłótnię i przyciągając ich uwagę.

— Moi drodzy. Prosiliście mnie o… rozjemstwo w waszej trwającej już od dłuższego czasu wojence, nieprawdaż? Więc pozwólcie mi być rozjemcą.

Czerwona rękawica zatańczyła na bladej skórze dziewczyny.

— Nie miałaś być rozjemcą, tylko graczem. Miałaś wspomóc ją w sporze, by zagwarantować neutralność Pana Ognia. Czyżbyś pragnęła wycofać

się z umowy? Udawać, że jej nigdy nie było? Że nie zamierzasz grać?

— Ależ skąd. — Dzwoneczki przy warkoczykach zaśmiały się dźwięcznie, gdy Kitchi od Uśmiechu pokręciła głową. — Zamierzam. Czyż kolec nie wbił się w kopyto wielbłąda? A poza tym… dlaczego żadne z was nie spytało, gdzie jest nasz gospodarz?

Dwie twarze, ta zakryta maską demona i ta zasłonięta welonem, obróciły się w jej stronę.

Sługa opuścił wzrok. Miotła. Popiół. Sufit wciąż płakał szarymi płatkami.

Rozdział 9

Ranek przyniósł zmianę pogody. Najpierw niebo zasnuło się sinym tumanem, potem zerwał się wiatr, dziki i pustynny, dla którego skalny labirynt Palca Trupa był miejscem swawoli i zabawy. Na powitanie zagwizdał, zaświstał górą, jakby chciał oznajmić „Oto nadchodzę”, po czym wpadł między plątaninę szaroczerwonych skał i pokazał, co potrafi. Poderwał do tańca zalegający na dole pył, zatrząsł uschniętymi badylami, zagrzechotał małymi kamykami. A potem…

Dwa dni i dwie noce spędzili w jaskiniach, których wejścia zasłonięto prowizorycznie pledami. Dwa dni i dwie noce Deana na zmianę leżała i siedziała na ziemi, zdjęto jej większość więzów, pozostawiając skrępowane tylko dłonie i stopy. Wszyscy wiedzieli, że wyjście na zewnątrz oznacza śmierć. W ich małej jaskini znalazł się herszt ze swoim niewolnikiem i czterech innych bandytów. Najwyraźniej przywódca postanowił osobiście dopilnować bezpieczeństwa swoich więźniów, nie ufał do końca reszcie.

To były długie dwa dni, pełne ciężkiej ciszy i ponurych spojrzeń, z ogniskiem ledwo tlącym się na kamiennej posadzce i groźnymi szeptami pełzającymi po kątach. Nawet gdy wiatr ucichł i wszyscy wyszli na zewnątrz, Deana nie zrozumiała nagłej zmiany nastroju bandytów. Okolica nie zmieniła się zbytnio. Co prawda tam, gdzie jeszcze niedawno wznosiły się usypane na wysokość człowieka sterty piachu, straszyła goła skała, a przejście, którym tu dotarli dwa dni wcześniej, znikło, zasypane żwirem i jakimiś uschniętymi łodygami, ale przecież wicher nie poprzestawiał kamiennych ścian. Dopiero pod wieczór, gdy po całodniowej wędrówce rozbili obóz w jednej z niewielkich kotlinek, a herszt rozesłał większość ludzi na wszystkie strony, gdy obserwowała, jak wracają po jednym, po dwóch, kręcąc głowami i rozkładając ręce – dopiero wtedy zrozumiała, co zrobił wiatr.

Jakiekolwiek znaki bandyci pozostawili między skalnymi ścianami, jakiekolwiek wskazówki miały ich kierować do kryjówek z zapasami, wiatr je zniszczył. Rozsypał odpowiednio ułożone kopce kamieni, starł z czerwo-

nawej skały dyskretne znaki, zmiótł sprytnie uformowane gałązki wskazujące właściwe przejście. Słowem, mieli problem. Zwłaszcza Deana i tłumacz.

W zaistniałej sytuacji ich wartość jako towaru gwałtownie spadła. Bandyci jeszcze do tego nie doszli, jeszcze w bukłakach chlupotała woda, ale gdy wycisną z kozich skór ostatnie krople, okaże się, że issarska niewolnica jest mniej warta niż koń i mniej warta niż książę, który pije mało i za którego wciąż można dostać królewski okup. Jeszcze w oczach zbirów nie pojawiła się zapowiedź mordu i tego, co może czekać dziewczynę przed śmiercią, ale to była kwestia najbliższych dni, a może i godzin.

Patrząc, jak siadają w kręgu i naradzają się w swoim języku, pochyliła głowę i zmówiła *onaew* – modlitwę o jeden sztych.

Pani, broń ma złamana, oczy ślepe, a ramię słabe, lecz wróg mój musi umrzeć, by moje dzieci i dzieci moich dzieci mogły sławić Twe Imię aż do dni Przebaczenia. Nie proszę o życie ani o koniec cierpienia, lecz o szansę na zadanie jednego ciosu, który odeśle jego duszę w Twe Ręce.

Modlitwa tych, którzy nie mają już nic do stracenia i liczą na cud.

Po naradzie bandyci wrzucili ją w jakąś szczelinę, tak ciasną, że nie mogła się nawet obrócić, a słysząc, jak wsiadają na konie, omal nie zaczęła krzyczeć. Już nóż byłby lepszy od pozostawienia jej tutaj, by umarła z pragnienia. Ale nie, po chwili usłyszała odgłos rozpalanego ognia i szczęk naczyń. Rozbili obóz, a część pojechała szukać dalej. Po raz pierwszy, zapadając w pełen dreszczy i majaków sen, Deana szczerze życzyła im powodzenia.

* * *

Ranek przyniósł błogosławione ciepło, przeganiające z ciała nocny chłód. Była zdrętwiała i przemarznięta, gardło i język miała wyschnięte na wiór. Oczywiście wieczorem nie dostała nawet łyka wody, lecz ku jej zdziwieniu, zanim znalazła się w siodle, stary niewolnik podszedł, zamknął oczy, uchylił jej *ekchaar* i przyłożył do ust gliniany kubek.

— Pij — mruknął cicho, o dziwo w meekhu. — Powoli, bo więcej dziś nie dostaniesz.

Woda była ciepła i smakowała goryczką. Deana po pierwszym łyku odsunęła głowę.

— Co to?

Starzec uśmiechnął się.

— Dodałem ziół, które zmniejszą pragnienie i zatrzymają wodę w środku. — Pociągnął solidnie z kubka. — Widzisz, to nie trucizna. Ale więcej nie dostaniesz aż do wieczora, więc pij.

Wypiła i gdy tylko poprawił jej zasłonę, podziękowała skinieniem głowy. Nie odpowiedział.

Palec Trupa połknął ich na wiele godzin. Skalne ściany przesuwały się wokół oddziału w tempie jadącego stępa konia. Najwyraźniej bandyci nie chcieli przemęczać zwierząt, z wyjątkiem momentów, gdy po dwóch, trzech odrywali się od głównej kolumny i kłusem znikali w jakiejś odnodze.

Nadal szukali ukrytych gdzieś zapasów. Albo, co gorsza, drogi.

Przed południem zrobili postój, bo mimo cienia zalegającego między skałami wędrówka stała się udręką dla ludzi i koni. Deana pierwszy raz zauważyła zmianę w spojrzeniach, jakimi obrzucali ją bandyci. Zaczęło się. Jeden czy dwóch podeszło nawet do młodego herszta i zagadało, wskazując ją wymownymi gestami. Odesłał ich z niczym, lecz wiedziała, że jutro przyjdzie ich do niego pięciu, a pojutrze wszyscy.

Pragnienie to najbardziej bezlitosny doradca.

Zgodnie z zapowiedzią nie dostała więcej wody aż do wieczora, gdy w ciemnościach ślepy tłumacz napoił ją połową kubka gorzkiego wywaru. Nie rozmawiali, bo dwóch bandytów odciągnęło go zaraz, po czym szybko, brutalnie sprawdziło jej więzy, nie odmawiając sobie obmacywania i podszczypywania.

Jej wartość malała z godziny na godzinę.

Następnego dnia dostała tylko ćwierć kubka naparu, gorzkiego jak bratobójczy cios w plecy, a przed wyruszeniem bandyci zarżnęli wszystkie zapasowe konie, łącznie z tym, na którym jechała. Ją przywiązali za wierzchowcem niewolnika i popędzili naprzód.

Gdyby nie to, że nadal jechali stępa, najpewniej nie dożyłaby do południa.

Potem pożałowali jej nawet tyle wody, by mogła zwilżyć usta, za to związali dokładniej niż zwykle, zasłaniając znów oczy, i wrzucili wraz z księciem i jego sługą do małej jaskini. Na zewnątrz słyszała krzątaninę i pokrzykiwanie.

Po dłuższej chwili zapadła cisza.

— Szukają.

Szept Omenara brzmiał ochryple, sucho. Nie odwróciła głowy w jego stronę, szkoda tracić siły.

— Są prawie pewni, że gdzieś w pobliżu mają kolejną kryjówkę, znaleźli coś, co wyglądało jak resztki wskazówki… ale niedokładne, zatarte… Wiesz, co to znaczy?

Myślenie nie szło jej najlepiej, ale to była prosta zagadka.

— Nie oni zostawili tu zapasy… ktoś inny… oni tylko wiedzieli, jak odczytywać znaki.

— Tak. Wielu ludzi zaangażowało się w to szaleństwo. Ale… Jeśli znajdą wodę, jesteśmy ocaleni.

— A jeśli nie?

Cisza. Nie poruszył się nawet.

— Tylko książę jest wart tyle, by za wszelką cenę utrzymywać go przy życiu. Reszta nie.

— Jutro… — wychrypiała. — Jutro rano, a może nawet dziś wieczorem, przyjdą po mnie.

— To prawda. Nie dali mi wody dla ciebie. I zakazali się zbliżać.

— Nie związali was?

Zaśmiał się cicho, z ponurą rozpaczą.

— Ślepiec nie jest groźny, dziecko nie ucieknie samo. Tylko tobie okazują jakiś szacunek.

Splunęłaby, gdyby miała czym.

— Szacunek. Gdybym miała wolne ręce…

— To co? — Milczenie stawało się nieznośne. — Ilu dałabyś radę pokonać? Gdyby cię rozwiązać? Dać szansę?

Nie miała sił, by się zaśmiać.

— Rozwiązać? Widziałeś te węzły? Pół dnia będziesz je rozplątywał.

— Odpowiedz.

Wykonała kilka głębokich wdechów, odnalazła wewnętrzny płomień. *Sani* wciąż się w niej żarzył, wystarczyło sięgnąć.

— Gołymi rękami… jednego. Potem będę miała już broń.

Usłyszała, jak się poruszył.

— A potem? Gdy zdobędziesz broń i być może konia? Co zrobisz?

Zrozumiała, o co pyta.

— Nie zostawię was. Przysięgam.

Odetchnął głęboko.

— Wiem… wierzę ci… Ale jeszcze jest za wcześnie. Zbliżają się najgorętsze godziny… oni wkrótce wrócą.

Miał rację, nie minęły dwa kwadranse, a obozowisko zatętniło kopytami, rozwrzeszczało się dzikimi głosami. Bandyci wrócili, podnieceni i radośni. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy bać.

— Znaleźli ślad drugiej wskazówki. — Omenar wymruczał te słowa ostrożnie, jakby spodziewał się, że ktoś ich podsłuchuje. — Ale przejście zawiał wiatr. Teraz jest za gorąco, by je odkopywać, zrobią to za kilka godzin.

Zamilkł na chwilę.

— Są zadowoleni… i pewni swego… czy… — zająknął się nagle, zawahał.

Oczywiście. Czy zaryzykujemy ucieczkę, skoro wieczorem możemy mieć znów zapasy wody, więc dla bandytów znów będziemy cenni? A oni będą mieli wodę, bez której nie przeżyjemy. Zacisnęła zęby. Żaden kozi wypierdek już jej nie dotknie.

— Jak szybko dasz radę mnie rozwiązać?

— W kilka chwil.

Zaskoczył ją, rzemienie, którymi była skrępowana, przypominały żelazne obręcze. Ale skoro tak twierdził…

— Dobrze, wierzę ci. Ale związali mnie mocno. Dłonie mi zdrętwiały. Będę potrzebować czasu…

— Damy ci czas, rozmasujemy dłonie… Jesteś pewna?

— Tak. A ty? Zaryzykujesz życie swojego księcia?

— Tak. Krew Ognia nie będzie… Nie, powiem inaczej. Taka jest jego wola. Po prostu. A teraz postaraj się zasnąć.

Chciała parsknąć kpiąco, ale nagle poczuła, że opuszcza ją napięcie. Decyzja zapadła i było to jak balsam łagodzący wszelki ból i niedogodności. Cokolwiek się stanie, będzie miała swoją szansę. Zamknęła powieki.

* * *

Poczuła dotknięcie, lekkie jak muśnięcie skrzydeł ćmy. Drobne dłonie zdjęły jej opaskę. Tłumacz i chłopiec siedzieli tuż obok i miała wrażenie, że

obaj wpatrują się w nią z napięciem, mimo iż jeden miał oczy zakryte bielmem.

— To już. Teraz albo nigdy — zaszeptał ślepiec.

— Ilu ich zostało?

— Dwóch. Reszta wyjechała kwadrans temu. Jeśli dobrze wszystko zrozumiałem, praca zajmie im czas aż do nocy.

— Naprawdę dasz radę rozwiązać to szybko?

Obróciła się na bok, pokazując związane ręce. Rzemienne węzły zmieniły się w podobne do kamieni zgrubienia.

Chłopiec otworzył usta i wypluł na ziemię coś, co wyglądało jak długa na dwa cale szklana łuska. Odchrząknął, splunął jeszcze raz, krwią, wsadził palec do ust i krzywiąc się, obmacał policzki. Rzucił kilka krótkich, dosadnych słów.

— Znaleźliśmy to na wczorajszym postoju i schowaliśmy, jak widzisz dobrze. Książę twierdzi, że to był najdłuższy dzień w jego życiu i że jesteś mu winna wielką przysługę. — Omenar raz-dwa wymacał kawałek szkliwa i przystąpił do przecinania jej więzów. — Ale szczerze mówiąc, pierwszy raz w życiu tak długo był cicho.

— To wszystko powiedział jednym zdaniem?

— Owszem. Pamiętaj, że to książę, więc nie musi tracić tylu słów, co zwykli śmiertelnicy.

Zaśmiałaby się, gdyby mogła, ale w tej właśnie chwili rzemienie krępujące jej nadgarstki puściły i pierwszy raz od wielu godzin krew bez przeszkód zaczęła dopływać do dłoni. Jakby ktoś wsadził jej ręce w mrowisko.

— Już-już. — Ślepiec rozciął jej pozostałe więzy i delikatnie ujął dłonie. — Postaraj się nie krzyczeć. W każdym razie nie za głośno.

Rozmasowywanie przypominało polewanie rąk ciekłym ołowiem. Palące fale wędrowały wzdłuż przedramion aż do łokci, a każde dotknięcie przypominało wbijanie rozpalonego pręta prosto w kość.

— Powoli… tak… dobra dziewczyna… spróbuj poruszyć palcami… jeszcze raz… ruszaj jednocześnie stopami, niech krew krąży.

Długo to trwało, ale w końcu mrowienie stało się znośne. Na próbę zacisnęła dłoń. Szabli jeszcze by nie utrzymała, ale przynajmniej czuła już każdy palec z osobna i mogła nimi poruszać.

— Kto został w obozie?

— No cóż… Sądzę, że najbardziej zaufani ludzie naszego gospodarza. Nie zostawiłby byle kogo. Musimy ich tu zwabić pojedynczo i zabić.

Doprawdy?

— Znów się boisz?

— Wybacz. — Uśmiechnął się dziwnym grymasem, nie przestając masować jej rąk. — Studiowałem języki, kulturę i obyczaje różnych ludów, lecz ich sposoby na wzajemne mordowanie się jakoś mi umknęły.

— Na dodatek twoje żarty robią się kiepskie. — Mrowienie ustępowało, ale nie cofnęła dłoni. Sposób, w jaki jej dotykał, był… przyjemny. Została im jeszcze chwila, a przyjemności są jak krople deszczu na pustyni, każda ma swoją wartość.

Usiadła ostrożnie, ale i tak zakręciło jej się w głowie. Była wolna. Była też słaba jak niemowlę, z pragnienia skręcało jej kiszki, nie miała broni, a jej towarzyszami byli ślepiec i dziecko, lecz mimo wszystko czuła się wspaniale. Być może jej wolność sprowadzała się do prawa wyboru, z czyjej ręki zginie, ale i tak była to wolność całkowita, wolność człowieka, który nie jest skrępowanym kawałkiem mięsa, bezbronnym wobec cudzego dotyku, obelg i razów. Uśmiechnęła się i delikatnie wyjęła dłonie z uchwytu Omenara.

— Powiedz księciu, by mocno zamknął oczy. I nie otwierał, póki mu nie pozwolę.

— Ale…

— Powiedz.

Kilka rzuconych podnieconym szeptem słów później chłopiec siedział naprzeciw niej z powiekami i dłońmi zaciśniętymi tak rozpaczliwie mocno, że prawie się roześmiała. Poluzowała *ekchaar* i odsunęła go z twarzy.

— Powiedz mu, że ma się nie ruszać.

Ślepiec wymruczał krótkie polecenie, a Deana nachyliła się i złożyła na policzkach i wargach młodego księcia trzy szybkie, siostrzane pocałunki.

Skrzywił się i przez chwilę wyglądał, jakby miał się rozpłakać, po czym zupełnie bezwiednie wytarł policzki rękawem. Parsknęła cichym chichotem.

— Wiem, to obrzydliwe, moi kuzyni też tak reagowali, gdy byli w twoim wieku. Teraz ty.

Omenara pocałowała wolniej, nie spiesząc się. Na swój sposób, gdy już człowiek nie dostawał dreszczy na widok jego oczu, był nawet przystojny.

I miał bardzo miły dotyk. Wydawał się bardziej onieśmielony niż zdziwiony.

— Czy to znaczy to, co myślę?

Nie odpowiedziała, zajęta zakładaniem *ekchaaru*. Skończyła i ukłoniła się nisko, jednemu i drugiemu.

— Byłam głodna – karmiliście mnie, spragniona – dawaliście mi pić. Teraz jeden z was przelał krew, by mnie uwolnić. Jesteście moimi *laagvara* – towarzyszami walki. Nikt nie zbliży się do waszych pleców, dopóki będę za nimi stać.

Usiadła i jeszcze raz dokładnie im się przyjrzała. Ślepiec i dziecko. Gdyby ktoś powiedział jej kiedykolwiek, że to właśnie przed nimi wypowie te słowa, uznałaby go za głupca. Los lubi płatać dzikie figle.

— Książę może już otworzyć oczy.

Otworzył, ponaglony cichym szeptem. Powiedział coś szybko i jeszcze raz wytarł rękawem policzki.

— Książę mówi, że jesteś pierwszą dziewczyną, która go pocałowała. I że to było gorsze, niż mógł sądzić, ale ci wybacza. Pyta też, co teraz?

Spojrzała na wąski wylot jaskini.

— Teraz będziemy zabijać.

Zwabiła pierwszego bandytę krzykiem i rzucaniem się po ziemi w udawanym szaleństwie. Gdy pochylił się nad nią, uwolniła ręce z narzuconych luźno więzów i zabiła go szybko, podrzynając gardło obsydianowym ostrzem tak sprawnie, jakby to był jej własny *talher*. Drugi strażnik zajrzał do jaskini po chwili, zaniepokojony nagłą ciszą, a ona miała już wtedy w ręku szablę. I wbrew temu, co sobie obiecywała, umarł szybko, z bronią na wpół wyciągniętą z pochwy.

W końcu nie była mściwa.

W obozowisku nie znalazła koni, na co po cichu liczyła, bandyci zabrali wszystkie na poszukiwania, udało jej się za to, gorączkowo przeszukując namioty, trafić na worek mąki i drugi, pełen suszonych owoców. Do tego sprzęt do gotowania, a nawet spory zapas końskiego łajna, krzesiwo i uschłe liście palmowe na rozpałkę. Lecz tylko pół bukłaka wody. Zatęchłej i gorzkiej.

Ani kropli więcej.

* * *

Jaskinia była podobna do setek bliźniaczych dziur, tak charakterystycznych dla Palca Trupa. Jakby ktoś wetknął szerokie ostrze w żywą skałę i poruszał na prawo i lewo, tworząc wąskie wejście i dość przestronną jamę, wystarczająco wygodną, by zmieścili się tam we trójkę. Przedsionek zasłoniła kilkoma uschniętymi krzakami, których pełno było wokół, i cofnęła się do cienistego, chłodnego wnętrza.

Uciekali cały wieczór i pół nocy. Korzystając ze światła księżyca i gwiazd na niebie, starała się wyprowadzić ich trójkę jak najdalej od obozowiska, a pajęcza sieć wąskich przejść, ścieżek, jarów i szczelin pożarła ich i ukryła. Deana wątpiła, czy nawet najlepsi tropiciele Issaram zdołaliby za nimi podążyć, kamienne podłoże skutecznie utrudniało prowadzenie pościgu. Niemniej na wszelki wypadek zostawiła garść fałszywych śladów, a jeśli będą mieli szczęście i wiatr znów zabawi się między tutejszymi skałami, to nawet dziesięciotysięczna armia zwiadowców nie przyda się bandytom. Kaled On Bers nie wypuszcza zdobyczy ze swoich kamiennych łap.

Odepchnęła tę myśl.

Później zrobili przerwę. Byli zbyt osłabieni, by wędrować całą noc, odpoczynek pozwolił im zebrać siły. Deana próbowała kierować się na zachód, sama nie wiedziała czemu, chyba jedyny powód stanowiło to, że wiatr sprzed trzech dni przybył z zachodu, a sądząc po ilości piasku, który przyniósł, obudził się nad wydmami otwartej pustyni. Oczywiście taki wiatr mógł przebyć setki mil, nim wpadł między skały Palca Trupa, lecz ten kierunek i tak był równie dobry, jak każdy inny, poza tym obranie sobie jakiegoś celu gwarantowało, że nie zatoczą koła i nie wpadną z powrotem w ręce porywaczy. Lepiej już uprażyć się na skalnym palenisku pustyni.

Bo to ich właśnie czekało, jeśli jakimś cudem nie znajdą czegoś do picia. Mieli jedzenie, zapas opału i koce na noc, lecz w bukłaku zostało im może pół kwarty wody. Po krótkim odpoczynku wędrowali niemal do świtu, zrobili kolejny postój, zjedli część zapasów, wypili po pół kubka wody i ruszyli dalej. Dopiero wznoszące się o świcie słońce zmusiło ich do szukania kryjówki. A że nawet głębokie jary nie gwarantowały ucieczki przed żarem lejącym się z nieba, znaleźli schronienie w jaskini.

Deana położyła się na zimnym kamieniu, otuliła pledem i uśmiechnęła kwaśno. Być może już wkrótce pożałują ucieczki. Jeśli bandyci naprawdę trafili na kolejną kryjówkę z zapasami, w ich obozie mieliby większą szansę na przeżycie. Jedyną szansę. Ale jeśliby nie znaleźli, ona i Omenar

już by nie żyli. Cokolwiek się stanie, odzyskali wolność i wiedziała na pewno, że już nigdy więcej nie pozwoli sobie założyć więzów.

— Śpisz? — szept mężczyzny wyrwał ją z zamyślenia.

— Nie. Myślę. Słyszałeś coś w nocy?

— Co miałem słyszeć?

— Pościg. Okrzyki, nawoływania, tętent koni.

Parsknął.

— Nie zrobiliby tego. Jeśli byłbym na miejscu dowódcy, z pewnością nie rzuciłbym ludzi do ślepego biegania w nocy po tym labiryncie. Oglądając ciała, łatwo mógł ustalić, jak dawno uciekliśmy. Wiedział, że jedyne, co zyska, to zadeptanie śladów. Nie, poczekałbym na świt i dopiero wtedy wyruszył. Oni są konno, my pieszo, łatwo nadrobią stracony czas. Poza tym pewnie musiał zaprowadzić porządek, ludzie lubią się buntować, gdy hersztowi powinie się noga. Ale teraz… Jak daleko mogliśmy uciec?

— Osiem, dziesięć mil.

— Tylko tyle? Po całej nocy?

— Szliśmy powoli, klucząc. Wybierałam taką drogę, gdzie jest tylko goła skała. Poza tym…

— Poza tym — przerwał gniewnie — prowadzisz ślepca i dziecko, tak. Ile byś uszła sama?

— Osiem, dziesięć mil. Nie więcej.

Nie zasyczał kpiąco.

— Jesteś dziwną osobą, Deano d’Kllean — mruknął zamiast tego. — Większość tych, których znam, porzuciłaby mnie i księcia i uciekła, zabierając całą wodę.

— Wychowałeś się w dziwnym miejscu, Omenarze Kamujareh, chyba nie chciałabym się tam znaleźć. Trudno być sługą księcia?

— Trudniej być księciem z krwi *awenderi*, urodzonym dzięki wiedzy przez stulecia przechowywanej w księgach, w których śledzi się linie męskich potomków rodów noszących w sobie choć kroplę Krwi Agara. Bo tradycja mówi, że *awenderi* Pana Ognia zawsze byli mężczyznami, przez cały czas, gdy przebywał między ludźmi, nigdy nie obdarzył on Objęciem kobiety. Więc Białe Konoweryn nie ma księżniczek Krwi Ognia, a kobiety nie liczą się w jego polityce. Może poza tymi, które zajmują wysokie pozycje w Bibliotece oraz — westchnął cicho — Królowej Niewolników. Matka księcia przybyła do pałacu z zasłoniętą twarzą i nosiła ten welon przez cały

czas, także podczas… aktu poczęcia, i później, w czasie ciąży. Jak widzisz, nie tylko Issaram kryją oblicza. A gdy urodziła – szczęśliwie lub nieszczęśliwie – chłopca, wręczono jej zapłatę i wydalono z miasta. Bo tradycja mówi, że nasi książęta rodzą się z ognia i krwi Agara, a nie są wypychani na świat spomiędzy rozwartych ud krzyczących i przeklinających śmiertelniczek, więc żadna kobieta na świecie nie może przyjąć tytułu matki Dziecięcia Ognia. Zresztą, gdyby któraś spróbowała, czeka ją wrzucenie w Oko, kiedyś robiono tak z każdą z nich, lecz trzysta lat temu okazało się, że linie krwi słabną. Trzeba było zmienić… podejście, bo Oko odrzucało kolejnych kandydatów. Wybuchła wojna domowa, zapoczątkowana przez Słowiki, która rozbiła królestwo Daeltr’ed na kilka księstw i zmiotła część Rodów Wojny. Ja… wybacz, że mówię tak chaotycznie… Książę nigdy nie skarżył się na swój los.

— A jeśli urodzi się dziewczynka?

— Odsyła się ją na prowincję, a Świątynia i Biblioteka wpisują dziecko do Ksiąg Krwi. Może za pokolenie albo dwa jej córka lub wnuczka odwiedzi pałac z zasłoniętą twarzą.

Deana nie wytrzymała.

— Słyszałam, że na północy, w Meekhanie, hodują w ten sposób konie.

Zaśmiał się.

— Tak. Masz rację. Dlatego lepiej być sługą księcia niż nim samym. Dziś Laweneres jest drugi w kolejce do tronu, jego rola sprowadza się do przejeżdżania ulicami miasta na grzbiecie słonia i pozdrawiania tłumów, resztę zaś czasu spędza na próbach niewplątania się w pajęczą sieć, tkaną przez Świątynię Ognia, *af’gemidów* Słowików, Bawołów i Trzcin czy pałacowe koterie związane z gildiami kupieckimi, cechami rzemieślniczymi i starą arystokracją. A nawet z Wielką Biblioteką.

— To dużo zajęć jak na tak młodego chłopca.

— Owszem. Lecz to jeszcze nic, bo jeśli jego brat nie zostanie pobłogosławiony męskim potomkiem, a na razie do tego nie doszło, książę będzie zmuszony do odbycia… czy raczej sparzenia się z jakąś przestraszoną dziewczyną, której twarzy nie ujrzy i do której nie będzie mu się wolno odezwać. A wtedy zostanie oficjalnie uznany za Błogosławionego i jego problemy dopiero się zaczną. Dwór w Białym Konoweryn to kłąb skąpanych w oliwie żmij.

— Więc to dlatego uznał, że lepiej zaryzykować śmierć na pustyni?

Tłumacz zaśmiał się.

— Tak. Pewnie masz rację. Nie zostawisz nas? — rzucił nagle.

— Nie. Jesteście moimi *laagvara*. To coś znaczy.

— A co znaczy to, że sypiasz z szablą przy boku?

Delikatnie pogładziła pochwę zdobycznej broni.

— Że zawsze jest jeszcze jedna droga ucieczki z tej pustyni.

— Ale…

— Śpij już, wielomówco. Jesteś gadatliwy jak stara kobieta.

Omenar nie odezwał się już więcej, a gdy nadszedł wieczór, obudziła ich i poprowadziła dalej.

Rozdział 10

Sever Raja rezydował na Czarnym Targu. Jego warsztaty zajmowały całą czteropiętrową kamienicę, która wyróżniała się tym, że była zdecydowanie niższa niż przytulone do niej siostry. No ale szef miejscowych złodziei nie musiał pomnażać zysków, prowokując zdrowy rozsądek i miejscowego patrona murarzy. Cztery piętra wystarczyły mu w zupełności, w końcu większość jego ludzi pracowała głównie na zewnątrz.

Czarny Targ zawdzięczał nazwę warstwie sadzy, która pokrywała bruk, stragany i ściany kamienic. A sadzę rodziły dziesiątki palenisk, płonących tutaj od świtu do zmierzchu i wypluwających ze swych brzuchów rozpalone do białości kawałki stali, które natychmiast trafiały na kowadła, pod walące bez ustanku młoty, by nadawać im kształty noży, mieczy, siekier, toporów, hełmów i tym podobnych dobrodziejstw niezbędnych w przeciętnym seehijskim gospodarstwie.

Tu biło źródło – jedno ze źródeł – sukcesu Kamany, sukcesu, który opierał się na nowym sposobie myślenia o handlu. Zamiast sprowadzać z kontynentu gotowe wyroby, co potrajałoby cenę każdego z nich, miasto importowało materiały – wełnę, którą miejscowe przędzalnie, tkalnie i farbiarnie zamieniały w bele materiału, stal i żelazo na broń i narzędzia, piasek i sodę do wytopu szkła, barwne glinki rodzące słynną kamańską porcelanę. I wiele innych rzeczy, które w miejscach takich jak Czarny Targ, Sukienna Ulica czy Paciorkowy Zaułek zamieniano w towary.

Kamieniczka Raji miała na dole trzy paleniska i siedem kowadeł obsługiwanych przez kilkunastu rzemieślników, w tym dwóch mistrzów płatnerskich sprowadzonych z Ponkee-Laa, a wyżej warsztaty – ten na pierwszym piętrze zajmujący się ostrzeniem, szlifowaniem i polerowaniem ich wyrobów, a ten na drugim – wykańczaniem, robieniem pochew, zdobieniem rękojeści i grawerowaniem. Ostatnie piętro zajmowały wąskie pokoiki z piętrowymi łóżkami. Taka lokalna tradycja.

To była mądra inwestycja, bo jeśli Raja chciał czuć puls miasta, nie mógł się skupiać wyłącznie na przyportowych tawernach i dziwkach. Prawdziwe bogactwo znajdowało się właśnie tutaj, w takich miejscach, jak Czarny Targ, a zasiadanie w radzie cechu płatnerzy, jednego z najpotężniejszych w Kamanie, dawało dodatkowe korzyści. Przykład idzie z góry, w końcu w Ponkee-Laa Cetron też udawał statecznego, średniozamożnego kupca.

Altsin zastanawiał się, ilu z pracujących tu rzemieślników ma choć cień podejrzeń co do rzeczywistych źródeł dochodów swojego pryncypała. Którymi były przemyt, kradzieże, opieka nad portowymi ladacznicami czy rozwiązywanie problemów miejscowych bogaczy. Choć, prawdę mówiąc, większość tych problemów była raczej związywana i wypływała w morze z kamieniem u szyi.

Ale ktoś musiał robić i takie rzeczy, a walka o utrzymanie monopolu na handel z Amonerią nie polegała tylko na uprzejmych rozmowach przy kryształowych kielichach.

Ta ostatnia myśl napełniła go nagłą odrazą do świata, w którym honor i uczciwość nic nie znaczą, a ludzkie życie przeliczane jest na konkretną sumę złota i srebra, w dodatku z roku na rok mniejszą.

Zawahał się, stojąc przed wejściem do kamieniczki Raji z uszami wypełnionymi łoskotem młotów uderzających o rozpalone żelazo i dyszeniem miechów brzmiącym niczym oddech ognistej bestii.

Odraza i gniew. Gniew i obrzydzenie. Obrzydzenie i rozpalająca się gdzieś w środku dzika furia.

Unik.

Głęboki wdech, zaciśnięcie zębów, mocno, aż do bólu, wspomnienie miasta i świątyni wypełnianej metodycznie trupami, płomieni trawiących żywe ciała, jeńców zarzynanych jak zwierzęta. I chłód, głęboki i twardy niczym serce Anday’yi.

Nie waż się nas oceniać. Nigdy nie waż się nas oceniać, przyjacielu.

Westchnął i wszedł do środka.

Raja przyjmował interesantów w pokoiku na poddaszu, nad sypialniami swoich pracowników. Prawdziwy zbytek, inne kamienice miały poddasza zamienione w podręczne magazyny lub wydzielano tam dodatkowe miejsca do spania, a tu królowały półki z księgami, wielkie biurko z kałamarzem zrobionym z inkrustowanej złotem muszli morskiego ślimaka, dwa rzeźbione krzesła i ława obita niebieskim suknem. Wszystkie meble połyski-

wały bladym różem, udowadniając, że nazwa „czerwony dąb anuhijski” nieco mijała się z prawdą. Co nie zmieniało faktu, że było to najdroższe drewno na wyspie.

Altsin stanął przed biurkiem i czekał. Bez słowa, spokojnie. Już przy pierwszym spotkaniu odniósł wrażenie, że herszt tutejszych bandytów uwielbia wytrącać ludzi z równowagi pozornym lekceważeniem i ignorowaniem ich, tak jak teraz, gdy wydawał się zajęty wypełnianiem kolejnych stron w jednej ze swoich ksiąg równym, eleganckim pismem.

— *Khm*… — Chrząknięcie Raji przerwało ciszę, choć nadal nie podniósł na niego wzroku. — Usiądź, proszę, bracie Altsinie.

Złodziej przyszedł w habicie, by nie rzucać się w oczy. W Kamanie mnisi odwiedzali każdego, od bogaczy po nędzarzy, i nikogo nie dziwił jeszcze jeden braciszek pukający do drzwi szanowanego członka cechu, zapewne w celu zbierania datków. Właściwie, jak szybko się przekonał, w tak zapracowanym mieście na ludzi w tym stroju nikt nie zwracał uwagi. To było przebranie doskonałe.

Usiadł na krześle, oparł się wygodnie i obrzucił wzrokiem gospodarza. Sever był szczupły, blady, a rzadkie włosy nosił zaczesane w bok, jakby próbował nieudolnie zakryć powiększającą się łysinę. Niemal nigdy nie patrzył rozmówcy w oczy, błyszczącą skórę miał nieustannie pokrytą kropelkami potu, a jeśli nie trzymał pióra lub księgi, cały czas zacierał nerwowo dłonie.

Gdyby ktoś potrzebował modela do obrazu przeciętnego miejskiego urzędnika, pisarza niższego szczebla lub pomocnika jurysty, to Raja, z palcami poplamionymi atramentem i czołem zmarszczonym z wysiłku, byłby idealny. Ciekawe, ilu ludzi dało się nabrać na ten wizerunek? Nie zostaje się przywódcą gildii złodziei w mieście takim jak Kamana, jeśli pod powierzchownością wystraszonego urzędasa nie kryje się prawdziwa stal. I to pokryta trucizną.

— Jakiś czas temu — pióro nawet nie zadrżało w swoim tańcu po pergaminie, więc Altsin potrzebował chwili, by zorientować się, że właśnie przechodzą do poważnej rozmowy — poprosiłeś mnie o pewną przysługę.

Złodziej uśmiechnął się półgębkiem. Jeśli Raja zaczynał od takich słów, znaczyło to, że spróbuje renegocjować warunki umowy. Z jednej strony było to irytujące, z drugiej sugerowało, że ma informacje, na których Altsinowi zależało. Inaczej nie próbowałby podbić ceny.

— Nie o przysługę, lecz o wykonanie pewnej drobnej pracy — uściślił uprzejmym tonem. — Za sowitą opłatą.

— Dwieście orgów to… — pióro zanurkowało w kałamarzu, zgubiło nadmiarową kroplę atramentu i wróciło na pergamin — … nie tak wiele.

— Za te pieniądze można kupić małe stado krów, kilka dobrych wierzchowców albo spory udział w pełnomorskim statku.

— Doprawdy? Nie wiedziałem, że na kontynencie wszystko aż tak potaniało od zeszłego lata.

— Nie wszystko. Ale za kilka dni podpytywania wśród strażników karawanowych i kupców jeżdżących za mury to dobra cena.

Raja chrząknął, zakończył ostatnie zdanie zamaszystym zawijasem, posypał całą stronę drobnym piaskiem i – wyraźnie zadowolony – odłożył pióro. A potem posłał złodziejowi nieśmiały uśmiech. Altsin nie dał się nabrać ani na przepraszającą minę, ani na wyraz szczerego zakłopotania w oczach gospodarza. Były równie prawdziwe co poza safandułowatego pisarczyka ledwo zarabiającego na chleb.

— To podpytywanie — dłonie Severa splotły się w nerwowym tańcu — było kosztowne. Sam rozumiesz, nie przekazałeś nam zbyt wielu szczegółów. Jakaś Aonel, najpewniej wiedźma, która kilka lat temu opuściła wyspę i popłynęła na kontynent szukać matki. Nie wiadomo nawet, czy wróciła do siebie. Może mieć teraz dwadzieścia dwa, dwadzieścia pięć lat, no i – co okazało się najbardziej pomocne – wygląda jak urodzona Seehijka.

Raja uśmiechnął się, dając znać, że to był żart.

— Moi ludzie — kontynuował, nie doczekawszy się reakcji — szukali opowieści, a to wcale nie jest takie proste. Wierz mi, znacznie łatwiej znaleźć uciekinierów albo porzucony skarb. Zarówno kupcy, jak i strażnicy karawan, o których raczyłeś wspomnieć, to zapracowana banda i nie mają czasu wysłuchiwać miejscowych historyjek, nawet jeśli Seehijczycy w ogóle chcieliby się nimi podzielić.

Altsin nie zmienił pozycji ani wyrazu twarzy, ale ziewnął, dyskretnie przysłaniając dłonią usta.

— Wybacz, służyłem wczoraj Naszej Pani w porcie. — Złożył dłonie jak do modlitwy i skłonił się lekko, przepraszająco. — Mało snu powoduje, że człowiek ma kłopoty z pamięcią, ale jestem gotów przysiąc, że w wiadomo-

ści, którą mi przysłałeś, pisało, że masz dla mnie ważne wieści. I żebym szykował resztę pieniędzy. Pewnie źle cię zrozumiałem.

— Dobrze, dobrze. Mam informacje, których szukasz.

— Więc na czym polega problem? Masz mnie za głupca? Gruby nie będzie zadowolony, że bez powodu próbujesz podbić cenę.

Uśmiech Raji znikł, jego ręce znieruchomiały, a oczy straciły wyraz lekkiego rozkojarzenia. Nareszcie wyglądał jak człowiek, do którego można zwrócić się o pomoc w rozwiązaniu swoich problemów. Bo błagać o życie kogoś o takim spojrzeniu raczej nie byłoby sensu.

— Gruby… dobrze, że o nim wspomniałeś. Wysłałem mu wiadomość o twojej skromnej osobie. Potwierdził, że cię zna, kazał pomagać w granicach rozsądku, napisał, żeby nie ufać. Co ty na to?

Złodziej posłał mu uprzejmy uśmiech.

— Też bym napisał, by mi nie ufać, co w tym dziwnego?

— Racja. Człowiek ulegnie porywowi serca, prośbie kobiety, łzom dziecka, i nagle próbuje oddychać przez kołnierz z konopnej liny. Ale nie o tym chciałem mówić. Cetron-ben–Goron, nasz nowy *anwalar*, napisał też, żebym przekazał ci, iż wasz dobry znajomy, którego palce zostały obcięte pewnej ciemnej nocy, wylizał rany i wzrósł w siłę. I że Liga ostrzy noże. Wszystkie, jakie może znaleźć.

No, to były wieści. Ważne wieści. Liga Czapki starła się już raz z kultem Pana Bitew i wygrała, choć więcej było w tym szczęścia, niż ktokolwiek mógł sądzić. Na dodatek wplątały się w tę grę siły, których nikt się nie spodziewał. Altsin bardzo chciałby wiedzieć, czy Cetron podejrzewał go o współudział w wybiciu wszystkich Prawych, czy skojarzył jego nagłe zniknięcie z rzezią na dachach i rzecznym molo. Ale wtedy Raja najpewniej nie dostałby listu z enigmatycznym ostrzeżeniem, tylko zlecenie na „małą skórkę”. Wspomnienie o molo i rzece przywołało przyprawiający o dreszcze obraz dziewczyny i jej zabójczego towarzysza. Ta dwójka wydawała się osią, wokół której w tamtej chwili kręcił się świat. A on patrzył im w oczy i widział otchłań…

A teraz co? Cetron pisze, że hrabia Terleach odzyskał wpływy i władzę w Świątyni? A Liga idzie na wojnę, jeszcze większą niż ta, która omal jej nie unicestwiła? I prosi go o powrót?

Nie, przyjacielu. Póki mam tego sukinsyna w głowie, nie wrócę.

Raja odchrząknął, przerywając te rozmyślania i natychmiast budząc jego czujność. Głos Severa był teraz inny, śliski, lepki i zimny.

— Kamana — mówił mężczyzna, którego w tej chwili nawet pijany w sztok marynarz nie uznałby za wymoczkowatego urzędasa — zawsze była bardzo niezależnym miastem. Szanujemy Ligę i jej prawo do przewodzenia naszym bractwom, ale w lokalnych sprawach rządzimy się własnymi zwyczajami.

Altsin nagle zrozumiał, skąd wziął się przydomek Severa. Raja – niepozorna ryba, która leżąc na dnie, stapia się z nim całkowicie i człowiek może nieświadomie na nią nadepnąć. A wtedy szast-prast i kolec jadowy wbija mu się w stopę.

— Słyszałem — odpowiedział, opierając się wygodnie i kładąc ręce na kolanach — że to Liga desygnowała cię na tutejszego przywódcę.

— To prawda. Ale to było za poprzedniego *anwalara*. Nie. — Poplamione atramentem dłonie uniosły się w geście zaprzeczenia. — Nie myśl, że obowiązuje mnie jakakolwiek lojalność wobec tego martwego wieprza. Szanuję Cetrona za to, co zrobił, ale Ponkee-Laa jest daleko. A ty, przyjacielu, wydajesz się potencjalnym źródłem problemów.

— Ja? Wędrowiec oczekujący ma oświecenie przez Wielką Matkę? Jeśli mnie uważasz za kłopot, to co z resztą zakonu? Braciszkowie mają zacząć się bać?

Ze zmarszczonymi brwiami Sever Raja wyglądał jak człowiek cierpiący na ostry atak zatwardzenia. Ale Altsin wątpił, czy ktokolwiek mierzący się spojrzeniem z tymi bladymi, wodnistymi oczyma miałby w tej chwili dość odwagi, by pozwolić sobie na złośliwy uśmiech.

— Dziwne — głos herszta złodziei stał się aksamitny i gładki jak jedwabna garota. — Mógłbym przysiąc, że właśnie ze mnie drwisz. Cetron-ben-Goron napisał mi także, żebym na ciebie uważał. Że coś jest z tobą nie tak. Wspomniał, że mogą wokół ciebie dziać się dziwne rzeczy. Potwierdzisz?

Zmierzyli się wzrokiem.

— Owszem, potwierdzę. Chrapię, gdy śpię na prawym boku, jak się najem kapusty, mam wyjątkowo śmierdzące wiatry, a czasem w trakcie wyrabiania ciasta na chleb w klasztornej kuchni nucę pod nosem sprośne piosenki. Jak na mnicha, to zdecydowanie dziwne zachowanie, ale jak na razie przeor nie zdecydował się na egzorcyzmy.

Sever zatarł ręce i zaczął się z uwagą przyglądać własnym paznokciom.

— Te wieści dostałem dopiero miesiąc temu. Statki płyną dość długo na kontynent, jak wiesz, i od tego czasu kazałem cię obserwować. Pracujesz w klasztorze, włóczysz się po mieście i Białej Plaży, roznosisz zupę oraz chleb biednym i namawiasz do dobroczynności mittarskich marynarzy.

Uśmiechnęli się jednocześnie. Raja też pochodził z Ponkee-Laa i niechęć do mieszkańców Ar-Mittar miał we krwi. A że znaczna część portowych żebraków i ulicznic pracowała dla niego, wieści o wczorajszym incydencie wkrótce będą powtarzane w każdym zaułku.

— *Anwalar* nie napisał niczego wprost, a jednak w jego liście było ostrzeżenie. Prosił, by jeśli zaczniesz się zachowywać dziwacznie, skrócić twoje męki. Tak to ujął. Skrócić męki. Dziwne, nie sądzisz? I żebym wysłał do ciebie najlepszych ludzi. Kłopot polega na tym, że nie mam podstaw, by tak zrobić, a kazałem cię sprawdzić nawet moim czarownikom. Nie używasz Mocy, aspektowanej ani innej, nie przyciągasz uwagi żadnych duchów ani demonów, nie zionieszogniem, ani nocą nie zamieniasz się w piękną dziewoję, by nago tańczyć w blasku księżyca. A twoje bąki wcale nie cuchną tak bardzo, jak się chwalisz. Nie wydajesz się nikim ważnym czy niezwykłym. Wczoraj, gdyby nie obecność tego klasztornego olbrzyma, pewnie zostałbyś pobity i ograbiony. Mógłbym co prawda kazać cię zabić i bez trudu przekonać Cetrona, że było to konieczne, ale zdaje się, że przeor klasztoru cię lubi i pewnie narobiłby szumu wokół twojego zniknięcia. Na dodatek nie przepadam za zabijaniem, gdy nie wiem, za co zabijam. To czyniłoby ze mnie zwykłego mordercę. — Sever stracił zainteresowanie paznokciami i zaczął się otwarcie przyglądać Altsinowi. — Może najdziwniejsze w tobie jest to, że siedzisz tu tak spokojnie, z miną, jakbyś medytował nad łaską Pani. Na tym krześle miałem różnych gości i większość z nich po mojej przemowie zapluwałaby się teraz, zarzucając mnie zapewnieniami o własnej niewinności i o tym, że nie wiedzą, o co chodzi.

— A ty byś mi uwierzył?

— Nie. Ale byłoby miło, gdybyś starał się mnie przekonać.

— Cetron i ja różnimy się w kilku sprawach. Kiedyś dla niego pracowałem, potem wykupiłem się i odszedłem, a nasze kolejne spotkanie nie było przyjazne.

— Wrogie też nie. — Raja uniósł jedną brew, co nadało mu wygląd bladego, kamiennego gargulca.

— Oczywiście, w końcu żyję. *Anwalar* nie jest pewien, czy nie będę przeciw niemu działał. Czy nie spróbuję wskoczyć w jego koszulę, jeśli wiesz, o czym mówię. Nie mam takich ambicji, ale Cetron nie zostałby pierwszą czapką w Lidze, gdyby nie podejrzewał wszystkich i każdego z osobna. — Kłamstwa popłynęły gładko, a jedno słowo ciągnęło za sobą następne. Jak rząd szczurów idących gęsiego. — Nie wszyscy w mieście są zadowoleni z jego władzy, z tego, że zamiast ułożyć się ze Świątynią Pana Bitew, prze do wojny. Kilku ludzi zgłosiło się do mnie w tej sprawie, on się o tym dowiedział i tak znalazłem się na czarnej liście. Musiałem uciekać. Może spodziewał się, że będę w Kamanie szukał sprzymierzeńców.

— A szukasz?

Pytanie zostało zadane spokojnym, obojętnym tonem, który mógł znaczyć wszystko.

— Już mówiłem, nie. Poszukuję pewnej plemiennej wiedźmy, która ma u mnie dług. Dzięki niej może uda mi się zarobić trochę pieniędzy i wrócić na kontynent z pełną sakiewką. Niejedną pełną sakiewką.

— Więc sprowadzają cię tu interesy?

— Raczej nadzieja na nie. I na łut szczęścia. W Ponkee-Laa nie ma dla mnie miejsca, więc… jak by to ująć? Czekam, aż Pani Losu się do mnie uśmiechnie.

Spojrzenie Severa przylepiło się do jego twarzy jak kawałek nadpsutej ryby rzucony przez ulicznego łobuza.

— Naprawdę Cetron niesłusznie cię podejrzewa?

— Naprawdę, naprawdę. — Altsin pokiwał głową gorliwie, jak ktoś, kto ma nie do końca czyste sumienie. — Ale on już taki jest. Gdyby był inny, nie przetrwałby jako *anwalar* kilku dni. Myślę, że z czasem jakoś dojdziemy do porozumienia, ale na razie wolę mu się nie pchać przed oczy. Co tak naprawdę dzieje się na kontynencie?

— Informacje kosztują. — Sever Raja rozparł się wygodnie na swoim krześle, wydął wargi i po raz pierwszy wyglądał na rozluźnionego. — Z im dalsza, tym drożej.

— A plotki?

— Plotki są za darmo. Więc co cię interesuje?

— Mogą być plotki. Zanim wrócę do miasta, większość będzie już historią.

— Dobrze. — Raja odchylił się do tyłu i zaplótł dłonie na brzuchu. — Marynarze mówią, że Świątynią Miecza w Ponkee-Laa rządzi teraz jakiś szlachcic, baron czy hrabia, jakiś… Tiresh…

Hrabia Terleach. Hm. Czyli plotki potwierdzają informacje od Cetrona. Altsin miał nadzieję, że po utracie Prawych ten fanatyczny bękart już się nie podniesie. A jednak wystarczyło mu tylko kilka miesięcy.

— Bendoret Terleach? Były z nim kłopoty, gdy wyjeżdżałem z miasta, ale Gruby mówił, że sobie poradzi.

— Podobno sobie nawet poradził, ale później tamten zalał miasto złotem, dostał pomoc przyjaciół z Rady i stanął na nogi. Mówią, że kilku kapłanów zmarło w tajemniczych okolicznościach lub wyjechało w dalekie pielgrzymki, i teraz ten hrabia jest prawdziwym władcą Świątyni. Że zamiast jak zazwyczaj przymilać się do szlachty, bogatych kupców i starszyzny cechów, słudzy Pana Bitew werbują… hm… tak, to dobre słowo, werbują wiernych spośród biedoty. Drobnych rzemieślników, robotników portowych, szkutników, marynarzy, a nawet żebraków, złodziei i dziwek. Każdy, kto przyjmie błogosławieństwo Świątyni i jej znak, może liczyć na wsparcie, datek, ciepły posiłek, siennik w jednym z prowadzonych przez kapłanów przytułków, miejsce w świątynnej szkole dla dzieci, pomoc w chorobie, i tak dalej. Wygląda na to, że Świątynia Reagwyra zaczęła rywalizować w dobroczynności z matriarchistami.

Dwa słowa wybiły się z tego słowotoku i rozbrzęczały mu w głowie niczym gongi przeciwmgielne. Błogosławieństwo i znak.

— Jaki znak?

— Durwon, znak Złamanego Miecza. Tatuują go nowym wiernym na lewym przedramieniu. O — herszt złodziei rozstawił palce na jakieś cztery cale — mniej więcej takiej wielkości.

Brzęczenie przerodziło się w łoskot. Miarowy, potężniejący z każdym uderzeniem serca. Złodziej zmrużył oczy i uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Ludzie pozwalają sobie zrobić coś takiego?

— Tatuaż? — Sever wzruszył ramionami. — Wielu je nosi. Miecz Pana Bitew podobno przynosi szczęście w walce, tak jak Dłonie Matki chronią przed chorobą, a Klepsydra Eyfry pomaga w grze w kości. Taki znak to nic wielkiego, a pozwala napełnić pusty brzuch, ogrzać się w nocy i wyleczyć za darmo. Oczywiście werbując ludzi wśród biedoty, Świątynia wyrywa ich spod władzy Ligi. Tak mówią plotki, rzecz jasna.

Altsin zorientował się, że Raja przygląda mu się intensywnie. Z dziwnym wyrazem twarzy.

— Plotki są niewiele warte — odchrząknął i wychrypiał — a informacje? Te, za które ci zapłaciłem?

— Znalazłem twoją wiedźmę. Aonel. Dokładnie Aonel Tamare z klanu Wyrhh plemienia Ghamlaków. Kilka lat temu jej matka czarownica znikła w dziwnych okolicznościach, więc, jak opowiadają sobie w plemieniu, dziewczyna wzięła kilku krewnych i popłynęła na kontynent. Ponoć gdy wróciła, dusza jej matki pojawiła się w rodowej siedzibie i namaściła ją na swoją następczynię. Tę opowieść potwierdziło kilku ludzi, nawet z plemienia Syvherów, a oni żywią do Ghamlaków prawdziwie seehijskie uczucia. Robią sobie paciorki z ich zębów — dodał, nie wiadomo po co.

— Nie wygląda na to, żebyś miał problem ze zdobyciem tej wiedzy.

— Wręcz przeciwnie. — Sever poprawił się na krześle, pochylił, oparł łokcie na stole. Przechodzili do interesów. — To historia sprzed kilku lat, a w międzyczasie Ghamlakowie, Syvherowie, Oomni, K’warasi, Shawaari i pół tuzina plemion zajmujących północną część wyspy stoczyło jakieś sześć dużych i ze dwa tuziny mniejszych wojen. Można by spisać sto ksiąg takich jak ta — wskazał wolumin na blacie — opowieściami o ich bohaterstwie, odwadze, sprycie i honorze oraz o tym, jak podła, podstępna, tchórzliwa i kłamliwa była ta druga, trzecia i czwarta strona. Historia jakiejś dziewki, która popłynęła na kontynent szukać własnej matki, nijak się ma do opowieści o Gangorze z Loggów, który własnoręcznie schwytał, obezwładnił i związał dziesięciu ghamladzkich wojowników, po czym wyrwał wszystkim po dwa przednie zęby i puścił wolno, by każdy kęs przypominał im o hańbie.

— Więc jak ją znalazłeś?

— Poprzez historię o chłopcu, który popłynął ze swoją siostrą krwi do jakiegoś wielkiego miasta i ukradł tam wielki miecz. W mieście była wieża wysoka na stu ludzi, która nocą płonęła. To przypadkowa opowieść zasłyszana w karczmie od pijanego młodego wojownika. A na wybrzeżu jest tylko jedno miasto, w którym czci się miecz Pana Bitew i które ma najwyższą na świecie latarnię morską. Potem już poszło szybko. Jeden dzban wina, Aonel? Tak, Aonel. Drugi dzban, szukała kogoś z rodziny? Szukała matki. Trzeci, wróciła na Amonerię? Tak, jest w…

Raja uśmiechnął się drapieżnie.

— Reszta pieniędzy. Teraz.

Altsin wyciągnął pękatą sakiewkę, rzucił na stół i bez słowa patrzył, jak łysawy wymoczek wysypuje monety, przelicza i sprawdza każdą z osobna. Nie czuł się urażony. Przywódca złodziejskiej gildii, który ufa swoim klientom, nie byłby wart oberżniętego miedziaka.

— Więc zdobyłeś te informacje dzięki szczęściu? — zagaił w trakcie liczenia.

— Pani Losu pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Gdybym nie wysłał wielu ludzi na łowy, ten młody wojownik mógł wrócić do siebie i nie pojawić się już nigdy w Kamanie. Ale tak, Ślepa Dziewczyna wskazała mnie palcem. — Sever uśmiechnął się złośliwie, zgarnął monety do sakiewki i dodał — choć nie wiem, czy ciebie też.

— Mów.

— Twoja Aonel została Czarną Wiedźmą Ghamlaków w Dolinie Dhawii. Służy Drzewu Przeznaczenia i jest Głosem Ouma. Nigdy do niej nie dotrzesz, nawet w mnisim habicie. Jakikolwiek interes chciałeś z nią ubić, możesz o nim zapomnieć.

Wskazał drzwi.

— Miło się z tobą pracuje, ale mój czas jest bezcenny. Jeśli chciałbyś jeszcze kiedyś kogoś znaleźć, wiesz, gdzie mnie szukać.

Interludium

Miotła. Popiół. Praca.

Od poprzedniego zebrania w tej komnacie minął dzień, a może trzy dni, a może dziesięć. Mężczyzna tego nie wiedział. Nigdy nie był dobry w liczeniu upływającego czasu. Tym razem pierwsza pojawiła się Kitchi, pstrokata, niepokorna, wiecznie radosna i irytująca Kitchi. Pani Losu musiała mieć kiepski dzień, gdy to właśnie ją wybrała na swoją sługę.

Wpadła w okrąg wyznaczony przez jedenaście kamiennych tronów i zawirowała, furkocząc spódnicami i szalami oraz rozsiewając wokół dźwięk śmiejących się dzwoneczków. Popiół, który sługa zdążył już zamieść na kilka kupek, pofrunął w górę i zatańczył razem z nią.

Irytująca.

Usiadła na jednym z kamiennych siedzisk, podkurczając nogi i prezentując kostki obwieszone srebrnymi łańcuszkami.

Uśmiechnęła się.

Do niego.

Opuścił wzrok, zakłopotany. Czasem zapominał, że choć komnata chroni go przed spojrzeniami śmiertelników, to ktoś taki jak Kitchi potrafi przejrzeć iluzję. Służba u Pani Losu niosła ze sobą pewne korzyści.

Miotła. Popiół. Praca.

Mężczyzna i kobieta pojawili się niemal jednocześnie. Tym razem wojownik w szkarłacie nosił maskę wyglądającą jak posklejane kawałki porcelany z nieregularnymi otworami na oczy, a towarzyszył mu mniej więcej dwunastoletni chłopiec, ubrany w luźną tunikę do kolan i sandały. Strój w piaskowych barwach tylko podkreślał jego jasną skórę.

Kobieta miała na sobie szatę w kolorze ciemnego granatu, a twarz zasłoniła kilkoma warstwami tiulu, założonymi na modłę pustynnych plemion.

Bez słowa zajęli miejsca po przeciwnych stronach kręgu, tak by dzieliła ich jak największa odległość.

Mężczyzna ujął nadgarstek chłopca.

— Naradziliśmy się i nie dostrzegamy próby oszustwa w tym, co robi twoja pani, Kitchi od Uśmiechu — słowa brzmiały dziwnie, wypowiadane ustami chłopca, który jeszcze nie przeszedł mutacji. — Los może nam nie sprzyjać, lecz śmierć drugiego księcia i tak da nam zwycięstwo.

— Oczywiście. — Służka Pani Losu pokiwała głową. — Coś jeszcze?

— Jednakże działania Agara nam się nie podobają. Powinien być tutaj i patrzeć.

— To, że kiedyś złożył obietnice, których zamierza dotrzymać, nie musi oznaczać, że pozwoli wam na wszystko, skarbeńku. W końcu chodzi o jego ukochane księstwo. Może uznać twojego kandydata do tronu za spełniającego warunki, lecz nie musi go popierać.

— Ale nie może się wtrącać.

— A wtrącił się? Choć raz użył swojej Mocy? Kiedy?

Chłopiec poruszył się lekko.

— Nie mamy takiej wiedzy.

— Więc nie płacz mi tu. Zasady są jasne. W tej grze mogą wziąć udział tylko ludzie lub krew z krwi, a ostatni z linii nie ma ani tu, ani tam nikogo z rodziny. Jest sam.

— Ale…

Kobieta w granatowej szacie poruszyła się zniecierpliwiona.

— Głupiec z ciebie, E’mnekosie. On jest Władcą Płomieni. Bramą do jego królestwa jest każde ognisko, jakie rozpalono, i każdy płomyk kaganka, którym rozprasza się ciemność. Agar nie musi tu być osobiście, jego zachowanie to tylko demonstracja, żebyśmy wiedzieli, że to, co się dzieje, mu się nie podoba. I że czuwa.

Chłopiec spojrzał na mówiącą, a palce jego pana zakreśliły na bladym przedramieniu skomplikowany akord.

— I co ci da ta wiedza? On umrze, jak nie jutro, to za dwa dni. A wtedy…

— A wtedy Pan Ognia dotrzyma przysięgi. — Kitchi uśmiechnęła się dziwnie. — I ja też. A wy dostaniecie to, czego chcecie.

— To, co nam się należy. Co nam skradziono i odebrano.

— Są różne ścieżki. — Służka Pani Losu wskazała na kobietę z zasłoną na twarzy. — Wy też możecie je wybrać.

— Nie — choć słowa dobiegały z ust chłopca, to mężczyzna pokręcił głową. — My nie możemy. Nie teraz. I ty o tym wiesz.

— Nie. Nic nie wiem. Ty zresztą też nie. Ale obraliście już własną drogę i trzymacie się jej kurczowo, niczym szaleniec uczepiony zerwanego zaprzęgu.

— Damy sobie radę, jeśli Los nie będzie oszukiwał.

— Och. — Kitchi dramatycznym gestem złapała się za serce. — Zraniłeś mnie do żywego. Los bywa przewrotny, złośliwy albo okrutny, lecz nigdy, przenigdy nie oszukuje.

— A przynajmniej tak myślą głupcy, próbujący zagrać z nim w kości — dobiegło z cienia pod ścianą.

Te słowa zamknęły na mgnienie oka całą scenę w kuli bezczasu i nawet szare okruchy sunące niestrudzenie w dół zamarły na chwilę w powietrzu. A kiedy czas wreszcie ruszył, kilka rzeczy wydarzyło się naraz.

Mężczyzna zerwał się z tronu i odwrócił tak szybko, że jego płaszcz rozwinął się niczym ptasie skrzydła, a chłopiec, szarpnięty niespodziewanym ruchem, stracił równowagę i upadł na kolana. Kryjąca twarz kobieta rzuciła jakieś słowo, gardłowe i szeleszczące jednocześnie, a płatki popiołu wokół niej rozprysły się na wszystkie strony, jak odepchnięte niewidoczną dla oczu eksplozją. Powietrze na krawędziach bariery zamigotało lekko.

Tylko Kitchi pozostała niewzruszona. Barwna, pstrokata, irytująca Kitchi.

Chłopiec podniósł się z kolan i z twarzą wykrzywioną w dziwnym grymasie wycharczał:

— Niszczycielka.

Cichy śmiech, który odpowiedział temu… imieniu?, obeldze?, wzbudzał większy niepokój, niż gdyby z cienia bluznęła wiązka przekleństw i gróźb. Wojownik w szkarłacie puścił rękę chłopca i sięgnął dłonią za plecy, pod płaszcz.

Płomienie ryknęły ze środka posadzki, kąpiąc wszystko w czerwono-złotym blasku, i zgromadzeni zamarli.

Do licha. Teraz będzie więcej zamiatania.

Służka Pani Losu wstała z tronu i tanecznym krokiem – czy ona nie potrafiła poruszać się inaczej? – omijając kolumnę ognia, podeszła do stojących pod ścianą trzech postaci. Uśmiechnęła się do najniższej z nich.

Ogień przygasł powoli, a z sufitu posypało się trzy razy więcej popiołu niż poprzednio.

Miotła. Praca.

— Przybyłaś.

— Skoro zawarłyśmy umowę.

Kitchi zerknęła przez ramię w tył.

— Siadaj E’mnekosie! Natychmiast!

No proszę. Gdzież to się podziała roztańczona trzpiotka? Jej głos brzmiał żelazem i rozpaloną do białości stalą. Mężczyzna powoli wysunął dłoń zza pleców i powoli, jakby musiał osobno zmuszać każdą część swojego ciała do posłuszeństwa, zajął miejsce na tronie.

— Przyniosłeś tu broń, naginając zasady. Ośmieliłeś się sięgnąć po nią i nadal się dziwię, czemu Agar nie zamienił cię w garść popiołu. Stąpasz po ostrzu bożego gniewu.

— Nie tylko ja. — Ręka chłopca ponownie znalazła się w uścisku mężczyzny. — Ty też, skoro ją tu zaprosiłaś.

— Przecież wiesz, że nie weszłabym do tego miejsca, gdyby Pan Ognia miał coś przeciw. — Najniższa z przybyłych wysunęła się do przodu, okazując się dziewczyną czternasto-, może piętnastoletnią, z czarnymi jak noc włosami i oczami, które w tym świetle wyglądały jak sadzawki wypełnione nocnym niebem.

Jej towarzysze zostali w cieniu. Nieistotni jak kamienie tworzące ściany.

— Więc bezstronność naszego gospodarza wydaje się wątpliwa — głos chłopca obniżył się o ton.

Kitchi zaśmiała się głośno, jakby usłyszała najlepszy w życiu dowcip.

— Chcesz wejść do domu, którego właściciel cię nie zaprosił, ograbić go ze wszystkiego, co stworzył przez ostatnie tysiąc lat, zgwałcić jego żonę, córki i wymordować synów, a jeszcze masz czelność domagać się od niego bezstronności?

— Obiecał nam coś.

— I dotrzymuje obietnicy. Ona przybyła tu na zaproszenie mojej pani. Jako jej gość.

— Nie wolno ci wprowadzać nowych graczy.

— To nie gracz, tylko… obserwator.

Mężczyzna zamarł, jedynie jego palce przebiegły po ręce chłopca.

— Zgoda. Ale zasady obowiązują. W to, co dzieje się z Dziecięciem Ognia, bezpośrednio mogą wtrącić się tylko ludzie. Krew z krwi.

— Oczywiście. — Kitchi od Uśmiechu ujawniła, skąd wziął się jej przydomek. — A teraz patrzcie. Pan Ognia pokaże nam, jak wyglądają sprawy

tam. Na pustyni.

Ściana bladych płomieni rozbłysła na środku komnaty.

Rozdział 11

Podkradła się do wyjścia z jaskini, która cały dzień i pół nocy udzielała im schronienia. Głosy z zewnątrz rozbrzmiały wyraźniej, po czym znów ucichły. Pięciu, może sześciu ludzi przeszło nie dalej jak dwadzieścia kroków od wejścia. Ale minęli je nie zwracając uwagi na ciemną szczelinę. Znowu.

Deana zacisnęła dłoń na rękojeści szabli, oblizała wargi. W głosach bandytów nie było słychać ani pośpiechu, ani desperacji, a to mogło znaczyć tylko jedno: że znaleźli wodę. Od wielu godzin nie opuszczali też tej okolicy. Wiedzieli już, że ścigani muszą być gdzieś tutaj. Więc spokojnie, bez pośpiechu przeczesywali teren, mając pewność, że jeśli nie cierpliwość tych poszukiwań, to obłęd wywołany pragnieniem wyda w końcu księcia i jego towarzyszy w ich ręce.

Wejście do jaskini miało ledwo stopę szerokości i kryło się za usypiskiem ostrych kamieni, więc jak do tej pory bandyci nie zwrócili na nie uwagi, ale to był już trzeci raz, gdy przechodzili w pobliżu. A gdy nadejdzie dzień, któryś w końcu je zauważy i spróbuje sprawdzić, czy w takie pęknięcie mogła się wślizgnąć kobieta, dziecko i szczupły mężczyzna.

Wcześniejsza nocna wędrówka skończyła się szybciej, niż Deana by sobie tego życzyła, bo księżyc skrył się za chmurami i musieli się zatrzymać. Przy braku srebrnej tarczy na niebie ciemność panująca na pustyni robiła się… lepka. Gęsta jak roztopiona smoła, pochłaniała każdy odblask światła. Gdy wyciągnęło się przed siebie rękę, człowiek ledwo mógł dojrzeć własną dłoń. Zbyt dobrze pamiętała o kilku uskokach i jarach, które minęli po drodze, by ryzykować.

Spędzili większość nocy, leżąc w jakiejś dziurze, przytuleni do siebie we trójkę, usiłując zatrzymać pod kocami tę odrobinę ciepła, która się tam jakimś cudem zalęgła. Noce były zimne, zimniejsze niż w jej rodzinnych stronach, jakby pustynia chciała dodatkowo dręczyć wędrowców nie tylko

pragnieniem, lecz także chłodem. Rozpalenie ognia to przywilej, którym żadni uciekinierzy nie mogą się cieszyć.

I wtedy, tuż przed świtem, gdy jak ujął to kiedyś jeden z poetów jej plemienia, niebo zaczęło przywdziewać szaty rodzącego się dnia, młody książę trącił Deanę lekko w bok i wskazał za skały, jakieś pół mili za nimi. Poczuła, jakby legendarny lodowy wąż podpełzł i znienacka ukąsił ją w serce.

Światła.

Na skałach pojawiły się pochodnie. Jedna, dwie, pięć. Poruszały się nie za szybko, lecz pewnie, jakby prowadził je doświadczony przewodnik. Bandyci byli blisko.

Zerwali się i korzystając z jaśniejącego nieba, ruszyli przed siebie, omal nie wpadając w zastawioną pułapkę. To było sprytne, otoczyć jakiś teren i wypłoszyć poszukiwanych, jak płoszy się zwierzynę dla myśliwych. Deana nie wiedziała, co ją ostrzegło, nagły zapach, dźwięk czy wręcz przeciwnie, podejrzana cisza, lecz w ostatniej chwili odepchnęła na bok chłopca, podcięła ślepca i wyszarpując szablę z pochwy, starła się z dwoma bandytami, którzy wyskoczyli na nich z cieni. Trans zapłonął w niej, ledwo przez chwilę, ledwo na kilka parad i kontr, które umalowały skalne ściany czarną w tym świetle krwią, a potem było po wszystkim.

Zostały dwa trupy, podnoszący się z ziemi jej towarzysze i świadomość, że w nocnej ciszy szczęk stali zabrzmiał jak tysiąc dzwonów bijących na alarm. Echo przyniosło gdzieś spomiędzy szczelin dalekie okrzyki, więc miała niewiele czasu, by sprawdzić zwłoki, a potem pobiec przed siebie, w labirynt wąskich przejść i pęknięć w skałach, z Omenarem uczepionym jej ramienia, z oddechem więznącym w gardle i dłonią kurczowo zaciśniętą na manierce zdjętej z zabitego bandyty, w której chlupotała odrobina wody.

Biegli na oślep, byle dalej i szybciej, aż w końcu, chyba tylko dzięki przewrotnemu szczęściu, Deana spostrzegła za niewielkim stosem kamieni szczelinę w skale, za którą czaił się mrok obiecujący kryjówkę. Wpadli, nie, wcisnęli się do środka, i uspokajając rozdygotane serca, nasłuchiwali.

Pogoń minęła ich jaskinię po mniej więcej kwadransie, a potem zaczął się najdłuższy dzień w jej życiu. Bandyci nie potrafili ich znaleźć, lecz wiedzieli już, że łup zaszył się gdzieś w pobliżu. Kilka razy słyszeli odległe nawoływania, krzyki, raz wrzaski zabrzmiały triumfem, które nagle przeszły w pełną rozczarowania ciszę.

Oczywiście następnej nocy księżyc błyszczał na niebie niczym świeżo wybita moneta. Wyjście na zewnątrz byłoby samobójstwem.

Ukrywając się przez wiele godzin, Deana miała wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć ostatnie wydarzenia. Była pewna, że dobrze ukrywała ślady, a tych kilka fałszywych tropów powinno pokrzyżować szyki także bandytom, lecz oni szli za nimi jak po sznurku. Ale jeszcze tu nie wpadli, więc potrafili tylko w miarę dokładnie ustalić kierunek i odległość. To by znaczyło, że banda korzystała z pomocy kogoś władającego Mocą, jakiegoś czarownika, może niezbyt potężnego, ale potrafiącego wytropić kogoś, komu towarzyszył wcześniej przez jakiś czas. Takie rzeczy się zdarzały, tego typu aspekt nie czynił z kogoś obdarzonego Talentem wielkiego i bogatego maga, lecz dla tropiciela był bezcenny. Szczerze żałowała, że ten mizerny czarodziej nie był jednym z tych, którzy ich pilnowali. Wykrzywiła się w ciemności. Los splata się jak chce, a życie czarownika-tropiciela najwyraźniej należało do kogoś innego, więc teraz nie ma co żałować, że go nie zabiła.

Nie rozpaczaj nad tym, na co i tak nie miałaś wpływu, takie gorzkie myśli zabijają duszę, powtórzyła sobie jedno z ulubionych powiedzonek ciotki Vegreli. To prawda, nie miała wpływu na pojawienie się w *afraagrze* Lengany h’Lenns, nie miała wpływu na jej dziką nienawiść ani na konsekwencje tej nienawiści. Nie miała wpływu na wyrok starszyzny ani na plany bandytów i szaleństwo ich desperackiej ucieczki przez pustynię.

Usłyszała za sobą szelest. Omenar. Zdołał już poznać każdy zakamarek ich małej kryjówki i poruszał się w środku ze swobodą kogoś, dla kogo ciemność jest bratem i towarzyszem każdej chwili. Podsunął jej zdobyczną manierkę.

— Pij.

— Nie muszę.

— Jeśli zakopałbym cię żywcem w ziemi, twierdziłabyś, że nie musisz oddychać — mruknął. — Nie przeceniaj własnych sił. Pij.

Zachlupotała wodą, przyłożyła usta do naczynia i przechyliła je demonstracyjnie. Usłyszała ciche parsknięcie.

— Nie udawaj. Nie oszukasz ślepca. Twoje są dwa łyki. Jeśli osłabniesz, to nie zdołasz nas obronić.

Pociągnęła dwa małe łyki, niemal nie czując smaku wody, i wcisnęła mu naczynie w dłonie.

— To nie twoja wina, że nas znaleźli. — Ledwo widziała owal jego twarzy, lecz wydawał się wpatrywać w nią intensywnie, a jego białe źrenice wręcz świeciły w ciemności. — Nikt nie może przewidzieć wszystkich ruchów swoich wrogów — dokończył niezgrabnie.

Cofnęli się w głąb jaskini. Sześć stóp wysokości w najwyższym miejscu, jakieś piętnaście szerokości, w środku mrok ledwo złamany za dnia poświatą od strony wejścia, teraz czarny jak sen ślepca. Wzdrygnęła się na to skojarzenie, lecz tłumacz trzymał ją pewnie za rękę i poprowadził na posłanie z kilku koców.

— Książę śpi? — zapytała cicho.

— Jak kamień. W jego wieku istnieją dwa stany: albo energia rozsadza chłopca tak, że biega po ścianach, albo zapada on w podobny do katatonii sen, z którego nawet trzęsienie ziemi by go nie wybudziło.

— To dobrze. — Usiadła, a Omenar bez słowa przykucnął przed nią. — Będzie potrzebował sił.

Nie zapytał do czego, co świadczyło o jego mądrości i takcie. Zamiast tego przysiadł się i narzucił na nich oboje koc.

— Za dzień będziemy słabsi, za dwa jeszcze bardziej, za trzy nie zbierzemy dość sił, by stąd wyjść — zaczął cicho.

— Wiem. — Sięgnęła po *ekchaar* i zdjęła go z pewną ulgą. W jaskini było duszno, a materiał nie ułatwiał oddychania. Tłumacz musiał dobrze zinterpretować jej ruch, bo po chwili poczuła delikatne dotknięcie z boku głowy.

— Jak rana? Nie otworzyła się?

— Nie. Goi się ładnie.

— To dobrze.

Jego palce musnęły jej szyję, płatek ucha, zamarły, jakby przestraszone. Usłyszała, jak mężczyzna wstrzymuje oddech.

— Ja… — zaczął niepewnie.

Do cholery, dlaczego nie? To może być ostatnia taka noc w jej życiu.

— Ja chciałem…

Przerwała mu lekkim dotknięciem, dłonią położoną na dłoni, oparciem się o jego bok. Nie chciała teraz słuchać mądrych słów, które nadawały kształt jej własnemu poczuciu bezsilności. Odnalazła w ciemności jego usta, pocałowała, potem pozwoliła się pocałować, lekko, trochę nieśmiało.

Smakował… pachniał… mężczyzną. Mężczyzną, który był tuż obok, był jej towarzyszem walki, był…

Za dużo myślisz, usłyszała w głowie śmiech ciotki, nie, nie jednej ciotki, lecz całych pokoleń ciotek, kuzynek, przyszywanych sióstr, kobiet Issaram, biorących sprawy w swoje ręce, wybierających sobie mężczyzn i pozwalających im wierzyć, że to oni wybierają. Tu i teraz to ona wybierała, więc pociągnęła go na ziemię, pozwoliła jego dłoniom pobłądzić, delikatnie, miękko, i ten dotyk przegnał złe wspomnienia, bo był dokładnie taki, jak powinien, między nieśmiałością a niemym zapytaniem, więc odpowiedziała na to zapytanie, pozwalając jego dłoniom wślizgnąć się na gołą skórę, musnąć piersi, brzuch, objąć plecy, poczuła jego wargi na oczach, ustach, szyi, zaszeptał coś w swoim języku, ale nie liczyły się słowa, tylko to, co pod nimi, ściśnięte gardło, chrapliwa niecierpliwość, ponagliła go, muskając paznokciami kark, wyprężyła się…

Ciemność pod jej powiekami rozbłysła śmiechem gwiazd.

* * *

Kitchi od Uśmiechu zaklaskała radośnie i aż podskoczyła na tronie.

Yatech patrzył i słuchał. Taki był rozkaz Kanayoness. Patrz i słuchaj. A jeśli to zasadzka, walcz, najlepiej jak potrafisz. Iavva ci pomoże. Stali teraz pod ścianą za kamiennym siedziskiem ich pani, zająwszy takie pozycje, by mieć widok na obu jej adwersarzy. Mężczyznę w szkarłatnej kolczudze i masce oraz kobietę w ciemnej szacie, z twarzą ukrytą pod welonem. Wyglądało na to, że zasłanianie oblicza było tutaj powszechnym zwyczajem.

Yatech stał, patrzył i słuchał. Od chwili, gdy Mała Kana zabrała go w tamto miejsce, Mrok, jak powiedziała, a – na litość Matki – nie miał powodu, by jej nie wierzyć. Przez te miesiące, które spędzili razem, pokazała mu setki swoich twarzy, ale nigdy nie ujawniła się jako kłamca.

Szumiało mu w głowie za każdym razem, gdy wracał myślami do tego, co się ostatnio wydarzyło.

Tamta dziewczynka w lesie… próbował ją ocalić, a przyniósł śmierć. Gdyby nadal był Issaram, poszedłby z tym ciężarem do kogoś ze starszyzny *afraagry*, a on, być może wspólnie z Pieśniarzem Pamięci, znalazłby dla niego ścieżkę odkupienia. Serię modłów, postów i zadań do wykonania. Bo

tym właśnie jest rozgrzeszenie, nie karą, lecz drogą, na której zdejmujesz z barków kamienie złych uczynków. Ale nie należał już do tego ludu i musiał nieść ten grzech sam. Do końca życia.

I sam Mrok… Zatkał wtedy uszy i kazał jej zamilknąć, ale miało to tyle sensu, co próba postawienia zwalonego muru krzykiem. A jeśli Mrok był czym innym, niż wierzyli Issaram, jeśli wspólna dusza nie istniała, a odkupienie miało nigdy nie nadejść…

Wiara jego, nie, nie jego, wiara ludu, wśród którego się wychował, była nic niewartym stekiem bzdur, przesądów i bajek, powtarzanych tak długo, aż zamieniły się w bezsensowną tradycję i zbiór obyczajów prowadzących donikąd. Byle jeszcze jedno pokolenie przeżyło swoje dni tak, jak jego ojcowie i dziadkowie, zarażając mimochodem własne dzieci.

Harudi okazał się głupcem albo szaleńcem, albo świętym, co na jedno wychodzi. Próbował „ocalić” dla Issaram coś z dawnych, sięgających Wojen Bogów wierzeń, a zakuł ich w kajdany religijnych powinności, relikt przeszłości, który zastygł w czasie niczym owad uwięziony w bursztynie.

Więc teraz zerwanie więzi z tymi, których Yatech uważał za swoich pobratymców, powinno być proste.

A jednak…

Wszystko, co wydawało się takie proste, zmieniło się w jednej chwili, gdy w ogniu płonącym pośrodku kręgu kamiennych siedzisk ujrzał ją.

Deana.

Jak tam trafiłaś? Jaka siła wplątała cię w sam środek tej gierki między Nieśmiertelnymi?

Yatech wiedział już bowiem przynajmniej jedno.

W takim starciu człowiek znaczy mniej niż pyłek między obracającymi się żarnami.

Rozdział 12

Wymknęła się tuż przed świtem. Zostawiła im całą wodę i wszystkie zapasy. Jeśli nie uda jej się wrócić, da im to jeszcze trochę czasu. Omenar miał rację. Bez wody wytrzymają dzień, dwa, może trzy. A potem? Porywacze nadal chcieli księcia żywego, a on mógł w końcu wyb… uśmiechnęła się kwaśnym grymasem… wybłagać życie dla swego sługi.

Ona nie mogła liczyć na litość bandytów. Nie po tym, jak przelała krew ich kamratów. Cokolwiek by mówić o honorze zbirów, za krew zawsze odpłacali krwią.

Ale teraz… Nim słońce uśmiechnie się do świata znad horyzontu, nim nocny chłód wpełznie pod kamienie, nastał czas łowów. Bandyci zapewne wciąż ich tropili, po dwóch, trzech przeczesywali okolicę, i zapewne mieli ze sobą wodę. Na wpół wypełniony bukłak byłby wart więcej niż wszystkie skarby wszystkich królestw świata. Jeśli uda jej się znaleźć jakichś myśliwych…

Przystanęła w głębokim cieniu, lustrując uważnie najbliższą okolicę. Czas jej sprzyjał, przedświt zawsze rozleniwiał strażników, tłumił czujność łowców. Ci, którzy przeczesywali okolicę, chcieli już zapewne wrócić do obozowiska i odpocząć. Wiedzieli, że ich zwierzyna nie zaryzykuje wędrówki za dnia. Jeśli na dodatek rzeczywiście był z nimi obdarzony magicznym talentem tropiciel, być może czekał właśnie na ruch uciekinierów.

Deana przymknęła oczy.

Wielka Pani, jestem pyłem na obliczu świata, lecz moje dłonie dzierżą nie tylko mój los. Daj mi siłę, bym poniosła ten ciężar, jeśli nie ku życiu, to choć prosto w Twoje ręce. Daj mi mądrość, bym rozpoznała, która ścieżka…

Czar zaskoczył ją, uderzył w bok, wyrwał z kryjówki. Potoczyła się po skale. Czuła, jak zaklęcie wciska jej swoje zimne paluchy do oczu, uszu i nosa, jak dławi otwarte w krzyku usta, jak wyrywa z dłoni szablę. Uderzyła brutalnie o jakiś głaz, czar przycisnął ją do szorstkiej powierzchni,

mocno, jeszcze mocniej, jakby próbował rozetrzeć ciało o kamień. Nagle puścił i w tej samej chwili zbrojni pojawili się wokół, jeden kopniakiem posłał jej broń w bok, i był to jedyny kopniak, którego nie poczuła. Pozostałe spadły na nią, wraz z uderzeniami pięści i kijów, jak kamienna lawina.

Bili raz za razem, ciosami podszytymi strachem i nienawiścią, aż w końcu coś pękło jej z boku. Żebra. A potem rzucili się na nią we trzech czy czterech, przycisnęli do ziemi, wykręcili ręce, zawiązali rzemienie.

Po chwili posadzili ją pod głazem, siłą unieśli głowę.

Dopiero wtedy podszedł mag, powoli, jakby lekko onieśmielony. Luźna szata łopotała wokół niego, szarpana wiatrem, który nie poruszał nawet ziarna piasku. Z czubków palców, na podobieństwo siwego dymu, ściekały czary.

— Zdziwiona?

Nie odpowiedziała, omiatając obojętnym wzrokiem szare łachmany i niewolniczą obrożę. Uśmiechnął się do niej pieńkami zębów.

— Byłaś sprytna. Bardzo sprytna i przewidująca. Ale to nie wystarczy, by wywieść mnie w pole.

— Uciekłam.

— A ja cię schwytałem. — Mężczyzna uniósł dłoń w geście, jakiego nie znała.

Pojawił się ten, którego do tej pory uważała za przywódcę bandytów. Teraz nie mogło już być wątpliwości, kto jest panem, a kto sługą. Ten, którego miała za herszta, nie ośmielił się podejść bliżej niż na trzy kroki do obszarpańca, zatrzymywał wzrok na wysokości jego stóp, zachowywał się niczym koza w towarzystwie oswojonego lwa.

Strach emanował z niego niemal tak samo, jak magia z dłoni czarownika.

— Co rozkażesz, panie? — zapytał cicho, rzucając Deanie pełne nienawiści spojrzenie. Zapewne jeśli nawet nie został jeszcze ukarany za ich ucieczkę, to kara została co najwyżej odroczona. — Możemy ją raz-dwa wypytać.

Mimowolnie położył dłoń na rękojeści noża.

— Nie. — Starzec uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Spójrz na nią. Nic nie piła od dwóch dni, oni zapewne też, więc są słabi. Nie mogła odejść daleko. Jednak znam Issaram, ona ich nie wyda, przynajmniej nie nazbyt szybko. Spróbujemy inaczej.

Przykucnął naprzeciw Deany. Poczuła nagle sól na języku, a mgliste pasma ścielące się z jego palców dotknęły jej nogi. Chłód był niemal przyjemny.

— Popełniłem błąd, zostawiając cię przy życiu, zresztą jego sługę też, ale zrozum, nie mogłem się oprzeć. Lecz czyż kamień może być liściem? Na mojej arenie od lat nie walczyła żadna issarska zabójczyni. — Zmrużył lekko oczy, a wokół jej nogi zamknęły się lodowe kły. — Właściwie to nigdy nie walczyła. Byłabyś pięknym prezentem dla miłości mego życia, a ona z pewnością doceniłaby cię bardziej niż kogokolwiek innego. Lecz to przepadło. — Mlasnął językiem, zionąc jej w twarz wonią czosnku. — Jestem zaszczycony, że mam cię za wroga, wojowniczko. Gdyby było dość czasu i gdyby chodziło tylko o ciebie, z przyjemnością ofiarowałbym ci powolną, bolesną śmierć, rozciągniętą na wiele dni.

Westchnął i, na Łzy Matki, wydawał się szczerze zasmucony.

— Nie obiecam ci życia, złota, klejnotów ani wolności, tylko prawdę, bo powiadają, że należy być szczerym wobec umierającego, by nie zabrał kłamstwa w drogę na drugą stronę Mroku. Więc będę szczery. Mogę cię wydać moim ludziom i wierz mi, upłynie wiele godzin, nim się tobą znudzą. Mogę też zadać ci ból, który złamałby największego bohatera…

Lodowate kły wgryzły się głębiej, aż do kości. Jęknęła.

— Ale tu nie chodzi o ciebie, lecz o księcia. Oboje wiemy, że jeśli go nie znajdę, umrze tu razem ze swoim sługą. Nie pił tak samo długo jak ty, więc jeszcze dzień, najdalej dwa, i obaj będą martwi. A w tym labiryncie możemy szukać zbyt długo. Jestem ich jedyną szansą na przeżycie. Twoją… nie. Za dużo sprawiłaś mi kłopotów, więc jeśli powiesz mi, gdzie się chowają, dam ci szybką śmierć i… — wyciągnął nagle rękę w kierunku jej *ekchaaru,* szarpnęła się w tył, uderzając potylicą o kamień — … nie obejrzę sobie twojej twarzy, nim nie umrzesz.

Kilku bandytów zarechotało. Czarownik pochylił się bardziej, owiał ją czosnkowym oddechem.

— To odpowiedni czas, nie sądzisz? Znam wasze przesądy. Jeśli ktoś zobaczy twoją twarz, ty lub on musicie umrzeć przed najbliższym wschodem słońca. Czasem więc masz na załatwienie takiej sprawy niemal cały dzień i noc, czasem zaś — wskazał różowiejący horyzont — trzy kwadranse, może mniej. Więc jak? Powiesz mi?

Pokręciła głową, po raz pierwszy żałując, że nie może komuś splunąć pod nogi.

Uderzył czarem, nagle, paraliżując ją zimnem, po czym sięgnął po *ekchaar.* Zasłona poddała się dopiero trzeciemu szarpnięciu, i nagle jej naga twarz znalazła się na widoku wszystkich. To była jedyna rzecz, o jakiej mogła teraz myśleć. Jej twarz była naga, a obcy mogli na nią patrzeć.

Jak zza ściany usłyszała gwizdy, pohukiwania i głośne śmiechy. Bandyci tłoczyli się wokół niej, pokazywali sobie palcami, wykonywali sprośne gesty.

— Widzisz? — Starzec pokiwał głową. — Oto opadają zasłony. Wy, Issarowie, mamicie świat swoimi zamaskowanymi twarzami, opinią bezwzględnych morderców, wprawą w zabijaniu. Ludzie się was boją, a to sprawia, że w czasie walki są słabi i dają się łatwiej pokonać, co dorzuca kolejny kamyczek do tworzonej przez was legendy. Ale gdy zedrzeć maskę, zobaczymy młodą, przestraszoną dziewczynę, która nie różni się wcale od innych kobiet.

Uniósł dłoń i śmiechy zamarły.

— A więc jak będzie? Ocalisz swoją duszę i przy okazji życie księcia, czy skażesz siebie na potępienie, a jego na śmierć? Teraz odejdziemy kawałek i zostawimy cię tu na kwadrans. Podobno najważniejsze decyzje człowiek powinien zawsze podejmować w samotności. — Wywarczał kilka słów i dwóch bandytów podeszło i błyskawicznie zakneblowało ją resztkami *ekchaaru*. — To, żebyś przypadkiem nie odgryzła sobie języka.

Wstał i zniknął gdzieś za jej plecami.

— Kwadrans. Jeśli nie podejmiesz właściwej decyzji, resztę dnia spędzisz w towarzystwie moich ludzi. Wszystkich.

Została sama.

* * *

Miotła. Popiół. Praca.

Płomienie na środku komnaty zdradzały nie swoje sekrety, jakby były gromadką starych plotkarek. Wydarzenia na pustyni, setki mil od Konoweryn, miały wstrząsnąć Południem, zaważyć na losach całych narodów, a przecież oglądało się je niczym bajkę utkaną z ognia przez zdolnego czarownika. I to bajkę, której mroczne, ponure zakończenie jest znane wszyst-

kim. Tymczasem, choć nie padło ani jedno słowo, od mężczyzny w czerwieni biło takie poczucie triumfu, że nawet deszcz bożego łupieżu zdawał się opływać go łagodną spiralą.

Zwycięstwo, mówił sposób, w jaki wojownik rozparł się na kamiennym tronie. Olśniewające, bezwzględne zwycięstwo. Nastał czas podziału łupów i uczt dla triumfatorów. I… żadnej łaski dla pokonanych.

To nie taka gra.

Kobieta w granatowej szacie siedziała na swoim miejscu bez ruchu, jakby jakiś czar zmienił ją w posąg. Wydawało się, że nie oddycha.

Omiótł starannie podstawę jednego z pustych tronów, nim zerknął na scenę w głębi płomieni. Dziewczyna siedziała pod skałą, niebo na wschodzie przestało się rumienić, złocąc się już zapowiedzią świtu.

Jeśli dobrze rozumiał, ostatniego w jej życiu.

Barbarzyńcy i ich przesądy.

Popracowaliby kilka stuleci miotłą, to zrozumieliby, co jest naprawę ważne.

No cóż. Wyglądało na to, że tu i tam wszystko zamarło, oczekując na nieuchronny finał.

Jego uwagę przyciągnął ruch. Kitchi od Uśmiechu wachlowała się leniwie dłonią, patrząc na zaproszoną nieznajomą takim wzrokiem, jakim rybak obserwuje rzuconą na wodę przynętę.

Sługa oglądał podlotka z boku, więc nie wiedział, jakie spojrzenie służka Pani Losu dostała z powrotem.

Doszedł do wniosku, że żadne, bo pstrokata, irytująca Kitchi nie patrzyła na nią, tylko na cień za jej plecami.

I w chwili gdy cień ożył i wypluł z siebie młodego mężczyznę w pustynnym stroju, z rękojeściami mieczy wystającymi znad barków, wiadomo było, że gra wcale się jeszcze nie skończyła.

Może dopiero teraz się zaczyna.

Tworzyli interesującą parę, on, wysoki, żylasty, z twarzą ozdobioną imponującą szramą i nosem złamanym raczej niejeden raz, i ona, drobna, szczupła, niemal po dziecięcemu krucha. Nachylał się nad nią i mówił szeptem, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa w jakimś dzikim dialekcie, a choć nie gestykulował ani nie robił groźnych min, coś w jego postawie przyciągnęło uwagę wszystkich zgromadzonych. Jakby węszyli obietnicę rozlewu krwi.

Mężczyzna pochylił się nagle niżej i jego szept ucichł, choć dało się dostrzec, że nadal porusza ustami. Czarnowłosa odwróciła się wreszcie w jego stronę i położyła mu palec na wargach. Rzuciła pytanie, krótkie, ledwo kilka słów, a z twarzy wojownika odpłynęła krew. Ale odpowiedział bez śladu wahania, skinięciem głowy i przyłożeniem dłoni do serca. Ci barbarzyńcy i ich pierwotne w swojej prostocie gesty. W pewien sposób było to nawet piękne.

Dziewczyna wstała i zrobiła kilka kroków, zatrzymując się tuż przed ścianą płomieni.

— Krew woła, krew idzie — powiedziała dźwięcznym głosem, jakby była książęcym heroldem ogłaszającym wolę władcy. A potem dodała, patrząc wyzywająco na Kitchi od Uśmiechu — kości się toczą.

Rozległo się syknięcie i towarzyszący jej wojownik znikł.

* * *

Cisza. Tylko kamienne ściany wokół, pełne odcieni szarości i brudnego brązu, powoli nasycających się barwą, w miarę jak nadchodził świt. Z miejsca, gdzie ją związali, Deana widziała różowiejący horyzont. Jeszcze dwa, może trzy kwadranse, a słońce wyjrzy zza niego, pocałuje jej twarz i wtedy… Czy… czy poczuje to samo, co czuł Yatech, gdy wyrąbywał w ścianie dziurę w miejscu, gdzie widniało jego imię? Gdy odrzucał wszystko, co wiąże się z byciem Issaram, by stać się *gaaneh* – skorupą pozbawioną duszy. Czy gdy umierał na pustyni, jego ciało poddało się bez walki, bo nie było w nim ducha, który napełniałby go siłą, czy wręcz przeciwnie, rzucał się i przeklinał, złorzecząc ludziom, bogom i demonom, ponieważ nie miał duszy i wiedział, że poza śmiercią nie ma już nic?

Czy gdy już umrze, choć jej ciało nadal będzie oddychać, w ogóle ją obejdzie, co z nią zrobią?

Pustynny skoczek przebiegł kilka kroków od niej, najpewniej spiesząc się do nory przed świtem.

Ona nie miała się gdzie schować.

— Jestem ciekaw, Deana, czy choć przez mgnienie oka przyszło ci do głowy, by go posłuchać. By wydać swoich towarzyszy w zamian za szybką śmierć i ocalenie duszy. Pamiętaj, że osłabisz plemię.

Aż podskoczyła, waląc głową o kamień i wytrzeszczając oczy. Stał obok niej, dziwacznie ubrany, bez zasłoniętej twarzy, tylko miecze nosił tak jak dawniej, na plecach. To oczywiste, że nie usłyszała, jak nadchodził, zawsze potrafił ją zaskoczyć.

Pochylił się i zdjął jej knebel.

— Pomyślałaś?

Nie odpowiedziała, mierząc go wzrokiem. Na pierwszy rzut oka obce było w nim wszystko – ubiór, sposób mówienia, gesty. Te miesiące zmieniły go bardziej niż… Nie! Odwróciła wzrok. To nie jest Yatech! To tylko pusta skorupa, ciało bez duszy, albo – co gorsza – ciało zamieszkane przez coś, kogoś innego. Jego oczy… Harudi, strzeż mnie swoim mieczem, pomyślała. Jakby patrzył na nią stuletni starzec.

— Zapewne nie. Oto cała ty, Deana. Poświęcisz nawet własną duszę, dla kogoś, kto zdobył twoją lojalność. Jesteś pewna, że warto? Bo ja nie. Ale idę za nią, bo czasem słyszę, jak płacze, a czasem widzę, jak zapala się w niej ogień. Wiesz, że już w nic nie wierzę? We wspólną duszę, w *kendet'h*, w Prawa Harudiego. Pokazała mi rzeczy… Wędrowaliśmy, uciekając i ścigając, rzucając wyzwanie bogom i ludziom. Pokazała mi, jak wiele zapomnieliśmy, jak bardzo się mylimy.

Mówił cicho, obojętnym tonem kogoś, kto zbyt długo przebywał tylko w towarzystwie własnych obłąkanych myśli. Kogo nie obchodzi żadna odpowiedź.

— Ona twierdzi, że zbliża się burza, że padają mury, a świat wywróci się na drugą stronę. Że trzeba spłacić stare długi i ukarać kłamców. Słowa i słowa, bełkot niczym nieróżniący się od gadania każdego nawiedzonego szaleńca. Ale widziałem… pokazała mi… czarne góry, siwe niebo… płacz… jakby płakał… Jak usłyszysz taki płacz, żaden inny nie ma znaczenia. Tylko raz spytałem ją, czy też go słyszy, a ona spojrzała na mnie i powiedziała: „Cały czas". Rozumiesz? Cały czas. Powiedz coś, proszę.

Opuściła wzrok. Nie. Nie ma cię tu. Ty nie jesteś moim bratem.

— Nie zostało mi już dużo z naszej umowy, ale teraz zawiązujemy nową. Wiesz, Deana… Czasem myślę, że popadam w obłęd, ale kiedy pokazała mi ciebie… To dobra wymiana. Wiesz, że się uczę? Nieustannie. Siniaki, rany, zwichnięcia, czasem potrafię już utrzymać płomyk w środku przez wiele godzin. Godzin… I czuję, jak mnie wypala. Czasem nawet wygrywam. Proszę, odezwij się do mnie.

Przykucnął nagle przed nią, twarzą w twarz, a ona, choć bardzo tego nie chciała, utonęła w jego oczach. Tyle… To nie był ból, tylko coś ponad i pod, to, co zostaje, gdy człowiek uświadamia sobie, że cierpienie jest tylko czarnym naczyniem, a naprawdę ważne jest to, co znajduje się w jego środku. I gdy znajdzie w sobie tyle odwagi, by do niego zajrzeć.

Deana nie potrafiła oderwać wzroku od tego, co połyskiwało w głębi jego źrenic.

— Pamiętasz, jak mnie uczyłaś? Większości tego, co potrafię, nauczyłem się od ciebie. Od starszej siostry. Poprawiałaś mi chwyt na rękojeści miecza, pokazywałaś, jak stawiać stopy, jak oddychać. Niektórzy śmiali się potem, że walczę jak dziewczyna… Odezwij się do mnie, proszę.

Zamknęła oczy, z wysiłkiem, kratą powiek zamknęła wejście z twierdzy swojego umysłu.

Nie… ty już nie jesteś moim bratem.

Parsknął suchym, podszytym obłędem śmiechem. Jakby w skorupie czaszki grzechotały potrzaskane kości.

— Powiedziała, że tak będzie. Nienawidzę, kiedy ma rację. Wiesz, że mogłabyś mnie pokonać, wtedy, na placu, gdy zabijałem synów Lengany? Ale teraz już nie. Ja już przeszedłem… Ha, ogień to takie banalne. Rzekę popiołów, gorących, lepkich, cuchnących… Wypaliły mnie. Nie wtedy… przy ścianie… nie na pustyni, gdy całował mnie skorpion, nie w mieście nad morzem ani nie w lesie… teraz… rozumiesz, teraz się wypaliłem…

Yatech…

Nie usłyszał, rzecz jasna.

— Jesteśmy kukłami zwyczajów, wiary, przesądów, tradycji. Trzeba przejść przez rzekę popiołów, powiedziała, wykąpać się w nich… aż wszystko to opadnie z ciebie jak garść pyłu. Wtedy ukazujesz się prawdziwy ty.

Wstał.

— Zastanawiałaś się czasem, jak by to było, gdyby nasza matka wyszła za jakiegoś Meekhańczyka i urodziła nas w zwykłej, północnej rodzinie?

Przeraziła ją zmiana w jego głosie, jakby mówił dawny Yatech, zawsze spokojny i zawsze lekko onieśmielony. Jakby nic się nie zmieniło przez ostatnie miesiące.

— Vernean pewnie by jeszcze żył. Miałby już żonę i dzieci, ty pewnie też uczyniłabyś mnie wujkiem, może mielibyśmy inne rodzeństwo, braci

i siostry, może z lękiem i fascynacją patrzylibyśmy na Południe, na góry zamieszkane przez dzikich, zasłaniających twarze wojowników. A może by nas w ogóle nie było. Jedna decyzja, poryw serca jednej kobiety, i jesteśmy tu. Ty i ja. Tak daleko od domu. Kiepskie miejsce, żeby przeciąć więzy.

Usłyszała, jak wyciąga z pochwy miecz. Coś jak podmuch, nie, mniej niż podmuch powietrza, i krępujące ją rzemienie opadły.

Westchnął, i to westchnienie wbiło jej nóż w serce.

Och, Yatech…

— Gdybyśmy urodzili się w Imperium, przynosiłbym ci czasem kwiatki, czasem jakąś wstążkę albo małe zwierzątko, wszystko to, co podobno lubią dziewczyny z Północy. Ale jesteśmy tym, kim jesteśmy. Więc dam ci własny prezent, Deana, na pożegnanie. Jedyny, jaki ktoś urodzony w górach może dać swojej siostrze. A gdy spotkamy się następnym razem… nie wyciągaj na mnie broni, proszę. Zabiję cię, jeśli będę musiał. Ale teraz…

Otworzyła oczy w ostatniej chwili, by zobaczyć, jak rusza ku szczelinie, gdzie zniknęli bandyci.

Yatech.…

Nie odezwała się, nie skrzywiła, lodowa obręcz spinająca jej gardło sięgnęła wyżej, zakuła twarz w pancerz. Wszedł między skały.

Spróbowała wstać i aż zgięła się wpół z nagłego bólu. Przez łoskot krwi tętniącej w skroniach, przez błyskawice i gromy przetaczające się jej w głowie, usłyszała najpierw odległy krzyk, potem drugi, trzeci, czwarty… Każdy z nich urywał się nagle, zanim krzyczący wypuścił całe powietrze z płuc. Coś nagle huknęło głucho, ślina wypełniła jej usta, a ze szczeliny powiał gwałtowny wiatr. A potem była już tylko kakofonia dźwięków, wrzasków, brzęczącej stali, głuchych jęków, rzężenia.

Podpełzła do szabli leżącej kilka kroków dalej. Dziewczyna wstała ostrożnie, jakby była dzieckiem uczącym się trudnej sztuki chodzenia. Tupot stóp w szczelinie, jeden z bandytów wybiegający na oślep wprost na nią. Bezwiedny, szybszy niż świadoma myśl krok w przód i ruch ręki. Ból eksplodujący w boku i mężczyzna łapiący się za gardło, charkoczący, padający na ziemię. Nie musiała uderzać, twarz miał już rozrąbaną niemal na pół, a niosło go tylko obłędne przerażenie.

Upadł i zapanowała cisza.

Nikt nie wyszedł z pęknięcia w skale, choć czekała kwadrans, potem drugi, aż do chwili, gdy słońce przywitało się ze światem. Potem założyła

ekchaar i wspierając się na szabli jak na lasce, weszła do środka.

Krótka szczelina otwierała się na skalną nieckę, owalną jak przekrój gigantycznego jaja i martwą jak bestia, która to jajo kiedyś złożyła. Pierwszy trup, drugi i trzeci, skórzany kubek i sześć kości między nimi. Oszczepy i toporki, po które nie zdążyli sięgnąć. Nieco dalej czarownik, rozrąbany od lewego barku po prawe biodro, z kamiennej ściany wokół niego zdawało się wyciekać coś lodowatego i lepkiego.

Kolejnych dwóch bandytów wykorzystało swój czas i dobyło broni, szabla tkwiąca w śmiertelnym uchwycie równo odrąbanej dłoni była jak znak, podpis, sama go uczyła takiego cięcia. Ostatnich dwóch, w tym młodzika udającego przywódcę, Yatech zapędził w kąt, gdzie bronili się rozpaczliwie. Stalowa klinga wyższego z nich pękła od straszliwego uderzenia, które chybiając celu, trafiło w jeden z leżących tu głazów. Policzyła.

Najpierw trzech zaskoczonych wartowników, potem czarownik, najgroźniejszy z całej bandy, potem reszta i ten, który zdołał wybiec na zewnątrz, martwy już, choć jego nogi jeszcze o tym nie wiedziały. Dziewięciu. I wszystko odbyło się szybko i czysto. Czysto i szybko, jakby Yatech nie walczył o życie, lecz sprzątał, od niechcenia wymiatał śmieci.

Kim się stałeś, bracie?

Już go tu nie było, zresztą szczerze mówiąc, nie spodziewała się tego. Źle. Miała nadzieję, że go nie będzie, w tym stanie nie dałaby rady… nie zdołałaby… teraz, gdy jest taka poharatana…

Walczyć z nim? Zabić go?

Pojawienie się tych myśli przeszyło ją nagłą błyskawicą białego bólu. Nawet jeśli prawa plemienia mówiły o *gaaneh* „Gdy je znajdziesz, przynieś temu ciału pokój”, ona nie była pewna… nie chciała…

Nie! Odrzuciła te myśli.

Dziś, teraz miała inne zobowiązania.

Zakręciło jej się w głowie, a kolejny atak cierpienia pozbawił tchu, aż musiała oprzeć się o skałę. I wtedy zobaczyła coś, co ścisnęło jej serce bólem tak wielkim, że przy nim połamane żebra wydawały się nieco niezgrabną pieszczotą.

Na głazie pośrodku niecki, trochę bezwładnie, lecz starannie ułożone, leżały cztery bukłaki, trochę zapasów i dwie lekkie szable, skrzyżowane w sposób, w który zawsze wieszała na ścianie swoje *talhery*.

Och, braciszku.

Usiadła pod skałą, niezdolna utrzymać się na nogach.

* * *

Miotła. Popiół. Praca.

I pochylać głowę, nisko, by nikt nie widział uśmieszku tańczącego na wargach, by nie złowił błysku w oczach. A zwłaszcza on. Mężczyzna w masce, który po raz pierwszy wydał z siebie jakiś odgłos, choć ten rzężący, podobne do charczenia topielca oddech trudno było uznać za zabawny. W chwili gdy strażnik czarnowłosej trafił na pustynię, wojownik w szkarłacie zerwał się na równe nogi i zacisnął opancerzoną dłoń na przedramieniu chłopca.

— Oszustwo! Zdrada!

Kitchi od Uśmiechu przeciągnęła się na swoim miejscu jak kotka prowokująca psa do ataku.

— Naprawdę? A któż to oszukuje i zdradza?

— Ona! Ona! Ona! — Zdawało się, że palce mężczyzny utraciły zdolność do przekazania jakiegokolwiek innego komunikatu. Po twarzy chłopca zaczęły przebiegać skurcze bólu.

— Ale ona jest tutaj. Tam trafił tylko jej sługa.

Mężczyzna zamarł na kilka uderzeń serca. Jego pierś uniosła się w głębokim oddechu.

— Tylko śmiertelnicy mogą ingerować — głos chłopca ścichł, a jego twarz się wygładziła. — I to tylko krewni.

— Oczywiście. — Pstrokata trzpiotka skłoniła głowę w parodii szacunku. — A tam właśnie widziałeś spotkanie brata i siostry. Miałeś także okazję obejrzeć efekty czegoś, co nazwałabym popisem kunsztu issarskiego zabójcy. Och, i jeśli chcesz mnie zapytać, cieszę się, że Pan Ognia nie pokazał nam go w akcji. Taka przemoc jest nie na moje nerwy.

Ogień na środku sali zamigotał i przygasł, obrazy znikły.

— No — służka Pani Losu rozejrzał się wyzywająco wokół — na dziś dość przedstawienia.

* * *

Deanę powitał lekki, pełen niedowierzania szept. Młody książę wyrzucał z siebie słowa z prędkością drobin piasku uderzających o ścianę namiotu w czasie pustynnej burzy. Omenar wstał, ostrożnie, wyciągając przed siebie rękę, podszedł do niej. Nie pozwoliła się objąć, zamiast tego wetknęła mu w dłoń bukłak.

— Spotkałam dwóch…

Kłamstwo układane w drodze do kryjówki wydawało jej się teraz płaskie i banalne. Spotkałam dwóch, walczyliśmy, zabiłam ich, przynoszę wodę i jedzenie, które mieli przy sobie. Było jednak lepsze od „Spotkałam mojego zmarłego brata, którego nigdy nie miałam, który uwolnił mnie z więzów, pozabijał wszystkich bandytów i znikł”.

O pewnych rzeczach się nie mówi obcym. Nawet takim, którzy zostali twoimi *laagvara*, nawet takim, z którymi…

Uciekła przed dotykiem ślepca, usiadła w kącie i patrzyła, jak tłumacz ostrożnie odkorkowuje bukłak i podaje go chłopcu. No tak, pan i sługa. Ból w piersiach narastał, musiała mieć coś więcej niż tylko połamane żebra, bo kręciło jej się w głowie i czuła mdłości. Na samą myśl o stęchłej wodzie żołądek podjeżdżał jej do gardła.

Spojrzała na swoje dłonie. Trzęsły się, każda w innym rytmie, jakby należały do dwóch różnych osób. Nagle zrobiły się na wpół przeźroczyste, a ją ogarnęło uczucie unoszenia się, cudownie lekkiego lotu, swobody.

Zapadła się w ciemność.

* * *

Poili ją i karmili. Pamiętała. Przesiąknięta smakiem koziej skóry wilgoć na wargach, rozmoczone na papkę suchary zalegające na języku. Przełykała je szybko, chyba tylko dlatego, że czyjaś dłoń zaciskała jej usta i nie pozwalała wypluć. Ktoś ją rozebrał, nie chciała tego, ale słabe protesty znikły w trzasku dartych na bandaże jedwabi, które otuliły jej żebra stalowym kokonem.

Próbowała protestować, bo teraz nie mogła swobodnie oddychać. Swobodny oddech jest ważny, bo bez niego nie można osiągnąć bitewnego transu. Bitewny trans jest ważny, bo bez niego nigdy nie pokona… nie zabije…

Uciekała przed tymi myślami w ciepłe objęcia jej nowego kochanka. Mroku.

Pamiętała jedną noc, pełną podniesionych głosów i krzyków, gdy młody książę warczał coś na swojego sługę, wzmacniając słowa dziką, choć bezsensowną ekspresją tańczących rąk i gniewnych min. Tłumacz i tak tego nie widział. Za to odpowiadał spokojnie, cicho, zdecydowanie. Wreszcie wskazał w stronę wylotu jaskini, uśmiechając się w dziwny sposób.

Chłopiec wyciągnął w górę obie ręce w odwiecznym geście poirytowania i klęski.

Znów zasnęła.

* * *

Ogień tańczył przy wejściu do ich kryjówki. Ciepłe, złote światło przepychało się z cieniami w tańcu, który zaczął się na początku dziejów, a skończy wraz ze zgaśnięciem ostatniej iskry. Ktoś rozpalił ognisko. Ktoś dorzucał do niego kolejne wiechcie wyschniętych pustynnych krzaków, aż płomienie strzelały na wysokość dorosłego mężczyzny.

Ktoś krzyczał.

Z daleka.

Rozdział 13

Oum. Prastary Oracz, Pierwsza Włócznia, Najmędrsze Nasiono. Jak każdy plemienny bożek, także ten nosił wiele przydomków, niektóre całkiem idiotyczne. Jego świątynia, jeżeli w ogóle jakąś miał, znajdowała się ponoć w Dolinie Dhawii, ukrytej pośród wiecznie zamglonych wzgórz wyżyny Onloat, zajmującej sporą część zachodniego kawałka wyspy.

To stamtąd Czarne Wiedźmy rozsyłały po wyspie wezwanie do *kameluuri*, ogłaszały początek i koniec ważniejszych świąt, to tam udawali się wodzowie plemion i klanów po radę, gdy wzajemne waśnie i wendety groziły wymknięciem się z ram zwyczajowej, kontrolowanej rzezi. Seehijczycy postępowali zgodnie ze swoimi obyczajami i własnymi prawami, ale wszystkie je spajała wola zamknięta w na wpół mitycznej Dolinie, strzeżonej przez zastęp potężnych plemiennych wiedźm.

Tak przynajmniej powiadano.

Altsin dość dobrze znał historię religii panujących na kontynencie, bo Cetron posyłał go do szkoły, uznając, że wykształcenie młodego złodzieja powinno obejmować coś więcej niż tylko naukę rzezania mieszków i wślizgiwania się przez uchylone okna. Oum nie należał do panteonu uznawanego przez Meekhan, ale takich bożków było wielu. Każde plemię poza Imperium miało swoich własnych, a w trakcie podbojów Meekhańczycy zazwyczaj stosowali do nich dwa podejścia. Pierwszym z nich było uznanie, że lokalni bogowie wojowników, ognia, plonów czy szczęścia rodzinnego to nikt inny, jak Reagwyr, Agar, Laweira czy Leelian, tylko miejscowi przez wieki wypaczyli ich imiona, ale teraz na szczęście objęła ich łaska Imperium i mogą czcić Nieśmiertelnych jak należy. Zresztą meekhański panteon był szeroki i głęboki, a święte księgi pozwalały na „odkrywanie” zapomnianego Rodzeństwa, jeśli tylko wymagał tego interes Meekhanu. Drugi sposób – gdy lokalne bóstwo było obce, dziwaczne lub dzikie – polegał na ogłoszeniu, że to nikt inny jak fałszywy bóg, pomiot Niechcianych,

wysłany na świat, by wabić i pożerać dusze ludzi. Tych, którzy się od niego natychmiast nie odwrócili, uznawano za Pomiotników i wyrzynano.

W takich sprawach Wielki Kodeks bywał bezwzględny.

Ale Oum stanowił niewiadomą. Bożek z odległej wyspy poza zasięgiem Imperium, znany tylko z imienia lub przydomka, był jedną z zagadek Amonerii. Żaden obcy nigdy nie stanął w jego kapliczce, świątyni, chramie czy jak to miejscowi zwali, a Seehijczycy nie rozmawiali o tym, co znajduje się w Dolinie. Nikt w Kamanie nie wiedział, pod jaką postacią przedstawiają oni swojego boga, jakie składają mu ofiary i jakimi słowami do niego się modlą. Oum był zagadką, a jego obecności można się było jedynie domyślać, tak jak obserwując pływaka machającego rękami, krzyczącego i znikającego pod wodą w fontannie krwi, można się domyślać dziesięciołokciowego żarłacza ukrytego pod falami.

Każdy przybysz spoza wyspy, który zabłąkał się w okolice Doliny Dhawii, zostawał zabity. Każdy kapłan, poza tymi należącymi do sług Baelta'Mathran, płacił głową za opuszczenie Kamany. A każdy najeźdźca odkrywał nagle, że te wiecznie wojujące z sobą klany kłaniają się sile, która potrafi zmusić wojownika Ghamlaków do osłaniania własną tarczą łucznika Syvherów.

Uwzględniając ich wzajemną niechęć, rzeczywiście potrzeba było boga, by tego dokonać.

Co nie zmieniało sytuacji, że złodziej miał kłopot.

Aonel wydawała się być poza zasięgiem. Czarne Wiedźmy opuszczały Dolinę dość rzadko, a proszenie kogoś z miejscowych, by przekazał jej wieść, nie miało sensu. Wojownik każdego plemienia wolałby wsadzić mu nóż między żebra, niż kłopotać którąś ze Służek Ouma. Poza tym co Altsin miałby jej przekazać? Witaj, to ja, pamiętasz? Otrułem twoją matkę. Możesz mi poświęcić trochę czasu, bo mam taki mały problem. Przez nią opętał mnie kawałek duszy Reagwyra, więc byłoby miło, gdybyś mi pomogła.

Miejscowy bóg kazał zabijać kapłanów Pana Bitew. Co zrobiłby na wieść, że gości na wyspie jego *awenderi*? Altsin chciał się spotkać z Aonel i najpierw porozmawiać, a nie wywoływać wojnę.

Myślał o tym przez pół nocy i pierwszy raz od przyjazdu do Kamany czuł desperację. Uciekając z Ponkee-Laa, złamał jedną z własnych zasad, która głosiła, by zawsze mieć więcej niż jedną drogę wyjścia z każdej sytu-

acji. Przypływając tu, postawił wszystko na jeden rzut kością, a teraz słyszał złośliwy chichot Losu.

Miał jeszcze sporo pieniędzy. Mógł wyjechać i poszukać pomocy gdzie indziej, mógł wrócić do Ponkee-Laa i wziąć udział w wojnie Grubego, mógł też… zostać w klasztorze, szukając ucieczki w rutynie mnisiego życia. Pielęgnować ogród, doić kozy, sprzątać, gotować, brać udział w modlitwach, zbieraniu datków i opiekowaniu się ubogimi. I robić uniki. Cały czas robić uniki, bić się z myślami, szarpać wędzidło emocji i nastrojów, nie wiedząc, które są jego własne, a które podsuwa mu ten szalony sukinsyn. I po co to robi. To najbardziej doprowadzało go do szału. Nawet koń dźgany ostrogami widzi, dokąd jeździec chce go skierować. Jednak uniki mogły w którymś momencie nie wystarczyć, a raczej spłonie, niż pozwoli się prawdziwie Objąć. Bitewna Pięść Reagwyra nie będzie władać jego ciałem.

Rankiem, dzień po spotkaniu z Rają Altsin obudził się niewyspany, obolały i z bólem głowy. Na myśl o czekających go obowiązkach poczuł mdłości. Świadomość, że tak miałaby teraz wyglądać reszta jego dni, sprawiała, że żołądek zawiązywał mu się w supeł. I nie chodziło o nagłą niechęć do klasztornego życia, które nawet lubił, lecz o poczucie, że może nie mieć wyboru. A gdyby został tu z przymusu, znienawidziłby klasztor w kilka dni.

To nie była dobra droga.

Pobudka, mycie, wspólna modlitwa, śniadanie. Potem praca w ogrodzie, pielenie grządek z cebulą i marchwią, spulchnianie ziemi, wyrywanie ostów i pokrzyw, które szczególnie upodobały sobie tę część ogrodu… Skupienie się na najprostszych czynnościach. Potrzebował tego. Im bardziej ryba szarpie się w tył, tym mocniej haczyk wbija jej się w pysk. Sprawy, nad którymi nie ma się kontroli, potrafią człowieka złamać, zniszczyć, sprawić, że zgnije od wewnątrz.

Taka droga byłaby jeszcze gorsza.

Zgrzytnął zębami, a potem uśmiechnął się pod nosem, walcząc ze szczególnie upartym chwastem. Nie podda się i nie odpuści. Wiedział, gdzie Aonel przebywa. To było coś. W habicie sługi Wielkiej Matki mógł się poruszać prawie po całej wyspie. To też się liczyło. Miał sporo pieniędzy i znał ludzi, którzy za pieniądze zrobią niemal wszystko. Na pewno coś wymyśli.

Jeśli nie dziś, to jutro znajdzie sposób, by spotkać się z tą wiedźmą i zmusić ją do pomocy w pozbyciu się kawałka boskiej duszy z głowy.

Ziemia prawie zadrżała, deptana olbrzymimi stopami. Cokolwiek można by powiedzieć o bracie Domahu, z pewnością nie był mistrzem skradania się.

— Coś się stało? — Altsin wyprostował się na swoje sześć stóp, po czym zadarł głowę, by nie musieć patrzeć na gąszcz brody mnicha. — Czego nic nie… aaaa, ślub milczenia. Więc mam odkryć, co mi chcesz powiedzieć, dzięki nagle objawionemu talentowi magicznemu?

We wzroku Domaha zabłysły iskierki rozbawienia.

— Dobrze, niech pomyślę. Ktoś cię do mnie przysłał z wieścią, a ponieważ wszyscy wiedzą, że nie możesz mówić, ten ktoś założył, że sam się domyślę, gdzie mam iść? Podpowiesz? — Złodziej uniósł dłoń z wyprostowanymi palcami. — Dwa czy trzy słowa?

Zamiast rozbawienia pojawiło się politowanie. Altsin westchnął.

— Dobrze, dobrze, wiem. Gdzie jest przeor? Tylko on ma takie poczucie humoru. Mamy południe? Czyli będzie u siebie.

Olbrzym uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i odszedł, a Altsin zebrał narzędzia i ruszył do klasztoru.

Komnata przeora była jasna i przestronna – miała okna na dwóch ścianach – ale pozbawiona wszelkich zbytków. Jeśli pominąć łóżko i, co Altsin odnotował z pewnym rozbawieniem, dodatkowy materac postawiony teraz pod ścianą, to jedynymi sprzętami były dwa taborety i mały stół. Białe ściany sprawiały, że całość wydawała się zimna i ascetyczna, nawet jak na męski klasztor.

Prawie męski. Złodzieja powitało spojrzenie pary najjaśniejszych oczu, jakie widział w życiu. Ledwo wszedł, bladoszare tęczówki niemal przyszpiliły go do ściany.

— Łaska na dobry dzień — rzucił zwyczajowe seehijskie powitanie.

Siedząca na łóżku dziewczyna nie odezwała się, podciągnęła tylko nogi pod brodę, szczelniej okryła się pledem i zmarszczyła brwi. Ale patrzyła przytomnie, uważnie i zaskakująco rozumnie.

— Twój seehijski jest znośny, bracie Altsinie, ale nadal masz mocny północny akcent. To ją zapewne niepokoi.

Altsin od pierwszych dni w klasztorze uczył się kilku miejscowych narzeczy. Mnisi wędrowali po wyspie także w charakterze tłumaczy

i z tego, co wiedział, nieźle na tym zarabiali. On też uznał znajomość miejscowego języka za niezbędną.

— Nie wygląda na zaniepokojoną — przeszedł na meekh. — Raczej na taką, co ukrywa nóż pod tym kocem.

— Bo ma. Dwa. Dałem jej, żeby poczuła się bezpieczniej.

Złodziej spojrzał na Enroha ze szczerym zdumieniem, ale napotkał tylko łagodne, irytująco pogodne spojrzenie oczu ukrytych w sieci zmarszczek.

— Nie mówisz poważnie… eee, to znaczy, raczysz żartować, przeorze.

— Nie. Znam zwyczaje. Jeśli nie miałaby broni, mogłaby mnie uważać za swojego strażnika, a siebie za więźnia. A to zrodziłoby krwawe owoce w przyszłości. Nawet sługa Naszej Pani nie byłby bezpieczny przed seehijską rodową zemstą. Dlatego wczoraj wieczorem zostawiłem jej przy łóżku dwa noże. Teraz znikły, więc zapewne ma je przy sobie. Chcesz sprawdzić?

— Nie jestem głupi…

— Niech mówią mową ludzi. — Dziewczyna miała ładny głos, miękki i łagodny. — Albo niech ten młody idzie. Już.

— Ofiaruj wybaczenie ślepcowi. — Altsin wrócił do seehijskiego. — Nie chciałem cię urazić, ale moja znajomość twojego języka jest słaba. To ja znalazłem cię wczoraj w porcie i przyniosłem do klasztoru.

Spojrzenie dziewczyny nie zmiękło, ale jakby lekko się rozluźniła.

— Uciekłam. Z wielkiej łodzi z długimi wiosłami.

— Domyśliliśmy się. Kiedy cię porwali?

Wykonała dziwny ruch głową.

— Kilka dni temu. Zamknęli mnie w skrzyni na dole, było ciemno, nie wiedziałam, czy jest dzień, czy noc. Nie wiem dokładnie. Więcej niż pięć dni. Łowiliśmy ryby daleko od brzegu. Machałam rękami, gdy ich zobaczyliśmy, ale oni nie skręcili. Rozbili naszą łódź, złapali mnie pętlą na drągu, wciągnęli na pokład. Nie wiem, co z moim bratem.

Altsin stwierdził nagle, że w miejscowym języku brakuje mu jednego wyrażenia albo chociaż zamiennika dla „Przykro mi”.

— To smutne.

— Tak. — Nie zmieniła wyrazu twarzy. — Ale Ugii dobrze pływa. Poradzi sobie. Ten statek miał czarnego ptaka na żaglu. A marynarze mówili w takim samym języku, co ty przed chwilą.

— Ci ludzie to nie moja krew — stwierdził szybko, bo to była najrozsądniejsza odpowiedź, jakiej mógł udzielić. — A meekh to język połowy

świata. Z jakiego plemienia pochodzisz?

— Uwerunków. Białych — odpowiedział zamiast dziewczyny Enroh.

Ta nazwa niewiele mu mówiła. Spojrzał pytająco na przeora.

— Południowy kraniec wyspy, Półwysep Conhtyjski. Jakieś sto mil w linii prostej od Kamany, za wyżyną Onloat i tamtejszymi lasami. Ona jest z południa, bracie.

Niepotrzebnie to podkreślił, bo Altsin był na wyspie wystarczająco długo, by wiedzieć, co to znaczy. Amoneria miała jedną dużą rzekę, Maluarynę, która wypływała z leżących na wschodzie gór Kawiroh i kierując się na zachód, przez niziny centralnej części wyspy, wygryzała kanion w wyżynie Onloat, by wpaść do oceanu. Rzeka dzieliła wyspę na pół, a jeśli coś potrafiło przerwać wojny między lokalnymi plemionami, to tylko wojna północy z południem.

Północne plemiona były liczniejsze i bogatsze, co zawdzięczały częściowo obecności Kamany, południowe nadrabiały to dzikością i bezwzględnością. Kupcy zajeżdżali i do nich, bo miasto wynegocjowało sobie prawo do handlu z całą wyspą, ale większość towarów i dóbr zostawała na północy. Rodziło to zazdrość i frustrację, a w efekcie prowadziło do niechęci i pogardy, które nie mogąc znaleźć innego ujścia, pchały południowe rody do wojny. Zresztą złodziej podejrzewał, że handel był tylko pretekstem, bo tak naprawdę ludziom wystarczy do nienawiści to, że ktoś mieszka za umowną granicą. Tylko *kameluuri* było w stanie połączyć na chwilę dwie części wyspy, ale ostatni raz zdarzyło się to dwadzieścia lat temu. A teraz dziewczyna z południowego plemienia znalazła się na północy. Sama, bez pobratymców, mając do obrony tylko dwa kuchenne noże.

Tak to, w dużym uproszczeniu, wyglądało. Altsin poczuł na sobie wzrok przeora.

— Możemy wysłać ją z karawaną, która wybiera się za rzekę — mruknął w meekhu. — Za kilkanaście dni będzie w domu.

— Nie przeżyje dwóch, jeśli Ghamlakowie albo Oomni dowiedzą się o jej obecności. Uwerunkowie wybili im kiedyś wiele osad. Poza tym żaden przewodnik karawany nie weźmie jej na wóz. Za duże ryzyko, że go oskarżą o szmuglowanie szpiega.

— Odpowiednia suma mogłaby go przekonać.

— Może gdybyśmy zapłacili równowartość jej wagi w złocie, a może i to by nie wystarczyło.

— Mówcie mową ludzi — dziewczyna zasyczała gniewnie. — Mową ludzi albo w ogóle.

— Obmyślamy, jak bezpiecznie wysłać cię do domu. — Mnich wykonał uspokajający gest. — Twoi krewni zapewne się martwią.

Otworzyła szerzej oczy.

— Zrobisz to dla nie swojej krwi?

— Już mówiłem, tak. Chcemy, byś wróciła do swoich. Ale droga jest niebezpieczna. Wrogowie twojego klanu ucieszyliby się, gdybyś wpadła im w ręce.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy, drapieżnym, prawdziwie seehijskim uśmiechem, w którym fatalizm mieszał się z okrucieństwem.

— Ucieszyliby się — przyznała. — A ich radość trwałaby wiele dni. Tak jak moja śmierć.

Wyglądała młodo, prawie jak dziecko, więc Altsin nie wytrzymał.

— Naprawdę? Ile masz lat?

— Szesnaście. Jestem dość dorosła, by wziąć sobie męża albo kochanka przed jego pierwszą bitwą.

Wlepiła w niego wzrok, jakby spodziewając się, że uraczy ją rumieńcem zakłopotania. A to znaczyło, że… Złodziej uniósł brwi.

— Nie mówiłaś, że nasi bracia dotarli na ziemie twojego ludu.

— Co roku się zjawiają. Jak nie z kupcami, to samotnie. Gościmy ich przez szacunek dla Matki i wolę Ouma, słuchamy, co mówią, i odprawiamy na północ. Jesteście jedynym, co przychodzi zza Maluaryny i nie cuchnie na tysiąc kroków.

— Oprócz broni, narzędzi, tkanin, przypraw, wina i innych cennych rzeczy.

— Nie, te rzeczy też śmierdzą, ale skoro leśne bydlęta je kupują, my też musimy. Nie możemy być gorsi.

— Oczywiście. — Nie uśmiechnął się, choć miał ochotę. — Kto chciałby być gorszy.

Zmrużyła oczy.

— Drwisz ze mnie? Chcesz obrazić? Mój klan też? Pragniesz poznać cenę swojej głupoty? Ceną jest…

— Wystarczy, dziewko!

Altsin podskoczył i prawie stanął na baczność. Głos przeora stracił całą łagodność i spokój, stał się ostry, chrapliwy, a słowa przemaszerowały

w powietrzu jak żołnierze walący o bruk podkutymi butami.

— Zapominasz, czym są wasze prawa, także te dane od Ouma. *Treiwics.* Duma, hart i lojalność wobec klanu i plemienia. Ale też prawość i honor. Jemu — wskazany palcem złodziej znów omal nie wyprężył się z wciągniętym brzuchem — zawdzięczasz życie, bo stawił czoła tym, którzy cię szukali, i przepędził ich, a potem przyniósł cię do klasztoru i zaoferował opiekę. A ty próbujesz mu grozić rodową zemstą. Dusze twoich przodków ze wstydu posypują głowy popiołem.

Dziewczyna zaczerwieniła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Nie jesteśmy twoimi wrogami i nigdy nimi nie zostaniemy, ale powinnaś dwa razy pomyśleć, zanim pozwolisz słowom opuścić usta. Bo to, co powiedziane, już padło na świat i odcisnęło się na jego obliczu.

Wskazał Altsinowi drzwi i wyszli. Na korytarzu przeor oparł się o ścianę.

— Ależ jest przerażona — westchnął. — Trzeba nią lekko wstrząsnąć, zanim zrobi jakąś głupotę.

— Na przykład?

— Rzuci klątwę noża na twoją głowę albo coś takiego. Wtedy jej klan będzie zobowiązany do zemsty bez względu na to, czy miała rację, czy nie. Ich bożek twierdzi, że każde słowo ma wagę kamienia i nic nie może go cofnąć, a *treiwics* to potwierdza. To największe przekleństwo tej wyspy i główny powód, dla którego Seehijczycy wysyłają jako posłów tylko doświadczonych, flegmatycznych i bardzo małomównych wojowników, bo jeden nieprzemyślany żart może rozpocząć trwający pokolenia krwawy taniec.

W miarę jak Enroh mówił, znikał musztrujący rekrutów oficer, a powracał łagodny, miłujący ludzi mnich. Jakby starzec przepoczwarzał się w innego człowieka. Altsin z najwyższym wysiłkiem powstrzymał cisnące się na usta pytania o przeszłość Enroha. Bo cóż to musiała być za opowieść.

— Co teraz?

— Damy jej czas, by ochłonęła i przemyślała swoją sytuację. Nie spodziewam się przeprosin, ale powinna nieco złagodnieć. Musisz zrozumieć, jak bardzo jest przestraszona, wyrwano ją z objęć własnego klanu i rzucono na drugi koniec świata, w sam środek wrogich plemion.

— Drugi koniec świata?

— Dla niej tak. Może nadrabiać miną, ale to przede wszystkim przerażone dziecko.

— Mimo że wyprułaby nam flaki za domniemaną obrazę? I że może sobie wziąć kochanka?

— Nie czerwieniłem się wtedy, więc nie zaczerwienię i teraz. — Enroh spojrzał na niego z politowaniem. — Jak widzisz, sytuacja się skomplikowała.

Przeor ruszył przed siebie korytarzem, a złodziej, chcąc nie chcąc, podreptał za nim.

I bez słowa czekał na wyjaśnienia.

— Gdy Rada dowiedziała się, skąd ona jest, rozłożyła ręce, jakbym próbował im włożyć w nie rozgrzany węgiel. Zdaje się, że zaczynają żałować, iż nie pozwoliliśmy dziewczynie skonać w porcie. Ciało trafiłoby do morza i problem z głowy. — Mnich zamilkł, jakby oczekiwał jakiegoś komentarza, zerknął z ukosa na Altsina, westchnął i kontynuował — pakt między plemionami a Kamaną mówi, że południowe klany nie mogą wysyłać tu swoich ludzi. Nienawiść zbyt dzieli wyspę, więc każdy przemarsz wojowników zza rzeki przypominałby wojenną wyprawę. I nie ma znaczenia, że ona jest tylko młodą dziewczyną i nie trafiła tu z własnej woli. Jest z południa, więc złamano umowę.

Złodziej przystanął i zaczął z uwagą oglądać czubki swoich sandałów. I milczał, bo właśnie zaczynało do niego docierać, dokąd ta rozmowa prowadzi.

— Czy ktoś ci już mówił, że jesteś złośliwy? — Przeor popatrzył na niego z lekką irytacją. Nareszcie.

— Jak ktoś, kto posyła niemowę z wiadomością?

— Na pewno nie jak ktoś, kto nie chce, żeby wszyscy wiedzieli, po co posłałem po jednego z naszych gości. Poza tym ty i Domah doskonale się dogadujecie, wiedziałem, że zrozumiesz go bez słów.

— Aha. Ale ja nie jestem głupcem. Jeśli Rada nie chce tego… gorącego węgla, to znaczy, że my musimy się nim zająć. A ty posyłasz po mnie, przeorze. Dlaczego czuję się jak ktoś, komu wręcza się pudełko z wężem w środku?

Uśmiech przeora był radosny i szczery jak grymas rekina tuż przed atakiem.

— Musimy wysłać ją do swoich i to tak, by umknęło to uwadze naszych sąsiadów. Jeśli Ghamlakowie albo Oomni dowiedzą się o Ynao, bo tak ma na imię, Ynao z klanu Udruich plemienia Białych Uwerunków, zażądają jej wydania. Miasto może odmówić, ale wtedy te dwa wielkie plemiona uznają to za obelgę. A oba kontrolują handel bursztynem i dębem anuhijskim. Straty będą ogromne. — Uśmiech starca zgasł, przeradzając się w pogardliwy grymas. — Powtarzam to, co usłyszałem na spotkaniu z Radą, gdzie wszyscy moi rozmówcy mieli w oczach szalki ważące złoto. Ale gdy zgodzimy się ją wydać, stracimy południe. Klany zza rzeki mogą nienawidzić się równie mocno co nasze, ale jeśli dowiedzą się – a zapewniam cię, że dowiedzą się szybko – że Kamana wydała jedną z ich kobiet północnym plemionom, każdy z nich poczuje się urażony. I nasi kupcy za to zapłacą, bo żadna karawana nie będzie mogła dłużej bezpiecznie handlować z południem. Tamtejsze złoża cyny i agatów zostaną stracone.

— Wygląda na to, że najlepiej by było, gdyby dziewczyna nagle zmarła.

Enroh spojrzał na złodzieja oczyma mrocznymi i zimnymi jak jamy wypełnione lodem.

— A wiesz, że kilku radnych wypytywało mnie usilnie o jej zdrowie? Czy nie jest aby śmiertelnie wycieńczona albo ranna? Wspominali przy tym, że Rada rozważa podarowanie klasztorowi tego kawałka ziemi, który jeszcze niedawno chciała nam sprzedać — starzec nieświadomie zaciskał i prostował pięści — by odpłacić się za łaski Pani spływające na miasto. Zastanawiam się… Nasza Pani powiedziała, że powinniśmy być cierpliwi i wyrozumiali dla ludzkich słabości, ale zastanawiam się czasem, co powinniśmy robić, kiedy słabość zamienia się w podłość i najbardziej parszywe sukinsyństwo. I czy brat Domah nie ma racji, cytując swoją heretycką księgę w chwilach, gdy rozwala komuś głowę.

— W armii jest prościej — zaryzykował złodziej.

— O wiele. Póki nie awansujesz do stopnia, z którego twoi dowódcy przestają być półbogami, a stają się zwykłymi ludźmi, czyli bandą przeklętych głupców, a żołnierze nie stają się jeszcze bezimienną masą, bo większość zdążyłeś przez ten czas poznać, więc ich strata zwyczajnie boli. I nie podchodź mnie tak, synu, bo w klasztorze nie tylko ty masz prawo do własnych sekretów. Niektórzy z radnych pytali mnie też, kto wie o jej obecności u nas. Oprócz mnie, oczywiście.

Altsinowi stanął przed oczyma Raja, przeliczający pilnie pieniądze otrzymane za garść informacji. Ciekawe, ile w tutejszym cenniku kosztowałoby pozbycie się przeora klasztoru i kilku mnichów. A wszystko z powodu dziewczyny, która łowiąc ryby, znalazła się w niewłaściwym czasie i miejscu.

Nie. Z powodu tego, że stała się pyłkiem, mogącym zniszczyć kruchą miejscową równowagę. A to dla niektórych oznaczałoby tysiące, dziesiątki tysięcy cesarskich orgów strat. Znacznie większe koszty niż wynajęcie zabójców.

Gorzka jak żółć ślina napłynęła mu do ust wraz z pogardą wypełniającą umysł. Gdyby w tej chwili stał przed Radą Kamany, trzymając w ręku jeden z alchemicznych wynalazków, których używał w Ponkee-Laa… najlepiej taki rozpuszczający ciało i kości…

Unik. Głęboki oddech, rozwarcie zaciśniętych pięści.

Przestań. Natychmiast.

— I co… odpowiedziałeś?

— Nic. Wyszedłem ze spotkania. Jestem za stary, by się przejmować takimi groźbami, i oni chyba też to zrozumieli. A sposób, w jaki odpychasz od siebie dzikie myśli i emocje, jest imponujący, wiesz?

Altsin zamrugał gwałtownie, usiłując skupić wzrok na przeorze.

— Ale to twój sekret, mój synu, prawda? I tak jak ja nie będę dochodził, co za demony – w przenośni, oczywiście, gdybyś był opętany, nasi inkwizytorzy z pewnością by to odkryli – cię tu przygnały, tak ty nie będziesz już rzucał prostackich aluzji do mojej przeszłości. Zapewniam, że jest znacznie banalniejsza, niż ci się wydaje.

Uśmiech Enroha był spokojny, uprzejmy i grzeczny. Ale ucinał dyskusję natychmiast niczym dobra klinga.

— Rozumiem, wasza świątobliwość.

— O. Takim cię lubię, tę mieszaninę kpiarstwa i bezczelności. A teraz pytanie, na które nie mogę się doczekać, a które ty bardzo chcesz mi zadać. No już… pytaj.

Złodziej westchnął.

— Dlaczego ja?

— O… dobrze, że pytasz. — Starzec uniósł w górę palec, jakby przypomniał sobie właśnie coś ważnego. — Musimy jak najszybciej wyprawić

stąd naszego gościa. Najlepiej, zanim ktoś w Radzie zdecyduje się popełnić jakąś głupotę, a Sever da się oślepić złotem.

Altsin uznał, że lepiej nie pytać, od jak dawna przeor zna przywódcę złodziei. I czy dobrze się bawił, udając, że nie ma o nim pojęcia.

— Jak już ustaliliśmy, podróż lądem odpada, ale przecież jesteśmy na wyspie. A nasi bracia cały czas podróżują łodziami do jej najbardziej niedostępnych rejonów. Zazwyczaj wynajmujemy jakiegoś miejscowego rybaka, ale tym razem wolałbym tego uniknąć, więc przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pochodzisz z Ponkee-Laa, bywałeś też marynarzem, jak sam raczyłeś mi wyznać. Więc wynajmiemy łódź i popłyniecie z naszym małym problemem dookoła wyspy. Zamiast dwudziestu, podróż powinna wam zabrać cztery–pięć dni, w zależności od wiatrów i fal. Gdy dostarczycie ją do klanu, wrócicie.

— Wrócimy?

— Ty, brat Domah i brat Naywir. W ten sposób Ynao szybko i bezpiecznie wróci do swoich, co może w przyszłości sprawić, że jej rodacy szerzej otworzą serca na słowa Naszej Pani. A jednocześnie wy znikniecie z miasta na czas potrzebny, by wystygły gorące głowy. Wszystko wróci do normalności.

— A klasztor zyska ziemię.

— Nie możemy odmawiać darów przekazywanych Naszej Matce ze szczerego porywu serca. — Przeor pokornie skłonił głowę. — To byłby wyraz pychy.

Przez chwilę milczeli, spacerując korytarzem. Altsin lubił Enroha i większość mnichów, dobrze czuł się w klasztorze, ale…

— A jeśli odmówię? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia w mieście.

— Ja słyszałem coś innego.

Starzec wyjął z rękawa sakiewkę i demonstracyjnie wysypał na dłoń garść monet. Złodziej rzucił okiem i skrzywił się kwaśno. W tym samym woreczku wręczył wczoraj zapłatę Raji.

— Jak wysoki był ten datek?

— Pięćdziesiąt orgów. Bardzo szczodry jak na miasto, w którym nawet rajcy ledwo sypną garścią miedziaków. A wracając do tematu. — Sakiewka znikła w drugim rękawie. — Mówiłem już, że wśród ludzi, z którymi się spotykałeś, są wierni synowie naszej Pani. Stąd wiem, że twoje poszukiwania zostały zwieńczone sukcesem, choć nie takim, jak byś chciał. Mam wąt-

pliwości, chłopcze, duże wątpliwości, czy naprawdę chodzi ci tylko o okazję do ubicia korzystnego interesu za pośrednictwem seehijskiej wiedźmy. Ale, jak wspomniałem, nasi inkwizytorzy oraz wspierający nas wierni zza murów nic podejrzanego w tobie i wokół ciebie nie znaleźli, więc nie będę dociekał, po co właściwie chcesz się z nią spotkać.

Altsin spojrzał w oczy przeora.

A gdybyś się dowiedział, starcze, to co? Upadłbyś przede mną na kolana, czy wezwał wszystkich swoich przyjaciół, żeby mnie zabili? Jawynder, ten cholerny półbóg rzeki, bał się walki ze mną i zrobił wszystko, by mnie usunąć z miasta. Czy Kamana przetrwałaby, gdyby Bitewna Pięść Reagwyra, szalony fragment jego duszy, chciał lub musiał naprawdę mnie Objąć? Cholera, czy ta wyspa by przetrwała?

— Och. — Przeor pokiwał głową. — Dużo bym dał, by dowiedzieć się, co kryje się za takim spojrzeniem. Patrzyłem w oczy ludzi, którzy szli na śmierć, oglądałem ślepia demonów, płonące w głębi źrenic opętanych nieszczęśników, ale ty… — Westchnął. — Jestem w tym klasztorze od ćwierć wieku i większość czasu poświęciłem na umacnianie naszej pozycji wśród miejscowych. Znam osobiście wodzów wszystkich plemion w promieniu pięćdziesięciu mil od Kamany, z niektórymi nawet się przyjaźnię. Rozmawiałem z większością plemiennych wiedźm i zawarłem z nimi coś w rodzaju rozejmu, to znaczy my nie nawracamy ich zbyt nachalnie, one nie rzucają klątw na nasze głowy. — Mnich posłał mu ironiczny grymas. — I jako jedyny obcy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat widziałem Dolinę Dhawii.

Altsinowi opadła szczęka.

— Nie byłem w środku, o nie, ale zaprowadzono mnie na jej skraj. Jest długa na kilkaset jardów, szeroka na ponad trzysta, może więcej, i naprawdę wypełnia ją mgła. Nieprzejrzysta jak sen ślepca. — Enroh zdawał się nie zauważać miny złodzieja. — Przeżyłem, bo znam kilka Czarnych Wiedźm i bardzo je prosiłem o ten zaszczyt, a teraz mógłbym poprosić, by umożliwiły ci spotkanie z jedną z nich.

Altsin zamknął usta. Z trudem.

— Co jest w tej Dolinie? — Pytanie wyrwało mu się samo.

— Nie widziałem. Ale czułem. Moc. Nie jakąś tam moc, dziki aspekt czy chaotyczną magię, ale prawdziwą, osobową, że się tak niezgrabnie wyrażę, Moc. Ale nie o tym chciałeś rozmawiać, prawda?

— Nie. Ale muszę zapytać… dlaczego? Dlaczego chcesz mi pomóc?

— Czy to nie oczywiste? Bo Wielka Matka nakazuje nam wspierać się i pomagać, a… oj, to spojrzenie wypala mi dziurę w głowie, chłopcze. — Mnich uśmiechnął się dobrodusznie. — A jeśli ci powiem, że po swojemu interpretuję Jej słowa, jak każdy zresztą, i po prostu staram się pomagać ludziom, których uważam za dobrych? A ty – i, na przykład, brat Sever – jesteście dobrymi ludźmi.

Złodziej zmrużył oczy i przełknął cisnącą się na usta kąśliwą odpowiedź.

— Dlatego chcę ci pomóc. Jesteś tu od kilku miesięcy, więc miałem dość czasu, by ci się przyjrzeć. Chodziłeś nocami po kamańskim porcie ze strawą, a jako gość mogłeś odmówić. Twoja sakiewka zawsze po tych wizytach była wyraźnie chudsza. Stawiałeś czoła złu, gdy bandyci próbowali was ograbić, a potem oddawałeś ich rzeczy nieszczęśnikom w potrzebie.

— Nie były mi potrzebne.

— Och, to zabawne patrzeć, jak się krygujesz niczym stara panna na wydaniu. Wiem, że zabijałeś, takie rzeczy zostawiają w oczach ślad, i wiem też, że nie sprawiało ci to radości. Widzę również, że jeszcze kilka pochwał, a zabrudzisz habit śniadaniem.

— Tak. I wczorajszą kolacją też.

— Ha. No to do rzeczy. — Przeor zatarł ręce. — Ty dostarczysz naszego gościa do domu, bo jesteś jedyną osobą w klasztorze, która pływała po morzu, a po powrocie ja poproszę Czarne Wiedźmy o przysługę.

— Poprosisz? Tylko poprosisz?

— Ja nie kłamię ani nie składam obietnic bez pokrycia, mój chłopcze. Jeśli ta twoja znajoma odmówi spotkania, przeproszę grzecznie za kłopot i będę uważał, że nie mam u ciebie długu. To twoje ryzyko. Zgadzasz się, czy nie?

Altsinowi stanęła przed oczyma twarz Aonel, w chwili gdy podawał truciznę jej matce. Ryzyko? Postawiłby na to spotkanie resztę pieniędzy, jakie ma.

— Dobrze. Popłynę.

Interludium

Konoweryn było wielkie. Widziane z tej perspektywy, z wysokości stu łokci, wyglądało niczym gigantyczna bestia, która przycupnęła nad jeziorem, by z niego chłeptać lub przeglądać się w toni. Imponująca bestia.

Wieża wznosiła się na wschodnim krańcu metropolii, więc w tej chwili jej cień kładł się na plątaninę ulic i zaułków niczym karzący palec olbrzyma. Słońce wstało i nocne lampy gaszono już wszędzie. Zaczynał się codzienny ruch.

Biegnący wokół szczytu wieży podest miał około dwudziestu stóp średnicy i był tak wąski, że dwóch ludzi miałoby problem, by się tu wyminąć. Yatech zacisnął dłonie na balustradzie. Biały kamień zdawał się emanować nienaturalnym chłodem. Później, gdy słońce znajdzie się w zenicie, nie będzie można go dotknąć, lecz teraz przechowywał jeszcze wspomnienie nocy.

Nie obejrzał się, gdy przy nim stanęła. Sama. Dziwne, był pewien, że weźmie ze sobą Iavvę.

— Piękne miasto. — Kanayoness musiała się uśmiechać, ale nie zadał sobie trudu, by potwierdzić to zerknięciem w jej stronę. — Bogate i dumne.

— Po co kazałaś mi tu wejść?

— Żeby porozmawiać. W spokoju. Tu — zatoczyła ręką krąg — nie ma niechcianych uszu.

Wahał się przed zadaniem następnego pytania.

— Żałujesz, że pozwoliłaś mi do niej pójść?

— Tak. Nie. Nie wiem. Dałam się wciągnąć w intrygi Eyfry. Wzięłam udział w jej grze, a to zawsze jest głupie. To kara za moją desperację. Nie taka miała być nasza rola.

— Nie?

— Nie. Z Labayą zawarłam inną umowę. Miałam tu przybyć i pokazać się. Nic więcej. Ponoć byłam potrzebna tylko do tego, by wytrącić jednego z graczy z równowagi.

Yatech przypomniał sobie wojownika w czerwonej kolczudze sięgającego po coś za plecy.

— Udało ci się.

— Mnie? Nie. Nie mnie. Jej. Pani Losu się udało. Uważałam, że panuję nad sytuacją, a okazałam się dzieckiem próbującym grać z zawodowym oszustem. Wkręciła nas.

— Wkręciła?

— Dotknąłeś jej służki w tym zaułku, ale chroni cię… moja obecność. Tak jak ja, jesteś niewidzialny dla Nieśmiertelnych. Pan Ognia nie może cię ujrzeć w płomieniach, Dress nie usłyszy twoich słów, niesionych przez wiatr, a Eyfra nie może wpłynąć na twój los. Więc nie mogąc sięgnąć do ciebie, znalazła twoją siostrę i wplątała ją w tę historię. Przez to staliśmy się jednymi z jej pionków.

— Po co?

— Po co? Nie wiem. Żeby mieć dodatkową kość w rękawie? Fałszywą kartę? Kto wie. Może ta dziewczyna miała się stać sposobem nacisku na ciebie, a przez ciebie na mnie? Nie wiem. Ale Eyfrze udało się lepiej, niż mogła sobie wyobrazić.

— Dlaczego?

Mała Kana obróciła się do niego, wyciągnęła dłoń i delikatnym, lecz stanowczym ruchem zmusiła, by spojrzał na nią. Była śmiertelnie poważna.

— Miałam być obserwatorem, a stałam się graczem. Rzuciłam kości na stolik. Teraz ten, którego nazywano E’mnekosem, uważa mnie za wroga.

— Więc może ta kobieta z zasłoniętą twarzą będzie cię miała za sojusznika?

Skrzywienie warg dziewczyny wyglądało jak rana wycięta poszarpanym ostrzem.

— Ona? Nie. Ona nigdy nie uzna mnie za sprzymierzeńca. Żałujesz? — zapytała niespodziewanie.

— Czego?

— Och, nie bądź głupcem. Nie tego, że spotkałam cię na pustyni, wędrówek, lasu czy tego miasta. Pytam, czy żałujesz tego, co widziałam w oczach twojej siostry… Tego, jak na ciebie patrzyła. Zabije cię, jeśli kiedyś jeszcze się spotkacie. Czy żałujesz ceny, jaką zapłaciłeś za to spojrzenie?

Uśmiechnął się, bo stojąc tu od świtu, obcował z pewnymi rodzącymi się w sercu emocjami i choć zdawały mu się dziwne, musiał przyznać, że nio-

sły ze sobą poczucie ulgi i wyzwolenia. Teraz nie było za nim już nic. Żadnych więzi ani długów do spłacenia.

Żadnego odwrotu.

— Służba, dopóki nie powiesz mi, że mnie z niej zwalniasz… To dobra cena za jej życie. A skoro już i tak jestem z tobą związany na dobre i złe, to powiedz mi, tylko bez wykrętów, czy naprawdę zamierzałaś uwolnić mnie po roku? Czy też po prostu sądziłaś, że i tak nie dożyję końca służby? Jeśli to drugie, teraz jestem dla ciebie cenniejszy. Nie poślesz bez wahania na śmierć kogoś, z kogo możesz mieć pożytek przez dłuższy czas.

Mała Kana zmrużyła oczy.

— Spryciarz z ciebie.

— Ciii… nie przerywaj. Co miałbym zrobić ze sobą, gdyby ten rok się skończył? Gdzie pójść? Czym się zająć? Nie widziałem dnia, gdy od ciebie odchodzę, nie widziałem swojej drogi.

— To słowa tchórza.

— Może — zgodził się, nie czując gniewu. — Ale co miałbym robić? Pamiętasz dziewczynkę w lesie? Pamiętasz. Ofiarowałem jej dobry, szybki sen. A potem… chciałem się zabić. Siedziałem pod drzewem i opierałem czubek miecza pod mostkiem. Wystarczyło pochylić się w przód. Mocno. Bałem się i jednocześnie chciałem tego.

Przestała się wpatrywać w jego twarz, nagle znajdując ciekawszy widok w mieście poniżej.

— Co cię powstrzymało?

— Jeszcze większy strach. Że znowu źle wybiorę. Moje życie to pasmo złych wyborów i złamanych obietnic. Isanell, plac ćwiczeń, na którym powinienem po prostu odwrócić się i odejść, nie reagując na zaczepki, pustynia, skorpion, ty. Przyrzekłem, że będę chronił pewną rodzinę, i złamałem obietnicę, postanowiłem, że wrócę do domu i będę żył, jak przystało na Issaram, a nim minął dzień, przelałem krew współplemieńców i wyparłem się własnego ludu. Przysiągłem, że umrę na pustyni, lecz spotkałem ciebie i nie dotrzymałem słowa. I to, co widziałem w oczach tej dziewczynki, gdy odchodziła. Dlaczego ją to spotkało, ją i cały jej świat? Chcę znać odpowiedź na to pytanie. Jaki jest sens w opowieści, którą tkamy. Ty, ja, Iavva.

— Może nie ma w tym sensu.

— Może — zgodził się. — Ale nagle, wczoraj, zrobiłem coś dobrego, coś jak należy. Ocaliłem ją. Może to odwróci mój los. Poza tym… — zawahał się, obserwując Kanayoness kątem oka. — Nie wiem, jak to wyrazić. Spotkałem Labayę z Biuk i Kitchi od Uśmiechu, a o nich słyszałem legendy powstałe w czasach, gdy Meekhan był wioską pasterzy owiec. Stałem w Komnacie Popiołu, tak, wiem, co to za miejsce, słyszałem o nim… przedsionek do królestwa Agara, miejsce, gdzie dotyka ono naszego świata. Widziałem, jak gra się o los śmiertelników, jakby byli stadem zwierząt. Co mógłbym zrobić po odejściu od ciebie? Zaszyć się gdzieś w kącie, wiedząc, że ktoś sypie piach w oś, na której kręci się świat? Zapomnieć? Udawać, że wszystko to jedynie mi się wydawało, było omamem, który nawiedził mnie na pustyni? Masz rację, jestem ślepcem z kraju ślepców, ale pamiętaj też, że niektóre rodzaje ślepoty są dobre. Wyostrzają inne zmysły. Dlatego pójdę za tobą. Nie przez honor czy lojalność dzikusa, ale w nadziei, że poznam odpowiedź. Powiesz mi, czy Pani Losu dotrzymała swojej części umowy? Pomoże ci znaleźć tego, kogo szukasz?

Mała Kana skinęła głową.

— Pomoże. Zdradziła mi, gdzie on jest. I pokazała pewną czarownicę. A ona otworzy nam drogę.

— Daleko?

— Bardzo daleko.

Rozdział 14

Była niesiona, a pająk trzymał suchą rękę przy jej twarzy, dociskając coś wilgotnego i ciepłego do *ekchaaru*. Cała zasłona lepiła się i cuchnęła gorzko. To gorzkie cuchnięcie sprawiało, że zapadała w bezwładny sen niesen, czując się jak mucha tonąca w bryłce żywicy.

Pamiętała rozbieranie, niemal do naga, bo nikt nie ośmielił się odsłonić jej twarzy, pamiętała obmywanie ciała, pocałunki gąbki, pieszczotę miękkich ręczników. Pamiętała, że robiła to kobieta, dziewczyna niemal, szczupła i czarnowłosa. Właściwie Deana nie miałaby nic przeciw temu, by robił to Omenar, który zjawiał się kilka razy dziennie, ubrany w biel, zdejmował jej *ekchaar*, karmił i poił. Jego wizyty przeplatały się z odwiedzinami pająka, całego w czerni, z chudymi rękami i nogami doczepionymi do pękatego tułowia zwieńczonego olbrzymią głową. Pająk dotykał ją, obmacywał żebra i głowę, cmokał, parskał, gulgotał i świszczał.

Płynęła, otulona gorzkim oparem, a gdzieś na granicy widzenia majaczyła sylwetka nosząca na plecach dwa miecze. Yatech… Jej brat niebrat. Sprawa, której nie można tak zostawić, lecz która musi poczekać.

Bo teraz unosiła się w oparach bezsilności.

Dzień za dniem.

* * *

Obudziła się nagle, jakby pękł wokół niej szklany klosz. Pająk przytykał jej do twarzy coś o zapachu zgniłych jaj, szczerząc się przy tym grymasem szalonego demona. Gdy tylko otworzyła oczy, wyprostował się i usiadł na ziemi obok jej posłania.

— Dobrze — mruknął uspokajająco w bezbłędnym meekhańskim. — Jesteś silniejsza, niż myślałem. Jak się nazywasz?

— Deana… d’Kllean.

— Kim jesteś?

— *Awyssą* w drodze do Kan’nolet.

— Ocaliłaś życie księcia Laweneresa z Białego Konoweryn?

— Ja… tak… chyba tak… — Potrzebowała chwili, by dogonić i schwytać wymykające się wspomnienia. — Pamiętam. Uciekliśmy bandytom, ukrywaliśmy się. Kim jesteś?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, aż wydawało się, że jego głowa rozpadnie się na pół. Przyjrzała mu się po raz pierwszy dokładnie. Nad szerokimi ustami ktoś, jakieś złośliwe bóstwo zapewne, umieścił kawałek niestarannie obrobionego kamienia udającego nos, po czym wydłubał byle jak oczodoły i wcisnął w nie kawałki niebieskiego szkła. Całość zwieńczał skalp jakiegoś nieszczęsnego, kolczastego zwierzęcia.

Tułów kobiety w ciąży, ręce i nogi wychudzonego dziecka. Tylko strój był teraz inny, znikła czerń, pojawiła się kamizelka ze złotogłowiu, śnieżnobiałe spodnie i koszula ze złotymi mankietami.

Kolory pająka zwanego słonecznym całusem.

— A ty kim jesteś?

— Kimś, kto dostał zadanie ocalenia ci życia i niedopuszczenia, byś do końca życia leżała na wznak, śliniąc się i robiąc pod siebie. Choć słyszałem o kilku mężczyznach, dla których byłabyś wtedy spełnieniem snów.

Złapała go za rękę ruchem, który nawet ślimakowi przygniecionemu kamieniem wydawałby się ślamazarny. Uwolnił się, nie przestając się uśmiechać, a ona zapatrzyła się na swoją dłoń. Szkielet obciągnięty pergaminową skórą.

— Jak? Ile…

— Znaleźliśmy was piętnaście dni temu. Od czternastu dni wędrujemy na południe, do domu. Miałaś wstrząs mózgu, pękniętą czaszkę, połamane żebra. Sądzę jednak, że dojdziesz do siebie. Za jakiś miesiąc albo dwa. Na razie nie uniesiesz łyżki do ust.

Mówił spokojnie, krótkimi zdaniami, jakby obawiał się, że nieco dłuższe wymkną się jej zdolności pojmowania.

Przeniosła wzrok na ściany namiotu. Wyszywany srebrną i złotą nicią jedwab falował lekko, zupełnie jakby otaczało go migotliwe światło. Jedna ściana była nieco bardziej prześwietlona, więc tam musiało się znajdować słońce, ale Deana nie umiała ocenić, czy jest ranek, czy popołudnie. Wokół jej posłania leżały kobierce, których wartości nie potrafiła ocenić nawet

w przybliżeniu. Czasem widywała takie rzeczy w siedzibach najzamożniejszych rodów plemienia, ale w porównaniu z tym, co leżało teraz na ziemi…

Bogactwo nie tyle kłuło w oczy, ile usiłowało je wyłupić.

— To osobisty namiot księcia. — Ubrany w złoto i biel mężczyzna pokiwał głową, zdradzając się z umiejętnościami czytania w myślach. — Jeden z kilku. Jesteś wielką bohaterką, ocaliłaś następcę tronu, Płomień Południa, Oddech Agara, i tak dalej.

Machnął ręką. Nieważne.

— Szukaliście nas?

— My i połowa plemion z północy pustyni. Issarowie, Kuwijczycy, wojownicy mavvijscy, reszta tej wędrownej hołoty też. Chyba nie sądziłaś, że porwanie księcia Białego Konoweryn przejdzie bez echa? Nagroda, którą wyznaczono za ocalenie Laweneresa, zapełniłaby złotem skarbiec małego księstewka. Czarownicy skakali od oazy do oazy, przenosząc wieści i węsząc magią gdzie się dało, całe armie nomadów wyruszyły na poszukiwania, a ilu zupełnie niewinnych bandytów usieczono przy okazji… Szkoda słów. Prawdziwą bandę, część jej sił, rozbito dopiero pięć dni przed waszym ocaleniem, ale przesłuchiwani — jego twarz skurczyła się w dziwnym tiku — jeńcy prawie nic nie wiedzieli. Z wyjątkiem jednego, który usłyszał przypadkiem coś o Palcu Trupa. Znaleźliśmy was dzięki ogniu, co tylko utwierdziło wszystkich w przekonaniu, że książę jest prawdziwym Wybrańcem.

Przypomniała sobie ogień buzujący przed wylotem jaskini.

— Rozpalili ognisko.

— Oczywiście. Na pustyni, gdzie nie ma nic oprócz skał i kamieni.

— Tam było pełno…

Zrobił palcem krzyżyk na ustach, jakby zaszywał je dratwą.

— Ciiii… książę nie potrzebuje jakichś krzaków do rozpalenia ognia. On sam jest Ogniem, Światłem i Płomieniem Agara. I taką opowieść przyniesiemy do Konoweryn, bo tak rozkazał Evikiat, Wielki Kohir Dworu. Zapamiętaj – albo jeszcze lepiej zapomnij – co widziałaś i mów, że byłaś nieprzytomna i nic nie pamiętasz, lecz w pobliżu waszej kryjówki były tylko kamienie i czysta skała. Książę wezwał więc płynącą w jego żyłach moc Pana Ognia i podpalił je. Dzięki temu was znaleźliśmy, w nocy ogień widać było na wiele mil.

— Po co to kłamstwo?

— Dla polityki, oczywiście. I dla religii, wiary prostego ludu, i dla podtrzymania wierności wszystkich Rodów Wojny. By nikt nie ośmielił się podważyć jego praw. Do czegokolwiek.

Świat wokół lekko zawirował, a mężczyzna pokiwał głową, jakby był tego w pełni świadomy i na dodatek czegoś takiego właśnie się spodziewał.

— Masz odpoczywać, dużo pić i mało się ruszać. Najbliższe trzy dni spędzimy w oazie, ostatniej przed górami. Zwierzęta i ludzie muszą odpocząć, bo czeka nas jeszcze wiele dni drogi przez pustynię.

— Górami?

— Magarhami. Ścianą Dalekiego Południa, za którą jest już Białe Koneweryn. Najpiękniejsze miasto świata, moim zdaniem.

Spodziewała się tego, ale potwierdzenie przypuszczeń i tak było jak uderzenie buzdyganem w głowę. Tak daleko… Znalazła się tak daleko od domu, na drugim końcu pustyni Travahen, setki mil od rodzinnych stron. A wszystko wydawało się takie proste, gdy opuszczała *afraagrę*. Odbyć pielgrzymkę, zastanowić się nad swoim życiem i poszukać gdzieś miejsca dla siebie, co nie powinno być trudne, bo przecież każda *afraagra* przyjmie mistrzynię miecza. Powinna mieć marzenia porządnej kobiety z gór, pragnąć znaleźć męża, urodzić tuzin dzieci, nauczyć je, jak walczyć i być dobrymi Issaram, po czym umrzeć w domu, otoczona gromadką wnuków i prawnuków, albo na polu bitwy, otoczona stosem martwych wrogów.

Zamiast tego leżała teraz słaba jak nowo narodzone koźlę na fortunie utkanej z jedwabiu i wełny, w towarzystwie mężczyzny, który właśnie wstawał i najwyraźniej miał zamiar ją opuścić.

— Jak właściwie masz na imię?

— Suchi. — Zatrzymał się z ręką odsuwającą połę namiotu.

— Suchi?

— Suchi — potwierdził.

Przypomniała sobie, jak szedł obok wozu i przyciskał coś cuchnącego do jej twarzy.

— To ty mnie leczyłeś?

— Utrzymywałem przy życiu. Leczą lekarze.

— A ty jesteś?

— Książęcym trucicielem. — Mrugnął do niej kpiąco.

— Trucicielem?

Uśmiech przepołowił mu twarz.

— Robimy to samo co lekarze, tylko szybciej i się z tym nie kryjemy.

Wyszedł.

* * *

Wieczorem – to musiał być wieczór, bo ściana namiotu z jednej strony rozpaliła się od blasku dogasającego słońca – przyszedł Omenar. Ubrany w luźną białą koszulę i podobne spodnie wyglądałby jak zwykły tragarz albo poganiacz wielbłądów, gdyby nie to, że koszula była jedwabna i pyszniła się srebrnym haftem ozdobionym perłami.

Zatrzymał się przy wejściu, nasłuchując, i przez chwilę Deana walczyła z pokusą, by go oszukać, udać sen, żeby sobie poszedł. Miała dość czasu, by przemyśleć swoją sytuację i wpaść w złość. Powinni zostawić ją na północy, w jakiejś oazie pod opieką kilku ludzi. Jeśli Konowerczycy tak cenili sobie życie swojego księcia, że by go odnaleźć, zrobili zamęt na całej pustyni, to mogli w ramach wdzięczności wynająć kogoś, kto zawiózłby ją do domu. Gdyby tu wszedł ten smarkacz, nawrzeszczałaby na niego albo przełożyła przez kolano i złoiła tyłek. Książę czy nie.

Spojrzała na stojącego przy wejściu mężczyznę. Właściwie to nie była jego wina. Zwykły tłumacz nie dowodził karawaną.

— Nie śpię, możesz wejść.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Ostrożnie podszedł do jej posłania i usiadł na jednym z bezcennych kobierców.

— Masz zasłoniętą twarz?

— Tak.

Zaklaskał i do środka weszły dwie dziewczyny w burych strojach. Niewolnice, co podkreślały każdym gestem, wzrokiem wbitym w ziemię, zgiętymi plecami i czerwonymi wstążkami noszonymi na szyjach. Raz-dwa rozstawiły wokół Deany kilka tac z naczyniami wypełnionymi aromatycznie pachnącymi potrawami i kłaniając się nisko, wyszły. Jedna wróciła zaraz, niosąc kilka prostych, choć uszytych z najlepszego materiału szat. Położyła stosik przy posłaniu dziewczyny i znikła, znów nie podnosząc wzroku.

— Czemu się tak zachowują?

Zawahał się, potem uśmiechnął.

— To przez księcia. W jego opowieściach jesteś wielką wojowniczką, która gołymi rękami zabiła dziesięciu bandytów. Ocaliłaś książęcy ród.

W pewnym sensie ocaliłaś Białe Konoweryn przed bratobójczą wojną. — Jego dłonie znalazły najbliższe naczynie i uniosły pokrywkę. — Rosół z koźlęcia, jest też z kury, perliczki i gołębia, bo nie wiedziałem, co lubisz. Głodna?

Spróbowała sięgnąć po łyżkę, ale jej palce nie zdołały objąć wykładanego macicą perłową trzonka. Zaklęła, a on zaśmiał się cicho i bezbłędnie powtórzył, co powiedziała.

— Wybacz. Mam ucho do języków. Pomogę, jeśli pozwolisz.

Sięgnął i delikatnie zdjął jej *ekchaar*. Potem podniósł łyżkę, ostrożnie nabrał złocistego, obłędnie pachnącego płynu i nie roniąc ani kropli, podsunął jej do ust. Deana poczuła zawrót głowy od cudownego aromatu ziół, a ciepło spływające do żołądka zdawało się wypełniać ją aż po same czubki palców. Prawie natychmiast poczuła przypływ sił.

Pozwoliła się karmić przez chwilę, po czym delikatnie odebrała mu łyżkę.

— Wojna domowa?

Zamarł. Trudno wyczytać coś z twarzy osoby, która zapomniała już, jak wiele można przekazać mimiką, ale sposób, w jaki jego rysy stężały, wskazywał, że sprawa była bolesna i delikatna.

— Sameres Trzeci, Wielki Książę Białego Miasta, został zamordowany pięćdziesiąt osiem dni temu.

Przetrawiła informację.

— To się łączy, prawda? Z atakiem na waszą karawanę i porwaniem?

— Tak. Myliłem się. Bandytom nie chodziło o okup, lecz o wiele więcej. Po śmierci brata książę stał się Dziecięciem Ognia… trudno to wyjaśnić, to ogniwo łączące ludzi z Agarem Czerwonym. Mówiłem ci już, książęcy ród wywodzi się wprost od Wybrańców, których Agar obdarował kawałkiem własnej duszy, gdy walczył z odwieczną ciemnością.

Pamiętała. *Awenderi*. Na Dalekim Południu każde książątko wywodziło swój ród od *awenderi*, bożych naczyń. Issaram śmiali się z tych legend i przepełniającej je arogancji, mówiąc, że mimo iż mieszkańcy królestw Daeltr’ed pochodzą od Agara, to o każdą szczyptę cynamonu czy pieprzu targują się, jakby Anday’ya wetknęła im lodowy palec w tyłek. Agar walczył w Wojnach Bogów, i to podobno nawet po właściwej stronie, był jednak bogiem zbyt mało ważnym, odległym i nie zapisał się w historii wieloma heroicznymi czynami. Z drugiej strony, uwzględniając, że ten rejon

świata przez większą część roku skwierczał pod ognistym młotem słońca, Pan Płomieni wydawał się odpowiednim patronem dla tutejszych mieszkańców.

— Przykro mi. Ten… Sameres, był dobrym księciem?

— Tak. — Twarz mu zmiękła, głos pokrył się aksamitem. — Był najwspanialszym władcą, jakiego Konoweryn miało od tysiąca lat. Zreformował administrację, zawarł pokój z trzema innymi księstwami, zakończył trzydziestoletnią wojnę. Dał większe prawa niewolnikom, łącznie z prawem do wykupienia się. Rozbudował Wielką Bibliotekę, założył szpitale, sierocińce i przytułki.

Delikatnie nabrała bulionu, przełknęła.

— Kochałeś swojego księcia, przyznaj.

— Tak. — Skierował na nią swoje niesamowite oczy. — Jak brata. Zawdzięczam mu życie i to, kim jestem.

— Rozumiem. — Odłożyła łyżkę i zniecierpliwiona uniosła naczynie, siorbnęła. — Ślepiec nie ma zbyt wielu dróg do wyboru w życiu. Albo żebracza miska i garść łaskawie rzuconych miedziaków, albo jedwab i perły.

— Albo nóż podrzynający dziecku gardło i zimne trzewia gadów mieszkających na bagnach.

Bulion utkwił jej w gardle, aż rozkaszlała się przeciągle.

— Niektóre z naszych praw są twarde — Omenar kontynuował, jakby niczego nie zauważył. — Ale córka Issaram nie powinna się przecież temu dziwić. Książę ma jednak władzę wystarczająco silną, by je czasem nagiąć. Skończyłaś?

— Tak. — Położyła się, nagle śpiąca i potwornie zmęczona.

— Suchi mówi, że musisz nabrać sił. Najpóźniej za trzy dni ruszamy dalej.

Uniosła ciężkie powieki.

— A jeśli nie chcę jechać dalej? Jeśli poproszę księcia, by odesłał mnie na północ?

Ślepiec potrząsnął głową.

— Zaczyna się pora sucha, a od kilku lat przychodzi ona coraz wcześniej i trwa dłużej, więc musimy się spieszyć. Przez najbliższe cztery miesiące żadne karawany nie będą wędrować po pustyni. Ta oaza wkrótce opusto-

szeje na co najmniej sto dni, już większość tutejszych studni ofiarowuje tylko muł.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę zdawał się wsłuchiwać w jej milczenie.

— Czasem nie ma wyjścia, Deana, i nie da się stać w miejscu, trzeba iść naprzód. Książę nie odesłał cię od razu do domu, bo Suchi twierdził, że tylko on i jego mikstury potrafią cię ocalić, a truciciel musiał jechać z nami. Mogłaś umrzeć bez właściwej opieki, a twoja śmierć splamiłaby książęcy honor. Jednak mogę ci obiecać, że jeśli będziesz chciała, to gdy tylko wyzdrowiejesz, osobiście dopilnuję, byś bezpiecznie dotarła do celu swej pielgrzymki. Odeślemy cię na północ wraz z otwarciem szlaków handlowych, pierwszą karawaną z setką koni obładowanych podarkami. Teraz jednak masz odpoczywać i nabierać sił. Ostatni etap wędrówki czasem jest najtrudniejszy.

Patrzyła na niego uważnie, szukając śladu nieszczerości. Jego argumenty były tak logiczne i przejrzyste, że musiał je układać godzinami.

— Cieszysz się, że jadę z wami?

Zamrugał, jakby zaskoczony bezpośredniością pytania. A potem, wyraźnie zakłopotany, pochylił głowę.

— Tak — rzucił cicho. — Cieszę.

Przypomniała sobie noc w jaskini.

— Jak wtedy, gdy myśleliśmy, że umrzemy…

— Nie — przerwał jej cicho, stanowczo. — Tego nie było. I nie wróci. Rozumiesz?

Poczuła się, jakby ją spoliczkował, krew uderzyła jej do głowy. A potem zrozumiała. Zaufany tłumacz księcia, dworski pupilek, wypieszczony w jedwabiach i aksamitach, mający na każde skinienie dziesiątki pachnących wodą kwiatową kochanek, skusił się na pustynną dziewczynę o dłoniach szorstkich od rękojeści broni i skórze poznaczonej bliznami. Ale teraz nie było już pustyni.

— Nie jestem… — Znów wlepił w nią swoje niesamowite oczy. Patrzyła w tę gładką, zamgloną powierzchnię. — Nie jestem panem samego siebie. Moja wola nie zawsze ma znaczenie. Czasem sądzę, że znaczenie ma wszystko, poza tym, czego pragnę. Wtedy, gdy uciekliśmy, przez chwilę byłem… wolny. Teraz znów służę książęcemu rodowi i chwale Białego Konoweryn.

Zabrzmiałby strasznie głupio, gdyby ostatnie zdanie nie ociekało tak goryczą.

Jakoś to na nią nie podziałało.

— Wyjdź.

Skinął głową, podniósł się powoli i ruszył do wyjścia. Deana leżała z zamkniętymi oczami, póki nie zaszeleściła poła namiotu i dziewczyna uzyskała pewność, że Omenara już w nim nie ma.

Drań.

* * *

Następne dwa dni były długie, monotonne i jednakowe jak bliźnięta.

Leżała i myślała o swoim ocaleniu. Nie teraz, tylko tym wcześniejszym, gdy istota, która kiedyś była jej bratem, rozcięła jej więzy i zabiła bandytów. Próbowała się modlić, szukać odpowiedzi w *kendet'h*, lecz tym razem Droga nie rozwiewała jej niepokoju. Yatech żył. Mogła temu zaprzeczać, mogła twierdzić, że nigdy nie miała brata o tym imieniu, lecz takie kłamstwa byłyby ucieczką przed odpowiedzialnością. Yatech żył i… służył? związał się z kimś? Z jakąś siłą, istotą, demonicznym bytem. Nie potrafiła przypomnieć sobie wszystkich jego słów, pamiętała tylko niejasne wrażenie rozpaczy i rozdarcie w jego głosie. Były w nim ból i cierpienie.

Z opowieści, które do niej dotarły, wywnioskowała, że nie znaleziono miejsca rzezi, którą urządził bandytom, zresztą po ocaleniu księcia opuszczono Palec Trupa najszybciej, jak się da, sprawy związane z sukcesją nie mogły czekać. To dobrze. Nie potrafiłaby im tego wyjaśnić, ta sprawa należała do Issaram. Po powrocie w rodzinne strony będzie musiała porozmawiać z kilkoma Wiedzącymi. Ciało jej brata musi zostać uwolnione, a ten, kto je ze sobą związał, musi za to zapłacić. Jej lud nie lekceważył takich spraw. Nigdy.

Jedno było pewne. Jeśli kiedykolwiek znów się spotkają, zabije go, jeśli tylko zdoła. Tyle była mu winna.

Kilka razy pojawił się Suchi, raz odziany w czerwień, raz w ognistą zieleń złamaną wściekłą żółcią, raz w inny bijący w oczy zestaw barw. Zawsze najpierw zatrzymywał się przed namiotem i pytał głośno, czy może wejść. Przynosił jej leki, cuchnące maści, którymi smarowała sobie później żebra, i równie paskudne wywary, odmierzane po kropli, podawane w kubkach

a to wody, a to mleka, a to wina. Po maściach piekła ją skóra, po wywarach kręciło się w głowie i miała okropne pragnienie. Truciciel wydawał się zadowolony z tych objawów.

— Dużo wiesz o leczeniu, jak na kogoś zajmującego się swoją profesją — zagadnęła po kolejnej porcji wina z czymś, co wzbogacało jego smak o dyskretne nuty piżma i starych rzemieni.

— Bo to to samo, moja droga. Truciciel to tylko wyższa forma lekarza. Wiem wszystko to, co nadworni medycy, a oni nie mają pojęcia nawet o szczypcie moich sekretów.

— A nie powinno tu być także jakiegoś uzdrowiciela? Takiego władającego Mocą?

— Co? Nudzi cię moje towarzystwo? Książęcej krwi nie ma prawa dotknąć żadna Moc, prócz Mocy Ognia. Dlatego czarownicy specjalizujący się w leczeniu nie są mile widziani na dworze. Najmniejsze podejrzenie o używanie czarów na kimś z rodziny książęcej i trafiają w oczyszczające objęcia Agara.

— Czyli?

— Na stos. Czarowników władających aspektami bitewnymi znajdziesz tu kilku, ale o zdrowie księcia troszczę się ja. Poza tym — mlasnął — potrafię rozpoznać smak każdej znanej człowiekowi trucizny, nawet jeśli tylko jej kropla padłaby na kwartę płynu. Potrafię także rozpoznać objawy podania innych trucizn, takich, które przenikają przez skórę albo są wdychane. I oczywiście wiem, jak im przeciwdziałać. Trucicielstwo to sztuka o starożytnym i wyjątkowo szlachetnym rodowodzie. O wiele subtelniejsza niż prymitywna magia czy alchemiczne sztuczki. Opiera się na zasadach rozumu, doświadczenia i żelaznej konsekwencji.

— Naprawdę? — Dopiła swoje wino i aż się wzdrygnęła. Najintensywniejsze piżmo i rzemień kryły się na dnie kielicha.

Napełnił kubek wodą.

— Wypij. Powoli, ale nie przerywając.

Piła. Woda smakowała… wodą.

— Naprawdę. Truciciel, który nie będzie się opierał na rozumie, doświadczeniu i konsekwencji, umrze szybko i młodo, zabity przez własne trucizny. Ta sztuka nie wybacza błędów. Poza tym — obserwował ją głęboko osadzonymi oczami — my i lekarze właściwie zawsze używamy tych samych składników. Różnica jest tylko w proporcjach. To, co jest lekiem

w setnej części uncji, w dziesiątej staje się trucizną. Ba, czasem lek podany rankiem wzmocni cię, a przed snem zabije. Na przykład ten. — Pokazał jej buteleczkę z ciemnozielonego szkła, ozdobioną czarnym, trójdzielnym kwiatem. — To *cmanea*. Zagęszcza krew, powoduje, że rany zasklepiają się szybciej, a serce bije wolniej. Wzmacnia też żyły. Podaję ci ją, żebyś nie dostała krwotoku w głowie. Ale gdybym ci zaserwował kilka kropel wieczorem, twoje serce, które w czasie snu i tak bije wolniej, mogłoby stanąć, nie dając rady przepchnąć zagęszczonej krwi.

Skończyła wodę, natychmiast nalał jej kolejną porcję.

— Powoli, bez przerywania. W Konoweryn powiadają, że różnica między trucicielem a lekarzem polega na tym, iż ten pierwszy nigdy nie zabija pacjenta przypadkiem.

Wypiła.

— Po co tyle wody?

— Nie zaszkodzi ci, a jak pijesz, to nie gadasz.

Dziabnęła go wyprostowanymi palcami w przeponę, szybko, w wiele szybciej, niż byłaby w stanie to zrobić jeszcze dwa dni temu. Wyszczerzył się od ucha do ucha.

— Prędko odzyskujesz siły. To bardzo dobrze. Wy, Issarowie, jesteście żywotni jak *samaje*.

— *Samaje*?

— Takie stworzenia spotykane u nas, na pograniczu lasów, trochę jak skrzyżowanie szczura z łasicą. Widziałem raz, jak jednego stratował słoń, a on po chwili podniósł się, otrzepał i poszedł sobie gdzieś we własnych sprawach. A propos słoni, właśnie przybyły cztery. Chcesz zobaczyć?

Jakby na potwierdzenie jego słów powietrze zadrżało od głębokiego, przenikliwego ryku.

Suchi odwrócił się dyskretnie, gdy się ubierała, i pomógł jej wyjść z namiotu.

Na zewnątrz była oaza. Wszędzie, pod niebem, które wyglądało na bardziej błękitne i jaśniejsze niż w jej rodzinnych stronach, rozstawiono namioty, między którymi kręcili się ludzie. W większości ubrani w bajecznie kolorowe tkaniny i uzbrojeni w szable. Kątem oka zauważyła trzech wojowników w wysokich szyszakach, z zasłonami z kolczej siatki na twarzach i narzuconymi na wierzch pancerza jaskrawożółtymi szatami. Szable mieli niemal proste, przypominające issarskie *sanqui*, a w rękach trzymali

krótkie łuki. Natychmiast zauważyli ją z trucicielem, poczuła trzy promienie podejrzliwych spojrzeń i od razu pożałowała, że nie ma broni. Bezbronny człowiek stojący naprzeciw uzbrojonego jest tylko w połowie wolny i żywy, bo jego wolność i życie tkwią w rękach tego drugiego.

Podeszli do niej szybko, ignorując pierzchających na wszystkie strony ludzi, i najwyższy z nich wywarczał kilka słów w języku, który słyszała pierwszy raz w życiu. Suchi postąpił dwa kroki w przód, wyprostował się, na swoje całe pięć stóp i osiem cali odziane w kłujące oczy barwy, i odpowiedział cicho, dodając do słów wyraźnie lekceważące wzruszenie ramion.

Obserwując całą czwórkę, Deana stwierdziła, że musi zmienić zdanie o trucicielu. Wojownicy mieli łuki ze strzałami nałożonymi na cięciwy, szable, sztylety i kolczugi, ale gdy zrobił krok w ich stronę, cofnęli się nieco, zachowując dystans. Następne zdanie z ust dowódcy padło już cichym, przepraszającym tonem, po czym trzech zbrojnych odwróciło się w jej stronę, ukłoniło nisko i znikło między namiotami.

Truciciel odprowadzał ich wyraźnie rozbawionym spojrzeniem.

— Ptaszęta nasze. Zawiedli na całego, gdy porwano księcia, to teraz stroszą piórka i błyskają pazurkami. — Zerknął na nią, unosząc ironicznie brwi. — Zakład o skarbiec Wendii, że nie wiesz, o czym mówię.

— Wygrałeś. O czym mówisz?

— Po drodze ci wyjaśnię. Nie powinnaś stać w słońcu.

Ruszyli, ona prowadzona pod rękę, mimo że przewyższała go o dobre dwa cale. Zauważyła, że ludzie schodzą im z drogi, czasem bezwiednie, nawet nie patrząc we właściwą stronę. Zupełnie jakby otaczał ich czar odpychający wszystkich wokół. Co najdziwniejsze, to nie ona była jego centrum.

— Boją się ciebie — stwierdziła.

— Boją się? Dlaczegóż to… uważaj, dziura… dlaczegóż mieliby się bać książęcego truciciela? Kogoś, kto może zabić samym dotykiem? Kto nosi ubrania tak przesiąknięte trucizną, że ich zapach odbiera mężczyznom wigor, a na kobiety sprowadza bezpłodność? Kto jest tak uodporniony na wszelkie jady, że jeśli jakiś wąż go ukąsi, to biedny gad zdycha na miejscu? Nie… wcale się nie boją.

Na ich oczach trzech mężczyzn taszczących na ramionach wielką kłodę zawróciło i skierowało się między namioty, nadkładając drogi.

— A mimo to leczysz ich?

— Ludzka natura, moja droga, issarska przyjaciółko. Ludzka natura. Mogą za moimi plecami robić znaki odpędzające zło, unikać dotknięcia mojego cienia, ale gdy zaczyna ich łamać choroba, ukąsi jadowity pająk albo wspomniany już wąż, gdy połamią ręce lub nogi i wyją z bólu, przychodzą po pomoc. Najpierw do lekarza, a gdy on zawiedzie, do kogoś z moimi umiejętnościami. Szukaj logiki w dzikich zwierzętach, bo u ludzi jej nie znajdziesz. Nie idziemy za szybko?

Szli. Słońce paliło bezlitośnie, a jej od pewnego czasu coraz mocniej kręciło się w głowie. Wskazała na cień pod najbliższym namiotem.

— Usiądźmy.

Pomógł jej usadowić się na piasku, sam klapnął ciężko obok.

— Powinnaś się wypocić. Od kilku dni podawałem ci leki na przyspieszone gojenie i na wzmocnienie, ale niektóre z nich zostawiają paskudne osady w ciele. Dlatego kazałem ci wypić tyle wody, razem z potem pozbędziesz się większości z tych resztek. Poza tym najwyższa pora, żebyś zaczęła stawać na nogi. Ruch wzmacnia serce, reguluje trawienie, dodaje sił.

Dwóch tragarzy wyszło zza rogu najbliższego szałasu i drobiąc śmiesznie w miejscu, zawróciło. Omal nie upuścili wielkiego kosza, który nieśli. Suchi zachichotał.

— Będą opowiadać wnukom, że kiedyś spotkali książęcego truciciela i issarską zabójczynię, dwoje najniebezpieczniejszych ludzi na świecie.

— Trzeba by ustawiać jakieś ostrzeżenia w miejscach naszego postoju, inaczej ktoś zrobi sobie jeszcze jakąś krzywdę.

— Nie martw się, za parę chwil cała oaza będzie wiedziała, że tu jesteśmy. Nie wiem, jak to działa, ale wieści rozchodzą się w takich miejscach lotem strzały.

Deana oparła się o pakę leżącą pod ścianą namiotu. Naszła ją myśl, czy później ktoś spali jej zawartość, tak na wszelki wypadek, bo znalazła się w pobliżu truciciela. Odkryła, że lubi tego niskiego, pająkowatego mężczyznę, którego otaczała nieuchwytna aura wiedzy i doświadczenia. Nieważne, że ubierał się fatalnie, nawet jak na mieszkańca Południa.

Zapytała o to.

— To tradycja. — Uśmiechnął się, jakby usłyszał najpiękniejszy komplement. — Książęcy truciciel nosi na sobie kolory niebezpiecznych stworzeń, jadowitych pająków, węży, trujących płazów. To akurat — przejechał

dłonią po zielonej kamizelce haftowanej w wielkie, żółte kwiaty — barwy *tschaki*, małej żabki, której skóra wydziela najsilniejszą truciznę znaną ludziom. Nawet najbardziej głodny wąż nie ośmieli się jej zaatakować. Wiesz, po co to wkładam?

Spojrzała uważniej. Jego ubiór nabrał nagle innego znaczenia, a w oczach mężczyzny zagościło chłodne wyzwanie. Zrozumiałaś, dziewczyno?

Zrozumiała, Issaram też mieli własny język strojów i kolorów.

— Tknij mnie, a umrzesz?

Mrugnął kpiąco.

— Doskonale. Jak tam twoje pocenie się?

Jego kuracja skutkowała. Potrzebowała kąpieli, i to szybko.

— A ci wojownicy? Ci przebrani za kanarki? Miałeś opowiedzieć.

Suchi zerknął na nią z ukosa, a gdzieś w głębi oczu błysnęło zimne światło.

— Nie lekceważ ich. Dom Słowika może i nie jest już tym samym, czym był za Kamerego Saha, może i ich sztuka wojenna nieco podupadła, ale to wciąż najpotężniejszy z Domów Wojny, a jego wychowankowie nie boją się nikogo. Nawet issarskich zabójców. Niejeden z waszych wojowników zapłacił głową za swoją arogancję, nieopatrznie wyzywając któregoś ze Słowików na pojedynek. Sztuka władania mieczem i szablą, umiejętność strzelania z łuku, jazda konna. Tylko najlepsi z Wyniesionych potrafią opanować je w takim stopniu, by przywdziać żółte szaty. A najlepsi z najlepszych trafiają do służby na książęcym dworze.

— I mimo to zawiedli?

Włożyła w to pytanie tyle obojętnej uprzejmości, ile mogła w tej chwili z siebie wykrzesać. Czyli niewiele. Ale mężczyzna nie wydawał się urażony.

— Zawiedli. Nie winię ich, nie przegrali w otwartej walce z ludźmi, tylko zostali pokonani przez podstęp i samą Travahen. — Uniósł garść piasku, zacisnął dłoń, patrząc, jak ziarenka przesypują mu się przez palce. — A z nią nikt jeszcze nie wygrał. Lecz oni winią siebie i zgodnie z tym, co nazywamy ludzką naturą, szukają kogoś, na czyje barki mogliby zwalić ten ciężar. Dlatego wszyscy schodzą im teraz z drogi. Wczoraj zachłostali na śmierć poganiacza wielbłądów, bo jedno ze zwierząt wyrwało się i uciekło poza ogrodzenie.

— Byłeś w tej rozbitej karawanie?

— Tak. Jedno, drugie, trzecie wyschnięte źródło… Kamienie i skały wokół, ludzie i zwierzęta słaniający się ze zmęczenia. Coraz mniej wody, łyk rano, łyk wieczorem. — Brzydka twarz truciciela skrzepła, pokryła się pęknięciami niczym wysychające błoto. — Nasi czarodzieje odebrali z dworu alarmujące wieści. Wracajcie natychmiast, mówiły. Nie wiedzieliśmy wtedy, że chodzi o starszego księcia… Musieliśmy iść na wschód, statki miały czekać na wybrzeżu, ale nie mogły oczekiwać na nas wiecznie. Oko Pani zawiodło, słonie wypiły resztkę wody…

— Trzeba je było zostawić.

— Zostawić słonie? Książęce słonie, potomków Białego Onowe? Pierwszego słonia, na grzbiecie którego Agara Czerwony przegnał demony z naszego świata? Widziałem, jak kornacy zużywali swoje porcje wody, by przemywać słoniom oczy i trąby. Nie, to było niemożliwe. Ale i tak na nic się nie zdało, bo gdy bandyci nas zaatakowali, zabili je jako pierwsze. Podcięli im ścięgna w nogach, przecięli tętnice i zostawili, żeby się wykrwawiły. Uderzyli czarami, a nasi magowie byli zbyt osłabieni pragnieniem, by sięgnąć do własnych Mocy. Rozpędzono te konie, które nam zostały, podpalono namioty, porwano księcia. Dobra robota.

— Bardzo przemyślna. — Deana zerknęła mu w oczy, napotykając w nich szczere rozbawienie.

— Oho, kolejna osoba uraczy mnie teorią na temat, kto stał za porwaniem. To oczywiste, że nie zrobili tego pustynni rabusie. I oczywiste, że zrobił to ktoś, kto ma dużo pieniędzy. Więc może księstewko Wahesi, może ci złodzieje pereł z Południowego Geghii, a może Wielki Książę Saher’len albo Obrar z Kambehii, któremu śni się tytuł Dziecięcia Ognia? Kto wie? Każdy z nich zyskałby wiele na chaosie w Konoweryn. Ale nie, moja droga, na razie nic nie wiemy, choć podobno schwytano kilku ludzi zamieszanych w zabójstwo starszego księcia. Więc jest nadzieja, że się dowiemy. Odpoczęłaś?

Pomógł jej wstać i poprowadził głębiej między namioty. Karawana była olbrzymia, liczyła co najmniej tysiąc ludzi, z czego połowę stanowili wojownicy w żółtych szatach. Najwyraźniej bezpieczeństwo księcia Laweneresa było teraz najważniejsze.

— Ciągle boicie się napaści?

Truciciel wzruszył chudymi ramionami.

— Też. Ale teraz Laweneres jest oficjalnie Dziecięciem Ognia, Wybrańcem Agara. Te tysiąc ludzi to najmniejsza karawana, jaka może mu towarzyszyć. Tu chodzi o prestiż… rozumiesz? Dlatego też przysłano nam słonie, bo książę nie może wjechać do swojego kraju w siodle jak byle pastuch. Ma podążać na grzbiecie słonia niczym Agar przepędzający ciemność. Tradycja, polityka, wyrachowanie. Nie można dać najmniejszych podstaw do podważania jego praw do tronu. Stąd opowieść o rozpaleniu ognia na nagiej skale i złoto-czerwony baldachim niesiony przez białego słonia. Lud musi od razu zobaczyć w Laweneresie władcę.

— A gdzie w tym wszystkim miejsce dla dziewczyny z plemienia Issaram?

Suchi spojrzał na nią, mrugając kpiąco jednym okiem.

— A słyszałaś już opowieść o młodym księciu, który jednym słowem okiełznał i oswoił dziką lwicę? Lwicę, która później obroniła go przed rabusiami?

Deana zamrugała, szczerze zaskoczona. Więc taką rolę przeznaczono jej w przedstawieniu, jakie najwyraźniej ma się rozegrać w trakcie powrotu młodziutkiego książątka do domu.

— Dostanę wysadzaną diamentami obrożę i własną klatkę? — wycedziła.

— Uch, moja droga, ileż jadu i złości w tych kilku słowach. Gdybym miał jakąś pustą buteleczkę pod ręką, zaraz bym ją napełnił. — Truciciel śmiał się z niej otwarcie, lecz, o dziwo, dłonie nie zaswędziały jej do szabel. — Pomogłaś księciu uciec z niewoli, zabiłaś bandytów, którzy ośmielili się podnieść dłoń na jego majestat. Możesz być tylko bohaterką, odzianą w szlachetność niczym dziewica w złoty jedwab. Ale jesteś też issarską kobietą, a wszyscy wiedzą, że Issarowie lubują się w przelewaniu krwi, nieważne jakiej, i że są barbarzyńcami, których boi się nawet potężne Imperium Meekhańskie. Więc będziesz lwicą oswojoną przez księcia, dzikuską, która poddała się jego boskiemu urokowi. Poza tym wiadomo przecież, że to książę w swej szlachetności najpierw ocalił ci życie, nie pozwalając, by bandyci zhańbili cię i zamordowali. W zamian ty przyrzekłaś mu wierność i służbę aż do śmierci.

Aż przystanęła.

— Co?!

— No, ten ostatni fragment jest jeszcze dyskutowany, Evikiat też jest za tym, by to pominąć. Mogłaś w końcu przyrzec służbę do momentu, kiedy książę powróci do domu. Posłańcy już kursują przez pustynię, nawet czarodziejskimi ścieżkami, a opowieść o waszych przygodach i cudownym ocaleniu krąży wśród ludzi. Tędy. — Skręcił za największy namiot. — Pomyśl, intrygi, napaści, porwania, książę w niewoli, walka, ucieczka, ocalenie dzięki mocy Pana Ognia… Cóż to będzie za opowieść!

Jęknęła cicho.

— Chyba mi niedobrze.

— To normalne po *cmanei*. O, już jesteśmy.

Gdy wyszli zza olbrzymiego namiotu, powitało ich grzmiące trąbienie. Deana patrzyła na stojące kilkanaście kroków od niej zwierzę, nie bardzo wiedząc, co właściwie widzi. Cztery pnie drzew podpierające olbrzymi głaz, do którego przymocowano mniejszy kamień z doczepionym, grubym jak męska noga wężem, dwoma olbrzymimi kłami sterczącymi w przód i uszami wielkości pawęży. Całość była… miała… człowiek dopiero po chwili uświadamiał sobie, że widzi jedno żywe stworzenie, a nie coś, co pijany Nieśmiertelny poskładał ze śmieci znalezionych w kącie swojego boskiego warsztatu. Ci, którzy twierdzili, że widoku słonia nigdy się nie zapomina, mieli rację.

— Jest… jest…

— He, he, he, szczerze żałuję, że nie mogę zobaczyć twojej twarzy, dziewczyno. Tak, jest piękny. Ponad wszelkie wyobrażenie piękny. To Maahir, prawnuk Mamy Bo. Ma zaszczyt być osobistym słoniem Laweneresa. Albo, jak utrzymują kornacy, książę ma zaszczyt jeździć na grzbiecie Maahira. W każdym razie nieźle się rozumieją, znają od lat, i tak dalej.

Spomiędzy kolumnowych nóg wyszła drobna, odziana w szarą szatę postać. Młody książę uśmiechnął się łobuzersko i pomachał im ręką. Wyglądał na absolutnie szczęśliwego.

— Właśnie widzę. Nie boicie się, że go rozdepcze?

— Kogo? Samiyego? Matka urodziła go, leżąc między słoniowymi nogami, wyrósł, huśtając się na trąbie, a Mama Bo uważa go najwyraźniej za własne potomstwo, bo pozwala wdrapywać się na grzbiet. Wierz mi, ten łobuz jest tu bezpieczniejszy niż dziecko w kołysce.

Deana poczuła, jak ziemia drży jej pod stopami, a w głowie coś pęka i wiruje.

— K…kim on jest?

— Samiy. Osobisty kornak i sługa księcia, właściwie sługa to nie najlepsze określenie. Kornak to ktoś, od kogo zależy życie wszystkich na grzbiecie słonia, więc Samiy jest trochę sługą, trochę błaznem, a trochę zaufanym księcia, no i oczywiście jego oczami. Może mu mówić po imieniu, pyskować i w ogóle, ale za to co on potrafi robić ze słoniami… Hej, dobrze się czujesz? Dziewczyno… Samiy, biegnij po…

Interludium

Kobieta podniosła na nich wzrok dopiero wtedy, gdy stanęli tuż przed nią. Minę miała taką, jakby zaskoczyło ją, że ktoś w ogóle mógł się zatrzymać właśnie w tym miejscu.

Yatech obrzucił okolicę spojrzeniem. Stragan tkwił pod ścianą w rogu wielkiego placu targowego i był częściowo zasłonięty przez inne stoiska. Za nim widać było wejście do budynku, który najwyraźniej pełnił funkcję magazynu i sypialni, bo za uchylonymi drzwiami dostrzegł wąskie łóżko i półkę z jakimiś paczkami. Potem spojrzał na towar. Tkaniny. Bele jedwabiu barwionego na dziesiątki kolorów, jasnych i żywych, jak pióra ptaków mieszkających w dżungli. W każdym innym zakątku świata byłoby to olbrzymie bogactwo, w tym mieście takie cudne materie leżały na małym straganie rzucone byle jak na kupę.

Ich właścicielka zapytała o coś w miejscowym języku, którego nie znał. Mała Kana odpowiedziała jej uprzejmie, oglądając materiały, unosząc je pod światło i podziwiając fakturę.

Nie zwracali na siebie uwagi, drobna dziewczyna w towarzystwie skromnie odzianej służącej i ich issarski strażnik. Spotkał w Konoweryn wystarczająco wielu swoich pobratymców, by taki widok nie wzbudzał sensacji. Na tę okazję założył *ekchaar* i przyjął pozę podejrzliwego barbarzyńcy, demonstracyjnie rozglądającego się wokół i muskającego dłońmi rękojeść miecza za każdym razem, gdy ktoś próbował zbliżyć się na pięć stóp do kobiet powierzonych jego opiece. Całe szczęście o tej porze, w samo południe, gdy słońce świeciło niemal prosto z góry, nawet na targowisku ruch zamierał. Ludzie szukali schronienia w grubych murach tutejszych winiarni, popijając chłodne napoje, tocząc batalie w jakieś tutejsze gry i leniwie plotkując.

Ta handlarka była jedną z niewielu, które wciąż tkwiły na swoim miejscu.

Być może nie stać jej było na wynajęcie kogoś, kto pilnowałby towaru w czasie, gdy ona będzie odpoczywała.

Yatech obserwował, jak Kanayoness gra swoją rolę przez dobry kwadrans i robi to z takim zaangażowaniem, jakby rzeczywiście zamierzała coś kupić. Przez ostatnie dni była inna. Wydawało się, że spotkanie w komnacie pełnej spadającego popiołu skierowało ją na nieco dłużej na drogę rozsądku i normalności.

Albo znalazła wreszcie cel, do którego dążyła i który angażował ją tak, że teraz nie pozwala już sobie na przebłyski szaleństwa. Stała się skupiona i jakby odleglejsza. Bez żadnych złośliwych komentarzy obserwowała ćwiczenia Yatecha z Iavvą, a jej polecenia były krótkie i konkretne. Żadnych monologów, żadnego obłędu wyglądającego z oczu. Cisza i spokój.

Nie sądził, że kiedykolwiek będzie się tym martwił. Ale teraz musiał przyznać sam przed sobą, że ta cisza była jednak niepokojąca.

Dziewczyna wreszcie postanowiła skończyć przedstawienie. Spoglądając z ujmującym uśmiechem na handlarkę, pokręciła głową. Tamta rozłożyła ręce w geście rezygnacji, najwyraźniej interesy od dłuższego czasu nie szły dobrze.

A potem Mała Kana odezwała się w innym języku. Bardziej szorstkim, gardłowym, pełnym znacznie krótszych słów i ostrzejszych dźwięków. Starsza kobieta pobladła, złapała się za pierś i cofnęła pod ścianę. Iavva już przy niej była. Już z troską podtrzymywała za ramię, już zasłaniała od widoku z placu targowego. Kanayoness podeszła z drugiej strony.

Dla postronnego obserwatora musiało to wyglądać na zwykłą scenę, handlarka poczuła się słabo w upale południa, więc te miłe dziewczęta jej pomogą. Wprowadzą do cienistego wnętrza ukrytego za drzwiami, napoją i pozwolą odpocząć, a issarski strażnik będzie strzegł jej straganu, rozglądając się groźnie wokół.

Nikt się nimi nie zainteresował.

Wyszły z budynku po dwóch kwadransach. Wystarczył rzut oka na twarz Małej Kany, by wyczuć ślad przemocy i bezwzględności. Iavva trzymała pod pachą coś, co wyglądało jak gruba na cal deska owinięta kilkoma warstwami materiału.

Żadna nie obejrzała się na stragan ani drzwi za nimi.

Sprawa zakończona.

Rozdział 15

Deana przebudziła się, od razu świadoma, gdzie jest, co się stało i skąd się tu wzięła. Jakby złośliwa ręka jednym ruchem zerwała z niej pled snu. W głowie miała wicher, potężną trąbę powietrzną, którą napędzał jej gniew i poczucie krzywdy.

Książę. Kłamca i oszust. Szalbierz i *bendorewas*. Krętacz i *kanerde'h*. Podły i bezduszny pomiot Mroku, któremu ocaliła życie.

Jak mógł to zrobić? Oszukał ją, zwiódł, podawał się za zwykłego sługę, by ją uwieść i…

Gdzieś w głębi duszy usłyszała cichy śmiech ciotki. Deana, możesz oszukiwać ludzi, ale na Łzy Pani, jeśli zaczniesz oszukiwać siebie, będzie naprawdę źle.

Nie uwiódł jej. Sama tego pragnęła, wtedy, w ostatnią, jak sądziła, noc swojego życia. Nawet gdyby od początku wiedziała, że jest księciem, i tak odpowiedziałaby na jego dotyk. Potrzebowała tego. Przez te kilka chwil byli tym, czym zawsze są kochankowie, ludźmi odartymi z fałszu pochodzenia, plemienia, różnic krwi. Ich bezbronność była całkowita, jakby zdjęli skóry i połączyli się za pomocą nagich nerwów. Kobieta i mężczyzna, którzy nawzajem ofiarowują sobie chwilę zapomnienia. Ale był księciem…

Księciem, który kazał wieźć ją setki mil przez pustynię.

To było ostrze, cierń, wokół którego nawijał się jej gniew. Mając tysiąc ludzi w karawanie, czarowników i lekarzy, książę mógł bez problemu odesłać ją w góry albo zostawić pod dobrą, najlepszą opieką w pierwszej napotkanej oazie. Ale nie, zdecydował, że jego – jak to było? – „ujarzmiona lwica" pojedzie na południe, jako ozdoba triumfalnego powrotu i kolejne zwierzątko w kolekcji. Tylko zamiast klatki z żelaznych prętów użył jedwabnych bandaży i tumaniących umysł mikstur podsuwanych ręką usłużnego truciciela.

Śmiech ciotki rozbrzmiał delikatną przyganą. Deana…

Tak. Nie ma się co oszukiwać. Suchi może i jest sługą księcia, ale są słudzy i sługusy. Na pewno nie podałby jej nic, co nie było niezbędne. Chyba że całkowicie pomyliła się w ocenie tego mężczyzny.

Podniosła się z posłania i omal nie krzyknęła. Był tam. Książę we własnej osobie. Siedział dwa kroki od jej posłania z taką miną, jakby nic się nie stało. Ludzie tacy jak on, powiedział, gdy się spotkali, potrafią być bardzo cicho.

— Lepiej się czujesz?

Nie odpowiedziała, rozglądając się po ścianach namiotu. Szukała zakłócenia w ruchu jedwabiu, cienia, szczeliny. Czegoś, co sugerowałoby obecność jakichś strażników. Niemożliwe, by po tym wszystkim miał dość odwagi, by przyjść tu bez eskorty.

— Suchi powiedział mi, że spotkałaś Samiyego. I że powiedział ci, kim on jest. Nie tak miałaś się tego dowiedzieć. Chciałem sam ci to wyjaśnić… w odpowiednim momencie. Porwali nas, potem nagle przywieźli ciebie, issarską kobietę. Dziwne, podejrzane, Issarów rzadko bierze się do niewoli. Obiecałem bandytom, że nie będą mieli ze mną problemu, jeśli cię nie skrzywdzą, ale i tak podejrzewaliśmy, ja podejrzewałem, podstęp, zatruty kwiat… Postanowiłem cię sprawdzić. Nie zdziwiłaś się, nie okazałaś zdumienia, gdy się przedstawiłem jako Omenar Kamujareh. Tak nazywał się jeden z moich nauczycieli. Uwierzyłaś mi. Czułem to w twoim głosie, w mowie twojego ciała, gdy cię dotykałem. Potem… nie było okazji, nie wiedziałem jak… Myślałem, że umrzemy. Chciałem, żebyś wtedy była ze mną, nie z księciem.

— To się nigdy nie wydarzyło — powiedziała spokojnie. — Sam tak mówiłeś. I lepiej o tym nie zapominaj. Naprawdę się za mną wstawiłeś?

— Tak. Jeślibyś naprawdę była issarską kobietą, twoje umiejętności mogłyby…

Przerwał, ale było za późno.

— Broń. Od początku widziałeś we mnie tylko broń. Twoją… oswojoną lwicę, tak? Jak w jednej z waszych bajek. — Deana zacisnęła pięści. — Czym jestem? Trofeum? Zamkniesz mnie w klatce i będziesz obwoził po ulicach?

Policzki mu trochę pociemniały, ale nagle uśmiechnął się kpiąco.

— Tylko jeśli będziesz tego chciała. A poza tym lew musi mieć pazury. Mówiłaś, że umiesz władać *talherami*.

Sięgnął za siebie i wyciągnął dwie szable w szerokich, zdobionych klejnotami pochwach. Kamienie wiły się wokół okuć, błyskając żółcią i czerwienią, jakby ktoś uwiesił tam magiczne płomienie. Barwioną na ciemny błękit pochwę ozdabiał utkany z maleńkich pereł wzór orła pikującego w dół. Rękojeści i jelce szabel wyłożono złotem i szmaragdami.

Nie sięgnęła po broń. To było takie… banalne.

— Uważasz, że kobietę Issaram też można udobruchać klejnotami? Tylko dla niepoznaki owiniętymi wokół kiepskiej imitacji broni?

— Oceń sama. Nie świecidełka, tylko to, co pod nimi.

Pozwoliła mu przez chwilę tkwić z podarkiem w wyciągniętej ręce, ale w końcu wspomnienie tego, jak stała bezbronna przed trójką książęcych gwardzistów, przeważyło.

Wzięła szable, wysunęła pierwszą z pochwy, by ocenić klingę, i zamarła. Na zastawie, tuż przy jelcu, stała słupka pustynna mysz, wygrawerowana w najdrobniejszych szczegółach. *Pyva*. Sprawdziła drugi *talher*. Jeśli jej mistrz się nie mylił, a o tej broni wiedział wszystko, *pyva* była właściwa. Ostrożnie wyciągnęła obie szable. Jasna stal, złamana w trzeciej części szerokości błękitnawą linią hartowania, obejmującą całe ostrze. Dwie strudziny, sztych ostry jak igła, z wyraźnie zaznaczonym piórem, grzbiet szeroki i gładki. Krzywizna biegła dwoma idealnymi łukami. Piękno w czystej postaci.

— Prawdziwe?

— Tak mnie zapewniał kupiec, od którego je nabyłem. To popularna broń, zwłaszcza na północy pustyni, ale i u nas wielu ją lubi. Podobno Waeryn t’Bolutaer robi tylko od sześciu do tuzina par rocznie, a za jego broń płaci się trzykrotną wartość wagi w złocie. Jest tego warta?

— Z pewnością. — Schowała jedno z ostrz do pochwy. — A ty? Ile zapłaciłeś.

— Niewiele. Olśniłem kupca książęcym majestatem. Będą dla ciebie dobre?

Deana wyciągnęła przed siebie drugi *talher*. Broń leżała w dłoni, jakby została wykonana na jej osobiste zamówienie.

— Tak. Tylko pochwy i rękojeści nie pasują.

— Bo je dorabiano oddzielnie. To miało być zamówienie dla jakiegoś kalehijskiego arystokraty, który pewnie trzymałby szable na ścianie, by raz

do roku, z okazji Święta Żaru, powiesić je przy pasie i pójść do świątyni. Myślę, że mistrz, który wykuł ostrza, wybrałby dla nich inny los.

O tak. Waerymn t'Bolutaer miał już podobno sześćdziesiąt lat i do tej pory zrobił niespełna dwieście par *talherów*. A każda z nich miała swoją historię. Podrabiano jego broń i znak Stojącej Myszy jak góry długie i szerokie, lecz jej nauczyciel, który znał starego mistrza, zdradził jej drobny sekret. *Pyvy* były dwie, obie na zewnętrznej części głowni, a znak na lewej szabli stanowił lustrzane odbicie tego z prawej. Jednak na ogonie prawej zawsze znajdowała się lekka skaza. Podpis mistrza. Większość fałszerzy starała się osiągnąć doskonałość, tworzyła perfekcyjne grawery i nie rozumiała tego prostego przekazu, że ideał jest zawsze poza zasięgiem człowieka.

— Tak. Z pewnością wybrałby inny los. Nie mogę ich przyjąć.

— Są twoje. — Książę wstał, wykonując gest, jakby coś od siebie odpychał, i nagle znikła gdzieś jego miękkość i swoboda, a Deana miała przed sobą władcę. — Nie obrazisz mnie odmową przyjęcia podarku. Możesz się boczyć i parskać, ale uratowałaś mi życie, a to oznacza, że jestem za ciebie odpowiedzialny. Obiecałem, że gdy tylko ruszą karawany, wyślę cię do domu z podarkami, które przyćmią wszystko, co widziałaś na oczy, i tak się stanie. Lecz na razie masz nabierać sił i zdrowieć. Będziesz moim honorowym gościem i wkrótce przyślę tu kobiety, by uszyły ci odpowiednie stroje. Możesz im pomóc lub ubiorą cię według własnego uznania. A teraz leż i odpoczywaj, bo za trzy dni ruszamy.

Wyszedł, zostawiając ją z na wpół otwartymi ustami i ciętą repliką, która zjawiła się dopiero, gdy poła namiotu opadła. Zgrzytnęła zębami.

Jak tak, to tak.

* * *

Ćwiczyła, gdy zjawiły się trzy kobiety – krawcowa i dwie młode niewolnice, których status określały jedwabne opaski na szyjach. Kolejne niewolnice, które Deana widziała na oczy, i musiała przyznać, że wyglądały na dobrze odżywione i zadowolone ze swojego losu. Jedna na dodatek była ciężarna, a gdy wyczuła, że wojowniczka patrzy na jej brzuch, pogładziła go delikatnie i uśmiechnęła się z dumą, więc ciąża raczej nie była owocem gwałtu czy przemocy.

Deana wiedziała, że na Dalekim Południu niewolnictwo jest powszechne, a plantacje przypraw, hodowle jedwabników, przędzalnie i tkalnie napełniające rok w rok książęce skarbce złotem istnieją tylko dzięki ich pracy. Wyglądało na to, że podobny los nie jest taki zły.

Krawcowa, szkielet odziany w za dużą zieloną suknię, zatrzymała się na środku namiotu i skinęła głową na ciężarną dziewczynę, która skłoniła się i wyszeptała:

— Książę nas przysłał… Książę rozkazał ubrać cię, pani.

— Meekhański? Kolejna osoba władająca tym językiem? Zaczynam podejrzewać, że jesteśmy w Imperium.

— Służyłam kiedyś u meekhańskiego kupca, pani. Nauczył mnie. Wielu kupców z Imperium mieszka w Konoweryn, a jeszcze więcej Meekhańczyków trafiło tu po wojnie z koczownikami.

To była prawda, wojna sprzed przeszło dwudziestu lat rozrzuciła setki tysięcy obywateli Imperium po połowie świata. Trafiali na Wielkie Stepy, a stamtąd wszędzie tam, gdzie kupowano niewolników. Albo użyźniali swoimi ciałami ziemię wzdłuż niewolniczych szlaków.

— W karawanie sporo ludzi mówi w meekhu, kupcy, przewod…

Warknięcie kobiety w zieleni zatrzymało ją w pół słowa. Dziewczyna wymieniła z krawcową kilka zdań, dygnęła i spojrzała na Deanę.

— Pani Gewersaya mówi, że mam gadać na temat i pyta, czy książę wyraził jakieś życzenia co do twoich strojów, pani.

— No pięknie, teraz będziesz zaczynać i kończyć każde zdanie panią? Powiedz naszemu… wieszakowi na ubrania, że sama pokażę wam, jakie to mają być stroje, sama dobiorę kolory i dodatki. A jeśli ona ośmieli się zmienić choć jeden szczegół… — *talher* wyskoczył z pochwy i znalazł się cal przed nosem starszej kobiety — to będę bardzo rozgniewana.

Skoro książę chce mieć na wpół oswojoną dzikuskę, będzie ją miał.

Wybieranie tkanin zajęło im kwadrans. Deana odrzuciła na ziemię wszystkie tęczowo kolorowe, malowane ręcznie jedwabie i batysty, wszystkie pastelowe, żółte, jasnoczerwone, błękitne, kobaltowe i szafirowe bele tkanin, za które w rodzinnej *afraagrze* większość kobiet dałaby się pokroić. Krawcowa wzdychała, przewracała oczami, rozkładała ręce i kazała przynosić coraz to nowe materiały. W końcu trafiły na coś, co kobieta ujęła w dłonie z taką miną, jakby podnosiła skórę zrzuconą przez węża – belę zwykłego, choć drobno tkanego płótna w kolorze kremowych skał oświetla-

nych purpurą zachodzącego słońca. Deana uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową.

— To.

Dobrały do materiału jeszcze kilka łokci białego sukna, osiem stóp zwykłego sznura służącego do wiązania zwierząt na wybiegu i – jedyne ustępstwo na rzecz lubiących kolory Konowerczyków – kilka barwnych wstążek.

Książęca krawcowa patrzyła na ten żałosny stosik z prawdziwą rozpaczą, ale Deana była bezlitosna.

— Do roboty!

* * *

Następnego dnia wyszła z namiotu, mając na sobie najprostszy *noasm* i narzuconą na wierzch *ta'chaffdę*, przewiązaną kawałkiem sznurka obszytego czerwoną wstążką. W ręku trzymała podarowane *talhery*. Kierowała się tam, skąd dochodził stukot młotów, zapach skóry i palonego węgla.

Kilkanaście namiotów rozłożyło się nieco na uboczu, by trwająca w nich praca nie przeszkadzała ważnym osobom. Byli tu szewcy, rymarze, kowale, piekarze, krawcy, zbrojmistrze. Żadnych jubilerów, handlarzy perfum czy ciastkarzy, tylko solidni rzemieślnicy, niezbędni do funkcjonowania tak wielkiej karawany. Deana z uznaniem obejrzała kolekcję szabel i mieczy rozłożonych na stojaku przed jednym z namiotów, po czym weszła do środka. Zbrojmistrz, czarny jak noc, powitał ją uważnym spojrzeniem spod gęstych brwi.

Położyła przed nim broń.

— Usuń to. — Przejechała palcem po kamieniach i perłach zdobiących pochwy. — Wszystko.

— Sakari?

— Tak. Sakari. — Żeby ją dobrze zrozumiał, podważyła paznokciem jedną z perełek i wyrwała. — Sakari.

Skinął głową, po czym musnął palcem ozdobioną rubinami rękojeść.

— Sakari hana?

— Tak. — Odszukała wzrokiem jedną z szabel o rękojeści obłożonej skórą rekina. — Zrób to tak. — Pokazała ręką.

Omiótł ją spojrzeniem i zapytał:

— Orgi? Sawenry? Muschi? Za…płata — dodał w meekhu.

Oczywiście musiał wiedzieć, z kim ma do czynienia, ale interes to interes. Wręczyła mu wydłubaną perełkę.

— Zapłata. — Wskazała na resztę ozdóbek.

To zapewne było więcej, niż mógłby zarobić przez pół roku, nawet gdyby obsługiwał tylko ludzi z otoczenia samego księcia. Przez moment wwiercał się w nią wzrokiem, po czym odwrócił się i znikł za przesłoną dzieląca namiot na pół. Po kilku chwilach wrócił z pudłem, z którego wydobył dwie nieskończone jeszcze, obszyte czarną skórą pochwy do *talherów*. Wyciągnął jej szable, zacmokał z uznaniem na widok *pyvy* i przymierzył broń do swojego dzieła. Pasowała niemal idealnie, kilka poprawek i nowe okucia, a całość stworzy wspaniały komplet.

Położył na jednym końcu ławy ozdobione klejnotami cacka, a na drugim czarne pochwy, i zaczęły się targi. W ich wyniku na własność Deany przeszła też para krótkich sztyletów, sierpowaty nóż w wysadzanej srebrem pochwie i dwa nowe, czarne pasy do *talherów*, a na dodatek spora sakiewka ze srebrnymi i złotymi monetami. Z pewnością trafiła na naprawdę uczciwego rzemieślnika.

— Jutro? — Wskazała dłonią słońce i zatoczyła ruch dookoła.

Uśmiechnął się, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

— Jutro.

Wyszła, zabierając sztylety, nóż i sakiewkę. Wymiana, która zadawala obie strony, to najlepszy handel na świecie.

* * *

Trzeciego dnia rankiem namioty spakowano i załadowano na wozy oraz grzbiety wielbłądów, osłów i mułów. Przewodnik karawany ustawiał wszystkich w odpowiednim szyku, oddziały odzianych w żółte szaty jeźdźców otoczyły oazę pierścieniem szerokim na pół mili, inni, spieszeni, ustawiali się w karnych kolumnach między wozami a stadami zwierząt. Czarownicy uwalniali Moc do ziemi i w powietrze, szukając oznak niebezpieczeństwa. Wymarsz książęcej karawany przypominał pierwsze ruchy niewielkiej armii rozpoczynającej kampanię.

Gdy ruszali na południe, prowadził ich olbrzymi słoń dźwigający szkarłatno-złoty baldachim, pod którym siedział mężczyzna o oczach zakrytych bielmem. Jego kornak poklepywał szarego giganta po głowie, szeptał mu

coś do ucha i najwyraźniej czuł się szczęśliwy jak nigdy. Ale i tak wszyscy zerkali na kobietę, idącą swobodnym krokiem kilka stóp od zwierzęcia.

Rdzawa szata sięgająca ziemi, ciemna zasłona na twarzy, dwa czarne pasy opadające na biodra, obciążone szablami w równie czarnych, szerokich pochwach. Swobodny krok. Wszyscy wiedzieli, że issarska kobieta ledwo kilka dni wcześniej wędrowała wieziona na wozie, zbyt słaba, by choć usiąść, lecz teraz najwyraźniej szykowała się do przebycia pieszo dwustu pustynnych mil.

Issarowie naprawdę byli żywotni jak *samaje*.

Ślepy mężczyzna przesunął się na przód siedziska i klepnął chłopca w ramię.

— Jak wygląda?

Wysłuchał opisu, zamyślonym ruchem pogładził brodę i uśmiechnął się zagadkowo.

— Czy jej strój coś znaczy? — zapytał młody kornak.

— Owszem. Czarne pasy szabel, prosta szata. Mówią mniej więcej tyle: jestem pielgrzymem, nie przeszkadzaj mi w wędrówce. Język barw jest dla Issaram bardzo ważny. Czerwień oznacza niewinność, błękit żałobę, biel śmiertelne niebezpieczeństwo, żółty odnalezienie własnej ścieżki w życiu. Natomiast czarne pochwy *talherów* mówią: nie chcę twoich podarków, uraziłeś mnie, jestem dumna i wściekła. To wiadomość w uniwersalnym języku kobiet.

— Powinienem się nauczyć tych języków. Tak jak ty.

— Issarskiego mogę cię zacząć uczyć choćby zaraz. Drugiego niestety ani ja, ani żaden inny mężczyzna nigdy nie poznał do końca. — Uśmiech ślepca był nieodgadniony jak pustynia. — Przekaż Evikiatowi, że dziś zrobimy dłuższą przerwę południową. Zaczniemy godzinę wcześniej niż zwykle i wyruszymy godzinę później.

— Nie będzie zadowolony, ciągle każe się spieszyć.

— Nieważne. Jeśli ona z wyczerpania straci przytomność, my stracimy dwa dni, a nie dwie godziny. A wierz mi, moja znajomość języka kobiet wskazuje, że teraz musielibyśmy ją związać, by znalazła się na grzbiecie jakiegoś zwierzęcia.

Książę wrócił na swoje miejsce, nalał sobie wina i uniósł kubek w toaście.

— Za podróż. I kłopoty z tłumaczeniami.

Rozdział 16

Żagiel załopotał i zgasł, straciwszy wiatr. Naywir sprawnie go zrefował, a Domah przesunął się na dziób, by wyskoczyć i wciągnąć łódź na brzeg. W tym miejscu odpływ odsłonił wąski kawałek plaży, mieli więc szansę na spędzenie nocy na stałym lądzie, a nie jak poprzednio w rozkołysanej łupinie milę od brzegu.

Amoneria była wyjątkowo niegościnna dla statków. Tylko ujścia rzek i okolice Kamany sprzyjały żeglarzom, reszta plaż wyglądała jak tutaj, stromy klif i wąski pasek kamienistego gruntu regularnie zalewany i odsłaniany w rytm przypływów i odpływów oceanu. To była jedna z przyczyn izolacji wyspy. Z drugiej strony, jeśli ktoś miał odrobinę determinacji i solidną linę, na klify dało się wspiąć, więc opłacało się korzystać z morskich szlaków dookoła wyspy.

Zacumowali i po chwili bezowocnego poszukiwania suchego kawałka gruntu postanowili spędzić noc w łodzi. Lepsze to niż kolejna noc żeglowania w ciemności, a Altsin nie ufał swoim umiejętnościom aż tak, by ryzykować spotkanie z podwodnymi skałami.

Łódź miała dwadzieścia cztery stopy długości, prawie osiem szerokości i była typową dla tych wód rybacką krypą, solidną, ciężką, zaopatrzoną w trójkątny żagiel i porządny ster. Wypożyczenie jej zapewne sporo kosztowało, ale skoro przeor mógł w ten sposób szybko i bez rozgłosu pozbyć się swojego „problemu”, to zapewne cena nie grała roli. Poza tym złodziej nie zdziwiłby się, gdyby starzec wystawił za to rachunek Radzie Kamany.

Całe szczęście ów „problem”, którego pozbywano się z miasta, nie sprawiał im kłopotów. Co prawda minęło prawie dziesięć dni od rozmowy z Enrohem, zanim dziewczyna nabrała sił na tyle, by sprostać trudom podróży, ale dzięki temu był z niej pożytek na pokładzie. Razem z Naywirem wciągała żagiel, pomagała sprzątać pokład, a nawet potrafiła zasiąść za sterem i trzymać łódź na kursie, kierując się położeniem słońca. Ale poza tym zachowywała dystans. To znaczy zarekwirowała dla siebie cały dziób

łodzi, zaznaczając granicę nożem wbitym w ławkę, odzywała się półsłówkami, i to tylko wyraźnie pytana, i spędzała większość czasu ze wzrokiem wbitym w przesuwający się za lewą burtą brzeg.

Co zdumiewające, najbardziej swobodnie zachowywała się w pobliżu Domaha, jakby olbrzym był jej dobrotliwym wujkiem. Raz czy dwa razy nawet odezwała się do niego pierwsza, choć to, że on nie znał jej języka, a ona nie mówiła po meekhańsku, ograniczało ich rozmowy do kilku mruknięć i uśmiechów bardziej nawet niż ślub milczenia, który wciąż wiązał zakonnikowi usta.

No cóż, zazwyczaj wystarczy, że ludzie nie próbują się pozabijać.

Jeśli chodzi o żeglowanie, obaj mnisi okazali się pojętnymi i pilnymi uczniami. Od tej strony Altsin nie przewidywał większych kłopotów z dotarciem na Półwysep Conhtyjski. Jutro, najpóźniej pojutrze miną ujście Maluaryny, a dwa dni później powinni dotrzeć do ziem Uwerunków. Tam wysadzą dziewczynę i zawrócą, a ponieważ z powrotem będzie ich wspierał morski prąd, droga powinna im zająć dzień mniej niż żegluga na południe. Do tego sprzyjała im pogoda, było ciepło, w Kamanie niektórzy twierdzili, że to najcieplejsza wiosna od wielu lat. Aura była niemal letnia, deszcze nie padały, a ocean nie smagał wyspy zwyczajowymi sztormami.

W sumie mieli przed sobą miłą wycieczkę.

Zanim położyli się spać, obejrzał klif. Wysoka na sto stóp ściana nie kryła żadnej ścieżki, która mogłaby do nich przywieść nieproszonych gości, niemniej postanowił, że będą trzymać warty. Dłuższy kawałek liny potrafi zastąpić skrzydła, a miejscowi mogliby poderżnąć im gardła, zanim zorientowaliby się, że mają do czynienia z mnichami. A na pewno zrobiliby to, jeśliby odkryli, że jeden z „braci” to dziewczyna zza rzeki. Prawda wyglądała tak, że uwzględniając skomplikowane plemienne relacje między Seehijczykami, Ynao będzie bezpieczna dopiero w swoim własnym klanie.

Altsin wziął pierwszą wartę, świadomy, że na razie i tak nie uśnie. Na morzu, jak zwykle, to, co dręczyło go od czasu tej nieszczęsnej wyprawy do Świątyni Miecza, wyciszało się i milkło. Może sprawiała to ciężka praca, potrzeba obserwacji wiatru, żagla, steru, nadchodzących fal, nieustanna koncentracja i skupienie, przez które był zbyt zmęczony, by myśleć o własnych lękach. A może obcowanie z bezkresem, jakim był ocean, nawet półboski byt wpędzało w zdumienie. Gdyby istniała pewność, że tak będzie zawsze, Altsin zaciągnąłby się na statek i nie schodził z niego przez lata.

Ale ostatnia taka próba nie skończyła się dobrze, poza tym to byłoby tchórzostwo, odsunięcie problemu. Ten sukinsyn nie miał prawa dłużej przebywać w jego głowie. I lepiej, żeby to szybko zrozumiał.

Ale teraz chodziło o coś innego.

Odkąd znaleźli się w łodzi, miał silne, coraz silniejsze poczucie straty, połączone z narastającym podskórnym lękiem. Owszem, nagłe emocje i pragnienia nie atakowały go już niespodziewanie, a zamiast tego czuł się jak człowiek ubrany w wiele warstw mokrej odzieży, która z każdym ruchem wysysa z niego energię. Jednak wciąż nie potrafił skonkretyzować źródła tego lęku, poza tym, że w jakiś nieokreślony sposób jest on związany z wyspą. I to nie z mityczną Doliną Ouma, choć strach przed jakimś plemiennym, lecz bez wątpienia potężnym bożkiem byłby zrozumiały u niepełnosprawnego *awenderi*. Nie. Chodziło o wyspę jako całość.

W sumie po raz pierwszy oddalił się tak znacznie od Kamany, a ona była zbyt… kontynentalna, aby wyraźnie ujrzeć prawdziwą twarz Amonerii. Teraz ją dostrzegał, a raczej teraz wyczuwał ją ukryty w nim byt i… bał się? Bał się… ludzi? Seehijczyków? Altsin odszukał wzrokiem tobołek leżący na dziobie. Dziewczyna nie wzbudzała w Reagwyrze lęku, a jednak…

Stop. Stop…

Nabrał i wypuścił powoli powietrze. To do niczego nie prowadzi, takie rozważania, szukanie wyjaśnień, próba interpretacji cieni, smug lęków i odprysków emocji istoty tak potężnej jak Bitewna Pięść Pana Bitew. To tak, jakby na podstawie smrodu cudzego bąka spróbować zgadnąć, o czym jego sprawca myślał, jedząc kolację.

Uśmiechnął się. Tak. Żart zawsze pomaga. Dopóki nie opuści go poczucie humoru, dopóty ma szansę. Ludzie, którzy nie potrafią żartować, padają na kolana przed każdą napotkaną potęgą i w trwodze czekają, co przyniesie im los. Altsin miał dziesięć lat, kiedy wziął swój los we własne ręce, i do tej pory go nie puścił, a jeśli Eyfrze się to nie podoba, to może złożyć swój boski pocałunek na jego tyłku.

Sprawdził godzinę po gwiazdach. Jeszcze chwila i obudzi Domaha, a sam spróbuje się zdrzemnąć. Musieli odpłynąć przed świtem, zanim ocean zakryje plażę.

* * *

Kolejną noc spędzili w łodzi jakieś pół mili od brzegu, na którym płonęły ogniska, a dzikie postacie tańczyły wokół nich w rytm muzyki, która nawet z tej odległości drażniła uszy kakofonią piszczących, nieprzyjemnych dźwięków. Najpewniej na klifie rozłożyła się *ka'hoona* – grupa młodych wojowników, bezżennych i mających ograniczone prawa do dziedziczenia majątku po rodzicach.

Zazwyczaj tworzyli ją czwarci, piąci i późniejsi synowie, czasem też wyrzutki klanu, potomkowie tych, którzy za jakieś przewinienia zostali z niego usunięci. Takie niewielkie oddziały, liczące od kilkunastu do kilkudziesięciu wojowników, istniały na całej wyspie i stanowiły podstawę lekkich sił każdego plemienia, oszczepników, łuczników i zwiadowców. I to one podtrzymywały nieustannie tlącą się wojnę.

Dla tych młodzików, niedziedziczących nic poza bronią i ubraniem, jedyną szansę na wybicie się stanowiły łupy i wojenna sława. Rajdy dokonywane na terytorium sąsiadów, porywanie zwierząt, kobiet i dzieci, chwytanie jeńców, którzy umierali później dla chwały swoich pogromców, były jedynym sensem ich istnienia. To Naywir doradził spędzenie nocy na morzu. Nawet stado wściekłych psów jest mniej niebezpieczne niż grupa podpitych młodzików, podjudzających się nawzajem do okazania odwagi i męskości, mówił, spoglądając z obawą na brzeg.

Altsin zgadzał się z nim, w Ponkee-Laa też tworzyły się takie grupy, głównie wśród młodocianych uliczników. Wystarczyła chwila, nieodpowiednie słowo lub spojrzenie, by dla zabawy zatłukli kogoś na śmierć, a starcia między bandami takich wyrostków były krwawsze i bezwzględniejsze niż wojny między złodziejskimi gildiami, gdzie przynajmniej obowiązywały jakieś zasady. Jak widać, prawa rządzące ludźmi są takie same bez względu na to, z jakiego kraju się wywodzili.

Podzielił się tym spostrzeżeniem z młodszym mnichem, na co został uraczony opowieścią o bandach wiejskich parobków, walczących ze sobą w imię honoru swoich osad, o rywalizacji między czeladnikami różnych cechów, często kończącej się połamanymi kończynami, a nawet śmiercią, oraz o bandach kibiców w różnych miastach Imperium, które dzieliły się na frakcje i potrafiły wywołać zamieszki pustoszące całe dzielnice. Ci ostatni ucichli nieco po wojnie z koczownikami, gdy cesarz nakazał wśród nich bezwzględny pobór, argumentując, że skoro lubią walczyć, to Meekhan nie

znajdzie lepszych obrońców. A wszystkie te grupy łączyło to, że niemal w całości składały się z młodych mężczyzn, którzy nie mieli żon ani dzieci.

Zagadanie do brata Naywira przypominało niekiedy wybicie dziury w tamie.

Ale uwzględniając, że Ynao odzywała się półsłówkami, a Domaha wciąż obowiązywał ślub Martwych Ust, Altsin jakoś to znosił. Lepszy dziki słowotok niż ponure milczenie.

Ognie na brzegu pogasły około północy. Złodziej zastanawiał się, czy ta *ka'hoona* świętowała zakończenie jakiegoś rajdu, tańcem i śpiewem opłakując swoich poległych, czy też szykowała się dopiero na wyprawę. Tak czy inaczej, tej nocy również trzymali wartę, bo choć pół mili od brzegu powinni być bezpieczni, to lepiej nie kusić losu.

Kolejnego dnia w południe minęli ujście Maluaryny. Zaskakująco wąskie i niegościnne. Wieści przekazywane przez mnichów wędrujących na południe mówiły, że ma ona gdzieniegdzie prawie pół mili szerokości, natomiast jej gardziel zwężała się nagle do jakichś trzystu jardów, co sprawiało, że rzeka nie tyle wpadała, ile wystrzeliwała w ocean z prędkością górskiego strumienia. Jej wody były mętne i brązowawe, więc łódka wpłynęła nagle z ciemnej zieleni na burą szarość i natychmiast, pchana silnym prądem, zaczęła być odpychana od wybrzeża. Nic dziwnego, że nikt nie próbował wykorzystać tego miejsca do budowy portu, nawet dwustuwiosłowa galera nie zdołałaby wpłynąć w gardziel Maluaryny.

Altsin pozwolił się ponieść rzece jeszcze milę w głąb oceanu, zanim powoli skierował dziób ku brzegowi. Wiatr mu sprzyjał, ale i tak upłynęło pół dnia, nim zbliżyli się znów do lądu.

Spojrzał kątem oka na dziewczynę. Siedziała przy maszcie i po raz pierwszy, odkąd opuścili Kamanę, uśmiechała szeroko. Jakby minięcie ujścia zdjęło jej z twarzy niewidzialną maskę. Do półwyspu mieli jeszcze ze dwa dni drogi, ale teraz, przynajmniej dla niej, płynęli wzdłuż „swojego" wybrzeża. Tutejsze klany mogły być wrogie wobec Uwerunków, ale była to wrogość znana, niepodszyta wściekłą nienawiścią, jaka dzieliła północ z południem. Istniała spora szansa, że nawet jeśli dziewczyna zostanie teraz odkryta, autorytet Enroha i mnichów Wielkiej Matki ją ochroni.

Altsin uśmiechnął się do niej i mrugnął porozumiewawczo. Zdumiewające, ale nie fuknęła ani nie błysnęła mu nożem w oczy, tylko podeszła i usiadła obok.

— Przepraszam — powiedziała po meekhańsku.

Zerknął na nią, zdziwiony.

— Podobno nie znasz meekhu.

Przeszła na seehijski.

— Nie znam, on mnie nauczył tego słowa. — Wskazała Naywira.

— Po co?

— Bo w moim języku go nie ma. Nie ma słowa, które można powiedzieć, gdy zrobiło się coś złego, skrzywdziło kogoś i należy prosić o wybaczenie, bez ujmowania sobie honoru. My możemy to robić, błagać o darowanie win, ale zawsze wiąże się to z utratą czci. Ten, kto przyznaje się do błędu, traci twarz. Lepiej zginąć. — Westchnęła. — Nie mamy słowa przepraszam, trudno nam prosić o wybaczenie, a zamiast dziękuję, częściej mówimy „nie zapomnę ci tego”, co brzmi jak groźba.

— Dużo rzeczy jest u was na opak.

O dziwo, odpowiedziała uśmiechem.

— Tak. Mojego ojca nazywają Mała Pięść, bo jak zaciśnie pieść, to jest taka. — Rozsunęła dłonie na szerokość mniej więcej ośmiu cali. — Do tej pory opowiadają, jak dwoma ciosami zabił trzech wojowników z plemienia Wyrwyrów.

— To musi być niezła historia.

— Tak. — Ynao pokiwała głową, ale nie wyglądała na chętną do opowiadania.

Altsin nie nalegał, mimo że cisza powoli stawała się niezręczna.

— Słowo przepraszam nie jest złe — zagaił, żeby podtrzymać rozmowę.

— Nie. Tylko trzeba je znać. Wasza bogini, Wielka Pani, mówi, że ludzie popełniają błędy, bo taka ich natura, więc jeśli ktoś chce się poprawić i prosi o wybaczenie, powinno mu być udzielone bez żadnego uszczerbku na honorze.

Hm. Dziesięć dni w klasztorze. To wiele wyjaśniało.

— Przeor rozmawiał z tobą, gdy nabierałaś sił, prawda?

To było podobne do Enroha, katować bezbronną dziewczynę religijnymi opowieściami.

— Tak. Codziennie. Przepraszam to potężne słowo, można je powiedzieć, gdy stłukło się gliniany kubek i gdy zabiło komuś ojca. I zadziała.

No cóż, chyba jednak nie wszystko zrozumiała tak, jak mnich by tego sobie życzył.

— Wiesz, gdyby to słowo zawsze działało, nie mielibyśmy wojen, porachunków, zemst, rzezi i mordów na kontynencie.

— Wiem. — Pokiwała głową i uśmiechnęła się nieśmiało. — Ojciec przeor mówił, że przepraszam to potężne słowo, ale jest jak nóż, którego nie można ostrzyć…

Ech, te religijne przenośnie.

— To znaczy?

— Im częściej go używamy, tym bardziej się tępi i gorzej działa. Prawdziwą sztuką jest żyć tak, by nie musieć go co chwilę powtarzać.

Złodziej zamarł z dłonią zaciśniętą na rumplu tak, że drewno aż zatrzeszczało. A potem zgięło go wpół, potężnie, jakby czterokonny zaprzęg usiłował poderwać go z ławki, szarpnięty ster obrócił łódkę bokiem do fali, dziewczyna krzyknęła krótko, siedzący przy maszcie Naywir uchylił się, robiąc unik przed przelatującym bomem, żagiel zatrzepotał, gubiąc wiatr… Domah poderwał się i ruszył ku Altsinowi z niepokojem wypisanym na twarzy.

A on widział to i nie widział jednocześnie. Nie mógł widzieć, bo miał zamknięte oczy, a jednocześnie widział… wiedział, co się dzieje na łodzi, dzięki jakimś zmysłom, których nie potrafił nawet nazwać. Widział, jak Naywir przeskakuje nad nim i łapie za ster, ustawiając ich dziobem do fali, jak Domah podnosi go łagodnie i układa na stercie pledów obok masztu, a dziewczyna… widział jej twarz… już wcześniej… taki układ oczu, nosa i brwi. I te słowa, które padły. Nie musieć co chwila przepraszać… Nie musieć co chwila… Nie muszę… nie będę… Zostań ze mną… możesz stąd odejść… nie musisz… nie będę… przepraszam…

Przepraszam.

Czuł go. Każdym nerwem, każdą cząstką ciała. Reagwyr, fragment jego duszy, który uzyskał samodzielność i nie był już Reagwyrem, budził się i rozglądał. Był jak… motyl próbujący wyjść na świat. Co zostaje z poczwarki, gdy motyl rozprostuje skrzydła?

Nie.

Nieeeee!

Wygiął się, waląc potylicą o burtę. Z ust pociekła mu ślina, oczy odwróciły się do wewnątrz. Nie. Chcesz, to walcz, aż rozszarpiesz to ciało na strzępy, ale nie Obejmiesz mnie.

No już, sukinsynu! Dawaj!

Zaczęły trząść nim drgawki i nagle rozległ się najbardziej przerażający dźwięk, jaki usłyszał w życiu. Jakby ktoś próbował upiec w miedzianej rurze kilka żywych kotów naraz.

To ja, prawie się zdumiał. To moje gardło wydaje te odgłosy. Dziwne, bo od dłuższej chwili nie oddycham. Przerażająco jasne i spokojne myśli. Poczuł na twarzy i w ustach krew.

A potem coś uniosło go w górę i unieruchomiło. Szarpnął się, a raczej coś nim szarpnęło, ale równie dobrze mógłby próbować się wydostać spod kila pełnomorskiego statku.

Świat zaczął się kręcić, obrócił kilka razy wokół osi i zapadł w otchłań.

* * *

Ocknął się w łodzi, przykryty pledem, a mimo to zmarznięty na kość. Telepało nim na wszystkie strony, w uszach szumiało, a usta wypełniała jakaś gorzka maź, gęsta niczym okrętowa smoła.

Nie poruszył się.

Nad sobą miał rozgwieżdżone niebo, a w głowie małe morze, rozszalałe i burzliwe; świat nadal wirował. Co się stało? Co właściwie zaszło?

Odkaszlnął i splunął. Potem jeszcze raz. Mocniej.

Ktoś znalazł się przy nim, pomógł usiąść, przyłożył do ust naczynie z gorzkawym płynem.

— Nie pytaj, co to takiego — głos Naywira zaszeleścił mu przy uchu. — Ynao nazbierała jakichś ziół na tej wysepce i twierdzi, że cię nie zabiją. Poza tym sama wypiła trochę tego wywaru.

Przełknięcie kilku łyków zmęczyło złodzieja bardziej, niż gdyby własnoręcznie wiosłował tu aż z Kamany. Odetchnął i pokręcił głową, że już dość.

— Co się stało? — zachrypiał.

— Myślałem, że ty nam powiesz. Miałeś jakiś atak, Domah ledwo mógł cię utrzymać, a ty prawie udusiłeś się własną krwią. Paskudnie to wyglądało.

Altsin rozejrzał się. Kamienista plaża, jakieś wzniesienie zaraz obok, coś, co mogło być albo uschniętym drzewem wczepionym w jego szczyt, albo wyjątkowo chudym olbrzymem zaopatrzonym w wielki garb.

— Gdzie jesteśmy?

— Na małej wysepce jakąś milę od wybrzeża. Pół dnia płynęliśmy, szukając miejsca na bezpieczny nocleg. Mogliśmy przybić wcześniej, ale postanowiliśmy nie ryzykować spotkania z miejscowymi. To klany Wyrwyrów, a oni nie lubią Uwerunków. Ja mówię słabo po seehijsku, Domah wcale, a Ynao pewnie od razu wzięliby do niewoli. W końcu udało nam się zaleźć tę wysepkę, więc postanowiliśmy, że zanocujemy tutaj i spróbujemy cię postawić na nogi.

Potrzebował chwili, by zrozumieć, co to właściwie znaczy. Wysepka, kawałek skały daleko od Amonerii, jest noc, a w nocy nikt nie pływa wokół wyspy, jeśli absolutnie nie musi, więc to chyba bezpieczne miejsce. Gorący napar.

— Rozpaliliście ognisko — stwierdził.

— Maleńkie, w jamie wygrzebanej w ziemi po zasłoniętej wzniesieniem stronie wysepki. Trudno ugotować coś bez ognia.

— Gdzie reszta?

— Po drugiej stronie. Tam nie było miejsca, żeby cię położyć. Dasz radę iść?

To było bardzo długie i wyczerpujące trzydzieści kroków i Altsin chyba nie podołałby, gdyby nie Domah, który wyrósł w ciemności niczym kawał żywej skały, po czym podniósł go i posadził na kamieniu przykrytym pledem.

— Dziękuję.

Skinięcie głową musiało mu wystarczyć za odpowiedź. Rzucił okiem na prowizoryczne obozowisko, dziurę w ziemi wciąż oddychającą dymem, kilka mniejszych i większych głazów pełniących funkcję siedzisk oraz kamienną ścianę za plecami olbrzyma.

— Jak rozumiem, dzisiaj też nocujemy w łodzi? — zagaił.

Ynao wyłoniła się zza pleców Domaha i podała złodziejowi miskę z cynową łyżką. Jego kubki smakowe rozpoznały jakieś rozgotowane mięso i papkę z sucharów. Może być.

— Jesteś chory — stwierdziła obojętnym tonem.

Nie spodobał mu się ten ton. Enroh nigdy nie wspominał, jakie przesądy i uprzedzenia mają Seehijczycy wobec ludzi chorych na dziwne przypadłości, ale gdy dotrą na miejsce, jedno słowo dziewczyny może zdecydować o jego życiu lub śmierci.

Potem wyczuł wlepione w siebie spojrzenia mnichów i zrozumiał, że nie tylko ją będzie musiał okłamać.

— Tak. Jestem. — Ostrożnie nabrał kolejną porcję papki i wsunął do ust. Jego żołądek, o dziwo, nie buntował się zbytnio.

— Długo?

Najlepsze kłamstwo to takie, które ma piwnicę, ściany, a nawet dach zbudowane z prawdy.

— Od kilku lat. — Przełknął, oblizał łyżkę i wbił ją w potrawkę.

— Zawsze tak jest? Rzuca tobą, wymiotujesz, krwawisz z nosa i uszu?

— Nie. Pierwszy raz miałem taki atak.

— Więc twoja choroba się nasila?

— Tak.

Seehijka patrzyła na niego uważnie i milczała. Wiedział, jakie pytanie padnie, nim otworzyła usta.

— Czy tym można się zarazić?

— Nie. — Wygrzebał z miski kawałek mięsa, wsunął do ust. — To choroba głowy. Nie zaraża.

Nieźle. Odpowiedział na wszystkie pytania i ani razu nie skłamał. Piwnica jak się patrzy. I doskonale wiedział, o co dziewczynie chodzi. O wierności, jaką Seehijczycy wykazywali w stosunku do własnego klanu, krążyły legendy. Ynao prędzej zatopiłaby łódkę, niż przywlekła do swoich jakąś epidemię.

— On mówi — drobna dłoń wskazała na Naywira — że w klasztorze nie chorowałeś.

Myśl, ponaglił się, myśl, durniu.

— W Kamanie… potrafiłem przewidzieć atak. Czułem metal w ustach, słyszałem dziwny szum, czasem widziałem podwójnie. Wtedy uciekałem… zamykałem się w komnacie, przywiązywałem do łóżka i zaciskałem zęby na kawałku rzemienia. Nikt nie wiedział. Na łodzi… Trudno uciec. Poza tym nie miałem objawów od miesiąca i sądziłem, że wytrzymam dłużej.

Dziewczyna spojrzała pytająco na młodszego mnicha.

— Tak. Brat Altsin… znikał wiele razy. Nic nie mówił. Odchodził bez słowa.

Seehijski Naywira był ubogi, ale to nawet lepiej. No i uniki Altsina znalazły proste, logiczne wyjaśnienie. Kto by pomyślał, że tak się przydadzą. Gmach kłamstwa miał już ściany.

— Wiesz, skąd ta choroba?

Altsin wzruszył ramionami, wpakował pełną łyżkę do ust i uśmiechnął się w myślach. W sumie dlaczegóż by nie? W końcu prawda jest cenniejsza od złota.

— Spotkałem na kontynencie jedną z waszych wiedźm i odtąd mam tę przypadłość. Nie wiem nawet, czy zrobiła mi to świadomie, czy przypadkiem. Szukam jej, by poprosić o pomoc. Inaczej umrę.

I dach. Budowla zakończona, a on tak naprawdę nie skłamał.

Ynao milczała.

— To wiedźma z północnego plemienia?

— Tak.

— Nie pomoże ci. One są najgorsze. W bitwie miotają zaklęcia, które odbierają ludziom rozum, i śmieją się, gdy ci rzucają się na własne miecze. Powinieneś szukać pomocy gdzie indziej.

— Szukałem. Nikt nie potrafił mnie uleczyć, dlatego liczę jeszcze na nią. Nie rozstaliśmy się jak wrogowie.

Chyba się uśmiechnęła, choć w półmroku mógł się mylić. No tak, sprawa miała się tak jak z Cetronem. Gdyby seehijska wiedźma uznała go za wroga, najpewniej byłby już martwy.

Wszyscy patrzyli, jak złodziej je. Napięcie, jakie wyczuwał wcześniej, wyraźnie zelżało.

— Zanocujemy tu, ale będziemy spać w łodzi — Naywir przerwał ciszę. — Jest wygodniej. Odpłyniemy rankiem.

Altsin opróżnił miskę i podał dziewczynie. Wzięła bez słowa i usiadła obok Domaha.

— Pływałaś po tych wodach wcześniej?

— Czasami. Przy tutejszym brzegu są dobre łowiska. Wyrwyrowie nas nie lubią, ale bardziej nie lubią morza. Ich wybrzeże nie ma ani jednego miejsca, gdzie można przybić łodzią, więc nie są dobrymi żeglarzami.

— A u was? Będziemy mieli cię gdzie wysadzić?

— Jest kilka zatoczek. Głębokich i bezpiecznych. Pokażę drogę. Będziemy tam pojutrze, jeżeli nie…

— Nie będę miał ataku?

— Tak. — Posłała mu spojrzenie, które mogło oznaczać wszystko, od niemego zapytania po ostrzeżenie.

— Nie wiem, czy to się powtórzy, czy nie. — Otulił się szczelniej pledem. — To był pierwszy tak silny…

— Mówiłeś już. Jeśli poczujesz, że się zbliża, powiedz. Ostatnio o mało nie wywróciłeś łodzi.

Skinął tylko głową, nieco rozbawiony. Jak, do licha, doszło do tego, że przyjmuje polecenia od seehijskiej smarkuli?

Bez większych ceregieli zebrali wszystkie rzeczy i poszli spać, tym razem rezygnując z wart. Ynao zapewniła, że nocami nikt nie pływa wzdłuż wybrzeża, więc ten skalisty pryszcz na obliczu oceanu, najpewniej niemający nawet własnej nazwy, był najbezpieczniejszym miejscem w okolicy.

Altsin obudził się pierwszy. Przez chwilę leżał, obserwując Amonerię na tle jaśniejącego nieba. Wyspa była wielkim czarnym lewiatanem wyłaniającym się z mroku, prastarym olbrzymem, porośniętym szczeciną borów i puszcz, płaczącym strumieniami rzek i chuchającym mglistym oparem na świat. Nic go nie obchodziły stworzenia, które od kilku tysiącleci zamieszkiwały jego powierzchnię, za nic miał ich tragedie, bohaterstwo, honor, podłość czy szlachetność. Pewnego dnia olbrzymowi przyjdzie chętka na obmycie twarzy w morzu, a wtedy skończy się era ludzi na Amonerii.

W tym momencie poczuł ukłucie niepokoju. Czy ja naprawdę miałbym takie skojarzenie, patrząc na kontur wyspy wycinany z nieboskłonu nożycami słońca?

Po wczorajszym ataku nie miał jednak siły się zamartwiać, więc przekuł złość w lekkie, leciuteńkie rozbawienie. To ty czy ja? Twoja czy moja fantazja? Jak mam to rozróżnić? Ale skoro jest dla mnie taka naturalna i oczywista, to jakie to ma znaczenie? Jeśli zacznę robić uniki przed każdą myślą, która nie wyda mi się własna, skończę jako szaleniec ścigający nawet nie samego siebie, lecz własne wyobrażenie o tym, kim jestem naprawdę. Cień marzeń o sobie samym. Obłęd.

Jeszcze dwa dni i wracamy. A potem… lepiej żeby Enroh dotrzymał słowa.

Złodziej uniósł dłoń i zamarł, wpatrzony w obrzmiałe, podbiegłe czernią stawy. Nie bolało. Nic a nic. I to było najbardziej przerażające.

Rozdział 17

Dwadzieścia dni. Tyle zajęło im dotarcie do gór. W tym czasie karawana rozrosła się do dwóch i pół tysiąca ludzi oraz przeszło dwóch tysięcy zwierząt. W każdym z punktów postoju, przy oazie, cysternie z wodą czy studni, czekały na nich grupy wojowników z Rodu Słowika, dodatkowe zwierzęta i zapasy, które niczym strumyki wpływające do rzeki dołączały do głównej kolumny.

Deana nigdy nie sądziła, że można nad taką masą zapanować do tego stopnia, iż będzie ona wędrować w tempie większym niż kilka mil dziennie. Ale odziani na żółto strażnicy byli świetnie zorganizowani i błyskawicznie wykonywali wszystkie rozkazy Wielkiego Kohira Dworu. Sam Evikiat był wszędzie, widziała go dziesiątki razy każdego dnia, średniego wzrostu mężczyzna – ze szpakowatą brodą sięgającą brzucha, noszący zawsze śnieżnobiały turban i ciężki sztylet o falistej głowni zatknięty za pas – osobiście sprawował kontrolę nad każdym detalem marszu. Raz zatrzymał się, spojrzał w jej stronę i wykonał coś, co było albo lekkim ukłonem, albo nagłym kichnięciem. Odpowiedziała issarskim pozdrowieniem dla nieznajomego, którego rzecz jasna nie zrozumiał. Od tej pory ignorował ją zupełnie.

Najgorsze były pierwsze trzy dni. Deana była słaba, kręciło jej się w głowie, miała mdłości, a jej pot cuchnął jak stare, przesiąknięte krwią bandaże. Dziękowała Pani, że nikt nie widzi jej twarzy albo że może zatrzymać się na kilka chwil, niby zainteresowana grupą jeźdźców galopujących wzdłuż karawany bądź zafascynowana majestatem wędrujących słoni. Nikt nie zauważał, że pod *ekchaarem* próbuje wtedy złapać oddech.

Całe szczęście wędrowali z przerwami. Zaczynali o świcie, by wczesnym przedpołudniem rozbić pospiesznie namioty, w których szukano schronienia przed bezlitosnym słońcem, a ruszano dopiero kilka godzin przed zmrokiem. Ta pustynia była inna niż północna część Travahen, mniej piaszczysta, gdzieniegdzie rosły nawet kępy akacji i opuncji, ale słońce zdawało się tu mocniej smagać wszystko swoim żarem. W najgorętszych

godzinach dnia nawet wielbłądy stały ze smętnie opuszczonymi głowami, a osły i muły toczyły zacięte walki o każdy skrawek cienia, nawet jeśli oznaczało to, że będą musiały tulić się do jakiegoś kolczastego pnia.

Na pół dnia karawana zamierała i tylko krąg wojowników Rodu Słowika pozostawał w ruchu. Deana, leżąc w namiocie i walcząc z mdłościami, musiała przyznać, że czuje dla nich coś w rodzaju podziwu.

Suchi odwiedzał ją rankiem i wieczorem, zostawiał porcję leków i plotek. Białe Konoweryn szykowało się na powitanie swojego cudem ocalonego księcia. Po wielu dniach niepewności, gdy rządziła zwołana pospiesznie rada, składająca się z kapłanów, magów, przedstawicieli arystokracji i największych kupieckich cechów, która nie potrafiła nic poza radzeniem o tym, jak radzić, wieść o odnalezieniu Laweneresa, Ślepego Księcia, spłynęła na ulice miasta niczym niespodziewany deszcz w środku najgorętszego lata. Dziękczynne modły dzień i noc łaskotały pięty Pana Ognia, Rody Wojny na wyścigi deklarowały lojalność, nawet Demenaya złożyła ofiarę i kazała setce swoich najpiękniejszych dziewcząt tańczyć dzień i noc przed ołtarzem Służki.

Wieści truciciela składały się z potoku imion, tytułów i nazw, które nic jej nie mówiły. Kraje Dalekiego Południa miały własne prawa, przesądy i zwyczaje, a ona nie będzie tam tak długo, by poznawanie ich miało jej się do czegokolwiek przydać.

Suchi uśmiechał się tylko, gdy to mówiła, i stwierdzał, że jemu też meekh nie był do niczego potrzebny, ale nie żałuje, że go poznał, bo człowiek tym się różni od zwierząt, że gromadzi zbędną wiedzę.

Trzeciego wieczoru wręczył jej tylko jedną buteleczkę słodko pachnącego leku.

— Pij dużo wody rankiem, a na każdą półkwartę dodaj sześć kropel. Wieczorem to samo. Oczyściłaś już organizm, teraz musisz go wzmocnić. Jedz cztery razy dziennie, dużo zbóż, chleba, podpłomyków, kaszy. Unikaj jeszcze czerwonego mięsa, każę ci przysłać tyle kurcząt i gołębi, ile dasz rady zmieścić w brzuchu. Bolą cię stawy?

— Nie.

— Pokaż ręce.

Obejrzał je uważnie, podszczypując i badając żyły. Ramiona ciągle były chude i słabe, ale ćwiczyła już regularnie z *talherami*, więc mięśnie wyraźnie zaznaczały się pod skórą.

— Dobrze. Myślę, że za miesiąc będziesz wyglądać lepiej, niż gdy opuszczałaś rodzinny dom. Książę o ciebie pytał.

Wyszarpnęła dłonie z jego uścisku i opuściła rękawy.

— Więc dlatego obmacujesz mnie jak zwierzę na sprzedaż?

Otworzył szeroko oczy, co wyglądało, jakby nad głazem jego nosa pojawiły się dwie lodowe sadzawki.

— To też. Poza tym sprawdzam, czy nadal masz barani łeb, ośli upór, żmijowe kły, kocie pazury i mądrość świeżo wyklutego pisklęcia. Stwierdzam, że wszystko jest na miejscu, więc chyba mogę uznać cię za wyleczoną.

Syknęła poirytowana.

— Widzisz — skwitował bezlitośnie. — Jak małe kociątko. Czeka nas jeszcze pięć, może sześć dni drogi, zanim staniemy na przełęczy Nol. Stamtąd w dwa dni dotrzemy do miasta, może prędzej, jeśli będzie trzeba się spieszyć. Więc odpoczywaj, kiedy się da, jedz, pij i śpij. Prawdziwa przygoda zacznie się, gdy przekroczymy góry.

Miał rację co do drogi, odpoczywania, jedzenia, picia i snu. Jadła za trzech, wykorzystywała każdą chwilę, poza ćwiczeniami i jedzeniem, na sen i każdego dnia czuła się lepiej. Widziała spojrzenia wędrujących z nią ludzi, jedne zdumione, inne pełne podziwu, i w jakiś dziwny sposób jej to schlebiało. Czarnoskóry rzemieślnik, z którym handlowała, za każdym razem, gdy się spotykali, pozdrawiał ją uśmiechem i przyłożeniem dłoni do serca, kilku strażników wykonywało podobne gesty, gdy ją widzieli. Nawet poganiacze zwierząt i zwykli niewolnicy witali ją w ten sposób. Ale nikt poza trucicielem nie ośmielał się do niej pierwszy odezwać.

No cóż, mieli swoją oswojoną lwicę.

Szóstego dnia zobaczyli na horyzoncie góry, dziewiątego dało się wyróżnić poszczególne szczyty.

— Magarhy — wyjaśnił jej Suchi, który jak zwykle zagadnął ją, gdy się tego najmniej spodziewała. — Mave Agar Rahyi, czyli Mur Agara Wielkiego. Taka nazwa widnieje na kopiach kopii starożytnych, tysiącletnich map, przechowywanych w Bibliotece Konowerskiej. Spróbuj to szybko wymówić pięć razy, a zrozumiesz, czemu nasi przodkowie ją skrócili. Oczywiście boskie imię w nazwie nie mogło zniknąć. A jutro dotrzemy do przełęczy Nol. To najkrótsza droga ku miastu, wszystkie karawany z niej korzystają.

— Nie prosiłam cię o lekcję. — Wskazała mu miejsce przed swoim namiotem i usiadła wprost na ziemi.

— Nie. Ale chętnie ci jej udzielę. Za darmo. — Klapnął ciężko obok niej. — Uch, za stary jestem na takie pętanie się przez pół świata. Chodzi o to, byś wiedziała, że jedziesz do kraju, gdzie nawet góry noszą imię boga. Kominki, które ogrzewają nasze domy, to *leandeagar*, świeczniki to *sagaris*, a piece chlebowe *mandagare*. Wy, Issarowie, czcicie Wielką Matkę jako Baelta'Mathran – pramatkę bogów. Zaraziliście tym pomysłem większość północy kontynentu, jednak ta idea jest sprzeczna z dogmatami Świątyni Ognia. To, że jesteś gościem księcia, na dodatek dzikuską, może ci uratować życie, raz czy dwa. Ale jak już wspominałem, arogancja Issarów czasem powoduje spięcia. Rody Wojny są bardzo wrażliwe na punkcie swojej wiary.

Deana zerknęła na przechodzącą trójkę strażników.

— Wszystkie? A ile ich jest?

— Trzy. I tak, wszystkie. Ród Słowika, Trzciny i Bawołu. Trzy z pięciu pierwotnie założonych przez Kyoasa Wspaniałego. Pozostałe, Lwa i Żurawia, przegrały dwie wielkie bratobójcze wojny, pięćset i dwieście lat temu, i zostały zniszczone. Tyle historii. Najważniejsze, żebyś nie obnosiła się ze swoją wiarą, nie okazywała lekceważenia kapłanom Pana Ognia i nie próbowała nikogo nawracać.

— Issaram nie nawracają nikogo na swoją religię.

— Wy nie, ale czasem docierają tu mnisi z meekhańskich zakonów Wielkiej Matki i wierz mi, są bardziej uciążliwi niż wszy pod pancerzem. Starszy brat księcia pozwalał im działać, bo koncentrowali się głównie na wykupywaniu z niewoli swoich pobratymców, ale ostatnimi czasy coraz częściej słychać o niewolnikach zostających matriarchistami. I coraz częściej widać kapłanów Ognia zbierających drewno na nowe stosy.

Deana oderwała wzrok od wojowników i zerknęła na truciciela.

— Dużo wiesz jak na kogoś, kto powinien interesować się tylko wyciskaniem jadu ze żmij.

— Au, zabolało. — Przyłożył dłoń do serca w parodii pozdrowienia. — Trafiłaś w mój czuły punkt. Tak naprawdę chciałbym zająć miejsce Evikiata, marzę o stanowisku Wielkiego Kohira, więc nocami studiuję tajne raporty książęcych szpiegów, dzięki czemu mam pojęcie o tym, co dzieje

się w księstwie i kto wie, może kiedyś… kilka kropel trucizny… parę pochlebstw i już, biały turban będzie mój.

Spoważniał.

— Dziewczyno, ja żyję na dworze od trzydziestu lat. Tu nie da się przetrwać, mając zaszyte powieki, a uszy zalane woskiem. Musisz wiedzieć, gdzie zaraz zacznie się tlić, jakie koterie, stronnictwa czy rody zaczną rządzić, gdzie przesunie się ciężar władzy. Tu…

— … wszyscy kłamią, oszukują i kręcą, a prawdę szepcze się tylko konającemu na ucho.

Zachichotał.

— Brawo, lepiej bym tego nie ujął. Brat księcia poświęcił połowę życia, by umocnić swoją władzę, przytłumić nieco żar Świątyni Ognia, przyhamować rozpasanie cechów jedwabnych i przyprawowych. On pierwszy dostrzegł, że grozi nam pożar, który mógłby wypalić całe księstwo do gołej ziemi. Albo całe Południe. Udało mu się i teraz, gdy wreszcie osiągnęliśmy coś w rodzaju równowagi, znaleziono go martwego, z gardłem podciętym od ucha do ucha.

Zaskoczył ją.

— Ktoś chciał, żeby nie było wątpliwości, że książę miał pomoc przy umieraniu — rzekła po chwili.

— Doskonale. I ten ktoś zorganizował porwanie młodszego brata, bo mając go w ręku, mógłby rządzić Białym Konoweryn. Wszyscy wiedzą, że nasz Ślepy Książę nigdy nie był przyuczany do sprawowania władzy. Mówi wieloma językami, ma doskonałą pamięć, jest poetą i uczonym, lecz nie władcą.

— Ale będzie musiał nim zostać.

— Właśnie. To głaz, który musi udźwignąć. Już jest ciężko, pisma kursują między karawaną a miastem w takiej liczbie, że można by z papieru zbudować wierną kopię książęcego pałacu. Przyjmujemy deklaracje lojalności, raporty szpiegów, żądania kapłanów. Wczoraj Kamień Popiołu zażyczył sobie, by książę osobiście zjawił się w Oku i potwierdził swoją krew. Sprawa jest delikatna, a to życzenie to niemal obelga, lecz kapłani mają do tego prawo. Oko zabije każdego, kto nie ma w sobie wystarczająco dużo krwi *awenderi* Agara. Zawsze tak było. Uzurpator padnie martwy zaraz po przekroczeniu kręgu, a jego ciało stanie w ogniu. — Suchi zapatrzył się w przestrzeń, ściszył głos — tak, Pan Ognia jest z nami cały czas, a przy-

najmniej jakaś jego część. Co prawda pozwala nam się bawić w nasze małe gry i gierki, lecz przypomina o swoim istnieniu za każdym razem, gdy ktoś niegodny postawi stopę w Oku.

— Po co mi to mówisz?

— Żebyś wiedziała, że mimo twoich zasług tańczysz na linie nad otchłanią. Tylko dwie grupy ludzi mogą wejść do Oka o każdej porze dnia i nocy. Pierwszą są Dzieci Ognia, książęta Białego Konoweryn, i Laweneres będzie musiał udowodnić, że…

— A druga grupa?

— Co? — Zamrugał jak ktoś nie przywykły do tego, by mu przerywano.

Parsknęła cicho, rozbawiona.

— Ci drudzy, którzy mogą wejść do Oka, kto to? Kapłani?

— Nie. Kapłani, nawet jeśli się tym szczycą, mają zbyt rzadką krew *awenderi* w żyłach. Są ludzie, którzy zdają się na sąd Agara. Idą po *vasagar.* Zakładają na lewy nadgarstek czerwoną wstążkę i wchodzą w Oko, by Pan Ognia ich osądził. Każdy skazaniec ma prawo zażądać tego sądu, każdy przestępca, choćby najpodlejszy morderca i gwałciciel. Albo ci, których los dotknął tak bardzo, że nie potrafią już wytrzymać i nikt, i nic, nawet sam książę, nie ma prawa im tego zabronić. Czerwona wstążka na lewej ręce otwiera świątynię o każdej porze dnia i nocy.

Zaciekawił ją.

— I co wtedy?

— Stają przed Agarem, a ich ziemska powłoka zamienia się w popiół. A co myślałaś?

— Nic. Nic nie myślałam. Przecież o to ci chodzi. Mam nie myśleć, tylko wykonywać polecenia.

— No. Nareszcie pojęłaś. — Uśmiechnął się dobrotliwie.

Wściekła się na ten uśmiech, na protekcjonalne spojrzenie, lekceważący grymas. Syknęła.

— Sądzisz, że jestem głupia? Że się nie domyślam, że nie przychodzisz tu opowiadać mi o tym waszym Konoweryn z dobrego serca? Kazał ci, prawda? Kazał się mną zaopiekować. Ma wyrzuty sumienia?

Suchi spojrzał na nią spokojnie.

— A po czym niby powinien je mieć? — zapytał cicho. Pozwolił jej milczeć dłuższą chwilę. — Otrzymałem polecenie, by ocalić ci życie. Za wszelką cenę. I w ramach tego polecenia próbuję cię przygotować. Bo ktoś

może cię wykorzystać, wyzwać księcia, spróbować podważyć jego autorytet. Przypuśćmy, że będzie ci grozić trafienie na stos za obrazę Pana Ognia, bo nie utrzymasz zamkniętych ust wtedy, kiedy będzie trzeba. Co zrobi Laweneres? Pozwoli ci spłonąć, czy pójdzie na jakieś ustępstwa, nada specjalne przywileje, zrezygnuje z części władzy? Bo jeśli cię spalą, to okaże się, że książę nie został uratowany przez szlachetną pustynną wojowniczkę, lecz przez bezbożną heretyczkę. A to podważy sens jego ocalenia, rzuci się cieniem na cudowności tych wydarzeń.

Przerwał, patrząc na nią z czymś w rodzaju beznamiętnego zainteresowania w jasnych oczach. Poczuła chłód.

— Walczyłem u boku jego starszego brata dla dobra mojego księstwa. Idzie burza, słychać bębny wojny, a my nie potrafimy uporządkować nawet własnego podwórka. Więc zachowuj się mądrze, nie wychylaj, nie prowokuj. Najlepiej będzie, jak spędzisz te trzy czy cztery miesiące w Domu Kobiet pod opieką Owiyi. Pokażesz się kilka razy na oficjalnych uroczystościach i wrócisz do siebie. Jeśli nie… — zawiesił znacząco głos.

Przymknęła oczy i odwróciła od niego twarz.

— Grozisz mi? — wymruczała, bawiąc się rękojeścią *talhera*.

Zaskoczył ją szczerym, beztroskim śmiechem. Zerknęła zdumiona. Rechotał z głową odchyloną w tył.

— A niech… niech mnie. Dziewczyno, masz jaja z granitu. Zapomniałem już, jak to jest rozmawiać z kimś, kto nie tylko nie mdleje na myśl o uściśnięciu mi dłoni, ale potrafi pokazać pazury. — Wstał, niedbale otrzepał się z piasku. — Jutro opuścimy pustynię. Przełęcz Nol przejdziemy szybko, a za dwa dni zobaczysz Białe Konoweryn. Sprawdzę, na jak długo odbierze ci mowę.

* * *

Na półtora dnia. Przez półtora dnia, w miarę jak miasto rosło w oczach, nie wiedziała, co powiedzieć, jak ubrać w słowa to, co widziała, a czego jej umysł uparcie nie chciał uznać za prawdziwe.

Białe Konoweryn.

Miasto wież, wysokich i strzelistych jak postawione na sztorc włócznie, miasto murów z białego kamienia, olśniewających niczym polerowana stal, miasto kopuł, pokrytych złoconą i srebrzoną blachą, tak że w promieniach

słońca wyglądały niby żywy ogień. Miasto tak rozległe, że zobaczyli je zaraz po wyjściu z przełęczy, choć jak zapewniał truciciel, do murów mieli jeszcze przeszło czterdzieści mil.

Miasto, które bawiło się z nimi w chowanego, znikając i wyskakując zza kolejnych wzgórz, coraz większe i większe, a gdy minęli ostatnie wzniesienie, rozpostarło się przed ich oczami niczym płachta świeżego płótna rzucona na trawę. Droga do bram wiodła wzdłuż tafli jeziora, i to także nie czyniło widoku bardziej realnym.

Gdy zatrzymali się na nocleg, miasto rozświetlało granat nocy ognistą łuną, a jego odbicie powtarzało wiernie każdy błysk, jakby oba chciały powiedzieć: „Tu jesteśmy. Nie zapomnijcie o nas”.

Jakby było można.

Następnego dnia Deana wciąż milczała, maszerując kilka kroków obok książęcego słonia. Rankiem odmówiła zajęcia honorowego miejsca na grzbiecie drugiego olbrzyma, czym zdaje się rozbawiła Laweneresa i doprowadziła do wybuchu złości Wielkiego Kohira. Nic jej nie obchodziły uczucia jednego i drugiego, lecz teraz trochę żałowała swojej decyzji, bo z góry miałaby o wiele lepszy widok.

Nadal trudno było ocenić wielkość Białego Konoweryn. Suchi wymruczał jej do ucha niewiarygodną liczbę stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców w samym mieście i pięćdziesięciu tysięcy poza murami. Jeśli tak, to pewnie większość z nich stała właśnie wzdłuż drogi, wrzeszczała, zdzierała gardło w jakichś pieśniach, rzucała pod nogi książęcego słonia kwiaty, palmowe liście, drogie materiały. Jakaś kobieta rozłożyła na ziemi batystową chustę, a gdy tylko zdeptały ją potężne stopy, podniosła zmaltretowany materiał i przycisnęła do piersi, ryzykując stratowanie przez następnego słonia.

Otaczający czoło pochodu wojownicy Rodu Słowika mieli coraz więcej kłopotów z utrzymaniem napierającego tłumu, ludzie krzyczeli, wyciągali ręce, po wielu policzkach płynęły łzy. Na jeziorze unosiły się setki łódek, stateczków i całkiem sporych statków o masztach obwieszonych kolorowymi flagami, a wielu żeglarzy wskakiwało do wody i płynęło do brzegu.

Wiele twarzy obracało się oczywiście także w jej stronę. Młode, stare, kobiece i męskie. Matki podnosiły małe dzieci, których otwarte buzie przedrzeźniały zdumiony księżyc. Gest, który zdążyła już poznać – prawa dłoń na sercu i lekki ukłon – widziała teraz w tysiąckrotnym odbiciu. Ktoś cisnął

jej pod stopy szal, wyglądający jak utkany z mgły, i zabrał, gdy po nim przeszła.

Nagle wokół zrobiło się luźniej, jakby jakieś zaklęcie odepchnęło ludzi nieco dalej od drogi.

— Dołożę jeszcze jeden kamyk do twojej legendy, jeśli pozwolisz. — Suchi wyrósł obok niej jak spod ziemi. — Wierz mi, dla niektórych spacer z królewskim trucicielem to większy dowód odwagi niż zabicie dwudziestu bandytów.

— Dwudziestu?

— Takie plotki powtarza pospólstwo na mieście. Ja tylko mówię, co usłyszałem.

Kolejny szal wylądował pod jej stopami. Przekroczyła go energicznie, wywołując jęk rozpaczy właścicielki.

— Co oni z tym…

— To na szczęście. Jeśli w promieniu dziesięciu tysięcy kroków od Świątyni Ognia książęcy słoń, koń, wielbłąd, cokolwiek, podepcze taką chustę, zyskuje ona błogosławieństwo Agara. Bądź miła.

Deana westchnęła, cofnęła się kilka kroków i z rozmachem nadepnęła materiał, wart więcej niż całe jej ubranie. Zignorowała pisk szczęścia i dogoniła truciciela. Przy nim przynajmniej było czym oddychać.

— Nie zapytam, czy stoję między koniem a słoniem, czy koniem a wielbłądem — wymruczała.

— Nie pochlebiaj sobie. Na skali deptania jesteś gdzieś między ulubionym pieskiem a osiołkiem noszącym książęce kufry.

Zerknęła w bok. Suchi miał świetną zabawę.

— A gdyby sam książę nadepnął na taki szal?

— Właściciel pociąłby go na sto kawałków, a za każdy z nich jego rodzina mogłaby przeżyć rok. Albo trzymał w domu jak świętość przez dziesięć pokoleń, póki materiał nie rozpadłby się w proch. Wiem tylko o pięciu takich przypadkach w ciągu ostatnich stu lat, gdy stopa księcia zdeptała czyjąś chustę. Trzy z tych chust wiszą teraz w Świątyni Ognia jako najświętsze relikwie.

Deana spojrzała na tłum otaczający drogę.

— Wasz książę to coś więcej niż tylko zwykły władca, prawda?

— To Dziecię Ognia. Żywy dowód, że Pan Ognia stąpał kiedyś między ludźmi. Legenda mówi, że póki Wybraniec zasiada na tronie, Białemu

Konoweryn nie zagrozi żaden wróg.

Deana z należytym zaangażowaniem przydepnęła kolejną chustę i zerknęła na Wybrańca kołyszącego się miarowo na grzbiecie słonia. Wyglądał zwyczajnie.

— A ilu jest jeszcze pretendentów do tronu? Przyrodnich braci albo kuzynów?

— Nie słuchałaś? Podobno książę opowiedział ci o zwyczajach Dworu. Nie ma ich więcej. Są sposoby, by kobieta nie zaszła w ciążę, i są takie, by ciąży nie donosiła, więc od dwustu lat rozwój książęcego rodu jest bardzo dobrze kontrolowany. — Truciciel uśmiechnął się paskudnie. — Dzięki temu nigdy nie ma więcej niż dwóch albo najwyżej trzech książąt jednocześnie. I każdy z nich ma prawo do posiadania jednego syna, w szczególnych przypadkach może mieć ich dwóch. Czasy, gdy panowały inne zwyczaje, przyniosły nam dwie wielkie bratobójcze wojny. Pierwsza pięćset lat temu rozbiła królestwo Daeltr’ed na dwa mniejsze, Wschodnie i Zachodnie, druga dwieście lat temu rozniosła je na strzępy, pozostawiając garść księstw, zmiotła jeden z najpotężniejszych Rodów Wojny z powierzchni ziemi i niemal doprowadziła do upadku dynastię Dzieci Ognia. Piętnaście lat szukano kogoś, kto ma wystarczająco czystą krew, by stanąć w Oku. Tym skutkuje nadmiar książąt. Ambicja i żądza władzy potrafią zniszczyć każdy kraj.

Prychnęła.

— Zaczęły się zawody w mówieniu banałów? Może ja też spróbuję? Miłość pokona wszelkie przeszkody. Albo lepiej, uczciwość i szlachetność gwarantują dobre życie i godną śmierć. — Udała, że się zastanawia. — Nie, czekaj, jednak wygrałeś.

Spojrzał na nią spod oka.

— Radzę pamiętać o naszej poprzedniej rozmowie i gryźć się w język za każdym razem, gdy zachce ci się powiedzieć jakąś głupotę. Czyli zawsze, gdy otworzysz usta w celu innym niż jedzenie czy picie. Nie jesteś ważna, ale u nas się mówi, że pojedyncza iskra wznieca pożar. Więc lepiej bądź drobiną popiołu niż żaru. — Suchi przyłożył dłoń do serca i po raz pierwszy ukłonił się przed nią. — I radzę jednak wsiąść na słonia.

Kolumna zbliżała się do bram miasta, które rozhisteryzowany tłum zdążył już całkiem zakorkować. Wrota były równie nieprzejezdne, jak gdyby strzegła ich opuszczona krata i podniesiony most. Grupki strażników

ruszyły naprzód, by zrobić przejście, i wtedy tłum wzdłuż drogi naparł mocniej. Osłabiony kordon pękł, a Deana nagle znalazła się w centrum trąby powietrznej. Popychano ją, szarpano, ktoś – przypadkiem czy z powodu skrajnej głupoty – próbował złapać za jej *ekchaar*, schwyciła bezczelną dłoń i bez ceregieli złamała w niej trzy palce.

Poczuła, jak inne ręce szarpią za jej szable, w tym ścisku było za mało miejsca, by zdołała wyciągnąć broń, kopnęła tylko wściekle i szarpanie się skończyło. Ubrana na biało kobieta wrzeszczała coś piskliwym głosem, obok niej gruby mężczyzna próbował zaintonować jakąś pieśń, lecz nagle ktoś chyba go podciął, bo przewrócił się, pociągając za sobą kilka osób. Tłum zakłębił się nad tymi, którzy upadli, a wrzaski i jęki podniosły się o ton.

Wybuchła panika.

I nagle rozległo się przenikliwe trąbienie i towarzyszące mu potężne, wywołujące dudnienie w kościach *łup*, *łup*, *łup*. A ludzie, słysząc ten dźwięk, przykucali, osłaniali głowy rękoma albo próbowali uciekać.

Deana znalazła się oko w oko z wysoką na dwanaście stóp i ważącą tyle co stu mężczyzn grozą.

Maahir, książęcy słoń, stał pośrodku drogi z trąbą zadartą w górę, uszami rozłożonymi na boki i kołysząc głową, tupał w miejscu nogami wielkimi jak pnie drzew. *Łup, łup, łup*. Pozostałe słonie w kolumnie podjęły bojowy taniec. Grunt przenosił te uderzenia, które trafiały wprost do jej przepony, powodując wręcz bolesny skurcz. Małe, błyskające wściekle oczko spoczęło na Deanie i przez moment miała wizję niepowstrzymanej góry mięśni i kości pędzącej w jej stronę.

Ale potem zobaczyła łobuzerski uśmiech Samiyego i wszystko wróciło na swoje miejsce.

— Nagatey. — Chłopak zrzucił jej poznaczony węzłami sznur.

Zaklęła, rzuciła okiem na tłum, który jakoś wcale nie zrobił się mniejszy, i złapała za sznur. Na górze silne, szczupłe dłonie pomogły jej zająć miejsce pod baldachimem.

— Teraz rozumiesz, czemu tak ważne było, żebym do miasta wjeżdżał na grzbiecie Maahira. Jakieś trzysta lat temu jeden z moich przodków został ściągnięty z konia i rozerwany na strzępy przez rozhisteryzowany tłum. Nadmiar uwielbienia może być równie groźny jak nienawiść. Wina?

Przyjęła kielich wypełniony płynną słodyczą w kolorze miodu, nie bardzo wiedząc, co ma z tym zrobić. Jak u licha…

Laweneres pociągnął jeden ze sznurków i spod baldachimu opadły zwoje jedwabiu, odcinając ich od reszty świata.

— Musisz być zmęczona. — Świeżo upieczony władca zignorował jęk rozczarowania dobiegający z zewnątrz. — Przeszłaś wiele mil. Zaraz skończymy przedstawienie.

Jakby na niewidoczny znak słonie zaprzestały tupania i trąbienia.

— Są dobrze wyszkolone. Napij się, proszę.

Uchyliła lekko *ekchaar* i pociągnęła z kielicha. Słońce, kwiaty, lekkie wspomnienie wody z górskiego strumienia. Mężczyzna wyciągnął dłoń ku jej twarzy, lecz napotkał materiał.

— Dlaczego…

— Nie ufaj nigdy mniej niż trzem zasłonom, jak powiadamy. Jeśli ktoś źle zamocowałby ten jedwab, musiałabym zabić połowę twojego miasta — wymruczała. — Nie najgorsze wino.

Cofnął rękę i przez chwilę wyglądał trochę niepewnie i trochę smutno, jakby to z niego coś zerwało zasłony.

— Tęskniłem. Do twojej twarzy.

— W pałacu będziesz miał dość… twarzy.

Coś przebiegło przez jego oblicze. Jakby nieśmiała prośba.

— Nie miałem nic złego na myśli, mówiąc wtedy o wykorzystaniu cię. Nie chciałem cię okłamywać. Jestem księciem Białego Konoweryn, lecz jestem też tłumaczem, ślepcem i mężczyzną, który nie jest panem własnego losu.

Upiła jeszcze wina, patrząc na niego uważnie, szukając śladu kpiny.

— Książę, ślepiec, tłumacz i niewolnik. Wygląda na to, że w trzech czwartych mówiłeś prawdę. Nieźle, jak na mężczyznę — powiedziała. — Mogę zrozumieć, czemu się nie przyznałeś. Ale trzeba czegoś więcej niż kielich kiepskiego wina, żebym przestała się wściekać. Mimo to… wjadę z tobą do miasta. Niektórzy z tych ludzi mieli miny, jakby chcieli sobie zabrać kawałek mnie.

Wydawało jej się, że przez mgnienie oka na jego twarzy zobaczyła ulgę. Uśmiechnął się jeszcze nieśmiało i w tym momencie Samiy krzyknął coś ponaglająco.

— Niecierpliwią się — mruknął Laweneres. — Ród Słowika opanował już sytuację. Gotowa?

Pociągnęła ostatni raz z kielicha, poprawiła zasłonę na twarzy.

— Gotowa. Możesz już ukazać się w całym majestacie.

— Usiądź naprzeciw mnie, plecami do Samiyego. Połóż dłonie na rękojeściach broni. Będziesz moją osobistą strażniczką. Już?

Gdy jedwab poszedł w górę, siedziała przed księciem i musiała przyznać, że jej się tam podobało, choć na niektórych twarzach poniżej widziała dezaprobatę. Z grzbietu słonia tłum nie wyglądał już tak przerażająco. Potęga i siła emanująca z tego gigantycznego zwierzęcia dawała poczucie bezpieczeństwa. A widok…

— Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć — szepnęła, gdy ruszyli.

— Widzę. — Odwrócił głowę w lewo. — Tam jest jezioro Kses. Największe w księstwie. Pływają po nim statki niewiele mniejsze niż morskie. Zresztą, niektóre z nich to morskie okręty, które przypłynęły tu Kanałem Węża. Do tego setki łodzi i łódeczek. Nad każdą powiewają sztandary i chorągwie, a miasto przegląda się w toni jak skąpiec szukający monety na dnie. Po prawej, wzdłuż drogi, ciągną się pola, wypełnione w tej chwili ludźmi. Wszyscy ubrali się w swoje najlepsze rzeczy, przynieśli zielone gałązki, kwiaty, szale i chusty. Maahir depcze po tym wszystkim i tylko Samiy hamuje go przed obżeraniem się delikatnymi liśćmi. Słowiki powstrzymują tłum włóczniami, udało im się już, że tak powiem, zdobyć bramę. — Uśmiechnął się lekko, a jej nagły skurcz ścisnął serce. Człowiek, który nie urodził się ślepcem, musi czepiać się swoich wspomnień i mieć nadzieję, że pamięć go nie zawodzi.

Książę kontynuował:

— Brama jest ustrojona wstęgami jedwabiu w kolorze żółtym i szkarłatnym. Barwy ognia. Jej czeluść wygląda jak paszcza potwora z zębami kraty sterczącymi z górnej szczęki. Dobrze mówię?

— Czyje to wspomnienia?

— Dziewięciolatka, który towarzyszył starszemu bratu w uroczystym wjeździe do miasta. Dawno temu. Zanim nadeszła ciemność.

Przymknęła oczy.

— Książę…

— Nie. Ślepiec i niewolnik. Książę pojawi się, gdy wjedziemy do miasta.

Miał rację. Gdy tylko wynurzyli się z cienia bramy, odniosła wrażenie, jakby na twarz Laweneresa ktoś naciągnął maskę „władcy”. Pełen łaskawości uśmiech, dostojne ruchy, dłonie uniesione w geście błogosławieństwa. Dopiero po chwili zauważyła, że siedzący za jej plecami chłopak wyrzuca teraz z siebie półgłosem setki słów.

— Co on mówi?

— Lewa strona, balkon, grupa kobiet, dalej, ziemia, kupcy z gildii przypraw, prawa strona, ziemia, cech tkaczy jedwabiu, rozkładają materie na ulicy, sprytnie, za ubrania, które z nich uszyją, będą mogli zażądać dziesięć razy więcej niż zwykle. Prawa strona, drugie piętro, starzec z czepcem bohatera na głowie. Pewnie jakiś weteran wojenny, pozdrowić dwa razy.

Laweneres wymruczał to, niemal nie otwierając ust i nie przestając łaskawie skłaniać głowy, posyłać pełnych godności uśmiechów i dostojnie machać rękami.

— Samiy jest moimi oczami, a choć podobno Dziecię Ognia potrafi zawsze dostrzec płomień duszy, w tłumie jest to trudne. Lepiej więc zdać się na niego.

Książęca kolumna posuwała się ulicą, którą zamykały ściany wysokich domostw. Deana w ogóle nie wyobrażała sobie, że można stawiać je w ten sposób, jeden na drugim. Wychylając się spod baldachimu, naliczyła cztery, a gdzieniegdzie pięć kondygnacji, zwieńczonych stromymi dachami. Wszystkie ściany lśniły bielą polerowanego wapienia, a każde okno, balkon, drzwi obrodziły twarzami. Jasnymi, śniadymi i całkiem ciemnymi. Jakby wszystkie plemiona znane ludzkości wysłały swoich przedstawicieli na powitanie księcia.

Z góry nieprzerwanie sypały się kwiaty, zielone gałązki i drogie materiały.

Wyglądało na to, że Białe Konoweryn bez żadnych warunków uznawało w Laweneresie swojego władcę.

Maahir, potrząsając głową i trąbiąc donośnie, wszedł na plac, który wyglądał, jakby ktoś wyrwał w ciele miasta olbrzymią ranę, długą i szeroką na co najmniej dwieście kroków, po czym wybrukował ją płytami lśniącego kamienia. Teren wypełniały tysiące ludzi, lecz były też miejsca, ogrodzone rzędami odzianych na żółto wojowników, gdzie panował zdecydowanie mniejszy tłok. Sądząc po ilości jedwabiu, złotogłowiu i setkach dywanów

leżących wprost na kamiennych płytach, zajmowała je arystokracja i członkowie książęcego dworu.

Na szczęście dla słoni i reszty karawany zostawiono szerokie przejścia.

Rozejrzała się.

Z lewej strony mieli mur, za którym znajdował się budynek z taką liczbą kopuł, delikatnych wieżyczek, wielkich okien i koronkowych ozdóbek wyglądających jak wykonane z pajęczej przędzy, że nawet ona, dziewczyna z gór, nie mogła mieć wątpliwości, na co patrzy. Tylko książęce, bajkowe pałace mogły być takie… śmiesznie niepraktyczne. Naprzeciw niego wznosiła się budowla większa, szersza i przez kontrast posępna jak starucha grzebiąca kolejnego męża. Miała tylko jedną kopułę, za to szeroką na około sto kroków, wspierającą się na setkach kolumn, między którymi rozwieszono barwne tkaniny. Złoto, żółć, stary miód, czerwień. Kolory ognia. Do tkanych, lekko falujących ścian prowadziły schody. Dużo schodów teraz wypełnionych ludźmi.

Patrząc na tę budowlę, Deana poczuła zapach spalenizny i smak popiołu w ustach.

— Świątynia?

— Dom Ognia. Najświętsze miejsce księstwa. Nie. Najświętsze miejsce całego Południa. Wszystkich księstw. To tu po raz ostatni objawił się ludziom Agar Czerwony. Tu zawarł z nimi przymierze. Tutaj wiecznym ogniem żarzy się Jego Oko.

Olbrzymia kopuła wyglądała na zbudowaną z kamiennych płyt, lecz nad jej szczytem powietrze lekko migotało jak nad rozpaloną słońcem pustynią. Issaram wiedzieli, że po Wojnach Bogów Nieśmiertelni odeszli do stworzonych dla siebie królestw, zadowalając się tylko mocą okiełznaną przez modlitwy i ofiary wiernych. Ale w niektórych miejscach drogi wiodące do tych królestw były krótsze. Dawało się posłyszeć echa boskich krain, najpotężniejsi kapłani, poszcząc, umartwiając ciała, medytując i modląc się, pukali do ich bram. A przynajmniej tak twierdzili. Wiele miejsc kultu budowano tam, gdzie moc danego boga była obecna silniej, a setki lat modlitw, hymnów pochwalnych i oznak czci jeszcze skracało odległość między dominium danego Nieśmiertelnego a jego wiernymi. Kapłani w takich przybytkach czerpali Moc wprost z królestwa swojego władcy i choć poza nimi mogli być słabi i bezbronni, to w świątyniach potrafili dorównać najpotężniejszym czarownikom.

Przynajmniej niektórzy.

Patrząc na świątynię, Deana czuła Moc. Potężną i bezlitosną. Moc ognia, pożaru trawiącego całe lasy, wypalającego tysiące mil stepu, pożerającego miasta, zamieniającego skałę w płynną masę. Przypomniała sobie garść legend Issaram. Agar był bogiem płomieni, lecz walczył daleko na południu, wspierając Laal w jej kampanii przeciw Beztwarzowym. Jego *awenderi* nigdy nie pojawili się poza południowymi krańcami pustyni, a gdy wojna tam przycichła, wycofał się. I tyle. Potrafiła sobie przypomnieć tylko kilka wersów, w których pada imię Pana Ognia.

Daleki, mało ważny bóg.

Ale nie tutaj.

Tutaj biło serce jego kultu, a aspektowana przez Agara Moc niemal wypalała jej umysł.

— Czarownicy nie mają tu lekkiego życia — mruknęła, odwracając wzrok od świątyni.

Laweneres błysnął uśmiechem.

— Prawda? Każdy to czuje. Ale oni też mogą tu wytrzymać. Agar nie jest małostkowym, zawistnym bogiem, czego nie można powiedzieć o niektórych jego kapłanach, i w żadnym ze zwojów nie zakazywał używania magii ani kłaniania się swojemu Rodzeństwu. W końcu połowa bogactw spływa do nas morzem, więc obrażanie Bliźniąt nie byłoby mądre. A bez błogosławieństw Laweiry nasze pola mogłyby się wyjałowić i nie mielibyśmy czym handlować, Pani Wiatrów zaś przywiewa nad pustynię chmury, które ożywiają ją na chwilę i otwierają szlaki handlowe.

Maahir zatrzymał się na środku placu i obrócił bokiem do świątyni. Reszta książęcego orszaku rozstawiała się karnie wokół. Przed Domem Ognia zostawiono wolną przestrzeń, szeroką i głęboką na jakieś sto stóp. Wyjątkowe marnotrawstwo w tak zatłoczonym miejscu.

— Zejdziesz na dół?

— Po to, by zginąć pod tysiącami rzuconych chust? W mieście książę prawie nigdy nie chodzi pieszo. Evikiat uprzedził mnie, że przygotował jakąś niespodziankę. Dla dobra tronu, jak twierdzi. To podobno zajmie tylko kwadrans.

Deana powinna się czegoś domyślić, gdy na pustym miejscu zjawiła się grupa ludzi ubrana w dziwaczne stroje, z twarzami schowanymi za maskami, a powietrze przeszyły dźwięki dzikiej muzyki. Przez kilkadziesiąt

uderzeń serca w ogóle nie wiedziała, na co patrzy, ludzie biegali, skakali, przewracali oczami i wymachiwali rękami w rytm narzucany przez instrumenty, ale nie było w tym większego sensu. Dopiero pojawienie się kilku mężczyzn w szarych strojach, którzy nosili maski zaopatrzone w olbrzymie uszy i sięgające ziemi trąby, pozwoliło jej odgadnąć właściwy kod. To była opowieść. Opowieść snuta nie głosem, lecz gestami i muzyką.

Zobaczyła nagle karawanę sunącą przez pustynię. Dwóch mężczyzn w szarych strojach niosło lektykę, w której siedział książę, odziany oczywiście w biel. Ujrzała napad na karawanę, dziesiątki groźnych postaci wyskakujących ze wszystkich stron, straszliwe czary rzucane w rytm grzmiących bębnów, księcia z szablą w ręku, kładącego trupem przynajmniej dziesięciu groteskowo powykrzywianych zbójców.

Samiy gadał bez przerwy, najpewniej opisując swemu panu, co się dzieje.

— Naprawdę zabiłeś dziesięciu bandytów? — przerwała chłopcu monolog.

— Nawet nie jednego. Zaskoczyli nas.

W następnej scenie nieustraszony książę, którego maska była wymalowana jak twarz ladacznicy, stał dumnie, otoczony przez dwudziestu dzikich bandziorów wygrażających mu obnażoną bronią. Prawość, godność i odwaga biły z niego tak, że zbójcy nie śmieli zbliżyć się bardziej niż na kilka kroków. Nawet czarownik, ponury olbrzym w czarnej masce wykrzywionej w grymasie furii, słaniał się i chwiał pod wpływem aury bijącej od białej postaci.

— Ojej. Dziwne, że nie przyprowadzili cię do domu, oddając własne głowy katu.

— Wierz mi, są chwile, kiedy się cieszę ze ślepoty.

Książę wreszcie uległ, choć nie bez walki i tylko dlatego, że osłaniał własnym ciałem małego chłopca.

Zapadła noc, a po niej bandyci wnieśli na plac i rzucili na ziemię kolejną postać. Nie rozpoznałaby jej, gdyby nie pochwyciła spojrzenia, jakim obrzucił ją Samiy. Chłopak szczerzył się jak głupi.

Patrzyła na siebie.

To znaczy na siebie najwyraźniej mocno poturbowaną, bo zamiast ubrania miała tylko przepaskę biodrową i dwa luźne kawałki materiału, przy każdym ruchu odsłaniające całe nogi, a te kilka luźnych szmatek na górze

chyba zostało tam przez niedopatrzenie. Zamiast maski aktorka nosiła coś w rodzaju utkanego z tiulu *ekchaaru*.

— Powiedz mi, czy ja chodziłam na czworakach, kiedy się poznaliśmy?

W następnych scenach książę, przyjmujący przy każdej okazji posągowe pozy, uczył dziewczynę chodzić, karmił z ręki, a każdy jego gest najwyraźniej napełniał ją zabobonnym lękiem, bo takiej liczby pokłonów i bicia czołem o ziemię Deana jeszcze nigdy nie widziała. Jednak z czasem – w przedstawieniu zajęło to jakieś sto uderzeń serca – jego wrodzona szlachetność i dobroć napełniły dzikuskę całkowitym oddaniem. A gdy ponownie zjawili się bandyci, dziewczyna wyciągnęła zza paska szablę – odpowiedź na pytanie, jak u licha zdołała tam ją wcisnąć, warta była królestwa – i walcząc jak szalona, zabiła wszystkich. Odniosła przy tym śmiertelne rany.

— Mam nadzieję, że w tym miejscu zginęłam.

— Obawiam się niestety, że cię uratowałem.

Rzeczywiście. Przy wtórze szczególnie przerażającej muzyki książę wyszedł na środek sceny i przywołał Moc Agara. To znaczy narzucił na siebie jakiś płaszcz w kolorze żółtym i czerwonym, co miało zapewne symbolizować płomień, i stał tak, a trąby i bębny szalały.

Po czym zjawili się ci dobrzy, reprezentowani przez mężczyzn z ptasimi dziobami odzianych w żółte szaty, i wszystko skończyło się, jak należy.

Deana przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Gdy wreszcie ubrała szalejące myśli w słowa, wymruczała:

— Przy najbliższej okazji przedstaw mnie temu, kto to wszystko wymyślił. Proszę.

Uśmiechnął się tajemniczo.

— Czy ja usłyszałem zgrzyt szabli?

Spojrzała na swoje dłonie. *Talhery* wysunęły się na cal z pochew, najwyraźniej same.

— To, co widziałaś, to teatr *obenusiy*, niestety nie mogę przetłumaczyć tej nazwy, jest zbyt stara. Istnieje od zawsze, od zawsze uwiecznia najważniejsze wydarzenia w historii księstwa i zawsze jest mocno przerysowany, lecz jego twórcy cieszą się tradycyjną ochroną, więc raczej nie powinnaś ich zabijać. To przynosi pecha. — Odwrócił się w stronę świątyni. — A poza tym, czy gdybyś była na moim miejscu, czułabyś, że ci pochlebiono?

Przed oczami stanęła jej ubrana na biało postać z groteskową maską, wykonująca dziwaczne, śmieszne, pełne patosu gesty.

— Poza tym — Laweneres wykonał kilka gestów w stronę tłumu — wcale nie musisz oglądać przedstawienia, ja na przykład zamykam oczy.

Uśmiechnęła się.

— Uśmiechnęłaś się?

— Nie. To był kiepski żart. Co teraz? Pałac?

Spoważniał i miała wrażenie, że coś zapaliło się w jego oczach. Jakby pod mgłą błysnęło światło.

— Nie. Zmiana planów. Samiy. — Posypały się szybkie słowa w miejscowym języku. Kornak parsknął coś i zawołał:

— Wakure. Cok! Cok!

Maahir zaczął się obracać.

— Nic nie mów, wykonuj moje polecenia i nie zadawaj pytań.

— Co robisz?

— Czego nie zrozumiałaś z ostatnich słów? Jedno z nas musi poćwiczyć meekh.

Słoń zatrzymał się przodem do świątyni, podniósł trąbę, zaryczał.

I ruszył po schodach.

— To Schody Prawości. Istnieje legenda, że jeśli kiedyś w Konoweryn dokona się wielka niesprawiedliwość, Płomień Agara zejdzie po nich i ukarze grzeszników — w głosie Laweneresa pojawił się cień goryczy. — Gdyby to była prawda, miasto już dawno spłonęłoby do fundamentów.

Deana nie widziała, co się dzieje przed nimi, ale ponieważ nie było słychać wrzasków przerażenia ani odgłosu miażdżonych ciał, ludzie raczej nadążali z usuwaniem się z drogi. Wychyliła się i zerknęła w tył. Oddział wojowników pędził po schodach, odsuwając na boki gapiów i nie pozwalając, by tłum zamknął się wokół słonia. Za nim na czele licznej grupy członków dworu gnał mężczyzna w białym turbanie.

Maahir dotarł do rozpiętych między kolumnami materiałów, zatrzymał się i zatrąbił jeszcze raz. Zza zwiewnych ścian dochodziły odgłosy stukania i zgrzyt metalu.

— Ta świątynia nie może mieć kamiennych murów, bo Oko nie lubi być zamknięte. Więc nasi kapłani wymyślili kilka mechanizmów, dzięki którym mogą szybko podnosić i opuszczać zasłony między kolumnami.

Laweneres złożył dłonie w piramidkę, a uśmiech czaił się w kącikach jego ust. Po chwili uniósł brwi.

— Nic nie powiesz? Aaa, wiem. Poprawiłaś meekhański.

Nagle zazgrzytało głośniej i ściany z kolorowych materii podjechały w górę. Wszystkie naraz.

Wrażenie, które odniosła wcześniej, że oddycha spalenizną, a na języku ma popiół, jeszcze się nasiliło. Żeby o nim zapomnieć, podniosła się lekko i nad ramieniem Samiyego rozejrzała wokół.

Sto potężnych kolumn podtrzymywało koło, które stanowiło podstawę gigantycznej kopuły. Poza tym nie było nic, żadnych ław, klęczników, ołtarza. Pusta przestrzeń, której centralny punkt nieco się wznosił. Posadzka lśniła jak lustro, bladoróżowy polerowany marmur odbijał wszystko, tak że kolumny zdawały się tkwić w wodzie.

Maahir postąpił kilkanaście kroków w przód i zatrzymał się.

— Teraz musisz zejść. Książę pierwszy wsiada na słonia i ostatni z niego schodzi. No, poza Samiym, on jest kornakiem. Nie odzywaj się do nikogo poza mną, odpowiadaj na pytania, wykonuj polecenia i proszę, bądź dziką wojowniczką olśnioną wielkością i potęgą Agara.

Deana zsunęła się na ziemię i odstąpiła dwa kroki. Laweneres przerzucił stopy nad barierką kosza i zadziwiająco sprawnie zszedł po sznurze. Poklepał czule bok zwierzęcia.

— Podejdź do mnie. Stań po lewej stronie. — Położył jej dłoń na ramieniu. — Ruszamy w stronę Oka.

Nawet nie drgnęła.

— Do miejsca na podwyższeniu. Ale nie wolno ci przekroczyć czerwonej linii, która je otacza.

Ruszyła powoli, ze zdumieniem odkrywając, z jaką łatwością książę dopasował się do rytmu jej kroków. I jak cicho stąpał. Gdyby nie lekki nacisk na ramię, miałaby wrażenie, że jest sama.

Wokół nich narastał gwar. Przerwy między kolumnami wypełniał tłum, ludzie wsuwali się do środka ze wszystkich stron. Wielki Kohir Dworu był już kilkanaście kroków za księciem, ale najwyraźniej nie miał zamiaru interweniować. Cokolwiek się działo, Laweneres trzymał tę chwilę w swojej dłoni.

— Zwolnij. Niech więcej ludzi wejdzie do środka. — Ślepiec sunął tuż obok jak duch. — W końcu dla nich robimy to przedstawienie. Na podwyż-

szeniu znajdziesz krąg o średnicy jakichś trzydziestu kroków, składający się z szerokich na dwie stopy, lekko rozgrzanych czerwonych kamieni. Wnętrze kręgu jest czarne, pokryte warstwą sadzy. Zatrzymaj się kilka kroków od kręgu i cokolwiek by się działo, nie wchodź do niego. Tylko Krew Agara ma prawo się tam znaleźć.

Po drugiej stronie świątyni tłum wypluł z siebie jakieś postacie.

— Trzech ludzi idzie ku nam — wymruczała.

— Wiem. — Uścisk na ramieniu miał być zapewne uspokajający, ale ona poczuła, jak jeżą jej się włoski na ciele. — Po bokach dwóch wysokich i chudych mężczyzn, w środku niższy, szeroki w barach, w szacie haftowanej w szkarłatne kwiaty. Zgadłem?

— Tak.

— Ten w środku to Kamień Popiołu, właśnie krzyżujemy mu plany postawienia nas… mnie w charakterze pokornego suplikanta o niejasnym statusie. Ci po bokach to Ciemna Iskra i Lodowy Płomień. Trzeci i czwarty pod względem ważności kapłan świątyni.

— Ten w środku jest pierwszy?

— Nie, piąty. Pierwszy stąpa z tobą. Dziecię Ognia. Witaj w Białym Konoweryn, księstwie tysiąca masek.

Tłum wypełniał już całą przestrzeń za ich plecami, a jego macki niemal zamykały się wokół centralnej części świątyni. Jakby żywe stworzenie wpełzło do środka, oczekując… na co właściwie?

Deana podeszła do wzniesienia, a każdy krok wypełniał jej usta popiołem. Sześć szerokich schodów i płaska posadzka z czarnym kręgiem pośrodku. Gdy zrobiła krok w tamtą stronę, zatrzymało ją lekkie, lecz stanowcze szarpnięcie za ramię.

— Mówiłem kilka kroków, a nie cali.

Po przeciwnej stronie kręgu stanęli kapłani. Ich twarze przypominały maski wyrzeźbione w żółtym kamieniu.

— Teraz ja. A ty stój i cokolwiek będzie się działo, nie wchodź do kręgu. Zginiesz, jeśli to zrobisz.

Po tych słowach Laweneres ruszył naprzód i bez wahania przekroczył linię kamieni, nad którą unosiło się rozgrzane powietrze. Deana usłyszała zbiorowy wdech, jakby tysiąc miechów zassało powietrze, i na chwilę w świątyni zapadła całkowita cisza. A potem rozległ się ryk.

Tysiące gardeł grzmiało w triumfalnym chórze, do którego po chwili dołączył Maahir i pozostałe słonie, a ona jako jedyna milczała, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi.

Dym i popiół rozgościły się chyba na stałe w jej ustach i na języku, a gdy tylko przymykała oczy, pod powiekami błyskały jej płomienie. Moc Agara była w tym miejscu silna jak nigdzie indziej.

Książę dotarł do kapłanów stojących po przeciwnej stronie kręgu, którzy pokłonili mu się nisko. Nie widziała, by coś do nich mówił, stał tylko, a oni nie ośmielili się wyprostować karków, póki nie odwrócił się i nie ruszył z powrotem. Trudno było coś wyczytać z ich twarzy, ale sposób, w jaki stali, jak sztywno trzymali ramiona i ręce… Gdyby mieli przy sobie broń, Deana zaczęłaby się obawiać o życie Laweneresa.

On tymczasem spokojnym krokiem wyszedł z kręgu niemal w tym samym miejscu, w którym czekała. Zatrzymał się, uniósł dłoń w geście błogosławieństwa, a tam, gdzie się odwracał, ludzie klękali z opuszczonymi głowami. Triumfalny ryk przerodził się w pieśń.

Gdy skończył, bez słowa zajęła miejsce po jego lewej stronie. Evikiat opanował nieco sytuację, wojownicy Rodu Słowika oczyścili im już przejście do Maahira. Ruszyła, gdy tylko ślepiec położył jej dłoń na ramieniu.

Tym razem ręka wydawała się ciężka i gorąca jak spiżowy odlew dopiero co wyciągnięty z pieca.

— Jedziemy do pałacu. Potrzebuję odpoczynku i solidnej kąpieli. Ty też.

Interludium

Chłód jak przy zanurzaniu się w lodowej przeręblі i ciemność. Nie zwykła ciemność, taka, jaką spotyka się nocą, pod gwiazdami, które naciągnęły na siebie pled chmur, ani nie taka, która towarzyszy człowiekowi w chwili, gdy koszmar wypchnie go z krain snu, a do świtu jeszcze daleko. Ta ciemność była absolutna, wręcz namacalna. I lepka, jakby utworzono ją z czarnej galarety.

Yatech wciągnął ostrożnie powietrze. Pachniało wilgotną stęchlizną i mokrym kamieniem. Oraz solą.

— Iavva — głos Kanayoness zadziałał jak magiczne zaklęcie, szczęknęło krzesiwo i mały kaganek rozświetlił mrok. Stali przed kamienną ścianą, która wyginała się łukiem nad ich głowami, jak morska fala zatrzymana w ruchu.

— Tędy.

Czarnowłosa poprowadziła ich korytarzem aż do ciężkich drzwi. Otworzyła je bez chwili zawahania, niczym gospodyni oprowadzająca gości po własnym domostwie.

Smród uderzył podstępnie, w pierwszej chwili słodkawą nutą, która zaraz przeszła w gęsty, duszny odór gnijącego mięsa, zepsutej krwi, gangreny i odchodów. Yatech zatrzymał się, jakby wpadł na namacalną przeszkodę. Iavva nawet nie zwolniła.

— Chodź — słowa wypowiedziane przez Małą Kanę rozbrzmiewały pogłosem, sugerując, że jest tam większe pomieszczenie. — Nie jest tak źle, jak cuchnie.

Wszedł. Blask kaganka utrudniał ocenę wielkości sali, ale to nie miało znaczenia. Nie liczyła się wielkość, bo nawet gdyby pomieszczenie miało sto kroków średnicy, to i tak wzrok przyciągałby jego środek. I to, co tam tkwiło.

Czarny miecz wbity w skałę w jednej trzeciej długości ostrza. Światło nie odbijało się na jego klindze ani na rękojeści, co sugerowało, że wyko-

nano go z jakiegoś matowego kamienia. Albo innego materiału, który pochłaniał blask. U stóp miecza leżały zwłoki mężczyzny. Niemal nagie, wychudzone i pokryte paskudnymi ranami. Krew nie zdążyła jeszcze skrzepnąć.

— Musieliśmy w drzwiach minąć się z duchem tego nieszczęśnika.

Kanayoness przykucnęła i musnęła skroń trupa.

— Prawie. Ale on nie odszedł do Domu Snu. Jest tu. — Pstryknęła wskazującym palcem czarne ostrze. — Kolejna garść wspomnień, poczucie krzywdy, szaleństwo i obłęd.

Przez głowę z prędkością błyskawicy przemknęła Yatechowi myśl, że to dziwne słuchać, jak akurat ona mówi o szaleństwie i obłędzie, ale przezornie zachował to dla siebie. Tu i teraz, w tym miejscu, wszelkie słowa były nieistotne i głupie. Czuł… głód.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — Zerknęła na niego, a jej oczy zdawały się równie czarne i matowe jak miecz.

— Nie.

— Pod bramą do królestwa, które nie ma zamiaru nikogo wpuszczać do środka. Pod kawałkiem duszy próbującym stać się czymś więcej niż tylko furtką. Karmią go od wielu lat, dziesiątków, może setek, nie wiedząc, co dokładnie tworzą, a kiedy zaczął się budzić, otwierać oczy i rozglądać, uznali to za znak od swojego boga. Głupcy. To twoja wspólna dusza, Keru’weln, przyjrzyj się.

— Nie rozumiem.

— Wiem, że nie. Pomyśl. Weź setki udręczonych, wyrwanych z ciała przemocą duchów, których całe życie sprowadzono do krwi, bólu, poniżenia. Duchów nierozumiejących, dlaczego je to spotkało. Opętanych przez poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Weź mężów, żony, ojców, matki i dzieci i zamień je w to. — Szturchnęła ciało stopą. — Tu nikt nie umierał łatwo. Wlej je w jedną formę, niech się mieszają. I kiszą, dziesiątki lat. Ci głupcy zapomnieli, że ból i cierpienie jest pierwotną, najstarszą drogą do transcendencji. Otwiera dusze, pomaga tworzyć kanały, łącza. Zamienili artefakt w *ana’boga*.

Czarny miecz zdawał się tańczyć w blasku kaganka. Pulsować. Rozszerzać i kurczyć.

— To jest bóg?

— Jeszcze nie. Jeszcze daleko mu do tego. To *ana'bóg*, część, kawałek, ziarno, jeśli wolisz. Stara nazwa na zapomniany już proces. Budzi się powoli, ale korzystając z rdzenia, jakim jest kawałek duszy prawdziwego Nieśmiertelnego, rośnie. Nigdy nie był inteligentny, lecz inteligencja pojawia się zaraz po sprycie, a on… — Kanayoness pochyliła się i uniosła rękę martwego mężczyzny: na przedramieniu, wśród brudu i zaschniętej krwi, dał się rozpoznać wizerunek złamanego miecza — … on jest sprytny. Znalazł sposób, by sięgnąć po więcej dusz, niż dostarczają mu kapłani.

Yatech spojrzał na tatuaż i go rozpoznał. Niektórzy z żołnierzy i strażników, których spotkał w czasie służby u Aerina, powierzali swój los Panu Bitew.

— Składają mu w ofierze własnych wyznawców?

— A od kiedy kapłani mieli z tym jakikolwiek problem? Tu chodzi o coś innego. Przypomnij sobie.

Zmierzyli się wzrokiem. Patrzyła na niego z pobłażliwym uśmieszkiem.

— Co mam sobie przypomnieć?

— Droga. Lub modlitwa, jak to teraz nazywacie. Dwieście dwunasty i dwieście osiemnasty wers.

Słowa napłynęły same, mimo iż nie modlił się od miesięcy.

Nie będę nosił znaków ani symboli na ciele, bo ciało jest świątynią, która powinna pozostać nieskalana. A jeśli oszpecę je w ten sposób, niech skóra moja zostanie zdarta pasami, jak w dniu zdrady.

Issaram nie tatuowali ciał ani nie ozdabiali ich rytualnymi bliznami. Jako jednemu z nielicznych ludów zabraniała im tego wiara. Matriarchiści z Imperium postępowali podobnie, lecz nie zabraniali wyznawcom Wielkiego Rodzeństwa kultywowania odrębnych obyczajów. Zbyt głęboko wrosły w ludzkie dusze, by wykorzenić je, nie rozpętując religijnych wojen.

— No i? Kazałaś mi zapomnieć o starym życiu, a teraz mam szukać odpowiedzi w *kendet'h*?

Uśmieszek Małej Kany przerodził się w grymas poirytowania.

— Zapomnieć? Znów nie zrozumiałeś. Głupiec. *Kendet'h* to przecież wasza Droga. A idąc, używa się nóg, nie głowy. Jak myślisz, dlaczego Harudi zakazał wam tatuowania i znakowania ciała? I to tysiąc lat po Wojnach z Niechcianymi. Choć zwyczaj ten nie jest skierowany przeciw nim, zapewniam cię, odpowiedź masz w wersie dwieście osiemnastym. Zacznij wreszcie myśleć, głupcze!

Dwieście osiemnasty wers. Niemal identyczny jak dwieście dwunasty, choć rozwijający zakaz.

I nie pozwól, bym oszpecał ciało rysunkami lub bliznami, które tworzą znaki, tylko Twoje dłonie mogą mnie bowiem objąć, gdy stanę między nimi nagi w dniu Sądu.

… mogą mnie bowiem objąć…

Objęcie. Przełknął ślinę. Miecz zaczął nagle wyglądać nie jak materialny obiekt, lecz jak dziura w powietrzu, pęknięcie w kształcie broni.

— Mówisz prawdę? Ten… *ana'bóg* szykuje się na Objęcie ludzi?

Skinęła głową.

— Tak. Armia, którą stworzy, będzie trudna do pokonania, a dusza każdego jego wyznawcy, choćby zginął dziesięć mil stąd, trafi do niego. Pożre ich dziesięć, dwadzieścia tysięcy na raz i przekroczy pewien próg. Stanie się prawdziwym bogiem.

— Zamierzasz go powstrzymać?

Udało mu się. Zaskoczył ją.

— A po co? Nie jestem od tego, by sprzątać śmieci po ludziach. Wyhodowaliście sobie niby-bóstwo, to pokłońcie mu się albo go zabijcie. Nie. Chcę przypomnieć mu o tym, czym był na początku. I o formie, jaką mu nadano. Furtka i miecz. Chcę, by tym dla mnie został. Mieczem i furtką. Ostatni raz. A potem niech rozpętuje tę swoją wojnę i Obejmuje sobie, kogo zechce.

Czarnowłosa rozejrzała się demonstracyjnie.

— Zapamiętaj to miejsce. Dokładnie. Następnym razem chcę trafić tutaj od razu.

Część II

Uśmiech głupca

Rozdział 1

Obudziła się równo z pierwszymi gongami. Białe Konoweryn witało każdy dzień siedmioma uderzeniami w olbrzymie spiżowe tarcze, zawieszone w najwyższej wieży pałacu. Dźwięk był głęboki, potężny, majestatyczny. Niósł się nad miastem, łamiąc nocną ciszę, oznajmiając wszelkiemu stworzeniu, że oto nastaje kolejny dzień.

I oczywiście bezlitośnie wyrywając ją ze snu.

Tradycja – wyjaśniono jej w pierwszych dniach, powoli i cierpliwie, jak upośledzonemu dziecku. Na pamiątkę Siedmiu Dni Ciemności, gdy słońce nie wschodziło nad światem i tylko Światło Agara dawało ludziom nadzieję. Deana do tej pory zastanawiała się, jakim cudem przełożona Domu Kobiet potrafiła tak zaakcentować wielkie litery, że nawet tłumacz oddawał to w rozmowie, ale Owiya z Baderhe miała najróżniejsze talenty, a mówienie wielkimi literami było tylko jednym z nich. Gdyby kobieta zechciała wysłuchać issarskiej wersji tej legendy, Deana wyjaśniłaby, że zapewne chodzi o Dni Żałoby, w czasie których bogowie zakryli świat kirem, by opłakiwać wszystkich poległych w Wojnach z Niechcianymi. A gdyby chciała się trochę podroczyć z tą nadętą ropuchą, wspomniałaby też, że zrobili to najpotężniejsi Nieśmiertelni pod przewodnictwem samej Wielkiej Matki, więc to dziwne, że Agar nie brał udziału w tym wydarzeniu. Chyba że nie był zbyt ważnym bogiem.

Oczywiście to było dokładnie to, przed czym ostrzegał ją truciciel, ale i tak czasem miała ochotę zrobić coś takiego tylko po to, by sprawdzić, czy przełożoną Domu Kobiet da się wyprowadzić z równowagi. Och, rzecz jasna Owiya z Baderhe potrafiła się wściekać, i to jak. Uśmiechała się wtedy uprzejmie, ściszała głos, składała skromnym gestem dłonie na podołku. Gdy w takim nastroju pojawiała się na korytarzach pałacu, młodsze służki mdlały, a starsze uciekały jak stado myszy przyłapanych przez kota. Jak głosiła plotka, w ciągu ostatnich siedmiu lat trzy z podległych jej dziewcząt popełniły samobójstwo.

Na Deanie Owiya z Baderhe tylko raz wypróbowała swój uprzejmy głos i delikatny, lekko współczujący uśmiech. Było to zaraz po jej pojawieniu się w tej części pałacu. Wymieniły ledwo kilka zdań, i to przez tłumacza, który władał chropawym, kupieckim meekhem, i od razu wiedziały, że się nie polubią. Deana nie potrafiła tego zrozumieć, przełożona Domu wydawała się całkowicie szczera, jej dłonie, twarz i oczy wyrażały tylko troskę. A jednak z każdym zdaniem wyrastał między nimi lodowy mur.

Oczywiście Owiya była pełna podziwu dla jej dokonań, lecz jednocześnie przepełniało ją współczucie dla biednej dziewczyny z gór, którą kaprys losu rzucił tak daleko od domu. To musi być przerażające znaleźć się nagle w tak wielkim mieście. Ulice, wielopiętrowe domy, kanalizacja, akwedukty… Czy jej to nie oszałamia? Czy będzie się dobrze czuła w pałacu? W Konoweryn z pewnością jest wielu jej rodaków, część strażników karawan to Issarowie, pewnie czułaby się lepiej wśród… Ach, książę rozkazał, by mieszkała w Domu Kobiet. Oczywiście. Zaraz przygotujemy komnaty. Czy kazać rozłożyć posłanie na podłodze? Nawet tłumacz, korpulentny urzędnik w lawendowych atłasach, zaczął się w tym momencie pocić i rzucać Deanie przestraszone spojrzenia, ale starsza kobieta była po prostu oazą troski i poczucia obowiązku. Łóżko może być niewygodne dla kogoś… O tak, z pewnością Issaram… dobrze to wymawiam? Issaram znają łóżka. Ten podróżny strój oczywiście spalimy, pustynne robactwo… eee no tak, wypierzemy. I przyślę kogoś, by uszył inne.

Pałacowi *amri* są rzecz jasna do jej dyspozycji. Ile potrzebuje niewolnic?

Niewolnicy…

Wiedziała oczywiście, że tu są, ale nie sądziła, że jest ich aż tak wielu. Suchi wyjaśnił jej po drodze, że w księstwie istnieją trzy główne grupy niewolnych. *Kaihowie*, czyli brudni – najniższa z nich, pracująca w kopalniach i na plantacjach. *Auwini*, popielni – średnia kasta niewolników, zatrudniana zazwyczaj w warsztatach rzemieślniczych, przędzalniach i tkalniach. Oraz *amri*, zwani domowymi – kasta obejmująca niewolników wykształconych w szczególnych umiejętnościach, nauczycieli języków, lekarzy, muzyków, kucharzy, osobistą służbę.

To spośród niewolnych Rody Wojny rekrutowały swoich wojowników, wybierając młodych chłopców i szkoląc ich bezlitośnie przez wiele lat, a w zamian obiecując wolność dla nich i lepszy los dla ich rodzin. Niewolnicy pracowali też na plantacjach, przędli i farbowali jedwab, wznosili

budowle, karczowali dżunglę, karmili, ubierali i podcierali tyłki swoim panom. W Konoweryn miarą wartości człowieka była liczba ozdobionych niewolniczymi obrożami karków, które się przed nim zginały.

Nie. Nie potrzebuje niewolnic. Ani jednej.

Oczywiście. Zapewne w jej wiosce… bo pochodzi z wioski, prawda? W jej wiosce nikogo nie było stać na niewolnika. To zrozumiałe.

Pierwszy raz widziała, by ktoś, uśmiechając się niewinnie, wystrzeliwał w nią szyderstwo za szyderstwem, obelgę za obelgą. Jakby znalazła na drugim końcu świata duchową siostrę Lengany h'Lenns.

Deana odwróciła się w połowie rozmowy i jakby nigdy nic ruszyła w kierunku okna. Ujrzała szok i grozę na twarzach kilku kręcących się w pobliżu kobiet, ale zignorowała je. Nie była niewolnicą, zastraszoną służącą ani książęcą nałożnicą. Znajdowała się poza hierarchią Domu Kobiet, a Owiya z Baderhe nie miała nad nią żadnej władzy. I lepiej, by sobie to od razu uświadomiła.

— Będę gościem księcia tylko przez jakieś trzy lub cztery miesiące — rzuciła, podziwiając rozciągający się za oknem ogród. — Na ten czas potrzebuję odosobnionej komnaty z oknami wyposażonymi w solidne okiennice i zasłony oraz łoża z baldachimem. Drzwi z zamkiem, do którego tylko ja będę miała klucz. Dużo wolnego miejsca do ćwiczeń i własną wannę z taką ilością gorącej wody, jaką sobie zażyczę. Służące tylko do sprzątania i przynoszenia posiłków. Starsze i takie, które mają dzieci. Będą rozsądniejsze.

Zerknęła przez ramię i z niejaką satysfakcją stwierdziła, że udało jej się zirytować tę kobietę.

To znaczy uśmiech Owiyi stał się jeszcze bardziej szczery, a w jej oczach pojawiła się gotowość do służenia.

— Oczywiście — przetłumaczył mężczyzna w lawendowych szatach i z wyraźną ulgą umknął z komnaty.

I tak ostatnie dziesięć dni Deana spędziła w czymś, co można by uznać albo za celę pokutną, albo za więzienie dla wysoko urodzonej szlachcianki. Dostała komnatę w jakiejś zapomnianej przez samego Agara części pałacu, wyposażoną w dwa niezbyt duże, wychodzące na ślepy mur okna, które zamykało się dodatkowo okiennicami, łoże otulone warstwami tiulu i miedzianą wannę. Nic więcej. Nawet stolika, na którym można postawić tacę z jedzeniem.

Okiennice były rozsądnym rozwiązaniem, podobnie jak baldachim, który chronił ją nie tylko przed cudzym spojrzeniem, lecz przede wszystkim przed rojami natrętnych owadów. Jednakże brak mebla, na którym mogłaby usiąść czy zostawić ubranie… Ślady na marmurowej posadzce sugerowały, że jeszcze niedawno pod ścianami stały jakieś komody, a na środku pomieszczenia rozpostarty był dywan, lecz przełożona Domu Kobiet przypilnowała, by jej dziki gość dostał to, czego zażądał.

I nic poza tym.

Przez pierwszy dzień Deana rozważała nawet, czy ma ochotę na małą wojenkę z tą arogancką suką, ale po namyśle stwierdziła, że chyba jednak nie. Za kilka miesięcy będzie w domu i nie było najmniejszego sensu, by toczyć tu podobne batalie. Poza tym jeśli się porządnie zdenerwuje, zawsze może pójść i uciąć jej łeb.

Zamiast tego przeszła się po najbliższych komnatach i zabrała stamtąd niewielki stolik, dwa krzesła i, z pomocą lekko przerażonej służącej, coś w rodzaju małej szafki. Jeśli nawet Owiya dowiedziała się o tej grabieży, to w żaden sposób nie zareagowała. Zresztą po pierwszym spotkaniu Deana jej więcej nie widziała.

Dwie starsze służące przynosiły jej cztery razy dziennie posiłki, zawsze zatrzymując się i pukając do drzwi. Raz dziennie, wieczorem, napełniały także wannę wodą. Kąpiel… W domu korzystała z niej raz, czasem dwa razy w miesiącu, i to wspólnie z kilkoma kobietami. Tu miała wannę dla siebie i możliwość moczenia się do woli. Istniały rzeczy, dla których była gotowa zrzucić maskę dzikiej, twardej jak skała wojowniczki, a codzienna kąpiel stanowiła jedną z nich. Zresztą była także niezbędna z innych powodów, w Konoweryn cały czas panował upał, i to zupełnie inny upał niż na pustyni. Wilgotny, duszny, lepki i odbierający siły. Człowiek w chwilę po założeniu świeżych ubrań miał wrażenie, że tonie we własnym pocie.

Kąpiel była koniecznością.

I przyjemnością, wyciągającą zmęczenie z mięśni, oczyszczającą umysł oraz pozwalającą zapomnieć, że nikt się nią nie interesuje.

Deana nie dostała żadnych wieści od księcia, żadnego zapytania o samopoczucie, zdrowie ani czy jest dobrze traktowana. Jej dni składały się z modlitw, mycia się, posiłków, ćwiczeń z bronią i bez, medytacji, kąpieli i snu.

Ćwiczyła godzinami, najpierw powoli, ciesząc się, że w ogóle może utrzymać *talhery* w dłoniach, potem coraz szybciej i intensywniej. Ciało odnajdowało rytm walki z cieniem, uczyło się nowej broni, odrobinę innej niż jej poprzednie szable. Już czwartego dnia bez problemu, tylko po serii ćwiczeń oddechowych, odnalazła w sobie *sani* i była zdumiona jego siłą. W bojowym transie wykonała serię ćwiczeń zwanych Lot Czapli, a całość zajęła jej ledwo dwadzieścia dwa uderzenia serca, choć bez transu potrzeba na to co najmniej trzydziestu. Tak, z pewnością nabierała sił i nie miała powodów do narzekań.

Tylko że ten tępy, beznadziejny, brzydki jak ropucha głupiec zupełnie ją ignorował. Gdy nachodziły ją takie myśli, Lot Czapli trwał ledwo osiemnaście uderzeń serca. A kąpiel cały wieczór, mimo iż pod koniec woda była ledwo letnia.

Oczywiście wiedziała, że pałac, delikatnie mówiąc, wrze. Czasem pozwalała sobie na krótkie spacery po korytarzach Domu Kobiet, skąd miała widok na rozległy plac przed głównym budynkiem. Posłańcy galopowali tam i z powrotem, starając się nie stratować setek interesantów okupujących alejki, trawniki i główną drogę, światło w oknach książęcej części pałacu nigdy nie gasło, do oddziałów Słowików dołączyli inni wojownicy, jedni odziani w zieleń, a inni w brąz.

Obserwując ich, Deana widziała, jak wszystkie trzy grupy schodzą sobie z drogi, poruszając się po widocznych tylko dla siebie liniach i ignorując nawzajem z ostrożnością ludzi stąpających po tafli szkła. Wyglądałoby to nawet zabawnie, gdyby wszyscy nie nosili broni. Cokolwiek się działo, książę powinien zacząć się martwić.

Tylko właściwie co mnie obchodzą zmartwienia człowieka, który najwyraźniej całkiem o mnie zapomniał?, pomyślała, po raz kolejny budząc się w skotłowanej pościeli. Pod baldachimem, mimo że chronił przed nieproszonymi spojrzeniami i rojami nocnych owadów, było po dwakroć bardziej duszno. Wstała, przeklinając poranne gongi, obmyła się w wodzie po wczorajszej kąpieli i ubrała. Modlitwa, krótkie ćwiczenia, które najlepiej wykonać na pusty żołądek, pukanie do drzwi.

Pukanie. Za wcześnie na służące ze śniadaniem.

Założyła szable, sprawdziła, czy gładko wysuwają się z pochew, i sięgnęła po klucz. Prawie się uśmiechnęła pod nosem. Zachowywała się jak

więzień, któremu coś niszczy rutynę dnia, a to może zwiastować tylko kłopoty.

Tylko że więźniowie zazwyczaj nie noszą broni.

Przekręciła klucz po trzecim, nieco bardziej donośnym pukaniu.

Za drzwiami stała kobieta.

Piękna jak zachód słońca, jak ognista klacz w pełnym biegu, jak pantera wygrzewająca się na skale. Wysoka i zgrabna, miała czerwone, pełne usta, brzoskwiniową cerę i wielkie, ciemne oczy, podkreślone jeszcze cieniami w kolorze nocnego nieba. I właśnie te oczy zdawały się Deanę przeszywać na wylot.

Poczuła ukłucie zazdrości. Ktoś, kto ma taką twarz, jednym uśmiechem rzuci sobie do stóp każdego mężczyznę. Taka twarz to broń, miecz i tarcza jednocześnie.

Bogowie bywają niesprawiedliwi.

Jednak teraz uśmiech przybyłej przypominał szczerzące się zęby wściekłego psa. No cóż. Deana zerknęła na korytarz, były tu tylko we dwie.

— Jestem Varala z Omeru. — Kobieta odezwała się pierwsza. — A ty to Deana z Issaram.

Mówiła meekhem, ale to już nie wydawało się dziwne. Czy zresztą mogło być inaczej w księstwie, które zbudowało swoją potęgę na handlu z Imperium?

— Tak.

— Przyszłam cię zobaczyć. Zanim wyjadę.

— Wyjeżdżasz?

— Tak. Po nowe dziewczęta. A ty masz się trzymać z daleka.

— Od czego?

— Od niego.

Absurd tej sceny zaczął do niej docierać dopiero w tej chwili.

— Wejdziesz? — Przypomniała sobie o gościnności.

Tamta pokręciła głową i spojrzała na nią z jawną pogardą.

— Słyszałam plotki. On nie jest dla ciebie. I nigdy nie zajmiesz mojego miejsca. To, co było na pustyni… zostało na pustyni. Ocaliłaś mu życie, dostaniesz swoje złoto i wyjedziesz. Rozumiesz?

Teraz zrozumiała. Piękna nieznajoma w, przyjrzała się lepiej, szatach wyglądających jak skrojone do darcia przez niecierpliwe męskie ręce odwiedza dziką, pustynną lwicę – która ocaliła życie młodemu księciu – by

zaznaczyć swoją pozycję i ustalić hierarchię. Czy będą teraz walczyć, piszcząc i szarpiąc się za włosy?

— Wiesz — nie kryła rozbawienia — w moich stronach, jeśli dwie kobiety pragną jakiegoś mężczyzny, czasem w ruch idą szable. A tu? Będziemy się pojedynkować na… kręcenie tyłkami?

Varala spojrzała jej w oczy i nagle w komnacie zrobiło się bardzo zimno.

— Nie doceniasz mnie. A może już mnie oceniłaś i uznałaś, że możesz sobie pozwolić na lekceważenie? Coś mi się wydaje, że nie przeżyjesz zbyt długo w pałacu, moje biedne, dzikie dziecko…

Uśmiechnęła się jeszcze raz, a Deana spojrzała na nią nagle inaczej. To „dziecko” nie było wcale obelgą. Kobieta była od niej o wiele starsza, niż zdawało się na pierwszy rzut oka. Miała nie dwadzieścia kilka lat, nie trzydzieści. Mogłaby być jej matką.

— Jestem Pierwszą Nałożnicą księcia. To ja decyduję, gdzie zasieje on swoje święte nasienie, i wolałabym już, jeśli wybaczysz szczerość, by rozsmarował je na prześcieradle. Przyszłam cię ostrzec. Nie próbuj go przywiązać do siebie wdzięcznością. Nie staraj się zyskać czegoś, czego nie utrzymasz w dłoniach. Nie będzie mnie przez jakiś czas, lecz po powrocie nie chciałabym musieć… rozwiązywać waszych problemów.

Deana odpowiedziała jej wzruszeniem ramion.

— Nie spałam z żadnym księciem. — Dziwne, ale nie czuła, żeby kłamała. — I nie mam zamiaru tego zmieniać. Jestem *awyssą* w trakcie pielgrzymki, a kiedy szlaki na powrót staną się drożne, wrócę do siebie. Zadowolona?

Zamknęła jej drzwi przed nosem.

Tak, jak zrobiłaby to każda nieokrzesana dzikuska.

Po kilkudziesięciu uderzeniach serca znów rozległo się pukanie. Otworzyła je gniewnym szarpnięciem i zamarła na widok drobnej postaci posyłającej jej łobuzerskie mrugnięcie. Samiy.

— Niespodziafka — oznajmił dumnie w języku Issaram, szczerząc się od ucha do ucha.

— Niespodzianka — poprawiła, uśmiechając się szeroko. — Prawdziwa niespodzianka.

— Praw… dziwa?

— Tak. Prawdziwa. Gdzie twój pan?

Zamachał rękami i uśmiechnął jeszcze szerzej, w mowie ciała przekazując coś w stylu: „Nie wiem, co do mnie mówisz, ale cieszę się, że cię widzę”.

— Jeśli pytasz o księcia, to śpi. — Suchi wyłonił się z najbliższego cienia. Nosił barwy pustynnego pająka, wyszywaną złotą nicią kamizelkę, białą koszulę i białe spodnie. — Po raz pierwszy od czterech dni. Co prawda zażądał ode mnie kolejnej porcji *kalei*, ale odmówiłem. Co by był ze mnie za truciciel, gdybym zabijał ludzi przypadkiem. Jak się czujesz?

— Nie najgorzej. Choć myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli. No, może oprócz tej kobiety, która tu była przed chwilą.

— Varali? Minąłem ją na korytarzu i miała taką minę, że szczerze mówiąc, spodziewałem się, że zastanę tu twojego trupa. Była kochanką starszego księcia, a teraz jej pozycja jest niepewna. Przynajmniej dopóki nie wskoczy do łoża nowemu. Po co przyszła?

To wyjaśniało cel zagadkowej wizyty. Obowiązki zmuszały Pierwszą Nałożnicę do opuszczenia pałacu, więc przyszła… zabezpieczyć sobie powrót. Deana machnęła ręką na znak, że sprawa nie jest ważna.

— Psy znaczą swoje terytorium. Niektóre zupełnie bez potrzeby.

— Dobrze. — Suchi najwyraźniej uznał, że skoro obie przeżyły spotkanie, nie warto drążyć tematu. — I nie, nie wszyscy o tobie zapomnieli, ale mamy tu taki mały problem związany z przejęciem władzy tak, by nie trzeba było czyścić wszystkich ścian z krwi. Może nawet nam się uda. Rody Trzciny i Bawołu potwierdziły swoją lojalność, a lokalne świątynie ślą posłańców, deklarując wierność. Wszyscy zaś robią to z taką gorliwością, że kazałem księciu jeść tylko świeżo zerwane owoce i pić dopiero co zaczerpniętą wodę. Oraz sypiać co noc w innej komnacie. A co u ciebie? Poznałaś już Owiyę?

— Tak. Nie lubi mnie.

— Ależ skąd. Gdyby cię nie lubiła, spałabyś w chlewie i jadła resztki po świniach. Uwierz mi. Możemy wejść?

Bez ceregieli wpakowali się do środka. Samiy wskoczył na łóżko i wyciągnął się na całą długość, truciciel przycupnął na skraju krzesła.

— Naprawdę jej zaimponowałaś. Własna wanna, łoże… no, no. Nudzisz się?

— Nie. Uwielbiam tkwić całymi dniami w jednym miejscu.

Chłopak przewrócił się na brzuch, podparł głowę rękoma i powiedział kilka słów, unosząc jednocześnie brwi.

— Pyta, czy wymienicie się językami.

— Wymienimy?

— Wybacz, on pochodzi z Caldihów, a oni, oprócz tego, że są znakomitymi poskramiaczami słoni, myślą zawsze w kategoriach handlu. On pyta, czy nauczysz go issarskiego w zamian za lekcje *suanari*.

— A co to jest?

— Język ulicy, język miasta, język księstwa. W *suanari* dogadasz się wszędzie, w stajni, na targu, w karawanie i porcie. Oczywiście nie może ci zaproponować nauki *geijv.* Mowa Ognia to język pałacu, mowa urzędników i kapłanów. Nie mogą nią władać cudzoziemcy.

Deana zerknęła na jednego i drugiego. Obaj mieli absolutnie niewinne miny.

— On was przysłał, prawda?

— Kto?

— Książę. Zamierza mi dać zajęcie, żebym nie narobiła kłopotów. Nauka języka? Czemu nie haftowania?

— Może dlatego, że haftować już umiesz. Tak przynajmniej można by sądzić na podstawie tego, że sama szyjesz swoje stroje. Poza tym, nie. Nie przysłał nas i nie wzdychaj z takim rozczarowaniem.

— Ja nie…

— Książę pytał o ciebie. Przy mnie chyba z dziesięć razy. Gdyby tego nie robił, ktoś z dworu już spróbowałby cię wykorzystać w jakiejś intrydze, lecz póki wiadomo, że Laweneres poświęca ci choć uncję uwagi… Boją się. Na razie, oczywiście. A my, odkąd przyjechaliśmy, toczymy grę z kapłanami, cechami kupieckimi i *af'gemidami* Rodów Wojny. Religia, handel, polityka, żądza władzy. Książę Obrar Płomienny z Kambehii przysłał ambasadora z pytaniem, czy może poddać się próbie w Oku. Kolejnego. *Af'gemid* Rodu Słowika prosi o pozwolenie na wyprowadzenie dwóch tysięcy ludzi do Manakowen. — Truciciel odginał kolejne palce, jakby miał problemy z liczeniem. — *Af'gemid* Bawołów chce zgody na objęcie Wyniesieniem *kaihów* albo na prewencyjne oczyszczanie. Manihi nawet w najgorszych snach nie przewidywał, że będziemy mieć tylu brudnych. Trzciny są przeciw, żądają łapanki i wysłania ludzi do kopalń, choć skarbiec księstwa może tego nie wytrzymać. Szpiedzy na dworze Demenayi donoszą, że

wśród *auwinih* szerzy się matriarchizm i na dodatek nie unikają oni kontaktów z brudnymi. Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

— Najmniejszego.

Złożył dłonie w piramidkę, gest, który widziała już u księcia.

— A to tylko garść raportów i kłopotów, jakie Laweneres musi rozwiązać, i to tylko z jednego dnia. Nie bocz się więc, tylko wykorzystaj szansę. *Suanari* to prosty, powszechnie używany język. Powinnaś go szybko opanować, bo częściowo wywodzi się ze starożytnej odmiany issarskiego.

— Naprawdę?

— O tak. Choć może przesadziłem z tym wywodzeniem się. Kiedy szalony prorok narzucił wam noszenie zasłon i inne dziwactwa, część twoich kuzynów uciekła na południe — jak rozumiem, mieli do wyboru emigrację albo miecz — i wyobraź sobie, trafili do nas. — Oczy Suchiego błysnęły zimnym błękitem. — Wtedy nie było, rzecz jasna, jeszcze królestw Daeltr’ed, ta nazwa powstała dobre tysiąc lat później, lecz twoi pobratymcy dołączyli swoją krew do naszej. I język też. Ale wiesz, minęło już dwa i pół tysiąca lat, więc nie spodziewaj się wiele.

— To dużo czasu. Nawet dla legend i mitów. Nie muszą mówić prawdy.

— Racja. Dlatego cywilizowane ludy mają biblioteki, gdzie gromadzą wiedzę o swojej przeszłości. Oraz, przy okazji, całą masę śmiecia, takiego jak traktaty filozoficzne czy poematy. Tutejsza biblioteka jest największa na świecie, a przynajmniej na południe od Anaarów, więc jeśli wyczytałem w niej historię o wygnańcach z północnej części Travahen, którzy uciekali przed religijnymi fanatykami, to w nią wierzę.

Deana mimo wszystko poczuła coś w rodzaju podziwu. Ten człowieczek najwyraźniej niczego się nie bał.

— Wiesz, że gdybyś przy innym Issaram nazwał Harudiego szalonym prorokiem, a jego uczniów fanatykami, mógłbyś mieć już obcięte to i owo?

— Tak słyszałem. Ale ty jesteś trochę inna niż twoi pobratymcy. Jakbyś nosiła więcej niż jedną maskę — mruknął cicho, a ją uderzyła zawarta w tych słowach prawda. — To jak, zrobicie wymianę? *Suanari* w zamian za issarski?

— *Suanari* to powszechny język?

— Owszem.

— I każdy tu nim mówi?

— Tak. Nawet Laweneres.

— Hm, język Issaram jest rzadki, starożytny i cenny. Nie jestem pewna, czy to dobra wymiana.

Suchi uśmiechnął się, najwyraźniej świetnie się bawiąc tymi targami i przetłumaczył. Po czym wysłuchał odpowiedzi.

— On się zgadza. Mówi, że dołoży jeszcze lekcję języka kornaków i zdradzi ci sekretne przejście do kuchni.

— Po co mi język jeźdźców słoni? A do kuchni nie muszę się przekradać. Mam więcej jedzenia, niż mogę zmieścić w brzuchu.

Chłopak musiał domyślić się jej odpowiedzi, bo wyrzucił z siebie serię słów, nie czekając na tłumaczenie. Suchi zacmokał, zdziwiony.

— No, no. Musi mu zależeć. Powiedział, że jak się zgodzisz, przedstawi cię Mamie Bo. A wierz mi, to zaszczyt. Nawet ja czekałem na to dobre dziesięć lat. Radzę się zgodzić, chyba nie chcesz go obrazić?

Spojrzała na Samiyego, który pierwszy raz, odkąd uratowali się z niewoli, wyglądał na spiętego i bardzo poważnego.

— Czy to znaczy, że stąd wyjdziemy?

— Tak.

— Więc powiedz mu, że jestem zaszczycona.

* * *

Wymknęli się bocznym wejściem, zupełnie zignorowani przez strażników, jakby towarzystwo truciciela i książęcego kornaka wystarczyło za przepustkę. Lekcje rozpoczęli po drodze, rzucając nazwy mijanych przedmiotów w obu językach. Wymieniając się nimi, jak to określił Samiy.

— *Koras*. — Machnęła dłonią na okno

— *Lance*.

Pokazała lampkę oliwną.

— *Ubiy loua*.

— *Soaganreh*.

Podłogę.

— *Waaih*.

— *Chah*.

I tak dalej. Chłopiec miał znakomitą pamięć, błyskawicznie powtarzał każdy wyraz i to z odpowiednim akcentem. Deana przez dłuższą chwilę bawiła się tym „handlem”, znalazła nawet kilka słów, które zdawały się

potwierdzać informację o issarskich odszczepieńcach, którzy nie podporządkowali się Prawom Harudiego. *Naurin* – sprzączka od pasa, nazywała się tu *nauren*, a pochwy szabel *gowari*, zamiast *koawari*. Zgodnie z Prawem wystarczyły cztery pokolenia mieszania krwi z obcymi i nieprzestrzegania tradycji, by przestać być Issaram, a tu minęło ich kilkadziesiąt, więc nawet tytuł kuzynów zupełnie nie pasował do tych ludzi, choć to, że zapamiętali tak odległe wydarzenia, dobrze świadczyło o ich zbiorach ksiąg. Nabrała ochoty na odwiedzenie konowerskiej biblioteki, choć wiedziała, że przyda jej się do tego tłumacz, więc będzie musiała namówić Suchiego, by jej towarzyszył.

— Daleko jeszcze?

— Zagrody słoni znajdują się pół mili od pałacu, za tym zagajnikiem. — Truciciel wskazał rzędy starannie wypielęgnowanych drzew. — Dzięki temu nie czuć smrodu, a ich trąbienie nie jest zbyt uciążliwe. No i młode mają dość miejsca do zabawy. Inaczej wszyscy nasi ogrodnicy popełniliby samobójstwo z rozpaczy. — Uśmiechnął się. — Słonie… Powiadają, że na ich barkach wzniesiono wszystkie budowle księstwa. Karczowały dżunglę, przenosiły pnie drzew, przesuwały głazy. Teraz robią to samo, a gdy nadciąga wojna, przywdziewają zbroje i ruszają do walki, otoczone przez oddziały *nuawachi*.

— Kogo?

— Lekką piechotę, procarzy, oszczepników i łuczników, najczęściej pochodzących z rodzin kornaków. Nikt nie walczy tak zawzięcie w obronie swoich zwierząt jak oni. Żadna jazda nie zaatakuje oddziału słoni, a żadna piechota nie wytrzyma szarży tych olbrzymów. A kiedyś… kiedyś biała słonica była czymś więcej niż tylko świąteczną atrakcją. I niektórzy nadal o tym pamiętają — zawiesił znacząco głos.

— Znów mnie ostrzegasz?

— Owszem. — Mężczyzna wskazał na podskakującego radośnie Samiyego. — Issarowie nie słyną z taktu, lecz złamiesz mu serce, jeśli okażesz pogardę dla tego, co ceni.

Otoczyły ich drzewa o szerokich liściach, spod których zwieszały się kiście różnobarwnych owoców. Wszędzie wokół rosły krzewy przycięte w regularne wzory, krążyły stada motyli i setki ptaków, kolorowych jak tęcza i wrzeszczących wniebogłosy ochrypłymi głosami. Pod drzewami przechadzali się w skupieniu ludzie ubrani w obcisłe koszule i spodnie do

kolan, na głowach nosili szerokie kapelusze. Żaden nie oderwał wzroku od ziemi, nawet gdy prawie na jednego wpadli.

— Co oni robią?

— Zbierają ptasie kupy.

Dopiero teraz zauważyła, że każdy z nich ma tkany z gazy woreczek, wypełniony drobnymi, ciemnymi kulkami.

— Po co?

— Na *anwayę*. To napój robiony z ziaren *vaolei*. — Truciciel wskazał kiść owoców. — Same owoce są trujące, choć można z nich uzyskać napar o lekkich właściwościach pobudzających. Surowe ziarno również nie nadaje się do niczego. Za to jeśli owoc zostanie zjedzony przez papugę, a potem wydalony, pojawia się *gri*, wpół przetrawione ziarno, z którego soki żołądkowe ptaka wyciągnęły całą truciznę, zostawiając tylko esencję. *Anwaya* to książęcy rarytas, lekko gorzka, z posmakiem wanilii, ożywia umysł i ciało, przydaje sił witalnych, przepędza złe myśli.

Ominęli kolejnego zbieracza ptasich odchodów.

— To specjalnie sprowadzone drzewa i specjalnie dobrane ptaki. A uncja *gri* kosztuje swoją wagę w srebrze. Nie dziw się więc, że nas ignorują. O, są zagrody.

Zagrody słoni wyglądały jak gotowy do odparcia szturmu obóz warowny. Rów z kolcami na dnie, palisada z grubych na dwie stopy pni, wieżyczki strażnicze, brama, która sprawiała wrażenie odpornej na uderzenia ciężkiego tarana. Wszystko to ciągnęło się na kilkaset stóp w każdą stronę.

Samiy rozłożył ręce na boki, jakby mówił „To jest moje”. Uśmiechał się szeroko.

— No dobrze, prowadź. — Deana skinęła głową, wskazując bramę. — To w końcu twój dom.

Wprowadził ich małą furtką umieszczoną z boku głównego wejścia wprost na spory dziedziniec. Kilku kręcących się po nim mężczyzn pozdrowiło go serdecznymi uśmiechami, lecz najwyraźniej widok trucicielа i issarskiej kobiety powstrzymał ich od zbliżenia się. Zresztą mieli zajęcie, jedni zgarniali łopatami i ładowali do worków olbrzymie kule łajna, inni polewali wodą i szorowali kamienne płyty. Zza najbliższego budynku dobiegło głośne trąbienie.

Samiy skierował się w tamtą stronę. Minęli kolejne olbrzymie drzwi i znaleźli się w pomieszczeniu, które pod względem rozmiarów przypominało salę tronową. Jeżeli znalazłaby się gdzieś sala tronowa z glinianą posadzką posypaną słomą. Strumień światła wpadający przez wrota rozkrawał ją na pół, pogłębiając cienie po obu stronach stajni i utrudniając dokładną ocenę wielkości.

Chłopiec pobiegł w lewo i znikł w tych cieniach. Po chwili wynurzył się, uśmiechając szelmowsko i machając ręką. „Chodźcie”. Potem cofnął się pod ścianę.

Suchi pchnął ją lekko do przodu.

— Idź, to twoja audiencja.

Deana czuła, że to podstęp. Do licha, mężczyzna miał tak niewinną minę, jakby podawał jej właśnie puchar wypełniony wszystkimi znanymi sobie truciznami, a Samiy wyglądał niczym dzieciak trzymający za plecami zdechłego szczura. Poza tym w cieniu coś się ruszało i bulgotało.

No cóż, podobno Issaram niczego się nie boją.

Strumień wody trafił ją w pierś, gdy znalazła się ledwo trzy kroki od chłopca, i momentalnie przemoczył. Nie zaklęła, nie odskoczyła ani nie wyszarpnęła broni. Spokojnie zrobiła te trzy kroki i po wejściu w cień stanęła oko w oko z majestatem.

Trudno było ocenić wielkość tego słonia. Na pierwszy rzut oka był większy nawet od Maahira, wyższy i masywniejszy. Olbrzymie uszy wyglądały jak niewielkie żagle, niemal proste ciosy sięgały ziemi, a zwisająca między nimi trąba przypominała powykręcany konar wiekowego drzewa. I był stary. Pomarszczona skóra zwisała luźnymi fałdami, w uszach widniało kilka sporych dziur, ciosy pożółkły i zmatowiały. A mimo to czuło się bijącą od niego potęgę, siłę, spokój i piękno, jakie rzeźbi długie, mądre życie. Bo w oczach zwierzęcia, ciemnych, okolonych gęstymi rzęsami, dostrzegało się mądrość i radość. I odrobinę złośliwego humoru.

— Mama Bo, jak sądzę?

Kpiące parsknięcie i lekkie tupnięcie przednią nogą musiały Deanie wystarczyć za odpowiedź. Szary wąż trąby sięgnął do *ekchaaru*, dziewczyna przytrzymała go delikatnie dłonią.

— Odwróćcie się. Natychmiast.

Truciciel, który domyślił się, co ma zajść, odwołał Samiyego kilkoma nerwowymi słowami. Dała im dziesięć uderzeń serca i powoli zdjęła

zasłonę.

Patrzyły na siebie przez chwilę, wiekowa słonica i dziewczyna z górskiego plemienia. Koniuszek trąby delikatnie dotknął jej policzka, nosa, ust. Potem uniósł się w górę i wydał z siebie grzmiący ryk.

Z zewnątrz odpowiedziały mu inne słonie.

Deana zakryła twarz i odwróciła się. Mężczyzna i chłopiec stali do niej tyłem z opuszczonymi głowami. Prawie się zaśmiała na tak demonstracyjną ostrożność.

— Możecie już patrzeć.

Podnieśli głowy i szeroko się uśmiechnęli. Obaj.

— Co to znaczyło? To trąbienie.

— Mama Bo cię zaakceptowała. Polubiła nawet.

— A gdyby mnie nie polubiła?

Suchi wzruszył ramionami.

— Pewnie zeskrobywalibyśmy twoje resztki z podłogi.

— Oczywiście.

Podeszli do słonicy we trójkę. Samiy złapał ją za ucho, oparł stopę o podniesioną nogę i w kilku szybkich ruchach znalazł się na karku kolosa. Mama Bo parsknęła, nabrała wody z cebrzyka i ochlapała go, wywołując wybuch dzikiego śmiechu. Deana podeszła i przyjrzała się słonicy bliżej. Jej skóra miała dziwny kolor, jakby jasnoszary z odcieniem różu. Dotknęła boku zwierzęcia, spodziewając się, że na palcach pozostanie jej ślad farby.

— Ona jest biała — wyjaśnił Suchi.

— Raczej szaroróżowa.

— Czyli biała. Taki właśnie kolor mają białe słonie, a jeśli mamy szczęście, rodzą się raz na kilkadziesiąt lat. Takie zwierzęta symbolizują szczęście, porządek i harmonię, są rzadkie i bezcenne. Dlatego Mama Bo nie bierze udziału w dalekich wyprawach ani w wojnie, bo mogłaby zginąć, i spędza większość dnia pod dachem, bo jej skóra źle reaguje na słońce. Ma już pięćdziesiątkę, lecz jest jedynym takim słoniem w całym księstwie. Podobno w Aiszi mają jeszcze jednego, ale nigdy go nie pokazują, więc raczej wątpię.

— Pięćdziesiąt lat to dużo?

— Jak na słonia, owszem. Nie jest jeszcze konająca, ale nie rodzi już młodych, a jej rolą jest przewodzenie stadu. Lecz większość książęcych słoni to jej dzieci, wnuki i prawnuki, więc musimy wzbogacać ten ród zwie-

rzętami z innych miast. No i dwa razy do roku idzie na czele Pochodu Kwiatów, obwieszona białymi liliami, prowadząc dwadzieścia największych słoni księcia. To jej święto. Najbliższe jest za trzy miesiące, może je jeszcze zobaczysz.

— Może.

Truciciel wpatrywał się w nią, mrużąc oczy.

— Ty nie rozumiesz, co tu zaszło, prawda?

— Poza tym, że zostałam opryskana wodą?

— Nie. Naprawdę nie rozumiesz? — Pokręcił głową wyraźnie rozbawiony. Poklepał pomarszczoną nogę słonicy. — To Mama Bo. Matka, babka i prababka słoni z Białego Konoweryn, które są z nami równie długo, jak sam Agar. Pisma mówią, że słonie walczyły u naszego boku w wojnach przeciw Niechcianym i jest to ich nieprzerwana linia rodowa trwająca od wieków. Do licha, zdążyliśmy tymczasem zmienić kilkanaście dynastii, nawet Krew Agara włada księstwem ledwo od tysiąca lat. Ale drzewa rodowe książęcych słoni są dłuższe niż wszystkich tutejszych arystokratów razem wziętych. Stoisz przed żywą legendą, spadkobiercą setek pokoleń i nadzieją dla setek następnych. Sądzisz, że każdy może sobie tak tu wejść i…

— Zostać oblanym wodą?

Popatrzył na nią martwym wzrokiem.

— Właściwie po co ja ci to mówię. To jakby… cholera, nie da się tego przetłumaczyć, nie tracąc większości sensu. Sypać sól do morza, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

Przechyliła lekko głowę.

— Wiem. I nie martw się, wiem, jaki to zaszczyt. — Poklepała szaroróżowy bok. — Ona jest wspaniała. Wielka, piękna, silna. W górach powiedzielibyśmy *onous*, i też ci tego nie przetłumaczę. Tak mówimy na widok sunącego nad ziemią czoła burzy piaskowej, potężnego, lecz zapierającego dech w piersiach, albo gdy ktoś wykona szczególnie trudny, niemal niemożliwy cios. I ona taka jest, niemal niemożliwa, potężna i wspaniała. *Onous*.

Jego spojrzenie zmiękło.

— No proszę. Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Słoń potrząsnął głową, sapnął, zagulgotał i puścił głośnego bąka.

Deana wstrzymała oddech, ale nawet przez *ekchaar* zapiekły ją oczy. Wymieniła spojrzenie z trucicielem i – wciąż z zaciśniętymi ustami –

wyszli na zewnątrz.

— Czy to też było *onous*? — zapytał, łapiąc spazmatycznie oddech.

— O tak. Zdecydowanie *onous*. Burza piaskowa się nie umywa. — Zwalczyła chęć uchylenia *ekchaaru* i wzięcia kilku głębokich oddechów. — Mówisz, że używacie ich na wojnie.

— Cały czas. Niewiele jest rzeczy, które wytrzymają szarżę bojowych słoni.

— A jesteś pewien, że stawiacie je właściwym końcem w kierunku wroga?

* * *

Ten dzień był pełen zaszczytów. I to takich, które przypadły jej w udziale, bo truciciel wymamrotał coś o obowiązkach i szybciutko znikł, zostawiając ją w towarzystwie chłopca, jego krewnych i wiekowej słonicy. Deana miała zatem zaszczyt napełnić poidło Mamy Bo, umyć jej boki i tylne nogi, załadować do worka kilkadziesiąt kul słoniowego łajna i wymienić słomę w połowie stajni. Stara słonica patrzyła na nią – dziewczyna była gotowa przysiąc – z łagodnym rozbawieniem i dwa razy pchnęła niespodziewanie trąbą, przewracając Deanę na ziemię.

Samiy wyjaśnił, głównie za pomocą gestów, że to wielki zaszczyt być przewróconym przez takiego słonia. Jeżeli dobrze zrozumiała, zaszczyt polegał na byciu przewróconym i niewdeptanym w klepisko.

Pod wieczór miała już serdecznie dość zaszczytów.

Ale była też w dziwny sposób zadowolona. Przez cały dzień nawet przez chwilę nie pomyślała o księciu i o tym, że wszyscy o niej zapomnieli, a ból mięśni zwiastował przyjemność, jaką przyniesie gorąca kąpiel i długi, głęboki sen. No i zauważyła, że spojrzenia kręcących się wokół ludzi stały się mniej obojętne, dostrzegła kilka uśmiechów, ktoś podał jej szczotkę na kiju, ktoś pomógł wrzucić worek łajna na wózek. Miło było poczuć się częścią grupy.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wyprowadzono Mamę Bo do reszty książęcych słoni. Za stajnią znajdował się olbrzymi plac, na którym w mniejszych lub większych grupkach stało około czterdziestu zwierząt. Weszli tam we trójkę, ona, Samiy i biała słonica, i Deana była świadkiem najdziwniejszej ceremonii, jaką w życiu widziała.

Stara słonica zatrzymała się na środku, a reszta stada zaczęła do niej podchodzić i się witać. Nie bezładnie, lecz według dającej się rozpoznać hierarchii. Najpierw samice z dziećmi, następnie samce, z Maahirem na czele, potem dopiero młode, różnej płci i wielkości. Jakby władczyni udzielała audiencji swoim poddanym.

Mama Bo była prawdziwą królową.

Gdy Deana wróciła do swojej komnaty, gorąca kąpiel już na nią czekała. Podobnie jak dywany, kilka mniejszych i większych szaf, trzy duże lustra na ścianach, kilka krzeseł i stół z całą armią półmisków i karafek gotowych do boju.

Oraz gość.

Zatrzasnęła drzwi, wypychając Samiyego na zewnątrz. Sprawdziła te szafy, w których mógłby się ktoś skryć, zamknęła starannie okiennice i zapaliła kilka lamp.

Przez cały ten czas Laweneres siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach i milczał. Drgnął, dopiero gdy przed nim stanęła.

— Mam dla ciebie prezent — odezwał się cicho, wskazując leżący przed nim drobiazg.

Wzięła podarek, niewielki wysadzany rubinami złoty wisiorek w kształcie płomienia.

— Ładny — mruknęła, kładąc błyskotkę na stole. — Zawsze przepraszasz kobiety klejnotami?

— To nie klejnot, tylko klucz. Gdy pokażesz go komukolwiek w pałacu, wskaże ci drogę do moich komnat. W dzień czy w nocy.

Nie odezwała się, uznając, że wspomnienie o nocy nie kryło w sobie żadnej głupiej aluzji.

— Tylko kilka osób ma podobne — wyszeptał. — Wielki Kohir, Suchi, dowódca straży. Ufam ci.

To proste wyznanie musnęło jej serce, więc parsknęła tylko kpiąco i zmieniła temat.

— To twoja zasługa? — rzuciła, ściągając *talhery* i wieszając je na oparciu. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, uściśliła. — Ten cały zbytek.

Po raz pierwszy uniósł głowę i uśmiechnął się niepewnie. Drgnęła.

— No, no, wyglądasz jak ktoś, kto właśnie zakończył *neehas* — dodała szybko, żeby ukryć wrażenie, jakie robił widok jego twarzy, wychudłej, z podkrążonymi oczami i woskowatą skórą.

— A co to takiego?

Głos też miał w nie najlepszym stanie.

— Post, będący pokutą za jakieś mniej poważne wykroczenie. Najczęściej trwa miesiąc. W tym czasie pokutujący dostaje raz dziennie kromkę chleba, a co drugą noc spędza na modlitwie i czuwaniu.

Słaby uśmiech stał się nieco marzycielski.

— To znaczy, że co drugą noc można się wyspać?

Skrzywiła się, zirytowana.

— Głupiec.

Kilka chwil zajęło jej znalezienie małego dzbanuszka, z którego rozchodził się intensywny, gorzki zapach z lekką nutą wanilii. Deana nalała ją do kielicha – *anwaya* wypełniła puchar głębokim brązem – i wcisnęła księciu naczynie w dłoń.

— Wypij, podobno pobudza.

Objął puchar drżącymi rękoma. Uśmiechnął się.

— Pierwszy raz będę pił *anwayę* z kryształu do wina. Zazwyczaj podaje się ją w porcelanie.

— Pij. Wyobraź sobie, że jesteśmy na pustyni i nie mamy innych naczyń.

Uśmiech zgasł.

— Czasem bym chciał… naprawdę chciał… wrócić na pustynię. — Laweneres umoczył usta, skrzywił się. — Piję ją od kilku dni bez przerwy. Już nie działa. A ty? Nie chcesz?

Przed oczyma stanęły jej stada ptaków i ludzie w szerokich kapeluszach.

— Nie. Nie mam ochoty. Pytałam, czy to twoja zasługa. Te dywany i reszta.

Pokręcił głową.

— Nic o tym nie wiem. Ale w południe usłyszałem plotkę, że poszłaś do Mamy Bo. Dla jednych to niemal bluźnierstwo, dla innych dowód, że jesteś wybrana. Najwyraźniej Owiya należy do tych drugich. Choć nie spodziewaj się, że kiedykolwiek się do tego przyzna.

Deana usiadła naprzeciwko mężczyzny, sięgnęła po półmisek z ryżem i owocami. Tutejszy ryż był inny niż ten, który Issaram kupowali od kupców z Południa, biały i czysty, bez łusek i twardych ziaren. Trochę brakowało jej tamtego.

Zdjęła *ekchaar* i zaczęła jeść.

— To nie jest zła kobieta. To chciałeś powiedzieć, prawda?

— Tak. Nie jest zła. Jest… trochę jak Mama Bo. Lubi wiedzieć, gdzie i na jakim miejscu każdy się znajduje. Hierarchia, pozycja, ważność. Ona jest przełożoną Domu Kobiet, więc wszystkie kobiety, które tu się znajdą, są pod jej komendą… No, może poza Varalą, i teraz tobą.

— Varalą? Tą, która mnie dziś odwiedziła?

Drgnął, jakby zaskoczony. Zmarszczył brwi.

— Tego nie wiedziałem. Najważniejsza kobieta w pałacu odwiedza cię osobiście. — Pokręcił głową, jakby się rozglądał. — Przegapiłem jakiegoś trupa?

Prychnęła, ignorując żart.

— Najważniejsza?

— O tak. To ona, wraz ze Świątynią Ognia, Biblioteką i Rodami Wojny, decyduje, która z młodych kobiet jest wystarczająca czysta, nieskalana i pobożna, by urodzić kolejnego księcia. Która ma wystarczająco czystą krew, by zostać matką kolejnego Płomyka. Do tej pory nie interesowała się mną w taki sposób, to mój brat miał wziąć na… powiedzmy, barki, ten… powiedzmy, ciężar. W każdym razie Owiya ma z tobą pewien kłopot, nie może ci rozkazywać ani usunąć z pałacu, lecz najwyraźniej cię lubi.

— Lubi?

— Gdyby nie lubiła, spałabyś w chlewie ze świniami.

Deana westchnęła ciężko.

— Dziwne. Suchi powiedział mi to samo.

— Bo jest mądry. — Książę dopił swój puchar, westchnął. — To już nie działa. Wiesz, że ten drań pozwolił mi dziś spać prawie do południa?

— Słyszałam. To dlatego mógł do mnie przyjść?

— Pewnie tak. Mówił, że szybko wracasz do sił… Ćwiczysz.

— Odrobinę. Dziś na przykład przeniosłam kilka worów łajna i umyłam połowę słonia. Tylną połowę. To dobre ćwiczenie. Co przypomina mi, że muszę wziąć kąpiel.

Nic nie powiedział, tylko lekko przechylił głowę, nasłuchując. Było w jego postawie takie pragnienie, głód i tęsknota, że Deana zawahała się, ściągając wierzchnią szatę.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Słucham… patrzę… czasami, gdy wyjdę nagle z ciemności w światło… albo rano nagle otworzę oczy, mam wrażenie, że widzę… albo sobie

przypominam, jak to jest widzieć. Dużo bym dał, żeby móc cię teraz zobaczyć. Kilka lamp, lustra odbijające ich blask, woda parująca w wannie, i ty. Obok. Naga.

— Nadal mam na sobie ubranie. — Zrzuciła resztę szat i wsunęła się do wody. — I lepiej żebyś przestał mnie podglądać. Nawet w myślach.

Zaśmiał się, cicho, szczerze, a ona nagle zatęskniła do tego śmiechu, który ostatni raz słyszała w pustynnej jaskini, gdy spodziewali się, że nie przeżyją następnego dnia.

— Trudny dzień?

— Owszem. Obrar Płomienny nalega na swoją próbę w Oku. Przypochlebia się, grozi i przekupuje ludzi, by na mnie wpłynęli.

— Skąd wiesz?

— Bo ci, którzy dziesięć dni temu byli przeciwni jego próbie, dziś mówią, że to może nie najgorszy pomysł. Kambehia stałaby się oficjalnym sprzymierzeńcem Białego Konoweryn, gdyby okazało się, że nią też rządzi Krew Agara. Zresztą sam Obrar po to przyjął przydomek Płomienny, by móc się ubiegać o ten zaszczyt.

— Agar od Ognia, Obrar Płomienny. Niczym ojciec i syn.

Laweneres parsknął.

— Tak. I nawet ty to widzisz. A są tacy, którzy tego nie dostrzegają albo udają, że nie dostrzegają, bo kambehiańskie złoto zamyka im usta i oczy.

Woda była wciąż gorąca i pachniała wonnymi olejkami. Deana miała wrażenie, że ciepło wysysa z jej ciała zmęczenie, wnika w głąb, aż do kości, rozluźniając wszystkie mięśnie. Bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości zapytała:

— Wytrąciłeś komuś broń z ręki, mam rację? Tym, że to ty sam wybrałeś, kiedy wejdziesz w Oko.

Zaśmiał się cicho.

— Tak. Tu bronią może być wszystko, nawet uroczystość religijna. Kapłani kazaliby mi czekać, odwlekaliby moment ceremonii, słali kolejne żądania. I przez cały ten czas, póki Kamień Popiołu nie zgodziłby się łaskawie na próbę, nie byłbym prawdziwym księciem. Mogą przyjmować przydomki Wybrańców, Świętych Naczyń, Kamień Popiołu, Miecz Żaru czy Dłoń Litości i uważać się za strażników Oka, ale żaden nie ma wystarczająco dużo krwi Błogosławionych, by w nie wejść.

Dziwne, ale po raz pierwszy, odkąd go poznała, wydawał się rozgniewany.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, to ty jesteś tylko jednym spośród nich.

Syknął, zirytowany.

— Owszem. Książę zawsze dziedziczy tytuł Dziecięcia Ognia, pierwszego spośród *awenderi* Agara, lecz nie ma prawa mianować lub odwoływać reszty. To zbyt wielki węzeł, by rozsupłać go jakimś prostym ruchem. Tradycyjna hierarchia nie odzwierciedla właściwego rozkładu sił w Świątyni. Kamień Popiołu jest w niej piąty, lecz ponieważ trzyma rękę na świątynnym skarbcu, to on tam rządzi.

Deana wzięła gąbkę i zaczęła trzeć skórę.

— Powiedziałeś „wystarczająco dużo krwi". Czyli ile? Jeśli Agar porzucił swoich *awenderi* trzy i pół tysiąca lat temu, to ta krew musi być dość rozrzedzona.

Brzęk naczyń był jedyną odpowiedzią. Przez chwilę myślała, że jeśli odwróci głowę i zerknie, ujrzy księcia pochrapującego, z twarzą na stole.

— Tak. Bardzo. Przez pierwsze dwa tysiące lat Krew Agara trwała na niewielkiej wyspie u brzegów Konoweryn. Wyspa liczyła ledwo kilkuset mieszkańców i jak powiadają, żyło im się tam jak królom. A potem Samaidzi, ostatnia glihijska dynastia rządząca królestwem Daeltr'ed, popełnili błąd. Nie mogli sobie poradzić z najazdami pustynnych nomadów i atakami czarnych plemion, więc powołali do życia armię żołnierzy-niewolników. Postanowili też założyć Wyniesionym na gardło obrożę obowiązków, wynikających z nakazów religijnej powinności, dać im boga, którego będą wyznawać, bo wiara utrzyma ich wtedy w ryzach. A przecież Służka, która wtedy nie była jeszcze Służką, nie nadawała się do tego. Ani odległa Maycha, ani Reagwyr, którego wciąż pamięta się tu jako Niszczyciela. Wydawało im się, że Pan Ognia będzie w sam raz. Zapewne zmienili zdanie, gdy Oko rozbłysło po raz pierwszy w samym środku miasta, a ich pałace spłynęły krwią.

Trudno było ocenić, czy Laweneres mówi z taką pasją, czy też z takim trudem wyrzuca z siebie zdania. Nie obejrzała się, by to sprawdzić.

— To skomplikowana historia.

— Skomplikowana? Nie. Zwykła historia żądzy władzy, gniewu i siły, która budzi się i odkrywa, że nie musi już zginać karku, bo dłoń trzymająca bat jest słaba i wiotka. — Usłyszała, jak wstaje od stołu. — I oto koło zato-

czyło pełny obrót. Zastanawiam się, czy jesteśmy tak samo ślepi, jak Samaidzi. Ha, ironia, ślepcy prowadzeni przez ślepca. Mój ojciec miał rację, chciwość sprowadziła na nas zgubę, a oni robią wszystko, żeby nic nie zrobić.

Łóżko skrzypnęło, gdy na nie upadł.

— Jeśli będą mnie szukać… powiedz, że porwali mnie bandyci. Jeśli nie… obudź… przed świtem.

Spokojnie dokończyła kąpiel, ciesząc się ciszą. Wyglądało no to, że książęce obowiązki są równie męczące, jak oporządzanie słonia. Z pewnością jednak bardziej wyczerpywały umysł.

Wyszła z wody, wytarła się i ubrała. Zmówiła modlitwę dziękczynną za dobry dzień.

I położyła obok Laweneresa, który w tej chwili nie był ani księciem, ani potomkiem *awenderi* jakiegoś mało ważnego boga, ani władcą wielkiego miasta, tylko po prostu śmiertelnie zmęczonym mężczyzną.

Im obojgu należał się dobry sen.

* * *

Obudzili się tuż przed świtem i leżeli w milczeniu, bojąc się poruszyć, by nie zbudzić tego drugiego. A gdy wreszcie odkryli, że to niepotrzebne, on westchnął, chrząknął dziwnie i podniósł się z łoża.

Targnął nią gniew. Jak śmiał nawet nie spróbować?! Choćby po to, by mogła mu dać nauczkę.

Uśmiechnął się, jakby czytał jej w myślach.

— Dziś jestem księciem, a ty nie sypiasz z książętami, prawda?

Nie odpowiedziała, a kiedy ubrał się i wyszedł, odmówiła modlitwę na początek nowego dnia, wykonała serię ćwiczeń z szablami i zjadła szybkie śniadanie.

I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie powiedział wczoraj, po co tak naprawdę przyszedł, ani dzisiaj, czy wróci.

Rozdział 2

Zanim wpłynęli do zatoczki, rzucili kotwicę ćwierć mili od brzegu i zjedli wczesny obiad. Powoli, nie spiesząc się. Ynao nalegała na postój, by – jak stwierdziła – nikogo nie zaskoczyć. Jakiś czas temu wśród *ka'hoon* zapanowała moda na rajdy szybkimi łodziami wzdłuż wybrzeża, a jego niedostępność tylko wzmagała wśród młodych wojowników chęć przeżycia takiej przygody. W końcu na nawet najbardziej stromy klif można się wspiąć, jeśli człowiek potrafi używać haków i lin. Od tej pory każdy nadbrzeżny klan obserwował ocean i lepiej było nie zaskakiwać miejscowych niespodziewaną wizytą.

Altsin przyznał jej rację. Co prawda na maszcie powiewał znak zakonu, dwie stylizowane dłonie obejmujące niewidzialną kulę, lecz symbol Wielkiej Matki nie gwarantował tu całkowitego bezpieczeństwa, a strzała jest zawsze szybsza niż słowa. Lepiej będzie pozwolić się dostrzec i poczekać na zaproszenie.

Nadeszło ono w południe, gdy na wysokiej skale pojawiła się postać wymachująca żółtą flagą. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

— Możemy płynąć. Pokażą nam wejście do zatoki.

Nazwanie „zatoką" pęknięcia w skale, które kończyło się oczkiem wodnym, szerokim zaledwie na kilkanaście jardów, wywoływało zapewne uśmiech na twarzach Bliźniąt Mórz, ale na Amonerii takie właśnie miejsca pełniły funkcję portów. Ta konkretna dziura miała ściany strome niczym mury twierdzy i jedną tylko, wąską i niegościnnie wyglądającą ścieżkę prowadzącą na szczyt. Za to sama „zatoka" była wyposażona w coś w rodzaju małego molo zbudowanego z pali wbitych w dno i kilku desek, co sugerowało, że korzystano z niej częściej niż tylko z okazji wizyt niespodziewanych gości. Ynao nalegała na założenie mnisiego habitu, zanim nie przekona się, czy spotkali członków przyjaznego, czy wrogiego klanu, więc to Altsin musiał wziąć na siebie trud zrobienia dobrego wrażenia.

Komitet powitalny składał się z trzech mężczyzn: wysokiego jak na Seehijczyka starszego wojownika, ubranego w skórzany napierśnik wzmocniony płytkami z brązu, oraz dwóch młodzików w sukiennych koszulach, portkach i szerokich, wytłaczanych w zawiłe wzory pasach. Wszyscy mieli włócznie, lekkie topory i szerokie noże, a wojownik dodatkowo krótki łuk i kołczan ze strzałami.

Altsin pokłonił się płytko, stojąc na rozchybotanym pokładzie.

— Witam szlachetnych mężów z ludu Uwerunków.

W seehijskim zwroty powitalne brzmiały strasznie formalnie. Ale były przynajmniej lepsze niż wymiana ciosów.

Najstarszy z nich uniósł brwi i odsłonił ukryte pod obfitym wąsem zęby w czymś, co musiało być uśmiechem.

— Czekasz na zaproszenie, mnichu?

— Owszem. Czekam. Obcy przychodzący bez zaproszenia jest gorszy niż wróg. — Przed wypłynięciem Enroh wbił mu do głowy kilka zasad, a jedną z nich było to, by zawsze czekać na zaproszenie gospodarza.

Uśmiech poszerzył się, a oczy zmrużyły chytrze.

— Mądry z ciebie mnich. Znasz zwyczaje. Ostatniego, który postawił stopę na mojej ziemi bez pozwolenia, przeciągnąłem nago przez chlew, wytarzałem w smole i pierzu, a potem przepędziłem przez pokrzywy. Ależ krzyczał i szlochał. Słyszałeś o tym?

— Prawdę mówiąc, nie. To były duże pokrzywy?

— Olbrzymie! — Mężczyzna uniósł rękę nad głowę. — O, takie co najmniej.

— Podobno pokrzywy dobrze robią na reumatyzm.

— O tak. Nie słyszałem, by się na niego później skarżył. Zresztą w ogóle o nim nie słyszałem, bo jakoś więcej nie pojawił się u nas, żeby nauczać o waszej bogini. A ty? Co cię sprowadza?

— Szukam kogoś. Wojownika zwanego Małą Pięścią, z klanu Udruich.

Uśmiech znikł z oczu, usta zacisnęły się w wąską kreskę.

— Po co?

Złodziej zgrzytnął zębami. Kolana, kostki i łokcie miał opuchnięte i pokryte zielonoczarnymi siniakami, bolało go coś w piersi, a z prawej strony brzucha narastało kłucie. Ból pojawił się wczoraj wieczorem, jakby musiał dogonić resztę ciała, i wciąż narastał, co było chyba powodem, że poczuł irytację. Wielką irytację.

— Żeby porozmawiać, oczywiście. Po cóż innego ludzie się spotykają?

— Po co chcesz się z nim spotkać, obcy? — Dłoń zaciśnięta na włóczni drgnęła, jakby ostrze zaciążyło w stronę piersi Altsina. — Może północne baby czerpią przyjemność z gadania po próżnicy, ale nasi mężczyźni nie lubią tak tracić czasu.

Złodziej powinien w tej chwili poczuć ukłucie strachu, bo słowo „obcy" w seehijskim niewiele się różniło w wymowie od słowa „wróg". Ale irytacja na tego pustogłowego głupca, który postanowił dać tu i teraz popis własnej ważności przed dwoma gówniarzami, wzięła górę nad rozsądkiem. Poza tym bolało go coraz bardziej, więc perspektywa przebicia włócznią nie wyglądała aż tak przerażająco.

— Słyszałem o tym. Ale co mam do niego, to moja rzecz. Jeśli go nie znasz, powiedz, a odpłyniemy i poszukamy gościnniejszego miejsca.

Teraz trzy pary jasnych oczu gapiły się na niego z brzegu i trzy włócznie kołysały niepewnie.

— Jak ma na imię ten wojownik?

— Nie wiem.

Oczy starszego mężczyzny zmrużyły się niełądnie, grot włóczni pochylił.

— To dziwne imię, obcy.

Irytacja przeciągnęła się, otworzyła paszczę i szturchnęła w bok swoją siostrę, złośliwość.

— Dlaczego dziwne? Większość ludzi, których spotkałem w życiu, ma tak na imię.

Śmiech. Najpierw cichy, zdławiony chichot, a zaraz potem otwarty, głośny śmiech. Łódź zakołysała się i Ynao wyszła zza pleców Altsina, odrzucając kaptur habitu na plecy. Przeskoczyła lekko na pomost i stanęła przed wojownikiem w skórzanym pancerzu.

— A myślałam, że ucieszysz się na mój widok, wuju…

Tyle złodziej zdołał zrozumieć, bo potem dziewczyna przeszła na jakiś miejscowy dialekt, wyrzucając z siebie słowa z prędkością kropel wody bębniących o dach w czasie oberwania chmury.

Powitanie widać wypadło zadowalająco, bo po chwili mężczyzna odwrócił się w stronę łodzi, a w oczach nie miał już ani kpiny, ani wyzwania.

— Przyjmijcie zaproszenie do mojego domu i bądźcie mi braćmi w dzień i w nocy, w zdrowiu i w chorobie. Zaszczyt to dla mnie i mojego rodu.

Bardziej formalnie nie dało się tego powiedzieć, lecz z drugiej strony oznaczało to koniec głupiego przegadywania się i – co zapowiadało prawdziwą mękę – początek wspinaczki.

Zacumowali łódź i ruszyli w górę wąską ścieżką, poprzedzani przez dwóch młodzików, którzy na krótkie warknięcie starszego mężczyzny pomknęli przodem. Ynao szła zaraz za wujem i trajkotała, w jakiś cudowny sposób nie tracąc oddechu. Altsin dreptał za nią, czując ból przy każdym kroku i ledwo łapiąc powietrze. W połowie drogi pozwolił się wyprzedzić Naywirowi, który był chyba zbyt podekscytowany, żeby zauważyć stan swojego towarzysza, ale oczy Domaha jak zwykle widziały wszystko na wylot.

Zatrzymał się poniżej Altsina, ale i tak patrzył mu prawie prosto w twarz, i bez słowa czekał, aż ten podejmie wspinaczkę. Zanim dotarli na górę, zatrzymywali się jeszcze dwa razy, a złodziej miał wrażenie, że wzrok olbrzymiego mnicha widzi każdy siniak i każdą opuchliznę, którą próbował ukryć.

Dzięki Pani za ślub Martwych Ust, który ograniczał komunikację z Domahem do wymownych spojrzeń i ponurych min.

Na górze czekały już na nich konie. I dwukołowy wóz, na który Altsin zwalił się od razu, wymawiając się brakiem doświadczenia w jeździe konnej.

Ich gospodarz i jeden z młodzików, Ynao oraz Naywir dosiedli wierzchowców, a Domah – obejrzawszy miejscowe konie, niewiele większe od kuców, oraz wóz, który im podstawiono, przypominający taczkę z dwoma kółkami – uśmiechnął się z ponurym fatalizmem i ruszył w drogę piechotą. Nie, żeby ich to spowalniało.

Jeden z młodzików natychmiast po wyruszeniu oderwał się od grupy i galopem pomknął przed siebie. Drugi zasiadł na koźle wózka i ponaglił konie.

Złodziej rozglądał się bez skrępowania. Niewielu było takich, którzy mogli o sobie powiedzieć, że wędrowali przez ziemie Seehijczyków. Tutejszy teren, w przeciwieństwie do lesistej, wilgotnej i mrocznej północy wyspy, był płaski, kamienisty i porośnięty niewielkimi kępkami jakichś

chwastów. Bogactwo tej części Amonerii kryło się pod powierzchnią gruntu, w kopalniach ametystów i agatów oraz w złożach cyny i rudy srebra, bo z samej ziemi, nieprzyjaznej i surowej, miejscowe plemiona ledwo zdołałyby się utrzymać.

Okolica nie wyróżniała się niczym szczególnym. Droga wiła się między niewielkimi wzgórzami porośniętymi rachitycznymi drzewami i plackami trawy w kolorze przybrudzonej zieleni, i dopiero gdy odjechali spory kawałek od brzegu, dały się dostrzec pierwsze ślady ludzkiej bytności, w postaci niewysokich, kamiennych murków, ciągnących się całymi milami. Zza tych ogrodzeń przyglądały im się sennym wzrokiem ospałe krowy i niemrawe kuce, a owce, na widok obcych, zbijały się w ciasne stadka. Za to ich właściciele bynajmniej nie zachowywali się lękliwie. Starszy wojownik pozdrawiał pasterzy, zbywając ich pytania machnięciem ręki, i ponaglał konie. A Altsin przyglądał się miejscowym, równie dla niego egzotycznym jak okolica.

Wszyscy byli raczej średniego wzrostu, głównie o jasnej skórze i – w przeważającej większości – o ciemnych włosach. Mężczyźni strzygli się krótko, za to nosili obfite wąsiska, a czasem i brody, kobiety zaplatały włosy w dziesiątki warkoczyków, z których układały fantastyczne konstrukcje. W ubiorach dominowały sukno i len barwione na zielenie, brązy i żółcie, choć raczej w ciemniejszych tonacjach. I wszyscy, zarówno mężczyźni, kobiety, jak i plączące się w pobliżu dzieci, byli uzbrojeni. Łuki, oszczepy, siekierki, ciężkie, lekko zakrzywione noże oraz włócznie, topory, a nawet miecze dowodziły, że w twierdzeniu, iż Amoneria to wyspa nieustannej wojny, nie ma krzty przesady. Niektórzy mężczyźni nosili nawet skórzane przeszywanice i hełmy, rzeczy rzadko spotykane u pasterzy.

Armia gotowa w każdej chwili do walki. Rody, klany i plemiona, które nie udają, że pokój jest czymś więcej niż chwilową przerwą w niekończącej się wojnie, która z kolei jest naturalnym stanem ludzkości, która…

Złodziej westchnął i położył się na wznak, gapiąc w niebo. Słuchaj, bękarcie, wypierdku zarobaczonej kozy wydupczonej przez stado pijanych, zżeranych przez choroby przyrodzenia bandytów, pomyślał spokojnie, bez zbytniej ekscytacji. To na pewno jest twoje skojarzenie i myśl, bo ja mam w dupie ludzkość, jej wojny i pokoje. Nie interesuje mnie, co tam ci się roi w tym półboskim, ale za to całkiem popieprzonym umyśle, ale nie mam siły, żeby się z tobą teraz kłócić. Więc umówmy się, że dasz mi na jakiś

czas spokój, żebym mógł odpocząć. Tak na siedemdziesiąt… osiemdziesiąt lat, dobrze? Albo przynajmniej do chwili, gdy wykopię cię z mojej głowy. Znajdziesz sobie wtedy jakieś inne ciało, by je dręczyć i już więcej się nie spotkamy. Ale teraz pozwól mi cieszyć się podróżą, co?

Odpowiedzi nie było, ale szczerze mówiąc, nie spodziewał się jej. Z równą skutecznością rozbitek, uczepiony kawałka drewna pozostałego po zatopionym statku, mógłby na zmianę obrzucać obelgami ocean i układać się z nim. Ale ludzie i tak to robią, nieprawdaż? Przymknął oczy i uśmiechnął się do nieba. Niech cię szlag, Reagwyrze, niech cię jasny trafi szlag.

— Wyglądasz lepiej — głos nad głową wdarł się w jego myśli. — Tam na łodzi miałem wrażenie, że zaraz się przewrócisz.

Altsin uniósł powieki. Starszy wojownik jechał obok wózka, popatrując na niego z góry.

— Podróże morskie mi nie służą — odparł. — A ta była szczególnie długa.

— Więc po co się w nią wybrałeś?

— Żeby dokończyć, co zacząłem, znajdując ją w porcie. Nie lubię zostawiać spraw komuś innemu.

Mężczyzna skinął głową.

— To dobrze. Niedokończone sprawy zawsze znajdą sposób, żeby dźgnąć cię nożem w plecy, jak powiadał mój ojciec, dobijając wrogów na polu bitwy. Jestem Audaaw z klanu Udruich z Białych Uwerunków. Wuj Ynao. Gdy jej brat przypłynął do brzegu, mówiąc, że morski potwór pożarł łódź, jej ojciec dziesięć dni szukał śladów wzdłuż całego wybrzeża. Nie znaleźliśmy nic.

— Więc jej brat… Uuuu… jak ma na imię?

— Ugii. Żyje.

— To dobra wiadomość.

— Dobra. Mogliśmy stracić dwoje dzieci, a nie straciliśmy żadnego. Oum czuwa nad naszym rodem.

Altsin widział twarz wojownika od dołu, z trzęsącego się wozu, więc nie potrafił powiedzieć, czy tamten mówi poważnie, czy też powtarza tylko oklepane formułki. Stosunek, jaki Seehijczycy mieli do swojego boga, był dziwny, stanowił mieszaninę uwielbienia i podszytego sympatią lekceważenia. Nie przyjmowali nauk Baelta’Mathran, choć szanowali ją w jakiś pokręcony sposób, nigdy też nie próbowali nikogo nawracać na wiarę

w Ouma. Ale i wśród nich znajdowali się fanatycy, gotowi wypruwać flaki, bo nie spodobał im się czyjś uśmiech, gdy padało imię boga Amonerii. Najbezpieczniej podczas rozmowy z miejscowymi było naciągnąć kaptur na twarz i udawać, że błądzi się myślami gdzie indziej.

I nigdy nie komentować stwierdzeń podobnych do tego, jakie padło przed chwilą.

— Wielki jest.

Oho, czyli jednak wuj Ynao to jakiś religijny tępogłowy dureń. Pewnie zaraz rozpocznie się opowieść o potędze i wszechmocy Ouma.

— Chętnie zobaczyłbym, jak walczy — dodał mężczyzna. — Pewnie parłby przez pole bitwy niczym niedźwiedź przez sforę psów.

Altsin miał wrażenie, że coś mu umknęło, a potem zerknął w kierunku, gdzie patrzył Audaaw. Domah maszerował nieopodal, bez trudu dotrzymując kroku koniom.

— Ach, brat Domach z K'eln. Nie zobaczysz. To mnich i miłośnik pokoju. Największy, jakiego znam.

— Cóż. Każdy popełnia w życiu błędy, ale dopóki człowiek stoi, dopóty może je naprawić. Nie po to wasza bogini dała mu takie ciało, żeby rozprawiał o miłosierdziu i innych głupotach. Nawet ona potrzebuje wojowników.

— Domah też tak uważa, ale sam nazywa się wojownikiem miłosierdzia. I lepiej niech tak zostanie.

Seehijczyk parsknął zdegustowany.

— Pewnie. Lepiej chodzić z miską i zbierać jałmużnę dla ubogich. Tak, wiem, co robicie w mieście, byli tu już inni mnisi i opowiadali o tym. To wstyd dla mężczyzny żebrać o pieniądze.

Altsin kilka razy chodził po prośbie, nie czuł się tym jednak specjalnie upokorzony. Habit nadawał takiej działalności inny wymiar.

— Brat Domah tylko raz opuścił klasztor, chodząc za jałmużną. W jeden wieczór zebrał więcej niż inni bracia w miesiąc. Potem przeor zakazał mu tego robić.

— O. Ciekawe. A czemu?

— Było za wiele skarg na rozboje.

Przez chwilę wuj Ynao patrzył na niego ze zdumioną miną. Potem zerknął na Domaha i nagle zrozumiał.

Śmiał się przez następne sto kroków, a pasterze i ich zwierzęta odprowadzali ich grupkę zdumionymi spojrzeniami.

Rozdział 3

Wielka Biblioteka wyglądała majestatycznie. Olbrzymi, szeroki na przynajmniej dwieście kroków front, wrota, w których mógł się zmieścić cały oddział słoni, szerokie schody liczące kilkadziesiąt stopni, na których leżały, siedziały lub stały grupki rozdyskutowanych mężczyzn.

Wrota zastała zachęcająco uchylone.

Deana była sama. Od miesiąca wymieniała się z Samiyem słowami, jej *suanari* może nie był najlepszy, lecz potrafiła się już dogadać ze służącymi, więc uznała, że jakoś sobie poradzi.

Przez ten miesiąc Samiy, czasem Suchi, a czasem obaj, zabierali ją do miasta.

Najpierw było oszołomienie, zagubienie, zachwyt… Przez pierwsze dni nie wiedziała, jak sobie z tym radzić. A ci dwaj dranie pokazywali jej Białe Konoweryn z takimi minami, jakby wszystko wokół należało do nich. Port z setkami statków z całego świata, wielki Kanał Węża, długi na trzy mile, łączący jezioro Kses z morzem, dzielnicę portową, gdzie spotkać można każdą nację, która handlowała z Dalekim Południem. Zobaczyła targi, wyglądające niczym pole bitwy na wrzaski, nawoływania i zachwalanie towaru, oraz dzielnice handlarzy jedwabiu, kupców przyprawowych, handlarzy kości słoniowej, porcelany i kamieni szlachetnych. Potem jednak, po kilku wycieczkach trochę się uodporniła na uroki miasta. Bogactwo, które w mniejszych ilościach oszołamiałoby i rzucało na kolana, pokazywane w ten sposób traciło znacznie na sile oddziaływania. Przywykła do niego.

Przez ten miesiąc nabrała też ciała, odzyskała siły i przyzwyczaiła się, że co trzy, cztery dni ma gościa. Laweneres zjawiał się czasem wieczorem, czasem dopiero późną nocą, a ona czasem pozwalała mu zostać do rana, a czasem grzecznie odprowadzała do drzwi. Jeśli zostawał, rozmawiali. O kłopotach z wielkimi rodami handlującymi jedwabiem, o delegacji nadmorskich miast leżących na zachód od Imperium, która prosiła o szczególne przywileje dla swoich okrętów, o próbach złagodzenia praw wciskających

niewolnicze głowy w błoto i o tym, kto i dlaczego działa przeciw tym próbom. Właściwie to on mówił, a ona słuchała, od czasu do czasu rzucając tylko jakieś pytanie. Nie próbowała mu doradzać ani wpływać na jego decyzje i chyba był jej za to wdzięczny.

I nigdy już nie wspominał, że nie jest księciem.

Na swoje szczęście, bo bardzo nie lubiła kłamców.

Sprawy w Konoweryn chyba szły nie najgorzej. Co prawda nikt jej nie informował o postępach w umacnianiu władzy Laweneresa, lecz widać to było na ulicach. Ludzie uśmiechali się, rozmawiali swobodnie, a w miarę, jak oswajała się z językiem, coraz więcej rozumiała. Komentowano ceny przypraw, owoców, warzyw i mięsa. Nowe dostawy jedwabiu lub to, że czyjaś żona została przyłapana na zdradzie, komuś ukradli pierścień, po ślubie córki połowa gości się pochorowała…

Suchi, który na wyprawy do miasta ubierał się zwyczajnie, choć najczęściej to i tak nie pomagało i dość często był rozpoznawany, wydawał się zadowolony z tego, co słyszeli na ulicy. Nic nie mówił, ale sposób, w jaki czasem się uśmiechnął, rzucając garść miedziaków żebrakowi, albo gdy popijał rozcieńczone wino na tarasie winiarni, zdradzał, że jest spokojniejszy niż jeszcze miesiąc temu. Deana zauważyła też, że na ulicach było mniej żołnierzy w żółtych, zielonych i brązowych strojach, a raz widziała nawet, jak te wszystkie trzy barwy bratały się ze sobą przy jednym dzbanie.

Krew Pana Ognia zasiadła na tronie, więc Białe Konoweryn odetchnęło.

Lecz Deanie trudno się było poruszać po mieście w towarzystwie książęcego kornaka, truciciela albo kilku wojowników z Rodu Słowika w eskorcie bez zwracania na siebie uwagi. Równie dobrze mogła zatrudnić herolda, który szedłby przodem i wrzeszczał: „Idzie dzika wojowniczka, która ocaliła życie księcia!”, i oczekiwać deszczu jedwabnych chust rzucanych pod nogi oraz dziesiątek dłoni usiłujących jej dotknąć. Z początku było to nawet miłe, potem zaczęło się robić denerwujące.

Dlatego dziś wyszła bez ich towarzystwa, i teraz stała przed olbrzymimi wrotami, pokrytymi spatynowanymi płaskorzeźbami z brązu, które przedstawiały, jak to kiedyś opisał jej Suchi, Agara pokonującego Dziewięć Demonów Płomieni, pochłaniającego i ujarzmiającego ich moc, aby ogień służył ludziom, a nie palił i niszczył wszystko na swej drodze.

Była sama, wojowniczka w ciemnej szacie spiętej czarnym pasem. Nie powinna wzbudzić większego zainteresowania, Issaram w Konoweryn nie

stanowili wyjątkowego widoku, w czasie wycieczek po mieście Deana spotykała już swoich rodaków, najczęściej tych z plemion mieszkających na zachodzie Anaarów. Wtedy jej czarne pasy były dla niej skuteczniejszą osłoną niż obecność truciciela czy strażników. Żaden Issaram nie podejdzie pierwszy do pielgrzyma, jeśli ten sam nie da znaku, że chce porozmawiać.

Przyjrzała się jeszcze raz wrotom. Pozieleniały brąz zdobiło dziewięć płaskorzeźb. Dziewięć śmierci zadawanych dziewięciu utkanym z dymu i ognia bestiom przez dumnego wojownika w koronie z ognia na głowie. Tylko w niej. Suchi uprzedził ją, że opowieść o tym, jak u zarania czasów Agar Czerwony powalił i zniszczył demony ognia, jest tu traktowana bardzo poważnie, więc lepiej nie wykonywać jakichś obscenicznych gestów. Dwa lata temu kilku pijanych marynarzy z dalekich krain zostało za takie zachowanie ściętych na miejscu przez Słowiki.

W sumie gdyby jej tego nie opowiedział, zupełnie nie zwróciłaby uwagi na przedstawioną postać, a tak, uznała, że ich autor niepotrzebnie starał się podkreślać na każdym kroku męskość Agara.

Weszła po schodach.

W budynku wkroczyła w długi przedsionek z drzwiami prowadzącymi na prawą i lewą stronę. Wszędzie płonęły lampy i kręcili się ludzie, jednak wszyscy zdawali się ją ignorować. Jedno, najwyżej dwa spojrzenia i powrót do własnych spraw. Była to miła odmiana po zamieszaniu, jakie do tej pory powodowała, lecz z drugiej strony potrzebowała kogoś, kto wskaże jej kilka ksiąg. Zwłaszcza tych opowiadających o spokrewnionymi z Issaram uciekinierami, którzy po objawieniu Praw przez Harudiego wybrali wygnanie. Jako Pieśniarka Pamięci miała obowiązek zbierania wszelkich wieści o swoich pobratymcach, nawet tych, którzy odrzucili słowa Wybrańca.

Ruszyła przed siebie. Zaskoczyło ją, że nad drzwiami umieszczono napisy w znakach wyglądających jak te, którymi Issaram zapisywali swoje drzewa rodowe. Niektóre potrafiła nawet odczytać. *Księgi lata*, *Opowieści morskie*, *Historia*… tych znaków nie rozpoznawała, *Drzewo i kwiat*, *Miecz w… ustach*? Wyglądało na to, że nawet znajomość starożytnych piktogramów na niewiele jej się tu zda.

Ktoś stanął jej na drodze. Zrobiła krok w lewo, żeby go obejść, przesunął się, zrobiła krok w prawo, on też, opuściła wzrok.

Przed nią stało pięć stóp i dwa cale uprzejmości. Uprzejmy uśmiech, dłonie złożone w uprzejmym geście, oczy z uprzejmym zapytaniem czają-

cym się na dnie. Mężczyzna. Na oko jakieś trzydzieści lat, białe szaty, głowa i twarz gładko ogolona.

— Przeszkadzam? — zapytała w *suanari*.

— Nie, Poszukująca — odpowiedział uprzejmie w nienagannym *k'issari*. — Jeśli twa droga jest pilna, wybacz niegodnemu i nie czuj urazy — dodał, usuwając się na bok.

Do licha, nie spodziewała się tych słów tak daleko od gór. Przeprosiny Pielgrzyma. Jeśli zachodziła potrzeba, by zaczepić wędrowca w czasie pielgrzymki, lepiej zacząć od przeprosin.

— Dobrze mówisz w moim języku, nieznajomy.

— To zasługa długich studiów, Poszukująca. — Wydawał się zmieszany i zadowolony jednocześnie.

— Potrzebujesz pomocy?

Mężczyzna zmieszał się bardziej.

— Wybacz śmiałość. Twoi rodacy rzadko odwiedzają mury biblioteki, a jeszcze rzadziej pojawia się ktoś, kto najwyraźniej rozpoznaje znaki *koneth*.

— *Koneth?*

— Tak. To pismo było kiedyś rozpowszechnione na całym południu kontynentu, aż po Anaary i Góry Wrzasku. Jedno z najstarszych pism świata. Wydawało mi się… Wybacz śmiałość, Poszukująca, wydawało mi się, że odczytywałaś napisy nad salami.

Uśmiechnęła się mimo woli. Rozpoznała ten głód, głód wiedzy płynący z niezaspokojonej ciekawości. Nawet wśród Issaram sztuka odczytywania tych znaków była mało rozpowszechniona. Tylko Pieśniarze Pamięci i Wiedzący jeszcze się ich uczyli, reszta posługiwała się alfabetem przejętym od Geweryjczyków i innych ludów pustyni.

— Znam go trochę, choć w wersji mojego ludu. — Wskazała najbliższe drzwi. — *Historie równin*, o ile się nie mylę, a tam jest napisane *Mądrość stali i brązu*.

— Tak! — Ucieszył się jak dziecko. — Tak, właśnie tak! Jesteś pierwszą za mojego życia osobą z ludu Issaram, która potrafi je odczytać. To cudowne. Wspaniałe. Mamy księgi… opowieści do przetłumaczenia, ale wersja zapisana w waszym języku jest tak trudna… Aweloney będzie zachwycona… rozpłynie się z radości… Zobaczysz. Chodź, no chodź.

Wyciągnął rękę i schwycił ją za ramię.

Obudziła się w niej on’Issaram.

Złapała go za nadgarstek, przekręciła do oporu i lekko pociągnęła w górę. Ponieważ mężczyzna był niższy o pół głowy, bez problemu postawiła go na czubkach palców.

— Nieznajomy — wymruczała. — Przerwałeś moją pielgrzymkę, co ci wybaczyłam, bo znasz obyczaje. Nie podałeś swojego imienia, co jest niedopuszczalne, lecz też ci to wybaczyłam, bo miło jest porozmawiać w ojczystym języku, nawet z barbarzyńcą. Ale teraz dotknąłeś mnie bez pozwolenia. Czy mam obciąć ci rękę, byś zawsze już pamiętał o właściwym zachowaniu?

Zająknął się, raz i drugi spróbował otworzyć usta i wlepił błagalny wzrok w coś za jej plecami.

— Jeśli to nie sam książę z oddziałem Słowików, nie licz na ratunek — rozwiała jego nadzieje.

— Hm… Jeśli zamierzasz mu obciąć rękę albo coś innego, lepiej wyjdźcie na zewnątrz. Krew tryskająca z kikuta zaplami cały korytarz — usłyszała kobiecy głos.

Mężczyzna w bieli musiał też znać meekh, bo pobladł gwałtownie i wydał z siebie mysi pisk. Deana potrząsnęła nim nieco, aż zatańczył na czubkach palców.

— Znasz język i nieco liznąłeś obyczaje, nieznajomy — podjęła — ale zapominasz, że Issaram zawsze nosi Prawa Harudiego ze sobą. Mężczyzna spoza rodu może dotknąć kobiety tylko wtedy, gdy wyrazi ona na to zgodę. Jeśli zrobi to bez pozwolenia, lepiej, by potrafił dobrze władać bronią. Złożę twoją… nieostrożność na karb ekscytacji. Ale tylko ten jeden raz. Dobrze?

Pokiwał głową. Puściła go i odwróciła się, stając oko w oko ze śniadoskórą kobietą w białej szacie obszytej złotą lamówką. Wysoką kobietą. Deana też nie należała do niskich, ale i tak musiała unieść nieco głowę, by spojrzeć tamtej w twarz. Ciemne oczy taksowały ją uważnie bez śladu strachu. Ten spokój był imponujący.

— Skąd wiesz, że znam język Imperium? — zapytała.

— Niewielu jest w mieście Issaram noszących *talhery* w czarnych pochwach i *ta’chaffdę* z najlepszego książęcego płótna. A jeszcze mniej z nich miałoby ochotę odwiedzić nasze mury. Jesteś Deana d’Kllean, wojowniczka, która ocaliła życie księciu. Mylę się?

— A nie ta, której książę ocalił życie dzięki mocy Agara?

— Różnie powiadają.

Zmierzyły się wzrokiem. To zawsze jest trudne dla kogoś, kto staje przed Issaram noszącym zasłonę na twarzy, lecz ta kobieta najwyraźniej lubiła wyzwania.

— Jestem Aweloney Długi Palec. Trzecia wśród sług Wielkiej Biblioteki. Zajmuję się językami, opowieściami, legendami i podaniami ludów mieszkających na północ od Anaarów. Badam Issaram, Meekhańczyków, wszystkie plemiona, które podbili, aż po mieszkających w górach wessyrskich górali. Ludy Małych i Wielkich Stepów, a nawet, choć pewnie o nich nie słyszałaś, tajemniczych Ag'heeri, rasę luźno tylko spokrewnioną z ludźmi.

W innych ustach zabrzmiałoby to jak przechwalanie się. Ale w przypadku tej kobiety Deana była gotowa założyć się, że chodzi tylko o zwykłą informację. Bez śladu wyniosłości czy arogancji. Tak krawcowa mogłaby mówić o tym, że szyje ubrania, a kowal, że robi podkowy.

— Jestem Deana d'Kllean z d'yahirrów — przedstawiła się oficjalnie, bo tamta najwyraźniej na to czekała. — *Awyssa*, której pielgrzymka nieco się przeciągnęła.

— Cieszę się z naszego spotkania. — Aweloney przyłożyła dłoń do serca i skłoniła się lekko. — To dla mnie zaszczyt. Może wolisz, byśmy przeszły na mowę Issaram? — zapytała swobodnie w jej ojczystym języku.

W tym momencie bibliotekarka najwyraźniej uznała, że powinny zostać same, bo spojrzenie jej czarnych oczu powędrowało za plecy Deany, szczupła dłoń wykonała krótki gest i rozległ się tupot szybko oddalających się sandałów.

— Musisz mu wybaczyć…

— Już wybaczyłam.

Uśmiech kobiety błysnął garścią najczystszych pereł.

— Jak rozumiem, to kolejna kropla w kielichu legend o Issaram. Gdybyś mu nie wybaczyła, już byłby martwy, prawda? — dodała grobowym głosem.

— Prawda. — Deana uniosła dłonie na wysokość piersi i zabalansowała nimi jak szalkami wagi. — Chodzi o równowagę. Wszyscy zdają się traktować mnie jak oswojone zwierzątko. Może jeśli od czasu do czasu kogoś okaleczę, nie dojdzie do większego nieszczęścia. Ludzie nie powinni zapominać, kim naprawdę jesteśmy.

Aweloney wskazała jej drogę. Ruszyły korytarzem, a mijane osoby zręcznie ustępowały im z drogi.

— A kim jesteście? Oprócz tego, że bezlitosnymi zabójcami, nieznającymi strachu mordercami, mistrzami wszelkiej broni, choć nasi Uczniowie Mieczy pewnie uśmiechnęliby się, słysząc ten tytuł, oraz fanatycznymi wyznawcami swoich Praw, gotowymi zamordować najlepszego druha, jeśli będzie miał pecha ujrzeć twarz któregoś z was?

— Ile znasz takich opowieści?

— Wiele.

— A ile słyszałaś od godnych zaufania ludzi, którzy widzieli nas na własne oczy?

— Ani jednej. — Kobieta znów się roześmiała. — Co nie znaczy, że wszystkie są fałszywe.

— Nie, ale Issaram, który nie potrafi zadbać o bezpieczeństwo swojego kawałka duszy, nie przeżyje kilku dni poza *afraagrą*. I zawsze jest inna droga. Tylko czasem trudno ją wybrać we właściwym momencie. Gdzie idziemy?

— Do sal poświęconych księgom z północy. Także tym o twoich współplemieńcach. A ty? Co cię tu sprowadziło?

Pytanie trochę zbiło Deanę z tropu.

— Do Konoweryn?

— Do Biblioteki.

— Jestem Pieśniarką Pamięci w moim rodzie, więc mam obowiązek poszukiwania opowieści o naszych braciach i kuzynach. Podobno niektórzy kiedyś tu przybyli. Ci, którzy nie chcieli pokłonić się Prawom Harudiego.

Cichy chichot kazał Deanie odwrócić głowę. Aweloney wpatrywała się w nią intensywnie.

— Z tego, co piszą w niektórych księgach, sam Harudi nie chciał im się pokłonić. Ponoć, gdy pojawił się w Kan’nolet, przez wiele dni tarzał się po ziemi, przeklinał i bluźnił. Pierwsze teksty nazywają go nawet Niechętnym Prorokiem.

Deana przechyliła lekko głowę i postarała się, by tamta wyczuła kpinę w jej głosie.

— Sprawdzasz, czy wybuchnę wściekłością i wyciągnę broń? Trzeci i Piąty Zwój z Manei od dawna są uznawane za prawdę. Akceptujemy wahanie i bunt Harudiego, bo wahanie i bunt są częścią życia każdego mło-

dego Issaram. Każdy z nich w końcu godzi się też z własnym przeznaczeniem.

— Każdy?

— Każdy, kto jest prawdziwym Issaram.

Śmiech Aweloney był szczery i bardzo zaraźliwy.

— Twój język jest śliski jak bagienna pijawka. Powinnaś uczyć naszych posłów gładkich odpowiedzi.

Minęły drzwi, nad którymi ktoś umieścił napis *Kamień w wodzie*, cokolwiek to miało znaczyć, i znalazły się w olbrzymiej sali. A raczej, sądząc po liczbie drzwi dookoła, w czymś w rodzaju przerośniętego przedsionka, wypełnionego półkami, na których stały księgi. Mnóstwo ksiąg. Więcej niż Deana widziała w życiu.

Ściany miały kilkanaście stóp wysokości i każda wolna piędź powierzchni wykorzystana została, by umieścić tam jakiś wolumin. Półki wszędzie wspinały się pod sufit i aż dziwne było, że on sam nie został tak zabudowany.

— Wielka Biblioteka zawiera ponad milion czterysta tysięcy ksiąg, zwojów, glinianych tabliczek, rytów w brązie i miedzi, które gromadzimy od przeszło dwóch tysięcy lat. — Głos kobiety był przepełniony dumą matki oglądającej córkę przebierającą w ślubnych pasach. — Choć od pięciuset lat spisujemy wszystko jedynie w księgach, są trwalsze niż zwoje i zapewniają łatwiejszy dostęp do wiedzy. Co roku nasi kopiści zapełniają kolejne trzy tysiące woluminów wiedzą, która spływa do nas z całego świata.

Deana rozglądała się po ścianach.

— Spływa?

— O tak. Przybywają do nas uczeni, magowie i kapłani z wszystkich cywilizowanych zakątków świata. Z Meekhanu, zachodniego wybrzeża, południowych księstw, wysp romeryjskich, a nawet z odległej Sayari. Tradycją jest, że w zamian za korzystanie z naszych zbiorów przywożą wiedzę z własnych krain. Jesteśmy jak sito, które z mułu i żwiru wyławia okruchy złota.

— I to wszystko to uczone traktaty?

Aweloney obrzuciła Deanę kpiącym spojrzeniem.

— Niektóre z tych ksiąg to też poezja, sztuki teatralne i romanse. Ale znam takich, którzy twierdzą, że nasza wiedza o świecie zmienia się z każdym pokoleniem, a dobra opowieść trwa wiecznie, więc może się okazać,

że to właśnie te romanse są perłami ludzkiej mądrości. Chodźmy, pokażę ci salę Issaram.

Nad wejściem do pomieszczenia poświęconego jej ludowi widniał symbol złamanego miecza skrzyżowanego z całym ostrzem. Najstarsze opowieści mówiły, że Harudi, gdy już poddał się woli Matki, złamał swój miecz na znak zakończenia jednego cyklu życia i kazał wykuć nowy, jako symbol rozpoczęcia kolejnego. Z czasem Issaram przestali używać glifu dwóch ostrzy i teraz tylko połowa tego symbolu, pęknięta klinga, widniała na rodowej ścianie przy imionach wojowników, którzy bezdzietnie oddali swój kawałek duszy.

Deana weszła do środka i stanęła, zdumiona. Właściwie nie wiedziała, czego się spodziewać, choć sądząc po przedsionku, miała nadzieję, że ta sala będzie mniej… przewiewna. Komnata była duża, wypełniona blaskiem wpadającym przez świetliki umieszczone pod sufitem, ale poza kilkoma półkami, na których stało może ze dwadzieścia luźno ułożonych ksiąg i garść zwojów, nie dostrzegła w niej żadnych innych zapisków. Przy wielkim stole z kamiennym blatem stało dwóch mężczyzn.

Musiały im przerwać zażartą dyskusję, bo twarze obu przechodziły już w kolor głębokiej purpury, a zaciśnięte pięści oparte na polerowanym kamieniu wyglądały jak wykonane z najbielszego marmuru.

Deana obrzuciła ich szybkim spojrzeniem. Pierwszy był wyraźnie starszy, z białą szatą ledwo opinającą spory brzuch i kępkami siwych włosów trzymającymi się za uszami, drugi – młodszy, szczupły i ogolony do gołej skóry, co u większości mężczyzn służących w Bibliotece, jak zauważyła, stanowiło najpopularniejszy zwyczaj. Patrzyli na nią, jakby zobaczyli zjawę wychodzącą z grobowca.

Jej towarzyszka parsknęła jak poirytowana kotka i rzuciła kilka słów w nieznanym Deanie narzeczu.

Nie drgnęli.

— Uczeni… — Trudno było poznać, czy w głosie Aweloney słychać znów kpinę, czy też podszytą niecierpliwością złość. — Żyją we własnym świecie, gotowi wytaczać balisty argumentów przeciw fortecom cudzych wniosków i interpretacji, lecz gdy temat sporu staje przed nimi we własnej osobie, nie wiedzą, co począć. Czasem myślę, że gdyby bogowie unicestwili cały świat poza biblioteką, tacy jak oni nic by nie zauważyli. Niższy to Oglal z Fyz, a wyższy to jego syn, Oglal Młodszy.

Deana spojrzała jeszcze raz. Mężczyźni byli do siebie podobni jak pień drzewa i trzcina. Aweloney trafnie zinterpretowała jej milczenie.

— Syn wdał się w matkę i na szczęście ma same córki, więc Oglala Jeszcze Młodszego na razie nie ma, sam Agar wie, jak miałby on wyglądać. Obaj zajmują się historią i zwyczajami twojego ludu, choć jak sądzę, tylko kilka razy w życiu widzieli Issaram na własne oczy. I to z daleka.

Starszy drgnął i z wyraźnym wysiłkiem zamknął usta. Przełknął ślinę, westchnął i ukłonił się.

— Witam cię, Poszukująca, w moim domu. Dziękuję Matce, że przywiodła cię w to miejsce.

Posługiwał się językiem Issaram z ciężkim akcentem, z namysłem dobierając słowa, jak ktoś, kto przypomina sobie rzadko używaną umiejętność. Młodszy drgnął i poszedł w ślady ojca.

Akcent miał jeszcze gorszy.

Odkłoniła im się lekko, krzyżując dłonie na piersiach na znak szczerych zamiarów.

— Droga pokoju jest dziś moją drogą — powiedziała, a tamci, co było nawet zabawne, powtórzyli to bezgłośnie i prawie zobaczyła widmowe pióra, zapisujące na kartach ich pamięci jej słowa, gest i postawę. Przeniosła wzrok na resztę sali i trochę oklapła. Ta garść ksiąg i zwojów nie robiła wielkiego wrażenia.

— Jest tu wszystko o was, co uznano za warte zapisania. — Towarzysząca jej ciemnoskóra kobieta znów okazała się mistrzynią w czytaniu mowy ciała. — Prawa Harudiego raz w sześciu, raz w ośmiu zwojach, *kendet’h* w oryginale oraz przełożony na meekh i Mowę Ognia. Siedemnaście apokryfów do waszej Księgi Życia oraz ona sama. Zapis kilkudziesięciu drzew rodowych, skopiowany w jaskiniach cenwyryjskich odnalezionych tysiąc trzysta lat temu. Plemiona, które je wykonały, już nie istnieją. Oraz kilka najważniejszych prac, w tym *Wędrówki wzdłuż krańca piasków* Regelessa Małego, opisujące plemiona Issaram żyjące na północnych krańcach Morza Pustyń. Mają ponad trzysta lat i szczerze mówiąc, od tamtego czasu nikt nie dodał do nich żadnej pozycji wartej umieszczenia w tej sali.

Deana sięgnęła w głąb pamięci. Przymknęła oczy.

— Regeless z Waih… Mały człowieczek o ciemnej jak noc skórze i włosach barwy śniegu z górskich szczytów. Wędrował ze wschodu na zachód wzdłuż Anaarów w towarzystwie jednego sługi i trzech mułów. Zatrzymy-

wał się w wejściach do *afraagr*, prosząc o nocleg w przedsionku, i zbierał opowieści. Miał księgi, w których wszystko zapisywał. Podśmiewaliśmy się z niego, gdy tak szedł przez pustynię, wiedziony pasją, niezmordowany, zaciekły. Sam śmiał się z szaleństwa swojej wyprawy, ale jego odwaga domagała się szacunku. Więc otrzymywał miejsce do spania, zapasy na drogę, przewodników. Pięć lat wędrował, czasem mieszkając w pobliżu danej *afraagry* nawet kilka miesięcy. Potem zmarł, w czasie wędrówki przez ziemie plemienia g'loulerów. Zgodnie z jego ostatnią prośbą zmumifikowaliśmy ciało i odesłaliśmy je na południe.

Aweloney zmrużyła powieki.

— Pieśniarka Pamięci… To wszystko prawda, wraz z ciałem dotarły do nas *Wędrówki*. Cztery tomy. Najbardziej szczegółowe kompendium wiedzy o Issaram, jakie zna świat. Wasze zwyczaje, tradycje, legendy. Różnice między plemionami wschodnich, centralnych i zachodnich Anaarów. Rysunki odzieży, broni, ozdób, biżuterii. Mumia Regelessa została pochowana pod posadzką tej komnaty. To największy honor, jaki może spotkać sługę Biblioteki.

Deana spojrzała w czarne oczy swojej gospodyni. Wyglądało na to, że nie żartuje.

— Mam stąpać ostrożnie?

— Sądzę raczej, że byłby zaszczycony. Chcesz rzucić okiem na jego pracę?

Podeszły do stołu, gdzie na znak dany przez Aweloney znalazła się opasła księga. Pergaminowe pożółkłe karty były na wpół przejrzyste, ale poza tym pozostawały w doskonałym stanie.

Czarnoskóra kobieta ostrożnie przewracała strony, pełne pięknych rysunków i drobnego, precyzyjnego pisma. Istniała spora szansa, że uczony sprzed wieków pomylił powołanie, jego ilustracje stworzono pewną ręką i mimo ubogiej palety barw wspaniale oddawały wszystkie szczegóły. Postacie mężczyzn, kobiet i dzieci w strojach odświętnych, kapiących od ozdób, lub codziennych, prostych i niekrępujących ruchów. Wszystkie twarze były zasłonięte, ale w jakiś sposób żywe, jakby rysownikowi udało się zajrzeć pod *ekchaary* i dostrzec pod nimi prawdziwych ludzi.

Broń, szable, miecze, włócznie, łuki, plecione proce i pociski do nich. Nie wyglądały jak współczesne, *yphiry* sprzed trzystu lat były dłuższe, miały masywniejsze zarówno głownie, jak i rękojeści, *talhery* za to noszono

krótsze, cięższe, wyraźnie jeszcze nawiązujące do swojej matki, szabli *taldesch*. Deana nie rozpoznawała też niektórych ubiorów i ozdób.

— Część rzeczy jest już inna.

Aweloney przytaknęła, przewracając kolejną kartę.

— Wszystko zmienia się przez cały czas. Są jednak tacy — obrzuciła spojrzeniem obu Oglalów — którzy zdają się tego nie zauważać, gotowi wypruwać wnętrzności w imię dawno przebrzmiałych prawd.

Starszy ośmielił się wyrazić sprzeciw.

— Prawda nie może przebrzmieć.

— Tysiąc lat temu Dalekim Południem władała Wielka Matka pod postacią Białej Słonicy, a inni bogowie byli jej dziećmi. I to było prawdą. A nie minęło trzydzieści lat od chwili, gdy otworzyło się Oko i Maleyech Samaid zapytał: „Co z nami teraz będzie?”, po czym resztki jego ludu zginęły na Uroczysku, zapędzone tam przez zbuntowane Rody Wojny. I gdzie jest teraz prawda o Białej Słonicy? Jedyna, jaką się tu toleruje, jest kuglarską atrakcją wyprowadzaną na ulice miasta dwa razy w roku. Więc jaka jest prawda na dziś?

Kobieta zamknęła księgę, nieco gwałtowniej, niżby należało ze względu na wartość dzieła, i ruchem głowy kazała młodszemu Oglalowi odnieść ją na miejsce.

Deana obserwowała jej twarz. Gniew, ale ponury, zapiekły, podszyty bezradnością i irytacją. Najpewniej na wszystkich głupców tego świata.

— Nie wiedziałam o tym — mruknęła możliwie spokojnym głosem. — Ale czy to bezpieczne? Powtarzać takie historie w mieście Agara?

— Biblioteka ma… nie ma takiego słowa w twoim języku, ciekawe… nietykalność — dodała w meekhu. — W tych murach można mówić o wszystkim, byleby tylko dyskusje nie wychodziły poza główną bramę. Widziałaś płaskorzeźby na jej powierzchni? Agar pokonujący demony? To dar Świątyni Ognia, dyskretne, jak na nich, przypomnienie, kto rządzi w Białym Konoweryn. Ale nawet Kamień Popiołu nie ośmieli się rzucić wyzwania Bibliotece, jeśli chce mieć dostęp do wszystkich kronik rodów, spisywanych od przeszło tysiąca lat.

— Kronik rodów?

— Chodzi o Krew Agara, oczywiście. Wierz mi, nawet kochanki i nałożnice w pałacu nie są dobierane przypadkowo.

Deana westchnęła.

— Słyszałam już o tym. I nadal sądzę, że to przypomina hodowlę bydła.

— Nie bydła, tylko Boskiej Krwi. Tak już tu bywa. A wy? — Aweloney zwróciła się do obu uczonych. — O co się kłóciliście?

Starszy zrobił gniewną minę, zasapał.

— O Gelurtiego. Znów. Mój pożałowania godny syn, za którego nie przestaję się wstydzić nawet wtedy, gdy jem, śpię i wydalam, twierdzi, że ten oszust naprawdę ujrzał twarz jednego z wojowników i nie został zabity. Mimo że wojownik o tym wiedział. A przecież… — łysina ojca zaczynała się pokrywać purpurą — … mamy cztery niezależne świadectwa o tym samym wojowniku, który dwa dni później rozpłatał dwóch ludzi po tym, jak zobaczyli jego oblicze.

Ciemnoskóra kobieta przymknęła oczy z wyraźnym znużeniem.

— To historia sprzed więcej niż stu sześćdziesięciu lat. Teraz sama widzisz, co miałam na myśli, mówiąc o głupcach żyjących we własnym świecie. Gelurti z Avo bardzo chciał zasłużyć na miejsce pod posadzką, uważał się za następcę Regelessa, lecz ponieważ nie miał dość sił, pieniędzy lub odwagi, by podróżować na północ, zadowolił się zbieraniem wiedzy od Issaram przyjeżdżających do Konoweryn z karawanami. Jego dzieło *Opowieści targowe* nadal jest dyskutowane.

— Po stu sześćdziesięciu latach?

— Owszem.

— I oni — Deana przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego — spędzają czas, dyskutując o tym, co napisał kilka pokoleń temu jakiś Gelurti, mimo że mogliby sami wyjść do miasta i porozmawiać z przebywającymi tu Issaram? I po prostu zapytać, dlaczego ten wojownik mógł darować życie jednemu człowiekowi, a zabił dwu następnych?

Obaj popatrzyli na nią, jakby była niespełna rozumu.

— Widzisz — w szepcie jej towarzyszki kryły się zatrute igły. — Uczeni. Brakuje nam takich jak Regeless, pozyskujących wiedzę u źródła. Ci wolą dyskusje o tym, co ktoś napisał i dlaczego, a ich wnuki będą rozprawiać o tym, czy relacje z dyskusji na temat innych dyskusji nie zostały przypadkiem przekłamane. Nic dziwnego, że przez trzysta lat nie dołożono tu żadnej księgi.

Starszy z Oglalów skrzywił się, jakby Aweloney poczęstowała go pucharem soku z cytryn. Widać było, kto tu ma ambicję spocząć obok sławnego podróżnika.

— A dlaczego mógł zrobić to, co zrobił? Ten wojownik z *Opowieści* Gelurtiego.

Deana uśmiechnęła się pod *ekchaarem*.

— Chcecie pohandlować? Wiedza za wiedzę. Słyszałam, że macie tu księgi o spokrewnionych z Issaram plemionach, które uciekły na południe po objawieniu przez Harudiego Praw.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Właściwie to tylko kilka stron w kilku różnych tomach. Niewiele mamy na ten temat, Biblioteka nie została jeszcze wtedy założona. — Młodszy wydawał się szczerze zakłopotany. — Pisze się, że były trzy fale wędrowców, ze wschodnich, centralnych i zachodnich Anaarów, że część z nich została na pustyni, walcząc ze swoimi fanatycznymi kuzynami, którzy zasłonili twarze i wyrzynali wszystkich krewniaków, jeśli ci nie chcieli poddać się ich Prawom. Niektórzy twierdzą, że…

Starszy szturchnął syna w bok i zmierzył Deanę przebiegłym spojrzeniem.

— Wymiana, wojowniczko? Wiedza za wiedzę?

— Wasza informacja nie wygląda na zbyt wiele wartą. Żadnych nazw plemion, rodów ani imion. Nic, czego bym sama nie wiedziała. Nie tego szukam.

Grymas mężczyzny przypominał uśmiech Samiyego, gdy ten proponował jej wymianę języków.

— Jest jedna księga… z jedną stroną… na której są nazwiska siedemnastu rodów i około trzydziestu imion uciekinierów z centralnej części Anaarów. Podobno ty też stamtąd pochodzisz.

Zastanowiła się.

— Jest jedno z mało znanych Praw Harudiego, które pozwala w pewnych okolicznościach wybierać. — Wykonała gest wymiany. — Jesteś ciekaw?

Wpatrzona w mężczyzn, nie widziała twarzy Aweloney, ale była gotowa założyć się, że tamta uśmiecha się szeroko i radośnie. Najwyraźniej targowanie to było to, co Konowerczycy lubili ponad wszystko.

Oglal ojciec wydął pogardliwie wargi.

— Po co mi wiedza, o którą mogę zapytać pierwszego lepszego Issaram?

— Za kolejne sto sześćdziesiąt lat? Poza tym jestem Pieśniarką Pamięci, znam historie i prawa lepiej niż szukające przygód młodziki, wynajmujące

się do ochrony karawan. Ten wojownik, który darował życie Gerultiemu, był starszy, mam rację?

Cichy, kobiecy śmiech świadczył, że trafiła.

— Może tak. Może nie. Ta żałosna pisanina nie jest zbyt precyzyjna — odpowiedział Oglal Starszy.

— Och, sądzę, że jest. Sądzę też, że nie chcesz tak naprawdę mojej wiedzy, bo przegrałbyś spór z synem.

Purpura wystrzeliła zza kołnierza i błyskawicznie pokryła twarz mężczyzny.

— Co?

— On twierdzi, że ten wasz uczony napisał prawdę. Ty, że kłamał, wymyślał głupstwa, więc nie zasługuje na miejsce pod posadzką tej sali. Jeśli udowodnię, że mógł napisać prawdę, twoje szanse na znalezienie się tu kiedyś… po śmierci, będą mniejsze. Mam rację?

Aweloney zaklaskała cicho.

— Pięknie. Zawsze mówiłam, że Issaram są jak dobrze wyważone ostrze. Potrafią doskonale szukać słabych punktów i uderzać w nie z całą siłą. Zgoda.

Deana spojrzała na nią, napotykając perłowy uśmiech i ogniki szczerej radości w oczach kobiety.

— Co, zgoda?

— Wymienimy się wiedzą. Dostaniesz swoje nazwy rodów i imiona w zamian za rozwiązanie tego sporu. Dlaczego jeden człowiek przeżył, a dwaj inni zginęli?

— Z powodu *seh’rodri*. To stare słowo, a właściwie dwa słowa, *sehonar omorodrin*. Akt lub raczej łaska wątpliwości. Mówi o nim Piętnaste Prawo Harudiego, spisane w najstarszym znanym nam języku, tym, którego używaliśmy w czasie Wojen Bogów i tysiąc lat po nich. Chodzi o różnicę w dawnym znaczeniu słów „zobaczyć” i „ujrzeć”. Pierwsze prawo wyraźnie mówi, że jeśli ktoś ujrzy twoją twarz, ty lub on musicie umrzeć, nim słońce ponownie wstanie. Ale w starym języku „zobaczyć” i „ujrzeć” to nie to samo. Jeśli stanę bez *ekchaaru*, a ktoś zerknie na mnie z odległości dwustu kroków i zaraz odwróci wzrok, to zobaczy moją twarz, ale jej nie ujrzy, rozumiecie?

Cała trójka patrzyła na nią z wyraźnym wahaniem.

— Ujrzeć i zobaczyć. — Deana szukała słów, bo nawet język Issaram przez ostatnie stulecia połączył znaczenie obu tych wyrazów. — Z dwustu kroków, ktoś, kto przez mgnienie oka spojrzy, będzie mógł powiedzieć, że zobaczył moją twarz, ale… eee… nie potrafiłby mnie rozpoznać ani nie mógłby narysować mojego portretu, choćby był obdarzony takim talentem, jak ten wasz uczony. — Wskazała księgę, którą wcześniej oglądali. — Ujrzenie musi być aktem świadomym. Tylko wtedy dochodzi do utraty kawałka duszy.

Starszy mężczyzna nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

— To dość… mało przekonujące.

Uśmiechnęła się i pokazała mu gest zdziwienia.

— Mało przekonujące, choć chodzi o wiarę? A dlaczego? Świadome spojrzenie jest cechą ludzi. Zwierzęta potrafią patrzeć, mogą cię zobaczyć, ale nie są w stanie cię ujrzeć. Nie potrafią zajrzeć w głąb twojej duszy i jej skraść. Dlatego w *afraagrze* nie muszę zasłaniać twarzy, gdy idę wydoić kozy, i nie muszę zabijać każdego pająka, który przyplącze się do mojej sypialni. I mogę, w szczególnych okolicznościach, jeśli nie jestem pewna, czy ktoś naprawdę ujrzał moją twarz, czy ją tylko zobaczył, zastosować *seh'rodri*. Mgnienie oka, gdy poluzowany *ekchaar* odsłoni oblicze, duża odległość, ciemność nocy… Wtedy mam wybór. Tym jest łaska wątpliwości. Oczywiście muszę później, w *afraagrze*, poddać się sądowi Wiedzących, którzy ocenią, czy moje wątpliwości były prawdziwe, czy też wynikały z braku odwagi.

Krępy uczony założył ręce na piersi i zmrużył podejrzliwie oczy. Deana mogłaby przysiąc, że kępki włosów za uszami nastroszyły mu się wojowniczo.

— A dzieci?

Spodziewała się takiego pytania. Zawsze, gdy obcy rozmawiali z Issaram o ich wierze, wyciągali ten argument, niczym wódz rzucający na pole bitwy ukryte rezerwy.

— Wierzymy, że dziecko staje się człowiekiem po ukończeniu dziewięciu lat, więc młodsze dzieci nie mogą ci skraść duszy — zaczęła ostrożnie. — Zresztą dziewięć lat to wiek umowny. Harudi zapisał…

— *Gdy nadchodzi dorosłość*.

Bibliotekarka rzuciła cytat z Praw i Deana nagle zrozumiała, że znalazła się w ogniu dyskusji, które w tych murach trwają zapewne od wielu lat.

— Tak. A Piąty Zwój rozstrzyga ten zapis. Wcześniej bywało różnie, każde z plemion miało swoją granicę, jedne uznawały dwanaście lat, inne osiem, jeszcze inne sześć. Najczęściej było to siedem lat, wiek, gdy dostaje się pierwszą prawdziwą broń na własność. Potem, w czasach Wojen o Zwoje, uznano, że dziewczynka wchodzi w dorosłość, gdy pierwszy raz krwawi. Najmłodsza, jaką odnotowały nasze kroniki, krwawiła, gdy miała dziewięć lat, trzy miesiące i jedenaście dni. A my chłopców traktujemy tak samo jak dziewczynki.

Spojrzała na obu mężczyzn, nagle purpurowych, nerwowo mnących szaty, odwracających wzrok, i obudziła się w niej nutka podszytego niesmakiem rozbawienia. Uczeni. Zapewne żyją w świecie, na którym ludzie pojawiają się w tajemniczy sposób, dzięki boskiej interwencji. A dzieci pałętające się im pod nogami to jakieś dziwne półludzkie byty nie wiadomo skąd.

— Sądzę, że to wystarczy. — Aweloney przestała się uśmiechać i lekko pokręciła głową. Najwyraźniej były tematy, których mury świątyni wiedzy mogłyby nie wytrzymać. Deana poczuła złośliwą pokusę. Ciekawe, czy jak szybko trzy razy powiem „poród”, to biblioteka się zawali?, pomyślała.

— Dziewięć lat. Niektóre plemiona interpretują zapis w Piątym Zwoju jeszcze dokładniej, właśnie jako dziewięć lat, trzy miesiące i jedenaście dni. Jeśli więc moją twarz zobaczy dziecko, którego wieku nie znam i nie dam rady go sprawdzić, mogę zastosować *seh’rodri.* Jeśli nie jestem pewna, czy ktoś naprawdę ujrzał moją twarz, zajrzał w głąb mojej duszy, skradł mi ją, także. Tak jak, najpewniej, wojownik z księgi waszego uczonego.

Obaj badacze milczeli, patrząc na nią podejrzliwie.

— To… — zaczął młodszy.

— Tego nie ma w *Wędrówkach* Regelessa — jego ojciec nie dawał za wygraną.

— Oczywiście. Samotny podróżnik snujący się przez kilka lat po przedsionkach *afraagr* na pewno opisze dokładnie świat plemion, których historia sięga czasów Wojen Bogów. — Deana westchnęła ciężko, czując się, jakby rozmawiała z osłem, a nie dojrzałym mężem. Ten starszy, ze swoją arogancką miną i głupim przekonaniem o własnej racji, zaczynał ją irytować. — Nawet najstarsi i najmądrzejsi z naszych Pieśniarzy Pamięci nie twierdzą, że poznali więcej niż kilka słów z opowieści, którą snujemy jako Issaram. Sądzisz, że dyskusje i kłótnie o znaczenie poszczególnych Praw Harudiego już ustały? Wojny o Zwoje zakończyły się ponad tysiąc lat temu,

a i tak plemiona różnią się strojami, obyczajami, ulubioną bronią. Pierwsze siedem Praw Harudiego jest jak stal w ostrzu skuwanym w ogniu, one trzymają nas razem, pozostałe czternaście to miękkie żelazo, które każdy interpretuje po swojemu. Dlatego ten wojownik mógł darować życie waszemu uczonemu, choć inny mógłby go zabić bez najmniejszego wahania. Bo nie jesteśmy martwymi bytami zapisanymi w księgach — wskazała półki — lecz żywymi ludźmi, dzięki czemu jeszcze żyjesz, Oglalu z Fyz.

Zamrugał nagle i przełknął ślinę wyraźnie zaskoczony.

— Cc…co? Dlaczego…

Deana powoli położyła dłonie na rękojeściach *talherów*.

— Twoja postawa, ręce założone na piersi, to w moim plemieniu obraźliwe wyzwanie do walki — wyszeptała. — Uważasz się za biegłego w wiedzy o Issaram, a tego nie wiesz? Być może trzysta lat temu ten gest nie miał takiego znaczenia albo twój Regeless nie odwiedził *afraagr* d'yahirrów. Znoszę twoją bezczelność i gdybym nie sądziła, że wynika ona z ignorancji, wyciągnęłabym broń. To właśnie przykład *seh'rodri*, aktu wątpliwości. Nie wiem, czy jesteś szaleńczo odważnym wojownikiem, czy głupcem, który nie wie, co mówi jego ciało, więc nie odpowiadam na twoją obelgę.

Ręce mężczyzny opadły, dłonie splotły się z przodu, potem z tyłu ciała, znów z przodu. Deana obserwowała ten nerwowy taniec z coraz większym rozbawieniem.

— Żaden z tych gestów nic nie znaczy, choć lepiej, byś nie wysuwał lewej stopy w przód. To pozycja rozpoczynająca atak.

Stopy starszego uczonego ustawiły się karnie obok siebie.

— Dobrze. Jeśli uznałeś, że moja wiedza jest cenna, chciałabym zobaczyć tę księgę z nazwiskami. Natychmiast.

— Możecie iść jej poszukać. Obaj. — Bibliotekarka skinęła głową, a mężczyźni ukłonili się, starszy głębiej, i cofając do wejścia, wyszli.

W sali zapanowało milczenie. Przez chwilę czarne oczy Aweloney przypatrywały się Deanie z napięciem. Nagle się rozluźniła.

— Nie powinnaś wspominać o miesięcznym krwawieniu. W tym kraju to sprawy kobiet, o których mężczyźni nie życzą sobie nic wiedzieć.

Deana westchnęła.

— A w moim plemieniu jest jedno powiedzenie, które chyba powie ci o nas więcej niż wszystkie te księgi i zwoje. Chcesz usłyszeć?

— Oczywiście.

— Przełożę ci to na meekhański, bo w *k’issari* się nie rymuje, a nie jestem pewna swojego *suanari*. Idzie to tak. — Uśmiechnęła się, choć tamta nie mogła tego zobaczyć. — Gdy twoja kobieta robi lepiej szablą niż ty, dobrze jest wiedzieć, kiedy ma trudne dni.

Nagrodą był śmiech, głośny i szczery. Bibliotekarka aż oparła się o kamienny stół.

— Oj… Ojej. Masz rację, to mówi więcej… Ale nie mogę tego umieścić w żadnej księdze, bo…

— O takich rzeczach się nie pisze?

— Właśnie. A to o zakładaniu rąk na piersi to prawda?

— Tak. To możecie zapisać?

— Och, oni z pewnością to zrobią. Wraz z opisem, jak to otarli się o śmierć, zdobywając tę wiedzę. Skąd wiedziałaś, że wojownik z *Opowieści targowych* był starszy? Gerulti wspomniał o tym tylko raz, pisząc o twarzy pobrużdżonej tysiącem wiatrów.

Deana wzruszyła ramionami w geście znanym jak świat długi i szeroki.

— *Seh’rodri* to akt wątpliwości. A młodość jej nie zna.

Interludium

Yatech obudził się, zanim jeszcze otworzyły się drzwi do jego pokoju, a deski podłogi zaskrzypiały ostrzegawczo pod naciskiem drobnych stóp. Zerwał się płynnie, miecz wyskoczył z pochwy i zgrzytnął o białe ostrze.

Iavva.

Patrzyła na niego tym swoim beznamiętnym wzrokiem, a w ciemności jej oczy przypominały wypełnione rtęcią studnie. Gdy otworzył usta, położyła mu palec na wargach, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Nie musiała mówić „Chodź”.

Wynajęli dwa pokoje w zajeździe w lepszej dzielnicy Ponkee-Laa, gdzie zatrzymywali się kupcy i niezbyt zubożała szlachta. Kanayoness nalegała na osobne sypialnie, choć spędzali już noce w najróżniejszych miejscach, czasem kuląc się pod jednym kocem, więc z pewnością nie chodziło o poczucie przyzwoitości. Po prostu czasem chciała być sama. Bo w końcu Iavvę trudno uznać za towarzystwo.

Jasnowłosa poprowadziła go korytarzem i bez pukania otworzyła drzwi.

Pokój Małej Kany był kopią pomieszczenia Yatecha. Pięć kroków na sześć, jedno łóżko, jeden taboret i kilka kołków wbitych w ścianę. Równie dobrze mogłaby to być cela w jakimś klasztorze.

Przestał o tym myśleć, ledwo spojrzał na leżącą w zmiętej pościeli dziewczynę. Majaczyła. Mała lampka oświetlała twarz pokrytą niezdrową bladością, przypominającą świeżo wyciśnięty ser. Poduszka przesiąkła potem, oczy pod zamkniętymi powiekami latały z taką szybkością, jakby ich właścicielka próbowała patrzeć na wszystkie strony jednocześnie.

Yatech pochylił się i dotknął szczupłej dłoni. Paliła jak kawałek żelaza wyciągnięty z pieca.

Pod wpływem dotknięcia Mała Kana otworzyła oczy. I od razu wiedział, że chociaż patrzy na niego, to go nie widzi. Nie widzi też Iavvy, pokoju, lampki. Cokolwiek dostrzega, wypełnia ją to cierpieniem i bólem.

Odwrócił się ku jasnowłosej dziewczynie.

— Pilnuj jej. Zaraz wrócę.

Miska z wodą i kilka czystych szmatek znalazły się natychmiast, gdy rzucił przysypiającemu w kuchni słudze pół orga. Kiedy położył Kanayoness na czole pierwszy okład, zapłakała głosem małej dziewczynki.

* * *

Dopiero rankiem, gdy słońce wpełzło leniwie na nieboskłon, otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Pomyliłam się — wyszeptała.

Rozdział 4

Uczta zaczęła się po zachodzie słońca i miała trwać do świtu. Miejscowe piwo i wino, a nawet trunki, sprowadzane za ciężkie pieniądze z kontynentu, lały się nieprzerwanie, każdy zaś, kto zagościł w siedzibie klanu Udruich, mógł zostać i brać udział w zabawie.

Każdy, kto nie należał do wrogiego plemienia, oczywiście.

Cztery dni po ich przypłynięciu Urgwyr Mała Pięść świętował narodziny córki. Altsin trochę żałował straconego czasu, ale Naywir stwierdził, że jeśli odmówią udziału w uczcie, ryzykują śmiertelną obrazę gospodarza. *Treiwics* mógłby w tym przypadku mieć pierwszeństwo przed prawami gościnności czy zwykłą wdzięcznością. Lepiej nie kusić losu.

Poza tym złodziej nie czuł się jeszcze na siłach, by zasiąść na ławce z rumplem w dłoni. Pierwsze dwa dni przeleżał w przydzielonej im komnacie, modląc się o młot, którym ktoś walnie go w głowę i pozbawi przytomności.

Właściwie modlitwy były tym, czego ludzie się spodziewali po mnichach, nieprawdaż?

Dopiero trzeciego dnia opuchlizna ze stawów lekko mu zeszła, a siniaki zmieniły kolor na barwę lekko przegniłej trawy. Wyraźnie miał się lepiej.

Ynao znikła prawie miesiąc temu, co sugerowało, że jej podróż galerą trwała dłużej, niż sądziła. Co najmniej dziesięć dni. Po upływie następnych dziesięciu, przekonany, że dziewczyna utonęła, ojciec odprawił obrzędy pogrzebowe oraz wysłał wieść do Doliny Dhawii, aby odczytano jej imię przed obliczem Ouma, przez co została oficjalnie uznana za zmarłą. Sześć dni później łódź mnichów przywiozła ją całą i zdrową.

Altsin słyszał, że istnieją plemiona, które w takiej sytuacji zabiłyby cudownie „zmartwychwstałą” osobę, bo ich pojęcie równowagi świata wymaga, by ci, którzy zostali formalnie pochowani, byli na pewno martwi. Seehijczycy mieli dość praktyczne podejście do rzeczy. Ynao zginęła na morzu i odprawiono dla niej obrzędy pogrzebowe, doskonale. Ale Oum

w swojej mądrości obdarzył Urgwyra nową córką, która narodziła się wkrótce po śmierci starszej, i żeby nie komplikować wszystkim życia, postanowiono nazwać ją dokładnie tak samo, jak poprzednią.

Formalnościom stało się zadość, gdy ojciec położył swoje dłonie, rzeczywiście wielkie jak łopaty, na głowie Ynao i nadał jej imię.

Potem zaczęła się zabawa.

Siedziba klanu znajdowała się na wzgórzu, w kamiennej warowni otoczonej dwoma rzędami murów. Miejsca, jak to zazwyczaj w budowlach wznoszonych w celach obronnych, było tu mało, więc uczta odbywała się przy stołach rozłożonych na dziedzińcu, a goście przeganiali nocny chłód galonami wina, piwa i miejscowego trunku pędzonego z palonego słodu, który smakował jak przepocone onuce i uderzał do głowy z siłą okrętowego tarana.

Seehijczyków było prawie dwie setki, sami znaczniejsi członkowie klanu, co dało się rozpoznać po ubiorach i broni. Żadnych siekierek i oszczepów, tylko miecze, zdobione srebrem topory, noże o rękojeściach wysadzanych kamieniami i w pochwach okutych złotem. W końcu nie co dzień członkowi starszyzny rodzi się córka. I to od razu szesnastoletnia.

Mnichów usadzono na honorowym miejscu, przy okrągłym stole, gdzie zasiadał Urgwyr i reszta starszyzny klanu. Wokół blatu stało dwadzieścia krzeseł, lecz ponad połowa była pusta, najwyraźniej część ważniejszych gości nie dojechała, więc oprócz ich trójki siedział tam tylko gospodarz z bratem, ich żony o imionach Louwa i Lyura oraz Ynao. Na Altsinie spoczął obowiązek podtrzymywania rozmowy, bo Naywir potrafił ledwo coś wydukać w łamanym seehijskim, choć zwrot „dolej mi jeszcze” zdawał się opanować do perfekcji, a Domah milczał, uśmiechał się grzecznie i rozsiewał wokół aurę nieokreślonej groźby.

Chcąc przełamać tę aurę, złodziej opowiedział o spotkaniu w porcie i szybkości, z jaką mittarscy marynarze pozbyli się ubrań, ale historia ta nie wzbudziła aż takiego rozbawienia, jak się spodziewał, za to sądząc po ponurych minach i zaciśniętych zębach, można było podejrzewać, że „Czarna Mewa” będzie musiała bardzo uważać w czasie rejsów wzdłuż wyspy. Może i Seehijczycy nie mieli zorganizowanej floty, ale ich łodzie były szybkie i zwinne.

Przy stole rozmawiano o niczym. Po uroczystym powitaniu i nadaniu imienia „nowej” córce padły zdawkowe uwagi o wyjątkowo wczesnej wio-

śnie, stanie morza i nowych cenach na agaty. Altsin nawet się nie dziwił, Enroh mu kiedyś opowiadał, jak wyglądają uczty, na które Seehijczycy zapraszają obcych. Sposobów, w jakie można obrazić gospodarzy, jest wiele, a lista odpowiedzi na obelgę, zamierzoną czy nie, jest krótka i nieodmiennie ostra. Dlatego mądry wyspiarz, zapraszając do domu gości spoza klanu, sadza ich z daleka od reszty, pilnuje, by mieli zawsze pełne talerze, i nie pozwala zbyt dużo mówić.

Złodziejowi to odpowiadało, bo od dłuższego czasu czuł się nie najlepiej. Około południa rozbolała go głowa, potem musiał spędzić jakąś godzinę w czymś, co uchodziło tu za wychodek, czyli w małej szopie postawionej nieco poza murami, a wieczorem dostał dreszczy, jakby dopadła go gorączka. Miejscowa kuchnia najwyraźniej mu nie służyła, więc cieszył się, że jutro odpływają, bo to oznaczało dietę złożoną z sucharów i suszonych ryb. Tym jeszcze nikt się nie zatruł.

Ich misja dobiegła końca. Teraz pozostało im tylko jakoś dotrwać do rana, wytrzeźwieć, wyleczyć kaca i pożeglować na północ. Enroh z pewnością znajdzie sposób, by przekuć dług, jaki zaciągnął u mnichów klan Udruich, w konkretne dobro. Może za jakiś czas któraś z gildii kupieckich zawrze z tym plemieniem wyjątkowo korzystną umowę, za co oczywiście odwdzięczy się klasztorowi hojnym datkiem, albo też braciszkowie dostaną specjalne przywileje na tutejszych ziemiach… Starzec nie utrzymałby się tyle lat na stanowisku przeora, gdyby nie potrafił dobrze grać kośćmi, które dostanie w rękę. A ten rzut – złodziej zerknął na siedzącą przy ojcu dziewczynę i samego Urgwyra, mężczyznę grubo po czterdziestce, pokrytego bliznami i z czerepem naznaczonym paskudną szramą, który co chwila spoglądał na córkę i ukrywał drżenie dłoni, zaciskając je na olbrzymim srebrnym kubku – ten rzut był w całym tego słowa znaczeniu dobry.

Baelta’Mathran, ta cholernie odległa, tajemnicza bogini, którą przyniosło ze sobą Imperium, musiała uśmiechać się w tej chwili z zadowoleniem.

Złowił spojrzenie Urgwyra i uniósł swój kubek. Pociągnęli jednocześnie, przez chwilę osiągając ten stopień zrozumienia, jaki jest możliwy tylko w momencie, kiedy jeden człowiek zajrzy pod maskę drugiego i dostrzeże tam kogoś, z kim warto się napić.

I wtedy rozległ się głos rogu.

Na kilka mgnień oka wszystko zamarło, jak zastygłe w bursztynie, a potem zabrzmiały okrzyki i fala nerwowych poruszeń przebiegła między

ludźmi. Ale nikt nie sięgał po broń ani nie biegł na blanki, więc nie wyglądało na to, by zaraz miała zacząć się walka.

Po chwili cisza znów opanowała dziedziniec, i w tej ciszy wrota uchyliły się, by wpuścić drobną kobietę w towarzystwie dwóch szerokich w barach i uzbrojonych po zęby osiłków. Każdy z nich miał przy pasie ciężki topór, tasak i masywną buławę z sześciograniastą głowicą. Mężczyźni nosili też skórzane napierśniki i takież maski, lakierowane w poziome żółte i czarne pasy, co wyglądało, jakby na twarzach rozciągnięto im odwłoki olbrzymich os. Całość sprawiała dość groteskowe i paskudne wrażenie, ale w jakiś dziwny sposób i tak strażnicy wydawali się tłem dla kobiety. Niskiej, nawet jak na Seehijkę, chudej i wyglądającej trochę jak nie całkiem wysuszona mumia, której zachciało się wstać i nawiedzać ludzi.

Kobieta omiotła dziedziniec spojrzeniem i choć nie poświęciła nikomu więcej uwagi niż na uderzenie serca, i tak odnosiło się wrażenie, że pod jej wzrokiem ludzie trzeźwieli nagle, jakby ktoś wrzucił ich do przerębli pełnej lodowej kaszy.

Po czym ruszyła w stronę Urgwyra.

Jakiś kowalski młot walnął Altsina pod żebra, chyba łamiąc kilka i powodując poważne obrażenia płuc. Zgrzytnął zębami, trzeba koniecznie wytłumaczyć Domahowi, co to znaczy kuksaniec.

Zmienił zdanie, gdy palec olbrzymiego mnicha zanurzył się w winie i napisał na blacie dwa słowa: „Wiedźma. Uważaj”. Ostrzeżenie znikło zaraz, zmazane jednym gestem.

Wiedźma? Miejscowe wiedźmy cieszyły się szacunkiem, bo wśród Seehijczyków niewielu mężczyzn osiągało biegłość we władaniu Mocą. To było lokalne wynaturzenie, częściowo zapewne związane z tradycją, która nakazywała młodzikom szukać chwały w walce, a nie w magii. Chłopcy woleli zginąć w rajdzie *ka’hoony*, niż poświęcić życie na naukę mistycznych sztuk. Z tego, co złodziejowi było wiadomo, wiedźmy szanowano i słuchano się ich; budziły wprawdzie lęk, ale nie otaczał ich nimb namacalnego strachu, jak tę tutaj.

Chyba że była Czarną Wiedźmą z Doliny Dhawii. Służką Drzew, Głosem Ouma, czy jak je tam zwano. Altsin zapomniał o bólu żeber i skupił uwagę na zbliżającej się kobiecie.

Nie tak wyobrażał sobie jedną z najpotężniejszych osób na wyspie. Gdy złodziej pierwszy raz usłyszał o tutejszych wiedźmach, przed oczyma sta-

nęła mu postać w czarnych szatach, wędrująca w towarzystwie orszaku sług i małej orkiestry wygrywającej pompatyczne melodie. I ten obraz, sztuczka umysłu, towarzyszył mu od miesięcy; tymczasem patrzył teraz na starszą kobietę w zakurzonym ubraniu, o twarzy zmęczonej jak u rybaka wracającego z przerwanego sztormem połowu.

Gdyby tylko nie otaczało jej… psiakrew, jakby szła wewnątrz osobistej kuli lodu.

Usiadła na jednym z wolnych miejsc, między Ynao a jej matką, rozparła się wygodnie i z najbliższego półmiska ściągnęła udo kurczęcia. Ugryzła, skrzywiła się i rzuciła je na ziemię.

Cisza rozlała się po dziedzińcu niczym niepowstrzymany przypływ. Wiedźma uśmiechnęła się.

— Nie ma to, jak umiejętnie zwrócić na siebie uwagę… — głos kobiety brzmiał młodo, dużo młodziej, niż sugerowałby jej wygląd. — Teraz na mnie patrzysz, a gdy przygotowywałeś tę ucztę, nie przyszło ci go głowy, by mnie zaprosić, Urgwyrze, zwany Małą Pięścią.

— Nie wiedziałem, że jesteś w okolicy. — Ojciec Ynao unikał wzroku kobiety.

— Przecież opuściłam twoją siedzibę ledwo dziesięć dni temu. Wystarczyło posłać gońca.

— Który miałby cię szukać nie wiadomo gdzie? Byłem pewien, że jeśli jesteś w pobliżu, zjawisz się niezwłocznie.

Mężczyzna uniósł twarz i Altsin musiał zmienić zdanie. To, co brał za pokorę i strach, było rozpaloną do białości furią, trzymaną w ryzach nadludzką wolą.

Kobieta nie przejęła się ani wzrokiem gospodarza, ani tym, że jego pięści przypominały teraz kamienne młoty, drżące od zgromadzonej w nich siły.

— Więc to jest twoja nowa córka…

Ynao spojrzała na wiedźmę hardo, bez strachu.

— … bardzo podobna do poprzedniej.

— Tej, którą zabrało mi morze? Jak przepowiedziałaś, gdy odmówiłem wam prawa do rozkopywania mojej ziemi w poszukiwaniu ametystów? Tej samej, którą ponoć pożarł potwór, który mimo że ma skrzydła, to pływa po oceanie? Powiedziałaś, że za mój upór zabrał ją na samo dno piekła, gdzie będzie wiecznie cierpieć męki.

— Czyżbym się pomyliła?

— Nie… nie pomyliłaś się… pożarł ją potwór, który miał na żaglu czarne skrzydła i chciał wywieźć na drugi koniec świata… Potwór, który…

Uniosła dłoń z szeroko rozłożonymi palcami, a jemu słowa utkwiły w gardle.

— To sprawy Doliny, więc sprawy Ouma.

— Ouma? — Wojownik podniósł się, oparł olbrzymie dłonie o stół. — Ouma, któremu pokłonił się i z którym rozmawiał mój dziad? Mój ojciec już nie, i ja też nie, bo odmawiacie nam przywileju stanięcia przed jego obliczem? Tego samego…

Dłoń wiedźmy zacisnęła się w pięść, a Altsin poczuł nagle tysiąc ukłuć między łopatkami. Cholera, przebywając w klasztorze, prawie zapomniał, jak to jest reagować tak na magię. Jego gospodarz zamarł z na wpół otwartymi ustami, zadławił się i poczerwieniał. Czarownica potrzymała go tak chwilę, nie za długo, dość, by pokazać, że ma całkowitą kontrolę, po czym rozprostowała dłoń. Urgwyr opadł na krzesło, łapiąc oddech.

Złodziej zdał sobie sprawę, że trafili w sam środek jakiejś rozgrywki między tutejszym plemieniem a służącymi Oumowi wiedźmami. Wyglądało na to, że Kamana tak naprawdę niewiele wiedziała o tym, jak naprawdę mają się sprawy na wyspie.

— I jeszcze wy. — Wiedźma przeszła na meekh tak nagle, że Altsin z początku nie zrozumiał, co kobieta mówi. — Słudzy tajemniczej bogini, mieniącej się matką wszystkich Nieśmiertelnych. Nasz bóg nie przyznaje się do żadnego z nią pokrewieństwa.

Rzut oka w lewo. Naywir siedział blady, jakby to jego wiedźma przydusiła czarami, Domah zasapał, ale najwyraźniej nie miał zamiaru złamać ślubu milczenia. Czyli znów wypadło na niego. Chrząknął, przyciągając spojrzenie przyjaznych niczym lodowe góry oczu.

— Ale z tego, co słyszałem, okazuje szacunek jej sługom.

— Szacunek? Raczej… zaciekawienie. I nie sługom, tylko jej samej. Jeśli taka będzie wola Drzew, zabijemy wszystkie jej sługi znajdujące się poza murami miasta, a wasza bogini nic nie zrobi. Jak zwykle zresztą.

— Nasza Pani — cholera, od kiedy to tak naprawdę była jego Pani? — woli, gdy służy się jej z dobrej woli, bez przymusu i wiedzy, że ocenia każdy nasz ruch. Więc pewnie udałoby się wam zabić wszystkich mnichów poza Kamaną. Na ich miejsce przypłynęliby inni.

— Niewielka pociecha dla martwych głupców.

— Ale zawsze pociecha. A jaką miałabyś ty, gdyby ludzie postanowili zabić wszystkie Czarne Wiedźmy poza Doliną?

Domah sapnął głośniej i zacisnął pięści, a Naywir zapiszczał coś cichutko.

Kobieta przechyliła głowę, jej usta rozchyliły się, okazując drobne, zdrowe zęby. Nie wiedzieć czemu ten uśmiech skojarzył się Altsinowi z rekinem podpływającym pod brzuch foki.

— No proszę, sądząc po głupiej minie, jaką miałeś na początku naszej rozmowy — wskazała palcem Urgwyra — byłam pewna, że nie rozumiesz mojego języka. Chyba muszę na ciebie uważać, chłopcze. Ktoś, kto tak dobrze udaje durnia… Z drugiej strony z kilku zdań wysnułeś jakieś dziwne wnioski… więc chyba nie całkiem udawałeś.

Altsin w ostatniej chwili ugryzł się w język. Gdyby wiedziała, do jakich wniosków właśnie doszedł, wiążąc kilka faktów… Dlaczego galera, która porwała Ynao, tak długo płynęła na północ i co znaczą głowice tasaków noszonych przez strażników w żółto-czarnych maskach.

— Możemy mówić mową ludzi, Euruvi. — Wuj Ynao odezwał się cicho, bez szczególnej intonacji. — Ten mnich przetłumaczy nasze słowa reszcie. Po co wróciłaś?

— Na święto, jak wspomniałam. Wieść szybko obiegła okolicę. Urgwyrowi Małej Pięści urodziła się kolejna córka. Łaska Ouma nie zna granic.

Trzeba było naprawdę dużo dobrej woli, by nie usłyszeć kpiny w tych słowach.

— Najwyraźniej tak.

Tym razem kpił Audaaw. I to patrząc wiedźmie prosto w oczy.

— I jest jeszcze oczywiście sprawa — uśmiech kobiety przeciął powietrze niczym klinga szukająca ciała — tej nieznanej, obcej Mocy, którą wyczułam kilka dni temu.

— U nas?

— Nie. Na północ stąd. Na morzu. Dziwna rzecz, im była bliżej, tym słabiej ją czułam, jakby ktoś szedł z dopalającą się pochodnią w ręku. A potem nic… tylko wieść o cudownym pojawieniu się twojej córki, która przybyła morzem. Z północy…

Słowa zawisły w powietrzu, niemal sycząc.

Urgwyr go zaskoczył. Altsin spodziewał się wrzasku, steku obelg i ciskania przedmiotami. Zamiast tego wojownik odchylił się do tyłu i zaśmiał na całe gardło.

— Więc tą drogą pójdziesz, Euruvi. — Odkaszlnął, sięgnął po kubek i przepłukał gardło. — Oskarżysz ją o kontakt z dziwnymi czarami i zabierzesz do Doliny, z której nie wyjdzie, póki nie zgodzę się na kopalnie na mojej ziemi. A urobku z tych kopalni nie zobaczę ani ja, ani reszta klanu. Nie udało się groźbą, spróbujesz porwaniem. Po co wam, Czarnym Wiedźmom, nagle tyle szlachetnych kamieni?

Altsin mógłby mu powiedzieć, ale zdrowy rozsądek zdusił głupie słowa. Czasem lepiej milczeć, zwłaszcza gdy jesteś świadkiem starcia między siłami, których intencji nie rozumiesz.

— Nie nam, tylko Oumowi.

— On nie rozmawia z nikim od ostatniego *kameluuri*. A już na pewno nie z wodzami klanów. I nigdy nie domagał się bogactw leżących w ziemi. Zresztą — machnął ręką — możesz ją sprawdzić, jak zrobiła to nasza Gualara dwa dni temu. Tak, wezwałem ją, żeby przekonać się, czy dziewczyna jest zdrowa, i żeby pomogła jej przypomnieć sobie wszystkie szczegóły porwania. Gualara jest starszą wiedźmą niż ty, więc w tej sprawie jej słowo przeważa. A jeśli będziesz się upierać, zażądam sądu. Choćby przed obliczem Ouma.

Altsin patrzył i słuchał tego starcia na słowa. Urgwyr, z tego co złodziej wiedział, był jednym z najważniejszych członków klanu i właśnie mówił Czarnej Wiedźmie mniej więcej to, że jej władza też ma granice. Konflikty między kapłanami a wielmożami były stare jak świat i – z tego co zrozumiał – w tym przypadku też chodziło o pieniądze. Poczuł się jak w domu.

Twarz wiedźmy ani drgnęła.

— Jesteś pewien, że tego chcesz? Masz aż takie poparcie wśród starszyzny? — Rozejrzała się wokół stołu i nagle puste krzesła nabrały nowego znaczenia. — A Gualara jest stara… była stara w chwili, gdy moja matka, wrzeszcząc, wypchnęła mnie z brzucha… W każdej chwili może umrzeć. Kto wtedy stanie między tobą a gniewem Doliny?

Cichy chichot przeciął powietrze, delikatny niczym nić babiego lata utkana z dymu. Altsin bardziej wyczuł go szóstym zmysłem, niż usłyszał, ale to wystarczyło, by wiedźma siedząca przy stole skamieniała. Po chwili z wyraźnym trudem odwróciła głowę w lewo.

Z cieni klejących się do ściany wyszła kobieta, która wyglądała jak zasuszone zwłoki. Luźne szaty w kolorze burej szarości wisiały na niej jak na kiju od szczotki.

Pierwsza myśl, która go naszła, brzmiała mniej więcej – Pani Łaskawa, gdyby ktokolwiek znalazł ją drzemiącą pod drzewem, od razu zacząłby szykować grób. Chyba że byłby to głodny wilk, ten spróbowałby zakopać kości.

Twarz kobiety przypominała jabłko, które przeleżało w piwnicy o kilka… dekad za dużo, a ciało poruszało się tak, jakby musiała toczyć z nim walkę o każdy krok.

Ona udaje – wiedział to nagle, tak jak doświadczony żeglarz po kolorze morza wie, jaka głębia kryje się pod kilem. Bawi się sytuacją. Jest stara, to prawda, ale starością stuletniej dębowej lagi, która może złamać jeszcze niejeden grzbiet.

Staruszka dokuśtykała do stołu i z sapnięciem zwaliła się na krzesło. Tuż obok mnichów.

Zachichotała raz jeszcze.

— Uuuu… ktoś tu musiał rozmawiać o mojej śmierci, bo nagle zaczęło mnie w krzyżu łupać. — Jej oczy, dwa kawałki zamglonego nieba ukryte w sieci zmarszczek, omiotły wszystkich wokół, nikomu nie poświęcając szczególnej uwagi. — Nalej mi kropelkę, chłopcze.

Po mniej więcej trzech uderzeniach serca przypominający wysuszoną gałązkę palec szturchnął Domaha w rękę.

— Do ciebie mówię, dziecko. Nalej mi trochę wina.

Altsin przetłumaczył.

— Byłam kiedyś w jego stronach. — Kobieta patrzyła, jak olbrzym przysuwa jej kielich i nalewa. — Jeszcze, jeszcze, skarbie, takie stare drewno jak ja potrzebuje dużo wilgoci. Południe, kamienne wzgórza, miasta prażące się w słońcu, plantacje oliwek i winnice. Mężczyźni w białych szatach, kobiety w błękitach, zieleniach i złocie. A wszędzie kapliczki Tej, Która Ocala.

Domah napełnił naczynie i podał go uprzejmie staruszce.

Wychyliła go kilkoma łykami i postawiła mu przed nosem.

— Lej, dziecko, nie żałuj.

Tego akurat nie trzeba było tłumaczyć.

Wszyscy patrzyli, jak z westchnięciem nieskrywanej przyjemności staruszka opróżnia drugi kielich. A potem szturcha ponaglająco mnicha.

Zanim wizja sterty obciągniętych pomarszczoną skórą kości, która wali się pod stół, zdążyła na dobre zagościć w głowie Altsina, stara wiedźma spojrzała na młodszą.

— Ona jest czysta. Jak woda ze Źródeł Mane. Nie używano na niej czarów. Nawet leczących, co dobrze świadczy o rozsądku przeora. Moc, którą wyczułaś, miała inne źródło.

— A ty ją wyczułaś?

— Oczywiście. Ale po oceanie pływa dużo statków. Zaczyna się wiosna, ruch między północą a południem rośnie. A na statkach pływają czarownicy i kapłani.

— Czarownicy i kapłani. — Skrzywienie warg. — Czułam płonący dom, a ty mi mówisz, że to był kaganek. Starość…

— Starość… Ja jej dożyłam. I mam dość doświadczenia, by pod blaskiem płonącego domu dostrzec słońce kryjące się w falach.

Bladość, spękana i szara niczym kiepska zaprawa murarska, pokryła twarz Euruvi. Nie chodziło o banalną przenośnię o słońcu i falach, ale o słowa, które padły wcześniej. Ja jej dożyłam.

— Byłaś w połowie drogi do domu, moje dziecko, gdy wyczułaś to coś na morzu. A potem przyszły wieści, które kazały ci zawrócić i szukać. Wiele twoich sióstr biega teraz za odpowiedzią na pytanie, którego boją się zadać głośno. Czy to już? Oum was nie uspokoił?

Policzki młodszej z kobiet odzyskały barwę.

— To nie są twoje sprawy.

— Mylisz się. Są. Dolina zapomniała, że nie jest kwiatem tej wyspy, lecz jej korzeniami. Ma służyć, a nie rządzić.

— I to właśnie robi.

— Nie, dziecko. Nie to. Wasze przygotowania nie mają sensu, a droga, którą obrałyście, prowadzi na skraj klifu — w głosie starej kobiety niespodziewanie pojawił się nowy ton. Smutek. — Pragnę cię uspokoić. To nie to, czego się przestraszyłaś. Jeszcze nie to.

Krzesło szurnęło, odsunięte gwałtownie w tył, a Czarna Wiedźma wyrosła nagle nad stołem, waląc zaciśniętymi pięściami o blat.

— Zamilcz! Nie masz prawa tak do mnie mówić. Zapłaciłam za to…

— Skarbie — szept Gualary zdawał się wypełniać przestrzeń i dochodzić ze wszystkich stron, choć Altsin dałby się pokroić za to, że nie otworzyła ust. — Od wielu lat boleję nad tym, co zrobiłyśmy. Ale znałaś cenę i nagrodę. Teraz każesz mi myśleć, że pierwszej nie chcesz zapłacić, a drugiej nie umiesz wykorzystać? Może popełniono błąd, wysyłając do Doliny najmłodsze z nas, niedoświadczone i pełne ambicji, które gasi dopiero odpowiedni wiek.

— Nie waż się mówić o tych sprawach przy obcych!

— Obcych? Tutaj nie ma obcych, dziecko. Wszyscy, nawet ci mnisi, podobnie pojmujemy sprawy banalne, jak lojalność, honor, wierność, i te ważne, jak dbanie o własne sprawy, gromadzenie majątku i zdobywanie władzy. Nawet jeśli ze sobą walczymy, wiemy dlaczego. Gdy napotkasz prawdziwą obcość, zginiesz, nie wiedząc za co. Poza tym — szept przybrał na sile — nie czujesz tego? Kopyto uderzyło o ziemię, a chrapy pochyliły się nad trawą i cofnęły, płomień wystrzelił w niebo, a szkarłatna równina zatrzęsła się za strachu, lodowy zamek jęknął i opuścił most zwodzony, byk zaryczał i po raz pierwszy od wieków uniósł łeb, miecz zabrzęczał, gdy jego właściciel uderzył w klingę, a ta została zamknięta. To wszystko wydarzyło się od wczorajszego wieczoru, a ty i twoje siostry nic nie poczułyście. Morze się cofnęło, wiatr ucichł, a wy nadal zajmujecie się swoimi przyziemnymi głupstwami.

Szept nagle nie był już szeptem. Stał się drażniącym uszy, starczym głosem:

— Dziś w południe Oum drgnął po raz pierwszy, kilka godzin później poruszył się i jęknął, a wieczorem otworzył oczy, tak – otworzył je, a pięć twoich sióstr zmarło. A ty nie zrobiłaś nic, pędziłaś tu pełna pychy i samozadowolenia, pewna, że twoja mała gierka o prawo do kopania w ziemi jest najważniejszą sprawą na świecie. Że gdy wrócisz do Doliny, niosąc na włóczni upokorzenie klanu Udruich, zyskasz coś w tej wojence, którą tam prowadzicie. Nie dostrzegasz, nie odzywaj się!, nie dostrzegasz, że w lesie wokół budzą się potwory, a każdy z nich zdepcze ciebie, mnie i całą wyspę, nawet nie spostrzegłszy, co zrobił.

Nagle wszystko się odwróciło. Euruvi, mimo iż jako jedyna stała przy stole, zdawała się spoglądać na wszystkich z dołu, a w oczach miała pustkę. Tak musi wyglądać twarz władcy, do którego dociera, że w królestwie wybuchł bunt, a drzwi do sali tronowej zaraz pękną pod naporem tłuszczy.

— Masz… rację… On spojrzał na nas. Co się stało?

— Nie czujesz? Wybieramy was ze względu na siłę i zdrowie, a nie doświadczenie czy umiejętności, ale taką falę nawet ty powinnaś poczuć. Na kontynencie od wielu godzin czarownicy robią się niespokojni, a kapłani czują niepokój swych bogów. Zwierzęta chowają się w norach, ryby uciekają na głębinę, a ptaki porzucają gniazda. Jutro większość zapomni o wszystkim, ale ktoś taki jak ty i ja nie powinien, prawda? Były już trzy fale, największa dopiero zbliża się do nas, więc skup się i poczuj ją. Teraz.

Altsin uśmiechnął się pod nosem. Stara czarownica pokazała, jak to jest mieć władzę, nawet jeśli nie chodzi za tobą dwóch przebranych za osy zbirów. Udowodniła, że co prawda jest między nią a młodszą nóż, ale to ona trzyma go z właściwej strony.

A teraz…

Rozdział 5

Deana nauczyła się znikać. Od czasu wizyty w Bibliotece odkryła, że jeśli nie pokazuje się w towarzystwie Samiyego lub truciciela, to miasto przyjmuje ją niczym pustynia jeszcze jedno ziarnko piasku. Gdy tylko wychodziła poza kompleks pałacowy, gdy tylko mijała kilka najbliższych ulic, stawała się jeszcze jedną z kobiet Issaram.

A gdy docierała do jednej z dzielnic kupieckich, stawała się po prostu kroplą wody porwaną przez nurt rzeki, zwanej handlem. Nikt nie patrzył na nią jak na wojowniczkę, za to dla każdego właściciela straganu była klientką, która po prostu jeszcze nie uświadomiła sobie, że musi, po prostu musi coś od niego kupić. Rozwrzeszczani handlarze zaczepiali, nawoływali, wymachiwali przed twarzą towarem, co bardziej zdeterminowani łapali za rękawy, szarpali za poły *ta'chaffdy.*

W czasie pierwszego samodzielnego pobytu na jednym z targowisk wymieniła kilka złotych monet uzyskanych za pokryte klejnotami pochwy *talherów* na garść tutejszych pieniędzy – srebrnych, lekko owalnych monet z wizerunkiem, a jakże, płomienia na jednej stronie i kilkoma słowami, których nie potrafiła przeczytać, na drugiej. Targowała się zawzięcie, wzbogacając swoją znajomość *suanari* o, jeżeli dobrze wszystko zrozumiała, takie zwroty, jak „Na święte, niemyte kości moich przodków", „Oby łajno szalonego słonia wypełniło twoje usta" i „Moja matka ze wstydu rozpruje sobie brzuch i wyrwie łono, które wydało na świat takiego głupca".

Bawiła się doskonale.

Handlarz chyba też, bo na koniec obdarzył ją szczerym uśmiechem i ukłonił się nisko.

Rzadko coś kupowała. Raz nabyła kilkanaście łokci zaskakująco taniego jedwabiu w kolorze ciemnej żółci, w sam raz na odświętną szatę, którą założy, gdy skończy już pielgrzymkę i odnajdzie własną drogę. Kiedy indziej znalazła stragan z pasami i nożami w ozdobnych pochwach. Spre-

zentowała jeden z nich Samiyemu, który wyglądał na zaskoczonego i uradowanego jednocześnie.

Pewnego dnia zapuściła się aż za mury, do karawanseraju rozłożonego na stałe pod miastem. Był ogromny, tysiące zwierząt, tysiące ludzi, setki różnych budynków od stajni po proste, chroniące przed upałem noclegownie dla poganiaczy wielbłądów. Kuwijczycy, Vostrczycy, Cvaalowie, Mavvijczycy, Mahaaldzi mieszali się z kupcami znad Szarego Oceanu, Wielkiej Równiny Bahijskiej i oczywiście z samego Meekhanu. Wszyscy czekali na koniec sezonu burz piaskowych i spijających studnie upałów, który otworzy znów drogę na północ. Ten, kto pierwszy dostarczy na stoły meekhańskich smakoszy pieprz, imbir, wanilię, szafran i miejscowe odmiany papryczek palących jak rozżarzona stal, będzie mógł dyktować cenę. Podobno karawana, która przybywała do Imperium zaraz na początku sezonu wędrówek, mogła zarobić o jedną trzecią więcej niż te wyruszające miesiąc później. Dlatego wielu kupcom opłacało się spędzenie trzech, czasem czterech miesięcy w Białym Konoweryn. Nawet jeśli musieli opłacać dodatkowo strażników i miejsce w karawanseraju.

Tu Deana spotykała najwięcej swoich rodaków. Były karawany, liczące nawet dwieście wielbłądów, chronione przez kilkudziesięciu wojowników Issaram, którzy na czas oczekiwania na wędrówkę zajmowali zazwyczaj odosobnione budynki, otoczone na dodatek wysokim murem. Nie szukała towarzystwa, zresztą większość wojowników, których spotkała, należała do plemion p’kaweeri i k’werd, a oni nie przepadali za d’yahirrami, ale miło było choć na chwilę przymknąć oczy i wrócić myślami do domu, usłyszeć własną mowę i poczuć znajome zapachy. Aromat *ralii*, deseru gotowanego z pszenicy, miodu, suszonych owoców i wanilii, omal nie skłonił jej do wproszenia się do jednego z budynków zajmowanych przez Issaram.

Tęskniła.

I właśnie w karawanseraju pierwszy raz ujrzała Pisklęta. Grupa trzydziestu chłopców w wieku około dziesięciu lat, ubranych tylko w zgrzebne tuniki, biegła parami środkiem ulicy, poganiana przez dwu siedzących w siodłach wyrostków, noszących żółte szaty Rodu Słowika. Każda para niosła na ramionach solidną belkę, której środek obciążało dodatkowo kołyszące się wiadro.

Biegli truchtem, dysząc ciężko, słaniając się i zataczając na wszystkie strony. Pot zlepiał im włosy, a mokry materiał tunik tulił się do pleców

i piersi. Wiadra chybotały się na wszystkie strony, rozchlapując wodę. Obaj poganiacze sunęli za nimi stępa, strzelając od czasu do czasu batami. Odsłonięte ramiona i nogi młodszych chłopców pokrywały krwawiące pręgi.

Deana stała i patrzyła, jak jeden z biegnących z tyłu dzieciaków potyka się i pada, puszczając swój koniec belki. Drąg zarył w ziemię, a z wiadra wylała się większość wody. Świst spadającego bata został przełamany kontrapunktem urywanego krzyku, chłopiec tarzał się po ziemi, osłaniając głowę i twarz, w którą najczęściej starał się uderzać siedzący na koniu wyrostek. Ten ostatni najwyraźniej doznał jakiegoś ataku szału, bo miotał się i klął, unosząc raz po raz w siodle i waląc z całej siły biczem. Jego towarzysz zaśmiał się pogardliwie i wykonał obelżywy gest w okolicy krocza.

Drugi chłopiec niosący pechowe wiadro zatrzymał się kilka kroków dalej. Kurczowo ściskał swój koniec drąga, patrząc martwym wzrokiem na rozlaną wodę i w połowie już puste naczynie. Po twarzy ciekły mu łzy.

Nie myśląc, co robi, Deana pochyliła się i podniosła nieduży kamień.

Wałach oprawcy trafiony w zad zarżał nagle i odskoczył, wierzgając dziko, a jeździec upuścił bat i w ostatniej chwili złapał się grzywy. Zaklął paskudnie, spiął konia, ruszył na chłopca.

I omal nie zleciał z siodła, gdy szczupła dłoń złapała uzdę i ściągnęła pysk zwierzęcia w dół, osadzając je w miejscu.

— Puść!

Deana zignorowała go, świadoma ciszy, która zapadła wokół, i tego, że wszyscy się na nią gapią: kolumna chłopców, grupka poganiaczy, strażnicy karawanowi, przegrywający właśnie w kości swoje zarobki. A ona po prostu stała, trzymając mocno uzdę i mrucząc pod nosem uspokajające słowa w kierunku końskiego ucha. Nawet nie spojrzała na leżącego na ziemi chłopca.

— Puuuuść! — głos młodzika przeszedł w falset. Nie mogąc użyć bata, nadzorca sięgnął po wiszącą przy siodle szablę. — Puszczaj!!!

Jego towarzysz podjechał szybko i złapał go za wzniesioną do ciosu rękę. Był blady jak kreda.

— Masz pięknego konia. — Deana spojrzała w górę, na twarz, na której furia mieszała się ze strachem. — Jaka to rasa?

Za jej plecami bity chłopak zaszurał po żwirze, kaszlnął i podniósł się z ziemi. Musiał znów dźwignąć drąg, bo usłyszała, że z wiadra wylewa się jeszcze trochę wody.

— Jeśli kiedyś zajeździsz go prawie na śmierć, okładanie batem nie spowoduje, że wstanie i pobiegnie dalej. Tak robią tylko głupcy. Jesteś głupcem?

Otworzył usta.

— Nie. Nie mów, sama ocenię. Wyciągnąłeś na mnie broń, mimo iż ja nawet nie dotknęłam szabli. Stoję tak, że trudno byłoby ci mnie trafić, więc pewnie chciałeś uderzyć tylko w dłoń, którą trzymam uzdę. Jesteś pewien, że dałbyś radę? Masz tak szybką i pewną rękę? Może spróbujesz? Teraz.

Wyrostek błysnął oczyma, zacisnął wargi, ale nie drgnął. Zamiast tego przeniósł wzrok za jej plecy i kąciki ust powędrowały mu w górę.

— Oczywiście. — Pogładziła chrapy konia. — To takie proste. Ja odejdę, a ty za następnym zakrętem zakatujesz któregoś z nich na śmierć. Bo zobaczyli, że boisz się uderzyć kobietę, która nie ma broni w ręku. Z drugiej strony… widzę twoją twarz i chyba nietrudno byłoby mi cię znaleźć. Jeślibym chciała.

Tętent kopyt słychać było z daleka. Siedzący na koniu chłopak obejrzał się przez ramię, uśmiechnął i zhardział.

— Puść.

— Nie. Jeszcze nie usłyszałam, jaka to rasa.

Wyłonili się zza jego konia we trzech. Na siwych jak mleko ogierach, w kolczugach przykrytych żółtymi tunikami i wysokich hełmach z zasłonami z kolczej siatki. Jeszcze nie sięgali po broń, ciężkie szable i łuki nie ozdabiały ich dłoni, ale zaczynało się robić ciekawie. Deana poczuła podniecenie, radość, jakby *sani* drgnął jej w piersi i przygotowywał się do wybuchnięcia płomieniem. Przyłapała się na tym, że uśmiecha się szeroko.

Od trzech miesięcy ćwiczyła tylko z cieniem, samotnie, i nagle odkryła, że brakuje jej szczęku ostrzy. Nie zamierzała nikogo zabić, raczej chciała się zmierzyć z kimś, skrzyżować broń, znaleźć potwierdzenie własnej wartości w walce… Jakby krew ojca upominała się o swoje prawa.

A wszystko dlatego, że katowany chłopiec tak strasznie przypominał jej Samiyego.

A może dlatego, że Laweneres nie odwiedził jej od co najmniej dziesięciu dni, a ją przepełniał… gniew? niepokój?

Nieważne.

Poczuła radosny dreszcz na myśl o czekającej ją walce.

Tymczasem chętnie wymachujący batem wyrostek zasypywał największego wojownika gradem słów w jakimś języku podobnym do *suanari*, którego jednak nie znała. Może to i lepiej, te kilka słów, które prawie zrozumiała, sprawiło, że *talhery* zaciążyły jej przy pasie.

Słowik przerwał słowotok ruchem ręki, po czym odwinął się i jednym uderzeniem zmiótł wyrostka z siodła. Nawet się nie obejrzał, gdy tamten walnął o ziemię, tylko podjechał do Deany i pochylił się w siodle.

— Opóźniasz ćwiczenia naszych Piskląt, Deano d’Kllean.

Psiakrew, wyglądało na to, że nie będzie żadnej zabawy.

— Nie znam cię — mruknęła cicho.

— Byłem w książęcej karawanie. Nietrudno cię zapamiętać. A on powinien pamiętać rozkazy.

— Rozkazy?

— Gdy opuszczasz pałac, goniec pędzi do *ahyry* i przekazuje, jak jesteś ubrana. Wszyscy mają ci służyć pomocą.

To wyjaśniało, dlaczego miała tyle swobody. Pajęcza nić z pałacu i tak wędrowała za nią przez całe miasto.

Puściła uzdę nieszczęsnego wierzchowca.

— Wasze ćwiczenia są dość… wymagające — powiedziała, by przerwać ciszę.

Wojownik pokręcił głową.

— Słabe pisklęta powinny wypaść z gniazda jak najwcześniej. Ale to ćwiczenie ma na celu nie tylko odsianie złota od żwiru. Odwróć się i spójrz.

Zerknęła. Chłopiec stanowiący parę z tym, który upadł, dźwigał teraz na ramieniu większość ciężaru. Jego towarzysz podtrzymywał koniec drąga, zaciskając zęby i… płacząc?

— To ćwiczenie ma nauczyć ich współpracy. Assuri jest dumny i nie chce pomocy, ale musi zrozumieć, że czasem trzeba ją przyjąć. Tak jak teraz. Tylko pomagając sobie nawzajem, mogą donieść wodę do *ahyry*. Pomaganie sobie jest ważne, wspieranie się w pracy lub walce też. Wy, Issarowie, wiecie o tym najlepiej.

Skinął głową w stronę zacienionego muru, gdzie leniwie opierało się o kamienie kilku wojowników z zasłoniętymi twarzami. Nie zauważyła ich wcześniej.

— A ten koń jest oshiiem. To rasa, którą hodujemy od setek lat. Silna i wytrzymała. Zaspokoiłem twoją ciekawość?

— Tak.

Mężczyzna wyprostował się i warknął coś do młodzika, który znalazł się w siodle jak uniesiony czarem. Policzek i ucho już zaczęły mu puchnąć.

— Słowiki cenią to, co zrobiłaś na pustyni, wojowniczko. Ale gdyby to były Cielęta Bawołów, mogłaby polać się krew. Oni nie ustępują nikomu i… nie darzą uznaniem Syna Ognia. Nie tego. Coś się szykuje. Więc uważaj, komu wchodzisz w drogę.

Kolumna chłopców potruchtała naprzód, tym razem bez trzaskających batów nad głową. A gdy spojrzała jeszcze raz w stronę ściany, Issaram już tam nie było.

* * *

Obudził ją ryk słoni. Chyba wszystkich, jakie były w Konoweryn. Dziesiątki zwierząt rozdzierało nocną ciszę donośnym trąbieniem, które mimo sporej odległości i zagajników dochodziło aż do pałacu. Niepokojące.

Pałac ożywał, Deana słyszała ruch na korytarzu, trzaskające drzwi, tupot butów. Westchnęła. Cokolwiek się działo, postawiło na nogi wszystkich dworaków. Ale ponieważ nie słyszała szczęku broni ani nie czuła dymu, to raczej nie chodziło o zbrojną napaść czy pożar.

Wstanie z łóżka i ubranie się zajęło jej dłuższą chwilę, bo uznała, że nie musi się spieszyć. Jeśli to nie wojna ani ogień, lepiej, by barbarzyńska wojowniczka pozostała oazą spokoju. Bieganie i piski trzeba zostawić pałacowym myszkom. Przeszła potem pustym już korytarzem i dotarła do centralnej części pałacu, wpadając w rozgorączkowany tłum kłębiący się przy każdym z okien.

— Co się dzieje?

Zaczepiona kobieta – jakaś starsza dama dworu z włosami, mimo późnej pory, upiętymi w wysoką, kunsztowną fryzurę – spojrzała na nią nieprzychylnie, jakby Deana rzuciła jej w twarz obelgę. Prychnęła i odwróciła się plecami.

No tak. *Suanari* to nie Mowa Ognia i nikt tu nie przyzna się, że rozumie choć słowo z języka plebsu. Ale Deana była niewyspana, poirytowana i ciągle wściekła na to, że jej wolność okazała się tak iluzoryczna, a na dodatek

właśnie do niej dotarło, że chyba po raz pierwszy w życiu ktoś obcy na nią prychnął i odwrócił się plecami jak do jakiejś służącej.

Talher sam wyskoczył z pochwy, zatoczył dwa krótkie łuki i czarne jak skrzydło kruka włosy dwórki rozsypały się w luźnych strąkach. I nim kilka pukli spadło na marmurową posadzkę, szabla wróciła na miejsce.

Kobieta pisnęła, uniosła dłonie do głowy, spojrzała na dół, wydała z siebie ni to skrzek, ni to jęk i zemdlała.

Nagle miejsce przy oknie zrobiło się mniej zatłoczone. Właściwie puste. Deana podeszła powoli, ostrożnie omijając leżącą kobietę, i wyjrzała na zewnątrz.

Park przed pałacem, oświetlony setką lamp, wolno zapełniał się ludźmi: dworzanami, strażnikami w żółtych strojach, służbą, ale poza tym nic ciekawego się nie działo. Dopiero po chwili spostrzegła, że wszyscy patrzą w jedną stronę. Na masyw Świątyni Ognia.

I wtedy ktoś uniósł jedną z jedwabnych ścian zasłaniających przybytek, rozległ się zbiorowy jęk, a nozdrza Deany wypełnił zapach spalenizny. Pod kopułą pulsował blask, tętnił przydymioną czerwienią, jakby ktoś dmuchał potężnymi miechami w palenisko kuźni samego Agara. Każdemu dmuchnięciu towarzyszył ryk słoni.

Tłum przed pałacem zakłębił się, rozdzielił, wypluwając spomiędzy siebie oddział Słowików otaczający lektykę. Nie musiała zgadywać, kogo wiozą. Gdy Oko wzywa, Dziecię Ognia musi odpowiedzieć.

Świątynia połknęła mały orszak, a ściana z malowanego materiału opadła, odcinając wnętrze niczym drzwiczki gigantycznego pieca.

Deana czekała przy oknie prawie do północy, nie zauważając nawet, kiedy ktoś zabrał zza jej pleców zemdloną damę dworu ani kiedy większość mieszkańców pałacu wyszła na zewnątrz. Słonie zakończyły swój koncert po zaledwie godzinie, co pozwalało przypuszczać, że Oko się uspokoiło, lecz do tego czasu plac przed świątynią wypełnił tłum większy chyba nawet niż ten witający swojego ocalonego księcia.

Wreszcie lektyka pojawiła się na schodach, a na jej widok tysiące gardeł wzniosło gromki ryk. Ale Laweneres nie pokazał się swojemu miastu i Deana ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak wojownicy szybko spychają ludzi w tył, a lektyka pospiesznie zmierza w stronę pałacu.

Po raz pierwszy, odkąd przybyła do Konoweryn, bała się.

Gdy wracała do swojej komnaty, wszyscy, którzy widzieli, w jaki sposób trzyma dłonie na rękojeściach szabel, usuwali jej się z drogi.

* * *

Pukanie do drzwi było ciche, nieśmiałe, jakby jakiś gryzoń próbował wydrapać sobie drogę do środka. Otworzyła z *talherem* w dłoni, choć domyślała się, kto puka.

Był blady, oczy zapadły mu się w głąb czaszki, a skóra niezdrowo połyskiwała potem. Oddychał płytko i chwiał się na nogach, ale gdy jeden z towarzyszących mu sług złapał go za ramię, odtrącił go niecierpliwym, gniewnym gestem.

Po raz pierwszy widziała w Laweneresie taki gniew. Dziki, podszyty obłędem.

Wprowadziła go do środka, zamykając sługom drzwi przed nosem, i siłą posadziła go przy stole. Nie mówił nic, sięgnął tylko ręką przed siebie, wymacał znajomy kształt kryształowej karafki i przykleił ją do ust.

Pił łapczywie, szybko, przechylając naczynie tak, aż wino pociekło mu na pierś.

Rozkaszlał się, pryskając złotym napojem na stół.

Dotknęła jego dłoni. Był rozpalony, tak jak wtedy, gdy wjechali do miasta i po raz pierwszy odwiedził Oko. Wszelkie głupie wymówki z powodu tego, że dawno jej nie odwiedzał, wydały jej się nagle żałosne i nieistotne. Bez słowa podprowadziła go do wanny, ściągnęła lepiące się od potu i wina ubranie i pomogła wejść do środka.

Nie poskarżył się, mimo że woda już dawno wystygła.

— Zawsze tak jest? — spytała, mocząc gąbkę i obmywając mu twarz.

— Nie. — Oblizał wargi, przełknął ślinę. — Nie tak jak teraz. Zawsze jest żar, płomień, uczucie… jakbyś stał u stóp olbrzyma, który spogląda… gdzieś przez siebie. Wie o tobie, ale nie jesteś ważny.

Przymknął oczy, mleczne źrenice przysłonięte ciemnymi powiekami. Pierwszy raz zwróciła uwagę, jakie ma długie, dziewczęce rzęsy.

— Dziś… On opuścił wzrok w dół. Prosto na mnie… W moje o… oczy. Jego spojrzenie… Mój brat… sześć lat temu Oko też oszalało, pojechał, ledwo wyszedł… Mówił o… strachu, wiesz, strachu Nieśmiertelnego. Zrobił później wiele rzeczy, ale nigdy więcej nie chciał o tym rozmawiać.

Laweneres zakaszlał nagle, długo, lepko, aż Deana usłyszała, jak coś odrywa mu się w środku. Wypluł wreszcie na dłoń gęstą flegmę w kolorze startej cegły.

— Mało książęce zachowanie, prawda? — Wytarł dłoń o krawędź wanny. — Sameres mówił, że jak Oko cię wzywa, to jesteś trochę tu, a trochę tam, w Królestwie Agara. Opowiadał o czerwonej równinie i wietrze pędzącym tumany czerwonego pyłu. Pan Ognia nie ma siedziby przyjaznej ludziom. Nie widziałem tego… — Wykrzywił się gorzko. — Za to czułem… wiatr… zmieszanie i lęk… Lęk boga.

Ostatnie słowa bardziej wyczytała z ruchu jego warg, niż usłyszała.

— Będzie dobrze.

— Może. Kilka lat temu… Agar też był niespokojny, a nic wielkiego się nie stało. Może masz rację.

Dotknęła jego czoła. Wewnętrzny płomień, który zdawał się trawić księcia, przygasł.

— Wyjdź z wody, jest chłodna.

Po raz pierwszy widziała go nago. Pamiętała tamtą noc, dłonie rzeźbiące w ciemności zarys szczupłego, umięśnionego ciała, ale czuć a widzieć to zupełnie różne sprawy. Laweneres wytarł się i żeby nie wkładać przepoconych rzeczy, owinął prześcieradłem.

— Mogę zostać?

— To duże łoże.

Zgasiła świece i wślizgnęła się za jego plecy.

— Nie chcę nim być — wyszeptał.

— Nie rozumiem.

— Nie będę dobrym księciem w czasie, w którym nawet Nieśmiertelni odczuwają strach.

— A w innym byłbyś?

Zmilczał pytanie.

— Boję się.

— Wiem.

— Noszę maski w dzień i w nocy, Dziecię Ognia, książę Białego Konoweryn, potomek Wybrańców, pierwszy w Świątyni Ognia. A każda z nich jest ciaśniejsza, mniej dopasowana, bardziej dławi oddech. Oddychałem pełną piersią tylko…

Położyła mu palec na ustach.

— Za dużo gadasz. — Pocałowała go w kark. — Ja też tęsknię do tej jaskini. I do ślepego tłumacza.

Zamilkł posłusznie. A potem wybrali się tam, na pustynię, przypominając sobie powoli, jak to jest oddychać tak, jakby każdy oddech miał być ostatnim, upewniać się, że się żyje, bo tylko życie może jednocześnie smakować potem, piżmem, pożądaniem i radością. Dziką czystą radością z tego, że na chwilę zdjęli wszystkie maski.

Gdy obudziła się tuż przed świtem, jego już nie było. Ale to właściwie nie miało znaczenia.

* * *

Rankiem odwiedził ją Suchi. Przyjęła go bez zdziwienia, i tak miał zwyczaj wpadać o różnych porach, a szczerze mówiąc, czekała na tę wizytę. Pałac po ostatniej nocy przypominał mrowisko obsikane przez kozę.

— Nic mu nie jest. O czym zapewne już wiesz, bo słudzy w pałacu mają języki dłuższe niż czarny kameleon. — Truciciel powitał ją kwaśnym uśmieszkiem. — A ty masz kłopoty.

— Ja? — Deana usadowiła się wygodniej i wskazała mężczyźnie miejsce przy stole. — Wina? Czegoś do jedzenia? Ta pieczeń jest jeszcze ciepła.

— Hmm. — Suchi napełnił kielich, uniósł pod światło, powąchał. — Na twoim miejscu sprawdzałbym lepiej, co jem i piję. Zadarłaś z niewłaściwą kobietą.

— Tą przy oknie? — Do licha, przez chwilę miała pewność, że przyszedł w sprawie ostatniej nocy, i już była gotowa kazać mu iść się wypróżnić, po czym podetrzeć kolczastym krzakiem, a tu taka błahostka. — To tylko…

— To była Hemwesja Versunel, siostra *galioha*. — Pociągnął łyk i zakręcił płynem w krysztale. — Hm… niezłe i raczej niezatrute. Owiya nadal cię lubi. O czym ja to… a, jej brat jest trzecim co do ważności urzędnikiem dworu. Już zdążył złożyć skargę i rozpętać małą burzę. Podobno próbowałaś zamordować jego ukochaną siostrę, która ledwo się obroniła, tracąc tylko kilka włosów.

— Byli świadkowie tego, co zaszło.

— A odnajdziesz ich i zmusisz, by powiedzieli prawdę? Twoją prawdę. No właśnie. Co tam się stało?

Deana zastanowiła się. Co takiego właściwie się stało? Wczorajszy incydent wydawał jej się już zupełnie nieważny.

— Fuknęła na mnie.

Truciciel nie skomentował. Wydawał się całkowicie skupiony na świetlnych błyskach łapanych w ścianki kielicha.

— Ja też na ciebie fukam. A Samiy, jak zauważyłem, robi nawet obraźliwe miny — mruknął wreszcie.

— Ale wam wolno. Jeśli jednak ludzie zaczynają zachowywać się lekceważąco… — Szukała właściwych słów. W nocy wszystko było takie proste, instynktowne. — Najpierw pozwalają sobie podchodzić zbyt blisko, potem parskają zirytowani, potrącają cię, wreszcie jakiś pijany głupiec, pragnący się popisać, próbuje zerwać ci *ekchaar*. Niektórzy zapominają, kim jestem. Utrata kilku kosmyków mniej boli niż ucięcie głowy.

— No nie wiem. Gdybyś widziała, co ona robiła z włosami.

— Robiła?

— Dziś rano otrzymała rozkaz opuszczenia pałacu i powrotu na prowincję. A tam nie będzie miała wielu okazji do popisywania się fryzurami.

Coś, jakby lekka irytacja, szarpnęło jej sercem. Czy ten głupiec Lawenere s wyobrażał sobie, że po wczorajszej nocy ma prawo otaczać ją kolejnym kokonem?

— To też dla mojej ochrony? — rzekła ostrzej, niż chciała. — Jak rozkazy dla Rodu Słowika?

Suchi nie zmieszał się, nie opuścił wzroku.

— Słowiki mają za zadanie strzec bezpieczeństwa każdego ważnego mieszkańca pałacu. To nic wielkiego. A ta kobieta została oddalona, bo ośmieliła się stawiać księciu żądania. Lecz jej brat pozostał. Uważaj, z kim rozmawiasz i od kogo przyjmujesz prezenty.

Westchnęła na tyle głośno, żeby to usłyszał.

— Porozmawiać to ja mogę na targowisku. W pałacu mało kto się do mnie odzywa. Nawet służące i niewolnice ledwo raczą odpowiadać na moje pytania.

— Ale nie okazują ci lekceważenia? — zapytał lekkim tonem.

Nie dała się nabrać.

— Nie. Ale czy to ważne? To też jakaś część tutejszej gry?

Skrzywił się, jakby przypadkiem połknął jedną ze swoich trucizn.

— Za często z tobą przebywam, Deano d’Kllean. Zaczynasz czytać w moich myślach. Tak. To ważne. Stare przysłowie mówi, że służba i niewolnicy przestają się kłaniać władcy, który wkrótce usiądzie na skorpionie. Bo służba wie, jak zmieniają się prądy w naszym bajorku. Jeśli pozwala sobie na lekceważenie, to znaczy, że czyjaś pozycja mocno słabnie.

— Nie wiedziałam, że mam jakąś pozycję. Prawdę mówiąc, sądziłam, że nie mam żadnej. Że wszyscy traktują mnie jako zabaweczkę waszego księcia.

Posłał jej chłodny, naprawdę chłodny uśmiech i po raz pierwszy, odkąd się poznali, poczuła ukłucie niepokoju.

— Nie obrażaj mnie. Ciekawe, czy tak naprawdę chodzi ci o to, że Laweneres nie odwiedzał cię przez ostatnie dni? — Nie czekając na jej reakcję, odkroił sobie potężny kawał pieczeni, wpakował do ust, popił winem. — Czy też o to, że dziś w nocy został przyjęty… inaczej.

Zamrugała, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Chyba nie sądziłaś, że te jego wizyty utrzymają się w sekrecie? — Przełknął i kontynuował — oraz że nie zostanie zauważone, że jakiś czas temu się skończyły. Plotka, iż wypadłaś z łask, już dziesięć razy obiegła pałac.

Deana poczuła, jakby dźgnął ją trzymanym w ręku nożem.

— Wypadłam z łask? Że niby byłam… byliśmy kochankami? Więc ta głupia kobieta pozwoliła sobie na… brak szacunku, bo myślała, że fuka na odtrąconą nałożnicę?

— Cokolwiek myślała, teraz przestanie. A cały pałac ma nowy powód do plotek. Więc fuknięcia się skończą. Ale ostrzegam, Varala przysłała wieść, że wkrótce wraca do pałacu. Wraz z dziewczętami, z których jedna zostanie zapewne matką następnego Płomyka. A może dwie lub trzy, jeśli uznamy, że potrzeba nam więcej potencjalnych następców.

Nie zauważyła kiedy, ale znikł gdzieś Suchi, którego znała. Mężczyzna, który siedział przed nią, był zimny, spokojny, obojętny. Jak leżący na kamieniu wąż.

— A wtedy — mówił cicho — skończą się wasze spotkania. Lubię cię, więc ostrzegam. Walczymy o to, by Białe Konoweryn nie spłynęło krwią, by nie musiało zmienić nazwy na Czerwone. Nie wiesz dlaczego? Chodzisz po mieście, patrzysz i nie widzisz? Jesteś tak głupia, czy tak zaślepiona? On jest ostatnim z rodu, który bez problemu mógł wchodzić w Oko. Więc jego

obowiązkiem jest jak najszybsze przedłużenie tej linii. Gdy Pierwsza Nałożnica zjawi się ze swoimi…

— Rozpłodowymi klaczami?

— Mniej pogardy, proszę. Wszystkie te dziewczęta mają w żyłach Krew Agara. Ty nie. On ma swoje obowiązki i zapewniam cię, że je wypełni. Bo jeśli umrze bezpotomnie, to wszystkie okoliczne księstwa zwalą się nam na głowę, bo każdy z ich władców rości sobie pretensje do tytułu Dziecięcia Ognia. A pierwszy będzie Obrar z Kambehii, który już przekazał do Świątyni wieść, że wczorajsze wydarzenie było wezwaniem, jakie Agar wysłał do niego. I że jest gotów poddać się osądowi. Świątynia, Biblioteka i my sprawdziliśmy jego linię rodową aż trzydzieści pokoleń wstecz, i wiesz co? Istnieje duża szansa, że Oko go przyjmie. A wtedy o tym, który z nich ma większe prawo do zasiadania na tutejszym tronie, rozstrzygnie, jak zwykle, krew rozlana w świątyni. A nam coraz trudniej znajdować wymówki, by go powstrzymać. — Truciciel mlasnął i skrzywił się dziwnie. — Zwłaszcza że Trzciny i Bawoły zaczynają sarkać na zbytnią… miękkość Laweneresa w sprawach niewolników i mogą przyjąć Obrara łaskawie. Potrzebujemy więc jak najszybciej tego, by książę wypełnił świętym nasieniem kilka… naczyń, dowodu, że miejscowa dynastia nie skończy się na ślepcu.

To dziwne, ale dwa kawałki lodu, które ktoś włożył trucicielowi w oczodoły, zdawały się wypalać dziurę w jej *ekchaarze*.

— Po co… — Wbrew sobie musiała odchrząknąć. — Po co mi to mówisz?

— Żebyś nie biegała po pałacu z tymi swoimi szabelkami i nie ciachała nimi, kogo popadnie, gdy Varala przybędzie z dziewczętami. I żebyś zaczęła już ćwiczyć pamięć.

— Ćwiczyć pamięć?

— Tak. Do zapominania. Bo osobiście wyślę cię na północ pierwszą karawaną, która tam ruszy. Lubię cię… — Zawahał się wyraźnie, chłód w jego oczach jakby nieznacznie zmalał. — Lubię i cenię za to, co zrobiłaś. Ale jeśli spróbujesz go ze sobą związać… Zabiję cię, Deano d’Kllean. Tak jak zabijałem innych, służąc u boku jego ojca i brata. Bez ostrzeżenia.

Wstał nagle i w kilku krokach był przy drzwiach.

— Dziękuję za poczęstunek.

Wyszedł.

Interludium

Mała Kana stała w oknie i patrzyła na południowy zachód. W tej chwili, boso, okryta ledwie wilgotnym prześcieradłem, z włosami lepiącymi się do skóry, przypominała zagubione dziecko, dwunastoletnią dziewczynkę, która wymaga opieki i wsparcia. Trzeba było sporo silnej woli, by pamiętać, z kim ma się do czynienia.

Yatech stłumił impuls, nie podszedł i jej nie objął.

— Musimy ją odnaleźć — rzuciła, nie oglądając się za siebie.

— Kogo?

— Trzecią siostrę. Wiem, gdzie można ją spotkać. Szykuj się.

Gdy wracał do swojego pokoju, wciąż stała i patrzyła w dal.

* * *

Nekropolie wszystkich miast i krain otacza podobna aura wyciszenia i zadumy. Jakby obecność zmarłych przesączała się w powietrze i ziemię, zmuszając żyjących do chwili zastanowienia.

Jedyną rzeczą, która mogła dziwić, były niewielkie rozmiary tego miejsca. W mieście liczącym setki tysięcy mieszkańców cmentarz powinien być większy niż teren, jaki zajmują trzy duże kamienice, nawet jeśli był to cmentarz przypisany do jednej tylko dzielnicy.

— Przestań się rozglądać z taką miną. — Kanayoness trąciła go w ramię. — Większość miastowych wybiera marynarski pochówek. Opłata dla Świątyni Bliźniąt za to, że kapłan wypłynie łodzią na morze, odmówi modlitwę i zrzuci ciało w fale, jest niższa niż roczny podatek od miejsca na nagrobek. Powiadają, że rekiny nauczyły się rozpoznawać łodzie pogrzebowe i płyną za nimi, ledwo te opuszczą redę.

— Po co mi to mówisz?

— Bo to dobra analogia. Teraz my jesteśmy taką łodzią, a pod nami płyną głodne bestie.

— A kto jest trupem?

— Może też my. Uważaj.

Kilka rosnących tu drzew rzucało głębokie cienie na nagrobki, skromne, ale bynajmniej nie tanie. Zdobiły je różne rodzaje polerowanego marmuru w ciemnych barwach, mosiężne wykończenia, płaskorzeźby, czasem nawet dyskretne złocenia. Ci zmarli nie należeli do miejscowej biedoty.

— Leżą tu głównie matriarchiści, potomkowie meekhańskich kupców i szlachty. Oni nie lubią pochówków w morzu. A jeśli nic się nie zmieni, wkrótce trzeba będzie rozbudować cmentarze dla wyznawców Baelta'Mathran. Zatrzymaj się.

Mała Kana stanęła przy najbliższym grobie. Kamienna płyta nosiła dumną, choć jako wyznanie wiary niezbyt fortunną inskrypcję: „Póki pamięć o mnie nie zaginie, nie wszystek umrę" i pojedyncze imię „Umnarus". Dziewczyna pochyliła głowę i splotła dłonie.

— Nie pytaj mnie, czy go znałam — z jej ust popłynął szept, który dla postronnego obserwatora, niesłyszącego dokładnie słów, musiał wydawać się zduszoną modlitwą. — Nie znałam, choć umarł na moich rękach. Miał duszę jak kawałek najczystszego światła i serce wielkości tego miasta. Błagał mnie… kiedy jeszcze rozmawialiśmy, bym zmieniła plany.

— To ty go zabiłaś?

— W pewnym sensie ja. Ale zginął za sprawą tej, która zaraz się tu zjawi.

Zjawi. Doskonałe określenia na sposób, w jaki kobieta znalazła się tuż obok nich. Jakby zlepiła się z cieni rzucanych przez rozkołysane gałęzie drzew.

— Witaj, Kanayoness. Miło cię spotkać.

Yatech musiał zamrugać, by wyraźnie dostrzec przybyłą. Nosiła brązową suknię, zwykłą i pozbawioną ozdób, a włosy rozpuściła swobodnie na plecach. Uśmiechała się. Gdy odwrócił od niej wzrok i spróbował przypomnieć sobie szczegóły jej twarzy, kolor oczu, warg, kształt nosa, napotkał pustkę.

— Mamy do pomówienia, Ogewro.

Trzecia siostra. Ogewra, Pani Nieszczęścia. Ostatnia noga taboretu, na którym siedzi Pani Losu. Kitchi od Uśmiechu, ta, która przynosi szczęście w grze, miłości i na wojnie, Labaya z Biuk, z którą można wygrać wszystko lub wszystko przegrać, i Ogewra, pechowy rzut kością, strzała, która znala-

zła jedyną lukę w pancerzu, śliski kamień, na którym skręcasz kostkę, gdy ścigają cię wilki. Nic dziwnego, że można ją spotkać na cmentarzu.

Kobieta spojrzała na nagrobek, przy którym stali.

— Nadal mnie winisz za jego śmierć.

— I nigdy nie przestanę. Wiesz o tym. Ale nie będę się mścić. To też wiesz. Nie po to przyszłam.

— Twój towarzysz… Jest ciekawy. Zabija, gdy nie powinien, a gdy trzeba, waha się.

Yatech zmusił się do spojrzenia w oczy Pani Nieszczęścia.

— To twoja sprawka?

— Nie. — Uśmiech kobiety wyglądał jak maźnięty pędzlem przez kiepskiego malarza, a jej oczy… Pani, ona się bała. Była obłędnie przerażona. — Ja jestem tylko imieniem, które nadaliście własnym złym decyzjom, błędnym kalkulacjom i wszystkiemu, co spada na was z powodu zwykłej głupoty, uporu i zadziornego przekonania o własnej wyjątkowości. Ale ktoś to imię musi dźwigać.

— Już mu to tłumaczyłam. Człowiekowatość — w parsknięciu Małej Kany dało się wyczuć niecierpliwość. — Staram się go z niej wyleczyć. A ty nic nie mów, tylko słuchaj. I twoja pani też. Wiem, że patrzy. Co zdarzyło się wczoraj po południu? Daleko na północnym wschodzie, na równinie skąpanej we krwi?

Cisza rozścieliła się w powietrzu gęstym dusznym welonem.

— Nie wiem — głos Ogewry ledwo się przez nią przebił.

— Nie wiesz? Ty nie wiesz? Była bitwa, widziałam jej cień. A w czasie bitwy ludzie wznoszą modły do bogów. Do twojej pani równie częsta jak do Reagwyra.

— To było starcie między wyznawcami Gallega i Laal. Nie pojawiło się wiele modlitw do mojej opiekunki. Znam już rezultat, Se-kohlandczycy ponieśli klęskę. Pani Stepów wykorzystała szansę i wyrwała Gallegowi z gardła kawałek własnej dziedziny. Labaya jest najbliżej, pędzi tam, by zbadać sprawę dokładnie.

Mała Kana odwróciła się tak, by patrzeć na kobietę wprost, a jej oczy przypominały… Wspomnienie uwagi o bestiach pływających w głębinie narzucało się samo.

— Widziałam to. Unosiłam się, a potwór żywcem pożerał moje ciało. I były duchy. Dużo duchów, więcej, niż powinno być, nawet gdyby setki

tysięcy wojowników starło się twarzą w twarz. Wiesz, co to może znaczyć? Wiesz? Jeśli to jakaś gierka Eyfry, przysięgam, że pożałuje.

Ogewra szarpnęła się takim ruchem, jakby stalowe ostrze trafiło ją w plecy. I w pół mgnienia oka zmieniła. Jej ciało zdawało się rosnąć, a przede wszystkim nabierać głębi.

— Nie groź mi, dziecko.

— To nie groźba, tylko ostrzeżenie.

Yatech odsunął się pół kroku w tył. Dwa potwory ukryte w ciałach śmiertelniczek patrzyły na siebie z odległości trzech stóp, a powietrze między nimi jęczało.

Ten wyższy, potwór w brązowej sukni, uśmiechnął się szeroko, jak rekin chwalący się kompletem zębów.

— Wiesz, że to, co przed chwilą powiedziałaś, to banał nad banałami. Bardziej wyświechtanego zwrotu nie ma chyba na świecie. „To nie groźba, tylko ostrzeżenie” — powtórzyła dramatycznym szeptem. — Zanim pierwszy raz otworzyłam oczy, już było stare. A słowa to nie wino, nie nabierają smaku z wiekiem.

— Więc zignoruj je, jeśli się ośmielisz.

Uśmiech zgasł.

— Tak już lepiej. Zbyt dobrze cię znam, by to zrobić. Czego chcesz?

— Wiedzy. Co dokładnie stało się na Stepach?

— Nie wiem. Ale się dowiem. Wysłałam już tam Labayę. Fala idzie dalej, budząc wszystko, co ma uszy. Ale jeśli to ona, będę wiedzieć.

— I co zrobisz? Co zrobisz, jeśli to ona? Staniesz przodem czy tyłem?

— Och, staniesz przodem czy tyłem… Nie masz pojęcia, jak długo nie słyszałam tego pytania. A jeśli stanę z boku i popatrzę?

— Jak zwykle. — Kanayoness pokiwała głową i odwróciła się do nagrobka. — Niczego innego się nie spodziewałam. Powiesz mi, co ci jeszcze powiedziała?

— Kto?

Pani Nieszczęścia stanęła przodem do płyty z inskrypcją. Przez cmentarz powiał lekki wiaterek, jakby olbrzym powoli wypuścił powietrze zbyt długo trzymane w płucach.

— Ona. Gdy spotkałaś ją pierwszy raz. Do mnie nie odezwała się słowem, ale z innymi rozmawiała, wiem to. Co ci jeszcze powiedziała, oprócz obelgi? Bo musiała coś powiedzieć.

— Po co ci to?

— Zbieram jej słowa, chcę je pamiętać. Pamiętać wszystkie jej słowa, by poznać ją samą. Powiedz… proszę.

Olbrzym znów wstrzymał oddech.

— Powiedziała… — Starsza kobieta zacisnęła dłonie w pięści, po chwili z wyraźnym trudem rozprostowała palce. — Powiedziała… Krawędź tarczy też może zabić.

Rozdział 6

Przebudzenie było zwyczajne, normalne i bezbolesne. Przykryty cienkim kocem Altsin leżał na łóżku w pokoju, w którym spał przez ostatnie noce, nie miał zawrotów głowy, nie śmierdział nieprzetrawionym winem i nic go nie bolało.

Pamięć zadziałała bez zarzutu. Usłużnie podsuwała obrazy uczty, dziedzińca pełnego gości, cieni rzucanych przez roztańczone pochodnie, kłócących się wiedźm…

Dalej nic. Ściana. Pamiętał chwilę, w której ta stara uzyskała przewagę nad młodszą, właściwie zmiażdżyła ją, a potem… Odbił się raz i drugi. Nic. Ciemność. Nie wypił przecież aż tak dużo, dwa kubki, nie więcej. Może to, że przez cały wcześniejszy dzień chorował, sprawiło, że wino zadziałało mocniej niż zazwyczaj i tak nagle uderzyło mu do głowy?

Podniósł się powoli, oczekując, że przyczajony kac wskoczy mu na plecy, ale nie, nie poczuł nawet najmniejszego zawrotu głowy. Jeśli teraz wstanę i przeniknę przez drzwi, pomyślał, to wszystko się wyjaśni. Najpewniej jestem martwy i teraz jako duch będę nawiedzał okolicę.

Nagi.

Pod kocem nie miał nic na sobie. Nawet skarpet. Za to jego ciało… kostki i kolana wyglądały jak sine piłki, brzuch był wzdęty, a dłonie tak opuchnięte, że nie mógł zacisnąć pięści.

Gdy tak stał i jak dureń gapił się na swoje ręce, drzwi otworzyły się i weszła ona. Starucha.

Śmignął w stronę łóżka, owijając się kocem niczym togą, i zamarł, a uszy wypełnił mu cichy chichot.

— Ech, chłopcze, chłopcze. Mam dziewięćdziesiąt osiem lat i widziałam już mężczyzn w każdym wieku i z każdej rasy, jaka chodzi po świecie. Wspominałam, że popłynęłam kiedyś statkiem aż na Dalekie Południe? Do krain, gdzie płonie Oko Pana Ognia? — Podreptała do stojącego pod ścianą trójnogiego taboretu i klapnęła na niego ciężko. — Ooooj. Słyszysz, jak

skrzypią mi kolana? Uffff. O czym ja to… aaa, widziałam mężczyzn białych, brązowych i czarnych. A także sinych, gdy zmarzli, czerwonych, gdy poparzyło ich słońce, i żółtych, kiedy skręcała ich choroba. Większość z nich była nago, więc niczym mnie nie zaskoczysz ani nie urazisz, tym bardziej że to ja kazałam cię przynieść tu i rozebrać. Obejrzałam sobie każdy cal twojej skóry… tak, tam też.

Odczekała chwilę.

— No proszę, nie zaczerwieniłeś się ani nie zbladłeś. A może bardziej niż własna nagość zdumiewa cię to, że mówię w meekhu? Zaskoczony? A kto pozwolił twojemu przeorowi zobaczyć Dolinę Dhawii? Jakoś musieliśmy się dogadać — uśmiechnęła się ładnie — a jego poprzednik był pustogłowym fanatykiem pragnącym wszystkich nawracać, choćby siłą. Chciałam, żeby Enroh zrozumiał, obok czego żyje. A on, dzięki Losowi, okazał się wyjątkowo mądry, więc nie musiałyśmy go… zwolnić ze stanowiska. Jak poprzedniego przeora. Czy mój monolog… bo to właściwe słowo, prawda? Po meekhańsku monolog to takie gadanie do ściany i samego siebie. No więc czy mój monolog cię nie nudzi? Widzę, że aż kipisz od pytań.

— Zabiłyście go?

— Ha. — Puściła do niego oko. — Będziesz krążył wokół tego, co cię trapi, jak lis wokół szczurzego truchła śmierdzącego trucizną, hm? Nie. Wystarczyło zagrozić Radzie Kamany, że przyciśniemy ich karawany. A oni użyli swoich wpływów na kontynencie i zmieniono przeora. A ponieważ nowy okazał się mądry i rozsądny, daliśmy też znać, że chcemy, by został. To stare dzieje. No, czekam na następne pytanie.

Altsin poprawił się na łóżku i okrył szczelnie kocem, ignorując rozbawiony uśmieszek wiedźmy. I nagle, jakby ten prosty ruch odblokował coś w jego głowie, poczuł ból. Między żebrami, pod żuchwą, w kolanach i łokciach. Na razie dał się wytrzymać, ale niósł zapowiedź wielu dni cierpienia.

— Gdzie moi towarzysze?

— Odpoczywają. Twierdzili, że już wcześniej miałeś takie ataki i że nie jest to zaraźliwe. Z czym się zgodzę.

— Bo kazałaś mnie rozebrać?

— Och nie. — Machnęła ręką. — To zrobiłam dla przyjemności. Wiesz, w moim wieku rzadko się trafia taka gratka. Zazwyczaj muszę najpierw pozbawić mężczyznę przytomności, żeby potem obejrzeć go nagiego.

Przerwała, obserwując go z lekko przechyloną głową. Jak sroka przyglądająca się żukowi.

— I dalej nic. Żadnych rumieńców. Albo straciłam talent, albo niełatwo cię zawstydzić. Wiesz, co tak naprawdę zaszło?

— Jestem chory. — Postukał się palcem w skroń. — O tu. Czasem miewam takie ataki. Tracę przytomność.

W otoczonych zmarszczkami oczach pojawiło się rozbawienie.

— Ale ty nie straciłeś przytomności, chłopcze. Wręcz przeciwnie. Bardzo nam się ożywiłeś. Zacząłeś wrzeszczeć, wymachiwać rękami, płakać i przeklinać na zmianę. I używałeś dziwnych języków, niektórych świat nie słyszał od bardzo dawna. Potem padłeś na ziemię i zacząłeś się rzucać jak w ataku padaczki. A gdy moja… hm, młodsza siostra kazała swoim strażnikom cię schwytać… no cóż, jednemu pewnie ręce zrosną się za jakiś czas, a drugi nadal nie odzyskał przytomności. Dopiero twój przyjaciel, ten olbrzym z południa, dał radę cię poskromić, choć jak dla mnie po prostu jakaś część ciebie nie chciała zrobić mu krzywdy, i wtedy twoje ciało… odłączyło się od umysłu. I to był koniec uczty. — Rozbawienie znikło, pojawiła się powaga. — Kazałam cię tu przynieść i rozebrać… nie dla przyjemności starej kobiety, ale dlatego, że gdy łamałeś ręce jednemu z jej strażników, Euruvi rzuciła na ciebie czar. Czar powinien cię przycisnąć do ziemi, rozpłaszczyć niczym żabę przydepniętą butem…

Powaga przeszła w skupienie i Altsin nagle zobaczył wokół kobiety mgiełkę. Jakby powietrze w jej pobliżu było gęstsze i chłodniejsze niż w pokoju. Usłyszał szelest za drzwiami, przyspieszone oddechy, zgrzyt żelaza ocierającego się o żelazo.

Spojrzał w tamtą stronę z taką uwagą, jakby na rzeźbionych deskach ukazał się korowód nagich dziewcząt.

— Jeśli będą próbowali wpaść tu wszyscy naraz, to utkną w drzwiach i zrobią sobie krzywdę — wychrypiał, bo nagle zaschło mu w gardle, a ból w piersi przeszedł w duszność.

— Dlatego kazałam im wchodzić po dwóch. Jeśli zawołam. Ale to tylko na wypadek, gdybyś znów miał atak. Żaden z nich nie zna jednak języka Imperium, więc możemy rozmawiać swobodnie. Ten czar… znikł. Jakby wpadł w wielką dziurę. Przekonałam Euruvi, że to moja sprawka, bo inaczej kazałaby cię zabić na miejscu, a potem obejrzałam sobie ciebie całego, szukając znaków, no wiesz, specjalnie zrobionych blizn, tatuaży, wypalo-

nego piętna, czegoś, co mogłoby świadczyć, że zabawiałeś się kiedyś z dziwnymi rzeczami. A tu nic. Tych kilka szram, jakie nosisz, to ślady po normalnych ranach, nawet ta wielka na barku, która zapewne czasem daje ci w kość. Za to twoje stawy zrobiły się czarne, masz kilka siniaków w dziwnych miejscach, opuchliznę pod pachami i na szyi. To się dzieje z ludzkim ciałem, gdy używa Mocy w nadmiarze. Istnieje granica wytrzymałości każdego czarownika.

— Nie jestem czarownikiem.

— Wiem. Nie wyczułam wokół ciebie żadnej Mocy, aspektowanej czy innej. Nie posługiwałeś się nią. Poza tym, żeby doprowadzić się do takiego stanu, wielki mag musiałby używać pełni swych sił przez wiele godzin. A tobie zajęło to może sto uderzeń serca. Jesteś w kiepskim stanie, wiem, że cię boli, lecz zapewniam, że to tylko namiastka cierpienia, które powinieneś czuć. Każdy inny na twoim miejscu zwijałby się z bólu i pluł zębami. A przecież siedzisz tu przede mną i rozmawiasz jakby nigdy nic. Na dodatek…

Wyciągnęła rękę i jasny jak sopel, prześwietlony słońcem strumień Mocy trafił go w pierś. Nie zdążył nawet drgnąć, a czar… znikł.

Jakby był kroplą deszczu wpadającą w ogień.

— To samo działo się, gdy próbowałam cię uleczyć. — Uśmiech starej wiedźmy wyglądał niby pęknięcie na krze. — Twoje ciało połyka czary. Wszystkie, jakie ośmieliłam się wypróbować. Powiedziałabym, że twoje rany to nie tyle skutek używania nadmiaru Mocy, ile efekt bitwy, jaka toczy się w jego wnętrzu. Kim więc jesteś?

Nie odpowiedział od razu.

— Nie pytam przez czczą ciekawość, chłopcze. Ale dostałam wieść i moja młodsza siostra też. Oum chce cię widzieć. Pięć kolejnych Sług Drzewa oddało życie, gdy otworzył usta, ale wyraził się jasno. Masz się zjawić w Dolinie Dhawii. Sam. Twoi towarzysze mogą wrócić na północ, do miasta. Jednak… — Rzuciła kilka zdań w jakimś dziwnym dialekcie, z którego rozpoznał ledwo kilka wyrazów, i najwyraźniej czekała na jego reakcję.

— Nie rozumiem.

— Widzę. Przez chwilę myślałam, że opętał cię duch jednego z naszych starożytnych bohaterów. Imiliego albo Rauny. Wiesz, każdy ma swoje marzenia. Ale…

Zadrżał. Imię brzmiało znajomo, nawet po tych wszystkich wiekach. I podsunęło obraz, wyraźny jak wczorajszy sen.

Imwili Dwie Tarcze. Stoi i patrzy na rzędy jednakowych baraków, długich, niskich, krytych gontem. Jego twarz jest kamienną maską wytrawioną w głębokie bruzdy przez ból i szok. Patrzy z niemym błaganiem w oczach.

To nieprawda. Powiedz, że to nieprawda.

To twój obowiązek, słyszy. Masz mi dać najlepszych wojowników, jakich możesz wyszkolić. Pół roku. Imwili podpiera się włócznią. Nie ma nogi, zostawił ją na polu bitwy, ale dopiero teraz, w tej właśnie chwili, traci coś naprawdę istotnego. Wiarę. Lojalność.

Chciałem przeżyć życie tak, by nie musieć za nie przepraszać, Panie, szepcze.

Złodziej zamknął oczy.

— Kim był Rauna?

— Nie był, tylko była. Wiedźmą i wojowniczką, która przybyła tu wraz z Oumem. A gdy on zapuszczał korzenie, ona wyruszyła na zwiad, by zbadać niebezpieczeństwa tej wyspy i przynieść wieści przerażonym wędrowcom. Napotkała miasto zamieszkane przez obcych opętanych przez złe moce. Już miała do niego wkroczyć, by swoją włócznią i strzałami przynieść im wybawienie, gdy stanął jej na drodze Imili. Był demonem pokrytym straszliwymi malunkami, z jednym okiem białym jak chmury i jedną nogą z żelaza. Jestem strażnikiem tego miejsca, powiedział, i wszystko to należy do mnie. Musisz mnie pokonać, Odrzucona, jeśli chcesz tu wejść.

— Walczyli?

— Trzy dni i trzy noce bez odpoczynku. Rauna złamała swój miecz na jego żelaznej nodze, a jego oręż pękł na jej tarczy. Wystrzeliła w niego sto strzał, lecz jego skóra była ze stali i nic sobie z tego nie robił, za to pchnięciem włóczni rozorał jej udo aż do kości. Rzuciła na niego… na pewno chcesz słuchać? Zazwyczaj opowiadam to dzieciom.

— Mów. Proszę.

— Dobrze. Rzuciła na niego wszystkie swoje zaklęcia, a on odpowiedział tysiącem ciosów, które powalały drzewa i rozłupywały głazy. Lecz w miarę, jak walczyli, jego stalowa skóra zaczęła odpadać płatami, a gdy krew i pot zmyły malunki, ukazał się spod nich mężczyzna, szlachetny i dumny niczym najwspanialszy jeleń. A i on, gdy już opadł bitewny szał, zobaczył, że staje do walki z kobietą, wysoką, jasnoskórą pięknością o uro-

dzie, która płonęła niczym słońce. I zrozumiał, że ktoś tak piękny nie może być zły, więc powstrzymał kolejny cios, a ona też stanęła jak posąg, bo w trakcie walki czar opadł z mieszkańców miasta i zobaczyła tylko przerażonych ludzi. A Imili ujrzał w jej oczach smutek i litość, i to złamało mu serce, więc odrzucił włócznię, gotów przyjąć jej cios w pierś. Spojrzeli sobie w oczy i w ten sposób narodziła się pierwsza miłość między pierwotnymi mieszkańcami wyspy a tymi, których przywiodła tu wola Ouma. Tak narodzili się Seehijczycy.

Legenda zmieniła brzmienie imienia, choć zachowała taki szczegół, jak kalectwo wojownika. Imili. Imwili. A dźwięk tego imienia podsunął mu wspomnienie, żywe, jakby należało do niego, Altsina Awendeh, złodzieja z Ponkee-Laa. Ale to było wspomnienie Reagwyra, czy raczej jego Bitewnej Pięści. Zacisnął zęby, aż poczuł, że któryś pęka i kruszy mu się w ustach.

Wynoś się.

Proszę.

— To nic nie da, chłopcze. On siedzi w twojej głowie od dawna i powoli staje się częścią ciebie. A raczej to ty stajesz się częścią jego. Można wlać do kielicha wodę i wino tak delikatnie, by stworzyły dwie wyraźne warstwy, ale po pewnym czasie i tak się wymieszają.

— Co za on? Co, wiedźmo? Co za on? Nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

— Nie mam. A powiesz mi? Nie. Widzę, że nie. Ale Oum chce cię widzieć, a Euruvi pragnie zabić. Tak. Ona wie, że dla niej nasz bóg nie otworzyłby oczu ani nie przemówił, więc nienawidzi cię serdecznie, niczym odrzucona kochanka. Więc muszę wiedzieć, dlaczego ryzykuję starcie z inną wiedźmą, nawet jeśli mogę ją pokonać. Nie chcę walczyć, gdy nie wiem o co.

— Myślałem — smak krwi w ustach i ból zęba pomógł mu się skupić, przynajmniej miał na czym — że Czarne Wiedźmy są wśród was najpotężniejsze.

— Są potężne, tak jak potężny jest królewski herold ogłaszający prawa i wyroki. Są Głosem Ouma, co czyni je potężnymi, ale gdy Oum milczy, głos jest tylko pustym dźwiękiem. Wiedzą jednak, jaka jest cena, zanim ją zapłacą, więc nie powinny narzekać ani próbować oszustw.

— Handlując z kontynentem bez pośrednictwa Kamany?

Uniosła brwi, a zmarszczki na jej czole zaczęły przypominać niewielkie kaniony.

— Ooo. Skąd wiesz? Zresztą nieważne. Osobiście nie sądzę, żeby Oum chciał cię widzieć dla samego ciebie. Raczej chodzi o to, co wydarzyło się wczoraj. Przez świat idzie fala, drżenie Mocy, zaburzenie równowagi, nad którą tak wielu pracowało. Bogowie spoglądają zdumieni w kierunku królestwa śmiertelników, demony otwierają paszcze, węsząc krew i zniszczenie, przedwieczne byty unoszą łby. Ci, którzy sądzą, że mają prawo odciąć naszą gałąź od Drzewa Wieczności, szykują siekiery, nawet jeśli poza nią nic już nie ma za nimi i sami zginą. Ci zaś, którzy chcą się na tym drzewie zaszczepić, ostrzą noże. Jedni odmawiają nam praw do… bycia, inni chcą tylko zająć nasze miejsce, a jeszcze inni myślą o wyrównaniu krzywd, których nie wyrządziliśmy. Lasy nie wyrosną, ale może sadzonki się przyjmą. Ale tak było i tysiąc lat temu, i wszystko okazało się bańką mydlaną. Co, jeśli i wczorajszy grzmot był fałszywy?

Altsin właśnie zrozumiał, że los postanowił mu jeszcze bardziej przywalić i oprócz boskiego sukinsyna siedzącego w głowie zafundował spotkanie ze starą wariatką. Na dodatek taką, której jedno słowo mogło zadecydować o jego życiu.

Pięknie.

— Nie wiesz, o czym mówię? — Uśmiechnęła się łagodnie. — Ja też nie. To mamrotanie Ouma. Jego – jak by to ładnie ująć, w końcu mówimy o bogu – szeptany bełkot. Mówi tak czasem, gdy ożywia się na chwilę, zanim albo otworzy oczy, pożerając życie Sług, albo zamknie je na wiele dni, znów zapadając w drzemkę. Spisujemy jego słowa, próbując zrozumieć ich sens, ale na razie wszystko nam umyka. Te wypowiedział dziś rano, zanim kazał po ciebie posłać. Nie patrz tak, jakbyś nie słyszał nic o czarach przenoszących wieści. Więc boimy się, że próbuje nas przed czymś ostrzec, ale nie potrafi, a gdy wreszcie zrozumiemy, co chciał powiedzieć, przeznaczenie właśnie będzie nam przydeptywać gardło podkutym buciorem. Miałam nadzieję, że jeden z was powie mi, co to wszystko oznacza.

Złodziej spojrzał na nią, mrużąc oczy. Głowa zaczynała go boleć.

— Jeden z nas? Czyli ten drugi, we mnie? A jeśli to demon, który wyskoczy i pożre twój umysł?

— To nie demon. Miałam już do czynienia z demonami. Przy tym, co wyczuwam u ciebie, najpotężniejsze z nich wyglądają jak szprotka przy

wielorybie. A jednak, chłopcze, opierasz się temu. I to na tyle skutecznie, że nie ośmiela się siłą przejąć twojego ciała. Wnioski, jakie z tego wyciągam, zamieniają moje kości w wodę.

Wymienili spojrzenia. W oczach starej wiedźmy po raz pierwszy dostrzegł coś, co mogło uchodzić za obawę. Wolał nie drążyć tego tematu.

— Co wydarzyło się wczoraj? Co to było?

— Nie wiem. Obserwowałeś kiedyś powierzchnię morza, gdy zakwita nagłym ruchem? Małe rybki wyskakują nad wodę, większe pryskają na wszystkie strony, prując taflę, gdzieś pojawi się wir albo nagła fala… I wtedy wiesz, że w głębinie coś się wydarzyło. Może stado delfinów zaczęło polowanie, może oberwał się uskok skalny, a może zatrzęsło się dno i za chwilę woda zacznie się cofać, by po chwili runąć w twoją stronę. Tak samo było wczoraj. Coś wydarzyło się daleko stąd, na północnym wschodzie, a fala wzbudzona przez to wydarzenie pomknęła przez świat. Aspektowane źródła wzburzyły się, zachybotały, a co najmniej dwa z nich zamieniły… smak. Pierwotna Moc zasyczała, a bogowie się poruszyli. To nie pierwsza taka fala, która przechodzi przez świat ostatnimi laty, ta jest jednak najdziwniejsza. Mam wrażenie, że pomniejsi czarownicy i kapłani mogą jej nawet nie zauważyć, tak jak szprot nie zauważy, że cały ocean drgnął. A ty zauważyłeś i zareagowałeś na nią bardzo ciekawie, czym przyciągnąłeś uwagę naszego boga.

— On naprawdę jest bogiem? Takim jak Matka albo Bliźnięta?

— Nie. Nie takim. Ale jest bogiem, bo bez niego byśmy nie istnieli.

— Podobno żaden człowiek spoza wyspy nie ma prawa go ujrzeć.

Wiedźma skinęła głową, jej oczy błysnęły lodowatym błękitem.

— To prawda. I co to nam mówi o sposobie, w jaki postrzega cię Oum?

Złodziej nie odpowiedział.

Rozdział 7

Wieści z Północy przetoczyły się przez miasto jak huragan. Ich źródłem, jak szybko ustalono, była dzielnica meekhańskich kupców.

Musiały być ważne, bo przebycie ponad dwóch tysięcy mil z Imperium do Konoweryn zajęło im tylko kilka dni. Zapewne czarownicy specjalizujący się w przekazywaniu pilnych informacji zarobili na tym fortunę.

Teraz na targowiskach, placach i w domach nie rozmawiano o niczym innym, jak o wielkiej bitwie stoczonej gdzieś w mroźnej, północnej krainie, gdzie lud wygnanych ze swoich ziem wędrowców rzucił wyzwanie Ojcu Wojny se-kohlandzkich szczepów i pokonał go.

Oczywiście natychmiast po trafieniu na ulice wieści wdały się w romans ze stugębną plotką, a ich potomstwo przybierało naprawdę dziwne kształty.

Pięćdziesiąt, sto, a już wkrótce trzysta tysięcy wojowników zmierzyło się w największej bitwie od czasów wielkiej wojny, którą Imperium Meekhańskie stoczyło z tymi samymi koczownikami. Tytaniczne starcie godne samych Wojen Bogów. Sto tysięcy jeźdźców objęło ziemię w przedśmiertnych uściskach. Nieprawda, było ich sto pięćdziesiąt tysięcy. Bzdura, przeszło dwieście. Yawenyr poległ. Yawenyr zaginął. Yawenyr uciekł z garstką najwierniejszych sług i ukrywa się, ścigany jak zwierzę. Królestwo koczowników rozpadło się na pięć, dziesięć, dwadzieścia księstewek, rządzonych przez lokalnych watażków. Imperium triumfuje. Imperium nie miało z tym nic wspólnego. Imperium szykuje się do wojny z nową potęgą rodzącą się na Wielkich Stepach. Sami bogowie Laal i Galleg starli się na śmierć i życie nad polem bitwy. To dlatego Pan Ognia wezwał księcia do Oka.

Konoweryn smakowało te wieści, przeżuwało i doprawiało po swojemu. Opowieść o wielkiej wojnie na drugim krańcu świata miała posmak legendy, bajki, mitu, czegoś cudownego i kolorowego, co jednak nie będzie miało większego znaczenia dla zwykłego tkacza jedwabiu czy handlarza pieprzem. Zapewne ci mądrzejsi ze słuchaczy zastanawiali się, czy usunię-

cie zagrożenia znad wschodniej granicy wpłynie na skłonność meekhańskiej arystokracji do wydawania złota na przedmioty zbytku, takie jak jedwab, porcelanowa zastawa, kamienie szlachetne i przyprawy z Południa. Ale większość wolała historię o wojnie, bitwie, bohaterstwie i sprawiedliwej zemście wypędzonych.

Te wieści były bez wątpienia ważne, lecz Deanę ledwo to obeszło.

Od spotkania z Suchim, czyli już od kilku dni, nie widziała Laweneresa, a na dodatek wczoraj do pałacu zawitała Pierwsza Nałożnica.

Nie dałoby się zignorować jej przybycia, chyba że człowiek zamknąłby się w najgłębszej piwnicy, zalał uszy woskiem, a ze światem kontaktował tylko przez ślepego i niemego sługę przynoszącego posiłki. Najpierw oszalał Dom Kobiet. Owiya była wszędzie, w każdej komnacie, na każdym korytarzu, za każdą zasłoną. Deana przyłapywała się na tym, że dyskretnie sprawdza, czy przełożona kobiet nie czai się pod jej łóżkiem. Służące i niewolnice biegały jak opętane, ścierając kurze, myjąc okna, woskując i polerując meble, a w ich gorączkowej krzątaninie czaiła się rozpacz istot, które wiedzą, że i tak nie będzie dobrze.

Potem zaczęło się szykowanie dodatkowych komnat, ośmiu, jak Deana dyskretnie policzyła, wyposażanych w nowe meble, dywany i lustra. Na dodatek na korytarzach Domu Kobiet pojawili się mężczyźni. Wysocy, krzepcy strażnicy w skórzanych pancerzach, uzbrojeni w ciężkie szable i noszący opaski domowych niewolników na szyjach. Na krótkie pytanie o ich obecność jedna ze służących zaśmiała się nerwowo i wykonała zamaszysty gest w okolicy krocza. Kastraci. Podobne środki ostrożności w części pałacu przeznaczonej dla kobiet były do tej pory rzadkością.

Owiya, która – jak się okazało – świetnie władała *suanari*, odwiedziła niespodziewanie Deanę i wyjaśniła, że odtąd ma ona zakaz wstępu do pewnych części Domu i jeśli wykastrowani strażnicy każą jej skądś odejść, to ma odejść i już. Święte Dziewice – takiego tytułu użyła, będą przebywać tylko w towarzystwie wybranych sług i samej Varali. Pustynna wojowniczka może wychodzić i wchodzić do swojej komnaty, lecz od tej chwili w pałacu będzie jej towarzyszyć osobista niewolnica, która życiem odpowiada za to, by ona, Deana d’Kllean, nie zrobiła żadnego głupstwa.

Życiem?

Tak, życiem. Jeśli zawiedzie, zostanie zabita.

Przełożona Domu Kobiet zaklaskała i do komnaty weszła młoda niewolnica. Spuściła skromnie wzrok, a Deana rozpoznała w niej ciężarną pomocnicę krawcowej z karawany. Przy piersi trzymała kwilące niemowlę.

Nie musiała pytać, kto wydał takie rozkazy.

Suchi, ty sukinsynu.

Wojowniczka wysłuchała Owiyę spokojnie i pod byle pretekstem wyprosiła z komnaty, potem odesłała przestraszoną dziewczynę i zaczęła ćwiczyć. Godzinę, dwie, trzy… Pięć. Pot lał się z niej strumieniem, oddech świszczał w gardle, a *sani* raz po raz wybuchał i gasł. Widmowi przeciwnicy padali tuzinami.

Walczyć. Walczyć, walczyć, walczyć!

Nie myśleć.

Na myśl o tym, że Laweneres zacznie odwiedzać sąsiednie komnaty, by sparzyć się z jedną, dwoma albo i wszystkimi z tych dziewczyn, że zapłodni kobietę, która będzie miała zasłoniętą twarz, aby nikt nie mógł w niej później rozpoznać matki następnego Dziecięcia Ognia, czuła… czuła…

Sama nie wiedziała, co czuje.

Zapowiedź Suchiego spełniła się i Laweneres już jej nie odwiedzał. Najwyraźniej Deana nie doceniła roli i władzy, jaką miał w pałacu truciciel, którego nawet książę wydawał się słuchać. Chyba że ten przeklęty ślepiec zbierał po prostu siły na spotkanie z tymi dziewkami, a ona była tylko przelotną rozrywką.

Głupia, głupia, głupia!

Lot Czapli wykonała w czternaście uderzeń serca, a *talhery* cięły powietrze wokół z taką furią, że ich klingi zdawały się żarzyć.

Przerwała dopiero wtedy, gdy na korytarzach Domu Kobiet wybuchło zamieszanie.

Pierwsza Nałożnica.

Nie wiedziała, jakie ma szczęście, że dzielą je solidne drzwi.

Deana zwaliła się na łoże i zamknęła oczy.

Rozdział 8

Północna część Amonerii różniła się od południowej jak szczecina dzika od tyłka noworodka. Północ porastały gęste puszcze, ciemne, mroczące się odwiecznymi cieniami, gdzie najczęściej człowiek stawał przed ścianą zieleni, zastanawiając się, jakie licho go tu przygnało i czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy niebo nad głową. Południe było otwarte, niemal bezdrzewne, a miejscowe plemiona pilnowały, by tak pozostało, traktując wypas bydła i trzody jako podstawy swojej gospodarki. I tak było, według słów Gualary, niemal wzdłuż całego biegu rzeki, która stanowiła naturalną granicę dla ekspansji lasu. Tylko w okolicach ujścia puszcza przelała się na drugą stronę Maluaryny, płachtą szeroką i głęboką na trzydzieści, czy czterdzieści mil, której postęp zatrzymały dopiero słone bagniska i niegościnne wzgórza. Żeby dotrzeć do jeziora, musieli zagłębić się w tę dzicz, na której skraju towarzyszący im przewodnicy zatrzymali się, mierząc wzrokiem każde drzewo i krzak. Mieszkające tu plemiona też uważano za północne, więc w gruncie rzeczy podział na wyspie nie przebiegał na linii prawy–lewy brzeg, lecz puszczański lub równinny styl życia. Odbijało się to – jak twierdziła stara wiedźma – na tradycjach wojennych obu części wyspy.

Północ, oprócz elity plemiennej, nie doczekała się ciężkozbrojnych wojowników ani dobrej konnicy, za to dysponowała znakomitymi łucznikami i najlepszą na świecie lekką piechotą, która nie miała sobie równych w walce w lesie. Ale jeśli północne klany, jakimś cudem chwilowo zjednoczone, przekraczały rzekę, stawały naprzeciw karnych szeregów włóczników i dosiadających dobrych koni jeźdźców, co zazwyczaj kończyło się równie paskudnie, jak próba wprowadzenia jazdy i władających długimi włóczniami tarczowników w gęstwinę puszczy. Od wielu więc lat nie doszło do prawdziwej, krwawej wojny między północą a południem i tylko rajdy *ka'hoon*, przeprawiających się przez rzekę lekkimi łodziami, podtrzymywały wzajemną nienawiść.

Altsin jechał na koniu, niezbyt okazałym, za to spokojnym i wytrzymałym. Po prawej stronie miał Gualarę, a przed sobą Czarną Wiedźmę. Przód i tył ich małej kolumny zamykali strażnicy w pasiastych maskach. Co prawda nie mogli to być ci sami, których poturbował na uczcie, ale wolał nie pytać o takie szczegóły. Euruvi od kilku dni traktowała go jak owrzodzonego psa plączącego się pod nogami, którego człowiek nie kopnie tylko dlatego, że boi się pobrudzić buty. Stara wiedźma miała rację. Dla młodszej to, że jej bóg zwrócił uwagę na jakiegoś mnicha, był niczym sztylet wbity w zadek. Ponoć dlatego Gualara postanowiła im towarzyszyć: żeby później nie okazało się, iż złodziej utopił się w trakcie przeprawy przez rzekę, spadł z konia i skręcił kark albo zadławił kawałkiem chleba. Na pytanie, czy Euruvi naprawdę ośmieliłaby się postąpić wbrew woli Ouma, jej starsza siostra uśmiechnęła się tajemniczo i nie odpowiedziała.

A on nie dopytywał się.

Po południowej stronie wyspy droga wiła się nieustannie od jednej kamiennej warowni, stawianej zazwyczaj na wzgórzu lub w widłach licznych tu rzek, do innej klanowej osady, składającej się z kilkudziesięciu chat otoczonych wysokim murem, pilnowanym dzień i noc. Jeśli ktoś wątpiłby, czy opowieści o nieustannie toczonych w Amonerii walkach są prawdziwe, to taka krótka przejażdżka powinna wyleczyć go z niewiary. Nie istniały tu samotne zajazdy, niewielkie wioseczki czy coś, co choć z grubsza przypominałoby szlacheckie dworki, które spotykało się na kontynencie. Cała kraina składała się z serii plemiennych i klanowych obozów wojskowych oraz twierdz, a największy wróg zazwyczaj mieszkał za najbliższą granicą.

Na północy, w puszczy nie było lepiej. Obronne grody okupowały wszelkie wzniesienia, a choć obwarowania robiono tu z drewna i ziemi, nie sprawiały mniej odpychającego wrażenia. Za to mniejsze osady najczęściej albo kryły się w niedostępnych matecznikach, albo wznosiły na wyspach pośrodku bagien. Miejscowe klany uprawiały ziemię wydartą puszczy, polowały i handlowały drewnem, futrami i bursztynem. I oczywiście nieustannie obserwowały sąsiadów.

Droga, którą podążała ich grupa, miała szerokość wozu, ubitą nawierzchnię i najczęściej prowadziła szczytami łagodnych wzgórz, dzięki czemu od czasu do czasu mogli ujrzeć słońce. Lecz często też musieli zsiadać z koni i przedzierać się wąskim szlakiem, ciągnąc zwierzaki za uzdy, lub brnąc po kolana w błocku, schodzić w głębokie doliny, by po kilku

godzinach marszu wdrapywać się z mozołem na kolejne wzniesienie. Altsin nie mógł się powstrzymać od myśli, jak wyglądałaby próba podbicia tych ziem przez jakąkolwiek armię, jeśli ich grupce, chronionej przez autorytet lokalnego bożka, dziennie udawało się przebyć ledwo kilka mil. Nie dziwił się już, że sam Meekhan zrezygnował z tych planów.

Zastanawiał się też, mimochodem, jak długo udałoby mu się przeżyć, gdyby nie towarzystwo Czarnej Wiedźmy, i nieodmiennie wychodziło mu, że na południu byłoby to jakieś pół dnia, jeśliby potrafił szybko biegać i dobrze się kryć, a na północy może ze dwie godziny. Ledwo zagłębili się w lasy, ledwo pochłonął ich wilgotny, cienistozielony półmrok, rozległy się pojedyncze ptakopodobne trele. Złodziej nie znał się na tutejszych zwierzętach, ale musiałby być porządnie pijany, by nie zauważyć, że te dźwięki towarzyszą im i tylko im, że słychać je tylko z jednej strony lasu oraz że rozlegają się dokładnie tam, gdzie podążali.

— Nie są zbyt ostrożni — rzucił na jednym z postojów, gdy posilali się plackami owsianymi i suszonymi owocami, a tajemnicze głosy otoczyły ich i pomknęły naprzód.

Stara wiedźma wzruszyła ramionami.

— Gdyby chcieli się przed nami ukryć, nie odróżniłbyś tych sygnałów od dźwięków lasu. Teraz po prostu mówią nam, że jesteśmy obserwowani. I przekazują dalej wieść, że zbliża się Czarna Wiedźma. Przekroczyliśmy już granice terytorium przynajmniej trzech klanów i to wiadomość przekazywana między nimi. Żeby jakiś gorącokrwisty młokos nie posłał nam strzały.

— *Ka’hoona*?

— *Ka’hoona*, która zaatakuje wysłanników Ouma, będzie tego bardzo żałować. Własny klan wyśle ją do Doliny Dhawii, by błagać o przebaczenie. W kawałkach. Zaczynając od stóp, które przyniosły ich na miejsce ataku, poprzez dłonie trzymające broń, po zbyt puste głowy. Młodych durni trzeba trzymać krótko, zwłaszcza jeśli pozwala im się nosić broń. Dlatego strażnicy Czarnych Wiedźm noszą maski w bijących po oczach kolorach, a my jedziemy pod tym proporcem. — Wskazała na żółtą płachtę przeciętą dwoma czarnymi kreskami. — Znak Doliny. Nikt inny nie może go używać. Bez tego ani ty, ani ja nie przejechalibyśmy mili w tym lesie.

Altsin pokiwał głową, ich myśli wędrowały wspólnymi torami.

— Więc wystarczyłoby, żeby na jakimś postoju Euruvi odeszła kawałek i nas zgubiła?

— O tak. Ale wtedy mój duch stanąłby przed obliczem Ouma i oskarżył ją o zdradę. Nie chcesz wiedzieć, co spotyka Czarną Wiedźmę, która zdradziła.

Nie chciał.

— Ile jeszcze dni będziemy wędrować?

— Cztery lub pięć.

— Tak długo? Cholera, miałem łódź. Szybciej dotarłbym na miejsce, płynąc wzdłuż wybrzeża. Podobno ta wasza Dolina jest tylko dziesięć mil od brzegu.

— Oczywiście. A honor i poczucie prawości nie pozwoliłyby ci uciec do Kamany i dalej, na kontynent. — Staruszka posłała mu spojrzenie, pod którym nawet kawałek drewna poczułby się głupio. — Mamy czas, Oumowi aż tak się nie spieszy. Czeka.

— Na co?

— A na co mogą czekać bogowie? Aż świat się zatrzęsie.

Następne trzy dni były jednakowe niczym ziarnka piasku. Wędrowali tunelem wyrytym w żywym ciele puszczy, przegryzali coś w czasie jazdy i zatrzymywali się tylko na noclegi. Altsin przestał już zerkać z ukosa na starą wiedźmę, która co prawda wyglądała w siodle jak lekko podsuszona mumia przywiązana do końskiego grzbietu, ale za to przywiązana wyjątkowo solidnymi rzemieniami. Gualara ani razu nie poprosiła o odpoczynek i ani razu się nie poskarżyła, ba, zdawała się nawet czerpać pewną przyjemność z wędrówki. Złodziej pewnie dałby się na tę pozę nabrać, gdyby nie zauważył kilku pełnych jadu spojrzeń, jakimi Czarna Wiedźma obrzucała swoją starszą siostrę, oraz paru rozpalonych do białości zerknięć, jakie dostała z powrotem. No cóż, wyglądało na to, że prędzej tutejsze drzewa skamienieją, niż jedna z tych kobiet da satysfakcję drugiej.

Tylko tyłek bolał go coraz bardziej.

Czwartego dnia leśna droga wypluła ich wprost na brzeg jeziora Araya. Altsin domyślił się, że to właśnie ono, bo na Amonerii był tylko jeden zbiornik wodny tak duży, że człowiek nie sięgał wzrokiem jego drugiego brzegu. Słyszał o nim od ludzi, którzy słyszeli o nim od ludzi, którzy… i tak dalej. Jezioro Araya znajdowało się w pobliżu Doliny Dhawii i stanowiło jedną z jej linii obronnych. Dlatego każdy obcy, który znalazł się

w jego pobliżu bez opieki Czarnej Wiedźmy, powinien zacząć się modlić do swojego boga. Który najpewniej i tak by go nie posłuchał, bo nad jeziorem unosiła się już moc Ouma.

Altsin wyczuł ją, ledwo wyjechali z lasu, zupełnie jakby wcześniej płaszcz puszczy w jakiś sposób tłumił tę obecność. Teraz złodziej miał wrażenie, jakby stanął przed nią nagi.

Nie była agresywna ani zbyt potężna, przypominała… lekki opar przenikający powietrze, wiatr muskający policzki albo promienie wiosennego słońca pierwszy raz padające na twarz. Złodzieja naszły wspomnienia skradania się po dachach albo wspinaczek po murach do na wpół uchylonego okna, gdy nagle ogarniała człowieka pewność, że właśnie został zauważony, że tylko uderzenie serca dzieli nocną ciszę od wrzasku i rabanu robionego przez jakiegoś przeklętego, cierpiącego na bezsenność babsztyla. To było właśnie takie uczucie – jeżące włosy na karku i wypełniające żyły lodem.

Nie zdziwiłby się, gdyby nad taflą jeziora poniósł się nagle opętańczy ryk.

Ale panowała cisza. Wszechwładna i – porównanie było banalne, ale lepszego nie mógł znaleźć – grobowa. W szuwarach nie jazgotało ptactwo, ryby nie kotłowały się tuż pod powierzchnią wody, wiatr nie marszczył tafli. Jakby jezioro było zaklęte.

A wtedy ktoś kaszlnął mu przy uchu i zaklęcie pękło. Zaszumiał wietrzyk, plusnęła ryba, kilka kaczek wypłynęło z trzcin i widząc ludzi, poderwało się w powietrze.

— Większość ludzi tak to odczuwa. Jego obecność. Jakby nic innego się nie liczyło. Ale musisz pamiętać, że większość tego dzieje się w twojej głowie. One — Gualara wskazała pomarszczonym palcem lecące ptaki — mają za mało rozumu, by spostrzec potęgę, w której cieniu żyją.

— Czyli co? — Altsin pochylił się i zanurzył dłonie w wodzie. Była zimna i czysta. — Zakładają gniazda w uchu boga, budując je z włosów wyrwanych z jego brody?

— Właśnie. A ja czasem mam wrażenie, że wcale tak bardzo się od nich nie różnimy. Chodź. Łódź płynie.

Łódź została zbudowana z drewna, które musiało pochodzić z naprawdę wiekowego anuhijskiego dębu, bo tylko najstarsze drzewa mają tak intensywną barwę. Piękny czerwony kolor odbijał się w tafli wody, gdy bezgło-

śnie płynęła w ich stronę. Altsin zmrużył oczy, przypatrując się jej podejrzliwie. Nie zdziwiło go, że płynie sama, w tej okolicy mało co wzbudziłoby jego podejrzliwość, ale coś było nie tak z jej proporcjami. Dopiero gdy mlasnęła dnem o przybrzeżny muł, zrozumiał, co mu nie pasowało. To była dłubanka, wykonana z jednego pnia bez użycia żelaza, smoły czy pakuł. Z tym że bezimienny rzemieślnik zrobił wszystko, by nadać jej wygląd prawdziwej łódki, łącznie z wyrzeźbieniem ławek i konturów imitujących deski kadłuba. Cholera, poświęcił nawet czas na zaznaczenie symbolicznych główek gwoździ. Drobiazgowa robota.

— Dużo drewna zmarnowano na tę łódkę — mruknął, przepełniony nagle niedającą się racjonalnie wyjaśnić niechęcią do wejścia na pokład. — Nie szkoda było?

Nie usłyszał odpowiedzi. Zerknął na kobiety. Obie stały jak skamieniałe, z twarzami zastygłymi w maski, spod których przebijała cała gama uczuć. Gualara była zaskoczona i zdumiona. Euruvi… odtrącone przez matkę dziecko nie miałoby takiego spojrzenia. Nic nie mówiła, nie patrzyła w stronę złodzieja, stała tylko obok, między swoimi strażnikami, a dłonie mężczyzn mimowolnie szukały czegoś przy rękojeściach tasaków. Ta trójka musiała wymienić jakieś sygnały, które przegapił, skupiając się na łódce.

— Nadal jestem gościem waszego boga?

Czarna Wiedźma skinęła głową. Powoli i z ociąganiem, jakby sama próbowała się przekonać.

— I lepiej o tym pamiętaj… — wyszeptała. — Pamiętaj o prawie gościnności, gdy staniesz przed jego obliczem.

— A stanę?

Pytanie zawisło w powietrzu, tchnąc chłodem. Zaskoczyło go to, jak bardzo podejrzliwie zabrzmiało.

To znowu ty? Dlaczego teraz? I czemu boisz się tej łódki?

Stara wiedźma przerwała lodowatą ciszę, gramoląc się na pokład i siadając na ławce przy rufie. Tuż obok steru, który jako że był jednorodną częścią całej konstrukcji, nie miał żadnego praktycznego znaczenia.

— To nie jest drewno, o którym myślisz. — Nagle stała się poważna i mroczna, a w jej postawie pojawiła się nowa nuta. Groźba. — Dąb anuhijski to karłowaty bękart, nieślubne dziecko wiatru i miejscowych lasów. Ale i tak jest najwspanialszym drzewem poza Doliną. Więc pomyśl, jaki musiał być jego ojciec.

Altsin widział kilka razy dęby rosnące dziko w pobliżu Kamany, olbrzymy o wysokości przeszło stu stóp i obwodzie, którego nie objęłoby dziesięciu mężczyzn. A podobno w głębi wyspy rosły okazy jeszcze potężniejsze. Gualara wykonała gest zniecierpliwienia.

— Wsiadaj — ponagliła.

Coś w jej tonie nakazywało ostrożność, szacunek i lęk, ale Altsin nagle nabrał pewności, że stara czarownica po prostu się boi.

Delikatnie dotknął burty. Drewno wydawało się być zwykłym drewnem, wygładzonym sztuką szkutniczą niemal do połysku; słoje, pasma jaśniejszej i ciemniejszej czerwieni, wyglądały troszkę jak siateczka żył. Złodziej nic nie wyczuł, żadnego drżenia, ostrzegawczego mrowienia w palcach, zawrotu głowy czy swędzenia między łopatkami. A jednak jakaś jego część – cholera, po co się oszukiwać – ta część, która chodziła kiedyś po świecie w ciele innego człowieka, niosąc śmierć i zniszczenie wszystkiemu, co stanęło jej na drodze, bała się tej łodzi. Tego drewna.

Skrzywił się, jakby właśnie przełknął łyk octu.

Czyż od miesięcy nie robił wszystkiego na opak?

Wskoczył na pokład i odwrócił się, wyciągając dłoń do Czarnej Wiedźmy. A co mu tam.

Zrobiła minę, jakby napluł jej w twarz. Ubraniem kobiety zaszargał wiatr, który nie poruszył nawet źdźbła trawy wokół. Siedząca już w łodzi Gualara warknęła coś, na wpół okrzyk, na wpół ostrzeżenie, ale wtedy młodsza kobieta odwróciła się na pięcie i odeszła w stronę lasu. Strażnicy podążyli za nią.

— Ona nie może popłynąć. Zaproszenie było tylko dla ciebie i mnie. Oum okazał jej w ten sposób swoje niezadowolenie. A jeśli nie chcesz, by okazał je tobie, lepiej usiądź, bo będziesz musiał przepłynąć większość drogi wpław.

Odbili w ciszy, zawrócili i popłynęli, tnąc dziobem taflę wody.

Altsin usiadł plecami do dziobu.

— Zawsze tu przypływa ta łódź? — zapytał.

Uśmiech starej kobiety miał w sobie coś z bolesnego grymasu.

— Nie. Nie zawsze. Za mojego życia, a odwiedzałam Dolinę dość często, widziałam ją tylko dwukrotnie. Ostatni raz dwadzieścia lat temu, gdy wylądowali Nesbordczycy. Łódź z *vanuhii* popłynęła w górę rzeki, by przywieźć przed oblicze Ouma skłóconych wodzów plemion. To było, zanim

ogłoszono *kameluuri*. Zazwyczaj na brzegu czeka zwykła łódka z wiosłami i żaglem.

— *Vanuhii*?

Posłała mu zmęczony uśmiech.

— Jeśli czegoś nie wiesz, pytaj, co?

— Owszem. Pytaj, nawet jeśli spodziewasz się kłamstwa. Czasem sposób, w jaki ktoś kłamie, powie ci więcej o danej rzeczy niż szczera prawda. Bo kłamstwo ma zazwyczaj ukryć słabość.

— *Vanuhii* to po prostu drzewo. Drzewa. Te, którym służą Czarne Wiedźmy. Najważniejsze na świecie. Zobaczysz je w Dolinie.

— Drzewa? — Nie wiedzieć czemu, Altsin spodziewał się jednego drzewa, olbrzymiego i majestatycznego, najlepiej o złotej korze i srebrnych liściach, wokół którego snują się kapłanki ubrane w powłóczyste szaty.

— Zobaczysz.

Wiedźma ucięła rozmowę i przez długi czas patrzyła tylko w wodę. Płynęli ze stałą prędkością, Altsin, obserwując gałązki mijające burtę, ocenił ją na jakieś pięć węzłów, więc powinni znaleźć się na drugim brzegu w mniej niż dwie godziny. Z tego, co słyszał, jezioro miało około dziesięciu mil średnicy, zasilała je Maluaryna, wpływająca do niego ze wschodu, a wypływająca zeń na południowo-zachodnim krańcu. Ale tu, pośrodku toni, gdy jeden brzeg znikał im z oczu, a drugi był ledwo sugestią cienia na horyzoncie, nie czuło się ani prądu rzeki, ani jej siły. Odetchnął. Dobrze odpocząć na chwilę przed…

Wolał nie dociekać, co czeka go w Dolinie.

Do tej pory specjalnie nie zastanawiał się nad tym, co wydarzyło się na zamku. Od chwili, gdy stara wiedźma oznajmiła mu wolę plemiennego boga, od krótkiego, zdawkowego pożegnania z Domahem i Naywirem, którego nieśmiałe protesty w łamanym seehijskim zignorowano, nie znalazł chwili, by się zastanowić. Obaj braciszkowie powinni wrócić do Kamany morzem i Altsin miał nadzieję, że sobie poradzą z żeglugą. Jedno wydawało się pewne: prośba Ouma nie była prośbą, którą można zignorować, a dług, jaki miał wobec mnichów ojciec Ynao, nic w tym przypadku nie znaczył. Co więcej, wojownicy Małej Pięści towarzyszyli im w pierwszym etapie podróży, a Altsin zdawał sobie sprawę z ich intencji. Oum kazał mu się stawić, więc zostanie dostarczony na miejsce.

Nie sprzeciwiał się. Po pierwsze nie miał wyboru, opowiastki o herosie wyrąbującym sobie drogę przez setki wrogów były dobre dla kiepskich poetów. A po drugie nie zamierzał budzić z uśpienia swojego gościa, bo ten mógłby chcieć chronić swoje… naczynie. Złodziej uśmiechnął się ironicznie do tej myśli. Jawynder ostrzegał go przed takimi sytuacjami. Każda chwila, gdy Reagwyr budził się z drzemki, by ratować mu skórę, sprawiała, że następnym razem łatwiej przejmował kontrolę. A to oznaczało, że któregoś dnia złodziej straci nad sobą panowanie i będzie po wszystkim. I nie miało znaczenia, czy stanie się więźniem własnego ciała, niezdolnym do niczego więcej niż niemego krzyku, czy rozpuści się w boskiej duszy, zatracając własne ja. Na razie stawiał opór, czego efektem były opuchnięte stawy i sińce, i chyba tylko obawa przed zniszczeniem ciała powstrzymywała Reagwyra od zdecydowanego ataku. Oraz to, że przez większość czasu ukrywał się, tkwiąc w letargu. Samotny kawałek boskiej duszy, bez sług pełniących rolę naczyń do szybkiej ucieczki, bez armii śmiertelników gotowych poddać się Objęciu i walczyć do ostatniego oddechu, był tylko zwierzyną łowną dla różnych potęg. Dobrze byłoby mieć własnych wyznawców, świątynię i braci w…

Stop. Uśmiechnął się w przestrzeń i zaklął pod nosem, ale bez szczególnej złości. Ta myśl była tak oczywista i prosta, że nie mogła stanowić wstępu do żadnego podstępnego przejęcia. Ot, po prostu pozwalając umysłowi błądzić, natknął się na odprysk boskich marzeń. Zdarza się. Zresztą każdemu wolno marzyć, bogom też. Nie zamierzał tracić sił na bezsensowny gniew.

Bo teraz najważniejsze było to, co przed nim. Dolina Dhawii i tkwiąca w niej Obecność. Wyczuwał ją, była tam, coraz intensywniejsza i mocniejsza. Gdy skupiał się na kierunku, w którym płynęli, miał wrażenie, że powietrze jest tam gęstsze i jakby bardziej zamglone. Cholera. Przypływając na Amonerię, chciał się spotkać z Aonel, córką wiedźmy, która go wpakowała w tę sytuację; miał nadzieję, że będzie chciała i będzie mogła mu pomóc. Seehijskie wiedźmy uchodziły za potężne czarownice, władające nie tylko magią aspektowaną, ale i innymi pierwotnymi potęgami. Jeśli ona nie potrafiłaby mu pomóc, to nikt inny też nie da rady.

Chyba że miejscowy plemienny bóg, do którego właśnie zmierzali.

Dwie potęgi i tkwiący między nimi śmiertelnik.

Może być… zabawnie.

— Kim jesteś?

Pytanie wdarło się w ciąg jego myśli z subtelnością ostrza znajdującego drogę w głąb ciała. Jednak właściwie Altsin był starej wiedźmie wdzięczny, bo te myśli prowadziły go na skraj otchłani.

— Kim jestem?

Gualara skinęła głową i nagle dostrzegł, co się w niej zmieniło. Straciła wygląd stojącej nad grobem staruszki, teraz przypominała kłąb napiętych rzemieni. Takich przytrzymujących ramiona balisty.

Patrząc jej w oczy, zrozumiał, że podjęła decyzję i nic jej nie zmieni. Seehijczycy słynęli z bezwzględnej wierności względem swojego klanu i plemienia. A ona, co właśnie do niego dotarło, sama przyznała, że wielokrotnie odwiedzała sanktuarium miejscowego bożka. Miała też posłuch i władzę nawet nad Czarną Wiedźmą. Ktoś taki musi posiadać… inną skalę lojalności.

— Sierotą, złodziejem, oszustem, marynarzem, wędrownym nauczycielem, drwalem, mnichem i sam już nie pamiętam kim. A ty?

— To zła odpowiedź. — Wydawało się, że rzemienie, z których była zrobiona, zatrzeszczały. — Nieprawdziwa.

— Prawdziwa. Ale nie taka, jakiej się spodziewałaś. Czy mam skłamać, żebyś się poczuła usatysfakcjonowana?

Mierzył ją wzrokiem. Kobieta siedziała na rufie, on na dziobie, oddzielała ich jedna ławka, mniej niż sześć stóp. Nie użyje magii, nie po tym, co pokazał, ale jej dłoń sięgała gdzieś za pazuchę w głębiny szaroburej szaty. Sztylet. Proste ostrze, osiem cali długości, w chwili ataku przerzuci go do lewej ręki. Teraz.

— Nie! On cię zabije!

Nie wiedział, co zadziałało, jego gest, ręce wyrzucone w przód czy sposób, w jaki wypluł z siebie te słowa, ale zamarła w pół ruchu, pochylona w dziwny sposób, niemal spadając z ławki. I zaraz nadeszła odpowiedź, coś w rodzaju gwałtownego szamotania w środku, jakby dziesięć tysięcy serc zabiło w nim jednocześnie, zawrót głowy i szybki, gwałtowny skurcz szarpiący przeponą. Smak krwi w ustach. Zaklął, splunął ognistą czerwienią i uderzył z całej siły krawędzią dłoni w burtę. Ból eksplodował, obejmując całe przedramię; uderzył jeszcze raz w to samo miejsce, mrowienie pomknęło w górę, objęło bark, zamachnął się…

Starcza dłoń złapała go za rękę, przytrzymała. Oczy wiedźmy nie przypominały już studni wypełnionych śmiercią.

— Połamiesz kości. — Jej chwyt miał siłę imadła. — A pogruchotana dłoń zawsze trudno się goi.

Puściła go powoli i usiadła na swoim miejscu. Poprawiła szatę.

— Jestem Gualara Erwos z klanu Udruich plemienia Uwerunków Białych — zaczęła spokojnie, jakby przed chwilą dopiero co się spotkali. — Od siedemdziesięciu lat jestem wiedźmą. Gdy stoję przed plemieniem, służę Udruim, gdy stoję przed radą plemion, służę Uwerunkom, gdy stoję przed całą wyspą, służę południu, gdy stoję przed światem, Seehijczycy są moimi panami.

Zatoczyła ręką dookoła.

— To moja wyspa, mój naród, moje plemię i klan. W takiej kolejności. Wiem, że walki między rodami nie mają znaczenia wobec walk klanowych, te muszą ustąpić wobec starć plemion, które są niczym, gdy północ ściera się z południem. A wszystko to znika, gdy rozlega się wezwanie do *kameluuri*, bo wróg depcze naszą ziemię.

Altsin odchrząknął.

— Twoja wyspa — słowa wychodziły opornie z puchnącego gwałtownie gardła — i twój bóg.

— Tak. Mój bóg. Stary, zmęczony… — W oczach wiedźmy pojawiło się coś, co Altsin dostrzegł po raz pierwszy. Miłość. — I umierający. Ostatnie wezwanie do *kameluuri* prawie wyczerpało jego moc. Jest z nami od początku, ocalił nas od śmierci i dał wszystko, co mógł. I nigdy nie zawiódł, choć my łamaliśmy wszystkie przysięgi i obietnice. Sądzisz, że nasze honorowe wojny, wendety, rajdy *ka'hoon*, ciągnące się pokoleniami zemsty to tysiącletnia tradycja? To szaleństwo ma mniej niż dwieście lat. Tyle tylko wystarczy, by durnie uznali chwilową aberrację za odwieczne, nienaruszalne prawo. Nikt nie wie, od czego się zaczęło, który przeklęty przez Niebiosa głupiec pierwszy uznał, że jego osobisty honor i honor plemienia to jedno. Ale to już bez znaczenia. Bo Oum stracił siły, by nas poprowadzić, a jego Moc z każdym pokoleniem słabnie.

— Pokoleniem?

— Bogowie długo umierają. Kiedyś słowo Ouma docierało do każdego zakątka wyspy, dziś ledwo je słychać w Dolinie Dhawii. Wszystko się zmienia. Prawa plemienne wyrastają ponad boskie, Czarne Wiedźmy muszą

opierać swoją władzę na strachu i uzbrojonych po zęby osiłkach, a rady klanów coraz mocniej podważają władzę Doliny, traktując Ouma tak jak wy, na kontynencie, traktujecie swoich bogów, odległych i niedostępnych. W czasie ostatniego najazdu musieliśmy sprowadzić najbardziej zacietrzewionych wodzów przed jego oblicze, żeby uzyskać ich zgodę — słowo zasyczało w powietrzu — na *kameluuri*. Pięćset lat temu wystarczyłby jeden jego gest.

Altsin skupiał się na słowach wiedźmy, usiłując zapomnieć o bólu zmaltretowanej dłoni. Prawie mu się udało.

— Dlatego… — zaczął z wysiłkiem — … Czarne Wiedźmy handlują z Ar-Mittar? To znaczy bez pośrednictwa Kamany. Bo wola waszego boga osłabła? Jeśli miasto się dowie, że łamią umowy, wpadnie w furię.

Gualara uniosła brwi.

— Już wspomniałeś, że coś spostrzegłeś w czasie uczty. — Uśmiechnęła się powściągliwie. — Obserwowałam cię, gdy weszła Euruvi, i widziałam zdumienie na twojej twarzy. Szybko starte, ale jednak. Jak się domyśliłeś?

— Nie odpowiedziałaś na pytanie.

— Racja. Szykują się na wojnę. O sukcesję. Gdy on… odejdzie, a niektóre z nich sądzą, że to już niedługo, będą chciały siłą narzucić swoją władzę reszcie wyspy. Och, zapewne ogłoszą, że Oum udał się do swojego królestwa, znajdującego się w innym miejscu Wszechrzeczy, a im powierzył rolę przewodniczek i opiekunek Seehijczyków. Założą świątynię albo zakon, ogłoszą się kapłankami i zaczną rządzić.

— Taka świątynia nie utrzymałaby się zbyt długo.

— Jesteś pewien? Religia, której bóg jest tylko czczym wymysłem, a nie Obecnością, taką, która może się w każdej chwili pochylić i zerknąć na ręce swoich kapłanów… Zapewniam cię, że miałaby się doskonale. Rządziłaby światem. Ale zanim do tego dojdzie, moje siostry poszukują sojuszników wśród klanów i plemion, które nie są zbyt bogate i silne, więc ich niezadowolenie czy też poczucie krzywdy da się łatwo przekuć w ostrze i skierować na bogatych sąsiadów. Tylko że ubodzy sprzymierzeńcy nie wystawią dobrze zaopatrzonej armii, więc trzeba ich dozbroić.

Stara wiedźma zatarła ręce, wywołując dźwięk, jakby dwa węże usiłowały zrzucić skórę i ocierały się o siebie.

— Moje siostry — dodała, a słowo „siostry” ociekało jadem — nie mogą kupować broni za pośrednictwem Kamany, bo wodzowie ważniej-

szych plemion szybko by się o tym dowiedzieli.

— Sami robicie dobrą broń.

— Tak. Ale w Dolinie ogień nie jest mile widziany, a jak bez niego wytapiać stal? Zresztą jeśli ubogie klany nagle zaczną kuć tysiące mieczy i toporów, ktoś też zada sobie pytanie, skąd mają pieniądze na metal, nowe kowadła i narzędzia. Nie. One starają się działać cicho i dyskretnie. Oczywiście to tylko plotki, bo na razie nikt ich nie złapał z… hm, u nas powiedzieliby z głową na włóczni, na pamiątkę pewnych niemal już zapomnianych wojennych zwyczajów. Ale pogłoski o tym, że Dolina się zbroi, pełzają po lesie od lat. Jednak na razie nikt nie ma na to dowodów — jej głos wypełnił lód. — Więc zapytam jeszcze raz, skąd wiesz, że przemycają broń?

Ból dłoni przeszedł w tępe pulsowanie. Irytujące i niepozwalające się skupić.

— Nie spodziewasz się, że wyjdę z waszej Doliny żywy, prawda? — Złodziej spojrzał Gualarze w oczy, szukając potwierdzenia swoich podejrzeń. — Ofiarowujesz szczerość trupowi i jednocześnie próbujesz wyciągnąć ze mnie informacje.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, czy zginiesz, czy nie. Oum zdecyduje. Jeśli każe cię zabić, będziemy z tobą walczyć. Jeśli każe uwolnić, wypuścimy. Jego wola będzie najważniejsza. Jak się domyśliłeś, że kupują broń z zewnątrz? — powtórzyła. — Wiem, że wpadłeś na to już w zamku.

— Psi pysk na głowicach tasaków. To znak cechowy jednej z mittarskich gildii płatnerskich. Znam tę gildię z Ponkee-Laa i wiem, że nie ma w Kamanie swojego przedstawiciela. A żaden z miejscowych rzemieślników nie podrabia ich rękojeści, słyszałbym o tym. Więc to broń z przemytu. Poza tym galera, która porwała tę dziewczynę, Ynao, płynęła wokół wyspy dwa razy dłużej, niż powinna. To znaczy, że zatrzymywała się po drodze, żeby wyładować towar. Najpewniej, by uniknąć nieproszonych świadków, spotkała się na pełnym morzu z kilkoma łodziami, na które przeniesiono ładunek. Ja bym tak zrobił.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak myślałam. Trudno nam udowodnić, że nasze siostry łamią umowę z Kamaną, ale to powinno pomóc. Jest wielu ludzi, których poważ-

nie zaniepokoi potwierdzenie tych plotek. Zresztą od wielu lat działalność moich sióstr z Doliny mocno ich drażni. Zwłaszcza…

— … że do tego też trzeba pieniędzy. I stąd naciski na wodzów takich jak ojciec Ynao, by pozwolili zakładać kopalnie na swojej ziemi.

— Tak. — Uniosła brwi, a jej czoło popękało szczelinami niczym powierzchnia wyschniętego bajora. — Skończyłeś się już popisywać spostrzegawczością? To głupie. Nigdy nie zdradzaj, jak jesteś bystry, komuś, kto być może będzie chciał cię zabić.

Westchnął.

— Mam przeczucie, że nie będziemy walczyć. W każdym razie nie dzisiaj. Ale nie chcę o tym myśleć, bo mój tyłek skarży się na siodło, a ręka boli jak cholera. — Obejrzał się przez ramię. Brzeg, ku któremu się kierowali, rósł w oczach. Przykrywający go płaszcz puszczy przeglądał się już w tafli jeziora. — Wkrótce nasza przejażdżka się skończy.

Nie odpowiedziała i na dłuższy czas zapadła cisza. Złodziej obserwował brzeg, którego lewa strona wyraźnie wznosiła się coraz bardziej. Szczyty drzew porastające wzniesienie tonęły we mgle. Za nimi musiała się znajdować Dolina Dhawii.

Złodziej powiedział prawdę, był obolały i zmęczony. Ale też czuł przede wszystkim olbrzymie, wszechogarniające znużenie. Miał już dość uciekania, uników, bezustannego bicia się z własnymi myślami. Wiecznej niepewności, czy jakieś uczucie, skojarzenie lub myśl jest jego, czy nie. Gdzie kończy się Altsin Awendeh, a zaczyna Bitewna Pięść Reagwyra. Ogarnęła go mieszanina niepokoju, ciekawości i… radości. Cokolwiek go tam czekało, istniała szansa, że jego kłopoty z tym półboskim sukinsynem wkrótce się skończą.

W ten czy inny sposób.

Skrzywił się i odwrócił do wiedźmy. Takie na wpół samobójcze rozważania do niczego nie prowadziły.

— Zamierzasz im przeszkodzić? Twoim… siostrom? — Włożył w ostatnie słowo tyle ironii, ile mógł, w nagrodę dostając coś na kształt uśmiechu.

— Zapolujemy na tę galerę. Następnym razem, gdy będzie czekać z dala od brzegu, przypłyną inne łodzie niż te, których się spodziewa. Zadbam o to.

Westchnął. Wielowiekowe doświadczenie i dziecięca naiwność. Jak taka mieszanka może się mieścić w jednym ciele.

— Ona już tu nie przypłynie. „Czarna Mewa”. Po tym jak znaleźliśmy Ynao, mittarski kapitan wie, że jego okręt jest spalony, a jeśli jeszcze nie wie, wiedźmy z Doliny go uprzedzą. Ta galera zmieni nazwę, symbol na żaglu, a może i właściciela, i zacznie pływać do innych portów. Chcesz się założyć, że nie ujrzycie już czarnego ptaka w pobliżu wyspy? Za to z bronią przypłyną inne galery, a jak masz zamiar odróżnić przemytnika od uczciwego kupca? Przez Amonerię wiedzie jeden ze szlaków na Dalekie Południe, wiele statków zatrzymuje się przy ujściu Maluaryny, żeby uzupełnić zapas słodkiej wody. Jeśli zaczniecie atakować każdy, który znajdzie się w pobliżu wyspy, źle się to skończy. Chcesz zacząć wojnę morską z resztą świata?

Gualara wpatrywała się w niego oczyma jak kawałki nieba uwięzione w skalnych szczelinach. Milczała.

— Mogę się jeszcze trochę powymądrzać? — zapytał. — Może ostatni raz, zanim będziemy walczyć.

Udało mu się wywołać blady uśmiech na jej twarzy.

— Mów. Może ostatni raz.

— Dajcie znać Radzie Kamany. Dyskretnie. Zdobądź jeden z tych tasaków na dowód i pokaż im. Możesz ich nawet oskarżyć o maczanie w tym palców, łamanie umów i postraszyć blokadą miasta. To zadziała. Kamana ma flotę statków patrolowych, ma szpiegów na kontynencie, także w Ar-Mittar, ma dość pieniędzy, by przekupić piratów. Nim upłynie miesiąc, statki przemytników zaczną tonąć, a wieść o tym rozejdzie się po wszystkich portach wybrzeża i nawet najbardziej zdesperowany kapitan nie podejmie się pracy dla Czarnych Wiedźm. Odetnij je od kontynentu rękoma Kamany.

Skinęła głową, lekko, ale wyraźnie.

— Przemyślę to, chłopcze. Twoja rada brzmi mądrze, więc trzeba ją rozważyć. A teraz — wskazała brzeg — szykuj się. Czekają na nas.

Interludium

Dała mu papier i kilka węglowych rysików różnej grubości. Siadła obok i kazała malować.

Z początku szło opornie, kreski były grube, nierówne i koślawe. To, co miał w głowie, obrazy wyciągnięte z pamięci, nie chciało zaistnieć na papierze.

— Nie walcz z tym — szeptała mu do ucha, sięgając i delikatnie prowadząc jego dłoń. — Nie próbuj od razu namalować wszystkiego. Niech całość wyłania się stopniowo. Jeszcze raz.

Więc Yatech szkicował. Komnatę z kręgiem kamiennych tronów, widok na miasto z wieży, czarny miecz tkwiący w kamieniu. To były kiepskie rysunki, nieporadne i uproszczone jak dziecięce bazgroły, ale ona się nie zrażała. Mięła zmarnowane kartki i ciskała je w kąt.

— Jeszcze raz. Myśl o tych miejscach. Skup się na nich. Niech ci odżyją w pamięci. Zacznij od krawędzi, od tła, ono też jest ważne, niech wciągnie cię w głąb i uwypukli szczegóły.

Pozwolił dłoni z rysikiem zaczerniać papier i zagadnął:

— Dlaczego sama nie rysujesz? Znasz się na tym.

Kątem oka dostrzegł, jak Kanayoness kręci głową.

— Dla mnie rysunki to wrota do miejsc. Ale muszą to być prawdziwe miejsca, osobiście widziane przez malarza, albo miejsca, które widziałam ja sama, już w nich byłam. I muszę dotknąć tego, kto stworzył obraz, porozmawiać z nim, żeby nawiązać więź. Kiedy wybrałam się na Wielkie Zgromadzenie trup teatralnych i zamówiłam rysunki z różnych krain Imperium, musiałam zjawić się tam sama, żeby spotkać ludzi, którzy będą je malować. — Poprawiła lekkim muśnięciem cieniowanie posadzki. — Dzięki temu wiedziałam potem, którzy z nich oszukiwali, malując coś, czego sami nie zobaczyli.

— Co to za różnica? — Udało mu się naszkicować kamienne ściany i podstawy kilku tronów. Na środku dwoma szybkimi ruchami zaznaczył

miejsce, gdzie płonął ogień.

— To były obrazy z ich wyobraźni. Nieistniejące. Cała Moc Wszechrzeczy nie otworzy przejścia do miejsca, którego nie ma. Rozumiesz? Sięgam do miejsc, które są prawdziwe, a ich istnienie zostało potwierdzone, bo ktoś je zobaczył.

Kilkoma kreskami zaznaczył trony, ich siedziska, oparcia, prosty wzór zdobiący podstawy.

— Ale dlaczego sama nie rysujesz?

— Bo nie mogę. Każda droga musi mieć początek i koniec. Ta, którą ja otwieram, to ścieżka między dwoma umysłami. Moim i twórcy rysunku. Gdybym malowała ją sama, to droga ta byłaby najkrótsza z możliwych. — Postukała się palcem w skroń. — Zaczynałaby się i kończyła tutaj.

Domalował resztę tronów, dwoma ruchami podkreślił cienie w kątach.

— Dobrze. — Mała Kana wydawała się zadowolona. — Bardzo dobrze. Masz talent. Ćwicz.

Yatech odsunął nieco kartkę i przyjrzał się uważnie dziełu. Całość wyglądała jak malunek znudzonego dziecka.

— Nie patrz tak. Nie chodzi o wierność szczegółów, lecz o istotę miejsca. — Wskazała na plamę węglowego pyłu, która wyglądała jak postać mężczyzny w płaszczu z kapturem, trzymająca w rękach jakąś tyczkę. — Uchwyciłeś ją. Bierz się do następnego.

Zawahała się.

— Skup się na komnacie z mieczem. Pójdziemy tam. Jutro.

* * *

Wyszli z ciemności w mrok rozjaśniony tylko pochodnią płonącą w uchwycie na ścianie. Trafili dokładnie przed miecz, tam, gdzie byli poprzednio. I tym razem przed mieczem spoczywał mężczyzna.

Ale ten był żywy.

Odwrócił się, wyczuwając ich, i sięgnął po wiszący u pasa sztylet. Yatech uderzył. Przedramię, obojczyk, skroń. W półmroku klingi jego *yphirów* pozostawały niewidoczne, więc mężczyzna musiał mieć wrażenie, że ktoś okłada go magicznymi ciosami.

Cofnął się, otwierając usta do krzyku.

Mała Kana była już za nim, już kopniakiem pod kolano zmuszała go do przyklęku i zasłaniając usta dłonią, nachylała się do ucha.

— Ciiii… Mój towarzysz dostał rozkaz, by uderzać płazem, chyba że nie będzie innego wyjścia. Dzięki temu nie wykrwawiasz się tu teraz na śmierć, a miecz tu uwięziony nie spija twojej krwi i duszy.

Mężczyzna próbował się szarpnąć, ale ostrze przyłożone do gardła uspokoiło go w mgnieniu oka. Yatech przyjrzał mu się dokładnie. Pięćdziesiąt, może więcej lat, drogie ubranie, rysy twarzy widywane na niektórych posągach albo monetach, srebrne włosy opadające falą na kark. Arystokrata z krwi i kości.

— Modliłeś się? Modliłeś się do tego kawałka żelaza, nic niewartego, zapomnianego odpadka, zardzewiałej furtki? Odpowiedz!

Szept Kanayoness przeszedł w warkot.

Mężczyzna nie jęknął ani nie zaczął błagać o życie, tylko mocniej odchylił głowę w tył i spróbował spojrzeć na dziewczynę.

— On jest moim panem — wydyszał. — Jedynym i prawdziwym.

— Naprawdę?

— Tak.

— To tylko marny bożek bez znaczenia, kukła godna pogardy, złodziej dusz. — Mała Kana szarpnęła głową mężczyzny w tył i przez chwilę wydawało się, że zaraz poderżnie mu gardło. — Chcesz za niego umrzeć?

— On jest Bogiem Wojowników, Obrońcą Świata, Niszczycielem Ciemności. No już, zabij mnie, a z radością jeszcze dziś stanę przed jego obliczem.

Puściła szlachcica i cofnęła się w cień pod ścianą. Mężczyzna chwilę tkwił bez ruchu, po czym powoli uniósł dłonie do szyi.

— Hrabia Bendoret Terleach. — Kanayoness stała za jego plecami, a jej głos zdawał się dobiegać ze wszystkich stron naraz. — Ten, który został wybrany. Oświecony, by służyć swojemu panu. Ten, który poprowadzi jego wiernych do zwycięstwa. Twoja wiara i niezłomność okazały się stalowe. Możesz wstać, wybrany. Ze wszystkich ludzi ty jeden jesteś godzien, by być jego naczyniem.

Arystokrata podniósł się z kolan, a na jego twarzy malowało się tyle sprzecznych uczuć, że nie wiadomo było, czy mężczyzna zaraz zapłacze, czy zacznie wzywać pomocy. Och, to jasne, że działo się coś, do czego

mężczyzna tęsknił i o czym marzył od wielu lat. A jednocześnie ta jego część, która była wyrachowanym politykiem, nakazywała mu ostrożność.

Kanayoness podeszła do miecza i oburącz złapała za jego klingę. Nawet w półmroku dało się zauważyć, że hrabia przestał oddychać. Miejsce, gdzie jej dłonie dotykały gigantycznej broni, zdawało się lekko jarzyć.

— On jest z ciebie zadowolony. Bardziej, niż sądzisz. Od wielu wieków czekał na kogoś takiego jak ty. Pamiętasz chwilę, gdy cię uzdrowił? Gdy odepchnął chorobę, której nie potrafili uleczyć najwięksi czarownicy? Postanowił, że do ciebie przyjdzie. Osobiście wyśle kawałek swego ducha, by boże naczynie znów stąpało po ziemi.

— *Awenderi* — w głosie mężczyzny usłyszeli nabożny lęk.

Miała go. Z ciałem i duszą miała go.

— Ale coś się wydarzyło. Coś poszło nie tak, jak miało. Opowiem ci co. I zdradzę, co masz zrobić, by wypełnić wolę Reagwyra.

Rozdział 9

Rankiem Deana wyrwała się z pałacu. Musiała. Odgłosy towarzyszące wprowadzaniu się wybranek Varali do Domu Kobiet napełniały jej kości lodem. Nigdy w życiu nie pragnęła tak bardzo kogoś zabić. Kogokolwiek.

Przestraszona niewolnica towarzyszyła jej aż do wyjścia. Tam Deana odesłała służącą do komnaty, obiecując, że zawiadomi ją zaraz, gdy wróci. Dziewczyna tylko skłoniła się nisko i znikła, tuląc dziecko do piersi.

Miasto nadal żyło wojną w dalekiej, północnej krainie, lecz ona słuchała tych wieści jednym uchem. W tej chwili bardziej interesowało ją znalezienie pierwszej karawany, która wyrusza przez pustynię. Skoro chcą się jej pozbyć z pałacu, ułatwi im to.

Gdy zbliżała się do karawanseraju, drogę zagrodziła jej dziwaczna konstrukcja. Długie na dwanaście stóp pudło niesione przez tuzin muskularnych młodzieńców ubranych tylko w przepaski biodrowe i sandały.

Lektykę postawiono przed nią, a jeden z tragarzy ukłonił się nisko i powiedział:

— Moja królowa ma zaszczyt zaprosić cię do siebie, pani.

Deana powoli puściła rękojeści szabel. Cała scena była nierzeczywista. Stojąca na lwich łapach, rzeźbiona w kwiaty i ptaki lektyka, której wnętrze kryły przed spojrzeniem gęste, muślinowe zasłony. Atletyczni młodzi mężczyźni o skórze natartej pachnącymi olejkami. Zaproszenie wypowiedziane najczystszym meekhem.

Jeśli istniał jakikolwiek sposób, by ją zaciekawić, już jedna z tych rzeczy by wystarczyła. Przynajmniej oderwie myśli od pałacu.

Wewnątrz od razu zrozumiała, czemu do noszenia tego pudła zatrudniono tuzin tragarzy. Na atłasowych poduszkach, tonąc w powodzi śnieżnobiałych jedwabi i koronek, na pół siedziała, na pół leżała największa kobieta, jaką Deana spotkała w życiu. Nie otyła, ale właśnie wielka. Miała czarną jak noc skórę błyszczącą od wonności, wysoko upięte włosy, kształtną szyję i piękną, naprawdę piękną twarz. Wysoko uniesione kości

policzkowe, duże usta, zgrabny nos i oczy, wielkie, migdałowe, wściekle mroczne i dumne. I tylko wzrost psuł ten ideał. Siedem stóp? Może nawet więcej – trudno było to ocenić, ale niewątpliwie gdyby stanęły obok siebie, Deana ledwo sięgnęłaby jej do ramienia.

— Moi przodkowie pochodzą z Ommalen na samym krańcu Równiny Bahijskiej. — Tamta najwyraźniej przywykła do tego, że ludzie mierzą ją zdumionymi spojrzeniami. — Plemię Uawari Nahs znane jest z tego, że tych, którzy mają mniej niż sześć stóp i cztery cale wzrostu, wypędza jako karłów. To lud wojowników i myśliwych, poluje na słonie, *mualaki* i ciężkorogie *gawu*, a równinne lwy są trofeum zdobywanym przez naszych chłopców i dziewczęta przed ukończeniem piętnastego roku życia. Słynie też — dodała z lekkim uśmiechem — z urody swoich kobiet.

Czarna dłoń wysunęła się spomiędzy jedwabi i lekko musnęła rękę Deany.

— Dwa krańce świata spotykają się w jednym miejscu. Córka Północy i córka Południa. — Nieznajoma błysnęła olśniewającym uśmiechem. — Witaj w moim mieście, wojowniczko.

Deana rozsiadła się w przeciwległym krańcu lektyki. Dziwne zaproszenie, obliczone na to, by ją zaintrygować, dziwne powitanie, dziwna sytuacja. Wnętrze zmuszało do zajęcia pozycji półleżącej, niewygodnej do obrony, przesunęła więc pochwy szabel do przodu.

— Za Anaarami i Górami Wrzasku jest jeszcze kawałek świata — odpowiedziała niezobowiązująco.

— To prawda. Czy jednak w twych żyłach nie płynie również krew Meekhanu? Tak słyszałam.

Brzęknęło kryształowo i w rękach kobiety zalśniły dwa rżnięte pucharki wypełnione płynnym światłem.

— Napijesz się ze mną? Za spotkanie Północy z Południem.

Deana przyjęła kielich, nie bardzo wiedząc, jak ta kobieta wyobraża sobie…

Czarna opaska rozwiązała problem.

— Dziwne. U mnie w *afraagrze* to ja byłam dziewczyną z południa.

— Widzisz. Wystarczy przebyć pół świata, by wszystko stanęło na głowie. Nie słyszę, żebyś piła…

— Z nieznajomą? Nie. Wiesz, kim jestem, najwyraźniej znasz moje imię i pochodzenie. Ja nie wiem nic. Przedstaw się.

— Och. Obcesowo i bezpośrednio. Smak północnych gór zamieszkanych przez bezlitosnych, surowych wojowników. Jakie to barbarzyńskie i… podniecające. Tak. To dobre słowo, czuję, że wezmę sobie dziś w nocy dwóch, a może nawet trzech kochanków. A ty?

Zgrzytnęła zębami. Ta kobieta wiedziała zbyt wiele.

— Dzień, którego wartość będę liczyć liczbą mężczyzn między nogami, uświadomi mi, że pora umierać.

— Oj. Złośliwie i wulgarnie. To już smak ulicy… naszej ulicy, z lekką domieszką pałacowego blichtru. Nasiąkłaś Konoweryn, moja droga. Pięknie.

Kobieta skłoniła się lekko, z wdziękiem, przykładając dłoń do serca.

— Jestem Demenaya, Królowa Niewolników i Pierwsza Kapłanka Służki. A ty ocaliłaś życie naszego księcia, za co jestem ci szczególnie wdzięczna. Bez niego zapanowałby chaos.

Deana uchyliła *ekchaar* i pociągnęła wina. Ostatni raz piła takie na grzbiecie książęcego słonia. Najwyraźniej tytuł Królowej Niewolników wiązał się z konkretnymi korzyściami.

— Chaos?

— Chaos. Spadek cen. Ludzie niepewni przyszłości zamieniają majątek na złoto i klejnoty, bo łatwiej ukryć sakiewkę pełną diamentów niż plantację wanilii z dwoma setkami niewolników. Ceny spadają, a tani towar nie jest wiele wart. Starcy, chorzy i dzieci trafiają do kopalń, do przeklętych sztolni wybrukowanych kośćmi niewolników, młodzi mężczyźni zostają kochankami morza, wiosłując na galerach, póki serca nie popękają im z wysiłku, kobiety… różnie. Dla *auwini* i *kaihów* chaos to śmierć lub gorzej niż śmierć.

— A dla *amri*?

— *Amri* są cenni jak… rasowe konie. Trafiają na targi niewolników w ostateczności, lecz chaos może dosięgnąć nawet ich.

— A ty? Czyją właściwie jesteś królową?

Demenaya zamarła z kielichem uniesionym ku wargom.

— A czy meekhański cesarz jest władcą tylko szlachty? Albo tylko kupców? Brudni i popielni są pod moją opieką tak samo jak domowi. Jeżeli moja opieka cokolwiek znaczy dla ludzi, którzy są rzeczami.

— Człowiek nie jest rzeczą…

— Wy, Issarowie, nie macie niewolników ani nimi nie handlujecie…

— … dopóki ktoś sam nie wybierze tej roli — dokończyła Deana.

Na usta czarnej kobiety wypłynął pogardliwy, zimny uśmiech.

— No. Mądrość ludu, który wychowuje swoje dzieci do walki, odkąd tylko nauczą się samodzielnie chodzić, i dla którego śmierć, jak słyszałam, jest tylko odpoczynkiem od trudów i znojów życia. Jeśli to prawda, co mówią o waszych górach i pustyni, to nic dziwnego, że witacie ją z radością.

Zakręciła winem w krysztale, jakimś cudem nie roniąc ani kropli.

— Spróbuj urodzić się w następnym życiu jako zwykła chłopka albo pasterka mieszkająca na pograniczu pustyni. Niech handlarze ludzi porwą cię i zawiozą setki, tysiące mil od domu, do świata, którego nie znasz. Ani języka, ani obyczajów, ani praw. Po drodze inni niewolnicy nauczą cię, że nie ma czegoś takiego jak wspólnota pokrzywdzonych, mężczyźni będą cię gwałcić, kobiety wyrwą ci ostatni kęs chleba ze słabnących palców. — W miarę jak mówiła, coś dziwnego działo się z jej twarzą, pojawiające się bruzdy i zmarszczki dodawały jej lat, usta zwężały się, skrzywione w gorzkim grymasie. — A gdy wreszcie trafisz do miejsca przeznaczenia, tysiąc, dwa, trzy tysiące mil od domu, bez rodziny i przyjaciół, to zanim nauczysz się języka i opanujesz podstawowe obyczaje swoich nowych panów, masz już potomstwo, jeśli dopisze ci szczęście z jednym mężczyzną, tego mężczyznę za męża, własny kąt, obowiązki, które musisz wykonywać, dzieci, którymi musisz się zajmować, licząc, że za dobrą i wierną pracę twój pan ich nie sprzeda. Albo przynajmniej nie sprzeda wszystkich. I już. Nie uciekniesz, zabierając ze sobą dzieci, nie zostawisz ich na pastwę losu, twój mężczyzna, jeśli jest prawdziwym mężczyzną, nie ucieknie sam, porzuciwszy rodzinę, bo zwyczajową karą jest sprzedanie żony i dzieci uciekiniera do kopalni. Spróbuj wtedy coś wybrać.

Wino ostatni raz zatańczyło na ściankach kielicha i znikło w ustach Demenayi.

— Na większości plantacji właściciele pozwalają niewolnikom na zakładanie rodzin albo wręcz to nakazują, bo takie kajdany są lepsze od żelaznych. I zapewniam cię, że to nie moja historia, ja urodziłam się już jako dziecko niewolnicy, lecz wysłuchałam zbyt wielu takich opowieści, by nie parsknąć pogardliwie nad mądrościami dzikusów, którzy wyobrażają sobie świat jako czarno-białą mozaikę.

Milczenie zapadło między nimi jak ciężka, wełniana kotara.

— Niewiele wiesz o Issaram, prawda?

— Więcej niż ty o niewolnikach.

— Nie będę się kłócić. — Deana dopiła swoje wino i poprawiła *ekchaar*. — Możesz zdjąć opaskę.

Spod materiału błysnęło wściekłe spojrzenie. Nie przejęła się nim.

— Po co mnie właściwie zaprosiłaś? — zapytała spokojnie.

— Żeby ci pokazać… kilka rzeczy. Jeśli masz czas.

Czy ma czas? To albo powrót do pałacu. Parsknęła krótko i machnęła ręką. Pokazuj.

Demenaya wystukała na ściance lektyki szybki rytm. Dwanaście par silnych rąk uniosło rzeźbione pudło i ruszyły.

Przez kilka długich chwil milczały i gdy Deana była już przekonana, że milczenie wypełni im całą podróż, królowa przyciągnęła jej uwagę ciężkim westchnieniem.

— Przepraszam. Nie powinnam tak traktować gościa. — Wyciągnęła obie dłonie w jej stronę i powolnym ruchem złożyła na własnej piersi, skłaniając formalnie głowę. — Przyjmij przeprosiny i nie miej żalu, bo smutek i ból przemawiały przeze mnie.

Nawet największy cynik nie dopatrzyłby się w tym śladu kpiny.

— Twoje słowa… o tym, że człowiek sam wybiera rolę niewolnika… rzeczy. — Dłonie Demenayi zacisnęły się w pięści. — To ulubione twierdzenie wszystkich właścicieli, handlarzy i łowców. Nie ma co ich żałować, skoro wybrali taki los. Są od nas gorsi, głupsi, mają mniej charakteru, są po prostu przedmiotami obdarzonymi mową. Właściwie powinni być nam wdzięczni. Skoro pozwolili założyć sobie kajdany, widocznie sami tego chcieli. Nadają się tylko do prostych, ciężkich prac, wypluwania płuc w kopalniach, gnicia żywcem na bagnach, umierania pod ciężarem worów z przyprawami, mordowania się na arenach ku uciesze gawiedzi.

Deanie stanęła przed oczami twarz herszta porywaczy.

— Więc to prawda? Każą ludziom walczyć dla zabawy?

— Nie wiedziałaś? Ojciec naszego księcia zakazał organizowania walk niewolników, jedyna dobra rzecz, jaką udało mu się zrobić. To było tuż przed wielką wojną między Meekhanem a koczownikami, wtedy w samym mieście mieliśmy przynajmniej sześć aren, gdzie co kilka dni młodzi mężczyźni walczyli z dzikimi zwierzętami, bestiami schwytanymi na pograniczu Uroczysk, albo między sobą. Kamewas Czwarty zakazał tego, i dzięki

niech będą bogom, bo gdy zaczął się napływ tanich niewolników z północy, areny wypełniłyby się krwią po pierwsze rzędy siedzeń. Tani… towar byłby łatwy do zastąpienia.

Usta Królowej Niewolników zacisnęły się w wąską kreskę.

— Dziś już nie wolno uczyć niewolników posługiwania się bronią. Ale są tacy, którzy ich szkolą, by sprzedawać później za granicę. A książęcy urzędnicy nie robią nic, by to ukrócić. Niektóre plotki mówią nawet o walkach organizowanych w księstwie, specjalnie dla bogatej szlachty i znudzonych kupców. Umiejący walczyć niewolnik jest wart dwadzieścia, trzydzieści razy tyle, co dobry rzemieślnik.

— A niewolnik z plemienia Issaram?

Uśmiech czarnoskórej kobiety stał się gorzki.

— Więc wiesz? Chciwość ocaliła ci życie, chciwość, głupota i żądza sławy, bo nawet łowcy niewolników pragną być podziwiani, a ten, który przywiózłby z północy żywą issarską wojowniczkę, mógłby się tym chełpić przez lata.

— Teraz chełpi się tym przed obliczem Matki.

Demenaya przymknęła oczy.

— Czy kamieniem będę, czy liściem, głazem, czy źdźbłem trawy, bądź gotowa na przyjście, gdy stanę przed Tobą nagi — wyrecytowała. Wierszowi towarzyszyło łagodne spojrzenie. — Wybacz kiepskie tłumaczenie, to fragment *Pieśni pożegnania*. Mało znanego i raczej drugorzędnego poematu, ale mój mąż miał do niego słabość. Opowiada on o tym, że każdy, król, wojownik, kapłan i żebrak, staje przed Matką nagi, a zasługi, jakie sobie przypisuje w tym życiu, nie mają dla niej większego znaczenia, bo widzi ich na wskroś. Choć niektórzy nadają tym słowom jeszcze inne znaczenie… Mówią, że człowiek może być liściem, niesionym przez wiatr, lub kamieniem, który opiera się żywiołom i sam kształtuje swój los. Lecz póki żyją, moi poddani nie mają takiego przywileju, a nazywanie ich „rzeczami obdarzonymi mową” przychodzi ich właścicielom bez trudu. Słyszałam to tysiące razy. Zapraszają mnie na różne uroczystości, Królowa Niewolników, kapłanka ich bogini, Służki, ta, która rozstrzyga spory między kastami i pilnuje, by niewolni znali swoje miejsce. Czarna olbrzymka, urodzona jako jedna z nich i wyniesiona do godności poprzez służbę przy świątyni. Coś w rodzaju…

— Mamy Bo? Białej słonicy prowadzonej w pochodzie dwa razy do roku?

W czarnych oczach pojawiło się rozbawienie.

— Tak. Właśnie tak. Ktoś opowiedział ci kawałek naszej historii?

— Byłam w Bibliotece.

— O tak, tam się pamięta, choć wiedza, z której nie robi się użytku, jest mniej warta niż łzy krokodyla. Tysiąc lat temu Białym Konoweryn władała Wielka Matka, którą wy zwiecie Baelta'Mathran. Jej wcieleniem była Biała Słonica. A teraz? Biała Słonica stała się wierzchowcem Agara, a Pramatka – Służką. Niewolni nie są godni czcić Agara, chyba że zostaną Wyniesieni do jednego z Rodów Wojny, a wtedy najlepsi z nich mogą wykupić swoje rodziny i zabrać je do *ahyry*. Ich ojcowie i bracia pracują tam do śmierci, a siostry stają się żonami lub nałożnicami oficerów. Trzy kasty niewolników, pilnujące jedna drugiej, i armia wyrosła z ich szeregów, stawiająca im okutą żelazem stopę na karku. Oto siła, na której wyrosła potęga Białego Konoweryn. Piękne, prawda?

— Wszystko ma swój początek i kres — mruknęła Deana, żeby tylko coś powiedzieć.

— Tak. Początek i kres. Mówienie banałów również powinno je mieć, ale obawiam się, że z tej rozrywki ludzie nigdy nie zrezygnują. Jaki może być kres niewolnictwa, które trwa tu od dwunastu wieków? Bunt? Bunty wybuchają od czasu do czasu, zwłaszcza wśród brudnych i popielnych. Drewniane motyki, noże, widły i siekiery przeciw kolczugom, łukom, szablom i toporom Rodów Wojny. O tak… Bunt to piękna sprawa, zawsze po nim ceny niewolników idą w górę i zawsze znajdzie się kilka kupieckich rodzin, które skupują wcześniej młodych mężczyzn i kobiety, by gdy tylko deszcze zmyją krew do rynsztoków, zarobić krocie. Świątynia Służki od wielu lat obserwuje ten proceder.

Deana odwróciła twarz do okna, by nie patrzeć na wściekle gniewne oczy Demenayi. Ludzie, którzy mają w sobie tyle gniewu, bywają nieobliczalni.

— Bunty są… planowane?

— Ich spora część. Rolą Rodu Trzciny zawsze była kontrola nad niewolnikami. Mają swoich szpiegów na każdej plantacji, w każdej tkalni jedwabiu i kopalni, w manufakturach. Nie wszyscy służą w polu, jako żołnierze, część Trzcin zatacza koło, wyrośli z niewolników i wracają w ich szeregi,

by szpiegować i kontrolować. Sprzedaje się ich na targach albo dołącza jeszcze wcześniej do niewolniczych karawan, by inni ich zaakceptowali. Taka jest rola Trzcin. Potem, gdy uznają, że trzeba oczyścić jakiś rejon, gdzie gniew obdarzonych mową rzeczy osiągnął stan wrzenia, prowokują powstanie. Czasem większe, czasem mniejsze, i zawsze doskonale przygotowane. Przez nich. Garnizony Słowików i Bawołów stoją pod bronią, większość szlachty wyjeżdża… Kupcy robią zapasy.

— A teraz? Zaczęły się… zakupy?

— Zaczęły się kilka miesięcy temu. Tuż przed tym, jak dokonano zamachu na starszego księcia. Gdyby wtedy wybuchł bunt, wielki bunt, krwawo stłumiony, ceny niewolników poszłyby w górę. A mówimy tu o pieniądzach, które zapełniłyby po brzegi niejeden skarbiec.

— A bunt wybuchłby, ponieważ…?

— Sameres Trzeci, nasz nieodżałowany książę — tym razem to jej gospodyni znalazła coś ciekawego za oknem, bo rozchyliła na cal zasłonę i nie odrywała wzroku od mijanych widoków — miał wizję. Jak wielu Synów Ognia przed nim. Ale on był wystarczająco silny i przebiegły, by ją zrealizować. Był pierwszym księciem od trzystu lat, który zdołał uchwycić trochę prawdziwej władzy, wyrwać jej część Świątyni Ognia, Rodom Wojny i starej arystokracji.

— Interesujące.

— To dziwne. — Demenaya przestała interesować się tym, co było na zewnątrz, i spojrzała na Deanę, ironicznie unosząc brwi. — Mówisz w *suanari*, a jakbym słyszała obcy język. Przysięgłabym bowiem, że zamiast „interesujące”, powiedziałaś „Nic mnie to nie obchodzi, ale gadaj sobie, jeśli musisz”. Synowie Ognia od wielu wieków nie byli niczym innym niż figurantami, wyniesionymi na tron przez Rody Wojny i Świątynię Ognia. Lecz Sameres mógł sobie pozwolić na niebezpieczną grę, bo wraz z bratem byli ostatnimi przedstawicielami linii szczycącej się najczystszą Krwią Agara. To dlatego żaden z nich nie ma jeszcze potomstwa, nie udało się znaleźć kobiety wystarczająco spokrewnionej z *awenderi* boga, by ich dziecko mogło wejść do Oka. Druga, prawie tak samo czysta linia znajduje się jedynie w Kambehii, zachowana chyba tylko dzięki kazirodczym związkom, a jej książątko Obrar, który miał czelność przyjąć przydomek Płomienny, domaga się próby w Oku. Nikt ci o tym nie opowiedział, prawda?

— Nie — skłamała.

— Więc teraz rozumiesz, dlaczego tak was witano. I dlaczego pałac zaczął się nagle spieszyć w sprawach… kontynuacji rodu. Gdyby konowerska linia książęca wygasła, inne księstwa zażądałyby osadzenia Obrara na tronie, bo Oko musi mieć władcę. A byłby to pierwszy od stuleci władca nie wybrany przez naszych kapłanów i Rody Wojny, lecz im narzucony. Obrar przywiódłby swoich kapłanów, urzędników, zmieniłby *Af'gemidów*. Może nawet dokonał czystki wśród wyższych oficerów. To dlatego Sameres, na zmianę szantażując, skłócając, rozdając i cofając swoje poparcie dla różnych koterii w Świątyni Ognia i na Dworze, uchwycił wreszcie władzę. I zamierzał ulżyć doli niewolników, wprowadził pierwsze prawa, łagodzące ich los. Na przykład kilka lat temu prawo mówiące o tym, że niewolnik może posiadać własne pieniądze. Wiesz, co to oznacza?

— A powinnam?

Spojrzenie królowej omiotło jej *ekchaar*. Jakby szukało słabego punktu.

— Ktoś, kto ma pieniądze, może je wydawać. A co kupi najpierw niewolnik?

— Wolność, to jasne. Tylko ile czasu upłynie, nim zbierze odpowiednią sumę?

— Wiele. Ale jakąż strawą jest, moja pustynna przyjaciółko, jakąż strawą jest nadzieja… ileż sił dającą. Następne reformy księcia miały być jeszcze odważniejsze. Wśród moich poddanych krążyły najróżniejsze plotki. Jeśli Ród Wojny przyjąłby jakiegoś chłopca do siebie, cała jego rodzina natychmiast byłaby wyzwalana. Niewolników nie wolno byłoby już okaleczać, żadnego wybijania zębów ani obcinania palców u stóp. Za nadmierne okrucieństwo ich właściciele mogliby zostać ukarani. Więc śmierć Sameresa Trzeciego była dla moich poddanych niczym wieść, że wschód słońca nigdy nie nadejdzie. Bunt wisiał na włosku, a ci, którzy kupili wielu młodych niewolników, sprzedaliby ich z olbrzymim zyskiem.

Deana szczerze żałowała, że ta kobieta i tak nie zrozumie jej gestu złośliwego rozbawienia.

— A czy komuś… — zaczęła powoli — … twojej świątyni na przykład, przyszło na myśl, że plotki o książęcych planach rozpuszczają ci sami ludzie, którzy kupili tych wszystkich niewolników?

— Nie. Nigdy — Demenaya zakręciła palcami młynka, kiwając poważnie głową. Potem uśmiechnęła się szeroko. — Źle się rozmawia, jeśli żadna

z nas nie rozumie ironii drugiej, nieprawdaż? Oczywiście, że o tym wiedzieliśmy. My też obserwujemy Trzciny, więc Świątynia Służki i ja zrobiliśmy wszystko, by powstrzymać powstanie. Udało się dzięki cudownemu wydarzeniu.

— To znaczy?

— Nadeszły wieści, że jakaś dzika wojowniczka ocaliła życie Laweneresa i Konoweryn nadal ma władcę z Krwi Ognia. A wszyscy wiedzieli, że Ślepy Książę wspierał swojego brata w każdej jego decyzji.

Przez chwilę patrzyły na siebie, milcząc.

— I nadal to robi?

Królowa Niewolników znów zakręciła młynka palcami.

— Może. Nie zgodził się na oczyszczanie ani na łapanki.

Deana westchnęła cicho, znów pojęcie, które nic jej nie mówiło.

— Oczyszczanie? — zapytała.

— To łagodniejsza wersja buntu. Niewolników jest dużo. Za dużo. Są tani, więc właściciele plantacji kupują ich w nadmiarze. To głupie, bo jeśli do pracy na tysiącu *urów* ziemi potrzeba tylko tysiąca rąk, to trzy tysiące nie wycisną z niej więcej plonów. Więc jeśli jest ich gdzieś zbyt wielu, a ich panowie nie zapewniają im dość pracy, by nie mieli sił na nic więcej niż jedzenie i sen, to zaczynają się organizować. Jak to ludzie. A wtedy Ród Trzciny otacza okolicę, wyłapuje większość, zakuwa w kajdany i wywozi na targi niewolników poza granice księstwa. Właścicielom zostawia się zazwyczaj trzecią część… dobytku. Potem oczywiście dostają nieco pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży reszty, ale niezbyt wiele, bo skoro stracili kontrolę nad swoimi niewolnikami, to sami są sobie winni. Łapanki to podobna sprawa, lecz znacznie gorsza, po prostu Bawoły i Słowiki wpadają na plantację i wiążą, kogo popadnie. Kobiety, dzieci, starców. Potem wszyscy trafiają do książęcych kopalń, a właściciel dostaje odszkodowanie. Na szczęście niewolnicy są na tyle tani, że w kopalniach i tak nie brakuje rąk do pracy, więc od dwudziestu lat nie urządzono żadnej łapanki.

Deana westchnęła cicho. To księstwo było jak węzeł pleciony z setek jadowitych węży. Zdrada, podstęp i okrucieństwo na każdym kroku.

Przypomniała sobie kilka słów rzuconych kiedyś przez Suchiego.

— Podobno Ród Bawołu domaga się prawa do objęciem Wyniesienia *kaihów* — rzuciła.

Czarna olbrzymka drgnęła, zmrużyła oczy. Jej spojrzenie spróbowało przepalić *ekchaar* Deany.

— Skąd ta wieść?

Zawahała się, ale w końcu Suchi nie twierdził, że to tajemnica. Poza tym nic temu wężowi nie była winna.

— Książęcy truciciel mi powiedział.

— Ach, nasz pałacowy bohater. Ten, który ocalił życie Laweneresa, gdy młody książę omal się nie otruł. I nikomu nie wydało się dziwne, że tak szybko i bezbłędnie rozpoznał rodzaj trucizny i akurat miał ze sobą antidotum. Na dodatek od tamtej pory jest prawą ręką i prawym okiem księcia. Co jeszcze mówił?

Nie spodobał jej się ani ton, ani uśmieszek Demenayi.

— Nie pamiętam — rzuciła zimno.

— Wybacz, zapomniałam, że podobno tobie też ocalił życie. To człowiek wielu talentów, niektórzy mówią, że trucicielstwo to tylko jeden z nich. Ale twoja reakcja dowodzi, że to prawdziwa informacja.

Gdyby mogła, Deana zaszyłaby sobie usta. Wyglądało na to, że oddała za nic cenną wieść. W tym gnieździe żmij trzeba ważyć każde słowo i gest.

— Możesz się nie martwić. — Królowa spojrzała na nią cieplej. — Ta wiadomość nie zaszkodzi nikomu w pałacu. Oznacza ona tylko tyle, że ktoś wreszcie zauważył, że Trójkąt Manihiego ma za szeroką podstawę. Ale nie spodziewałam się, że Bawoły pierwsze na to wpadną, ich tępota jest przysłowiowa. Znów nie wiesz, o co mi chodzi, mam rację?

— Masz. Ale już się przyzwyczaiłam do tego, że nie wiem, o co wszystkim dookoła chodzi.

Śmiech Demenayi był wyjątkowo zaraźliwy.

— Wybacz. Przypomniałam sobie, jak sama uczyłam się praw rządzących księstwem, gdy wyznaczono mnie do roli Królowej Niewolników. Zwykłą dziesięcioletnią dziewczynkę, sprzątającą w świątynnej kuchni. Manihi był… — spoważniała. — Nazywają go uczonym, chyba by wywołać wstyd u wszystkich w Bibliotece. Napisał dwie książki, *Pan dobry i niewolnik szczęśliwy* oraz *Miejsce dla każdego*. To było ponad tysiąc lat temu, gdy otworzyło się Oko, a Rody Wojny odbierały władzę Samaidom. To on stworzył Trójkąt Manihiego. — Wyciągnęła jeden palec. — Jeden niewolnik Wyniesiony do Rodu Wojny. — Trzy palce. — Trzech *amrih*, domowych, czterech *auwinih*, do pracy w warsztatach, kuźniach i tkalniach, i pię-

ciu — pokazała pełną dłoń — *kaihów*, brudnych, nietykalnych, do konania w kopalniach, przy karczowania lasów i pracy na polach. Wiesz, co z tego wynika?

Deana ostrożnie skinęła głową.

— *Kaihów* jest mniej niż reszty niewolników.

— Było mniej. To dobry system, niewolnik łatwo mógł spaść w dół, a niesłychanie trudno było mu awansować do wyższej kasty, więc domowi trzymali się z dala od popielnych, a jednocześnie pilnowali ich w zamian za odrobinę władzy, jaką mieli nad *auwinimi*. Ci trzymali się z dala od brudnych, bo ich los, w porównaniu z pracą w kopalni czy harówką przy zbieraniu ziaren pieprzu, był dość dobry. I jednocześnie pilnowali, by *kaihowie* nie narobili kłopotów. Wiesz, że nadzorcami w kopalni i na większości plantacji są właśnie popielni? Uchodzą za sto razy gorszych niż wolni ludzie. Tak. Manihi był swego rodzaju geniuszem, znającym ludzką naturę lepiej niż inni. Zniosę wiele, jeśli wiem, że inni mają się gorzej. Będę pokornym bydlęciem, jeśli tylko mogę nasrać komuś na głowę. Wiesz, ilu wojowników mają Rody Wojny?

Deana wzruszyła ramionami.

— Moja świątynia liczy, że około dwudziestu tysięcy. Osiem tysięcy Słowików i po sześć Bawołów i Trzcin. Dobrze mieć wiernych wyznawców wśród służących w *ahyrach.* Ilu więc powinno być brudnych? — Demenaya pomachała otwartą dłonią. — Jakieś sto tysięcy. A w tej chwili jest ich pięć razy więcej. Z czego połowa to mieszkańcy Imperium schwytani w czasie wojny z koczownikami i przywiezieni tu dwadzieścia lat temu. Albo ich dzieci. Niewielu z nich wróciło na północ, niewielu dostało się poza kastę brudnych. I przez to *kaihowie* są teraz co najmniej trzy razy liczniejsi niż reszta niewolników razem wzięta, a to budzi… niepokój.

— Ród Trzciny nie zorganizował wcześniej żadnego buntu pod kontrolą?

— Od dziesięciu lat nie, i to mnie martwi. Widzę dwa powody. Pierwszy, że Meekhańczycy trzymają się razem i agentom Trzcin trudno jest zdobyć ich zaufanie. Drugi, który napełnia moje serce przerażeniem, jest taki, iż nawet oni boją się, że nie opanują tak licznego powstania. Że jeśli bunt wybuchnie w jakimś miejscu, zacznie się rozlewać od plantacji do plantacji, od tkalni jedwabiu do kopalni złota. Bo połowa *kaihów* urodziła się jako wolni ludzie, i taką opowieść przekazała swoim dzieciom. Są zupełnie inni

niż niewolnicy noszący obroże od wielu pokoleń. Na dodatek większość z nich to matriarchiści, więc budzą pamięć o Baelta'Mathran, która kiedyś władała tutejszymi księstwami. Służka zyskała nową twarz, twarz wielkiej, dumnej bogini Imperium, które podbiło pół świata. Surowej, ale sprawiedliwej matki, narzucającej reszcie bogów posłuszeństwo i kończącej Wojny z Niechcianymi. Wiesz, że do tej pory większość popielnych prawie w ogóle nie kłaniała się Służce? Bo to przede wszystkim spośród nich Rody Wojny wybierały swoich wojowników, więc lepiej było udawać, że pragnie się przejść na Kult Ognia. A teraz…

Słowa Suchiego wróciły do niej echem.

— *Auwini* zaczynają przechodzić na matriarchizm.

— Owszem. I to masowo. Nic dziwnego, że Bawoły chciałyby objąć Wyniesieniem brudnych, to dawałoby niewolnikom nadzieję na poprawę losu i mogło rozbić ich jedność w razie ewentualnego buntu.

— Na to może być za późno. — Deanie wymknęły się te słowa, nim zdążyła ugryźć się w język.

Twarz królowej niewolników skamieniała. Tylko oczy błysnęły jej spod opuszczonych rzęs.

— To kolejna wieść od truciciela?

— Nie. To wieść z północy. Od kogoś, kto wyrósł, mając Meekhańczyków za sąsiadów, którzy jeśli wyznaczą sobie cel, dążą do niego i już. Moja matka poświęciła oczy, by być z ukochanym mężczyzną. Nie spałabym spokojnie, gdybym miała kogoś takiego za wroga.

— Zgadzam się. — Demenaya ledwo dostrzegalnie skinęła głową. — Białe Konoweryn popełniło błąd, gdy chciwość zaślepiła naszą arystokrację i kazała jej kupować tanich meekhańskich niewolników. — Zawahała się. — Chciałabym… żebyś przekazała wieść do pałacu. Od Królowej Niewolników. Powiedz księciu albo trucicielowi, że Ród Trzciny wycofał większość swoich szpiegów z plantacji w południowej części kraju. Niemalże wszystkich. Oraz że Bawoły opróżniły większość garnizonów w tamtym rejonie. Nie wiem, gdzie podziali się ci wojownicy. I jedni, i drudzy Wynoszą więcej *auwinih* i *amrih*, niż pozwala na to prawo. Wiem, że dwór ma szpiegów w mojej Świątyni, i podrzuciłam im te informacje, ale jeśli książę o tym nie wie, to znaczy, że ci ludzie służą dwóm panom, a ja nie mam innego sposobu, by szybko go zawiadomić. Zgodzisz się?

Deana przygryzła wargę.

— Buntu, który może wybuchnąć — Demenaya zdawała się przenikać wzrokiem przez jej *ekchaar* — wszyscy się obawiają. Ale nikt nie robi nic, by mu zapobiec. Wszyscy czekają, nie wiadomo na co… Książę powinien jak najszybciej nadać niewolnikom większe prawa i jednocześnie wysłać Słowiki na prowincję. A także, być może, wezwać *af'gemidów* Bawołów i Trzcin, by zjawili się w mieście i wytłumaczyli swoje postępowanie. Musi to zrobić szybko. Zbliżają się Targi Kwiatów.

— Co to?

— Co kilka lat właściciele z najdalej na południe wysuniętych plantacji wyprzedają nadmiar dzieci. Za cenę zdrowej krowy można kupić dziesięcioro niewolniczych dzieci. — Spojrzenie królowej stało się nieobecne, głos ścichł do ochrypłego szeptu. — Kopalnie złota w Kambehii i innych księstewkach przyjmą ich każdą liczbę.

Czarnoskóra kobieta nalała sobie wina i pociągnęła długi łyk.

— Znasz Meekhańczyków, czy pozwolą sprzedać swoje dzieci?

Deana pokazała jej zaciśnięte pięści.

— Więc widzisz. Książę może i ma swoje obowiązki, może i stadko rozpłodowych samic czeka na niego z niecierpliwością, ale jeśli nie zacznie działać… Do cholery, może i jest ślepy, ale niech nie zachowuje się jak ułomny na umyśle. Przekażesz wieść?

Westchnęła. Nie tego się spodziewała, gdy wychodziła dziś na wycieczkę do miasta. Pajęcza nić miejscowych intryg w końcu ją dosięgła. Tylko że nie miała zamiaru spotykać się z Suchim, a na myśl o Laweneresie coś stawało jej gulą w gardle.

— Niczego ci nie obiecam, póki nie powiesz mi, gdzie jedziemy.

Demenaya uśmiechnęła się tajemniczo.

— Nie chcę ci psuć niespodzianki. Ale zdziwisz się, zapewniam.

Rozdział 10

Czekali na nich. Trzy kobiety i mężczyzna. Kobiety były młodsze, niż Altsin się spodziewał, mniej więcej w jego wieku, za to mężczyzna mógł być dziadkiem ich wszystkich. Złodziej od razu poczuł się ustawiony na właściwym miejscu, bo ta czwórka zignorowała go zgodnie, jakby był zjawą utkaną z mgły przez przypadkowy podmuch wiatru, poświęciła za to całą uwagę jego towarzyszce.

Doszło do wymiany zdań, ostrych, szybkich sztychów utkanych ze słów, w narzeczu, którego Altsin nie znał, po czym ich gospodarze odwrócili się i ruszyli między drzewa. Zawahał się, ale starcza dłoń pchnęła go w ramię.

— Idziemy. Lepiej się nie zgub. Wola Ouma wolą Ouma, ale strzały w tych lasach bardzo nisko latają.

Ruszył ścieżką wijąca się między drzewami, tunelem pełnym tańczących cieni i plam światła. Stawiał stopy ostrożnie, omijając kamienie i przypominające paluchy olbrzymów korzenne wypustki, którymi drzewa wgryzały się w ziemię.

— O co byli źli? — zapytał, przechodząc nad kolejną przeszkodą.

— Że ci towarzyszę. — Wiedźma zajęła pozycję za jego plecami, co na chwilę przypomniało mu o sztylecie, który miała. — Łatwiej byłoby o wypadek, gdybym nie plątała im się pod nogami.

— Bo gdy wieloryb umiera, młode rekiny zaczynają szybciej pływać?

— Tak. Niektórzy z nich liczą, że gdybyś znikł, on… — Stara wiedźma zasapała się, zaklęła więc plugawo i zatrzymała się. — … on uwierzy, że jakoś uciekłeś z wyspy. A potem zapomni.

Złodziej też się zatrzymał i obejrzał. Kobieta stała pochylona, z jedną ręką wczepioną w korę najbliższego drzewa, i w tańczących po ścieżce cieniach wyglądała nie jak żywy człowiek, lecz jak część tego drzewa, jakiś dziwaczny odrost.

— Czasem zapomina — dodała cicho, patrząc mu prosto w oczy.

— Jest tak źle? — Co prawda uprzedziła go o wszystkim, ale nie sądził, że sprawy mają się aż tak kiepsko. Wizja spotkania z istotą o być może boskiej mocy, która nie kontroluje już nawet swojej pamięci, lekko nim wstrząsnęła. Oum miał być stary, może umierający, ale nie zdziadziały.

— Nie wiem. Gdy przyszłam tu pierwszy raz, sześćdziesiąt lat temu, większość czasu spał, budził się kilka razy do roku, by spojrzeć na nas i pobłogosławić. Pił z nas mało, ledwo co…

— Pił?

— Moc. Nie wiesz, jak pożywiają się bogowie? Piją Moc przez swoich wyznawców, czerpią ją z modlitw, skupienia, medytacji, z tego, jak ludzie koncentrują się na ich istocie. Im potężniejszy bóg, tym na większym obszarze są rozrzucone jego świątynie i tym więcej ma Mocy do dyspozycji.

Co napędza mu kolejnych wyznawców stawiających następne świątynie, to oczywiste, pomyślał. Dlatego bogowie, mimo że – jak Setren Byk na Północy czy Laal na Wschodzie – dominowali lokalnie, starali się też mieć wiernych w różnych zakątkach świata. Niczym kupcy, którzy inwestują w wiele przedsięwzięć naraz.

Najwyraźniej Oum tego zaniedbał.

— A teraz?

— Teraz wiele się zmieniło. Teraz Czarnymi Wiedźmami zostają kobiety, których głównymi atrybutami są młodość i zdrowie. Trzydzieści lat temu żadnej z nich nie przyjęłybyśmy w poczet Sług Drzewa. Za mało umieją, niewiele wiedzy i doświadczenia wnoszą do Doliny. Są zbyt ambitne i za łatwo zapominają o różnicy między panem a sługą.

— Więc jesteś Czarną Wiedźmą?

— Już nie. Zrzuciłam szaty po bitwie pod Kamaną. On… musiał wtedy czerpać Moc gwałtownie i dziko. Te, które wtedy mu służyły, kobiety w moim wieku lub starsze, zapłaciły wielką cenę. Ja przeżyłam tylko dlatego, że nie było mnie w Dolinie, brałam udział w bitwie, wypruwając flaki z nesbordzkich czarowników. Większość moich sióstr odeszła, umarła, wykrwawiając się do środka i na zewnątrz, więc zmieniłyśmy… — wydęła usta — … sposób naboru. Po tej bitwie, po ostatnim *kameluuri*, Oum zaczął czerpać Moc mniej delikatnie, bardziej niszczycielsko. Więc postanowiłyśmy wybierać do służby w Dolinie młode, zdrowe wiedźmy, takie, które wytrzymają co najmniej dziesięć lat, może więcej. Słyszałeś o czarowni-

kach, którzy stracili kontrolę? No to wyobraź sobie, co dzieje się z ciałem, gdy staje się kanałem dla boga.

Wstrząsnęła nim.

— *Awenderi*?

— Nie, nie naczynie, tylko rurka, którą olbrzym pije wino. Bardzo wąska i krucha. Gdy budzi się z uśpienia, gdy potrzebuje Mocy, Oum sięga po nią przez swoje sługi. I część z nich płaci za to życiem. Czasami.

Altsin podał Gualarze rękę, pomagając się wspiąć kilka kroków. Podziękowała skinieniem głowy i bladym uśmiechem.

— Nie będziesz miał przyjaciół w Dolinie. Pamiętaj. One się boją, że przez ciebie Oum sięgnie po większą ilość Mocy i zabije wiele z nich. Jedynym sposobem, aby temu zapobiec, jest nie dopuścić, żebyś dotarł na miejsce.

Podjęli marsz. Tym razem złodziej puścił staruszkę przodem, pomagając delikatnie przy co trudniejszych odcinkach ścieżki. I myślał o tym, czego mu nie powiedziała. Stare wiedźmy wymieniły się z młodymi, gdy służba umierającemu bogu stała się dla nich niebezpieczna. Choć na pewno z początku starały się zachować kontrolę nad Doliną Dhawii, w miarę jak liczba młodych kobiet rosła, ich władza słabła. W ciągu niespełna pokolenia Dolina stała się innym miejscem, a jej mieszkanki zaczęły mieć inne plany i inne wyobrażenia o przyszłości wyspy.

— Jeśli dobrze rozumiem, bez ciebie nie dotarłbym tak daleko?

— Nie zobaczyłbyś nawet Maluaryny — wysapała, nie oglądając się.

Zastanowił się, myśli spokojnie wędrowały jedna za drugą, a każda niosła wielki worek z wielkim pytaniem.

— Dlaczego?

— Co „dlaczego”…? Ufff, na cycki Złodziejki Snów, zapomniałam już, jaka to ciężka dro… uff, droga. — Wiedźma zatrzymała się i oparła o najbliższe drzewo. — Dlaczego ci pomagam?

— Tak. Teraz pomagasz, a na łodzi omal mnie nie zabiłaś.

— Omal. To… to dobre słowo. Widziałam, jak walczysz, jak zmagasz się z tym, co w tobie siedzi. Jesteś uparty niczym pijany muł… chłopcze. — Powoli odzyskiwała oddech. — Gdybym uznała, że możesz być dla niego zagrożeniem, zatopiłabym łódź na środku jeziora. Ale jestem jedną z tych wiedźm, które Oum wysyłał w różne strony świata. Stałam przed wielkimi kamiennymi budowlami na pustyni, widziałam rysunki wyryte na

płaskowyżu na krańcu kontynentu, patrzyłam w Oko Pana Ognia i splunęłam w wir, o którym mówią, że jest wrotami do królestwa Bliźniąt Mórz.

Przypomniał sobie kobietę wiszącą na czarnej klindze.

— Miecz Reagwyra? Z Ponkee-Laa. Tym też się interesował?

— Też. I Piszczałką Pani Wiatrów, i Krwawiącym Obliczem Maychy. Kazał nam patrzeć i obserwować. Ale nie powiedział po co i dlaczego. Myślę, że możesz być odpowiedzią na pytanie, którego Oum obawiał się zadać.

— Jakie pytanie?

— Gdybym wiedziała, nie prowadziłabym cię do niego. Muszę… — zawahała się. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, nie była pewna, jakich słów użyć. — Chcę je usłyszeć, zanim dołączę do plemiennych duchów. Chcę wiedzieć, dlaczego poświęciłam kawał życia, włócząc się po świecie. No chodźmy już, bo pomyślą, że tu spiskujemy.

Wejście na ostatnie wzniesienie trwało jakieś dwie godziny, choć Altsin sam przebyłby tę drogę trzy razy szybciej. Ale za to wyszli na szczyt w chwili, gdy słońce zaczęło się zniżać nad horyzontem, a mgła znikła z okolicy. Przed nimi rozpościerał się widok na całą dolinę.

Dolina Dhawii. Z góry musiała wyglądać jak odcisk po wielkim wrzecionie rzuconym na ziemię ręką bogini prządek, długim na pół mili, szerokim na ćwierć. Wnętrze porastał las, tysiące dębów anuhijskich rosły tak blisko obok siebie, że człowiek bez trudu mógłby przejść z jednego krańca na drugi, czepiając się ich konarów. Ale te dęby, wielosetletnie olbrzymy, stały w cieniu innych drzew.

Drzew.

Vanuhii. Wysokie na trzysta stóp giganty wyrastały z dna doliny, pochylając się nad rosnącymi w niej dębami niczym gromada długonogich czapli nad stadem mew. Było ich około dwóch tuzinów, złodziej nie zdążył policzyć, zanim znów weszli pod sklepienie gałęzi, a rosły tu i tam, głównie na obrzeżach doliny, lecz kilka szczególnie rozłożystych okazów strzelało w niebo z samego jej dna. Wyglądały majestatycznie, niczym półbogowie wśród ludzi. Każde miało liście w kolorze ciemnego szkarłatu i korę, która wyglądała, jakby pokryto ją czerwoną laką.

Bogowie. Jeśli to drewno jest takie samo jak w łodzi, którą przypłynęli, to dziesięciokroć przebija wartość dębu anuhijskiego… Mimowolnie skrzywił się, ledwo naszła go ta myśl. Najwyraźniej kilka miesięcy w Kamanie

wpłynęło na sposób, w jaki patrzył na świat. Przeliczanie wszystkiego na pieniądze nigdy nie kończy się dobrze.

Odkąd zaczęli schodzić w głąb doliny, mieli dodatkowe towarzystwo. Altsin kątem oka łowił cienie przytulone do pni drzew, nagłe poruszenia krzaków, ruch w koronach dębów. Słyszał szmery i szelesty, na które leśna zwierzyna nigdy by sobie nie pozwoliła.

— To też część powitania? — Zakreślił dłonią krąg.

Gualara parsknęła cicho.

— Nie. Tak i nie — poprawiła się. — Ostrzegają cię i informują, że są wszędzie. To próba… nacisku.

— A może liczą, że przerażony rzucę się do ucieczki i będzie można poczęstować mnie strzałą.

— Nie. Nie, gdy Oum wie już, że tu jesteś, i patrzy. Ale raczej nie sprawdzaj moich domysłów.

Altsin przyjrzał się jej uważnie. Z każdym krokiem wiedźma wyglądała lepiej, jakby coś ujmowało jej lat. Nie chodziło o zmianę wyglądu, lecz o sposób, w jaki szła, o to, jak trzymała głowę. Złapała jego wzrok i mrugnęła.

— Tak, wiem. Ubyło mi sporo, znów czuję się, jakbym miała tylko osiemdziesiątkę na karku. A teraz nie rozglądaj się za bardzo, tylko chodź.

Zeszli na dno doliny, przekroczyli mały strumień i nagle wyszli na polanę.

Złodziej zamrugał z niedowierzaniem i otworzył usta. Polana miała sto jardów średnicy, a na jej środku, wprost przed nimi, wznosiło się jedno z miejscowych *vanuhii*. Szkarłatna kolumna, szeroka niczym zamkowy barbakan, wbijała się w niebo, by na wysokości jakichś czterdziestu jardów eksplodować setką gałęzi, z których każda była wielkości sporego dębu. Z daleka te drzewa wyglądały majestatycznie, z bliska przerażająco.

Trudno było uwierzyć, że coś takiego jest prawdziwe, że nie stanowi jakiegoś kaprysu oszalałego bóstwa, które zaraz zwali im tego giganta na głowę, by cieszyć się śmiercią ludzkich robaków. Brakowało perspektywy, skali, która umożliwiłaby właściwą ocenę wielkości, pień wydawał się osią świata, korona przykrywała całą polanę i wszystko, co się na niej znajdowało, czyli – Altsin z trudem oderwał wzrok od drzewa – kilkadziesiąt drewnianych piętrowych budowli i około dwudziestu baraków. Złodziej

zerknął na zamknięte drzwi i okiennice i nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Dobitniej nie dało się wyrazić niechęci.

To znaczy, nie licząc długiej na kilka stóp włóczni wbitej w brzuch.

Pień drzewa obudowano czymś na kształt kanciastej rotundy, szerokiej na kilkadziesiąt stóp, wysokiej może na dwadzieścia.

— To tam. — Gualara zatrzymała się i nagle znów wyglądała na zagubioną i niepewną. — Musisz iść sam. Ja… zostanę. Idź już. Idź!

Popchnęła go brutalnie i odwróciła się. Jedna z towarzyszących im kobiet wskazała na drzwi w budowli okalającej pień.

— Idź. On czeka. — Twarz miała białą jak śnieg, czoło zroszone potem. Strach bił od niej jak od szczura zagonionego w róg przez bandę chłopaków z kijami. Altsin ruszył we wskazanym kierunku, mając przed oczyma oblicze jednego ze swoich ulicznych kamratów, którego po takiej zabawie zaczęto nazywać Beznosym Lopem. Strach to potężna i nieprzewidywalna siła.

Podszedł do drzwi, a wyobraźnia wypełniała jego uszy odgłosem, jaki wydają cięciwy dręczone przez niecierpliwe palce. Cholera, zaczynał rozumieć ludzi, którzy przed walką wychylają kilka kolejek, nic tak bowiem nie uspokaja rozdygotanych nerwów, jak pół kwarty gorzałki.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i połknął go wilgotny mrok.

W środku szeroki korytarz prowadził do następnych drzwi, przed którymi stało dwóch strażników w łuskowych pancerzach, z ciężkimi toporami w dłoniach. Spod szerokich okapów, podobnych do kapalinów hełmów, obserwowały go ponure oczy.

Zignorował zimne wyzwanie czające się na ich dnie, pchnął drugie drzwi i wszedł do dużej sali.

Czterech mężczyzn stało w jej rogach. Nie nosili żadnych pancerzy, za to obwiesili się taką liczbą tasaków, pałaszy i ciężkich noży, że wystarczyłoby ich dla dwudziestu ludzi. Do tego każdy ściskał krótką włócznię z szerokim ostrzem. Gdy złodziej wszedł, wykonali salut tą bronią, krótki i precyzyjny niczym sztych mistrza szermierki.

Niezłe powitanie.

Naprzeciw drzwi stał tron. Ciemnokarminowy niczym zaschnięta krew i błyszczący jak świeży strup. A na tronie siedział nagi mężczyzna. Niezbyt wysoki, za to chudy jak ofiara wielomiesięcznego głodu. Wzgórki żeber niemal przebijały bladą skórę, a obojczyki wyglądały jak narzędzia

wymyślnych tortur wciśnięte w żywe ciało po to, by podtrzymać głowę, bryłę pełną kantów i ostrych linii. Nos wyglądał niczym ptasi dziób, a oczy jak ślady po trafieniu kamieniami z procy w glinianą kulę. Gdy powieki siedzącego uchyliły się, te właśnie kamienie spojrzały na niego ciężkim wzrokiem.

— Altsin Awendeh. Złodziej, wędrowiec, marynarz, nauczyciel, mnich… — Pęknięcie w twarzy okazało się ustami, z których wydobywał się suchy, szeleszczący głos. — Wiele imion, jedna osoba.

Siedzący mówił w meekhu, dziwnie przeciągając głoski. Altsin unikał jego spojrzenia, przyglądając się tronowi. Najpewniej wykonano go z drewna *vanuhii*, rzeźbiąc w nim szerokie siedzisko i wysokie na dziesięć stóp oparcie, którego głównym elementem była, wyrastająca za plecami siedzącego mężczyzny, dwułokciowa ludzka twarz. Oddana w najdrobniejszych szczegółach, surowa, dzika, stara i groźna. Przyciągała wzrok.

— Nic nie powiesz?

— Nie ja domagałem się tego spotkania.

— Naprawdę? Ponoć przybyłeś na tę wyspę, by spotkać się z jedną ze służących tu kobiet. Ponoć ją znasz i uważasz, że ma u ciebie dług. Ponoć sądzisz, że potrafi ci pomóc.

— Może.

Złodziej darował sobie lekceważące wzruszenie ramion. Coś tu było nie tak. Pamiętał uczucie, jakie nawiedziło go, gdy walczył z Jawynderem, mimo że nie była to walka na serio. Pamiętał nieokreśloną grozę, którą wzbudziła w nim dziewczyna na molo, i furię, jaką odpowiedział na jej widok Reagwyr. Pamiętał objęcia Elharan, gdy prastara siła, będąca samą rzeką, osądzała go. Za każdym razem patrzył w słońce, a teraz stał przed ledwo tlącym się kagankiem.

I jeszcze jedno. Rozbawienie. Narastający wewnętrzny chichot.

Miał stanąć przed obliczem boga… no dobrze, plemiennego bożka, a tymczasem konwersował z gadającymi zwłokami.

— Twoja arogancja jest żałosna. Naprawdę sądzisz, że wyjdziesz z tej Doliny żywy, jeśli rozkażę inaczej?

— To zależy.

— Od czego?

— Ile Czarnych Wiedźm poświęcisz, żeby sięgnąć po Moc. Może ci ich nie wystarczyć.

Kąciki pęknięcia uniosły się lekko, sugerując cień uśmiechu.

— Powiedz mi… liczysz na swojego gościa? Na ten zwinięty w kłębek i ssący własnego kutasa byt, który siedzi w twoim ciele? Sądzisz, że go nie wyczuwam? Odór śmierci i zniszczenia rozciąga się wokół was na milę. Ten żałosny bękart jest słaby i obolały… walką z tobą… no, no… imponujące, ale z pewnością potrafiłby co nieco pokazać. Być może należy mi się odrobina rozrywki.

Rozbawienie zalało złodzieja i zgasło, zalało i zgasło. Jakby stał po pas w wodzie, a morze ciskało w niego falami. Morze boskiej wesołości.

Co cię tak śmieszy, sukinsynu?

— Może — siedzący półtrup zdawał się ignorować jego dobry humor — jeśli szukasz sposobu na pozbycie się tego czegoś ze swojej głowy, mógłbym to usunąć… Wystarczy, że otworzysz się przede mną i dasz mi wejrzeć w swoją duszę. Znajdę to coś i zajmę się nim.

Rozbawienie przeszło w serię opętańczych konwulsji. Bóg chichotał.

Altsin nagle zrozumiał. Ten mężczyzna, który z pewnością nie był Oumem we własnej boskiej osobie, nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. Najpewniej podejrzewał go o opętanie przez wyjątkowo sprytnego demona lub jakiś byt spoza Mroku. Inaczej – pewność pojawiła się niczym błyskawica – nigdy nie dopuściłby go tak blisko.

Blisko czego? Tych zwłok?

— Ty nie wiesz, prawda? Z czym… z kim przychodzę. Usłyszałeś opowieść o jednej z twoich wiedźm, która mi to zrobiła, ale nie zadałeś sobie trudu, by ją odnaleźć i przepytać. Bo — złodziej zmrużył oczy — jesteś za słaby.

Strażnicy poruszyli się i zamarli, osadzeni w miejscu jednym krótkim słowem.

— Słabość jest pojęciem, którego większość ludzi nie rozumie. To przede wszystkim stan ducha.

— A jak silny jest twój duch? Władco wyspy, którego niewielu szanuje i nikt nie słucha? Umierający bożku? Kawałku drewna, wyrzucony na brzeg i próchniejący od tysiącleci?

Co ja mówię? Myśl przebiła się na powierzchnię i zaraz zgasła, zdławiona świadomością, że jeśli teraz zacznie stawiać opór Reagwyrowi, zginie. Jeśli jego ciało nie rozpadnie się od starcia dusz, rozsiekają go strażnicy, którzy właśnie ruszają.

Krzyk rzucił ich na ziemię, nie pozwolił wstać. Altsin widział falę czarów, skłębionej sinej Mocy, która niczym łapa olbrzymiej bestii przyciska mężczyzn do podłogi. Nie mieli szans.

Wydawało mu się, że na zewnątrz komnaty wybuchły jakieś krzyki i płacze.

Zignorował to.

Czary nawet go nie dotknęły.

— Jedna szansa — szept mężczyzny siedzącego na tronie był ledwo słyszalny. — Udowodnij, że jesteś tym, za kogo próbujesz się podawać. Słowa mogą kłamać, wygląd mamić, ale pewne rzeczy się nie zmieniają. Zrań mnie. Przelej kroplę mojej krwi. Jeśli to zrobisz, odpowiem na wszystkie twoje pytania i pozwolę opuścić wyspę. Jeśli nie dasz rady, pożrę twoją duszę.

Trup poderwał się z tronu, wyciągając skądś krótki, obosieczny nóż. Skoczył. Altsin runął ku niemu z gołymi rękami, zszedł z linii ciosu, zbijając krótki sztych w gardło, prosty i aż nadto przewidywalny, i nagle poczuł ogień w prawym boku. Drugi nóż. Ostrze sprytnie ukryte w lewej dłoni rozharatało mu skórę na żebrach, od najniższego po samą pachę. Zignorował ranę, nie była śmiertelna, przechwycił prawą rękę mężczyzny i szarpnął, cofając się po półkolu. Ręka wygięła się, stawy zatrzeszczały, nóż wysunął się spomiędzy słabnących palców.

Złodziej złapał go, obrócił się na pięcie i cisnął.

Broń śmignęła i uderzyła w policzek płaskorzeźby zdobiącej oparcie tronu. Powstała na drewnie rysa wydawała się ciemniejsza, niż być powinna.

Kropla żywego, szkarłatnego soku wypełniła ją w kilka chwil i zastygła, krzepnąc.

— Masz swoją kroplę krwi, przyjacielu. — Altsin nie poznał własnego głosu. — A teraz mnie wysłuchaj.

Dość tego!

Pokręcił głową, obrócił się wokół osi i w dzikim szale wpakował dłoń między zęby. Zacisnął, mocniej, MOCNIEJ!!! Krew wypełniła mu usta, szarpnął głową, rozrywając skórę, kłapnął zębami, chwytając jeszcze raz.

Wynoś się! Wynoś się! Wyyyyynooooośśśś!!!

Zastygł, czując, jak coś chrupie mu w środku i jakby obrywa się; jak mrowienie przechodzące w ból mknie od lewej stopy w górę, wzdłuż nogi,

pod pachą aż do barku, a potem coś pęka mu w oku i nagle nie widzi nic z lewej strony. Uszy wypełnił mu świergot ptaków, a usta smak truskawek. Coś strzeliło i stracił wzrok do reszty, a ciemność zalała go feerią tęczowych powidoków.

A potem pożarła.

Interludium

Kanayoness usiadła ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w kawałek deski, na którym ktoś koślawymi pociągnięciami pędzla umoczonego w czerwonej farbie nakreślił koszmarne bohomazy. Odwróciła malunek bokiem, potem do góry nogami, i jeszcze raz. Dopiero wtedy pokiwała głową z zadowoleniem.

— Tak trudno ustalić, gdzie jest góra, a gdzie dół?

Zignorowała jego pytanie.

— Czy to się nam na coś przyda? — naciskał.

— Cicho. Teraz jest. Patrz. — Podsunęła mu deskę pod nos. — Ta kobieta albo była absolutnie genialna… albo szalona.

Spojrzała na Yatecha z dołu i mrugnęła kpiąco. Nie dał się nabrać. Przez ostatnie dni, odkąd odwiedzili komnatę z mieczem i, jak stwierdziła później, „zasiali ziarno”, chodziła jakby w półśnie, jadła wtedy, gdy przynosił jej do pokoju posiłek, ubranie zmieniała, gdy rzucał Iavvie krótkie „Przebierz ją”. Nie wiedział, czy w ogóle sypia.

Za to dziś pokazała mu to, co tylko ktoś pijany mógł uznać za malunek.

— Teraz. Patrz. Już myślałam, że Eyfra mnie oszukała, wskazując tę kobietę.

— Tę z targowiska? Od jedwabi?

— Tę. Pewien plemienny bożek od pokoleń wysyła swoje wiedźmy, możesz je nazwać kapłankami, by węszyły dla niego w miejscach, gdzie nasi Nieśmiertelni dotknęli świata ludzi. Ta kobieta obserwowała dla niego Oko Agara. I malowała. Z nudów albo tęsknoty. Patrz. — Kanayoness podsunęła mu deskę pod nos. — Tu, widzisz? Drzwi, próg, kawałek muru i wieża, strzelająca w górę. — Jej palce wskazywały poszczególne plamy, a on zaczynał dostrzegać drzwi, mur, wieżę. — Tylko że to nie jest wieża, o nie. To on. On we własnej osobie. Odwiedzimy go. Jutro, jak się wyśpię.

* * *

Tafla lodu wypluła ich w półmrok. Lepki i nieprzyjemny, powietrze żarzyło się lekko czerwonym blaskiem stygnącego żaru, lecz blask ten nie kojarzył się z ciepłem i ogniem, tylko z krzepnącą krwią. Kanayoness rozejrzała się, parsknęła zniecierpliwiona i pstryknęła palcami. Oliwna lampa zapłonęła ciepłym światłem.

— Ośmielasz się krzesać ogień w moim domu bez pozwolenia?

Głos dochodził zewsząd, oburzone były ściany, podłoga i sufit. Przez chwilę miał wrażenie, że znaleźli się w ustach olbrzyma, który zaraz przeżuje ich i połknie.

Mała Kana zupełnie zignorowała głos. Podeszła do leżącego na czerwonych deskach mężczyzny, stanęła i przyglądała mu się chwilę. W tym świetle wyraz jej twarzy był nie do odczytania.

— Powiedziałem…

— Słyszałam. Zamierzasz pozwolić mu umrzeć?

— On nie umrze. Wiesz o tym. Co najwyżej będzie ślepy i sparaliżowany.

— Rozumiem. — Dziewczyna odwróciła się w stronę majaczącego w ciemności kształtu, skinęła dłonią i Iavva ruszyła naprzód, a blask trzymanej przez nią lampki wyciął z cieni wielkie krzesło z siedzącym na nim… trupem. — Ale ja nie mam zamiaru do tego dopuścić.

— A jak zamierzasz to osiągnąć? Magia mogła otworzyć ci portal do mojego serca, lecz teraz jesteś…

— Nie. — Uniosła obie ręce. — Nie zaczynajmy od głupich przegadywanek. Ty powiesz, że masz tysiąc strażników i Moc, która obala góry, jak zagrożę śmiercią twoich sług i ogniem, a potem zaczniemy się przechwalać, kto z nas jest potężniejszy. I zanim się obejrzysz, będziemy jak dwójka kłócących się dzieci. Jesteś mi winien przysługę, Oumie Płonący Ptaku. Życie za życie.

Zapadła cisza. Coraz dłuższa i dłuższa.

— Od… od czasów klęski nikt nie nazwał mnie tym imieniem.

Wreszcie głos dochodził z jednego miejsca. Znad głowy trupa.

— Wierzę. Trudno cię rozpoznać w tej postaci.

— Kim jesteś?

Ton, jakim zadano to pytanie, zmieniał wiele. Już nie byli intruzami, lecz kimś, kogo imię warto poznać.

— Kanayoness. Kanayoness Daera. Gdy dotarły wieści, że nie posłuchałeś polecenia, radzono, co z tobą zrobić. Głosowałam, by cię zostawić w spokoju. Ta wyspa miała dość wojny i krwi. Jesteś mi coś winien za mój głos.

Rozległ się dźwięk, z jakim powietrze przeciska się przez zduszone gardło. Dziwny kaszel albo stłumiony okrzyk.

— Ona tak powiedziała. Gdy przyszła do mnie w rok po tym, jak ziemia objęła mnie we władanie. Powiedziała, że głosowano. I że życie wygrałem jednym głosem.

— Ona?

— Najpotężniejsza. Ta, która zakończyła wojnę.

Nie sposób było nie dostrzec, co zatańczyło w oczach Małej Kany.

— Nie chcę teraz o niej mówić. Nie… teraz… Chcę pomówić o nim. — Wskazała na leżącego mężczyznę. — Wiesz, kim jest?

— Nie. Ale jego walka z tym, co ma w duszy, trzęsła połową wyspy. Jeden jest uparty jak muł, a drugi… tak ostrożny, że niemal bierny. Ale potężny. Co to? Zabłąkany demon?

— Obrażasz go, czy mnie prowokujesz? A może zapach własnej krwi miesza ci w głowie?

Cichy, świszczący śmiech wypełnił komnatę. Znów dochodził ze wszystkich stron naraz.

— Wybacz. Żartowałem. Oczywiście to coś więcej. Co?

Kanayoness pokręciła głową.

— Nie chcę ci zepsuć niespodzianki. Powinieneś sam bez trudu się dowiedzieć.

— Tak… tak. Chciał się spotkać z jedną z moich wiedźm. Dowiem się.

— Więc ją zapytaj. A potem uzdrów ciało. I wyślij z tej wyspy w miejsce, gdzie będę mogła uzdrowić duszę.

— Czyli gdzie?

Nie padło żadne słowo, lecz czerwone ściany zadrżały nagle, a podłogę przeszył wstrząs.

— Och. Rozumiem… rozumiem. Czy to wyrówna nasze rachunki? Będzie spłatą długu?

— Życie za życie. — Czarnowłosa skinęła głową i dotknęła ust kciukiem. — Dług zniknie.

— Dobrze. Niech tak będzie. Gdy tylko odzyska siły, wyślę go w drogę.

Dziewczyna spojrzała na Yatecha i gestem dłoni kazała mu podejść.

— Wracamy. — Sięgnęła po jeden z rysunków, które ze sobą zabrali.

— Jeszcze jedno — głos bożka był cichy, spokojny. — Kobieta, której zabraliście malunek… Żyje?

— Żyła, gdy odchodziłam. Czy żyje teraz? Nie wiem.

— Jej obraz… zostaw. Znam twoje talenty.

Kanayoness zawahała się.

— Dobrze, ale odpowiesz mi na pytanie.

— Jakie?

— Gdy odwiedziła cię, by oznajmić, że możesz zostać, powiedziała coś jeszcze? Coś, czego nikt inny nie słyszał?

Nagle w komnacie powiał wiatr, a płomyk lampki skonał z cichym szmerem. Towarzyszący ich przybyciu rubinowy blask przygasł i zapadła ciemność.

— Powiem ci… bo jestem stary, a Latarnia Ostatniego Portu wzywa mnie już czarnym światłem i pewnie nigdy więcej się nie spotkamy, Kanayoness Daero. Powiedziała, że nadejdzie dzień, gdy wrócę na porzuconą drogę. A każde miejsce otworzy się przede mną, jeśli będę chciał.

Głos Ouma był cichy i wyprany z emocji. Mniejsze wrażenie zrobiłby, gdyby wrzeszczał i klął.

— Teraz już wiesz, że kłamała?

— Może. Ale dzięki temu przetrwałem pierwsze sto lat. A może i dwieście. Z tego kłamstwa narodziły się wszystkie moje dzieci. Nie będę jej za to przeklinał.

— Więc ja zrobię to za ciebie, Płonący Ptaku. Masz moje słowo.

— Czy ty… sądzisz, że to ona? Że ta fala… to jej krzyk?

— Nie wiem, ale się dowiem. I nie będzie między nami więcej kłamstw. — W ciemności coś stuknęło o podłogę. No tak, malunek. — Jest twój, powieś go gdzieś, albo coś. Keru’weln, idziemy.

Yatech powitał lodowy uścisk z radością.

Rozdział 11

Zdziwiła się. Deana wróciła do pałacu dopiero w południe następnego dnia, po nocy spędzonej na plantacji pieprzu, prowadzonej przez arystokratę, który uchodził za łagodnego i szlachetnego. Na tyle łagodnego, że pozwalał swoim niewolnikom pracować od świtu do zmierzchu, a nie jak inni od pierwszych promieni słońca do północy, oraz trzy razy w miesiącu, w każde święto Służki, dawał im pół dnia wolnego. Na dodatek darzył estymą samą Demenayę, bo co pół roku zapraszał ją do siebie, by mogła odprawić nabożeństwo, nadać imiona nowo narodzonym dzieciom i pobłogosławić mogiły niewolników, którzy zmarli od jej ostatniej wizyty. Dziś był właśnie taki dzień.

Właściciel, gdy dowiedział się, kim jest zamaskowana wojowniczka, rozłożył jej przed stopami tuzin jedwabnych szali i zaczął traktować niemal jak równą sobie, po czym wyjaśnił z dumą, że ma ponad tysiąc dwustu niewolników, z czego tysiąc stanowili brudni, o których oczywiście dbał i troszczył się ze wszystkich sił. I z okazji przybycia ich Królowej zezwolił na to, by jego „dzieci”, jak to ujął, mogły świętować. Deana przechadzała się między niskimi chatami, ustawionymi po obu stronach zakurzonej dróżki, w towarzystwie Demenayi, witanej uprzejmie, lecz bez wylewności. I patrzyła. Na starszych mężczyzn oraz kobiety o jasnych włosach i oczach, opalonych od pracy w południowym słońcu, na spracowane dłonie, uśmiechy bez śladu radości, bruzdy na twarzach. Na dzieci, z których jedne wyglądały jakby były żywcem przeniesione zza Anaarów, inne niczym mieszanka różnych ras. Na młodych mężczyzn i dziewczyny, tańczących przy wtórze piskliwej muzyki i bawiących się w proste gry.

A gdy zobaczyła kilka z tych gier, uwierzyła, że sytuacja jest tak groźna, jak sugerowała królowa.

Niewolnicy bawili się w rzucanie kamieniami do pustych tykw, w grę polegającą na przepychaniu ciężkiej kłody przed dwie grupy liczące po kilkunastu mężczyzn, w łapanie na dziesięciołokciową tyczkę niewielkich

kółek uplecionych z trzciny i w chowanie się za wiklinowym płotkiem przed kawałkami zgniłych owoców i pacami błota rzucanymi ze wszystkich stron. Śmiechu, gwizdów i dobrych rad było co niemiara.

A najgłośniej śmiał się właściciel.

Głupiec.

Dobrze, że *ekchaar* skrywał wyraz pogardy na jej twarzy.

Już w pałacu odesłała „swoją" niewolnicę do przydzielonej jej komnaty, przebrała się, wzięła kąpiel i poszła spać, zmówiwszy wcześniej *kaeri* – modlitwę o radę przychodzącą we śnie.

Obudziła się wieczorem, z pustą głową i ciężkim sercem. Wstała, sprawdziła dokładnie okiennice i drzwi, obmyła się w zimnej już wodzie i założyła świeżą szatę. Usiadła na podłodze przed największym lustrem i spojrzała w swoje odbicie. *Kaeri* nie przyniosła odpowiedzi, Matka nie rozwiała jej wątpliwości ani nie wskazała drogi. Deana musiała spróbować inaczej.

Seria ćwiczeń oddechowych, wyciszenie, wzrok odbijający się w lustrze, *sani* płonący gdzieś na dnie oczu, coraz silniejszy i silniejszy, z każdym wydechem.

I wspomnienia, pojawiające się w chwili, gdy płomyk wypełnił jej żyły.

Na plantacji, gdy tylko zrozumiała, w co bawią się niewolnicy, zaczęła patrzeć inaczej, przenikliwiej. Ciskanie kamieniami do celu, by wytrenować precyzję rzutów, dwie grupy mężczyzn przepychających kłodę, dodać im pancerze i hełmy, a powstanie oddział ciężkiej piechoty, próbujący przełamać linię wroga. Tyczki służące do łapania plecionych kółek wystarczyło zaopatrzyć w żelazne groty albo po prostu zaostrzyć, by dać niewolnikom do ręki piki przeciw jeździe. Wiklinowe płotki uczyły chować się za tarczą, i to bynajmniej nie przed gradem odpadków.

Meekhańska piechota.

Stworzona z niewolników, wśród których znajdowali się żołnierze musztrowani wiele lat w najbardziej pragmatycznej armii świata. Podobno w imperialnych oddziałach powiadano: „Jeśli złamałeś miecz, użyj sztyletu, jeśli zgubiłeś sztylet, znajdź kij, jeśli nie ma w pobliżu drzew, podnieś kamień, gdy nie znajdziesz kamienia, weź garść piachu. Wszystko może być bronią".

Gdy tylko to zrozumiała, zaraz dostrzegła inne znaki.

Poobijane i popuchnięte palce, dłonie i przedramiona ze śladami po uderzeniach kija, kciuki wytarte od linki procy, zgrubienia od cięciwy. Niewol-

nicy ćwiczyli szermierkę, posługiwanie się procami i łukami. Tylko ostatni głupiec nie zauważyłby tych śladów. Albo ktoś tak pewny siebie, że nie dopuszczał nawet myśli o powstaniu.

Tutejsza arystokracja scedowała wojnę na armię żołnierzy-niewolników. Zapewne od wielu pokoleń żyła z pracy niewolnych, kultywując szlachectwo wojowniczych przodków i nie mając pojęcia, czym jest prawdziwa walka. Ale to, że nikt w pałacu nie znał prawdziwej skali zagrożenia, potwierdzało tylko, że Demenaya mówiła prawdę. Ród Trzciny wycofał większość szpiegów z południowych plantacji i czekał na rozwój wydarzeń. W co grał?

Co osiągną, jeśli dojdzie do wybuchu tak wielkiego buntu?

I jeszcze Ród Bawołu. Jeśli naprawdę wycofał się z…

Tylko co z tego? Za kilka, może kilkanaście dni Deana wyruszy na północ, do domu. Dokończy pielgrzymkę, może zamieszka w jakiejś *afra-agrze*, a może znajdzie dla siebie inną drogę. Zostawi ten pałac, wór węży i skorpionów, gdzie ten głupi, paskudny, tępy ślepiec…

Stój…

Kobieta w lustrze spoglądała na nią z mieszaniną rozbawienia i litości. *Naprawdę zamierzasz krążyć wokół tego, co wypełnia rozterką twoje serce? Miej litość, dziewczyno. Jeśli ty nie będziesz ze sobą szczera, to kto?*

Sani pulsował w jej żyłach w rytm serca. Trans bitewny łaskotał skórę, kusił, obiecywał szybkie rozwiązanie.

Uśmiech odbicia stał się smutny. Tu nie było łatwego rozwiązania.

Powiedz to głośno – rozkazała kobieta w lustrze. – *No, już!*

Deana nabrała powietrza i odezwała się w ojczystym języku:

— Jestem córką Wielkiej Matki, Jej oddech jest moim oddechem, Jej radość moją radością, a łzy moimi łzami. Urodziłam się, by przeżyć godnie wszystkie moje dni i stanąć przed Jej obliczem, wiedząc, że Litość to jedno z jej imion i jeśli zgrzeszę nieświadomie, będzie mi wybaczone. Lecz jeśli grzech wypełni moje serce, a ja go przyjmę, to poznam drugie imię Matki. Brzmi ono Sprawiedliwość.

Wyznanie wiary zabrzmiało dziwnie cicho i bezbarwnie, aż w oczach odbicia pojawiła się pogarda.

— Jestem on’Issaram, kobietą z gór, oczekującą na sąd — podniosła głos. — Niosę cząstkę duszy plemienia, od świtu życia po zmrok śmierci.

Nie wyrzeknę się Praw ani Cnoty, ani Honoru. Jestem córką Wielkiej Matki.

Patrzyła na własne odbicie, które wydawało się oczekiwać na coś jeszcze. Na właściwe pytanie.

— Jestem córką Wielkiej Matki…

Tak. O to chodziło. Jestem córką Baelta'Mathran, tej, której imiona to Litość i Sprawiedliwość. A ona powiedziała: „Nie będziesz niewolił drugiego, nie założysz mu kajdan i nie zmienisz w zwierzę". Issaram nie uznawali niewolnictwa, a handlarze ludźmi unikali kontaktów z nimi. A teraz na plantacjach ci, którzy czcili Wielką Matkę, nawet jeśli robili to na swój meekhański, na wpół heretycki sposób, szykowali się do walki.

Czy mogła ich uznać za braci? Czy jeśli odwróci się od nich, to odwróci się od Matki?

Właściwe pytanie brzmiało: czy powiedzieć o wszystkim Lawenere-sowi? Czy opowiedzieć o mężczyznach i kobietach w niewolniczych obrożach, którzy pod warstwą wyćwiczonej obojętności i pokory mają w oczach płomień buntu? Przekazać mu wieści od Królowej Niewolników?

Co zrobi Syn Ognia?

Kobieta w lustrze uniosła brwi, krzywiąc się sardonicznie.

Nie. Co zrobi mężczyzna, który zajmuje twoje myśli częściej niż jakikolwiek inny.

Nieprawda.

Którego oskarżasz, że złamał ci serce, choć uprzedził przecież, że nie jest panem własnego losu.

Nie.

Tak. Nie umiesz przestać o nim myśleć. Nawiedzają cię wspomnienia bandytów, pustyni, pieczary, jego rąk na twoim ciele, skały pod twoimi plecami. I nocy, gdy był z tobą ostatni raz.

Nieprawda.

Nie udawaj. Kogo okłamujesz? Siebie? O co masz żal? Pamiętasz też przecież, jak się bałaś, gdy Oko go połknęło. Sama mu powiedziałaś, że tęsknisz za tłumaczem, ale on jest nie tylko nim. Każdy, każdy na świecie jest wieloma ludźmi. Ty: Deaną d'Kllean, Issaram, ale też półkrwi Meekhanką, mistrzynią talherów*, a także Strażniczką Pamięci, Poszukującą i tą, która ocaliła tutejszego księcia. Naprawdę chcesz mieć dla siebie tylko*

tłumacza, ślepca? To tak, jakbyś pragnęła miecza, który nie ma rękojeści albo jelca, albo głowni. Musisz go przyjąć całego.

Nic mnie to nie obchodzi.

Naprawdę? — Tamta w lustrze uniosła brwi — *Więc czemu boisz się wyjść na korytarz i spotkać z jedną z TYCH dziewczyn?*

Nie boję się.

Kogo okłamujesz?

Ja wyjadę, on zostanie. I tak się to skończy.

Oczywiście. I może nawet kiedyś o nim zapomnisz. Ciotka na pewno by ci tak powiedziała. Lecz nie o tym rozmawiamy. Pytanie brzmi, czy mu powiesz, czy nie. Jeśli nie, to powstanie na pewno wybuchnie i dziesiątki, a może setki tysięcy dzieci Matki zginą. Mogą zwyciężyć, lecz za jaką cenę? A może zastanawiasz się, czy książę pójdzie w ślady swojego brata i postara się ulżyć doli niewolników, czy też postawi na stal i ogień. Czy możesz mu zaufać, czy nie? Czy uprzedzi wybuch buntu, wysyłając przeciw niewolnikom armię, czy też uspokoi ich mądrymi posunięciami?

— Mogą mu nie pozwolić — powiedziała głośno.

To prawda. – Odbicie posłało jej poważne spojrzenie. – *I już zapewne to robią, oszukując jego szpiegów. Lecz jeśli nie będzie wiedział, to ty będziesz winna. Jeśli Konoweryn zapłonie, a krew dzieci naszej Pani użyźni ziemię, to ty będziesz winna. Niech wybór należy do niego. Tylko tak unikniesz grzechu zaniechania.*

Nie.

Tak. Tu chodzi o zaufanie. Widziałaś jego twarz, gdy był dla ciebie tylko książęcym sługą. Widziałaś, co się w niej kryło, gdy nie nosił maski, gdy spodziewał się, że i tak umrze. To dobry człowiek, zna współczucie i litość. I nie jest głupcem. Nie wykona pochopnego ruchu, nie teraz, gdy Oko zapłonęło, a z Północy nadchodzą tak niezwykłe wieści. Imperium będzie świętować klęskę wroga, kupując jedwab, kość słoniową, perły, kamienie i przejadając fortunę w przyprawach. Konoweryn ma szansę na zgarnięcie większości tej fortuny. A Laweneres znajdzie sposób, by ją spożytkować.

Okłamujesz się.

Może. Ale brak działania czasem bywa działaniem. Wiesz przecież.

Wiem.

Ja też. Jestem tobą. Podjęłaś decyzję?

Tak.

Wstała. *Sani* domagał się działania, więc wyjęła szable i stoczyła długi, wyczerpujący pojedynek z kilkoma widmowymi przeciwnikami.

Nadal brakowało jej prawdziwego szczęku broni.

Potem poszła po swoją niewolnicę.

* * *

Rubinowy wisior wskazał jej drogę do komnat Laweneresa równie pewnie, jak słońce w zenicie wskazuje południe. Każdy, komu go pokazywała, kłaniał się nisko i kierował ją do odpowiednich drzwi.

Z młodą niewolnicą drobiącą kilka kroków za swoimi plecami opuściła Dom Kobiet, przeszła przez centralną część pałacu, zwaną Ogrodem Proszących, i po kwadransie dotarła do Skrzydła Płaczu. W tej części budowli Słowiki musiały mieć własny garnizon, bo nim minęła kilka komnat, naliczyła ich przeszło trzydziestu. Chyba świadczyło to o tym, że jeszcze im ufano.

Na widok wisiorka pierwszy z żółto odzianych wojowników skłonił się nisko i w znośnym *suanari* zaproponował, że będzie ich przewodnikiem. Poprowadził je w chaos komnat, przedsionków, korytarzy, wielkich sal, przeszklonych oranżerii, wypełnionych śpiewem małych fontann wewnętrznych placyków, przejść między ścianami. Jeśli kiedykolwiek do tej części pałacu zakradł się jakiś skrytobójca, zapewne błąkał się tu do tej pory.

Słowik zatrzymał się przed niepozornymi drzwiami, ukłonił jeszcze niżej i stanął z boku. No tak, on nie miał prawa przerywać księciu zajęć o każdej porze dnia i nocy.

Weszła bez pukania.

Uderzył ją w oczy przepych. Ściany ozdobione macicą perłową i jedwabiem, olbrzymie okna, posadzka z ciemnego drewna. A na środku łoże, okryte bladoróżowym, spływającym do ziemi muślinem. Do tego toaletka z wielkim lustrem w ramie ozdobionej porcelanowymi kwiatami, kolekcja pachnących olejków na jej blacie, rozrzucone tu i ówdzie delikatne koronkowe batysty.

Obrzuciła to wszystko jednym spojrzeniem.

Kobieca sypialnia, pomyślała.

Jestem w kobiecej sypialni.

Słowik musiał się pomylić.

W tej samej chwili łoże ożyło, zasłona rozchyliła się na boki i Deanę uderzył uśmiech. Ostry jak klinga *talhera* ozdobiona *pyvą*, perfekcyjny, zwycięski. Uśmiech, który wdarł się w jej pierś i rozciął serce na pół.

Varala skinęła jej głową, delikatnie wodząc palcami po twarzy śpiącego mężczyzny.

— Ciiii. Jest zmęczony — odezwała się w meekhu, przykładając palec do ust i nie przestając się uśmiechać. — A musi oszczędzać siły.

Poprawiła szatę, chmurę muślinu w kolorze ciut głębszym niż ten otulający łoże.

— Cóż tak istotnego cię tu sprowadza?

Deana przymknęła oczy. *Sani* pojawił się nagle, bitewny trans wołał do niej z głębi duszy, obiecywał błyskawiczne zmazanie tego uśmiechu z twarzy Pierwszej Nałożnicy, taniec śmierci i wyzwolenia, wolności i krwi. Och, jakaś jej część wiedziała, że gdyby ta kobieta mogła w tej chwili zajrzeć pod jej *ekchaar*, wrzeszczałaby już na całe gardło. Zakręciło jej się w głowie, zamrowiły dłonie. Jakby miała zemdleć.

— Nie… — Odetchnęła dwa razy, przeganiając sprzed oczu kolorowe plamy. — Nic, co nie mogłoby zaczekać.

Varala ze zdumiewającą szybkością zerwała się z łoża i w dwóch krokach była przy niej. Owionął ją słodki, ciężki zapach.

— Nic ważnego? — Uśmiech znikł. — Naprawdę? To dobrze. Bardzo dobrze.

Wyciągnęła dłoń, jakby zamierzała ją pchnąć w pierś, i w ostatniej chwili zatrzymała się. Dziwne, Deana nawet nie sięgnęła po broń.

— Mówiłam ci… mówiłam, żebyś zostawiła go w spokoju. — Z bliska nałożnica nie wyglądała już tak młodo, jak przy ich pierwszym spotkaniu, była starsza, dojrzalsza, ale przez to nie sprawiała wrażenia mniej doskonałej. — On nie jest dla ciebie. Więc powiem ci to wyraźniej. Nigdy nie zajmiesz mojego miejsca w jego sercu. Nigdy nie będziesz dla mnie groźna, choćbyś nie wiem jak bardzo starała się przywiązać go do siebie poczuciem wdzięczności lub winy.

Kolejny uśmiech rozciął jej serce.

— Odwiedza mnie prawie co dzień, wiedziałaś o tym? On jest księciem, Dziecięciem Ognia, ostatnim z dynastii, która włada Konoweryn od tysiąca lat. A ty? Kim jesteś? Czego chcesz? Po co przyszłaś?

Śpiący mężczyzna zamamrotał coś, poruszył się niespokojnie. Varala zamarła i obejrzała się przez ramię.

Deana wykorzystała tę chwilę, by wziąć głęboki oddech, przytłumić szalejący w jej ciele *sani,* uspokoić walące serce.

Kim jestem? Czego chcę? Po co przyszłam?

— Jestem *awyssą* w drodze do Kan’nolet — zaczęła cicho i, dzięki ci Matko, głos jej nie zdradził. — Chcę powrócić do domu. Przyszłam prosić o zgodę na opuszczenie pałacu i dołączenie do karawany wędrującej przez pustynię.

Tamta zamarła, jakby nagle usłyszała słowa w nieznanym języku. Zamrugała.

— Dobrze. — Jej oblicze wyglądało jak wyrzeźbione z marmuru.

Gdyby temu „dobrze” towarzyszył najlżejszy uśmiech, sugestia uśmiechu, *talhery* Deany ożyłyby i rozpłatały tę twarz na pół.

Odwróciła się i wyszła.

Rozdział 12

To był trzeci raz w ciągu ostatnich dni i wyglądało na to, że Altsin zaczynał nabierać wprawy w wychodzeniu z głębokiej dziury, do której wtrącało go każde starcie z Reagwyrem. Choć teraz było inaczej. Mniej… komfortowo.

Nie otwierając oczu, poruszył się lekko. Ciało odezwało się bólem, tępym i rozległym, jakby tuzin oprychów przez ostatnie godziny okładał go kijami. Za to umysł miał jasny i świeży, myśli sunęły prosto i szybko niczym rekin, który dojrzał właśnie miotającą się w wodzie ranną fokę.

Pamiętał. Był u Ouma. Bożka Seehijczyków. Walczył z nim. Pokonał, ale Oum nie był tym, za kogo mógł go wziąć ktoś z zewnątrz. Oum był…

Twarzą na tronie.

A on leżał na ziemi, skrępowany. Nie miał szans na ucieczkę.

Ale żył. Zdumiewające.

Lecz uwzględniając to, że Jawynder, półboski byt połączony z samą Elharan, nie chciał z nim walczyć na poważnie, to czy Oum ośmieliłby się na próbę zamordowania nieprzytomnego złodzieja? Nikt nie potrafiłby sobie wyobrazić, co by się stało w chwili uwolnienia z jego ciała kawałka duszy Pana Bitew, jednego z najpotężniejszych Nieśmiertelnych, jakich znał świat. Żaden bóg nie podjąłby takiego ryzyka w samym sercu swojej Mocy.

Altsin miał nadzieję, że sprawy rzeczywiście tak wyglądają.

Otworzył oczy.

Znajdował się w sali, w której się starli. Strażników nie było, za to na tronie tkwił ten sam mężczyzna co poprzednio, choć jego prawa ręka zwisała bezwładnie i nie tyle siedział, co półleżał, niczym rzucona przez lalkarza kukiełka.

Z tego, co już wiedział, porównanie było jak najbardziej adekwatne.

Poruszył się, pochylił głowę i spojrzał na swoje więzy. Dziesiątki szkarłatnych korzeni wyrastały z podłogi i oplatały go mocno. Nie zdziwił się,

gdyż…

Czarne Wiedźmy to Sługi Drzewa. Czarne Wiedźmy służą Oumowi. Czyli drzewo to Oum. *Vanuhii* to też Drzewo. Więc Oum to *Vanuhii*. Żywe Drzewo. Bóg uwięziony w żywym Drzewie. Dlaczegóż by nie? Jawynder był cholerną rzeką.

Najważniejsze, że to drzewo przyciskało teraz Altsina korzeniami do ziemi, a jego zamiary były nieodgadnione.

Wiedza napływała mu do głowy nie wiedzieć skąd. Cholera, nie, po co się oszukiwać, to wspomnienia Bitewnej Pięści, te same, które wywołały u niego niepohamowaną wesołość.

A raczej histeryczny rechot.

Oum był…

Wizja rozszalałego oceanu, fal wysokich jak góry i… olbrzymiego cielska wielkości małego miasta, łamiącego ich grzbiety z niewzruszoną arogancją, przemknęła mu przed oczyma i zaraz znikła, wyparta przez zdrowy rozsądek. Nic tak wielkiego nie może pływać po morzu. Nic.

— Leż. On próbuje cię uleczyć.

Głos zabrzmiał gdzieś zza jego głowy i złodziej omal nie skręcił sobie karku, próbując dostrzec mówiącą. Położyła mu dłoń na czole i przycisnęła do ziemi. Bynajmniej nie delikatnie.

— Leż.

Zerknął na nią z dołu, dostrzegając pomarszczoną skórę i kosmyki siwych włosów wymykające się spod opaski. Ale głos… ten głos…

— Aonel?

Nie odpowiedziała, tylko wstała i odeszła w bok. Po kilku chwilach zaniechał próby dosięgnięcia jej wzrokiem. Jego mięśnie wyły, a korzenie nie zamierzały się poddać.

Odetchnął głęboko. Bolało go wszystko od stóp po zęby. Czuł wątrobę, serce i chyba coś w okolicach lewej nerki. Żałował, że nie może się obejrzeć, wyobraźnia katowała go obrazami siniaków i opuchnięć obejmujących każdy staw, skóra, jak mu się wydawało, musiała schodzić płatami z całego ciała. Wiedza o tym, jak działa na ludzi nadużywanie Mocy, wcale nie pomaga, gdy Moc przychodzi, kiedy chce, i wyżyma cię jak szmatę.

Kobieta pojawiła się nagle z przodu, niosąc glinianą miskę. Kucnęła obok i zamieszała w niej łyżką.

— Zupa z królika. — Cholera, to na pewno była ona, Aonel. — Masz ją zjeść.

Patrzył na ręce, blade i pokryte siateczką zmarszczek, na twarz, tak znajomą i nieznajomą jednocześnie. Widział już tę twarz, u kobiety konającej na mieczu Reagwyra, na przeklętej klindze, która wysysała z niej życie i siły. Te same kości policzkowe, ten sam zarys szczęki, ta sama skóra, opięta na obliczu, jakby zaraz miała się z niego zsunąć.

Nieważne, kto z ciebie pije, czy na wpół świadomy boski miecz, czy konający plemienny bożek, dla śmiertelników nie ma to znaczenia. Zawsze płacą najwyższą cenę.

— Jedz. — Ostrożnie wlała mu bulion do ust. — Powoli.

Po kilku łyżkach poczuł parcie na pęcherz. Potężne.

— Muszę…

— Nie przejmuj się. Byłeś nieprzytomny pięć dni. Możesz dalej robić pod siebie, jemu to nie przeszkadza.

Kolejny łyk utkwił mu w gardle. Rozkaszlał się dziko.

— Nie — warknął, gdy wreszcie złapał oddech. — Nie. Niech mnie puści. Sukinsyn niech mnie puści natychmiast!

Zakręciło mu się w głowie, a gardło nagle zaczęło palić.

— Ocalił ci życie. Gdyby nie on, byłbyś martwy, a na pewno sparaliżowany i na wpół ślepy. Okaż więc trochę szacunku.

Altsin nie podniósł głosu ani nie zaczął przeklinać. Lodowata furia, która już wcześniej wypełniała jego żyły, tym razem przyszła w mgnieniu oka. Nagle przestał czuć obolałe ciało, które jakby znikło, oddaliło się od niego. Odezwał się powoli, dobitnie akcentując wyrazy:

— Nie będę szczał pod siebie jak zwierzę. Powiedz mu to. Ma mnie wypuścić. Już.

— Nie…

Korzenie poruszyły się i rozluźniły, a Aonel zastygła z łyżką w połowie ruchu i na wpół otwartymi ustami.

Altsin zignorował ją, wstał i nie patrząc na kobietę, podszedł do najbliższego rogu komnaty. Cóż, jeśli Oumowi to nie przeszkadza…

Wysikał się, czując na karku spojrzenie, które najpewniej powinno przepalić mu skórę, i wrócił na miejsce. Był nagi, ale jakoś go to nie krępowało. Nagość nigdy mu nie przeszkadzała, w Ponkee-Laa młodzież kąpała się tak

przy każdej okazji, poza tym w oczach Aonel było wszystko poza sugestią, że widzi w nim mężczyznę.

Usiadł naprzeciw niej, zabrał miskę i zaczął jeść samodzielnie. Korzenie już prawie znikły i tylko lekkie wybrzuszenia podłogi zdradzały ich istnienie.

Lód powoli opuszczał ciało, a jego miejsce zajmował tępy ból. Złodziej zdążył się już obejrzeć, wyglądał lepiej, niż podpowiadała mu spanikowana wyobraźnia. Tylko ślad po ciosie noża na prawym boku, szeroki i różowy, był nowością, reszta nie sprawiła mu niespodzianki. Stawy miał opuchnięte, a sińce pod skórą nadawały jej ciekawy odcień, jednak nie było gorzej niż przy poprzednim przebudzeniu. Właściwie…

— Co cię tak cieszy?

— Właśnie sobie przypomniałem — spojrzał jej w oczy — że poprzednio też obudziłem się goły w towarzystwie kobiety. Zabawne.

— Zabawne?

— O tak. Tamta była dużo… bardziej wiekowa. Czyli jest jakiś postęp.

Odłożył łyżkę i wypił resztkę zupy wprost z miski. Mądrość, której nabył w czasie kilkuletniej wędrówki po wybrzeżu kontynentu, mówiła, że cokolwiek się dzieje, nigdy nie zmarnuj szansy na ciepły posiłek.

— Gualara?

— Tak.

— Ledwo przeżyła. W czasie waszej dyskusji Oum potrzebował Mocy. Nie wiem, czy ona z tego wyjdzie.

Wiadomość spadła na niego nagle i… nic. Przecież wiedział o tym, ten krzyk, który zdawało mu się, że słyszał z zewnątrz pomieszczenia, brzmiał znajomo. Wiedział, tylko odsunął tę świadomość na bok, żeby nie przeszkadzała.

— To kara za to, że mnie tu przyprowadziła?

— Nie. Ale gdy On sięga po Moc, nie patrzy, przez kogo ją czerpie. Wiedziała, czym grozi pojawienie się tutaj.

— Myślałem, że nie jest już Czarną Wiedźmą.

— Czarną Wiedźmą jest się do końca życia — głos zza jego pleców zaszumiał, zaszeleścił. — Nie można w pewnej chwili powiedzieć „dość, od dziś zrywam wszelkie więzy, odcinam korzenie i udaję, że jestem kimś innym”.

Altsin uśmiechnął się i zignorował ten głos, poświęcając całą uwagę Aonel. Dziewczyna, którą pamiętał, była nieco młodsza od niego, drobna i szczupła. Prezentowała ten typ egzotycznej, seehijskiej urody, który podbijał serca wielu mężczyzn. Służba w Dolinie obdarowała ją cerą czterdziestoletniej chłopki, dłońmi, na których pojawiły się pierwsze plamy wątrobowe, i szarawymi, przetykanymi siwizną włosami. Tylko oczy miała młode. Jasne i czyste, bez śladu starczego znużenia. I — co go naprawdę zdumiało — bez oznak obłędu i rozpaczy, których się spodziewał u kogoś, z kogo wysysano najlepsze lata życia.

— Zamierzasz udawać, że mnie tu nie ma? — szeleszczący głos zabrzmiał rozbawieniem.

— Nie. Ale jeśli dobrze rozumiem, nie ma znaczenia, w którą stronę patrzę, bo i tak stoję z tobą twarzą w twarz.

— Podpowiada ci to twój spryt czy jego wiedza?

Zaskoczył go.

— Nie wiem. — Altsin znów zdziwił się brakiem większych emocji, wcześniej po takim pytaniu szalałby z niepokoju. — Nie sądzę, by to miało większe znaczenie.

— Ja też nie. Chwilami stajecie się jednością.

— To nieprawda.

— Odwróć się, nie będę mówił do twoich pleców.

Twarz na tronie przyciągnęła jego uwagę od razu, jak wulkan wybuchający nocą. Wyrzeźbione w czerwonym drewnie oczy niemal płonęły, usta drwiły dzikim grymasem, a całość zdawała się promieniować wewnętrznym blaskiem. Teraz złodziej nawet nie spojrzałby na ludzkie ciało poniżej.

— Stajecie się jednością. — Usta nie poruszały się, ale głos dobiegał od strony oparcia. — On tego nie chce, wie, czym to grozi, ale nie może pewnym rzeczom zapobiec.

— Nie wydaje mi się. On chce mnie Objąć.

— Nie, głupcze. Nie podejmie takiego ryzyka, bo źle by się to dla niego skończyło, nie masz znaków, tatuaży, które ustanowiłyby barierę, więc wasze dusze połączyłyby się w ciągu kilku, najwyżej kilkunastu dni. To, co bierzesz za próby Objęcia, to poruszenia śpiącego olbrzyma, które chcąc nie chcąc, wstrząsają tobą, tak jak nagłe drżenie wieloryba wstrząsa pąklem na jego skórze. A ty wtedy walczysz, budzisz go, nawet jeśli twoje ciało płaci za to obrzękami i pękającymi żyłami. I dobrze, bo gdybyś tego nie

robił, mógłby cię Objąć mimowolnie. Tak to działa. Tylko gdy twoje życie jest zagrożone, on wspiera cię świadomie, ale cena za to jest jeszcze większa. W pewnym sensie jest twoim więźniem, a ty jego. Pełne Objęcie byłoby jego końcem.

— Raczej pożarłby mnie, sukinsyn. Prędzej…

— Nie — głos Ouma zabrzmiał ze wszystkich stron naraz. — Nie! Nie rozumiesz. Na Północy mają opowieść o jednym z waszych bogów, Setrenie, znasz ją? — Drewniana maska wydawała się czekać na odpowiedź. — Nie? To opowieść o tym, jak wchodził w ciała zwierząt, a gdy wreszcie znalazł wystarczająco potężne, by utrzymało jego Moc, okazało się, że nie stał się bogiem w ciele byka, tylko bykiem z boską potęgą. Bo ciało zwierzęcia narzuciło mu swoją pamięć, swoje postrzeganie świata i swoje instynkty. Ta historia jest snuta od wieków, wypaczana i przekłamywana, ale ziarno prawdy, które w niej tkwi, brzmi tak – dusza połączona z własnym ciałem jest potężna. A raczej ciało połączone z duszą. Ono pamięta każdą rzecz, która mu się przytrafiła, każde uderzenie serca i każde muśnięcie wiatru na skórze. Ono jest naczyniem. A dusza wodą. Ale to naczynie nadaje kształt wodzie, którą je wypełnimy. *Awenderi* nosili ochronne tatuaże z kilku powodów, a jednym z nich było stworzenie bariery, muru między człowiekiem a duszą boga. Bez tego każde Objęcie odmieniałoby Nieśmiertelnego w zależności od tego, kto byłby jego naczyniem. Tatuaże, siła symboli, znaków, przywiązanie do formy… Wy, ludzie, widzicie to przecież do dziś, a ignorujecie, bo jest zbyt niewiarygodne i przerażające. W pewnym sensie wyświadczasz mu przysługę, odpierając jego na wpół świadome, odruchowe próby przejęcia twojego ciała, ale nie masz ochrony, więc mimo że on zanurzył się głęboko i rzadko wypływa na powierzchnię, wasze dusze powoli się mieszają.

— Próbujesz mnie przestraszyć?

— Ani myślę. Ale czy zastanawiałeś się, jak to jest być człowiekiem? Każdy nosi wór ze wspomnieniami, od dzieciństwa po starość. I te wspomnienia są jego częścią. Jeśli przeżyłbyś napad nesbordzkich zbójów, rzeź rodzinnej wioski, śmierć przyjaciół, porwanie i cudowne ocalenie, gdy ich łódź została przechwycona przez jeden z książęcych okrętów, to pewnie na widok każdego mieszkańca północy kuliłbyś się ze strachu albo sięgał po broń. Choćby w myślach.

— To oczywiste.

— A gdybym wyjął to wspomnienie z twojego worka i umieścił tam historię o piratach z jednego z południowych miast, którzy zrobili to, co Nesbordczycy wcześniej, napadli, wymordowali i ograbili twoją wioskę, a ciebie samego związali i wrzucili na dno swojej galery? A potem dodał wspomnienie o szlachetnych nesbordzkich wojownikach, którzy napadli na tę galerę, złupili ją, mszcząc twoją rodzinę, a ciebie, pchnięci kaprysem lub litością, odstawili na brzeg i obdarowali kilkoma orgami. Ot, taki gest współczucia dla sieroty. Pamiętaj, że zmieniam tylko kilka szczegółów, twarze napastników i wybawicieli, które po latach i tak byłyby zatarte i niewyraźne. Czy jednak nie stawiałbyś kolejki każdemu Nesbordczykowi spotkanemu w tawernie?

— Może.

— Więc widzisz, jak to się dzieje. Gdyby on przejął razem z ciałem twoje duchowe więzy, lęki, poczucie wdzięczności, miłostki, niechęć wobec jakichś ludzi – lub wręcz przeciwnie, lojalność i przyjaźń – przestałby być sobą.

— Mimo że jest bogiem?

— Bogowie też składają się ze wspomnień. Sądziłem, że już się domyśliłeś. Zwłaszcza że powoli się mieszacie.

Złodziej pokręcił głową.

— To nieprawda — powtórzył z uporem.

Oum westchnął i był to dźwięk, jakby wiatr zaszeleścił konarami tysiącletniego drzewa.

— Naprawdę jesteś uparty jak muł. Co zobaczyłeś, gdy wchodziłeś do tej komnaty?

Sięgnął pamięcią. Łatwo i szybko.

— Dwóch strażników przed drzwiami, mieli karaceny, topory na długich styliskach, hełmy, temu starszemu brakowało dwóch palców u lewej ręki.

— A po wejściu tutaj?

— Czterech ludzi. Bez pancerzy i hełmów, kordy, tasaki i noże. Krótkie włócznie, wszystko dobre do starcia w ciasnocie.

— Dobrzy byliby w walce?

— Tak. Mieli blizny po wielu pojedynkach na noże. Ten z lewej, w głębi, był mańkutem. Ten po jego prawej stronie miał coś z kolanem, dziwnie stawiał nogę. Ale poruszali się jak ludzie, dla których broń jest czę-

ścią ciała. Wielu nosi miecze, szable i sztylety, ale zazwyczaj widać, że czują się z nimi nie najlepiej, jak ubrani w nie swoje rzeczy.

— Jakie obrazy wiszą tu na ścianach?

Obrazy? Rozejrzał się. Na kawałkach desek ktoś namalował pejzaże z drzewami *vanuhii* wyrastającymi ponad koronę lasu. Jeden nawet pokazywał Dolinę z lotu ptaka. Wschody i zachody słońca kłuły w oczy ostrą czerwienią. Nie zauważył ich wcześniej.

Mógłby przysiąc, że kąciki drewnianych ust wygięły się drwiąco.

— Zawsze to przyciągało twoją uwagę? Najpierw ludzie i broń, potem ocena ich wartości jako ewentualnych przeciwników, zbadanie okolicy, co, gdzie i jak wykorzystać w przypadku walki? A poza tą salą? Nie zaczynałeś przypadkiem coraz częściej patrzeć na świat jak na pole potencjalnej bitwy? Nie nachodziły cię myśli i skojarzenia, o które nikt by cię nie posądzał? Nawet ty sam?

Altsin skinął głową.

— Może. A może nachodziły mnie takie głupie myśli, bo się ich spodziewałem? Może gdybym sądził, że opętała mnie Pani Wiatrów, zacząłbym bez przerwy puszczać bąki?

Coś błysnęło w oczach maski.

— Nie jesteś opętany. W każdym razie niczym innym poza głupotą i uporem. Ale dzięki temu jeszcze żyjesz. On nie jest zainteresowany przejęciem tego ciała nawet za cenę zmieszania waszych dusz.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Poznał cię i wie, że nie pójdziecie wspólną drogą. To mogłoby go zupełnie odmienić, a tego nie chce. Nie po to opuścił swoje królestwo, żeby pętać się po ziemi w ciele złodzieja i oszusta. Choć dużo bym dał za wiedzę, po co to zrobił.

Przerażające podejrzenie przetoczyło się przez głowę Altsina.

— On, czyli kto? — zapytał cicho.

— Obejrzyj się i powiedz mi, kto za tobą siedzi, przyjacielu. Kilka lat temu opowiedziała mi pewną historię. Tę o swojej matce, Świątyni Reagwyra i jego Mieczu. O tym, co z Miecza uczyniono. Właśnie dzięki tej historii przyjąłem ją do siebie, bo trzeba niezłomnego ducha i mnóstwa szczęścia, by dokonać tego, co zrobiła. A szczęście to bezcenna rzecz. Ale pięć dni temu uzupełniła historię o pewien szczegół. O ranę na dłoni jej towarzysza. Ponoć wcześniej nie uznała tego za ważne.

Złodziej mimowolnie zacisnął rękę.

— Nie poczułem go, gdy w ciebie wstąpił. Zrobił to cichutko, a jakiś czas później jego wtargnięcie zostało przyćmione innym, głośnym i brutalnym, które wstrząsnęło połową świata wrażliwą na takie rzeczy. A przez ostatnie lata ukrywał się w sposób niemal doskonały, choć ciekaw jestem, czy jego pojawienie się miało coś wspólnego z tą falą, która przetoczyła się niedawno przez świat… Czy wyprzedził narodziny…?

Oum zawiesił głos i Altsin nagle zyskał pewność. Bożek najpewniej sądził, że ma do czynienia z *awenderi* obecnego Pana Bitew, który po Wojnach Bogów zdołał zjednoczyć większość kawałków swojej duszy w jedno i zasiadł na tronie w swoim królestwie, by przyjmować hołdy śmiertelników z bezpiecznej odległości. Temu rzeźbionemu w drewnie durniowi nawet do głowy nie przyszło, że może być inaczej. Trafiała się okazja do uzyskania kilku odpowiedzi.

— Sądzisz więc, że Pan Bitew wysłał jakąś część siebie w konkretnym celu?

— Tak uważam. Bogowie rzadko to robią, kawałek boskiej duszy bez wsparcia armii wyznawców to łakomy kąsek, także dla innych Nieśmiertelnych. Zresztą, ze wsparciem wojska również, Imperium i tak rzuciłoby się na niego niczym wygłodniały kocur na rybią głowę. Poza tym wybicie dziury w Mroku wymaga olbrzymiej Mocy, a zysk może się okazać mizerny. Ale gdy ma się tu… małą furtkę w postaci miecza, który kiedyś służył za wejście do świata śmiertelników, i ktoś tę furtkę uchyli, to można przebić Mrok niemal bez używania Mocy, i nie budząc przy okazji wszystkich wokół. Dlatego, jak sądzę, zaryzykował. — Rozległo się ciężkie westchnięcie. — Nie mówię za dużo? Wybacz, od wieków nie rozmawiałem z nikim, kto nie padałby przede mną na kolana i nie ograniczał się do pokornego potakiwania. Nie ma większej samotności niż samotność boga otoczonego przez kochających go wyznawców, więc rozmowa z tobą jest odświeżającym doświadczeniem.

— Do rzeczy.

— Właśnie o tym mówię. — W słowach dało się wyczuć uśmiech. — Powtarzam, on zaryzykował i przeszedł, choć jestem pewien, że nie spodziewał się ciebie. No bo jak to? W samym sercu własnej świątyni spotkać zagubione seehijskie dziecko i miejskiego szczura? Zapewne wykorzystał okazję, będąc pewnym, że wejdzie w ciało jakiegoś kapłana. Wielu z nich

nosi znaki swojego boga na skórze, więc byłby w miarę bezpieczny. A trafiłeś mu się ty… Taki… kaprys losu.

— A skąd to nagłe zainteresowanie światem śmiertelników? Nie lepiej… bezpieczniej siedzieć we własnym królestwie i przyjmować hołdy? Tak jak robił to od zawsze.

Oum nie odpowiedział od razu, a jego wzrok nagle stał się śmiertelnie ciężki.

— Nie od zawsze, przyjacielu. Od czasu do czasu wasi bogowie sięgali po ten świat, bo byli pewni, że to już ten moment, albo żywili przekonanie, że ta chwila już nigdy nie nadejdzie. Ostatni raz stało się tak jakieś tysiąc lat temu, gdy otworzyło się Oko Agara, Laal osłabiła swoje królestwo, próbując zdobyć nowych wyznawców, Galleg prawie wdał się w wojnę z Anday'ya, a Bliźnięta… He, he, Bliźnięta były gotowe odwrócić swój los. A potem okazało się, że ona nie była tym, kim wszyscy się spodziewali, że będzie. A na dodatek zginęła szybko i głupio — głos boga przeszedł w półszept, a Altsin nagle przestał czuć spojrzenie przyciskające go do ziemi. — Potem przez wieki świątynie walczyły ze sobą, delikatnie kierowane niewidocznymi rękoma. Rzezie, pogromy, ekspansje na cudze tereny, święte wojny. Od czasu naszego powrotu ten świat nie tonął w takiej rzece krwi. I nagle… Meekhan. Małe, gówniane państwo-miasto, niemające nic poza garścią kiepskich czarodziejów, uporem, którego nie powstydziłby się granitowy głaz, i jej imieniem na sztandarach. I rozbijają jedną armię za drugą, a na Nieśmiertelnych pada strach, bo jeśli to już? Jeśli zajęci własnymi wojnami przegapili to… Niewidzialne ręce cofają się, wrota boskich królestw zatrzaskują, a walczące ze sobą świątynie tracą bezpośrednie wsparcie. I Imperium rośnie w siłę, bo ludzie mają dość nieustannych wojen i garną się pod jego skrzydła. Ale to nie było to. Więc może teraz będzie.

Altsin zdał sobie sprawę, że właśnie o tym wspominała Gualara. Stary, umierający bożek bełkotał bez sensu, gdy umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Pora przyciągnąć jego uwagę.

Złodziej nabrał tchu.

— To nie on — powiedział spokojnie.

Drewniana rzeźba oczywiście nie drgnęła, ale Altsin miał wrażenie, że jej wzrok spadł na niego ciężarem tysiąca balastowych kamieni.

— Co „nie on"?

— To nie ten Pan Bitew, o którym myślisz. Nie ten, który po Wojnach Bogów odszedł do swojego królestwa, żeby lizać rany.

— Nie?

To „nie” poprzedzało ciszę, bezdenną i lodowatą jak morskie głębiny.

— Nie. Nie wszyscy jego *awenderi* zebrali się z powrotem. Z tego, co wiem, jeden z nich został wygnany poza Mrok, ale nie do królestw Nieśmiertelnych.

— Tak?

Altsin wyczuł to „tak” w drżeniu podłogi i ścian. Nareszcie przyciągnął całą uwagę bożka Seehijczyków.

— Bitewna Pięść Reagwyra. Ten, który oszalał po śmierci córki i próbował rzezią odpowiedzieć na to, co uznał za swoją krzywdę. To on. — Złodziej popukał się w skroń. — Jest tutaj. I wiesz co? W jego wspomnieniach widzę, jak orzesz ocean brzuchem długim na ponad ćwierć mili. Płyniesz, choć nie potrzebujesz do tego wioseł ani żagli. I widzę, jak wielu takich jak ty przybija do naszych brzegów, by rabować i grabić, i pędzić ludzi w gardziele nienasyconych okrętów o burtach złotych, brązowych, czarnych i czerwonych. Widzę… pamiętam ochronne czary, których złamanie kosztowało życie wielu najlepszych magów, a nawet *awenderi*, i widzę, jak szturmowano wasze statki, aż wreszcie odpłynęły i uciekły poza krawędź świata.

Cisza pogłębiła się. Złodziej nie odrywał oczu od drewnianej twarzy, bo miał wrażenie, że jeśli to zrobi, jeśli na mgnienie oka opuści wzrok, przerwie bezgłośną próbę sił, to rozpęta się piekło.

— Patrzę i choć nie chcę w to uwierzyć, to muszę, bo jeśli ten obraz pokazuje prawdę — wskazał malunek ukazujący dolinę widzianą z lotu ptaka — to gdyby połączyć linią wszystkie zewnętrzne drzewa *vanuhii*, powstałby zarys statku. Długiego na ponad ćwierć mili, szerokiego na sto pięćdziesiąt jardów.

Cisza.

Altsin spiął się. Jeśli Oum nie odpowie, trzeba będzie wyrwać się stąd, pokonać strażników i pewnie z setkę wiedźm, przebić przez połowę wyspy, dotrzeć do Kamany, zdobyć jakiś statek i uciec.

Powinien zdążyć przed nocą.

— Dlaczego się uśmiechasz?

Głos boga był cichy i łagodny. I absolutnie spokojny.

— Głupie myśli mi chodzą po głowie. — Złodziej uśmiechnął się szerzej. — Pozwalam im na to, ot tak, dla zabicia czasu. Czy te wspomnienia są prawdziwe?

Cisza. Altsin poczuł mrowienie między łopatkami i odwrócił się powoli. Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął pogawędkę z Oumem, popatrzył na Aonel. Trzęsła się, jej twarz pokrywał pot, a włosy lepiły się do czoła. Bóg używał jej jako kanału dla Mocy i wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, ale gdy wreszcie złowił jej wzrok, w oczach miała determinację i zdecydowanie. Bez wahania umrze dla Ouma.

— Sztorm trwał dziesięć dni i nocy. Skończył się długo po tym, jak światło znów rozbłysło nad światem. — Na dźwięk pierwszych słów wiedźma otworzyła usta. — Nie wiem, ile dni trwała ciemność, trudno było ocenić bez słońca i gwiazd. Podobno siedem, jak później arbitralnie uznano, ale dla mnie mógł to być cały miesiąc. Postawienie bariery Mroku wokół świata… tylko szaleniec mógł się na to zdecydować, ale ona była szalona i potężna… Jakże potężna. Jednym ruchem łamała wszelki opór…

Złodziej spojrzał na oparcie tronu. Cienie kładące się na rzeźbie sprawiały, że wyglądała na… przygnębioną.

— Stworzono Mrok… ze wszystkich martwych snów i marzeń. Postanowiliśmy, że odpłyniemy. Nieśmiertelna Flota – nazwa więcej mówiąca o naszej arogancji i pysze niż wszystko inne – miała popłynąć w bok, szukać mitycznej pustej gałęzi. Ja… spóźniłem się. Zdążyłbym, ale wasz bóg mórz uznał za stosowne zjednoczyć swoich *awenderi* i nie całkiem mu to wyszło. Połączył się najpierw we cztery, potem w dwie części. Przyjęły imiona Ganr i Aelurdi, jakby chciały zachować ciągłość z tym, kim były wcześniej.

Ganeruldi – imię wypłynęło nie wiadomo skąd; towarzyszyło mu poczucie krzywdy i niesmak. Ganeruldi – krętacz, kłamca i nieudacznik.

— Moje wspomnienia… — Altsin ugryzł się w język. — Jego, jego wspomnienia mówią co innego. Odepchnięto was od brzegów wiele lat wcześniej.

— Od brzegów tak. Ale nie z oblicza mórz. Pływaliśmy, czekając i szukając innej drogi. Czasem nawet wspieraliśmy jedną lub drugą stronę w waszej wojnie, ale wtedy Bitewna Pięść był już szaleńcem, który mordował wszystko, co stanęło mu na drodze, nie interesując się resztą świata. Sam przewoziłem oddziały Gallega, które miały walczyć z tobą… z nim, na

południu. Potem… Gdy stało się jasne, że nie ma tu dla nas miejsca, odpłynęliśmy. Osiemdziesiąt siedem statków z dwustu sześciu, które rozpoczęły podróż. Część zginęła po drodze, na oceanach we wnętrzu światów, na morzach czerwonych od małych krewetek, których zjedzenie sprowadzało obłęd, wśród wiecznych sztormów Błędu Nissha, w walce z potworami morskimi wielkości gór. Część wiele lat wcześniej odłączyła się, by poszukać innej drogi, jeszcze zanim przybyliśmy tutaj. Potem wykrwawiliśmy się w tej głupiej, bezsensownej wojnie, która kosztowała nas wielu braci, a gdy padł rozkaz, odpłynęliśmy szukać gałęzi, która nas przyjmie.

— Ty zostałeś.

— Ale nie z własnej woli!

To był szept, ale zabrzmiał ze wszystkich stron naraz i aż zatrząsł złodziejem.

— Dałem się zaskoczyć sztormowi, który wybuchł, gdy Ganeruldi próbował połączyć swoich *awenderi* w jeden byt, rozpadał się, próbował i dzielił. Nigdy nie widziałem takich fal… Nigdy. Łamały się nade mną, zatapiając pokłady, i otwierały mi pod grzbietem przepaście bez dna. A gdy nadciągnął Mrok, zgubiłem się. Nie wiedziałem, gdzie są słońce i księżyc, a przecież potrafiłem je wyczuwać, nawet gdy chowały się za plecami świata. Gwiazdy stały się wspomnieniem, nastała ciemność. I w niej kołysałem się na oceanie szaleństwa, którym stały się tutejsze wody.

Bożek umilkł. Przerwa trwała tak długo, że Altsin zaczął podejrzewać, iż Oum zasnął.

— To był jakiś podwodny uskok albo góra — głos boga Seehijczyków stał się ledwo słyszalnym szeptem. — Nie wiem. Uderzyłem grzbietem i zgruchotałem go. Na wiele kawałków. Mniej więcej pół dnia przed tym, jak słońce pojawiło się na niebie. Moje dzieci… moje dzieci tonęły, gdy woda wdzierała się do środka. Uciekały coraz wyżej, ale ja wiedziałem, że nie dam rady ich ocalić. Tak. Byłem okrętem Nieśmiertelnej, okrętem i kapitanem w jednym. I zawiodłem. Ostatkiem sił znalazłem wyspę, wpłynąłem w gardziel jej największej rzeki i zatrzymałem się. A potem ziemia zatrzęsła się w największym skurczu, jaki pamiętał świat, i nagle urwiska wokół rzeki osunęły się, odcinając jej nurt. Maluaryna spiętrzyła się najpierw w jezioro, a potem znalazła sobie inne koryto, a ja… zostałem tu. Moje dzieci zaś… Moje dzieci były przerażone.

— Twoja… załoga?

— Nie. *Eihey*. To w moim języku młodsi członkowie rodziny, dzieci, wnuki, prawnuki. Oni nie byli załogą, tylko częścią naszego małego świata. Osiem tysięcy dusz… tylu ocalało. Ja… Gdy woda opadła, poczułem pod plecami wilgotną ziemię, kamienie, glinę, muł. Bolało… tak bardzo bolało… od setek lat unosiłem się na wodzie, a tu nagle głazy próbowały zmiażdżyć moje ciało od spodu. Wiedziałem, że nigdy już nie wyrwę się z objęć ziemi, bo to zaborcza kochanka, i nigdy nie popłynę przed siebie, wolny. Chciałem umrzeć. Nie masz pojęcia, jak bardzo wtedy chciałem umrzeć.

Cichy szloch kazał Altsinowi się odwrócić. Aonel miała zamknięte oczy, płakała.

— Ale nie mogłem. Moje dzieci… były bardziej przerażone i zrozpaczone niż ja. Nie potrafiły się odnaleźć, bały się stałego lądu, ziemi, trawy, drzew. Niektóre wybierały śmierć. Podcinały sobie żyły i skrapiały moje ciało krwią. Ty umierasz, a my nie możemy i nie chcemy żyć bez ciebie, mówiły. Osiem tysięcy dusz… Musiałem przeżyć. Chciałem umrzeć i chciałem przeżyć jednocześnie, i to pragnienie rzuciło wyzwanie przeznaczeniu.

Cholera, tym razem Altsin mógłby przysiąc, że drewniana twarz się uśmiecha.

— Moje ciało wzniosło do nieba pieśń życia, choć nikt nie sądził, że jest to możliwe. Zostałem wyrzeźbiony z żywego drzewa, które przypomniało sobie, czym było. Moje żebra-wręgi ubrały się w suknie z liści, mój połamany grzbiet odetchnął z ulgą, wypuścił korzenie i zamiast walczyć z ziemią, zaczął się nią karmić. Drzewo *vanuhii* ukazało się światu, który nie był gotów na jego przyjęcie.

— Drzewo?

— Jedno Drzewo. To, co widzisz nad ziemią, to nie pojedyncze drzewa, lecz gałęzie. Wszystkie mają jeden korzeń, wszystkie są częścią jednego Drzewa. Mnie. Dlatego nie wydaję owoców, nie rozpoczynam nowego życia. Nie mogę sam się zapłodnić. Ale wiatr roznosi pyłek z moich kwiatów daleko, a tutejsze dęby okazały się odrobinę spokrewnione. To wystarczyło, by powstał nowy, rosnący tylko na tej wyspie gatunek. Dąb anuhijski. Gdy odejdę, moje upośledzone potomstwo będzie szumiało przez tysiąclecia pieśń, której nie rozumie.

— A kiedy odejdziesz? — pytanie wystrzeliło z ust Altsina, jakby to nie on je zadał.

— Wkrótce — w głosie Ouma nie słuchać było urazy. — Co roku wiele moich sług oddaje życie, bym jeszcze trochę z nimi pozostał. Ale to cena, na którą przystaję coraz mniej chętnie. Na początku osiemdziesiąt trzy gałęzie wzbijały się w niebo. Teraz jest ich dwadzieścia dwie. Umieram, bo nawet bogowie się starzeją i umierają.

— Nie jesteś bogiem. Nie takim jak nasi. — Altsin zignorował oburzone parsknięcie siedzącej za jego plecami kobiety.

— Nie. Nie jestem. A jednak wasi bogowie potrzebowali wszystkich swoich sił, by zmusić nas do wycofania się. I atakowali każdy statek osobno, nie ośmielając się rzucić wyzwania całej Flocie. Więcej mnie z nimi łączy, niż jesteś w stanie pojąć, Altsinie Awendeh, który został *awenderi* szalonego boga. Wiesz… właśnie teraz zauważyłem to podobieństwo… Zabawne.

— Tak. Można pęknąć ze śmiechu. — Złodziej skrzywił się kwaśno. — Zamiast głupio się cieszyć, powiedz mi, dlaczego mnie nie zabiłeś.

— Och, gdy leżałeś nieprzytomny, rozważałem to. Osłabienie Reagwyra mogłoby się okazać dobrym posunięciem. Jednak wybrałem ofiarowanie mu schronienia i pomocy. Ale teraz? Gdy wiem, kim jesteś? Zabić współojca moich dzisiejszych dzieci?

Złodziej otworzył usta.

— Jak widzisz, nie tylko ty masz niespodzianki w zanadrzu. Aonel, pokaż mu Cstadar. Wszystko, co tam jest.

Interludium

— Co teraz?

Mała Kana nie odpowiedziała. Od kilku dni, odkąd wydostali się z paszczy szkarłatnego olbrzyma, nie opuszczała swojego pokoju, za jedyne towarzystwo mając milczącą Iavvę. Yatecha zdawała się nie zauważać, co z początku przyjmował nawet z pewnym zadowoleniem, lecz z każdym dniem trudniej mu było znaleźć sobie miejsce. Siedzenie w czterech ścianach i gapienie się w sufit wciągało go w wir myśli i uczuć, których za wszelką cenę chciał uniknąć. Ćwiczył, z bronią i bez, medytował, szukał uspokojenia w rytuałach dnia, lecz gdy to nie pomagało, wychodził na miasto.

Kiedy byli tu poprzednim razem, Ponkee-Laa zdawało się zwykłą metropolią. Olbrzymią, to prawda, pełną ludzi różnych narodowości, ras i religii, tętniącą życiem i pracą, ale nieróżniącą się od innych, napędzanych rzemiosłem i handlem miast, które odwiedzili. Lecz w ciągu ostatnich dni coś się zmieniło. Na ulicach, w sklepach, nawet w karczmach dało się zauważyć coraz bardziej wrogo nastawione frakcje. Yatech widział matriarchistów, obnoszących się z wisiorkami w kształcie złożonych dłoni, i czcicieli Reagwyra, dumnie paradujących ze swoimi tatuażami, a między nimi sporą grupę wyznawców innych Nieśmiertelnych, którzy obchodzili obie frakcje szerokim łukiem. Na razie żadna z grup jawnie nie pokazywała się z bronią, ale najwyraźniej w modę, mimo gorącej wiosny, weszły obszerne peleryny i sięgające ziemi płaszcze.

Kilka razy zaobserwował, że tam, gdzie zbierały się grupki wyznawców obu bóstw, niemal natychmiast pojawiali się miejscy strażnicy. Jak do tej pory to wystarczyło, ale tutejsza Starszyzna, czy jak tam zwano rządców miasta, nie da rady postawić kilku miejskich pachołków na każdej ulicy i w każdej karczmie.

Wcześniej czy później ktoś powie o słowo za dużo albo rzuci jedno kose spojrzenie w niewłaściwą stronę, a wtedy peleryny i płaszcze opadną na

ziemię.

Zastanawiał się, ile w tym, co się dzieje, jest ich winy. Czy właśnie wzrasta ziarno, które według Małej Kany zasiali? Jeśli tak, plon będzie krwawy.

Kanayoness najwyraźniej to nie obchodziło. Zamknęła się w swoim pokoju i udawała, że świat nie istnieje.

Po kilku dniach takiego zachowania Yatech wszedł do niej, usiadł naprzeciw i zadał pytanie, które nurtowało go, odkąd wrócili z czerwonej komnaty.

Ale nie doczekał się odpowiedzi, napotykając za to odległe, nieobecne spojrzenie. Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej policzka.

— Nie. — Pojawiła się z powrotem, a jej oczy i głos nabrały barwy i niebezpiecznej głębi. — Nie rozpraszaj mnie. Kazałam ci czekać. Cierpliwie.

— Zapasy mojej cierpliwości skończyły się trzy dni temu. Miasto jest na skraju wybuchu. Jak zaczną się zamieszki, nie dam rady cię obronić nawet z nią za plecami.

Skinął głową w stronę Iavvy, siedzącej w kącie z podkulonymi nogami i wykonującej serię oszałamiająco szybkich ćwiczeń ze sztyletami. Białe ostrza cięły powietrze z taką prędkością, że zdawały się zostawiać pod powiekami powidok ruchu.

Kanayoness przez chwilę zdawała się wsłuchiwać w dobiegający z ulicy gwar. Oblizała wargi szybkim ruchem, jak jaszczurka smakująca powietrze.

— Strach… dużo strachu. I… niecierpliwość. Byłam daleko… myślami. Mogę… odwiedzać miejsca, w których niedawno przebywałam, podglądać, patrzeć… Oum dotrzymał słowa, wyleczył go… ale nie wiem czemu, nie wysłał od razu w drogę. Na Południu… Dalekim Południu… Jest tak jak tu… Strach na ulicach. I oczekiwanie.

— Czy to z powodu tego, co powiedziałaś hrabiemu?

Pokręciła głową.

— Nie. Z pewnością nie. Jemu takie kłopoty nie są teraz potrzebne. Wyłania się schemat… którego do końca nie rozumiem… Nie podoba mi się to.

— Schemat?

Jej oczy znów zaszły lekką mgłą.

— Tu i tam… zamieszki i wojna. Wyznawcy Baelta’Mathran przeciw lokalnemu bóstwu. Ten… byt w mieczu, ten… protobóg… mógł wybrać sobie na przeciwnika mniejszą rybkę. Panią Wojny, Gallega, Dress, Byka, nawet cholerne Bliźnięta. Ale szczuje swoich kapłanów i akolitów na nią. Po co? Na Południu to samo… Agar nigdy nie toczył wojen o władzę nad ludzkimi duszami, a teraz jego wojownicy planują rzeź niewolników, którzy jak jeden mąż kłaniają się głównej bogini Imperium. O co w tym chodzi?

Zamrugała, odzyskując trzeźwość spojrzenia.

— Znasz odpowiedź na to pytanie? — rzuciła zaczepnie.

Pokręcił głową.

— Zabawiłaś się… wplątałaś w swoje plany Panią Losu. A ona toczy kości na kilku stolikach jednocześnie z kilkoma innymi… graczami. Każdy ma swój cel, lecz wszędzie widać cień jednej z trzech sióstr. Kitchi, Labaya, Ogewra. Zawsze są na miejscu. Tyle wiem.

— Och. — Machnęła ręką. — To, że Eyfra będzie oszukiwać, wiedziałam od początku. Zanim spotkałam się z Labayą. Nie interesuje mnie jej gierka, ja wywiązałam się z umowy i ona też. Mężczyzna, którego szukam, przybędzie do miasta, a ja przygotowałam mu godne powitanie.

— Ona może uważać inaczej. Poza tym… coś się zmieniło.

— Co?

— Ty. Ty się zmieniłaś. Od tamtej nocy, gdy Iavva przyszła po mnie. Tamtej, gdy…

Zmarszczyła brwi, zniecierpliwiona.

— Ta noc… nie była aż tak ważna, jak sądziłam. Gdyby coś się wtedy narodziło, świat trząsłby się i drżał w posadach, a panuje cisza.

Yatech zmrużył oczy i skrzywił się, jak można być tak… rozdwojonym. Być z jednej strony istotą tak potężną, że rozmawia jak równy z samymi bogami, z drugiej zaś dziewczyną niezbyt bystrą i ślepą na to, co się dzieje wokół.

— Cisza? Byłaś na ulicy? Wyjdź, a zobaczysz ciszę. Jak na polu bitwy przed pierwszą szarżą. A w mieście Agara? Sama mówiłaś, że zaczyna się tam gotować. Choć miał być spokój. Pamiętasz? Od kiedy oba miasta zmierzają ku rzezi?

— Od dawna. — Posłała mu szczególny uśmieszek, zarezerwowany dla głupców, którzy ją bawią. — W Ponkee-Laa od wielu miesięcy Świątynia

Reagwyra pozyskuje nowych wyznawców, a na Południu… och, na Południu tamtejsze problemy z niewolnikami mają jakieś tysiąc lat.

— Tak. Ale czemu to się dzieje teraz? W obu miastach jednocześnie? Przecież gdy odchodziliśmy z Konoweryn, wszystko szło ku lepszemu, prawda? Mężczyzna w szkarłacie przegrał, na tronie miał zasiąść łagodny i dobry książę. Tutaj też jeszcze niedawno panował porządek, pamiętam, reagwyryści tatuowali sobie znak swojego boga, ale nie parli do walki. Wszystko zaczęło iść źle po tamtej nocy. Co się wtedy wydarzyło?

Jej uśmieszek przeszedł w grymas skupienia.

— Chodzi ci o bitwę na północy? Mówią, że kruki były tak najedzone padliną, że nie potrafiły wzbić się do lotu… nie, nie odzywaj się. Było wiele śmierci, wiele dusz wyrwanych z ciał, użyto potężnych bitewnych czarów. To ich echo słyszałam.

Pamiętał, jakimi wieściami żyło przez kilka dni miasto. Se-kohlandczycy przegrali wielką bitwę z wracającym do swojej ojczyzny ludem wygnańców. Świątynie i kapliczki Laal ustroiły się na tę okoliczność w barwne wstęgi i girlandy kwiatów. Kapłani Gallega ścięli włosy na znak smutku. I tyle. Żadnych religijnych zamieszek, choć może to dlatego, że zarówno jeden, jak i drugi kult miały w Ponkee-Laa niewielu wyznawców.

— Jesteś pewna? Ile wojen i bitew stoczono na świecie przez ostatnie lata? Ile ech budziło cię w nocy? I nie tylko ciebie, jeśli dobrze rozumiem. Ile razy Pani Losu posłała w te miejsca jedną z sióstr. Ile? I ile razy potem nagle wszystko szło ku wojnie, tutaj i na Dalekim Południu.

Mówił powoli, nie podnosząc głosu ani nie akcentując poszczególnych słów. Widywał ją już z taką miną, skupioną i poważną. Jeszcze nie nadeszła chwila, gdy ta łuskowata, jadowita obecność wyglądała z jej oczu, lecz miało się wrażenie, że w ich głębi coś drga lekko, jak tafla wody wzburzona nagłym ruchem.

— Do czego zmierzasz?

Tak. Zdecydowanie musi być ostrożny.

Nabrał powoli powietrza i jej powiedział.

Rozdział 13

Wszyscy skądś pochodzimy. Nie ma ani jednej istoty, która wzięłaby się znikąd, ani jednego wydarzenia, które zaistniałoby samo z siebie. Zawsze jest jakiś początek. Banał zawarty w tym stwierdzeniu skrywa głębszą prawdę. Bo cóż zrobimy, jeśli okaże się, że korzenie każdego z nas, nawet tych, którymi gardzimy i nienawidzimy, są wspólne? Że największy wróg to nasz brat?

Korzenie Seehijczyków sięgały dalej w przeszłość, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Altsin stał przy kamiennej ścianie i wodził palcami po jej płaszczyźnie. Stara. Potwornie stara i zniszczona. Jako jedyna w okolicy sięgała w górę na wysokość kilku stóp. Reszta pozostałości po budynkach ledwo wystawała nad powierzchnię gruntu, ot, trzy cale kamieni ułożonych tak, że tworzyły zarys długich ścian. Naliczył dwadzieścia prostokątów o bokach osiem na trzydzieści jardów. Nie zachowały się żadne ślady podziału ich wnętrz, więc na pierwszy rzut oka ktoś mógłby to uznać za fundamenty stajni przeznaczonych do hodowli bydła.

W gruncie rzeczy niewiele by się pomylił. Pamięć podsuwała Altsinowi wyjaśnienie, ale odrzucał je raz za razem. Obozy rozrodcze, w których kobiety wydawały na świat dzieci tak długo, jak mogły, i wysyłały je na wojnę swoich bogów. A gdy już się wyjałowiły i nie mogły rodzić, brały broń i ruszały za nimi.

Uderzył pięścią w ścianę, przyciągając zdumione spojrzenie Aonel.

To chyba największa siła ludzi, pomyślał. Umiejętność ignorowania prawdy, jeśli jest dla nas niewygodna. Odrzucania wszystkiego, co może zburzyć nasz spokój albo zmusić nas do zmiany poglądów.

Nie chciał, żeby to była prawda. Chciał wierzyć, że ta część wspomnień Reagwyra była fałszywa. I że nie zrobiono tego, o czym opowiedział mu Oum, gdy Aonel poszła przekazać jego wolę reszcie i przygotować się do dwudniowej podróży.

— Moje dzieci bały się stałego lądu, bały się lasu, drzew, strumieni i rzek. Ale wiedziałem, że nie mogą wiecznie żyć w resztkach tego, czym się stałem, niczym robactwo rojące się w trupie. Choć nie masz pojęcia, jak trudno znaleźć ochotników, którzy opuściliby tę dolinę i poszli na zwiad. — Cichy śmiech obiegł złodzieja ze wszystkich stron. — W końcu zgłosiła się Rauna Gha Noir. Była… ty byś powiedział, że była oficerem dowodzącym oddziałem abordażowym. Odważna kobieta, umiała walczyć, brała udział w wielu bitwach, znała nawet kilka tutejszych języków. Z jej oddziału przeżyło osiemnastu ludzi i tylko trzech — westchnął — tylko trzech znalazło odwagę, by pójść na zwiad wraz z nią. Tak bardzo przerażało ich to, co mogło czekać poza Doliną.

Altsin skinął głową i zaczął się ubierać. Przynieśli mu miejscowe rzeczy, sukienne spodnie i lnianą koszulę, solidny pasek, onuce i buty. Gdyby zgolił brodę, na pierwszy rzut oka mógłby uchodzić za jednego z miejscowych.

— Rauna wzięła broń, swoich ludzi, zapas jedzenia na kilka dni, i poszła. Na początku wędrowali wokół doliny, nie dalej niż na pół dnia drogi od niej, później zrobili zwiad wzdłuż rzeki, a potem brzegiem morza ruszyli na południe. Nigdzie nie spotkali ludzi, choć znajdowali ślady osad, pola zarośnięte chwastami, resztki dróg, a nawet stada zdziczałych owiec i kóz. Gdy opuszczano wyspę, na statkach zabrakło miejsca dla zwierząt. Tak wtedy myśleliśmy.

Złodziej poprawił pasek, wzuł buty i na wszelki wypadek, by dać znać, że słucha, pokiwał głową.

— Pomyliliście się?

— Tak. Bardzo się pomyliliśmy.

Coś w głosie Ouma sprawiło, że zastygł w pół ruchu i spojrzał uważnie na tron.

— Po miesiącu Rauna skierowała się na północ, w głąb lasu. I tam natknęła się na Imiliego oraz jego kobiety.

— Imwili — słowo wyrwało mu się z gardła samo, bezwiednie, wspomnienia boga pchały się do przodu jak ciekawskie dzieci. Oum miał rację, przenikali się z kawałkiem duszy Reagwyra coraz łatwiej i szybciej. — Nazywał się Imwili z Ganwert. Był *awenderi,* nosił tatuaże, ale nigdy nie doświadczył pełnego Objęcia. Stracił nogę w bitwie z *venleggowi* i posłano go, by pilnował jednego z obozów dla rodzących kobiet.

— Tak to pamiętasz?

— On… Bitewna Pięść sam go wybrał do tego zadania. To miała być nagroda za wierną służbę. Na polu bitwy z beznogiego *awenderi* nie byłoby żadnego pożytku, a w obozie mógł się przydać. — Altsin potrząsnął głową, skonsternowany. Ta wiedza przychodziła tak naturalnie, jakby przypominał sobie własne życie.

— Tak. I to właśnie znaleźliśmy. Obóz dla kobiet, których jedynym zadaniem było rok w rok rodzić dzieci, które Imwili miał szkolić, by gdy skończą czternaście lat, wysyłać je na kontynent. To były twoje obozy, Bitewnej Pięści Reagwyra, założone, nim doszczętnie pogrążył się w szaleństwie. I dlatego kazano je zmieść z powierzchni ziemi. Wszystkie.

Te słowa nim wstrząsnęły, choć, do ciężkiej cholery, powinien tylko się uśmiechnąć i wzruszyć ramionami. To nie miało nic wspólnego z Altsinem Awendeh z Ponkee-Laa.

Ale zabolało tego drugiego.

— Jak to?

— Nie wiesz? On nie wie? Gdy zaczął szaleć, mordować wszystko na swojej drodze, zabijać nawet posłańców od innych Nieśmiertelnych, postanowiono go osłabić. Nikt nie mógł przejąć tych obozów, gdy znak Pięści płonął na skórze ich mieszkańców, więc wysłano żołnierzy, by je zniszczyli. Galleg, Laal i Dress wyznaczyli do tego zadania swoje najmniej wartościowe oddziały. Dezerterów, bandytów, żołdaków wcielonych przymusowo do armii, kilku marnych czarowników. Nie spodziewali się większego oporu, w obozach były głównie kobiety, trochę mężczyzn, którzy mieli je zapładniać, i mnóstwo dzieci.

Oum zamilkł, pozwalając, by cisza wypełniła przestrzeń między nimi, i w tej ciszy Altsin zaczął się zmagać z niechcianymi wizjami. To przeszłość zbyt odległa, by miała znaczenie, powtarzał, a poza tym to nie jego ludzie. To nie były jego kobiety, mężczyźni i dzieci. Ich los nic go nie obchodził. Tylko dlaczego, cholera, czuł, jak coś podjeżdża mu do gardła, a ręce drżą?

— Oglądaliśmy ślady — podjął bóg — a było ich sporo, mimo że od… czyszczenia wyspy minął ponad rok. Część obozów dała się zaskoczyć, nie spodziewano się tego ataku, część zdobyto po krótkim oblężeniu. Nie brano jeńców, nie o to przecież chodziło, celem było pozbawienie Bitewnej Pięści wyznawców, którzy wznosili do niego modły, i rekrutów, gotowych za

niego umierać. Wymordowano mieszkańców dziesięciu z jedenastu obozów. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszystkich.

— A ostatni obóz?

— Ten, którym opiekował się Imili? To znaczy Imwili, jeśli mówisz, że tak miał na imię, nie pamiętam dokładnie. Ten obóz stawił opór. Jednonogi wojownik stoczył tu swoją przedostatnią kampanię. Miał pod opieką jakieś dziesięć tysięcy ludzi, z czego jedna trzecia to były niedobitki z reszty wyspy. Ukrył kobiety i młodsze dzieci w lasach i na wzgórzach przy zachodnim brzegu. Z nielicznych mężczyzn i tych kobiet, które potrafiły i chciały walczyć, stworzył straż. Uzbroił też starsze dzieci, dwunasto- i trzynastoletnie, które i tak kończyły już szkolenie wojskowe, i zaczął nękać najeźdźców. Lasy pokrył siecią dołów, spadających pni i innych pułapek, zatruwał źródła i niszczył zapasy jedzenia. Strzelał w plecy i podrzynał gardła śpiącym. Powinniśmy opłakiwać to, że nikt nie spisał pieśni o jego wojnie.

Altsin poczuł nieoczekiwany napływ dumy. Dumy z tego wojownika, jego determinacji i poświęcenia. Cholera, tego już za dużo. Potrząsnął głową – wynoś się!

Nie pomogło.

— Walczył przez pół roku. Może dłużej. Oddziały Gallega i innych bogów wkrótce zaczęły unikać zachodniej części wyspy, nawet towarzyszący im czarownicy nie ośmielali się tam zapuszczać od momentu, gdy Imwili wciągnął dwóch z nich w pułapkę, schwytał żywcem i wbił na pal. Ale dla Nieśmiertelnych cel i tak został osiągnięty, Bitewna Pięść stracił źródło nowych wojowników, a ci, którzy ocaleli, przestali się do niego modlić, bo tak się najczęściej dzieje, że odrzucamy bogów, którzy są obojętni na nasze cierpienia. Więc po pół roku wycofali swoich ludzi, żeby ich nie tracić w niepotrzebnej wojnie podjazdowej. Opuszczając wyspę, zniszczyli wszystko, co udało im się znaleźć, i odpłynęli, by już nie wrócić. Nic nie powiesz? Wyglądasz, jakbyś bił się z myślami i dostawał lanie.

Dostawał, i to niezłe. Jakaś część złodzieja chłonęła tę opowieść z większą uwagą, niż poświęciłby jej on sam. I choć próbował tę część zdławić, nie wychodziło.

— Gualara opowiedziała mi waszą legendę. O Imwilim i Ruanie. O ich pojedynku i…

— O tak. — Chichot Ouma wstrząsnął całą komnatą. — Potrzebowaliśmy tej legendy, żeby się jakoś dogadać. Oni… byli obcy, kilka tysięcy kobiet i podrostków z plemienia, które mówiło innym językiem i czciło innego boga. Choć wtedy nie kłaniali się już żadnemu. I moje dzieci, osiem tysięcy zagubionych, przerażonych dusz. Wiesz, jak było naprawdę? Rauna wpadła w jedną z pułapek zastawionych przez Imwiliego. A gdy siedziała w dole z nogą przebitą zaostrzonym kołkiem, zjawił się osobiście, obejrzał ją, rozpoznał, bo moje dzieci miały wyróżniającą się urodę, i postanowił zabić. Tak po prostu. Ubłagała go, by tego nie robił, podając się za samotnego rozbitka i przysięgając służbę i posłuszeństwo do końca życia. A gdy, zwiedziony przysięgami, Imwili wyciągnął ją z pułapki, wbiła mu nóż w brzuch. Co ty na to?

Altsin uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Przysięga dozgonnej wierności i nóż w brzuchu? Czemu się dziwisz? Tak jest w każdym małżeństwie.

Oum zarechotał.

— No tak. Potem przyszła burza. Wielka i potężna, trwająca trzy dni i noce, a oni… leżeli w jamie pod drzewem, oboje ranni i chorzy, a gdy burza przeszła, nie mieli już ochoty się pozabijać. Gdy Rauna stanęła przede mną wraz z Imwilim, wiedziałem, że to nasza szansa. U nas było więcej mężczyzn i byliśmy lepiej uzbrojeni, ale moje dzieci nadal nie chciały opuszczać doliny. Kończyły się zapasy, zaczynaliśmy głodować, a nie wiedzieliśmy nic o życiu na lądzie, polowaniu na miejscowe zwierzęta, hodowli czy uprawie ziemi. Oni mieli tę wiedzę, lecz brakowało im rąk do pracy i sił, by się obronić.

— Wcześniej pokazali coś innego.

— Owszem. Ale walka z najeźdźcami kosztowała ich wielu zabitych i rannych i gdyby potrwała dłużej, najpewniej by przegrali. Więc byliśmy sobie nawzajem potrzebni, ale potrzebowaliśmy też czegoś, co zmieni nas w jedno plemię.

— Magii?

Bóg znów się zaśmiał, i to całkiem głośno. Altsin miał wrażenie, że razem z nim śmieje się cała dolina.

— Tak. Magii. Najpotężniejszej, jaka istnieje. Opowieści. Zastanawiałeś się kiedyś, co czyni z rodów i klanów plemiona i narody? Co sprawia, że jesteś skłonny uznać za rodaków ludzi, którzy nie są z tobą spokrewnieni,

inaczej wyglądają, czasem nawet mówią innym językiem lub wyznają innego boga? Historie snute do uszu dzieci, przyjacielu, opowieści tkane przed snem. Meekhańczycy mają powiedzenie „Z Com Gowel mój ród”. Wiesz, co ono znaczy?

Lekcje historii, które pobierał jako dziecko, na coś się przydały.

— Pod Com Gowel była jakaś bitwa.

— Nie jakaś, ale pierwsza z bitew, które zapoczątkowały historię Imperium. Tam, na początku swojej drogi do dominacji nad resztą kontynentu, Meekhan pierwszy raz wzniósł broń w imię Baelta’Mathran i pokonał Siostry Wojny. Gdy dorastasz jako Meekhańczyk, słyszysz opowieść o pierwszym cesarzu i tej bitwie już jako dziecko. Potem poznajesz historię oblężenia Gnouwm, dzieci Wahili, siedmiu odważnych na moście, kamienia w bucie generała. Każdą cegiełkę, która tworzy twoją tożsamość jako obywatela Imperium. Meekhańczycy są w tym świetni. Dziś nawet potomkowie dzikusów na Północy czy Wschodzie, którzy kilkaset lat temu mieszkali w ziemiankach i płodzili dzieci z własnymi córkami, mówią „Z Com Gowel mój ród” i uważają się za część Imperium. Bo tym właśnie jest naród, nie skałą, jak chcą niektórzy poeci, ale pękiem gałązek powiązanych wspólnymi historiami. Potęga opowieści jest niezmierzona.

— O co właściwie ci chodzi?

— O? Irytujesz się. Ty czy on? Mamy jeszcze czas, Aonel musi znaleźć kilka rzeczy — ton Ouma stał się na moment irytująco pobłażliwy. — Ja też potrzebowałem opowieści, która przełamie nieufność i ukaże drugą stronę jako równorzędną i godną szacunku. Która zwiąże nasze ludy. Więc Rauna opowiedziała nam historię o pojedynku z wielkim wojownikiem, strzegącym osady kobiet i dzieci przed okrutnymi mordercami, a on opowiedział swoim ziomkom o walce ze szlachetną wojowniczką, która przybyła na wyspę w poszukiwaniu miejsca dla własnego ludu i boga. No i oczywiście oboje mówili o wielkiej miłości, jaka między nimi zapłonęła. A potem musieli się pobrać, by przypieczętować związek dwóch światów.

Altsin westchnął, to było dość oczywiste.

— Nóż w brzuchu mieli już za sobą. Czy… — zawahał się.

— Tak. Byli dobrą parą. Mieli wiele dzieci. I z tego, co pamiętam, miłość też ich nie ominęła. Historia ich spotkania była pierwszą z opowieści wiążących twoje… jego i moje dzieci w jeden naród. A za ich przykładem poszli inni. Pojawił się pewien problem z nierówną liczebnością płci,

więc przez pewien czas małżeństwa dwóch kobiet z jednym mężczyzną nie stanowiły nic niezwykłego. Potem się wyrównało.

Trzasnęły zewnętrzne drzwi.

— Aonel wraca. Chcę, żeby ci pokazała coś więcej, coś, czego zapewne nie wiedziałeś o swoim gościu.

— Co?

— Zobaczysz. Inaczej nigdy nie zrozumiesz, czemu Seehijczycy, mimo że są potomkami Reagwyra, zabijają każdego jego kapłana, który ośmieli się postawić stopę poza Kamaną.

To były ostatnie słowa, jakie Altsin usłyszał od Ouma. A teraz, po dwóch dniach przedzierania się przez wzgórza porośnięte gęstym borem, stał przed resztkami kamiennego muru i zaciskał pięści. Do tej pory mógł sobie wmawiać, że część wspomnień, które odziedziczył po *awenderi* boga wojny, była fałszywa, że widział jakieś majaki, bredzenia pogrążonego w malignie umysłu, że nie było mordów, rzezi, brodzenia po kolana we krwi ani nieustannych skarg niewinnych, cichnących pod pieszczotą rzeźniczych noży. W gruncie rzeczy chciał wierzyć, że to raczej fragmenty koszmarów nawiedzających boga niż odzwierciedlenie rzeczywistych wydarzeń. Ale teraz?

Stał w miejscu, gdzie kiedyś mieścił się obóz, w którym kobiety trzymano jak zwierzęta rozpłodowe, użyteczne dopóty, dopóki mogą wydawać na świat dzieci, i patrzył na wiedźmę, która mogła być w linii prostej potomkiem jednej z nich.

Słowo „przepraszam” cisnęło mu się na usta z taką siłą, że musiał zagryźć zęby, aż ból w tym złamanym przywrócił go do rzeczywistości. To nie on powinien przepraszać. Nie tu i nie teraz.

Aonel patrzyła na niego spokojnie, a jej stara twarz z zatopionymi między zmarszczkami oczyma młodej dziewczyny nie wyrażała żadnych uczuć. Czekała.

Altsin westchnął i usiadł pod murkiem, opierając się plecami o chłodny kamień. Kręciło mu się w głowie, a na usta cisnęły się setki pytań. Po kolei.

— Czy teraz masz ochotę porozmawiać? — zapytał.

W czasie drogi ucinała każdą próbę pogawędki, nawet takiej o pogodzie. Altsin wiedział, że towarzyszą im inne wiedźmy, słyszał je wokół, ale nie sądził, by to ich obecność była powodem jej milczenia.

— Nie. Ale muszę, bo Oum rozkazał mi odpowiedzieć na każde twoje pytanie całkowicie szczerze i najlepiej, jak potrafię — odrzekła spokojnie.

— Pytaj.

— To miejsce, jak on je nazwał?

— Cstadar. Tak nazywał je Imili.

— Imwili. Dobrze, dobrze. — Złodziej uniósł ręce w obronnym geście. — Niech będzie Imili. Nazwy się zmieniają, imiona też mogą. Cstadar…

Słowo nie budziło w nim żadnego skojarzenia.

Tu był obóz dla kobiet. Jeden z wielu. Gdzie były inne?

Zapytał o to.

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Nie zachowały się żadne ślady ani wzmianki. To miejsce jest szczególne, bo to właśnie tu Imili stoczył pojedynek z Rauną.

— Wierzysz w tę legendę?

— To legenda, nie musi mówić całej prawdy i tylko prawdy. Ważne, ile znaczy dla nas.

— Racja. Coś podobnego usłyszałem z ust Ouma. — Wyciągnął z worka kawałek placka i butelkę miejscowego wina. — Usiądź, mam wiele pytań.

Usiadła, ale nie przyjęła poczęstunku. Altsin wzruszył ramionami i pociągnął kilka łyków. Wino było lekkie, słodkawe, z miodową nutą, zupełnie inne niż te robione na kontynencie. Skupił się na jego smaku, żeby opanować rozszalałe myśli. Pytań miał dużo, ale to najważniejsze postanowił zachować na koniec.

— Zbroicie się? Wy, Czarne Wiedźmy — uściślił, gdy zmarszczyła brwi.

— Skąd… aaa, Gualara. Rozumiem. — Przez chwilę bawiła się, nawijając kosmyk włosów na palec; gest dziwnie nieprzystający do zmarszczek i plam wątrobowych na dłoniach. — Jedna z ostatnich z pokolenia, które uznało, że weźmiemy na siebie ciężar służby, ale zrezygnujemy z prawa do wyboru własnej drogi. Tak. Zbroimy. Od wieków Dolina Dhawii nie miała właściwie żadnej ochrony, nie potrzebowała, Oum był naszą tarczą, jeśli wiesz, o czym mówię. Ale on słabnie, a wśród plemion od czasu do czasu roznoszą się plotki, że umarł. Po ostatniej takiej wieści trzech wodzów wyruszyło do Doliny na czele zbrojnych orszaków z zamiarem usadzenia swoich tyłków na czerwonym tronie, i dopiero u jej granic zatrzymała ich wola Ouma.

— A nie przygotowujecie się przypadkiem na przejęcie władzy po jego śmierci?

— Oczywiście, że tak. Gualara i jej siostry wolały udawać, że to nigdy nie nastąpi, że można się wiecznie ścigać z nieuniknionym. My nie. Ta wyspa od dwustu lat pogrąża się w bagnie rodowych zemst, krwawych odwetów i honoru pojmowanego z subtelnością pięciolatka. Rządzą tym wszystkim reguły na wpół spisane, na wpół wymyślane na bieżąco. Straciliśmy nad tym kontrolę, choć na początku wydawało się to nawet dobrym pomysłem znaleźć plemionom zajęcie, by nie patrzyły zbyt uważnie w stronę Doliny, by nauczyły się żyć, gdy jego… zabraknie. Ale teraz sądzę, że wtedy popełniono błąd, pozwalając, by *treiwics* stało się dominującą filozofią działania. Nie, nie filozofią. — Skrzywiła się. — Większość moich rodaków nawet nie zna tego słowa. Po prostu stylem życia na Amonerii. Tylko Oum trzyma teraz wszystko razem, gdy odejdzie, wyspa rozpadnie się jak kupka siana na wietrze. Potem podbije ją ten, kto pierwszy zgromadzi większą flotę.

— Naprawdę?

Zmarszczyła gniewnie brwi.

— Po co te pytania? To nie twoje sprawy.

— Moje, póki tu jestem. Wasz bóg darował mi życie, nawet gdy dowiedział się, kto we mnie siedzi, i usiłuję teraz dociec dlaczego? Co go do tego skłoniło?

— To, co wydarzyło się daleko na północnym wschodzie. Co wzburzyło falę, która zwróciła uwagę każdej Potęgi, jaką znamy. W tym szukaj odpowiedzi. Gdy fala dotarła do nas, Oum obudził się i zaczerpnął Mocy, jak nigdy za mojego życia. Nawet w czasie najazdu Nesbordczyków, gdy musiał ogłosić *kameluuri*. Wiele moich sióstr oddało życie tej nocy, a on nie robił nic, tylko wytężał uwagę, smakował zmiany w aspektach, szukał czegoś. A potem spojrzał na południe i znalazł ciebie. Nasz bóg nie wierzy w takie przypadki.

— I kazał mnie przyprowadzić.

— Tak.

— A wy chciałyście mnie zabić?

Uśmiechnęła się chłodno.

— Powiedzmy, że były takie propozycje. Szeptane w myślach. Ale Oum kazał. Gualara nie musiała ci towarzyszyć.

— Odniosłem inne wrażenie. Poza tym sądzę, że ona przede wszystkim zamierzała mnie sprawdzić. Gdyby uznała, że jestem groźny dla waszego

boga, spróbowałaby mnie powstrzymać.

— Może. Jest głupia i uparta oraz uważa, że działamy na szkodę Ouma, ale nigdy nie twierdziłam, że jej lojalność osłabła.

— A działacie na szkodę Ouma?

— A sądzisz, że on nie wie, co robimy? — odbiła pytanie. — Że mogłybyśmy cokolwiek zrobić bez jego wiedzy? Nie dopuścimy do tego, by ta wyspa rozpadła się na kawałki, a potem została przykryta nesbordzkim lub fiilandzkim butem. Jeśli będzie trzeba, narzucimy porządek siłą.

— Nie dacie rady same, czy nawet z poparciem mniejszych klanów. Jest was za mało.

— Naprawdę? Co wiesz o prawdziwej sile, złodzieju? W dolinie mam ponad setkę sióstr i dość zbrojnych, by pokonać sojusz nawet kilku największych plemion, takich jak Oomni, K'warasi czy moi Ghamlakowie.

— No to wszystkie zjednoczą się przeciwko wam.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od dwóch dni.

— No właśnie.

Ten uśmiech powiedział mu wszystko.

— Och… psiakrew.

Taki plan budził podziw śmiałością i szaleństwem jednocześnie. Pokonać skłócone plemiona jedno po drugim albo zmusić je, by zawarły sojusz przeciw Dolinie Dhawii, nie w narzuconym przez boga *kameluuri*, ale kierowane zimnym, logicznym pragmatyzmem. A potem co? Poczekać, aż wybiorą wodza, a następnie złożyć mu hołd i przysiąc służbę? Przywódca potężnej koalicji, mający do dyspozycji całą potęgę Czarnych Wiedźm, może być dość silny, by utrzymać się na szczycie. Tak czy siak, wyspa zostanie zjednoczona, a wiedźmy z Doliny będą rządzić – wprost lub zza pleców jakiegoś koronowanego głupca. Imponujące.

I desperackie.

— Tysiąc rzeczy może się nie udać.

— Jedyne rzeczy, jakie na pewno się nie udają, to te, których nikt nie próbuje robić.

— Mądrość seehijskiej wiedźmy?

— Mądrość kobiety, która wybrała. Oddać najlepsze lata własnemu bogu czy stać z boku i patrzeć, jak wszystko, co kocha, ginie? Nie zrozumiesz.

Bardzo się starał dostrzec w jej oczach złośliwość lub drwinę, ale nie potrafił. Patrzyła szczerze i otwarcie.

— Nie lekceważ mnie — mruknął.

— Nie lekceważę. Oum cię docenia, więcej, jest pełen podziwu. Opierasz się półboskiemu bytowi, choć większość ludzi uległaby mu już dawno. Nasz pan powiedział mi, że nie wie, co tobą kieruje, oprócz głupiego uporu, ale szkoda, że nie znalazłeś sobie jakiegoś dobrego celu w życiu. Mógłbyś wiele dokonać.

— Miałem cel w życiu. Dobrze je przeżyć i nie zawisnąć zbyt szybko, ale odkąd spotkałem ciebie i twoją matkę w podziemiach świątyni, byłem, tak jakby, zajęty innymi rzeczami.

Zmierzyli się wzrokiem. Ani myślała opuścić oczu.

— Chcesz mnie o coś zapytać, pytaj. Obiecałam Oumowi, że będę szczera.

— Dobrze. Czy… — Altsin zawahał się. Cholera, w wyobraźni toczył tę rozmowę setki razy i nigdy nie miał oporów, by to powiedzieć. — Czy ona wiedziała, co się stanie, gdy kazała mi wytrzeć dłoń o rękojeść? Czy wiedziała, że może mnie opętać coś takiego jak Bitewna Pięść?

Spojrzenie Aonel złagodniało.

— Wiesz, nie tego pytania się spodziewałam. — Uśmiechnęła się dziwnie. — A odpowiedź brzmi: nie wiem. Moja matka też służyła Oumowi. Była jedną z naszych wiedźm, które podróżowały poza wyspę, by badać pozostałości z dawnych czasów. Była nawet w Ponkee-Laa obserwować procesję Drogi Wojownika. A tu, w Kamanie, rozpytywała u kapłanów Reagwyra, czy da się zbliżyć do tego ich boskiego Miecza. Umówili się z nią na spotkanie, na które już nie dotarła. Myślę, że wasza świątynia potrzebowała akurat ofiary, a moja matka sama weszła im w ręce.

— To nie moja świątynia.

W jej oczach zatańczyły iskierki rozbawienia.

— No wiesz, akurat w twoim przypadku… — zawiesiła głos.

Zignorował zaczepkę.

— Twoja matka szukała artefaktów po Wojnach Bogów na polecenie Ouma? Tak jak Gualara? I inne wiedźmy?

Skinęła głową.

Pojął, że Aonel zastąpiła ją w szeregu kobiet służących umierającemu bożkowi i oddających mu większość swoich sił życiowych.

— To też *treiwics?* Przejęłaś obowiązki po matce, bo nakazywał ci to honor rodu?

Jej spojrzenie stało się otwarcie kpiące.

— Nie. Nie musiałam niczego robić ani udowadniać. Sama chciałam. A jeśli do tej pory nie zrozumiałeś, że jeśli jesteś panem własnego życia, to możesz zrobić z nim, co chcesz, także poświęcić czemuś, co uważasz za ważne, to już nigdy tego nie pojmiesz.

Odpowiedział grymasem, który przepłoszył kpinę z jej oczu.

— Panem własnego życia, powiadasz? Zrobić, co zechcesz? A ja miałem cię za mądrą dziewczynę.

Opuściła wzrok.

— No to jak było z twoją matką? — Naciskał. — Wiedziała, co mnie spotka?

Pytanie odbiło się od ciszy i przepadło w krzakach.

— Nie wiem. — Aonel odpowiedziała po dłuższej chwili, prawie szeptem. — Nie mogę ci przysiąc, że nie wiedziała. Badała starożytne artefakty, miała wiedzę, którą mogłaby zadziwić nawet największych uczonych. Nie mogła mieć pewności, ale może miała nadzieję, że jakaś część Reagwyra przejdzie przez Miecz i zrobi porządek z kapłanami. Ukarze tych, którzy ją katowali. Pomści. Może tak właśnie myślała. Nie wiem.

Altsin spojrzał na swoje dłonie zaciśnięte kurczowo w pięści. To nie była odpowiedź, jakiej oczekiwał, nie po tylu latach tułaczki, ucieczek, walki z tym, co nosił w głowie. Pragnął jasnego „Tak – wiedziała, i możesz teraz naszczać na jej grób” albo „Nie – nie miała pojęcia, i nie możesz jej winić, po prostu miałeś pecha, więc idź i nakop do tyłka Pani Losu”.

— Niczego więcej się od ciebie na ten temat nie dowiem, co? — zachrypiał.

— Przysięgłam mówić prawdę, a nie koić rozdartą duszę złodzieja, którego spotkałam w podziemiach świątyni i poprosiłam, żeby zabił moją matkę. Więc mówię prawdę. Doceń to.

Spojrzał jej w oczy. Okrucieństwo ma wiele twarzy, często skrywa się za maską „prawdy” i „szczerości”, ale ona patrzyła na niego z prawdziwym smutkiem. Pociągnął z butelki, kilkoma łykami opróżniając ją do dna.

— Jakiego pytania się spodziewałaś? — rzucił krótko.

Zaskoczona zmianą tematu, uniosła brwi.

— Nie rób takiej miny — odchrząknął i splunął gęstą flegmą na ziemię, święte miejsce czy nie, gówno go to w tej chwili obchodziło. — Możemy tu

siedzieć i użalać się nad sobą do usranej śmierci albo spróbować żyć dalej. No? Jakie pytanie miałem ci niby zadać?

Uśmiechnęła się nagle i był to zdumiewająco młody, dziewczęcy uśmiech.

— On powiedział, że tak z tobą będzie. Że jesteś jak kamień toczący się ze wzgórza. Nie oglądasz się na to, co cię minęło, i nie tracisz czasu na rozdrapywanie ran. Twoje pytanie wydawało się oczywiste. Jak się go pozbyć z głowy.

— I nie zwariować ani nie umrzeć — dodał. — Wiem, że dla Ouma to może być drobiazg, ale dla mnie dość istotny.

Spoważniała.

— Dla niego też. I dlatego odpowiedź na to pytanie może ci się nie spodobać. Ale… nie przerywaj! — Uniosła dłonie w geście nakazującym mu spokój. — To jest możliwe. Trudne i niebezpieczne, ale możliwe. Nie przerywaj, mówię! Ale zanim zdecyduję, czy ci odpowiem, mam coś pokazać.

— Kolejne legendy i historyjki?

— Owszem. — Wyciągnęła zza koszuli wiszący na rzemieniu przedmiot, który wyglądał jak uszko porcelanowej filiżanki. — Ale to ważna opowieść. Może wyjaśni ci, dlaczego nadal zabijamy kapłanów każdego boga, który był zaangażowany w wielką wojnę.

Rzuciła mu wisiorek. Już w chwili, gdy go dotknął, zorientował się, że ten nieforemny owal o nierównych ściankach to kawałek kości. Gładzonej i polerowanej tak długo, aż zaczęła przypominać wyrób sztuki garncarskiej, a potem pokrytej warstewką laki, która nadawała mu połysk osobliwego klejnotu.

Całość miała dwa cale średnicy. Za dużo na pierścień, za mało na bransoletę. Altsin spojrzał na Aonel, unosząc brwi.

— Tutaj. — Obwiodła palcem własny oczodół. — Nie trzeba dużo pracy, żeby uzyskać takie ładne koło.

Kość obrobiona z czaszki. Zacisnął ją w dłoni, była twardsza, niż się spodziewał, i wsłuchał się we własne ciało, zwłaszcza w to miejsce między łopatkami, które zawsze dawało o sobie znać, gdy ocierał się o Moc. Nic. To z pewnością nie był amulet nasycony magią.

— Co to jest?

— Pamiątka. Po jednym z tych, którzy najechali wyspę za czasów Imiliego. Zginął w leśnej potyczce, trafiony strzałą w brzuch. Jego ciało rzucono na stos z kilkoma innymi i spalono. Tylko tyle z niego zostało. Kawałek na wpół zwęglonej czaszki.

Altsin obracał owal w palcach. Nie czuł nic szczególnego, ani odrazy czy wstrętu, ani wściekłości na martwego od tysiącleci bandytę. Perspektywa tylu wieków odzierała ten kawałek czaszki z emocji, jakie powinien budzić.

— Po co to nosisz?

— Żeby pamiętać, co z ludźmi potrafią robić bogowie.

— Wasz też?

Pokręciła głową, a na jej pomarszczonej twarzy pojawił się ponury uśmiech.

— To on polecił nam nosić te pamiątki, zebrane z pól tysiąca bitew. Oum nigdy nie kazał nam tatuować swoich znaków na skórze, a po *kameluuri* sięgał w ostateczności i tylko wtedy, gdy wyspa była atakowana. Dla niego sposób, w jaki tutejsi Nieśmiertelni traktowali swoich wyznawców, był niepojęty, znakowanie niczym bydło, narzucanie siłą własnej woli, Objęcia… Bo *Eihey* to nie załoga, lecz rodzina, własne dzieci, wnuki i prawnuki. On nie potrafił tego zrozumieć, tak jak nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie nie buntują się przeciw takiemu traktowaniu.

Złodziej sięgnął do skradzionych Reagwyrowi wspomnień.

— Niektórzy się zbuntowali.

— Tak, ale po zapłaceniu jakiej ceny? Gdy zginęło dziewięciu na dziesięciu mieszkańców świata, a reszta nie miała już nic, nawet wspomnień o zwykłym życiu. To nie był bunt, tylko rozpaczliwy skok w przepaść zwierzęcia niemającego już drogi ucieczki. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo kruche było to, co pozostało z ówczesnych ludów pod koniec tamtej wojny. Gdy połączyliśmy się z mieszkańcami obozu Imiliego, najtrudniej było przekonać ich do najprostszych rzeczy. Że nie muszą cały czas prosić o pozwolenie na jedzenie, spanie czy zmianę ubrania, albo że mogą odejść, jeśli chcą. A jeszcze trudniej było ich namówić, by odważyli się pokochać własne dzieci. Że nikt im ich nie odbierze.

Altsin westchnął.

— Zaczynają mnie nużyć te łzawe historyjki. To było trzy i pół tysiąca lat temu, dziewczyno, trzy i pół tysiąca, i działo się w czasie wojny z kre-

aturami, przy których twój Oum jest miłym staruszkiem. A to — machnął kółkiem — to tylko kawałek kości jakiegoś żałosnego sukinsyna, który miał pecha. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Wasz bóg może sobie tkwić korzeniami w przeszłości, wspominać dawną chwałę i rozpaczać nad wiekami, które odeszły, ale dla mnie liczy się dzisiaj. Tu i teraz.

Wiedźma uśmiechnęła się i po raz pierwszy poczuł prawdziwy niepokój.

— A jesteś pewien, że tu i teraz zawsze jest najważniejsze? Dzisiejszy dzień, ta właśnie godzina, ten kęs chleba, i nic więcej? Filozofia godna szczura, nie, przepraszam szczury, one przecież gromadzą zapasy i szykują gniazda dla młodych. Twój problem pochodzi z tych samych czasów, co wisiorek, który ściskasz w ręce. Z tych czasów pochodzi mój lud. Twój zresztą również. Wszyscy mamy tam… korzenie. Więc nie bełkocz mi o dniu dzisiejszym, bo wczorajszy kopnie cię w dupę, aż zęby wyplujesz.

No, najwyraźniej udało mu się ją zirytować. Uśmiechnął się.

— Czekam na resztę. Pokazałaś mi swój… amulet, uraczyłaś kolejną opowiastką, jak to w czasie Wojen Bogów było źle. Zapominasz, że ja nie muszę wysłuchiwać takich historyjek, bo mam w głowie, jego. — Uniósł się. — Tego zasranego sukinsyna, który dzielił się ze mną wspomnieniami, rzucał je we mnie niczym części poćwiartowanych trupów! Obozy dla kobiet? Musiałabyś zobaczyć rzezie, które sprawiał on i inni bogowie, ulice zalane krwią tak, że brodziło się w niej po kostki, miasta palone do gołej ziemi, noże pracujące dzień i noc! A wiesz, co jest najgorsze?! Wiesz?!

Nie wiedział kiedy, ale nagle stał już na nogach, z pięściami uniesionymi jak do ciosu.

— Dostawałem te jego wspomnienia jak własne i nic, zupełnie nic wtedy nie czułem. Rozumiesz?! Patrzyłem na dzieci, którym podrzynano gardła, i ponaglałem ludzi, żeby zdążyli przed zachodem słońca! Rozpalałem stosy dla schwytanych jeńców i kazałem żołnierzom ogrzewać się przy nich, żeby nie marnować opału na osobne ogniska. I nie czułem nic, bo oni byli mierzwą. Bo nie byli moimi ludźmi, więc nie byli nimi w ogóle! Rozumiesz?! A gdy się budziłem z tych koszmarów, czułem się, jakby mnie wydupczyła cała mittarska flota. Rozumiesz?!!

Odwrócił się i walnął pięścią w mur, aż pociemniało mu w oczach z bólu.

— Ten twój… — wydyszał przez zaciśnięte zęby — … twój Oum nigdy nie zrozumie, z kim walczył. Więc niech mnie nie raczy historyjkami

o krzywdzie i cierpieniu. Czcimy sukinsynów, dla których nie znaczymy więcej niż brud przylepiony do butów. A oni rozparli się na tronach zbudowanych z kłamstwa i fałszu i uśmiechają się z zadowoleniem. Malujemy na ścianach świątyń wizerunki *awenderi* jako owładniętych bożym duchem promiennych młodzieńców i natchnione dziewice, a nie jako wytatuowanych od stóp do głów szaleńców, będących tylko na wpół bezwolnymi narzędziami opętanymi przez bogów. Opisujemy Niechcianych jako stada demonów żywiących się ludzkim mięsem, choć to nasi Nieśmiertelni pożarli większość ludności świata. Tkamy gobelin wielkiej wojny między Ładem a Chaosem, Prawdą a Kłamstwem, Dobrem a Złem, i zapominamy jedynie wyjaśnić, kto właściwie stał po stronie ciemności. A ja mam jednego z nich tu — stuknął palcem w skroń — ty zaś każesz mi myśleć o przyszłości? Jakiej przyszłości?! Ja nie mam żadnej cholernej przyszłości, i przeszłości też nie! Odkąd…

Spróbowała mu przerwać.

— Nie odzywaj się! — warknął. — Odkąd on pierwszy raz dał o sobie znać, każdy mój dzień jest taki sam, jedną nogą w obłędzie, drugą w strachu, pojmujesz to? Stoję w rozkroku nad przepaścią i tylko to, że jestem złośliwym i upartym durniem, nie pozwala mi spaść!

Uderzył jeszcze raz w mur, drugą ręką, z taką siłą, że aż odrętwiający ból sięgnął barku. Pochylił się, oparł czołem o pozostałości ściany. Mimo późnej pory kamienie zdawały się promieniować ciepłem.

— Oraz to, że boisz się Objęcia i połączenia z boskim kawałkiem duszy — dobiegło go zza pleców. — Bitewna Pięść zresztą też tego nie chce. Objęcie ma być Objęciem, a nie wymieszaniem. Tylko nie wypłakuj mi się w spódnicę, bo mówisz do kobiety, która urodziła się dwadzieścia cztery lata temu, a dziś ma ciało dwa razy starsze i najpewniej umrze w ciągu najbliższych lat dziesięciu. Ja nie stoję nad przepaścią, tylko w nią spadam. Więc nie oczekuj ode mnie współczucia, bo ja przynajmniej wiem, za co płacę swoim życiem. A poza tym i tak musisz skorzystać z mojej pomocy, nie masz innego wyjścia.

— Nie? — Altsin zaśmiał się gorzko. — Naprawdę? Oum się wygadał, że tatuaże są barierą między duszą człowieka a boga. Czymś, co zapobiega albo opóźnia ich wymieszanie się. Mógłbym więc kazać ozdobić sobie skórę takimi tatuażami, jakie nosili *awenderi*. Pamiętam je w najmniejszym szczególe. W Ponkee-Laa każdy dziergacz mi je zrobi. A potem przestać

walczyć. Żeby doszło do Objęcia, konieczna jest zgoda obu stron, a ja bym mu ją dał. Wtedy moglibyśmy zawrzeć umowę, przyzwolenie na użycie tego ciała w zamian za pomoc w walce z resztą świata. Co ty na to?

Las wokół dolinki wypełnił się pełną przerażenia ciszą.

— Hę? Pytam, co ty na to? I nie mówię do ciebie, dziewczyno, tylko do twojego boga, który zapewne nas słyszy. Mam dość uciekania, krycia się i uników. Każdy chce mnie zabić albo przepędzić. Skoro tak, to może pora przestać potrząsać kubkiem i zobaczyć, jakie kości mi wypadły?

Murek pokrył się kroplami rosy, a powietrze wokół Altsina skrzepło w nagłym uścisku mrozu.

— Aonel, proszę, nie próbuj czarów — wyszeptał. — One na mnie kiepsko działają. A jeśli twoje siostry się przyłączą, możecie go zmusić do pokazania, co potrafi, a ja nie będę się opierał. Przysięgam.

Uścisk chłodu zelżał. Za to głos wiedźmy był niczym lodowy sopel przyłożony do karku.

— Jeśli pozwolisz mu na Objęcie, twój los będzie gorszy niż śmierć.

— A teraz żyję jak cesarz, prawda? Same rozkosze i swawole, tak? Tylko pozazdrościć. — Odwrócił się powoli, bo coś mu mówiło, że każdy gwałtowniejszy ruch zamieni okolicę w przedsionek piekła, i spojrzał na wiedźmę. Oczy miała zmrużone, a jej dłonie wydawały się tkać materiał z tańczących między nimi cieni. — Poza tym, dziewczyno, większość moich wspomnień to wspomnienia *awenderi*, nie samego Reagwyra, tylko mężczyzny, który nosił go przez całe lata. To nie było złe życie, wierz mi. Coraz częściej myślę, że było lepsze niż to, które mam teraz ja. Możesz przestać bawić się Mocą? On czuje się zaniepokojony.

Tego nie wiedział, ale ona nie wiedziała, że on nie wie, więc cienie znikły spomiędzy jej dłoni, a złodziej uśmiechnął się z tłumioną ulgą. Chyba nie będzie walczyć. Poza tym ten wybuch złości i gniewu zadziałał jak zrzucenie z siebie starych szmat i skok do wody. Czuł się w dziwny sposób oczyszczony.

— Obiecałaś mi szczerość, więc dałem ci to samo. Nie lubię mieć długów. — Sięgnął do sakwy i wyciągnął jeszcze jedną butelkę. — Boję się. Cały czas żyję w strachu, że któregoś dnia obudzę się i mnie nie będzie. Uczepiłem się wspomnień o samym sobie sprzed kilku lat i każdy nowy gest, skojarzenie czy uczucie usiłuję przystawiać do nich, sprawdzam, czy pasuje.

Nie odpowiedziała, wpatrując się w niego szparkami oczu.

— To prowadzi donikąd. Poza tym jak patrzę na tego głupiego gówniarza, jakim byłem, szczyla, któremu w głowie były tylko popijawy i pieniądze, to czasem chciałbym sam złapać się za łeb i natrzaskać sobie po pysku. Muszę ruszyć naprzód, a jedyną drogę, jaką mam, to pozbyć się go albo przywdziać zbroję z tatuaży.

Skinęła głową, i nagle cały świat jak gdyby odstąpił, wydawał się mniej przyciskać go do ziemi. Zawzięta uwaga Czarnych Wiedźm i ich boga znikła.

A Aonel zamknęła oczy i kołysała się powoli w tył i w przód. Złodziej spokojnie pociągnął kilka łyków z butelki. Rozmowa z bogiem zazwyczaj trochę trwa.

— Oum zdecydował. Powie ci, jak się go pozbyć. A potem będziesz miał dziesięć dni na opuszczenie wyspy. Jeśli tego nie zrobisz, będziemy walczyć. Zgoda?

Złodziej nie musiał się zastanawiać nad tą propozycją. Mnisi habit i tak zaczął go już uwierać.

Zgoda.

Rozdział 14

Morze szumiało, liżąc plażę drobnymi falkami. Deana siedziała na piasku i nie odrywała wzroku od wody. Nieskończoność. Cierpliwość. Spokój. Jakby patrzyła w twarz bóstwa. Nie Bliźniąt Mórz, tych kapryśnych, złośliwych dzieci, lecz dostojnego, starszego niż świat bytu, który wie, że pośpiech jest ojcem głupoty, a na wszystko przyjdzie odpowiednia pora.

Jakby stała przed obliczem Matki.

To było dziwne, że musiała dopiero uciec z pałacu, by odnaleźć to miejsce. Wcześniej widziała tylko port, brudny i śmierdzący niczym koszula starej ladacznicy, hałaśliwy jak jej pijacki śmiech. Tamtejsze morze, jeśli można było je tak nazwać, kryjące się między brzuchami statków, wyglądało niczym tłusta zupa ugotowana z resztek znalezionych w rynsztoku. Jednak teraz, na plaży milę za miastem, z bezkresem wód tulących się do horyzontu, wiedziała, że zaczęła od złej strony. To jakby oglądając rasowego konia, skupić wzrok na miejscu, gdzie na skórze usiadł mu bąk. Dla morza port nic nie znaczył, wystarczyłby jeden porządny sztorm albo wielka jak góra fala wznosząca się od dna, by w jednej chwili zmyć tę obrzydliwość z brzegu.

Tylko po co?

Nieskończoność. Cierpliwość. Spokój.

Na wszystko przyjdzie pora.

Zamknęła oczy, wsłuchując się w łagodny szum. Czy to właśnie czekało na końcu drogi każdego Poszukującego? Pamiętała kilka osób z *afraagry*, które wyruszyły na pielgrzymkę i wróciły odmienione. W ich oczach gościł spokój, ruchy traciły nerwowy pośpiech, uśmiechy potrafiły być irytująco pobłażliwe. Jestem tylko małą falką w nieskończonym tańcu wieczności. Ale to nie znaczy, że jestem mniej ważny niż ci, którzy byli przede mną, i ci, którzy nadejdą po mnie.

Medytacje w Kan’nolet przynosiły takie dary. I wpatrywanie się w monotonne trwanie morza również.

Minęło dwadzieścia osiem dni od chwili, gdy opuściła… uciekła z pałacu. Zabrała tylko podstawowe rzeczy, ubranie, garść pieniędzy, broń. Przy *talherach* zawahała się na mgnienie oka, ale w końcu była przecież ich właścicielką. Tańczyła z nimi od miesięcy, dała nowe pochwy, rękojeści naznaczyła odciskami własnych dłoni. W końcu – teraz już potrafiła się uśmiechnąć do tego wspomnienia – zimny pragmatyzm wygrał z porywem serca, bo człowiek bez broni jest tylko w połowie wolny.

Znikła nocą i krążyła po mieście aż do świtu. Następny dzień spędziła w karawanseraju, na widoku, szukając noclegu do wynajęcia i wypytując o pierwszą karawanę, która wyrusza na północ. Nie liczyła na to, że coś znajdzie, sezon wędrówek jeszcze się nie zaczął, ale musiała coś robić, być w ruchu, działać. Gdyby przystanęła na chwilę, dopadłyby ją myśli, które chciała zostawić za sobą.

Zaciskając zęby, maszerowała przez karawanseraj, a wszyscy, nawet uzbrojeni po zęby weterani setek wędrówek przez pustynię, schodzili jej z drogi. Ludzie tak naprawdę porozumiewają się bez słów, a jej gesty, chód, całe ciało mówiło…

Wolała nie wiedzieć, co mówiło.

Wynajęła trzy kwatery w trzech różnych miejscach, płacąc za kilka dni z góry, demonstracyjnie porozmawiała z różnymi issarskimi wojownikami, wypytując, czy znajdzie się dla niej miejsce w ich domostwach, i gdy tylko słońce schowało się za ścianę gór, wymknęła się do portu. Długie nici pałacowej pajęczyny powinny splątać się w karawanseraju w spory węzeł, a zanim ktoś je rozplącze, ona znajdzie sobie bezpieczną kryjówkę, do czasu, aż wyruszy w drogę powrotną.

Następną noc spędziła w pobliżu portu w dzielnicach, gdzie nawet Słowiki zapuszczały się co najmniej w sześcioosobowych oddziałach. To było jej *mahiiuri* – czas próby, niema prośba do Matki, by wskazała jej drogę. Jeśli bogini chciałaby, by ona, Deana d’Kllean z plemienia *d’yahirrów*, zakończyła swoją pielgrzymkę tu i teraz, z pewnością natchnęłaby serca miejscowych bandytów niezłomną odwagą. Dlatego kilka razy zatrzymywała się w podejrzanych zaułkach, nasłuchując, jak wypełnia je nabrzmiała grozą cisza. Może miało to coś wspólnego z tym, że jedną dłoń trzymała na wysokości twarzy, gotowa do ściągnięcia *ekchaaru*. Legendy o szalonych wojownikach Issaram szukających śmierci w walce do ostatniego tchu były żywe także na Dalekim Południu.

Ta noc była pełna rozczarowań, lecz ciotka Deany zawsze powtarzała, że *mahiiuri* to krzyk i tupanie nóżką rozczarowanego dziecka. Bogini nie można zmuszać, by wskazywała ci palcem, jaką ścieżkę masz wybrać. W końcu jej największym darem dla ludzi była wolność wyboru.

Lecz ta desperacka wędrówka miała i tę zaletę, że szpiedzy z pałacu, nawet jeśli któryś podjął trop Deany i odważył się za nią zapuścić w cuchnące brudem i śmiercią uliczki, zamiast śledzić jej kroki, musieli zatroszczyć się o bardziej przyziemne rzeczy. Jak choćby zachowanie życia.

Jeżeli – ta myśl była gorzko-kwaśna – ktokolwiek w ogóle zadał sobie trud, by jej szukać.

A potem znalazła wioskę rybacką, której mieszkańcy z pogodnym fatalizmem przyjęli to, że zajęła jedną z opuszczonych chat, jakby obecność zamaskowanej wojowniczki była dla nich czymś zwyczajnym. I odkryła kojącą moc szumu morza, długich medytacji, modlitw o wschodzie i zachodzie słońca oraz ćwiczeń.

Po jednym z wściekłych treningów, który przerwała, gdy zorientowała się, że tkwi po pas w wodzie i ostrzami okłada fale, stała przez dłuższą chwilę, mokra od stóp do głów, zdyszana, z bronią trzymaną w drżących dłoniach. Potem wyszła na brzeg i po raz pierwszy od wielu lat wyrecytowała cały *kendet'h*, wszystkie modlitwy, których znaczenia kiedyś nie do końca rozumiała, lecz które teraz stały się dla niej przeraźliwie jasne.

Jesteśmy tym, kim jesteśmy. I tak już zostanie.

Wioseczkę położoną milę od miasta, składającą się z tuzina zajętych i pół tuzina pustych chat, zbudowanych z resztek wyrzuconych przez fale, zamieszkiwali niscy, ciemnoskórzy ludzie, których *suanari* miękko kląskał prostymi słowami i wyrażeniami. Żyli na brzegu morza od zawsze, jak zdradził jej jeden ze starszych rybaków, od chwili, gdy słońce pierwszy raz wzeszło nad światem, przecierając pełne zdumienia oczy. A gdy morze czasem zabierało ich chaty, sieci, dobytek, zaczynali wszystko od nowa, budując wioskę w innym miejscu, by ranem i wieczorem wypływać na głębinę w dłubanych łodziach, składających się z dwóch połączonych kadłubów, i łowić… nie łowić, by przyjmować dary Bliźniąt, a później wymieniać je na rzeczy, których sami nie potrafili zrobić. I oczywiście, by cieszyć się życiem.

Rybacy akceptowali ją tak, jak akceptowali wszystko, co przynosiło morze, a ona przecież przywędrowała plażą. Zasłaniała twarz? Morze nie

musi się tłumaczyć ze swoich darów. A ona znalazła spokój, wewnętrzny rytm, i uczyła się cierpliwości. Po raz pierwszy od miesięcy nie miała wrażenia, że każdy ją obserwuje, ocenia, próbuje wykorzystać we własnych planach.

Kendet'h zaś, z całą swoją melodyczną recytacją oraz rytmem, jaki narzucał dniom i nocom, niósł ukojenie. Odkrywała go na nowo, każdą z sześciuset dwudziestu dwóch modlitw. Wyciszała się, uspokajała.

Teraz była po prostu *awyssą*, i od kilkunastu dni czekała na znak od Matki.

Echa wydarzeń w Białym Konoweryn docierały do niej przez tych, którzy dwa razy dziennie ładowali do łodzi beczki ze świeżymi rybami i płynęli do portu na targ.

Odbył się Taniec Oblubienic, gdy osiem wybranek Varaly obwożono po mieście na grzbietach słoni, oczywiście z twarzami ukrytymi pod welonami. Lud witał je radością i jedwabnymi szalami rzucanymi pod nogi zwierząt.

Książę przejechał wzdłuż murów na grzbiecie Mamy Bo i rzucał w tłum drobne złote monety.

Af'gemid Bawołów został obwołany zdrajcą, bo trzy razy nie stawił się na wezwanie Pałacu.

Plotki, rozpuszczane nie wiedzieć przez kogo, mówiły, że Laweneres nie spełnił jeszcze swojego obowiązku wobec żadnej ze Świętych Dziewic.

W całym mieście powoływano pod broń oddziały *nuawachi*, a dla słoni szyto nowe zbroje.

Dwie plantacje zostały spalone do cna przez niewolników.

Af'gemid Trzcin został wezwany do pałacu.

Liczący tysiąc jeźdźców oddział Słowików wyruszył, by stłumić bunt w zarodku.

Kapłani Ognia ogłosili, że Kamień Popiołu miał wizję płomienia, który wyjdzie z Oka, by przywrócić sprawiedliwość i ukarać grzeszników.

Książę wydał prawo, według którego każdy niewolnik, który ucieknie i przez rok, jeden miesiąc i jeden dzień nie zostanie schwytany, odzyska wolność.

Z tysiąca jeźdźców wysłanych na południe wróciło dwustu. Niewolnicy zastawili na nich pułapkę na wąskiej grobli przecinającej podmokłe pola, gdzie konie grzęzły aż po brzuchy. Siekiery, proce, proste łuki i prymitywne

piki powaliły większość Słowików, a ich szable, włócznie i pancerze zasiliły armię buntowników.

Osiem kolejnych plantacji, kopalnie w Diwires, warsztaty tkackie i farbiarskie z tamtej okolicy puszczono z dymem. Armia niewolników rosła z dnia na dzień, liczyła już ponoć dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Podobno dowodził nimi były porucznik meekhańskiej armii, Kahel–saw-Kirhu, demon o sercu z kamienia i duszy czarnej jak smoła. To on żywcem spalił trzydziestu szlachetnie urodzonych właścicieli plantacji, a zarządców kopalni zesłał do najniższych sztolni i kazał zawalić za nimi tunele.

Af'gemidzi Trzcin i Słowików zarządzili pełną mobilizację, we wszystkich *ahyrach* uzbrajano każdego, nawet młodsze Pisklęta i Gałązki oraz służbę.

Dwa oddziały Bawołów z Renete Górnego zostały pokonane w bitwie pod miastem. Niewolnicza armia zdobyła tysiąc mieczy, pancerzy, hełmów i tarcz.

Af'gemid Bawołów ogłosił, że Laweneres może nie być prawdziwym księciem, a jego prawo do tronu musi zostać potwierdzone przez całą hierarchię Świątyni Ognia, gdyż zwycięstwa zbuntowanych niewolników świadczą o gniewie Agara.

Demenaya znikła i nikt nie wie, gdzie jest.

Książę spędza każdy dzień na ucztach i pijaństwie, nie troszcząc się o los księstwa, a odezwy w jego imieniu wydaje książęcy truciciel wraz ze swoją kochanką Varalą.

Święte Dziewice wciąż pozostają dziewicami, bo Laweneres nie potrafi spełnić swojego obowiązku.

Obrar Płomienny, Wielki Książę Kambehii prowadzony przez święty gniew samego Agara, pokonał niewolników, którzy zbuntowali się na jego ziemiach, i zaprowadził tam porządek.

W Białym Konoweryn niektóre dzielnice stały się niebezpieczne dla wolnych ludzi. Nocą ci, którzy noszą obroże, i to z każdej kasty, wymykają się z domów swoich właścicieli, spotykają na ulicach, szepczą, knują, układają plany, gromadzą broń i nasłuchują.

Nasłuchują wieści zza murów.

W ciągu dziesięciu dni wszystkie plantacje położone dalej niż trzydzieści mil od miasta spłonęły, a ich właściciele zostali zamordowani.

Armia niewolników liczy już sto tysięcy głów.

Książę nie wychodzi z pałacu, tylko pije i oddaje się rozpuście, lecz na pohańbienie Agara!, nie tknął jeszcze żadnej z Oblubienic.

Wojska Kambehii przekroczyły granicę i ratując życie tysiącom wolnych obywateli, z marszu rozbiły kilka band, mordujących i rabujących okoliczne miasteczka.

Świątynia Ognia wezwała Laweneresa do stawienia się przed obliczem Rady. Odmówił.

Buntownicy złupili Samnię, dziesięciotysięczne miasteczko słynące z wyrobu porcelany, i zabili wszystkich jej mieszkańców. Nawet ciężarne kobiety i małe dzieci.

Książę nie chce wycofać oskarżenia *Af'gemida* Bawołów o zdradę.

Obrar Płomienny ogłosił, że jest gotów przyjść Białemu Konoweryn z pomocą. Czeka tylko na zaproszenie.

Wieści z miasta, przynoszone wprost z targowisk, gdzie przekupnie ochrypłymi krzykami ogłaszali swoje ceny, a zduszonymi szeptami powtarzali najnowsze plotki, brzmiały jak opowieści z drugiej strony świata. Tu, w jej wiosce, morze szumiało niestrudzenie, piasek przyjmował pieszczotę nagich stóp, by po chwili pozwolić falom zlizać ich ślady ze swojego grzbietu, wiatr czesał przybrzeżne rośliny o liściach długich i wąskich jak sztylety.

Tylko to się liczyło.

Deana medytowała, ćwiczyła, modliła się, wpatrywała w taniec fal.

Czekała na znak od Matki.

Interludium

Statek zachybotał się i przewalił z boku na bok, jak krowa leżąca na łące i zajęta trawieniem. Porównanie było o tyle adekwatne, że ta łajba przypominała krowę zarówno kształtem – pękaty kadłub był ledwo trzy razy dłuższy niż szerszy – jak i usposobieniem. Sposób, w jaki z flegmatycznym uporem pokonywała fale, musiał wzbudzać u Bliźniąt Mórz tyle samo rozbawienia, co irytacji.

Co roku setki takich kryp pokonywało morskie szlaki między Amonerią a Ponkee-Laa, wiozące w swych brzuchach w jedną stronę sztaby żelaza i stali, bele surowych materiałów, glinę do wyrobu porcelany, barwniki do tkanin, piasek i sodę do wytopu szkła, a w drogę powrotną zabierając skóry, cynę, miedź i srebro, bursztyn i kamienie szlachetne. Przypominało to wrzucanie w ogień garści trawy, by z popiołów wyciągnąć diamenty. Dlatego też piraci interesowali się tylko statkami wracającymi na kontynent i dlatego statki te miały wysokie burty, jeszcze wyższe kasztele na dziobie i rufie, często ozdobione lekkimi balistami, oraz załogę składającą się z wilków morskich o twarzach pooranych wiatrem i spojrzeniach ostrzejszych niż kordy i tasaki, z którymi się obnosili.

Jeśli „Pijany Śledź” był krową, to taką z pancerną skórą, żelaznymi kopytami i rogami ze stali.

Stojący za sterem bosman zmierzył ponurym spojrzeniem dwójkę pasażerów, która pasowała do jego wizji statku jak jedwabna kokardka umocowana do grotu kopii. Mnisi. Dwóch braciszków, za których kapitan musiał zainkasować małą fortunę, bo zwykle „Śledź” nie brał szczurów lądowych na pokład. Teraz stali na dziobowym kasztelu i gapili się w morze, jakby nie wiedzieli, że to może przynieść pecha. Bliźnięta nie lubią, gdy takim wypatrywaniem próbuje się przyspieszyć podróż. Zresztą, dokąd mogą się spieszyć tacy dwaj miłośnicy Wielkiej Matki?, niech jej wola zawsze idzie w zgodzie z wolą Ganra i Aelurdi. Do Ponkee-Laa, które zaczyna przypominać kocioł oszalałej wiedźmy? Perła Wybrzeża robi się niebezpiecznym

miastem dla wyznawców Baelta'Mathran, niech panuje wiecznie w zgodzie z Bliźniętami, a mądry marynarz trzyma się z daleka od takich spraw. Jeśli nic się nie zmieni, następny kurs „Pijany Śledź" będzie musiał odbyć do Ar-Mittar albo innego północnego portu.

* * *

Popiół. Miotła. Praca.

Szare płatki nie przestają padać, jest ich coraz więcej i więcej. Stały się też ciężkie i wilgotne. Oblepiają miotłę grubą warstwą, kleją się do sandałów i skraju szaty. Kopczyki, które udaje mu się usypać, wyglądają jak odchody chorego słonia.

Gospodarz siedzi na tronie. Jest sam. Chude nogi skrzyżował, głowę podparł na złożonych dłoniach. Patrzy na obrazy, które tkają unoszące się pośrodku kręgu tronów płomienie. Obrazy… Płonące domy, strzały lecące w powietrzu, by złożyć krwawe pocałunki na ciałach śmiertelników, twarze wypełnione bólem, rozpaczą i gniewem.

Ten, który jest okiem boga, spojrzenie ma zgaszone i pełne popiołu.

Panuje cisza. Dziwna cisza.

Szelest każe służącemu odwrócić się i, co zdumiewa go dopiero po chwili, unieść w obronnym odruchu miotłę. Gest bezsensowny i dziwny. Nigdy nie czuł czegoś takiego jak w tej chwili od tej dziewczyny. Pamięta ją, trudno, żeby nie, czarne włosy, granatowe oczy, dziecięce usta.

Wszystko znika w chwili, gdy przybyła się uśmiecha.

To uśmiech tak ciemny, że przy nim nawet popiół zdaje się jarzyć światłem.

— Zamierzasz tak siedzieć i nic nie robić? — jej głos też jest ciemny.

Gospodarz unosi głowę, a jego twarz kurczy się w grymasie cierpienia.

— On obiecał.

— Agar? Wiem. Stare obietnice. Żadnego wtrącania się, żadnej boskiej ingerencji. Więc zamierzasz siedzieć i patrzeć, jak wszystko się wali?

— Oni… nie oszukują.

— Kto? Eyfra? Gdy Pani Losu poda ci rękę, lepiej policz sobie potem palce. Ona zawsze oszukuje, kłamie i miesza. Co się stało na Wyżynie Lytherańskiej?

Siedzący na tronie prostuje się, mruży oczy.

— Dlaczego pytasz?

Choć wydaje się to niemożliwe, uśmiech dziewczyny staje się jeszcze ciemniejszy.

— Och, odpowiedzi. Te wyrażone słowami i te, które można wyczytać w mowie ciała. Była bitwa. I było sto tysięcy albo więcej duchów, plemienna wspólnota, ciągnąca za swoimi żywymi potomkami. Potężne duchy, zdolne oprzeć się wezwaniu Domu Snu. — W miarę, jak przybyła mówi, siedzący na tronie zdaje się rosnąć, potężnieć, a płomienie tańczące na środku sali rozpalają się mocniej. — I były dusze wyrywane z ciał strzałami, szablami i ogniem, lecz znalazła się jedna, która nie chciała odejść. I było cierpienie. Wielogodzinne, tak jak w pierwszych dniach.

— To nie to, co myślisz!

Głos rozbrzmiewa wraz z błyskiem ognia. Odpowiedzią jest okrutny śmiech.

— No proszę, sam Agar zajrzał tu przez swoje Oko. Głupiec! Głupiec! Głupiec!!! Eyfra wmówiła ci, że chronisz Baelta'Mathran, a doprowadzisz tylko do rzezi jej wyznawców dokonanej u wrót twojego własnego królestwa. To ty będziesz miał ich krew na rękach. Co jej powiesz, jeśli się nie pomyliłeś i to jest przyjście?!

Płomienie gasną, a w ich mdłym blasku twarz gospodarza wydaje się oprószona mąką.

— Eyfra nie zrobiłaby tego.

— Nie?! Ona rozpętuje burze w dwóch największych przybrzeżnych miastach kontynentu. Tu, w Konoweryn, i w Ponkee-Laa. I robi to sprytnie, cudzymi rękoma, bo głupcy starają się dotrzymywać dawnych obietnic. — Wbiła mu zatrutą szpilę. — W obu burzach mają ucierpieć wyznawcy Baelta'Mathran. Po co?!

Po tym pytaniu zapada cisza i ciemność, bo płomienie tańczące na środku sali niemal całkowicie gasną. Dziewczyna przestaje się uśmiechać, co czyni z jej twarzy, pogrążonej w mroku, śmiertelnie groźną maskę.

— Jeśli w Ponkee-Laa dojdzie do rzezi matriarchistów i miasto zamieni się w fanatyczną teokrację pod wodzą nowego bożka, Meekhańczycy nie będą mieli innego wyboru, jak uderzyć na ujście Elharan i zdobyć je zbrojnie — podejmuje spokojnie, cicho i bez emocji. — Nie zrobią tego kierowani litością dla współwyznawców, tylko z powodu zimnego pragmatyzmu. Popatrz na mapę. Połowa towarów z południowej części Imperium

spływa rzekami do tego portu. Bez tamtejszego handlu w kilka lat braknie im w skarbcu pieniędzy na utrzymanie armii, dróg, akweduktów, urzędników, całego przeklętego Imperium. Meekhan nie będzie miał wyjścia i zaangażuje się w długą i krwawą wojnę, najpotężniejsze państwo śmiertelników, jakie istnieje na kontynencie, przeciw armiom kierowanym Objęciem. Moc czarowników przeciw Mocy młodego boga. Cóż to byłyby za bitwy! I jak bardzo wszyscy by się temu przyglądali. Nieśmiertelni i inni, wietrzący swoją szansę. A tutaj? Sądzisz, że zabicie stu czy dwustu tysięcy wyznawców Pramatki nie odbije się echem na Północy? Może Imperium nie wyśle armii, lecz z pewnością wprowadzi embargo na handel z Konoweryn. A wtedy pustynne plemiona pozbawione zarobku zaczną najeżdżać granice, ich i wasze, więc zacznie się tam wojenka podjazdowa… Inaczej mówiąc, oczy całego świata będą patrzeć na Anaary, Travahen i ujście Elharan. Powiedz mi zatem, po co Eyfra odwraca nasz wzrok od Wyżyny Lytherańskiej? Co chce ukryć?

Odpowiedzią jest długie westchnienie.

— Tam… do niczego nie doszło. Zaczęło się, lecz nie skończyło. Narodziny zostały przerwane.

— To nie tak łatwo przerwać. Duchy, które poczuły okazję, trudno odesłać. Słyszałam… słyszałam, że ta mała spłonęła.

Ciemność wiele ukrywa, ale da się zauważyć przeczący ruch głową gospodarza siedzącego na tronie.

— Ogień jej nie tknął. Przysięgam. Ona znikła.

Cisza. Sługa pochyla się i zaczyna zamiatać. Pojedynczy płatek popiołu spada mu na nos i zsuwa się powoli. Zostanie ślad.

— Rozumiem. — Dziewczyna robi krok do przodu i blady blask z dogasającego paleniska sięga jej twarzy.

Miotła. Praca. Zamiatanie.

Nie patrzeć w te oczy!

— Pójdziesz po nią? — Siedząca na tronie postać dodaje do tego pytania dziwny, na wpół błagalny gest.

— A jak myślisz? Najpierw jednak spłacę stary dług. Ja zawsze je spłacam. A ty? Będziesz tak siedział i patrzył, jak wszystko się wali?

— Obiecałem.

To słowo ma barwę popiołu i ciężar góry.

— Jesteś głupcem — tym razem brzmi to protekcjonalnie, ale też przyjaźnie. — Skoro ona gra przeciw tobie rękoma śmiertelników, skoro gra twoim poczuciem honoru, odpowiedz tym samym. Dotrzymaj słowa. Najlepiej, jak się da.

— Ale jak? Powiedz mi jak?!

Dziewczyna wykonuje gest i płatki popiołu wirują, opowiadając historię.

Miotła. Praca. Zamiatanie.

Pochylić głowę i stłumić uśmiech.

Rozdział 15

Deana została sama.

Kilkanaście dni temu wieści przestały przychodzić, bo rybacy zastali zamknięte bramy miasta i wejście do portu. Przez kilka dni jej gospodarze czekali, aż któregoś ranka spakowali skromny dobytek na łodzie i odpłynęli – jak wyjaśnił starszy rybak – szukać miasta, które ma ochotę jeść świeże dary morza. Zostawili jej pół skrzynki suszonych ryb i kilka garści suszonych owoców, co chyba świadczyło o tym, że zdobyła odrobinę ich sympatii.

Od trzech dni była sama. Sama na plaży, sama w obliczu absolutu, jakim był nieskończony ocean.

Odnalazła równowagę. Wróci na północ, w góry. Dokończy pielgrzymkę do Kan'nolet, będzie medytować i modlić się w miejscu, gdzie Harudi ogłosił ludowi Prawa, dane mu przez Matkę. Przyjmie wszystkie dary Dalekiego Południa, mądrość złamanego serca i inne też, i będzie się nimi cieszyć. Potem znajdzie *afraagrę*, która chętnie przyjmie mistrzynię *talherów*, i zacznie żyć na nowo. Najlepiej, jak może żyć mała falka, wędrująca ku brzegowi.

Z zamyślenia wyrwał ją tupot stóp po mokrym piasku. Krzyki i śmiech.

Taki, który luzuje broń w pochwie.

Nadbiegali od strony miasta, najpierw jeden, mały i chudy, potem kilku większych, z kijami i sznurami w dłoniach. Najbliższy z nich zamachnął się i sieknął kawałkiem liny przez plecy uciekającego. Chłopak nie krzyknął, nie zapłakał, pochylił tylko głowę i przyspieszył.

To nie była jej sprawa. To miasto i wszystko, co z siebie wypluło, zostawiła już za sobą.

Ale potem zobaczyła twarz uciekającego, spoconą, zmęczoną, przeciętą brzydką, podpuchniętą pręgą po pocałunku liny, i zrozumiała, że nie wszystko może zostawić z tyłu.

Samiy.

Jej *laagvara*.

Wstała i ruszyła im naprzeciw.

Większość ścigających zatrzymała się, gdy tylko ją ujrzeli, lecz jeden szczególnie zawzięty nie odpuścił. Jakby widok wojowniczki Issaram był dla niego codziennością.

Może powinna wyciągnąć szable?

Samiy minął ją, pędząc i rozpryskując bosymi stopami krople wody. Napastnik wziął zamach ciężkim kijem, jak gdyby zamierzał nim cisnąć, i jednocześnie spróbował minąć ją z lewej strony. Złapała go za ramię, zakręciła w pędzie, szarpnęła w przeciwną stronę, wytrącając z równowagi. Gruchnął na piasek, ale nie przestała się obracać, używając wygiętego już pod dziwnym kątem ramienia jak dźwigni. Spojrzała mu w oczy, wypełnione złością i pogardą i zgasiła tę złość i pogardę, przekręcając ramię, aż trzasnęło w łokciu.

Mężczyzna wrzasnął, kij wypadł z tracących czucie palców. Jednym płynnym ruchem wyjęła *talher* z pochwy i trzasnęła go głowicą w skroń.

Wyprostowała się, wiedząc, jak wygląda to, co widzi reszta napastników. Zamaskowana zabójczyni z szablą w dłoni, leżący u jej stóp mężczyzna, którego powaliła w mniej niż dwa uderzenia serca, broń w jej ręku.

Grupka mężczyzn, jeszcze przed chwilą gotowa do samosądu, zaszemrała niepewnie, zbiła się ciaśniej. Deana wskazała na leżącego.

— Zabierzcie go. I sobie idźcie.

Nie potrzebowała wielu słów, zresztą nie miała zbytniej ochoty na gadanie. Patrzyli na nią niepewnie, nie wiedząc, jakie mają szczęście. Gdyby od przeszło miesiąca nie medytowała nad brzegiem, gdyby nie wylała z siebie gniewu i złości, siekąc morze szablami, gdyby nie osiągnęła wewnętrznego spokoju, och, na Miłość Matki, gdyby spotkali ją w dniu, gdy uciekła z miasta, plaże ozdabiałoby teraz pół tuzina trupów, a fale zlizywałyby krew z piasku. A tak, poprzestała na krótkiej demonstracji siły, która podziałała na nich jak ceber lodowatej wody wylanej za kołnierz.

Odwróciła się. Teraz ważniejszy był Samiy.

Jej towarzysz walki.

Spojrzał na nią spode łba, pręga po uderzeniu w twarz podpuchła już porządnie, tak że na lewe oko chyba nic nie widział. Splunął na piasek, w krwawej flegmie błysnął ząb.

— Po co się wtrącałaś?

Zaskoczył ją. Gniew i złość w jego głosie były równie wielkie jak te, które przed chwilą zgasiła uderzeniem szabli.

— Powinnam cię zostawić? — Nawet jeśli *suanari* nie był jej rodzimym językiem, chłopak powinien wyczuć ironię. — Jak rozumiem, prawie ich miałeś. Jeszcze chwila, a leżeliby na ziemi, błagając o zmiłowanie?

Splunął jeszcze raz, kolejna plama czerwieni przełamała doskonałą monotonię piasku.

— Jego zostawiłaś. I teraz go zabiją.

Och… To było jak ostrze wgryzające się w ciało między łopatkami. Dwa krótkie, rwane zdania, a poczuła się, jakby szkarłatna plwocina trafiła ją w twarz. Jak… jak mógł…

— Powiedziałaś… tam na pustyni… powiedziałaś, że jesteśmy towarzyszami walki… powiedziałaś: będę chronić wasze plecy… cokolwiek się stanie…

Płakał. Uderzyłaby go za poprzednie słowa, za niespodziewany cios w plecy, zdradzieckie, niesprawiedliwe oskarżenie, ale teraz stał przed nią, taki drobny i chudy, wstrząsany bezgłośnym szlochem. Z dłońmi zaciśniętymi w pięści, z twarzą przeciętą rosnącą w oczach opuchlizną. Spod przymkniętych powiek ciekły mu łzy.

— Zostawiłaś go…

Niespodziewanie odezwał się w *k’issari* i nie wiedzieć czemu zabrzmiało to dużo gorzej niż w miejscowym języku. Jakby słowa wypowiedziane w jej ojczystej mowie, w mowie, która niosła w sobie dary *kendet’h*, nabrały właściwego, sięgającego kości sensu.

Nazwałaś go towarzyszem walki i zostawiłaś.

Ale jakie to właściwie miało znaczenie, wobec wspomnienia wypełnionej różem i zapachem kobiecych perfum sypialni, w której go znalazła.

— *Laagvara* to łańcuch, który ma dwie obroże — odpowiedziała w tym samym języku. — Nie możesz mi nakładać jednej, jemu zdejmując drugą.

Zerknęła za siebie. Pięciu mężczyzn, niosących szóstego, było już sto kroków od nich. Znalazła pretekst do zmiany tematu.

— Zalazłeś im za skórę, tratując Mamą Bo stragan?

Kornak nie odpowiedział od razu. Dała mu chwilę, demonstracyjnie odwrócona, by ochłonął. Jesteśmy tym, kim jesteśmy i sami niesiemy ciężar naszych decyzji i win, aż do bramy Domu Snu. Mogła zrozumieć rozpacz

dziecka, któremu wali się świat, ale róż i zapach perfum nadal wypełniały jej wspomnienia.

— To… — Smarknął głośno, odkaszlnął i splunął jeszcze raz. — To aktorzy *obenusiy.* Ćwiczyli nowe przedstawienie na plaży poza miastem. Nie spodobała im się moja ocena.

Spojrzała na niego. Wciąż się trząsł, lecz już nie płakał. Mierzył ją uważnie jednym zdrowym i jednym zapuchniętym okiem.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś. — Rozluźnił zaciśnięte dłonie. — Suchi mówił, że ukrywasz się w karawanseraju.

Poczuła lekkie ukłucie zadowolenia. Więc jej prosty podstęp się powiódł.

— Nie próbował mnie stamtąd wyciągnąć?

— Nikt nie wejdzie do issarskich domostw, chyba że najpierw wybije ich mieszkańców. A gdyby Issarowie w odwecie zamknęli naszym karawanom drogi przez pustynię… — Wzruszył chudymi ramionami, a ona mimo wszystko się uśmiechnęła. No tak, handel ponad wszystko. — A książę…

— Nie mów o nim — przerwała mu szybko, słowami i gestem. — Nic nie mów.

Zacisnął wargi w wąską kreskę, założył ręce na piersi. Gdyby nie był taki mały i chudy, wyglądałoby to niemal zabawnie, postawa wyzwania wobec wojowniczki Issaram.

— Jak chcesz. Opowiem ci więc — skrzywił się gorzko — o innym księciu. Obrar Płomienny jest w mieście. Razem z dziesięcioma tysiącami zbrojnych.

Miała ochotę wzruszyć ramionami. Sprawy Południa już jej nie obchodziły. Mimo to, bardziej przez szacunek dla swojego *laagvara* niż przez szczerą ciekawość, zapytała:

— Wpuścili go za mury? Z armią? A Słowiki nie zaprotestowały?

— Nie, nie… Świątynia Ognia go zaprosiła, a Bawoły i Trzciny poparły. Słowiki nie ośmielili się walczyć.

Ruszył z powrotem w stronę miasta. Chcąc nie chcąc, podążyła za nim. Przez chwilę szli obok siebie, milcząc.

— Ktoś mi powiedział — zaczęła, by przerwać ciszę — że Świątynia nie chce Obrara na tronie książęcym, bo mógłby podmienić wszystkich kapłanów na swoich ludzi, a Rody Wojny nie przyjmą go, by nie założył im prawdziwych niewolniczych obroży. Miejscowi kupcy też…

Samiy przerwał jej gestem.

— Wszystko się zmieniło przez ten miesiąc. — Kopnął ze złością piasek. — Wszystko. Mówią, że Obrar przyprowadził dziesięć tysięcy zbrojnych, bo z mniejszą siłą nie dotarłby do miasta. I że i tak musiał stoczyć trzy bitwy, w których zabił dziesięć tysięcy zbuntowanych niewolników. I że ich główna armia maszeruje na Konoweryn. Sto tysięcy ludzi.

Wszedł w morze i przez chwilę maszerował, energicznie rozchlapując wodę.

— *Af'gemid* Trzcin trzyma się go jak cielę matki, przywódca Bawołów też. Tylko Słowiki stoją jeszcze przy Laweneresie… Nie, źle powiedziałem, nie przy… obok. Między nim a resztą. Zgodzili się na próbę w Oku, na walkę między dwoma książętami przed obliczem Pana Ognia. Bardziej pilnują, żeby nie uciekł, niż… jego. Ich też przeraziło to, co dzieje się za murami. Mniejsze *ahyry* padły, większe miasta zamknęły bramy i wysyłają błagania o pomoc, plantacje płoną, kopalnie i warsztaty obracają się w ruinę. Właściciele dają gardła, a niewolni ze wszystkich klas odpłacają im za lata krzywd.

Tym razem jawnie wzruszyła ramionami.

— Nie trzeba było kupować tylu niewolników z Północy. Ktoś mógłby powiedzieć, że owoce gniewu wyrosły z ziarna krzywd.

— Jakiś kiepski poeta z pewnością. — Samiy zerknął na nią szczeliną opuchniętego oka i niespodziewanie uśmiechnął się szeroko. — Za to ktoś rozsądny powiedziałby, że gdybyśmy nie kupili tych ludzi, to łupiący Imperium konni barbarzyńcy wyrżnęliby ich na miejscu. Każda rzecz ma więcej niż jedną stronę.

— Mruknął wąż, zaczynając zjadać mysz od ogona — parsknęła. — Ktoś inny powiedziałby, że gdyby Konoweryn i inne księstwa nie nawoływały o niewolników do pracy, koczownicy nie najechaliby Meekhanu i nie braliby ludzi w niewolę. Kto wie, może nawet woleliby handlować z Imperium.

— Może… Nie wiem. — Tym razem to Samiy wzruszył ramionami. W jego uśmiechu pojawił się smutek. — Teraz jednak Świątynia zgodziła się, by Obrar udowodnił czystość swojej krwi. To stało się wczoraj, na oczach wszystkich, którzy zmieścili się na placu wokół Oka. Książę Kambehii wszedł do środka, pokłonił się na cztery strony świata i wyszedł. A potem głośno rzucił wyzwanie Laweneresowi. Jutro… jutro stoczą walkę

w Oku, na śmierć i życie. A miasto będzie na to patrzeć i padnie na kolana przed zwycięzcą.

Zdumiało ją, że słowa Samiyego tak mało nią wstrząsnęły. Zapach ciężkich perfum wypełniający jej pamięć sprawiał, że były to już obce sprawy obcych ludzi.

— Sądziłam, że Konoweryn kocha swojego księcia — mruknęła możliwie obojętnym tonem. — Pamiętam, jak go witano.

— Kocha. I nikomu nie uśmiecha się całowanie kambehijskich sandałów. Żołdacy Obrara już rządzą się tu jak w podbitym kraju. Ale to miasto Oka, miasto Agara. I jeśli Pan Ognia uznał Płomiennego za swoje dziecko… nikt nie przeciwstawi się jego woli. Nie w chwili, gdy resztę księstwa trawi pożar, a karki obciążone obrożami hardzieją nawet wewnątrz murów. Gdyby Agar jednym znakiem wskazał, że dzieje się niesprawiedliwość, Obrar i jego armia nie wyszliby stąd żywi. Poza tym — kornak splunął na piasek, tym razem już bez krwi — kto stanie na czele obrony? Świątynia jawnie popiera „wybawcę”, Trzciny i Bawoły też, lojalność Słowików jest krucha. Pałac opustoszał, większość dworaków znikła, zaszyli się w swoich rezydencjach, szykując szaty na powitanie nowego pana. Suchi… — chłopiec odwrócił się w jej stronę i pokazał otwartą dłoń — … Suchi mówi, że przy upadającym władcy nigdy nie zostaje więcej ludzi, niż jest palców w jednej ręce.

Kopnął nadpływającą falę z taką złością, że ochlapał się po czubek głowy. Skręcił i zaczęli się wspinać na nadbrzeżną wydmę.

Deana pomyślała, jak dużo się zmieniło, odkąd opuściła miasto. Jutro ślepy mężczyzna i młody książę wejdą w krąg wypalony na kamiennej posadzce, by stoczyć pojedynek. Pojedynek? To słowo brzmiało w tej sytuacji śmiesznie, koślawo, nie na miejscu. W jej rodzimym *k’issari* słowa „pojedynek” i „prawość” miały wspólny rdzeń, *aachi*, zakładający, że pojedynek to uczciwe starcie równych sobie przeciwników. A tutaj dokona się morderstwo, w imię pradawnych zwyczajów i spokoju nowej dynastii. Nie istnieje inna droga, krew przelana w Oku namaści nowego władcę Białego Konoweryn, jakby był zwykłym watażką pustynnej bandy walczącym na noże o przywództwo.

Tylko że te myśli nadal nie potrafiły poruszyć jej serca. Sprawy Południa pozostaną sprawami Południa. Ją czeka droga do domu i los, jaki sama sobie wykuje pod sprawiedliwym spojrzeniem Matki.

Wspięli się na wydmę i dłonie Deany mimowolnie dotknęły rękojeści szabel. Trzydzieści kroków od nich grupka mężczyzn i kobiet rozłożyła się niewielkim obozem. Wojowniczka rozpoznała kilku z tych, którzy ścigali Samiyego.

— Jeśli przyprowadziłeś mnie tu, żebym ich pozabijała, to od razu mówię, że nie znam się tak dobrze na sztuce, żeby ocenić, ile są warci.

Chłopiec uśmiechnął się i usiadł na piasku. Klapnęła obok niego, demonstracyjnie przesuwając pochwy z *talherami* na brzuch. Te kilka wyraźnie wrogich spojrzeń, którymi ich obrzucono, przypaliło piasek.

— Patrz. — Chłopak skrzyżował nogi i podparł brodę na zaciśniętych w pięści dłoniach. — Oto proroctwo najbliższych dni.

Najwyraźniej trafili na początek próby. Mężczyzna w bieli – gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, z oczami przewiązanymi czarną opaską – leżał na czymś w rodzaju sofy, otoczony półnagimi kobietami. Unosił do ust puchar i jednocześnie podszczypywał kochanki. Za jego plecami kilku obszarpańców z niewolniczymi obrożami biegało tam i z powrotem, trzymając zakrwawione noże w rękach. Co jakiś czas jeden czy dwóch przechadzało się przed twarzą ślepca, demonstracyjnie potrząsając bronią i trzymanymi za pęki włókien tykwami, na których wymalowano wykrzywione w przerażeniu twarze. Gorszego przedstawienia obciętych głów nie mogła sobie wyobrazić.

— *Obenusiy* nigdy nie słynął z subtelności. — Samiy włożył do ust źdźbło nadmorskiej trawy i zaczął żuć. — Ale nawet jak na nich to…

Machnął ręką.

Przy wtórze dzikiej muzyki przed oczyma Deany przewinęła się cała masa postaci. Szlachetni wojownicy w żółci, zieleni i brązie walczyli ze zbuntowanymi niewolnikami, zawsze jeden wojownik przeciwko grupce napastników. Pokurczony, ubrany w czerń karzeł, plączący się tu i tam, co chwila dolewał ślepcowi wina, kilka dziewcząt z twarzami zasłoniętymi przejrzystymi woalami szlochało bezgłośnie w kącie. Wreszcie pojawił się wyższy od wszystkich o głowę olbrzym w szarej szacie, który wielkim mieczem kosił dziesiątki szubrawców z obrożami na szyjach. Kobiety i dzieci rzucały mu jedwabie pod stopy, a on śmiało wkroczył w rozłożony na ziemi szkarłatny krąg, by przy wtórze ogłuszającej muzyki zrzucić szarości i ukazać się w złocie i czerwieni. Ślepca brutalnie zrzucono z sofy i zawleczono

przed oblicze nowego władcy do Oka, gdzie nieudolnie skrzyżował z nim szablę i padł.

Proroctwo przyszłych wydarzeń.

Wszystko zostało już zaplanowane… Nie wiedziała, do kogo należał ten głos, brzmiący w jej głowie. Wszystko zostało już zaplanowane. Jutro odbędzie się egzekucja. A potem nowe Dziecię Ognia stanie na czele połączonej armii Kambehii i Konoweryn i ruszy stłumić bunt. A po nim dwa najpotężniejsze księstwa Południa mające za sobą Świątynię Ognia przypomną wszystkim, że dawna nazwa królestwa Daeltr'ed powinna znów być używana. A wszystko, w imię Agara Czerwonego. Każda rzecz, której próbował zapobiec Laweneres, spełni się, tylko że dziesięć razy gorzej, niż obawiał się młody książę.

A minęło tylko trzydzieści kilka dni, odkąd opuściła pałac.

— Widzę, że tym razem nie mają roli dla pustynnej lwicy — odezwała się.

— Ona znikła. Odeszła. A obiecywała…

— Nie zaczynaj. Zranił mnie. Wbił zatruty nóż w… — dotknęła piersi. — Och, do licha, dlaczego właściwie ci się tłumaczę? To nie na twoją głowę.

— Bo jestem tylko książęcym sługą?

— Bo jesteś dzieckiem. Ile właściwie masz lat?

Spojrzał na nią z dziwnym błyskiem w oku.

— Mniej niż powinienem. — Uśmiechnął się przeraźliwie smutno. — Więcej, niżbym chciał. Jestem tylko książęcym kornakiem, jego oczyma…

Nagle zrozumiała. Ruchem szybkim jak uderzenie pikującego ptaka złapała go za ramię.

— Będziesz tam z nim? Tak jak i ci, którzy pozostali przy Laweneresie. Zabiją cię…

Jego uśmiech prawie zmroził jej serce.

— Nie będę. Oddałbym duszę, żeby być, ale on nie przyjedzie na plac na Mamie Bo. Nie pozwolą mu, bo to byłoby zbyt symboliczne. A ja… mam inne zobowiązania. Złożyłem obietnice, przysięgi…

— Ważniejsze niż te dane jemu?

Nie chciała, by to tak zabrzmiało: gniewnie, agresywnie, z ukrytym oskarżeniem. Nie odpowiedział, podciągnął kolana do piersi, ukrył twarz

w dłoniach.

Och, przerzucanie własnego poczucia winy na innych jest takie łatwe.

— Przepraszam — powiedziała, nie patrząc na chłopca. — Wiesz… kto z nim będzie?

Przed nimi ślepiec znów się upijał, ignorując buntowników przelewających galony krwi.

— Suchi… — szept Samiyego ledwo przebijał się przez kakofonię udającą prawdziwą muzykę.

— Suchi?

Właściwie to było oczywiste. Żaden władca nie przyjmie na służbę truciciela poprzedniego księcia, zwłaszcza jeśli musiał wyczyścić z krwi tron, zanim na nim zasiadł.

— Powinien uciec… — mruknęła w przestrzeń.

Chłopiec drgnął.

— Nie wszyscy wybierają ucieczkę, Deano z Issaram — powiedział w jej rodzimym języku, i znów poczuła się, jakby ją dźgnął. — Została Owiya, może Evikiat.

— Tylko oni? A…

Spojrzał tak, że reszta złośliwości ugrzęzła jej w gardle.

— Ci, którzy uciekli, nie powinni oceniać?

— Tak. Ale będzie tam jeszcze ktoś — powiedział niespodziewanie. — Jeszcze jedna osoba wejdzie z Laweneresem do Oka. I razem z nim umrze.

Rozdział 16

Pierwszym zmysłem, który Altsin odzyskał, był węch. Duszny, wilgotny i gęsty smród podziemi, niemożliwy do pomylenia z niczym innym, wypełniał mu nos i pełzł niżej, drapiąc gardło. Później usłyszał chlupot wody, powolne ciurkanie, jak z przedziurawionego wiadra. Czuł… że klęczy, nie, nie klęczy, choć kolana uginają się pod nim, bo całe ciało zwisa na uniesionych w górę i rozłożonych na boki rękach.

Co do…

Ból rozbłysnął jasnym światłem, które przeniknęło go od czubka głowy po pięty. Jakby ktoś przeszył go na wylot szklaną drzazgą. Wrzasnął, a ciemność mlasnęła głucho i połknęła jego krzyk.

Przez chwilę wisiał bezwładnie, nie otwierając oczu, obawiając się nawet głębiej odetchnąć. Bolało jak cholera. Musiał wisieć tak godzinami, a ciało poddawało się torturze bezwładności. Naciągnięte mięśnie i ścięgna, dłonie pozbawione dopływu krwi, wykrzywione pod nienaturalnym kątem stawy. Wszystko czekało na moment, gdy spróbuje się poruszyć.

Skądś nadeszło rozbawienie; tak jak powiedziała Aonel, ostatnio jego życie składało się z wyrw w materii czasu, kończących się odzyskiwaniem przytomności w dziwnych miejscach. I tylko jedno było stałe, zazwyczaj poprzedzało to… poprzedzało… Co?

Ciemność.

Jego umysł zawisł na cienkiej linie nad olbrzymią dziurą, skąd głodnymi oczyma gapiła się na niego panika. Nie pamiętał. Nie pamiętał nic, odkąd… odkąd…

Sięganie do wspomnień przypominało próbę wyciągnięcia nogi z lepkiego błota.

Przybyli na molo w Porcie Północnym. Pamiętał, że Ponkee-Laa przywitało ich mżawką, zwykła rzecz o tej porze roku, a urzędnik portowy spojrzał tylko na mnisie habity, na podróżny kij obwiązany sznurem z ołowianą pieczęcią Braci Nieskończonego Miłosierdzia, i machnął na nich ręką, sku-

piając uwagę na załodze i towarach kogi, która ich przywiozła. Statki przypływające z Amonerii miały na pokładach srebro, bursztyn, futra, cenne drewno – tam był zarobek, a nie u tej pary braciszków z żebraczego zakonu.

Pary.

Nie wrócił sam do miasta. Wrócił z…

Aonel.

Wisiał niemal bez ruchu, koncentrując się na wspomnieniach, które przypominały ławicę szprotek: za każdym razem, gdy sięgał po któreś, rozpryskiwały się na wszystkie strony. Aonel postanowiła wrócić z nim do Ponkee-Laa, by dopełnić rytuału, który miał usunąć z jego głowy kawałek duszy boga. Musiała być przy końcu tej historii, bo była na jej początku. Równowaga jest ważna, powiedział Oum. Bez niej wszystko się zawali.

Spróbował schwytać resztę wspomnień z chwil, gdy opuścili port. Chaos i błyski światła, odbite od boków uciekających szprotek. Jacyś mężczyźni ze znakiem Reagwyra na przedramionach, Durwon niemal tonie w świeżej opuchliźnie, blokada przy wejściu do D'Artweeny, przewrócony wóz tarasujący ulicę, słowa „witam brata, witam" wypowiedziane przesadnie uniżonym szeptem, ludzie gromadzący się w kupy, według jakiegoś na pierwszy rzut oka dziwnego klucza, nie klucza bogactwa, cechu czy języka, mijana na ulicy grupka uzbrojonych w pałki, kije i noże czeladników rzeźniczych noszących na szyjach wisiorki z symbolem Dłoni Matki, zapłakana kobieta tuląca do siebie zakrwawionego chłopca, Bendoret Terleach, arystokrata z krwi, kości i oblicza, łomot krwi w skroniach i mroczki przed oczyma…

Otrząsnął się i odepchnął te obrazy. To droga do obłędu.

Ciało mówiło mu, że wisi tak już dość długo. Zanim odzyska nad nim władzę, musi się rozejrzeć.

Rozkleił powieki.

Ciemność.

Ciemność za i przed oczyma.

Tak doskonała, jak aksamit utkany przez samą noc.

Najgorszy rodzaj mroku.

Przez chwilę miał wrażenie, że lina pękła i spada. Bezwiednie szarpnął dłońmi w stronę twarzy, ból wybuchł ponownie, ale tym razem od krzyku powstrzymała go myśl dławiąca gardło, przerażająca i odbierająca zdolność racjonalnej analizy sytuacji. Oślepili go…

OŚLEPILI GO!!!

Szarpnął się mocniej, unosząc się na wyciągniętych w górę rękach i stanął na stopy. Ciało zaprotestowało cierpieniem takim, jakby miał połamane wszystkie kości; jęknął; ale ustał, wyprostowany. Zacisnął zęby i zmusił się do myślenia. Oślepili go albo…

Albo był w naprawdę głębokim lochu, takim, gdzie słońce jest tylko legendą snutą przez żyjące na ścianach robaki.

Tak. Tak właśnie musiało być. Nie czuł bólu na twarzy, wszędzie, ale nie na twarzy, więc było po prostu cholernie ciemno.

W tej pozycji ręce miał wciąż lekko uniesione i rozłożone na boki. Gdy poruszał nimi, czuł żelazne obręcze kajdan i ogniwa łańcucha biegnące w górę. Za plecami poczuł pionową belkę, oparł się o nią z wdzięcznością. Gdy odzyska władzę nad ciałem…

Wiesz, co to jest, prawda?

Myśl naszła go nagle i wyczuł w niej ponure rozbawienie.

Widziałeś już kogoś, kto skonał przykuty w takiej pozycji, dotykałeś już ogniw, których nie ruszy żadne narzędzie, alchemiczny kwas ani zaklęcie. A ta belka to wcale nie belka, tylko klinga. Czarna jak fragment nieba, na którym nie płoną żadne gwiazdy. Zimna i głodna.

Wiesz, gdzie jesteś.

Zastygł, przywołując całą siłę woli, by nie zacząć się rzucać i szarpać.

Tak. Wiem. Pamiętam te łańcuchy, wyrastające z końców jelca, rozkrzyżowujące ofiarę na klindze. Pamiętam miecz, czarny jak sen kreta i twardszy niż serce lichwiarza. Jestem tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Przed obliczem Dengothaaga, Miecza Reagwyra.

Obliczem? – sam się zdumiał. Dlaczego pomyślał: obliczem?

Bo ona tak powiedziała. Aonel. Miał stanąć przed obliczem Miecza i odwrócić to, co się stało. Ofiarować bytowi, który w nim tkwił, alternatywę. Albo będą walczyć, aż to ciało się rozpadnie, albo ten sukinsyn odejdzie drogą, którą przyszedł. Nieważne, co czeka go po drugiej stronie.

Ten plan był równie obłędny, jak zamiary Czarnych Wiedźm dotyczące przyszłości Amonerii. Teraz je rozumiał. Nadzieja wcale nie umiera ostatnia, po niej do głosu dochodzą szaleństwo i desperacja.

Odkleił plecy od miecza. Nie. Jeszcze nie czas na jedno ani drugie. Najpierw musi sobie przypomnieć, jak tu trafił.

Wrócił myślami do Kamany. To pamiętał. Trochę mętnie, ale im bardziej skupiał się na przeszłości, tym wyraźniej ją widział. W klasztorze powitano

go niczym cudownie zmartwychwstałe dziecko. Domah i Naywir przypłynęli dziesięć dni przed nim, przynosząc wieści o jego pewnej śmierci, bo z doliny Dhawii żaden cudzoziemiec jeszcze nie wyszedł żywy; a tu taka niespodzianka. Altsin pamiętał powitanie, zdumienie na wszystkich twarzach i swoje zawstydzenie. A najlepiej pamiętał przyczynę swojego zawstydzenia. Kłamstwo, którym poczęstował przeora.

Kłamał, bo taka była umowa między nim a Oumem. Nikt nie miał prawa się dowiedzieć, co wydarzyło się w dolinie, i nikt nie miał prawa poznać prawdy o bogu Seehijczyków i jego słabości. Do tej pory kłamstwa nigdy nie były dla Altsina problemem, ale siedząc przed wiekowym starcem, który okazał mu tyle serdeczności, a teraz zdawał się spijać każde słowo z jego ust, czuł się podle. Zasłonił się niepamięcią, banalną wymówką o ciężkiej chorobie i majakach, które jakoby towarzyszyły jego podróży.

Powiedział Enrohowi, że nie dotarł do doliny, lecz spotkał się z wiedźmą, której szukał, kilka mil od niej. Tak. Czuł tamtejszą moc, drzemiącą wewnątrz potęgę. Nie, nie ma pojęcia, co tam jest, może wyjątkowo silne Źródło Mocy o nieznanym aspekcie? Nie wie. Nie zna się na tym. Dlaczego przeżył? Tutaj posłał przeorowi porozumiewawczy uśmiech i powiedział prawdę: Czarne Wiedźmy mają interes do klasztoru. Chcą kupić broń, ale tak, by żadne z północnych plemion się o tym nie dowiedziało. Nie zdradziły po co. Oto ich oferta, kilku zaufanych kupców zarobi krocie, dostarczając morzem broń do Doliny Dhawii. Same powiedzą, ile jej potrzebują.

Pamiętał zdumienie Enroha, jego niepewność i podejrzliwość, i rozumiał je. Z punktu widzenia starego żołnierza to nie miało sensu, po co najpotężniejszej sile na wyspie broń, o której nikt nie może wiedzieć? Co się właściwie dzieje?

Altsin nie pozwolił mu nad tym zbyt długo rozmyślać, wyjawiając drugą część żądań wiedźm. A właściwie własnych żądań. On i towarzysząca mu osoba muszą jak najszybciej dostać się do Ponkee-Laa. Tak. To wiedźma. Tak, ta sama, która była sprawczynią jego problemów. Nie. Nie ufa jej, ale nie ma wyjścia. To dla niego jedyna szansa.

W tym momencie twarz przeora spoważniała. Dlaczego klasztor miałby spełnić te żądania? Co dostanie w zamian?

Nic.

Dolina Dhawii wiedziała, kto kogo trzyma za jaja w tych negocjacjach. Jeśli Enroh się nie zgodzi, każdy mnich Wielkiej Matki będzie za murami Kamany traktowany tak samo, jak kapłani innych bogów. Już na zawsze.

W ten sposób Altsin i Aonel znaleźli się na kodze płynącej do Ponkee-Laa, zaopatrzeni w habity, pielgrzymie kostury, pieczęcie i pisma, głoszące, że są dwoma Oczekującymi, którzy odbywają pielgrzymkę, by nieść pociechę potrzebującym. To było przebranie doskonałe, bo nikt nie zagląda pod mnisie kaptury, a jeśli próbuje, wystarczy podsunąć mu pod nos żebraczą miseczkę, by szybko odwrócił wzrok i udawał zainteresowanie innymi sprawami.

Pamiętał podróż, monotonną i spokojną. I pamiętał Ponkee-Laa, dżdżyste i mgliste w dniu, gdy przypłynęli.

A potem?

Poszli coś zjeść. To on zaproponował wizytę w tawernie; wydawało się to wtedy dobrym pomysłem.

Pamiętał, że gdy stanęli w progu, wszystkie rozmowy ucichły, a znajdujący się za szynkwasem nieogolony drab w brudnym fartuchu zrobił minę, jakby miał ochotę wykopać ich za drzwi. Ale zawahał się, rzuciwszy okiem na sporą grupkę szkutników i marynarzy siedzących w jednym kącie sali. Altsin pamiętał ciszę wypełniającą salę, gdy zasiedli za stołem i zamówili posiłek. Pamiętał miskę cienkiej zupy rybnej i łyżkę łowiącą w niej małe kawałki dorsza z cierpliwością żebraka przeszukującego odpadki. I pamiętał napięcie, niemal namacalne, jakie unosiło się w powietrzu.

Zjedli i wyszli z tawerny najprędzej, jak się dało, a potem szybkim krokiem zanurzyli się w labirynt przyportowych uliczek. Jakby próbowali zgubić trop.

Nagle we wspomnieniach mignęło mu wejście do Świątyni Reagwyra, potężne wrota strzeżone przez ośmiu halabardników w ciężkich kolczugach. Nałożone na pancerze błękitne jaki ozdabiał Durwon, wokół którego wiły się liście dębu – nowa symbolika, której Altsin nie znał. Wierni wchodzili do środka pod czujnymi spojrzeniami strzelającymi spod kapalinów, ale nie zatrzymywano nikogo. Nawet kalek i żebraków, którzy do tej pory mieli zakaz przekraczania progu tej świątyni.

I tyle. Nie pamiętał, czy wszedł do środka, czy zrezygnował.

Potrząsnął głową w ciemności. To do niczego nie prowadzi.

Niech to szlag!

Rozdział 17

Wejście na teren pałacowych ogrodów było ukryte z boku, między gęsto rosnącymi krzewami pokrytymi bujnym listowiem. Właściwie ukryte to złe słowo, nie może być ukryte coś, przed czym stoi tuzin uzbrojonych jak do bitwy wojowników w żółtych szatach.

Samiy miał rację. Pilnowali, żeby nie uciekł.

Na widok Deany kilka szabel błysnęło klingami, drzewce strzał oparły się na cięciwach.

— Odejdź stąd. Nie wolno przyjść tu.

Dowódca wartowników odezwał się łamanym *k'issari*, wskazując jej drogę powrotną. Uśmiechnęła się pod *ekchaarem*. Wziął ją za zwykłą wojowniczkę Issaram, która zabłądziła w mieście. Minął ledwo miesiąc, a już o niej zapomniano.

— Mam sprawę do księcia. — Uniosła dłoń, błyskając rubinowym wisiorkiem. — Zatrzymasz mnie?

Słowik zawahał się, błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach.

— Jeśli tam wejdziesz, nie opuścisz pałacu, póki on nie uda się na sąd — wyjaśnił już w *suanari*. — Takie są rozkazy.

Sąd. Ładnie to nazywali.

— On? Czyli kto, wojowniku? Zapomniałeś już imienia własnego księcia?

Nie odpowiedział, ale wykonał krótki gest i szable reszty schowały się do pochew, a strzały wróciły do kołczanów.

— Możesz przejść. W pałacu ktoś wskaże ci drogę.

Opowieść.

Idąc w stronę pałacu, niosła ją ze sobą. Ta opowieść, gdy Samiy ją skończył, zamknęła jej usta na długą chwilę. Historia o uporze, głupocie, miłości, dumie prawie rozbiła na kawałki wszystko, co udało jej się osiągnąć przez ostatni miesiąc, prawie odebrała dary medytacji, modlitw i spokoju, jakim obdarowało ją morze.

To ta opowieść kazała jej odwrócić się plecami do aktorów, objąć rękoma kolana i kołysać się w tył i w przód, zagryzając wargi. W końcu zadała pytanie, które ją nurtowało, i kiedy już wszystko jej powiedział, została nazwana głupią, za co nawet nie mogła się obrazić. Przecież w tej łagodnej kpinie kryła się prawda.

Głupia, głupia dziewczyna.

Popełniła błąd. A teraz zrobi kolejny.

Bo każdy ma swoją drogę do Domu Snu.

Więc potem zapytała Samiyego, jak najłatwiej dostać się do pałacu.

— A po co? W pałacu nie jest już bezpiecznie dla nikogo. — Wzruszył ramionami. A później wyciągnął zza koszuli mały wisiorek, taki sam, jak podarował jej Laweneres. — Zresztą masz. Nie będę go już potrzebował. Tylko nie wchodź głównym wejściem. Głównej bramy nawet to może nie otworzyć. — Uśmiechnął się smutno. — I nie patrz tak na mnie…

— Skąd wiesz, że patrzę?

— Zawsze tak zastygasz, gdy się komuś przyglądasz. Jak czapla polująca na ryby. Co chcesz zrobić?

— Porozmawiać… pożegnać się… napić wina. Nie uwierzysz, ale tu nie ma…

— Kocham go — przerwał jej niespodziewanie. Ciche słowa, takie, które najłatwiej wypowiedzieć nie do kogoś, ale o kimś, najlepiej szeptem, najlepiej tak, by nikt nie usłyszał, bo to przecież wstyd, patos, żałosne rozczulanie się.

— Nic nie mów.

— Ale nie mogę z nim jutro być. Złożyłem obietnice.

Nie czuła już do niego żalu. Kto mógł lepiej rozumieć więzy nałożone przez przysięgi i zobowiązania, jak nie Issaram?

— Więc opowiedziałeś mi tę historię, żebym poszła tam za ciebie? — złagodziła te słowa żartobliwym szturchnięciem.

— Nie. Opowiedziałem ci ją, bo jeśli usłyszałabyś ją dopiero jutro albo pojutrze, albo za miesiąc, rzuciłabyś się na miecz.

Nie miał racji, ale są sprawy, o których nie mówi się nawet *laagvara*.

Na pierwszy rzut oka w pałacu nie było nikogo. Żadnej służby, strażników ani dworzan. Opustoszałe korytarze i komnaty witały ją echem kroków, i tylko bezcenne wazy, meble i kobierce czekały w ciszy, aż pojawią się nowe tłumy, gotowe je podziwiać. Albo rozkradać. Deana uśmiechnęła

się kwaśno. Zapewne tylko dzięki Słowikom pilnującym każdego wyjścia te skarby wciąż były na miejscu.

Rozejrzała się. Wojownik powiedział, że ktoś wskaże jej drogę, więc pałac nie mógł być całkiem wyludniony. Ale na razie nie potrzebowała przewodnika.

Suchiego znalazła w jego komnatach. Siedział przy stole ubrany w bijącą po oczach mieszaninę czerni i złota. Na jej widok uniósł kryształowy kielich w ironicznym salucie.

— Zguba się znalazła… Mówiłem mu, żeby cię nie szukać, bo sama wrócisz. Jak kot, któremu znudziła się wolność.

Nie wyglądał na zdumionego, zaskoczonego czy przestraszonego, choć nie rozstali się jak przyjaciele. Nie wyglądał też na pijanego. Spojrzała mu w oczy. Tak trzeźwy nie był chyba nigdy w życiu.

— Nie upijam się — wyjaśnił łagodnie, bezbłędnie odczytując jej myśli. — Nie poprawiam sobie nastroju żadnym z moich leków, tym do picia, do wdychania czy tym, które wciera się w skórę. To byłoby… tchórzostwo.

— A odwaga jest najważniejsza?

Uśmiechnął się.

— Dlaczego to pytanie w twoich ustach nie brzmi pretensjonalnie? Issaram. Określenie plemienia, narodu, wiary, sposobu życia, przyjęcia pewnej perspektywy wobec świata. Sposobu… bycia. Mówicie „jestem Issaram”, i to tłumaczy wam rzeczywistość. Zasłanianie twarzy, zabijanie bez krzty wahania, poddawanie mniej lub bardziej bezsensownym rytuałom… Zawsze patrzyłem na ciebie z pewną wyższością, na ten prosty świat, proste zwyczaje, proste zasady. Nawet gdy znikłaś, łamiąc mu serce, potrafiłem to zrozumieć, choć byłem na ciebie zły, że zrobiłaś to tak bezceremonialnie. Ale wiesz co? Teraz trafiłaś w sedno. Dziś i jutro odwaga jest najważniejsza. Z łatwością mógłbym uciec. — Wskazał na stojące na półkach butelki, buteleczki, dzbanuszki i skrzyneczki. — Na tysiąc sposobów. Odebrać im… przywilej, nie, radość patrzenia. Triumf. Ale wtedy on jutro wyszedłby tam, do tego tłumu złaknionego krwi, jeszcze bardziej samotny. Więc nie upijam się, by nie uśpić własnej odwagi.

Usiadła naprzeciw, zerknęła do jego kielicha. Wnętrze wypełniała gęsta, matowa zieleń.

— Po co przyszłaś? Nie… Nie mów. Wiem. Zagroziłem ci kiedyś śmiercią, a Issaram nie puszczają takich słów płazem, co? Więc przyszłaś wypruć

ze mnie flaki, zanim…

— Zamknij się, trucicielu.

Zamilkł posłusznie, ale nie przestał się uśmiechać.

— Kto został w pałacu? — zapytała.

— Ja, Owiya, Evikiat, trochę służby i… — zawahał się wyraźnie. — Varala z dziewczętami.

Deana wyszczerzyła się, widząc, jak intensywnie Suchi wpatruje się w jej *ekchaar*. I słysząc, z jaką kruchą, porcelanową wręcz delikatnością wypowiada ostatnie słowa.

— Myślałam, że te, hm, niech będzie, dziewczęta ukryjecie, by nic im się nie stało?

— Nic im się nie stanie. To najczystsza krew Agara, jaka jest w księstwie. Są cenniejsze niż wszystkie skarby, jakie tu mamy, więc Słowiki zastąpiły kastratów i pilnują ich jak własnego życia. Gdy… odbędzie się pojedynek, zostaną otoczone opieką i przez przynajmniej trzy miesiące nikt ich nie tknie. A potem spełnią swój obowiązek. Dla — niech to wieczny ogień pochłonie — dobra i chwały obu księstw.

Zrozumiała dopiero po chwili.

— Trzy miesiące? Więc Laweneres…

— Nie wiem. — Machnął ręką. — Nic o tym nie wiem. Ale Obrar będzie chciał mieć całkowitą pewność. Dziewictwo nie zawsze jest gwarancją.

— A jeśli — przeklinała własną ciekawość, ale musiała spytać — w którymś piecu będzie tlił się ogień?

— Na wielkich równinach żyją stada lwów. Gdy młody samiec zdobywa harem, odnajduje i zabija wszystkich potomków poprzedniego przywódcy stada. Co do jednego. — Truciciel pociągnął z kielicha.

Milczeli dłuższą chwilę, on wpatrując się w sufit, ona błądząc wzrokiem po komnacie. Półki z ciemnego drewna, na nich rzędy buteleczek i skrzynek, szklane naczynia dziwnych kształtów i nieznanego przeznaczenia. Na miedzianych tabliczkach przybitych do półek wyryto podpisy – *awnee*, *dulst*, *cmanea*, *seruviyo*… Większość nazw nic jej nie mówiła. Część zapisano w językach, których nie znała, a część oznaczono po prostu glifami, zrozumiałymi zapewne tylko dla Suchiego. Cała komnata pachniała ziołami i gorzkawą wonią palonych migdałów.

Truciciel poruszył się nagle, odchrząknął.

— Wiesz, co jest najgorsze? — rzucił. — Że byliśmy od początku tak ślepi. Ja byłem. Zakładałem, że strach, jaki Rody Wojny i Świątynia żywią przed Obrarem, sprawi, że będą skłonni do ustępstw. W końcu lepiej stracić trochę niż wszystko, myślałem. Przegapiłem jedno…

— Niewolników.

Nie odrywała wzroku od półek, więc bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak drgnął.

— Tak. Trzeba było coś z tym zrobić.

— Oczyszczanie? Łapanki? Kontrolowany upust krwi?

Cmoknął, a jego brzydka twarz wykrzywiła się w dobrze jej znanym, złośliwym grymasie.

— No proszę, zdajesz się wiedzieć więcej o Konoweryn, niż raczyłaś to przyznać. Nie, dziecko, Laweneres nigdy by na to nie pozwolił, on… Raz na sto, na tysiąc lat rodzi się ktoś taki jak on, połączenie zdrowego rozsądku, prawości, umiaru i… uczciwości. W ciągu dwudziestu, trzydziestu lat mógł zmienić to księstwo, odmienić jego twarz. Ech… Znów gadam banały. Cieszyłem się na te zmiany… Liczyłem na nie.

Przestał się uśmiechać i po raz pierwszy, odkąd się spotkali, wyglądał na smutnego.

— Marzenia. Wiesz, co jest największym grzechem ludzi z wizją? Zdolność do ignorowania wszystkiego, co tej wizji zaprzecza. Laweneres miał wizję Konoweryn, w którym za pokolenie lub dwa nie będzie niewolników. Uważał, że część z nich wykupimy, część zostanie wyzwolona po odsłużeniu określonej liczby lat. Myślał, że większość z nich zostanie potem u nas i jako wolni ludzie będzie pracować dla dobra księstwa. Wydawało się, że wszystko mu sprzyja, że jako ostatni w rodzie trzyma każdego w szachu. Cóż… Nie byłaby to pierwsza pomyłka, jaką popełniono w tym pałacu.

Wbił w nią intensywne spojrzenie bladoniebieskich oczu.

— I nie zastanowił się, a ja wraz z nim nad tym, że Rody Wojny istnieją tylko dzięki niewolnikom, że Świątynia Ognia boi się utraty potęgi, jeśli nagle połowa wolnych mieszkańców księstwa będzie wyznawać Baelta’Mathran, a właściciele plantacji to banda prymitywnych głupców, ubierających własną indolencję w takie zwroty, jak tradycja, odwieczne przywileje, nadane przez bogów prawa. Że wszyscy ci ludzie też będą mieli wizję Konoweryn bez niewolników, ale będzie to wizja inna niż jego. Będzie ich przerażać.

— Podobno nie piłeś, a gadasz…

— Jak po kilku dzbanach? Może muszę z kimś pogadać, a jeśli to jest tylko barbarzyńska kobieta zza pustyni, która jako jedyna nie boi się wejść do mojej komnaty, to trudno. Teraz, gdy jest po wszystkim, wydaje się to takie proste, oślepić Pałac, odciąć go od wieści o nastrojach wśród niewolników, wywołać bunt, który wstrząśnie całym Południem, wezwać na pomoc Obrara z Kambehii, jedynego księcia z dość czystą krwią, by wejść do Oka i osadzić go na tronie. W zamian za co? Jak myślisz, co Płomienny obiecał *Af'gemidom* i kapłanom?

— Nie graj ze mną w takie gierki, trucicielu. Co powiesz na wymianę? Ja będę odpowiadać na twoje głupie pytania, a ty na moje, zgoda?

Zmarszczył brwi. Potem się wyszczerzył grymasem szerokim jak po cięciu nożem. Wyglądał przy tym dość przerażająco.

— Nigdy cię nie zrozumiem, Deano d'Kllean. Nawet w takiej chwili potrafisz mnie zaskoczyć. Ale dobrze, pytaj.

Zabębniła palcami w blat.

— Na razie opowiem ci historię. Pytanie potem. Była sobie dziewczyna. W jej żyłach płynęła krew Pana Ognia. Wystarczająco czysta, by wybrano ją na Oblubienicę tutejszego księcia.

Wzruszył ramionami.

— Jak zapewne wiesz, takie rzeczy zdarzają się niektórym naszym dziewczętom.

— Wiem. Przywieziono ją do pałacu, spełniła swój obowiązek, urodziła następcę tronu i wróciła do siebie.

— Jak większość wybranek Varali.

— Ta historia dzieje się jeszcze przed Varalą. Wiele lat temu. Wiem, jak tu wychowuje się dziewczęta. Skromność, posłuszeństwo, cnota, tradycja.

— Tak. — Truciciel pociągnął z kielicha. — Nadal pielęgnujemy te wszystkie wady.

— Nie przerywaj mi. W domu czekał na nią narzeczony, którego linia krwi była oczywiście równie czysta jak jej, i obowiązek przedłużenia rodu. Ale była uparta i niezależna, miała kości z żelaza i płynną stal zamiast krwi, więc ani myślała poddać się tradycji. Wiedziała, że zostawiła w mieście część siebie.

— Coś takiego…

Nie patrzył już na nią ze złośliwym uśmieszkiem. Zamiast tego gapił się w napięciu w kielich, jakby znalazł w zielonym płynie coś wielce interesującego.

Deana uśmiechnęła się smutno. Samiy miał rację. Truciciel wiedział.

— Dziewczyna upozorowała swoją śmierć, i to tak dobrze, że Świątynia i Biblioteka uznały ją za martwą. Potem wyruszyła w podróż. Po kilku latach pojawiła się w stolicy. Została kochanką jednego z arystokratów, potem kolejnego, ważniejszego, miała prawdziwy talent do sztuki miłosnej, wieści o jej „darze” wędrowały od ucha do ucha, aż wreszcie trafiły to tego najważniejszego, książęcego. Podobno po jednej nocy awansowała na Pierwszą Nałożnicę.

— A książę nie rozpoznał matki swojego syna?

— Nie kpij — syknęła, a on drgnął, jakby usłyszał świst przecinającej powietrze klingi. — Wiesz dobrze, jak za pierwszym razem wyglądały ich… akty miłosne. Została jego kochanką, powierniczką i zaufaną, a kiedy umarł, ku zdumieniu wielu mężczyzn i zazdrości wszystkich kobiet w pałacu utrzymała stanowisko, wskakując do łoża nowego księcia. Wszystko po to, by być jak najbliżej jego brata.

— Ohoho, zapachniało kazirodztwem — mruknął Suchi.

Długie dni ćwiczeń i medytacji w obliczu morza zostawiły w niej ślad, jej gniew był więc chłodny, spokojny, panowała nad nim w sposób, którego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Więc zamiast naznaczyć trucicielowi twarz szablą za kpinę i złośliwość, pochyliła się tylko i machnęła ręką, wytrącając mu kielich z dłoni. Tak szybkim ruchem, że nie zdążył mrugnąć.

Ale nawet gdy naczynie trzasnęło o podłogę, nie spojrzał na nią, zacisnął tylko dłonie w pięści, zasznurował usta.

— Ja też o to zapytałam, a wtedy Samiy…

— Samiy?

— Zamilcz! Nie ostrzegłeś mnie… nie uprzedziłeś. Być może nawet umówiłeś się z nią, by odegrać całą scenę, bym znalazła Laweneresa w jej sypialni… Dlaczego? Bo odciągałam myśli księcia od właściwych spraw? Nie odzywaj się teraz. Nie wiesz, jak blisko jesteś Domu Snu… przyjacielu. Gdy go o to zapytałam, Samiy nazwał mnie głupią dziewczyną. Miał rację. Przecież książęta byli braćmi przyrodnimi, z różnych matek. Nienawidziłam jej, a powinnam raczej podziwiać kobietę, która posunęła się tak daleko, by być blisko własnego dziecka.

Spojrzał na nią po raz pierwszy od bardzo długiej chwili.

— Lepiej nie rozpowiadać tych bajek — powiedział szeptem, a w jego oczach nie było strachu, jak się spodziewała, tylko coś, co mimo wszystko ją zmroziło. — Nawet teraz… Znaleźliby się tacy, którzy chcieliby na tej opowieści coś zyskać. Bo kara za jej wykroczenie jest straszniejsza, niż możesz sobie wyobrazić.

— Na przykład nie mogłaby być przy tym, jak będą szlachtować jej syna?

— Na przykład. A jakie chciałaś zadać pytanie?

— Czy ta historia jest prawdziwa?

— Przecież opowiedział ci ją ktoś, komu ufasz.

— Nie wiem już komu ufać.

— Mądre dziecko.

Milczeli, patrząc na siebie, aż z jego oczu znikły demony. Potem niemal niedostrzegalnie skinął głową.

— Ale to już nie ma znaczenia. — Wstał, podniósł kielich i napełnił go ponownie. Potrząsnął butelką zdobną w małe czaszki i kości. — Tu wszystko jest inne, niż się wydaje. W tym na przykład nie znajduje się śmiertelna trucizna, tylko wydestylowana esencja zielonych ziaren *vaolei*. Tych samych, z których po wypadnięciu z ptasiego tyłka powstaje *gri*. Trzeba wiedzieć, jak ją przyrządzić, ale działa lepiej niż najwspanialszy ożywiający napar, mimo iż smakuje jak sfermentowane krowie łajno. Słyszałem kiedyś o człowieku, który nie spał przez dwadzieścia dni i nocy, pijąc tylko to. — Pociągnął głęboki łyk, skrzywił się wściekle. — Podobno potem upadł w pół słowa i umarł. Nieważne. Zrobiłem, co uznałem za słuszne, i możesz mi wierzyć lub nie, nie miałem nic wspólnego z tym, jak go wtedy znalazłaś. Potrafiłbym cię odsunąć w inny sposób.

Nie odpowiedziała.

— Czy miasto naprawdę podporządkuje się wynikowi pojedynku?

Truciciel westchnął i klapnął ciężko na krzesło.

— Mówiłem ci już, tu nawet kominki przyznają się do pokrewieństwa z imieniem Pana Ognia. Wynik walki w Oku będzie niepodważalny. Nawet jeśli ludzie sądzą… czują, że dzieje się niesprawiedliwość… że to nieuczciwe, by ślepiec stawał przeciwko widzącemu. Że ta krew nie musi być przelana, bo Laweneres mógłby oddać tron dobrowolnie, wrócić do ksiąg, traktatów filozoficznych i poezji.

— Więc czemu tego nie zrobi?

— Nie pozwolą mu. Mówiłem. Lwy na sawannie. Zawsze stanowiłby zagrożenie. — Westchnął. — Być może taki był warunek Obrara. Ta linia krwi *awenderi* ma zniknąć. Więc miasto będzie patrzeć, zaciskając pięści, bo wszystko odbywa się przecież zgodnie z prawem Świątyni, z odwiecznym obyczajem, nawet jeśli stał się on kpiną z – wybacz banalne słowo – prawości.

— A potem? Wojna z niewolnikami? Rzeź, śmierć, konie po pęciny brodzące we krwi?

Wzruszył ramionami.

— *Af'gemidzi* i Świątynia dostaną wsparcie, które przywróci zachwianą równowagę. Płomienny połączy Konoweryn z Kambehią. A potem… Pamięć o tym, że Południe było kiedyś jednym królestwem, wcale nie umarła. — Dłonie zaciśnięte na kielichu pobielały. — Na popiół na języku Agara, gdybym miesiąc temu wiedział, jak wygląda sytuacja wśród niewolników!

— Nic byś nie zrobił. Było już za późno.

— Skąd wiesz? Skąd możesz to wiedzieć?

Wzruszyła ramionami. I tak nie mieli szans, jakby sam Los grał przeciw nim. Nawet gdyby Laweneres uspokoił tlący się ogień mądrymi prawami, ktoś postarałby się, by go rozdmuchać. Wystarczyłaby jakaś łapanka albo pomniejsza rzeź. Powstanie musiało wybuchnąć, by Obrar Płomienny wszedł z armią w środek ogarniętego zamętem kraju i wystąpił w roli zbawcy.

— Ludzie z wizją bywają oślepieni własnymi marzeniami. Sam tak powiedziałeś. Ciebie to też dotyczy, trucicielu. Pójdę już.

Uniósł kielich w ironicznym toaście.

— Twoje zdrowie, dziewczyno. Laweneres jest…

— Sama go znajdę. Jeśli zechcę poszukać. Będzie walczył jutro o świcie?

— Tak. Nie. Stawi się o świcie przy Oku. Zanim skrzyżują broń, odbędzie się przedstawienie, kapłani odczytają jego linię krwi, a to z pięćdziesiąt nazwisk, linię krwi Obrara, potem ten rzuci uroczyste wyzwanie, wymieniając wszystkie swoje tytuły. To potrwa jakiś czas. Potem dopiero dadzą im broń.

— Jaką?

— Tradycyjne szable. Nieco dłuższe niż twoje *talhery*, trochę cięższe. Potem modlitwa, błaganie Agara, by wsparł sprawiedliwość… — Kaszel mężczyzny przypominał rzężenie rannego zwierzęcia. — Sprawiedliwość. Gdyby ten ognisty sukinsyn wiedział, co to znaczy. Nieważne. Wszyscy w mieście poczują, gdy książęta wejdą do Oka. Ono ich przywita. Będziesz tam?

— Do Oka może wejść tylko ten, kto ma w sobie krew Agara, prawda? Albo ten, kto domaga się *vasagar*?

Po raz pierwszy nim wstrząsnęła.

— Nie możesz…

— Zamierzasz wskazywać mi drogę, ślepy mężczyzno? Swojego księcia przywiodłeś do zguby.

Wymierzyła mu ten ostatni policzek, z ponurą złośliwością obserwując, jak czerwienieje. Po czym wstała, ukłoniła się głęboko, krzyżując dłonie na rękojeściach szabel.

— Nie hołubię żalu ani krzywdy, przechodzący, więc nasze drogi mogą się rozejść, a moja broń nie będzie płakać za twoją krwią. Oby Matka była łaskawa dla każdego naszego kroku.

Nie sądziła, by rozumiał *k'issari*, ale był bystry. Jak na mężczyznę oślepionego własną wizją.

Wyszła na pusty korytarz.

Rozdział 18

Światło.

Zdumiewające, jak niewiele trzeba, by w człowieka wstąpiła otucha. W jednej chwili stoi w ciemnościach z dłońmi wyciągniętymi na boki, starając się nie dotykać zimnej klingi za plecami, a głowę wypełniają mu myśli, które sprawiają, że ma wrażenie, jakby zapadał się w posadzkę. A w następnej – jest w pełni pobudzony i gotowy do działania.

Światło oznacza ludzi. A ludzie to nadzieja. Na odmianę losu, jakakolwiek by ona była.

W dziurze w ścianie, gdzie kiedyś musiały być drzwi, rozbłysnął ciepły blask, który wlał się do komnaty i polizał kamienne ściany. Za światłem pojawił się mężczyzna. Wysoki, szczupły, siwowłosy, ubrany w skromny strój w brązach i czerni. Altsin wygrzebał jego imię z pamięci.

Bendoret Terleach. Hrabia. Cóż za zaszczyt.

Nadzieja skuliła się w kącie i zaczęła popłakiwać. Bendoret Terleach z pewnością nie zwiastuje najmniejszej szansy na wyjście z tego bagna.

Arystokrata popatrzył na niego z twarzą wyglądającą jak pośmiertna maska odlana w kiepskiej jakości gipsie. Plamy bieli i szarości walczyły ze sobą o lepsze na tym obliczu, a złodziej wiedział, że hrabia od wielu dni nie dosypia, jada byle co i pije zbyt wiele wina. To była twarz człowieka, w którym coś pęka, powoli łamiąc jego wolę i wiarę.

Zwłaszcza wiarę.

— Miałem cię w ręku.

Przez chwilę Altsin nie bardzo wiedział, co te słowa znaczą.

— W czasie pojedynku, gdy zabiłeś sek-Gressa. Powinienem się domyślić, kapitan mittarskiej galery, za którego się podawałeś, pokonuje najbardziej utalentowanego szermierza, jakiego widziałem przez ostatnie lata. Powiedziałem ci nawet wtedy, że widziałem w tobie Naszego Pana. Gdybym wiedział, jak blisko jestem prawdy.

Złodziej popatrzył szlachcicowi w oczy, świadomy, że żadne kłamstwa i wykręty nie mają sensu. On wie wszystko.

— Jak… się tu znalazłem?

O Matko Łaskawa. Ależ miał głos. Jakby ktoś przeciągnął mu przez gardło tuzin związanych, walczących ze sobą kotów.

— Nie pamiętasz? Sam do mnie przyszedłeś. Do świątyni.

Te słowa wywołują ciąg obrazów.

Delegacja. Rządek ubranych w błękitne szaty sług Bliźniąt kieruje się w stronę wysokiego mężczyzny w czerni. Wokół jest pełno ludzi, część szybkim krokiem zmierza w konkretnym kierunku, a część stoi w grupkach, milczących i zgodnie ponurych. Czekają, aż mężczyzna w czerni wezwie ich do siebie gestem lub spojrzeniem, ale on stoi na środku sali, nieruchomy, z grzywą białych włosów wznoszącą się nad szlachetną, arystokratyczną twarzą, i najwyraźniej czuje się świetnie, znajdując się w centrum uwagi. Wydaje polecenia. Powietrze przepełnione jest napięciem, ale napięciem podszytym ekscytacją i niecierpliwym oczekiwaniem. Szmer i do sali wnoszą młodego chłopca ubranego jak portowy tragarz, leżącego, z twarzą ściągniętą bólem, na płaszczu trzymanym za rogi. Z rozbitej głowy leje mu się krew, złamana noga błyska kością, ale dzieciak nie płacze. W tłumie, jak wyrojona nożem, otwiera się aleja, na której końcu stoi on, hrabia Terleach. Niosą ku niemu chłopca, a on krótkim gestem zatrzymuje zbliżających się kapłanów w błękitnych szatach i sam rusza ku rannemu.

Nie słychać słów, które szepcze do ucha chłopaka, ale zakrwawiona twarz rozjaśnia się, jakby ktoś podświetlił ją od spodu, zakrwawiona dłoń łapie za rękę arystokraty, a usta zostawiają szkarłatny ślad na mankiecie czarnej koszuli. Lecz nikt w sali nie krzywi się, nie rzuca pogardliwych spojrzeń ani nie wydyma z niesmakiem ust na widok plebejskiej krwi znaczącej szlachetny jedwab.

To krew męczennika za wiarę.

Wspomnienie tej sceny błysnęło i uciekło, zostawiając posmak żelaza w ustach i gorzkie przeczucie zdrady.

Aonel, coś ty zrobiła?

Altsin poczuł drżenie. Zatrzęsły się płyty czarnego granitu, tworzące ściany i posadzkę, zawibrowała czarna klinga, a wraz z nią zamigotało światło pochodni trzymanej przez hrabiego. Przez twarz mężczyzny przebiegł dziwny skurcz.

Zmierzyli się wzrokiem, arystokrata i miejski szczur.

— Co się dzieje w mieście? — Altsin rzucił pytanie, które nagle zaczęło go dręczyć. Musiał znać odpowiedź.

— Wierni atakują matriarchistów. Nie chciałem tego, nie teraz, ale skoro mam ciebie, wszystko ulegnie zmianie. Skończył się czas pokory. — Siwowłosy mężczyzna potrząsa głową. — Nie będziemy więcej pełzać na kolanach.

Złodziej zerknął na lewą rękę szlachcica. Tę, która trzymała pochodnię. Ręka wydawała się wykonywać lekkie, mimowolne ruchy w rytm drgania klingi za plecami.

— Nosisz Durwon? — zapytał.

Jako jedyną odpowiedź otrzymał pełen wyższości uśmieszek. Głupie pytanie. Jakim cudem najważniejszy człowiek w Świątyni Reagwyra miałby nie nosić znaku swojego boga?

— Durwon? — coś w głosie hrabiego kazało Altsinowi jednak zmienić zdanie. — Durwon to za mało. Durwon jest dobry dla prostaczków. Durwon to…

Słowa nie wystarczą, zresztą Bendoret Terleach nie zamierzał ich tracić na kogoś takiego jak ten męt, który zupełnym przypadkiem wszedł w posiadanie największego skarbu Świątyni. Hrabia szarpnął niecierpliwym ruchem koszulę, aż trzasnął materiał, a kilka guzików prysnęło w kąt. Jeden ruch i wszystkie tajemnice i plany ujawniają się z całkowitą bezwzględnością.

Słowa są zbędne.

Ciało hrabiego pokrywają tatuaże. Znane Altsinowi ze wspomnień tego drugiego, tego, który w nim mieszka i był kiedyś *awenderi* Bitewnej Pięści Reagwyra. Rysunki są niemal identyczne, tu i tam widzi niewielką różnicę, bo – to znów pamięć tego drugiego – dostosowywano je do indywidualnych cech każdego *awenderi*. Ale ogólny wzór się zgadza. Te tatuaże powinny zapobiec zmieszaniu się duszy człowieka z kawałkiem duszy boga.

To wyjaśnia też bladość i wyczerpanie arystokraty. Większość jego ciała jest opuchnięta, niektóre fragmenty skomplikowanego wzoru ledwo dają się rozpoznać, całość musiano skończyć niedawno, wczoraj, może przedwczoraj. Hrabia ze wspomnień, pochylający się nad rannym dzieciakiem, z pewnością wyglądał lepiej.

Nagle mężczyzna zrobił trzy szybkie kroki do przodu i z rozmachem walnął go w żebra. Powietrze uciekło Altsinowi z płuc, a przygryziony język wypełnił usta krwią.

— Więzisz mojego pana — głos Terleacha drży, zupełnie niepodobny do tego, którym odzywał się do tej pory. — Wyrwę go z twojego konającego ścierwa i zaoferuję godne naczynie.

Drugie uderzenie było równie potężne, żebra poddają się i pękają z dźwiękiem, który zdaje się rezonować złodziejowi w czaszce. Krzyknąłby, gdyby udało mu się złapać oddech.

— Gdy to ciało przestanie się nadawać do użytku, on wyjdzie. Będzie musiał. A ja oddam mu się cały i staniemy się jednością, tak jak to było zaplanowane. Ukradłeś go, tak powiedziała, zwiodłeś i oszukałeś, a potem więziłeś przez ostatnie lata.

Cios w szczękę poderwał Altsina na równe nogi. Złodziej walnął potylicą w czarną klingę, splunął krwią. Zassał powietrze i niezdarnie spróbował uchylić się przed kopniakiem wymierzonym w kolano. Nie udało się i nie wiadomo, co jest gorsze, ból eksplodujący z uszkodzonej rzepki czy szarpnięcie, z jakim jego ramiona przyjęły na siebie ciężar upadku. Stawy barkowe zapłonęły jasnym ogniem.

W tej pozycji nie ma najmniejszych szans na unik czy obronę, a kolejne uderzenia są tak precyzyjne, jakby ten sukinsyn pół życia ćwiczył, jak pobić człowieka, by ten nie stracił przytomności.

A ON nie reaguje. Zawsze do tej pory przychodził, kiedy jego „naczynie” znajdowało się w tarapatach. Nawet wtedy, gdy Altsin dałby sobie radę sam. A teraz… jakby go nie było.

— Więzisz mojego boga — podobny do syku głos szlachcica zdaje się dochodzić z daleka i wysoka. — Wytłukę go z ciebie, wypalę, jeśli będzie trzeba.

Złodziej wyprostował się nieco, uniósł głowę. Ten kutas nawet się nie zadyszał i wygląda, jakby miał ochotę na więcej.

— Twój bóg — język zaczynał puchnąć Altsinowi w ustach, więc powoli wymawia każde słowo — jest za mną. To temu czemuś się kłaniasz.

Nadeszła nieunikniona odpowiedź, a jemu wydawało się, że cios płynie przez powietrze zgęstniałe jak miód, lecz i tak nie ma szansy na unik. Trafienie w skroń powinno pozbawić go przytomności, ofiarując błogosławioną ucieczkę w ciemność, lecz – to tak cholernie niesprawiedliwe – jedy-

nym efektem jest błysk za oczyma i kolejne szarpnięcie. Obciążone stawy barkowe wyją.

Gdy mógł już skupić się na patrzeniu, zamrugał i zobaczył, że hrabia trzyma w ręku pochodnię z taką miną, jakby właśnie odkrył ogień. Uśmiech mężczyzny stał się ciężki.

— Podobno poparzona skóra może przyprawić człowieka o obłęd, gdy zwija się i odchodzi płatami od ciała. Choć znajomy kat twierdzi, że dla skazańców najgorszy jest zapach spalenizny.

Znajomy kat. Altsin uśmiechnąłby się, gdyby mógł.

— Wystarczy — nowy głos w pomieszczeniu zatrzymał pochodnię zbliżającą się do boku złodzieja. — Bawisz się w niebezpieczne gry, mój drogi. Jeśli on nie otworzy się, lecz umrze, zostanie tu tylko wielka dziura w ziemi.

Altsin nie znał tego głosu. Mówiła kobieta, sądząc po tonie, w średnim wieku, przyzwyczajona do wydawania rozkazów. Mężczyzna odwrócił się, sięgając po sztylet u pasa, ale nagle nogi mu się splątały i runął na ziemię. Uderzenie potylicy o kamień poniosło się echem po komnacie.

Złodziej dźwignął głowę. Kobieta miała na sobie czarne szaty i czarną chustę na głowie, jak zwykła wieśniaczka.

Patrzyła na hrabiego z taką miną, jakby nie wiedziała, czy uśmiechnąć się, czy splunąć.

— Nadmierne ambicje potrafią każdemu namieszać w głowie. *Awenderi*, też coś. — Przeniosła wzrok na Altsina, nie zmieniając wyrazu twarzy. — Więc to ciebie szuka nasza Kanayoness.

Imię, długie i obce, nie wywołało w złodzieju żadnego skojarzenia. Jedno oko zaczyna zachodzić mu mgiełką.

— Nie znam jej — ostrożnie dobierał słowa. — Nie wiem, o kim mówisz.

— Ona za to zna ciebie. I zależy jej na spotkaniu z tobą tak bardzo, że jest gotowa na wiele. Nawet na oszukiwanie w grze w kości. Powinna pamiętać, że moja pani tego nie lubi.

Te słowa kryją swój sens zbyt głęboko, by zdołał go rozszyfrować.

— I wiem, że jej nie znasz. Gdybym sądziła inaczej, kazałabym cię obedrzeć ze skóry, żebyś tylko powiedział, co kombinuje. Dlaczego nagle w Konoweryn zapadła cisza? Dlaczego nie słychać już cichego pochlipywania Oka Agara?

Kobieta patrzyła na niego tak, że nagle zapomniał o całym bólu, którego doświadczył.

— Gdybym miała choć cień podejrzeń…

Rozdział 19

W jej komnacie nic się nie zmieniło. Zupełnie jakby Deana opuściła ją wczoraj. Ktoś nawet ścierał regularnie kurz i zamiatał podłogę. Mimo wszystko uśmiechnęła się. Najwyraźniej dla przełożonej Domu Kobiet to, że dzika wojowniczka znikła z pałacu, nie miało znaczenia. W królestwie Owiyi porządek musiał być zachowany bez względu na taki drobiazg jak czyjaś obecność lub jej brak.

Zamknęła drzwi, ściągnęła wierzchnią szatę. Odłożyła pas z bronią na stół. Nalała wody do miski i obmyła twarz. Znalazła belę miodowego jedwabiu i przybory do szycia. Każdą z tych czynności wykonywała powoli, dokładnie, bez pośpiechu.

Lustro czekało.

Usiadła przed nim, krzyżując nogi i kładąc dłonie na kolanach, wyrównała oddech, sięgnęła po *sani*. Pojawił się od razu, jakby spędziła ostatnie godziny na głębokich medytacjach i trenowaniu oddechu.

Spojrzała na kobietę w lustrze. Zdumiała się, widząc cienie pod oczyma, ostry nos, mocniejszy niż pamiętała zarys podbródka i kości policzkowych. Twarz jak wyrzeźbiona kilkoma uderzeniami dłuta trzymanego przez niezbyt wprawnego rzemieślnika, który na dodatek strasznie się spieszył. Dni spędzone na plaży, posty i ciężkie ćwiczenia z dietą typową dla ubogich rybaków wyszczupliły jej ciało. I pomyśleć, że do tej pory uważała, że jest za chuda. Tylko oczy…

Miała oczy kogoś, kto odbył już swoją pielgrzymkę.

Uśmiechnęła się, dziwnie nieśmiało i oszczędnie. Kiedyś słyszała opowieść o człowieku, który nauczał Praw Harudiego, objaśniał je i tłumaczył. Aż pewnego dnia zawistnicy rozpowszechnili plotkę, że nie jest on prawdziwym mędrcem, bo nigdy nie odbył pielgrzymki do Kan’nolet. Starzec uśmiechnął się na te słowa i zapytał: „Czy Kan’nolet było świętym miejscem, zanim Harudi do niego przybył?”. Nie, odpowiedzieli. „Czyż w takim razie nie mógł głosić swych Praw w każdym innym miejscu na

świecie?”. Tak, odparli. „Cóż więc jest ważniejsze, miejsce czy prawda? Kamień, z którego zbudowano mało znaną osadę, czy słowo, które stworzyło nas, Issaram?”. Zawistni ludzie opuścili głowy w zawstydzeniu i wrócili do siebie.

W pielgrzymce nie chodzi o to, by gdzieś pójść i odbyć jakiś rytuał, pokłonić się sto razy jakiejś figurze czy złożyć wołu w ofierze w odległej świątyni. Droga przebyta na własnych nogach, tysiące kroków postawionych na skale, kamieniach i piasku, to tylko symbol.

Popełniasz błędy, płacisz za nie, upadasz, wstajesz, otrzymujesz cios, liżesz rany. Twoje życie to nie środek wszechrzeczy. Nie leży nawet w pobliżu środka. Ale jest twoje, więc masz żyć najlepiej, jak to możliwe, nie przespać swojego czasu, nie roztrwonić. By, gdy staniesz przed wrotami Domu Snu, nie musieć płakać nad straconymi dniami.

Modlitwa sto pierwsza. *Saderi*. Modlitwa tych, którzy odnaleźli swój cel.

Jestem Deana d’Kllean, awyssa *w drodze do Kan’nolet. Wyruszyłam w pielgrzymkę, by nie poddać się woli starszyzny i odnaleźć własną drogę w życiu. Dłoń Matki rzuciła mnie na koniec świata, między ludzi, których nie rozumiałam, choć przecież płynie w nich taka sama krew. Walczyłam, zabijałam i kochałam* – jej odbicie uśmiechnęło się z aprobatą – *będąc niczym więcej niż dzieckiem błądzącym we mgle. Jutro mężczyzna, z którym chcę być, umrze za sprawą ludzi głupich i chciwych. A potem za sprawą tych samych ludzi umrą tysiące dzieci Wielkiej Matki. Więc jutro…*

Kobieta w lustrze wyglądała teraz naprawdę obco, oczy jej płonęły, a usta wykrzywiał dziki grymas.

… jutro rzucę wyzwanie Panu Ognia, każę mu dotrzymać obietnicy i pokłonić się jego własnym prawom. Bo nawet bogowie muszą dotrzymywać słowa, tak jak Ta, która nigdy go nie złamała.

Odetchnęła głęboko.

— Oto moje Kan’nolet. Moja droga i cel — powiedziała głośno.

Wstała i ruszyła w stronę łóżka, gdzie falą miodowego złota pysznił się najlepszy konowerski jedwab. Koniec pielgrzymki wymagał odpowiedniej oprawy.

* * *

Wieczorem udała się jeszcze raz do komnaty truciciela. Nie było go. Owiya jakoś dowiedziała się, że Deana jest w pałacu, bo gdy wróciła do siebie, zastała na stole kolację i butelkę wina. Właśnie tego potrzebowała. Powiadają, że Pani tka swoje dzieło rękoma ludzi nieświadomych.

Zjadła, wypiła kilka łyków trunku o barwie wschodu słońca nad górami i smaku owoców dojrzewających pod tym słońcem i zasiadła do medytacji. Czekała.

Przyszedł do niej prawie o północy. Sam. Gdy stanął w drzwiach, na chwilę odebrało jej mowę. Nie wiedziała, czy ubrał się tak z rozmysłem, czy przypadkiem, ale miał na sobie rzeczy w tych samych kolorach, jakie nosił, gdy pierwszy raz go ujrzała. Uśmiechnął się nieśmiało, potrząsnął małą butelką wina trzymaną w ręku.

— Wróciłaś — odezwał się w jej rodzimym języku. — Suchi przysłał mi wieść.

— Wróciłam. Dużo się działo, gdy mnie nie było.

— To prawda.

Nie zapytał, dlaczego uciekła, ale w końcu nie był głupcem. Musiał wiedzieć, gdzie go znalazła tamtego poranka. A teraz od truciciela zapewne usłyszał, że Deana wie też o Varali.

Podszedł do stołu, postawił trunek na blacie, usiadł.

— Nie powinnaś wracać.

— Każdy ma swoją drogę. A ja zawsze robię to, co chcę.

— Zdążyłem zauważyć. — Ostrożnymi ruchami odszukał na stole dwa srebrne pucharki, napełnił je, opróżniając butelkę. — Napijesz się ze mną?

— Tak.

Podniosła naczynie do ust i pociągnęła łyk. Wino było cierpkie i gęste, zostawiało na języku posmak gorzkich owoców i starego drewna.

— Spóźniłem się — rzucił.

— Na co?

— Na wszystko. Podobno przyszedłem na świat dziesięć dni po terminie. Potem spóźniłem się na ważną audiencję i ponieważ nie mogłem już tam wejść, myszkowałem w komnatach ojca, gdzie spróbowałem wina, które miało zakończyć jego życie. Spóźniłem się, szukając kryjówki w czasie ataku na karawanę, i bandyci z łatwością mnie schwytali. A teraz — machnął nagle ręką, przewracając stojący przed nim pucharek, lecz zdawało się, że tego nie zauważył — gdy zostałem księciem, spóźniłem się ze

wszystkim. Z ulżeniem doli niewolników, ze zdławieniem oporu kapłanów, z przypomnieniem Rodom Wojny, kim jestem. Ze wszystkim.

Deana nie odrywała wzroku od krwawej plamy, która pojawiła się na obrusie. Gdyby Issaram wierzyli w znaki, powinna teraz zapłakać. Bóg omenów, jeżeli taki gdzieś istniał, śmiałby się zapewne do rozpuku.

— Roztkliwiasz się nad sobą?

— Nie. — Zacisnął wargi. — Nie nad sobą.

— To dobrze. Wylałeś wino. Naleję ci innego. — Podsunęła mu kielich, ten, który na niego czekał. — Rozmawiałam z Suchim. Nic byś nie zrobił. Te sieci tkano od wielu miesięcy, może lat. A ty za bardzo wierzysz w rozsądek i mądrość innych. Byłbyś wspaniałym władcą czasu pokoju w silnym i bogatym kraju, ale teraz? Pierwszego dnia po powrocie powinieneś kazać wrzucić wszystkich starych kapłanów w Oko, wezwać do siebie i uwięzić przywódców Słowików, Bawołów i Trzcin, ogłosić nowe prawa dla niewolników.

Pociągnął trunku i uśmiechnął się szczerze.

— Twoje lepsze. Ślepcowi trudno wybrać wino bez pomocy i trudno bez pomocy rządzić. Właściwie to ty powinnaś władać tym gniazdem żmij udającym księstwo. Wypijmy za to.

Sięgnęła po swój kielich i wtedy spiżowy dźwięk wielkiego gongu obwieścił północ, więc zatrzymała naczynie w pół drogi do ust i tylko patrzyła, jak on pije.

— A ty kim byś wtedy był?

— Twoim tłumaczem, pomocnikiem, sługą. Samiy woziłby nas na Mamie Bo po całym księstwie, a warstwa szali i chust rzucana pod jej nogi sprawiałaby, że staruszka nie tyle by szła, co płynęła łagodnie jak łódka na spokojnym jeziorze. Ludzie czciliby cię i całowali ziemię, na którą padłby twój cień.

— Może z wyjątkiem kapłanów Ognia i *af'gemidów* Rodów Wojny — cmoknęła. — I właścicieli plantacji oczywiście. I zarządców tkalni i farbiarni. I Demenayi, bo cóż to za Królowa Niewolników bez niewolników…? Wiesz, jak się tak dobrze zastanowić, powinnam wtedy jeździć na słoniu w pancernej wieżyczce, jaką ponoć zakładacie im do bitwy. Oraz w kolczudze, hełmie i z tarczą pod ręką, a moje *talhery* nigdy nie kładłyby się spać.

— Byłabyś najlepszą władczynią na takie parszywe czasy.

Pociągnął długi łyk wina, stuknął kielichem o stół, przymknął oczy. Już się nie uśmiechał.

— Nie idź jutro do świątyni — wyszeptał zmienionym głosem. — Nie wychodź z pałacu. Gdy będzie po wszystkim, zapanuje zamieszanie. Wymkniesz się wtedy i znikniesz w mieście. Pierwsza karawana…

— Jesteś kłamcą.

Kobieta, która odnalazła swoje Kan’nolet, powiedziała to bez złości, spokojnie.

— Ja? Nie. Co…

— Obiecałeś mi karawanę wypełnioną skarbami, tysiąc wielbłądów i koni, a teraz każesz się wymykać jak złodziejce. Może jeszcze mam sobie coś stąd wynieść, by opłacić podróż?

— Ja… Nie, nie będę z tobą tak rozmawiał.

— Jak?

— Jakby nic się nie stało. Jakby jutro miało nie nadejść. Co to ma być? Filozofia barbarzyńców? Niech się świat wali, a my będziemy śpiewać, wymachując zakrwawionym żelazem? — Zacisnął pięści, pobielałe kłykcie wyglądały jak wyrzeźbione z kości słoniowej. — Ucieknij… Ucieknij, proszę.

— Dobrze…

Drgnął, jakby nie był pewien, co usłyszał.

— Dobrze — powtórzyła. — Ale ty uciekniesz ze mną. Teraz. Znasz każdy zakątek pałacu, nie mów, że nie. Za kwadrans możesz opuścić to miejsce. Co ty na to? Wyjedziemy stąd razem, ty i ja.

Skierował w jej stronę twarz i mogłaby przysiąc na imię Wielkiej Matki, że wpatruje się w nią intensywnie. I uśmiecha jak szaleniec.

— Słyszałem o waszych zwyczajach… Nowa krew w plemieniu płaci wzrokiem za prawo wejścia między Issaram. Wygląda na to, że jestem idealnym kandydatem. Ale nie, Deano d’Kllean, nie prychaj na mnie i nie krzyw się. Nie ucieknę, choć mi to proponowali… nie uwierzysz kto. Dla niektórych byłoby najlepszym rozwiązaniem, gdybym okazał się tchórzem, podlecem niegodnym tytułu. Jestem księciem Białego Konoweryn, ostatnim z tej linii krwi Agara. Nie mogę… po prostu nie mogę, rozumiesz? I przeklinam tę niemożność, bo gdybym był kim innym, wyjechałbym z tobą na kraniec świata, by czuć cię, słyszeć i dotykać przez wszystkie oddechy, które mi pozostały.

Zamrugała. Poeta, niech go szlag.

— Obowiązek ponad wszystko?

— Nie ponad wszystko. Ponad wiele rzeczy. Rozumiesz? — zapytał miękko. — Powiedz, że rozumiesz.

Kto jak nie Issaram może rozumieć prawa obowiązku? Mimo wszystko poczuła irytację.

— Rozumiem. Ale wiesz, że to może nie mieć znaczenia? Że za sto, co ja mówię, za dziesięć lat nikt nie będzie o tym pamiętał? Że twój wybór ocenią na podstawie tego, co w księgach zanotują tacy uczeni, jak Oglal z Fyz, a oni napiszą to, co każe im własny interes. Jeśli – by przypodobać się nowemu władcy – przedstawią cię jako idiotę i tchórza, który dał się zarżnąć jak zwierzę składne w ofierze, to tak właśnie będzie. Bo opowieść o przeszłych wydarzeniach tkają ci, którzy je przeżyli, głupcze. Rozumiesz to? Powiedz, że rozumiesz.

Zaśmiał się i od razu uleciała z niej cała złość. To był śmiech tłumacza, uczonego, poety. Mężczyzny, który był z nią na pustyni, gdy uciekli bandytom.

— Mówiłem, że to ty powinnaś być władczynią Konoweryn. Dziś wysławiano by twoją mądrość i przenikliwość, a ja jako książę małżonek pławiłbym się w blasku chwały mojej pani.

Mojej pani. Powiedział to. Po raz pierwszy powiedział to otwarcie.

— Marzenia — wychrypiała.

— Właśnie. Marzenia. Wypijmy za nie. — Dokończył swoje wino kilkoma długimi haustami. — Obiecaj mi… przynajmniej tyle, że jeśli coś się stanie i nie zdążysz… jeśli będzie po wszystkim… uciekniesz, żeby opowiedzieć gdzieś, komuś, prawdę.

— Nic takiego się nie stanie, wiesz o tym.

— Wiem. Ale jeśli?

Westchnęła, czując nagle znużenie, jakby właśnie skończyła wielogodzinne modlitwy, bez snu i odpoczynku.

— Dobrze… nie mówmy o tym… dobrze? Jutro będziesz potrzebował wszystkich sił.

— Wiem…

Wstał nagle, gwałtownie, aż przewrócone krzesło trzasnęło o podłogę.

— Idę. Muszę iść. Jeśli zostanę…

— To co?

— To nic. Mogę nie znaleźć w sobie dość odwagi, by stanąć w Oku. A ciebie mogą zabić, za tę ostatnią noc.

— Bo nowy lew będzie przejmował harem?

Uniósł brwi.

— Nie rozumiem.

— Nieważne. Idź już. Zobaczymy się jutro przed świtem.

Uśmiechnął się dokładnie tak, jak uśmiechał się do niej na pustyni, i wyszedł ostrożnie, zamykając za sobą drzwi.

Odstawiła ledwo napoczęty pucharek. Minęła północ, od tej chwili nie powinna nic jeść ani pić, by powitać koniec swojej pielgrzymki zgodnie ze zwyczajem. Usadowiła się z powrotem na łóżku, gładząc przepiękną *ta'chaffdę* z ciemnożółtego jedwabiu. Spojrzała na swoje szable. Została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Kan'nolet nie powinno oglądać żadnego fałszu.

Rozdział 20

Kobieta w czerni zostawiła go samego, w ciemności, która nagle stała się duszna i ciężka. Po jakimś czasie pojawili się kapłani, którzy zignorowali złodzieja całkowicie i skupili się tylko na leżącym na ziemi arystokracie. Podnieśli go ostrożnie i wyszli. Żaden nawet nie spojrzał na Altsina.

Był tylko kawałkiem mięsa wiszącym na rzeźniczym haku.

Uszkodzone kolano pulsowało tępym bólem, złamane żebra rwały w rytm uderzeń serca i jeśli dobrze to wyczuwał, opuchlizna nad okiem powoli zmieniała mu twarz w jakąś groteskową maskę.

Spróbował sobie wyobrazić, jak wygląda.

Obraz kobiety tulącej zakrwawionego chłopca wybuchł mu w głowie ciągiem wydarzeń. Altsin nie widział ich początku. Wychodząc zza rogu, natknął się na grupę walczących. Dziesięciu, może dwunastu młodzików z Durwonami wytatuowanymi na przedramionach atakowało trzech starszych mężczyzn, którzy ustawieni w półokrąg, blokowali uliczkę, broniąc klęczącej na ulicy kobiety, tulącej do siebie chłopca, mniej więcej dwunastoletniego. Rozbita głowa dzieciaka zwisała bezwładnie, opuchlizna zakrywała jego lewe oko, a krew rozcieńczały łzy matki.

Walka nabierała tempa.

Chroniący kobietę i dziecko mężczyźni byli dobrze ubrani, jak kupcy, którym się powodzi, i uzbrojeni w ciężkie drągi, wyciągnięte zapewne ze szczątków pobliskiego straganu. Po drugiej stronie pracowały krótkie pałki, kawałki łańcucha obciążone ołowianymi ciężarkami i kastety. Żadna ze stron nie używała nagich ostrzy, co nie zmieniało faktu, że starcie było krwawe.

Dwóch młodzików leżało już na bruku, trzeci cofał się, kulejąc i trzymając za brzuch, za to jeden z kupców co chwila ocierał przedramieniem krew zalewającą oczy, a drugi chwiał się i z coraz większym trudem odpierał ataki. Długo nie wytrzymają.

— Pomóż nam! Proszę!

Kobieta patrzyła na Altsina z błaganiem w oczach i wskazywała znajdujące się na końcu uliczki drzwi opatrzone znakiem Pochylonego Drzewa.

Wspomnienia zaczęły blednąć. Potrząsnął głową, usiłując je dogonić.

Podbiegł do niej, podniósł chłopca i pomógł zanieść do świątyni Dress. Wrota usłużnie otworzyły się, wpuszczając najpierw ich trójkę, a potem mężczyzn, wciąż dzierżących w dłoniach improwizowaną broń. Wataha szczeniaków zatrzymała się przed drzwiami w ponurym milczeniu, ale nie próbowała wejść do środka. Pani Wiatrów miała wiernych wyznawców w Ponkee-Laa, bo wielu marynarzy wolało w czasie żeglugi zaufać jej łasce niż kaprysom Aelurdi, *która częściej sprowadzała huragany niż stały, łagodny wiatr, a wilki morskie mogłyby poczuć się urażone zbezczeszczeniem jej przybytku. Poza tym, co świadczyło o mądrości tutejszych kapłanów, przed drzwiami stanęło natychmiast czterech strażników w pełnym uzbrojeniu. Altsin pamiętał, że go to zdumiało, w Ponkee-Laa, które opuścił, straż świątynna pełniła funkcje reprezentacyjne i tylko od święta nosiła lamelkowe zbroje, stalowe hełmy i ciężkie tarcze.*

— On nie powiedział nic złego. — Kobieta, płacząc, ocierała twarz dziecka z krwi. — Na pewno nic złego nie powiedział. Dlaczego…

— Bo to gówniarze, którzy uważają się za świętych wojowników jedynej prawdy i są gotowi dla niej zabijać — pamiętał, że wypowiedział te słowa cicho, gniew tlił się w nim gdzieś w głębi, ale przykrył go warstwą lodu. — Są jak gromada wściekłych psów. Trzeba uważać na słowa, gesty i spojrzenia.

Wspomnienie tego gniewu było dziwne. Miał prawie pewność, że te emocje były jego. Choć sam kilka lat wcześniej był jednym z ulicznych zabijaków, nagle odkrył, że trudno mu się identyfikować z tą ponurą bandą, stojącą wciąż, z pełnym rozczarowania uporem, przed świątynią Dress. A najdziwniejsze było to, że miał pewność, że ON też jest wściekły. A powinien przecież czuć choć cień sympatii dla tych, którzy walczą, było nie było, z jego znakiem wytatuowanym na skórze.

— Uważać? Powiedział tylko, że Wielka Matka jest mądrzejsza od Reagwyra, bo matka zawsze jest mądrzejsza od dziecka. Sam słyszałem. — Najstarszy z trójki mężczyzn, ten z rozwalonym łukiem brwiowym, pochylił się nad chłopcem. — A rozbili mu głowę jak jajko. I skatowaliby moją córkę, gdybyśmy ich nie powstrzymali. Skarga pójdzie, przysięgam, że pójdzie skarga do starszyzny cechu, a jak będzie trzeba, to i do Rady Miasta.

Chłopak może już nie wstać albo zostanie do końca życia śliniącym się idiotą.

Kobieta jęknęła.

Na zewnątrz grupka młodzików ustawiła się w półokrąg i zaczęła wyśpiewywać jakąś piosenkę pełną głupich przechwałek i plugawych wyzwisk.

Altsin spojrzał na kobietę.

— Będzie dobrze. W jego wieku wszystko szybko się goi. Zanim się obejrzycie, będzie biegał i skakał jak zawsze. — Już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, wydawały mu się one puste i fałszywe.

— On nie biegał i nie skakał. — Mężczyzna otarł krew z twarzy i delikatnie obmacał głowę chłopca. — Do ksiąg go ciągnęło, do rachunków. Umiał już mnożyć i dzielić do tysiąca, a pisał i czytał w meekhu i po mittarsku i nawet północne runy umiał złożyć do kupy. Mądry dzieciak z niego…

Miłosiernie ugryzł się w język, nie dodając „był”.

Jego palce dotknęły szczytu czaszki chłopca i jakby zapadły się lekko w głąb. Chłopiec zadrżał i nagły tik zaczął szarpać jego prawą nogą.

— Wybaczcie — głos mężczyzny ochrypł nagle, jego ręka wyciągnęła się w bok i delikatnie dotknęła ramienia kobiety. Spojrzał na niego. — Nie podziękowałem wam za pomoc, bracie.

Habit. Złodziej przypomniał sobie, że wtedy wciąż miał na sobie habit.

— To nic takiego — odpowiedział, patrząc, jak kobieta kamienieje pod dotykiem ojca, jak z jej twarzy odpływa krew, a oczy stają się martwe i puste. — I nie jestem bratem, tylko oczekującym. Najlichszym z robaków u stóp Pani. Żałuję, że nie przyszedłem wcześniej.

Pamiętał, że ostatnie słowa, banał nad banałami, powiedział absolutnie szczerze. Żałował, że to nie on spotkał się z tymi sukinsynami pierwszy. I ten żal splatał się dziwnie z gniewem tlącym się pod warstwą lodu. Z JEGO gniewem.

Piosenka na zewnątrz zakończyła się głupawym rechotem. Chłopcy się rozkręcali, a wokół wejścia do świątyni zaczął się gromadzić tłumek.

— Wtedy to pewnie ty byś leżał z rozbitą głową — odezwał się najmłodszy z kupców, chłopak na oko ledwo piętnasto-, szesnastoletni. — Oni nie przepuściliby samotnemu mnichowi. Oni…

Odwrócił głowę, mrugając, a ostatni z mężczyzn, ten, który do tej pory nie wyrzekł ani słowa, tylko stał, dysząc ciężko i podpierając się na kiju,

opadł nagle na kolana i w całkowitej ciszy rozpłakał się ciężkimi łzami.

Altsin kątem oka zobaczył, że noga pobitego chłopca znieruchomiała, za to jego twarz ogarnęły skurcze i stało się jasne, że dusza wyrostka szykuje się w drogę do Domu Snu. Zresztą nie tylko on to zauważył, kobieta załkała cicho i osunęła się, zemdlona, a mężczyźni zamienili się w posągi wyrzeźbione z gliny. Nie potrafili uwierzyć w to, co się działo. Spojrzał na nich i nagle wiedział, że wybrali się po prostu na popołudniową wycieczkę odpocząć po dniu ciężkiej pracy, może odwiedzić przyjaciół, zjeść coś i napić się wina na mieście. Jeszcze kwadrans temu śmiali się i żartowali, pewni swojej przyszłości.

A teraz wrócą do domu z martwym dzieckiem w ramionach.

Na zewnątrz kolejna zwrotka opisywała kobietę wystawiającą zad knurowi i rodzącą półświńskie bękarty. Kończący ją rechot brzmiał jak wiadro kału wylane wprost na duszę.

Coś pyknęło mu w uszach, jakby nagle wynurzył się z głębokiego nurkowania. Włoski stanęły mu dęba na całym ciele, na krawędzi widzenia pojawiła się czerwona mgiełka.

Czuł go. Durwon. Znak wojownika. WOJOWNIKA. Durwon nie był złamanym mieczem, był całym mieczem, a przedstawiano go jako połowę klingi, bo druga połowa tkwiła w sercu wszystkich naszych lęków, zabijając strach. Taka była pierwotna, najczystsza symbolika tego znaku. Miecz zabijający strach, dający odwagę i nadzieję.

Durwon był prastarym symbolem. Rysowano go na framugach drzwi i okien, by odpędzić zło, w czasach, gdy drzwi i okna wciąż stanowiły nowomodną fanaberię; malowano go na tarczach i tatuowano na ciele, by przynosił szczęście w bitwie, na długo zanim pierwotne rysunki przekształciły się w glify, a te w zalążki run i liter. Zanim nadeszli Niechciani i zanim z kawałka duszy boga wykuto Dengothaag, który tak naprawdę miał być tylko furtką do królestwa Reagwyra, a kształt nadano mu dla upamiętnienia znacznie starszego symbolu.

A teraz oni z Durwonu uczynili bandycki znak, pod którym morduje się dzieci, tak jak wcześniej Miecz Reagwyra zamienili w narzędzie kaźni i źródło kuglarcznych sztuczek.

Złodziej poczuł każdy z tatuaży przed świątynią, identycznych w najmniejszym szczególe, bo przecież tak właśnie działa podobna magia, naj-

pierwotniejsza ze wszystkich magia symboli i znaków, i sięgnął po nie. One należały do niego.

Pochylił się i podniósł chłopca. Życie uciekało z niego z każdym oddechem. Starszy mężczyzna złapał Altsina za rękę, ale zerknął w cień pod kapturem i puścił ją z twarzą zastygłą w grymasie nieokreślonej grozy. Złodziej wyszedł przed drzwi, kołysząc chłopca na rękach.

Wulgarna piosenka ucichła w pół słowa, a tuzin hardych spojrzeń wbił się w niego z siłą ciśniętych oszczepów. Tłumek stojący za młodzikami zaszemrał i umilkł w oczekiwaniu na śmierć. Tłum zawsze ślini się na takie okazje.

— On odchodzi do Domu Snu. — Złodziej położył chłopca na schodach. — A jego krew spadnie na wasze głowy.

— Na czyją? Moją? — Z grupki akolitów Reagwyra wysunął się chudy wyrostek o szczurzym pyszczku. — Ale ja go nie walnąłem, mnichu. I nie wiem, kto to zrobił. Może sam się uderzył? Kto wie, w końcu miał w ręce kamień. Widziałem, że miał. Prawda, chłopcy?

Chłopcy zaśmiali się zgodnie, wymachując pałkami i łańcuchami. Okrucieństwo i poczucie bezkarności sprawiało, że ich twarze wyglądały niemal identycznie.

Altsin potrzebował Mocy. Mógł sięgnąć po tę, która tkwiła w nim, i zapłacić za to sińcami, opuchlizną i krwią w ustach. Ale nie po to tu wyszedł.

— Twój znak, synu. — Cholera, ale to dziwnie zabrzmiało. Jakby miał już czterdziestkę na karku. — Ten na przedramieniu.

— Durwon? — Wyrostek podwinął rękaw i z głośnym cmoknięciem pocałował Złamany Miecz. — Symbol wybrańców, mnichu, znak prawdziwego boga wojownika, miecz, a nie dwie błagalnie złożone łapki, dupolizie. Chcesz usłyszeć, jaką daje nam siłę? No, chłopcy, zaśpiewajmy naszej niezgrabie piosenkę na ostatnią drogę. Niech nie idzie do Domu Snu w ciszy.

Machnął ręką i zastygł, bo Altsin nie Altsin właśnie sięgnął po Moc przez Durwony.

Moc jest wszędzie, przenika cały świat, dzika i chaotyczna, bądź naznaczona aspektami, dającymi się oswoić i wykorzystać. A jeśli ci, którzy jej używają, przecenią własne możliwości, płacą za to zdrowiem lub życiem, bo nadmierna Moc przechodząca przez ciało działa jak powolna trucizna,

niszczy żyły, osłabia organy wewnętrzne, pokrywa skórę wrzodami i wypryskami. To jeden z sekretów czarowników, powszechnie znany i z powodu tej powszechnej wiedzy zgodnie ignorowany: każdy z nich, używając swojego ciała jako narzędzia do kształtowania Mocy, musi pamiętać o osobistych ograniczeniach. Trzeba lat ćwiczeń i nauki, by poznać granicę własnych możliwości.

Ale jeśli używa się cudzego ciała, można zignorować tę cenę. Zwłaszcza że znak, który mieli na skórze, był JEGO znakiem i stał się wrotami, przez które mógł pokierować pobieraną Mocą tak, by mu służyła.

To nie było łagodne zaczerpnięcie, żadnego powolnego poszerzania kanału dla magii, obserwowania reakcji źródła. Przypominało rozwalenie tamy i patrzenie, jak niszczycielska fala mknie przed siebie, zmiatając wszystko po drodze. Złodziej sięgnął wprost do siły życiowej chłopaków, zmusił ich do otwarcia się na Moc, do przekucia jej w potrzebny mu sposób i podania do ręki.

Zawyli, gdy Durwony na ich przedramionach zapłonęły żywym ogniem. Dosłownie. Tatuaże poczerniały i zaczęły dymić, a skóra wokół nich najpierw zaczerwieniła się, a potem zaskwierczała, gdy przechodząca przez znak Reagwyra Moc wypalała sobie drogę przez nerwy, żyły, kości i mięśnie. I nagle na bruku nie było już gromadki świętych wojowników gotowych zabijać w imię Pana Bitew. Zamiast nich, w iście magiczny sposób, pojawiła się banda wrzeszczących, płaczących i skomlących wyrostków, wijących się z bólu, który odbierał im zmysły.

Altsin usunął ich krzyki ze świadomości, koncentrując się na chłopcu leżącym na schodach. Moc płynęła równo, i to o wiele większym strumieniem, niż potrzebował, ale nie interesowało go to. Wynajdował w niej aspekty odpowiedzialne za leczenie, przyspieszające gojenie ran i cofające obrażenia, a resztę odrzucał. Płomienie pełzały po kamieniach, z noży, sprzączek pasków i innych metalowych elementów znajdujących się w pobliżu sypnęły się iskry, a wiatr wił się w uliczce na podobieństwo oszalałego węża.

Złodziej poświęcił ułamek uwagi, by nieco przyhamować puszczoną samopas magię, jego celem nie było skrzywdzenie wszystkich ludzi w okolicy.

Tuzin młodzików zupełnie mu wystarczał.

Dotknął głowy chłopca, lecząc, zamknął pękniętą tętnicę, usunął krwiak naciskający na mózg, zmusił kości do zajęcia właściwego miejsca i zrośnięcia się. Mózg na szczęście nie doznał większych uszkodzeń, a w tak młodym wieku wszystko w końcu powinno wrócić do normy. Zastanowił się nad blizną na głowie i w końcu ją zostawił. Blizny to historia popełnionych błędów i lepiej, by przypominały nam o chwilach, gdy je zdobyliśmy.

Na przykład gdy zaczepialiśmy bandę wyrostków szukających okazji, aby kogoś pobić.

Chłopak westchnął nagle głośno i uśmiechnął się…

Ten uśmiech był ostatnim obrazem, jaki Altsinowi podsunęła pamięć. Jak wydostał się z tej uliczki, jak uniknął tłumu i w jaki sposób, do licha, trafił w końcu tutaj, w podziemia Świątyni Miecza, nadal nie wiedział.

Pamiętał za to uśmiech Aonel.

Aonel, z którą przyszedł do Świątyni Reagwyra…

Ubrana była w drogą suknię, pasującą do jego jedwabnej koszuli, spodni z błękitnego sukna i haftowanego złotem wamsu. Przebrali się, by…

Nie pamiętał.

Aonel oddaliła się wtedy od niego, znikła mu z oczu, a on wiedział, że to zapowiedź…

Zdrady.

Potrząsnął głową. Po co przyszli do świątyni pełnej ludzi? Bo…

Bo w mieście zaczęły się zamieszki.

Matriarchiści i wyznawcy Pana Bitew walczyli ze sobą na ulicach już nie pałkami i kastetami, ale nożami, toporami i mieczami. I magią…

D’Artweena.

Wspomnienie pojawiło się wyraźne, jakby dopiero przed chwilą był świadkiem tej sceny.

Oblężenie.

Dzielnica magów niekłaniających się zbyt nisko Wielkiemu Kodeksowi znalazła się w oblężeniu. Choć już w czasach, gdy Altsin był dzieckiem, Rada Miasta utrzymywała całą armię szpicli i konfidentów, patrzących na ręce mieszkającym tu czarownikom i czarownicom. Gildie magów, zrzeszające adeptów używających aspektów zgodnych z Wielkim Kodeksem, świątynie i religijni fanatycy domagali się podobnych „środków zapobiegawczych”, argumentując, że „ta banda z D’Artweeny” igra z siłami i mocami, które są śmiertelnym zagrożeniem dla ciał, umysłów i dusz reszty mieszkań-

ców Ponkee-Laa. A największym zagrożeniem były, jak powtarzała rozbawiona ulica, dla sakiewek wielmożnych magów i świątobliwych kapłanów. Bo rzeczywiście można tu się było natknąć na czary często bluźniercze, zakazane lub ocierające się o herezję, lecz skuteczne i po przystępnych cenach. Złodziej pamiętał kilku tamtejszych czarowników, o których pojawiły się plotki, że babrzą się zbyt głęboko w zakazanych sztukach i którzy znikli w tajemniczych okolicznościach. Podobno Liga też miała z tymi zniknięciami coś wspólnego, ale o takie rzeczy lepiej było nie pytać.

Lecz teraz D'Artweena została ogrodzona murem szczelniejszym niż kamienny. Nadal przy wszystkich wejściach do dzielnicy stali szpiedzy, ale nie byli to już szpiedzy Rady. Informacje Rai okazały się prawdziwe, hrabia Terleach i Świątynia Miecza rekrutowali wyznawców spośród miejskiej biedoty – z mężczyzn pilnujących dzielnicy dwóch nosiło łachmany pokryte szkutniczą smołą, trzeci był kuternogą podpierającym się na kulach, a ostatni ubierał się w pstrokatą mieszaninę barw charakterystyczną dla wędrownego linoskoczka czy żonglera. Ale wszyscy należeli do kultu Pana Bitew, rzecz nie do pomyślenia jeszcze rok wcześniej.

Altsin widział wyraźnie wizerunki Złamanego Miecza na prowokacyjnie odsłoniętych przedramionach. Czerwony tusz wręcz zlewał się ze świeżą opuchlizną, ale mężczyźni obnosili Durwon z dumą wojowników prezentujących honorowe blizny, akolitów odkrywających głębię nowej wiary. I byli gotowi za nią walczyć, ale w przeciwieństwie do świątynnej straży nie zostali uzbrojeni w pałki, włócznie czy miecze.

Ich orężem był strach.

Na oczach złodzieja młody mężczyzna drepczący w stronę wejścia do D'Artweeny, gdy tylko ta czwórka znalazła się w zasięgu jego wzroku, zatrzymał się nagle i stanął niepewnie. Sądząc po ubraniu, był studentem, który zrobił sobie przerwę w nauce, ale teraz bardziej przypominał skonfundowanego lisa, niepewnie węszącego w stronę kawałka padliny leżącego na środku leśnej ścieżki. Zrobił kilka kroków do przodu, zatrzymał się, znów ruszył, ale gdy linoskoczek, uśmiechając się wrednie, wyciągnął zza kolorowej koszuli złożoną kartkę i rysik, student zawrócił i pomknął nagle przed siebie, by po chwili zniknąć za rogiem.

Strach. Broń zmieniająca ołowiany pręcik i kawałek papieru w miecz i tarczę samego Reagwyra.

Czarownicy z D’Artweeny, przyciśnięci przez ostatnie miesiące do muru, przyłączyli się do walk z reagwyrystami. Do walk, które wybuchły… wczoraj… albo przedwczoraj… wybuchły, bo…

Uświadomienie sobie prawdy jest jak błysk wyrywający z niepamięci twarz Aonel, starą-młodą twarz z oczyma gorejącymi wściekłością.

Walki wybuchły, bo Konder, wnuk Gamnesa-tyr-Monweha, kupca bławatnego, został bez powodu napadnięty przez bandę wyrostków służących Świątyni Miecza. A potem cudownie ocalił go mnich, będący wcieleniem gniewu i niezadowolenia Matki. Mnich jednym gestem, na oczach setki świadków, powalił dwa tuziny napastników, a na znak, że opieka Pani nie obejmuje już sług Pana Bitew, wypalił z ich skóry symbol Reagwyra. Po czym uzdrowił chłopca, by pokazać, z kim jest łaska Najwyższej.

To wydarzyło się rano, a w południe pod domem chłopca tyr-Monweha zebrał się już tysięczny tłum.

Po południu z dzielnic, gdzie większość stanowili matriarchiści, przepędzono wszystkich wyznawców Reagwyra.

Wieczorem zapłonęły pierwsze domy i wzniesiono pierwsze barykady.

Stara twarz Aonel, w której płoną młode oczy… Jej dławiony gniewem krzyk.

— Ty nie byłeś iskrą na kupce siana, lecz lampą oliwną rozbitą na środku stodoły!

Czy to ten gniew kazał jej…

Pamiętał.

W świątyni, gdy wszyscy patrzyli na hrabiego, który udzielał błogosławieństwa rannemu bojownikowi za wiarę, stracił ją z oczu. Weszli tam jako… matka i syn, wdowa po oficerze, wyznawcy Pana Bitew, szukająca schronienia przed motłochem plądrującym Klamnię. Dzielnica ta była areną zaciętych starć, bo mieszkało tam sporo reagwyrystów, którzy w końcu zostali wyparci i szukali ochrony w Świątyni Miecza.

Hrabia przyjmował wszystkich. Mężczyzn uzbrajano i kierowano na ulice, kobiety miały się zająć gotowaniem, opieką nad rannymi, dostarczaniem żywności, wody i broni w rejon walk. Z wolna kult Pana Bitew odzyskiwał inicjatywę, miał bowiem jedną głowę, przez którą był kierowany i dowodzony, podczas gdy większość ataków matriarchistów nosiła charakter spontanicznego wybuchu, zażartego i dzikiego, ale nieskoordynowanego. Bywało, że na jednej ulicy trwały krwawe starcia, a kilkaset kroków

dalej grupy mężczyzn ze znakami Baelta’Mathran siedziały i odpoczywały, nie znając sytuacji. Poza tym hierarchowie Wielkiej Matki nie poparli zamieszek z całym swoim autorytetem, być może bojąc się reakcji innych Świątyń.

Świątynia Miecza miała mniej ludzi, lecz tworzyli oni armię – hrabia zorganizował wszystkich w sprawnie dowodzone oddziały, mające własnych dziesiętników, poruczników i kapitanów oraz gońców przenoszących wieści i rozkazy, a nawet służby pomocnicze. Szybkość, z jaką to zrobił, zdradzała, że szykował się do tych walk od miesięcy, a nawet jeśli wybuchły nieco za wcześnie, niewiele to zmieniało. Do tego Durwony na przedramionach wyznawców płonęły świętym ogniem, dając im siłę, pewność i niezłomność. To jeszcze nie było pełne Objęcie, jak w czasach Wojen Bogów, gdy napędzane, a raczej opętywane w ten sposób pułki walczyły do ostatniego człowieka, ale niewiele mu brakowało, by to osiągnąć.

Jemu?

Bytowi, który tkwił w mieczu. Konglomeratowi setek udręczonych duchów, pożeranych przez lata, by ich cierpienie zostało przekute w Moc. Te duchy były odpadkami, niechcianymi resztkami, lecz ponieważ zostawały pochłonięte przez Miecz, który w końcu sam zawierał maleńki fragment boskiej duszy, łączyły się z nim i w końcu powstał twór… potęga, której większość wspomnień stanowiły te o mękach, torturach i niesprawiedliwości.

Prawie chciałoby się, by ten potwór uzyskał pełną świadomość i spłacił swoim kapłanom wszelkie długi. Z odsetkami.

Ale gdyby świat działał tak, by sprawiedliwość była jego stałym i niewzruszonym elementem, stałby się najlepszym miejscem do życia w całym ogromie Wszechrzeczy. A wszystko wskazywało, że na to trzeba było jeszcze poczekać.

Tymczasem sprawiedliwość wymagała dobrego żelaza w jednym, a pochodni w drugim ręku.

Rozdział 21

Obudził ją krzyk. Krótki, urwany, straszny. Nie do pomylenia z żadnym innym.

Ktoś właśnie umarł.

Deana zerwała się, zamknięte okiennice wpuszczały do środka dość światła, by nie potrzebowała świecy. A to znaczyło, że na zewnątrz było jasno, zbyt jasno jak na świt. Co się stało? Siedem uderzeń gongów zawsze ją budziło, nie mogła przespać tego sygnału, położyła się późno, ale…

Późne odwiedziny Laweneresa. Jego dziwna prośba. Wino, które przyniósł, gęste, słodkie i mocne, o smaku mogącym zamaskować każdy dodatek. Spojrzała na swój puchar i plamę czerwieni na obrusie. Łatwo ją oszukał. Jak dziecko.

Ubrała się w kilkadziesiąt uderzeń serca, *ta'chaffda*, pas, *talhery* w pochwach owiniętych łokciami białego jedwabiu. Cały czas nasłuchiwała rozpaczliwie odgłosów z miasta, z oddalonego o ćwierć mili placu przed Świątynią Ognia. Jakim znakiem ogłasza się upadek władcy?

I kto właśnie umarł?

Odgłos kroków za drzwiami, rozpaczliwe szarpnięcie za klamkę, jęk.

Otworzyła, wpuszczając drobną postać w jedwabiach i koronkach, z twarzą zasłoniętą gęstym woalem. Dziewczyna zrobiła krok i nagle rzuciła się w przód, prosto przed siebie, jak pociągnięta niewidzialnym sznurem, nie, jak trafiona w plecy.

Długie na kilka stóp drzewce wyrosło między jej łopatkami, a uciekinierka zwaliła się twarzą na dywan, drapiąc bezcenną wełnę palcami zmienionymi w starcze, sępie pazury.

Deana bez chwili wahania skoczyła w stronę napastników.

Dwóch ludzi, jeden jeszcze pochylony po rzucie, drugi obok, starannie wycierający zakrwawioną szablę o atłasową zasłonę. Dzieliło ją od nich dziesięć kroków. Ten pierwszy zdążył wyprostować się i sięgnąć do pasa, gdy rozrąbała mu szyję, głęboko, aż klinga uderzyła o kręgi, Waeryn

t’Bolutaer miał prawo być dumny ze swojej pracy. Zeszła z linii sztychu drugiego zabójcy i cięła, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa – przedramię, tętnica ramieniowa, twarz, wewnętrzna część uda i kark.

Skończyła tak szybko, że obaj upadli niemal jednocześnie na ziemię.

Sani. Płomień wybuchł w niej, zanim uświadomiła sobie potrzebę sięgnięcia po niego. A mężczyźni – kastraci mający pilnować dziewcząt Varali, jak rozpoznała po chwili – nawet nie zdążyli jęknąć. A teraz dwa ciała leżały tu, na posadzce, a trzecie w jej komnacie.

Co się tu dzieje? Dlaczego strażnicy mordują Święte Dziewice? Gdzie są Słowiki, które też miały ich pilnować? Przez mgnienie oka żałowała, że zabiła tych dwóch tak szybko i chłodne okrucieństwo tego żalu zatrzęsło jej duszą. Naprawdę kroiłaby ich na kawałki, by dostać odpowiedzi na swoje pytania, a przecież teraz musiała się jak najszybciej znaleźć na placu przed świątynią.

Gdzie inni? Laweneres? Suchi? Owiya?

Znalazła ją w sali, której ściany nadal zdobiły tysiące kwiatów. Minęła po drodze kilkanaście komnat i korytarzy, kilka ciał, śpiących już snem tych, którzy stanęli przed obliczem Matki. Kobiety, dziewczęta, jeden z wykastrowanych strażników. Wyglądało na to, że nie tylko ona starła się z tymi, którzy mieli strzec tej części pałacu.

Przełożona Domu Kobiet leżała na posadzce twarzą w dół i wyglądała, jakby zapadła w nagły sen, podkładając dłonie pod głowę. Nie widać było rany, lecz sądząc po ilości krwi, musiała być szeroka i głęboka. Deana przyklękła i obróciła ją ostrożnie. Owiyę zabił czysty cios, ostrze weszło tuż nad mostkiem, lekko z góry, jakby ktoś zaszedł kobietę od tyłu, zadarł jej głowę i pchnął. Głęboko, aż do serca. Szybka, litościwa śmierć.

Zamknęła jej oczy, wciąż wypełnione niemym zdumieniem, i odmówiła *tcharrę* – modlitwę za duszę dobrego człowieka. Te kilka zdań była winna kobiecie, która przyjęła ją pod swój dach.

Dwie komnaty dalej znalazła Słowika i dziewczynę. On leżał pod ścianą, kończąc lepki, czerwony ślad ciągnący się przez pół posadzki. Obiema rękami trzymał brzuch, z którego wylewały się wnętrzności. Ona tkwiła skulona obok, z piersią przeszytą ciężką szablą i dłońmi zaciśniętymi na szerokim, rzeźniczym tasaku, jakby ostatkiem sił zadała cios, który zabił jej mordercę. Wojownik nie miał pancerza, tylko lekką tunikę swojego Rodu

w kolorze ciut jaśniejszym niż ta Deany. A na jego twarzy… Podeszła bliżej.

Twarz mężczyzny nie wyrażała niczego, a już na pewno nie cierpienie, jakie musiał odczuwać ktoś, kto przeczołgał się kilka kroków, próbując wepchnąć jelita na właściwe miejsce. I to cięcie… trzeba sporo siły, by zadać tak szeroką ranę.

Był już martwy, gdy ktoś rozpruł mu brzuch.

Trucizna? Czary? Po co?

I zaraz znalazła odpowiedź. Żeby zostawić ślad, że to Słowiki wymordowały Święte Dziewice. Dzięki temu głowa ich *af'gemida* jeszcze dziś wieczorem ozdobi miejską bramę. I głowy ich wszystkich wyższych dowódców też. W ten sposób ostatni Ród Wojny, którego wierności nowy władca Konoweryn nie mógł być całkowicie pewien, przestanie istnieć.

Nowe awanse, nowa lojalność, stare metody.

Polityka.

Uderzył ją dźwięk, zdający się dochodzić zewsząd, niski, groźny, niemal niesłyszalny, a jednocześnie wszechpotężny, wprawiający kości w dygot i sięgający żołądka, jakby ukryty w głębi ziemi olbrzymi lew wydał ostrzegawcze warknięcie. A potem usta wypełnił jej popiół. Gorzki i suchy, o metalicznym posmaku, i miała wrażenie, że już nigdy nie pozbędzie się tego smaku.

Zaczęło się.

* * *

Altsina obudził zapach. Zapach spalenizny i krwi parującej w gorącym powietrzu.

Stracił przytomność. To jasne. A teraz…

Aonel zakrywa mu dłonią usta i zmusza do przełknięcia czegoś, co jest wielkie, gorzkie i ma nieprzyjemny, drzewny posmak.

— Musisz dać radę — syczy gniewnie, a w jej gniewie jest i strach, i desperacja. — I nie waż się znów zwymiotować.

Słowo „znów" niesie ze sobą wspomnienie, o którym wolałby zapomnieć, ale nim zmusi ono jego żołądek do kolejnego rozpaczliwego skurczu, kobieta przykłada mu do ust butelkę wina. Złodziej pije. Łapczywie i długo. Żeby… zagłuszyć strach. Nie ma już wyjścia. Musi zrobić to, co trzeba.

— To ostatnie z trzech nasion, jakie mu pozostały. Ostatnie z czasów, gdy Oum pływał po morzach. Miał ich tylko sześć. Jedno zasiał i patrzył, jak ginie w ziemi, niezdolne wypuścić pędu. Jedno podarował swojej ukochanej. Jedno zużył tysiąc lat temu, gdy nadeszły dni strachu — słowa wiedźmy sączą mu się do uszu jadowitymi kroplami. — Zostały mu tylko trzy. Gdybyś był mniejszym głupcem, doceniłbyś wartość tego daru.

— Doceniam. — Złodziej przechyla butelkę i osusza ją do dna. — Doceniam jak jasna cholera. Zrobiłaś to?

Aonel patrzy na niego dziwnie. Ze smutkiem.

— Tak. Rano.

— Przyszła odpowiedź?

— Gdyby nie to, nie dałabym ci nasiona. Teraz Oum będzie z tobą. Da ci siłę i wesprze w walce.

— Oby.

Nasiono. Nie żołądź, jak można by się spodziewać po przodku anuhijskiego dębu, lecz wielkie jak kurze jajo, kanciaste i porowate nasiono.

Miał je w żołądku.

Połknął, bo taka była umowa. Bo istniała szansa, że po schwytaniu wyznawcy Reagwyra rozbiorą go do naga, by sprawdzić, czy nie ma przy sobie albo na sobie jakichś niebezpiecznych znaków, symboli. A tak podarunek bożka Seehijczyków był bezpieczny. Oum miał go wspierać w walce z tym szalonym sukinsynem, a walka miała się odbyć…

Tutaj. Pod mieczem. W miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Początkowo przygotował pełno planów, jak zakradnie się na dół, do trzewi Świątyni Miecza. Niektóre z nich były głupie, inne szalone, ale wszystkie wydawały się w mniejszym lub większym stopniu wykonalne.

Dopóki w Ponkee-Laa nie wybuchły walki religijne.

Których on był przyczyną.

Stop. Nie on był ich przyczyną – przyczyną była rodząca się świadomość tego sukinsyna za jego plecami i… Altsin miał przeczucie graniczące z pewnością, że coś jeszcze. Jakaś wola pchała miasto w objęcia bratobójczej walki. A on, Altsin Awendeh, stał się co najwyżej płomykiem, który zbyt wcześnie rozpalił przygotowany stos. Ale gdy miasto zapłonęło, szansa na dostanie się do podziemi Świątyni zmalała do zera. Miecza zaczęto strzec dzień i noc.

A czasu miał coraz mniej. Tam, przed świątynią Dress, byli jednością, on i ten drugi. Złodziej nie wiedział, gdzie zaczyna się Bitewna Pięść, a gdzie kończy Altsin Awendeh. To nie było Objęcie, ale Przemieszanie.

Atmosfera panująca w mieście, napięcie, tysiące symboli kultu noszonych przez wyznawców Reagwyra, podziałały na ten kawałek jego duszy, zwany niegdyś Bitewną Pięścią, jak znak do piętnowania przyłożony do skóry. Obudził się, rozejrzał, nie spodobało mu się to, co zobaczył, interweniował. I za cholerę go nie obchodziło, że to może zakończyć się źle.

Najwyraźniej ten półboski wypierdek też miał już dość czekania.

Altsin przypomniał sobie wreszcie ucieczkę z miejsca, gdzie uzdrowił chłopca, wędrówkę po ulicach z głową wypełnioną swoimi – nie swoimi skojarzeniami i myślami. Z Mocą, którą wyczuwał w każdym miejscu i która kusiła, och, jak bardzo kusiła. Z poczuciem absolutnej, obezwładniającej potęgi, znajdującej się na wyciągnięcie ręki.

Potrzebował połowy dnia, by stłumić to uczucie. A gdy wrócił do wynajętego pokoju, Aonel zrobiła mu karczemną awanturę, a miasto zaczynało się palić.

— Uśmiechasz się? Czy to znaczy, że wszystko idzie po twojej myśli?

Altsin szarpnął się w bok, spodziewając się ciosu; kolano zapłonęło, ale utrzymało ciężar ciała. Jęknął.

— Gdybym wiedziała, że tak łatwo sprawić ci przyjemność, już dawno dorwałabym cię i stłukła.

Rozpoznanie przyszło błyskawicznie w serii obrazów i wspomnień.

— Pamiętam twój głos — odezwał się szeptem. — Dziewczyna z molo. Jawynder chciał cię utopić.

— Tak naprawdę ten ćwierćbożek bał się spróbować mnie utopić. Ale napinał muskuły i robił groźne miny, bo w tym jest dobry. Zapytaj go kiedyś o wędrówkę przez pustynię i ostatnią butelkę z zielonego szkła. Zobaczysz prawdziwe oblicze tchórza. Znowu się uśmiechasz? Dlaczego?

— Bo wygląda na to, że wszyscy wchodzą tu jak do własnego i wychodzą jak z własnego domu. Ty, hrabia, ta kobieta przebrana za wieśniaczkę. Każdy, kto zachce.

Usłyszał ciche kroki.

— Ja, to ja. Znajdowanie drogi do różnych miejsc jest częścią mojej natury. Hrabia jest tu gospodarzem. A wieśniaczka… Nijakie włosy, blada twarz, której nie można zapamiętać?

— Tak.

— Jedna z trzech sióstr, sług Eyfry.

Pani Losu? Kolejny boski byt, który miał zamiar wtrącać się w jego życie?

— To fragment większej opowieści. Gry, w której zniszczenie całego tego miasta tylko lekko przechyli szalę zwycięstwa na jedną lub drugą stronę. Przynajmniej tak myślą niektórzy z Nieśmiertelnych. W sumie powinnam ją wspierać, odwrócenie uwagi od pewnej północnej wyżyny też byłoby mi na rękę, ale tu chodzi o ciebie, Altsinie Awendeh, co zmienia postać rzeczy.

— O mnie?

Nie sądził, że uda mu się wykrzesać z siebie jeszcze tyle ironicznego niedowierzania.

— Och, nie żartuj. Ja też nie sądziłam, że ON trafi na ciebie. Wtedy, gdy skaleczyłeś się i wytarłeś krew w rękojeść. Na kilka chwil Dengothaag powrócił do roli, dla jakiej go stworzono, stał się bożą furtką, przez którą reszta duszy Reagwyra mogła się dostać do świata śmiertelników. A potem? Pamiętasz? Miesiące, lata uciekania, ukrywania się, zmieniania zajęć… Szukałam cię przez połowę kontynentu.

— Trzeba było napisać list.

Zdawała się tego ostatniego nie słyszeć.

— W końcu, zdesperowana, zawarłam umowę z Panią Losu. Ja dotrzymałam swojej części, a ona najwyraźniej próbuje oszukiwać.

— Czyżby? — odezwał się kolejny głos w pomieszczeniu.

Altsin poczuł, jak na wargi wypełza mu paskudny, ironiczny uśmiech. Miał rację, niektórzy wchodzili tu łatwiej niż marynarz pobrzękujący pełną sakiewką trafiał do burdelu.

— Moja pani miała umożliwić ci spotkanie z nim, tak, by nikt wam nie przeszkadzał. I oto jest. Stoi tam. Trochę poobijany, ale żywy, a gdybym go nie pilnowała, pewien głupiec zatłukłby go już na śmierć. I zapewniam cię, że nikt nie będzie wam przeszkadzał, oczywiście w granicach rozsądku. Nikt nie kopał w stolik. Kości same tak wypadły.

— Jesteś pewna, Ogewro? Nikt? A jak on się tu znalazł? Tu, w miejscu, gdzie wszystko dla niego się zaczęło.

Złodziej nie widział rozmawiających, ale łatwo było sobie wyobrazić, jak starsza z kobiet wzrusza ramionami.

— A kto opowiadał hrabiemu bajeczki o wybrańcu i kazał go szukać po całym mieście? Nie ufałaś mi? Jak mówiłam, gdybym go nie powstrzymała, zatłukłby twojego chłoptasia na śmierć. A jeśli chodzi o to, jak się tu znalazł… No cóż, jego towarzyszka go zdradziła. Poinformowała hrabiego, kim naprawdę jest, a ten dureń rzucił się na niego jak głodny pies na kość. Chyba wiesz po co? Nie jestem pewna, czy wywołanie tu prawdziwego *awenderi* naszego półbożka nie byłoby lekką przesadą. Z drugiej jednak strony, o ileż bardziej przyciągnąłby on uwagę wszystkich? Sam Galleg oderwałby wzrok od swoich ziem, by rzucić się jeszcze raz do gardła znienawidzonemu wrogowi.

— Więc wiesz, kim on jest?

— Bitewna Pięść Reagwyra. Rzeźnik, morderca, szaleniec. Moja Pani głosowała za tym, by go unicestwić. Nie udało się, trudno.

Altsin usłyszał, jak młodsza dziewczyna przesuwa się w lewo. Jej kroki były niemal niesłyszalne.

— Wiem. A zdrajczyni? Jakiej nagrody oczekuje.

— To seehijska wiedźma, która w zamian chciała zawrzeć umowę na dostawy złota i broni na swoją wyspę. Pieniądze i siła. Stara pokusa.

Dziewczyna zaśmiała się nagle, dźwięcznie i radośnie, i rzuciła jedno słowo, które brzmiało jak „szaleństwo”.

W głowie Altsina otworzyły się drzwi do kolejnych wspomnień.

Aonel…

Patrzy na niego z oczyma wypełnionymi niedowierzaniem. Właśnie powiedział jej, co ma zrobić. Mówi, co napisać w wiadomości do hrabiego, by ten jej uwierzył. To informacje, które może posiadać tylko ktoś, kto otarł się o prawdziwego awenderi *Pana Bitew. Altsin mówi jej, co zrobią.*

— Szaleństwo — szepcze Seehijka. — Szaleństwo.

Oczywiście. Ale on musi dostać się do miecza, bo następnym razem, gdy ten sukinsyn wypłynie na wierzch, już się nie zanurzy. Ponkee-Laa stało się polem bitwy, a to przyciąga go jak krew rekina.

Nie ma wyjścia.

Więc idą do Świątyni, gdzie Aonel całuje Altsina głośno, publicznie w oba policzki, a potem w usta, potem zaś znika w tłumie; hrabia akurat rusza do rannego dzieciaka. Spojrzenia złodzieja i wiedźmy krzyżują się ostatni raz, stara się wzrokiem podtrzymać jej determinację. Dodać odwagi.

On. Jej. A Bendoret Terleach, mimo iż pochyla się z pozorną uwagą nad zakrwawionym akolitą, strzela oczyma w jego stronę i daje znak.

Altsin słyszy szybkie kroki za plecami, ale nie odwraca się.

Świst i ciemność.

Za mocno go uderzyli. Po prostu. Za mocno przywalili mu w głowę, bo dopiero teraz przypomniał sobie to wszystko.

Napiął mięśnie, szarpnął okowy. Oum, sukinsynu, miałeś mi pomóc!

Cisza.

— No i co teraz, niechciane dziecko? — głos służki Pani Losu dobiegł go zza pleców, wąska dłoń szarpnęła za włosy, a ostrze dotknęło szyi. Uświadomił sobie, że kobieta nie mówiła do niego. — Zadrwiłaś ze mnie tym rzutem kości. Węszysz, gdzie cię nie proszą, mieszasz w cudzych garach. A przecież są tacy, którzy za tobą tęsknią, och, bardzo tęsknią. Co zrobisz teraz, gdy ten, z którym chciałaś się spotkać, stoi przed tobą, a ty nie możesz go uwolnić?

— Mieszam w cudzych garach? Ja… hm… Zanim poderżniesz mu gardło, może mi odpowiesz, kiedy ostatnio zajrzałaś do naszej miłej, słodkiej i radosnej Kitchi? Kitchi, która miała dopilnować, by w południowych księstwach zapanował chaos i śmierć? Wyznaczyłaś ją, bo Agar od Ognia jest tak honorowy i słowny, że przecież za nic nie złamie danych obietnic — głos dziewczyny osunął się w jadowity szept. — I kto ci powiedział, że nie mogę go uwolnić?

Nóż zadrżał, a jego ostrze poznaczyło skórę złodzieja piekącą pręgą. Zapach krwi był niemal namacalny.

Oum… Ouuuum!!!

Rozdział 22

Słońce wbiło Deanie rozpalone sztylety w oczy mimo *ekchaaru* na twarzy. Choć do południa zostało jeszcze mnóstwo czasu, rozpalony krąg zdążył już się wznieść nad Świątynię Ognia, jakby to, co miało się tam wydarzyć, wymagało dodatkowej oprawy.

Wielki plac wypełniał tłum jeszcze gęstszy chyba niż ten, który widziała w trakcie wjazdu do miasta. Jedwabne ściany uniesiono, otwierając budynek dla wszystkich spojrzeń, i tylko szeregi wojowników w żółci, zieleni i brązie odgradzały jego wnętrze od ludzi. Deana prawie się uśmiechnęła. Słowiki stały między Bawołami i Trzcinami zupełnie nieświadome, że ich los był już przesądzony, a ten pokaz wierności odwiecznym ideałom na nic się nie zda. Głupcy. Obrar miał swoje przedstawienie. Sto kamiennych słupów, marmurowa kopuła i Oko płonące pod nią tworzyły swoisty amfiteatr, w którym rozgrywał się kolejny dramat w tysiącletniej historii tych południowych krain.

Jedna dynastia odchodzi, inna powstaje.

A wszystko to, zgodnie z najlepszą tradycją zmian u władzy, w świście ostrzy i fontannach krwi.

Deana widziała tę walkę. Szerokie ciosy ciężkiej szabli, wolne i pogardliwe, żadnych sztychów, które szybko i litościwie zakończyłyby „pojedynek”. Obrar chciał, by całe miasto widziało, jak masakruje ich księcia, by nikt nie miał wątpliwości, czyją krew pije Oko i kto właśnie obejmuje władzę. A Laweneres ruszał się powoli, niezgrabnie, poza kilkoma niezbornymi ciosami nie próbował się nawet bronić. Przeciwnik wykrwawiał go serią płytkich ran, było w tym coś ze składania ofiary mściwemu bóstwu.

Każdemu ciosowi towarzyszył jęk wyrywany z tysięcy gardeł. Krzyczał plac, krzyczały obwieszone ludźmi mury budynków i krzyczały dachy uginające się pod ciężarem gapiów. Grupka sześciu słoni z Mamą Bo na czele, zgromadzonych u podnóża schodów, potrząsała głowami i parskała niespokojnie w rytm tych krzyków. Ale nikt nie mógł nic zrobić, bo ubrani

w ognistą czerwień gwardziści Obrara stali z obnażonymi szablami wokół świątyni, a towarzyszący im brąz ciężkozbrojnych Bawołów, żółć Słowików i zieleń Trzcin przypominały, że Rody Wojny akceptują to, co się dzieje.

Zbrojni byli wszędzie. Kilkuset pilnowało świątyni, reszta – kilka tysięcy – podzieliła plac na małe części, odgrodzone od siebie tarczami i włóczniami.

Deana czuła moc bijącą od Oka, wypełniającą jej usta smakiem popiołu, a nos odorem pogorzeliska. Czuła, jak ta moc pulsuje w rytm krzyków wypełniających plac i nie sposób było stwierdzić, czy to krzyki szarpią aspekt Pana Ognia, czy to on nimi kieruje. Po chwili odkryła, i wypełniło ją szczere zdumienie, że *sani*, który płonął gdzieś pod jej przeponą, również rozpala się i przygasa w rytm tych krzyków. Jakby ktoś dmuchał na jej wewnętrzny płomień.

Weszła na ścieżkę wykrojoną spośród tłumu przez dwie ściany pawęży. Bawoły stały karnie, tarcza przy tarczy, długie włócznie bodły niebo z niewzruszoną stanowczością, a wysokie hełmy wyrastały nad głowy mieszkańców. Stały przodem do ludzi, plecami do drogi, którą musiał jechać Laweneres, i zupełnie ją ignorowały. Lecz nawet gdyby szła nago, nikt by na nią nie patrzył, bo w świątyni lekceważący cios grzbietem szabli właśnie wytrącił broń z ręki Laweneresa, a szerokie, rzeźnicze wręcz cięcie przez pierś ozdobiło wnętrze Oka sznurem krwawych kropel.

W następnej chwili potężny kopniak wypchnął Ślepego Księcia poza krąg. Kilku zamaskowanych gwardzistów w czerwieni doskoczyło do niego, ale zatrzymał ich władczy gest nowego pana Konoweryn. Przez chwilę Obrar stał i patrzył na leżącego rywala. Potem machnął dłonią i dwaj żołnierze złapali Laweneresa pod ramiona i wynieśli ze świątyni.

Zostawili go w połowie schodów, w pełnym słońcu.

Odmówiono mu nawet honorowego zgonu w Oku, bo całe miasto miało patrzeć, jak ich książę wykrwawia się na śmierć.

By nie było wątpliwości, że zginął.

* * *

Miotła. Praca. Zamiatanie.

Szare płatki spadają z góry dziwnymi spiralami, jakby trafiały na prądy powietrza, których nie można wyczuć na skórze. Moc zgromadzona w tej komnacie mogłaby zniszczyć pół miasta w jednym błysku, który widziano by nawet tysiąc mil stąd.

Ale tego nie zrobi. Nie on. Pan Ognia, nawet jeśli patrzy przez swoje Oko i bardzo mu się nie podoba to, co widzi, nie będzie interweniował. Jeśli głupota miała honor, to już wiadomo, komu go podarowała.

Ta bluźniercza myśl nie zmienia rytmu jego pracy. Sługa krąży powoli po kamiennych płytach, zgarniając popiół na niewielkie kupki, zgodnie ignorowany przez wszystkich wokół.

Mężczyzna znów założył czerwony pancerz, dla odmiany wyglądający jak zrobiony z pokrytych laką kawałków grubej skóry. Jego maska jest chyba ze szkła, całkowicie gładka, bez śladu, sugestii nawet otworu na oczy; wygląda jak wielki, karminowy strup przyklejony do twarzy. Tym razem jednak wojownik nie nosi płaszcza, chyba po to, by wszyscy widzieli, że nie ma ukrytej broni. Jego głosem jest dzisiaj kobieta w sukni dopasowanej barwą do koloru zbroi, która choć wspiera się na długiej lasce, jest dostojna, na swój sposób władcza. Nie wiadomo, kto dzisiaj jest panem, a kto sługą. Oboje stoją między dwoma tronami, zbyt podekscytowani, by usiąść.

Kitchi od Uśmiechu nie uśmiecha się wcale. Spoglądając to na obrazy pojawiające się w płomieniach, to na gospodarza, siedzącego na tronie i udającego, że nikogo poza nim tu nie ma, sprawia wrażenie osoby, która nagle zdaje sobie sprawę, że znalazła się po niewłaściwej stronie krat klatki, a łańcuch trzymający bestię wcale nie wygląda na taki mocny.

Doświadczyć własnej śmiertelności to bardzo odświeżające uczucie, nieprawdaż, moja droga?

Kobieta, która do tej pory nosiła żałobne stroje, dziś ubrała się w biel. Obszerna szata z kapturem kryjącym twarz nadal jednak pozwala jej skutecznie zachować incognito, a sposób, w jaki siedzi, sugeruje, że po prostu drzemie.

Oczywiście. Każdy by zasnął w takiej chwili.

I są jeszcze oni. Mężczyzna noszący strój pustynnych plemion i miecze na plecach, lecz niezasłaniający twarzy, oraz dziewczyna z jasnymi włosami, stojąca za tronem, na którym zasiadł gospodarz. Śmiertelnicy. Nie powinno ich tu być, a jednak.

Zdumiewających czasów dożyliśmy, myśli sługa.

Wszyscy patrzą w płomienie. Widzą… Nazwanie tego walką najpewniej sprawiłoby, że sufit zawaliłby im się na głowy. To rzeźnicza robota, mniej niż pojedynek, więcej niż egzekucja, gra pozorów. I teraz, za kilka chwil, jeden książę umrze, a Oko wybuchnie płomieniami, by ogłosić zwycięstwo drugiego i początek nowych czasów w Konoweryn. Koniec bierności i tolerowania buntów niewolników, koniec pobłażania ich religii, wyznawcy Wielkiej Matki, Służki czy jakie imiona ona jeszcze nosi, zostaną zniszczeni, a Dalekie Południe oczyści się w krwi i ogniu i pokłoni jednemu tylko bogu.

Nawet jeśli on tego nie chce.

Wszyscy patrzą.

* * *

Jakaś kobieta wrzasnęła coś tak głośno, że jej głos przebił się przez powszechny jęk, wyrwała się z kordonu zbrojnych i pomknęła po stopniach. Za nią mężczyzna w czarno-czerwonym stroju, drugi w białym turbanie i jeszcze kilku innych. Akt odwagi i wierności, za który z pewnością przyjdzie im zapłacić.

Deana uśmiechnęła się. Truciciel się pomylił, było więcej niż pięć osób. Osiem… siedem, bo jeden z biegnących zawahał się i szybko zawrócił, usiłując zakryć twarz.

Dotarła do schodów i chyba wreszcie ktoś ją zauważył, bo spomiędzy linii wojowników osłaniającej Oko wyłoniło się trzech w zielonych kaftanach Trzcin. Zeszli kilka stopni, stanęli i czekali.

Zatrzymała się w połowie schodów, przy grupce otaczającej umierającego mężczyznę. Nie księcia, władcę Białego Konoweryn, Dziecię Ognia, tylko zwykłego mężczyznę, który krwawił tak samo jak najnędzniejszy z niewolników i tak samo z każdym oddechem zbliżał się do Matki.

Tylko że to był jej mężczyzna.

Nawet jeśli nigdy mu tego nie powiedziała.

Varala uniosła twarz w górę, teraz, nieumalowana i zapłakana, wyglądała dziesięć lat starzej niż przy ich pierwszym spotkaniu. Obiema rękami trzymała zakrwawioną głowę Laweneresa na kolanach i rękawem starała się ocierać mu krew z czoła. A jej twarz, kości policzkowe, oczy, zarys ust…

— Miałaś rację, nigdy nie zajmę twojego miejsca. — Deana spojrzała na nią i choć tamta nie mogła zrozumieć tego gestu, dotknęła dłonią serca i czoła. — Ile lat zajął ci powrót?

— Nieważne. — Uśmiech nałożnicy wbił się w jej serce boleśnie znajomym grymasem. — Był dużym chłopcem, gdy go znów ujrzałam.

Deana uświadomiła sobie, że otacza ich cisza i spokój. Umilkł gwar tłumu, ucichły słonie, pulsowanie mocy Oka znikło. Wiedziała, nie podnosząc głowy, wiedziała, że wszyscy jak jeden mąż patrzą na nich. Powietrze było ciężkie i parne, jak tuż przed burzą.

— Na co czekamy?

— Aż Oko zapłonie. — Varala zdawała się patrzeć gdzieś obok niej, na niebo. — Na powitanie nowego księcia.

— A kiedy zapłonie?

— Gdy umrze. Dopiero gdy on umrze. — Kobieta opuściła wzrok.

Deana spojrzała na tę żałosną grupkę. Umierający książę, jego matka, truciciel, Evikiat, który tą decyzją żegnał się z urzędem Wielkiego Kohira, czterech dworzan, widziała ich pierwszy raz w życiu. Przegranym władcom zawsze towarzyszy tylko garść ludzi. Przyklęknęła.

— Suchi… — Czuła to, moc Oka, moc zgromadzonego tłumu, moc chwili. — Umiesz zszywać rany?

Truciciel spojrzał na nią wzrokiem wypełnionym obłędem.

— *Cmanea* zagęściła mu krew i spowolniła bicie serca. To dlatego był taki niezgrabny. I dlatego nie wykrwawił się po pierwszych ciosach.

Podała mu mały woreczek. Igły, jedwabna nić, maść zamykająca rany.

Potem dotknęła zakrwawionej ręki i wsunęła palec pod *ekchaar*. Krew księcia miała metaliczny, paskudny posmak. Przełknęła szybko, żałując, że nie może zmyć go łykiem wina, wody, octu.

Czegokolwiek.

Suchi patrzył na nią i widziała, jak pojawia się prawdziwy on. Sprytny, cyniczny, wyrachowany. I zdumiony.

— Nie — szepnął. — To szaleństwo. To tak nie działa, Oko…

— Nie martw się o Oko. Ten gest był dla innych. — Wskazała ruchem głowy szczyt schodów. — Niech myślą, że oszalałam. Po prostu nie pozwól mu umrzeć. Szwy nie muszą być równe, i tak ich nie zobaczy.

* * *

Pojawienie się tej kobiety w stroju issarskich barbarzyńców nie wywołało w sali większej reakcji. Jeszcze jedna śmiertelniczka, która spłonie w ogniu, gdzie wykuwa się nową historię. Podobnie jak ci, którzy podpisali na siebie wyrok, podchodząc do konającego księcia.

I chyba tylko sługa zauważył, że mężczyzna stojący za tronem gospodarza drgnął, a jego do tej pory niewzruszona twarz pękła, ukazując całą gamę uczuć. Od smutku po lęk. Pochylił się i zaszeptał coś do ucha siedzącemu na tronie, za całą odpowiedź dostając przeczące kręcenie głową i gest zniecierpliwienia.

Och. Pamiętał go. Brat i siostra. Czy naprawdę sądził, że i tym razem Pan Ognia zgodzi się na to, by ocalił jej życie? To byłby cud na oczach stutysięcznego tłumu. Prawdziwy cud. Złamanie obietnic, które zakazywały Agarowi interweniować. Tak jak nie mógł natchnąć swych wyznawców, by rzucili się na zbrojnych, ratując swego ukochanego księcia, tak nie pośle nikogo na ten plac.

Nic z tego, chłopcze.

Wszyscy patrzą, jak kobieta dotyka rany księcia i wsuwa palec pod zasłonę na twarzy. Kitchi od Uśmiechu parska.

— Głupia! Ona naprawdę myśli, że to pozwoli jej wejść do Oka? Że w ten sposób będzie miała w sobie krew Agara? — zwraca się wprost do gospodarza z lekką niepewnością w głosie. — Chyba nie zamierzasz oszukać nas taką tanią sztuczką?

Płomienie skaczą gniewnie pod sam sufit i pstrokata, denerwująca Kitchi milknie.

Świadomość kruchości własnego istnienia maluje jej twarz na biało, bo nagle dla wszystkich jest jasne, że w tej chwili Pani Losu skupiła swoją uwagę w innym miejscu i zostawiła służkę samą.

Kobieta w czerwonej sukni odzywa się niskim, ciepłym głosem:

— Najpierw musi przejść tych trzech na górze. Jeśli jej się uda, w nagrodę pozwolimy jej spłonąć w Oku.

Towarzysz Kobiety trzyma obie dłonie za plecami, więc najwidoczniej mówi ona własnym głosem. Ciekawe.

Sługa miałby wątpliwości, czy dziewczyna zdoła przejść przez tych trzech, gdyby nie wyraz twarzy wojownika z pustyni.

Rysują się na niej duma i pogardliwa pewność siebie.

I wtedy już wie, że zabawa dopiero się rozpoczęła.

* * *

Deana wstała, otrzepała *ta'chaffdę*, poprawiła *ekchaar*. *Sani* łagodnie pulsował w jej żyłach, napełniał dłonie i stopy mrowieniem. Bitewny trans był tuż obok. Właściwie czuła się, jakby nigdy jej nie opuścił. Przypomniała sobie *zavii* – modlitwę o odwagę.

Pani, idę ścieżką ślepca, moje kroki są niepewne, a serce drżące, lecz zło nie będzie miało do mnie dostępu, bo Twe dłonie niosą mnie przez ciemność.

Ruszyła po schodach.

I każdy krok strząsa ze mnie strach, każdy oddech napełnia żyły ogniem, aż nieprzyjaciele Twoi pierzchną i obrócą się w pył. Bo Ty jesteś ze mną.

Stanęła trzy stopnie przed najmłodszym z zagradzających jej drogę Trzcin. On był najważniejszy. Sposób, w jaki patrzył, jak opierał dłoń na rękojeści długiego, wąskiego miecza, zwracałby na niego uwagę, nawet jeśli stanąłby z tyłu. Jego dwaj towarzysze byli tłem.

— Nie możesz przejść — mruknął, mrużąc ciemne oczy.

— Mylisz się — zaprzeczyła łagodnie, wyciągając lewą dłoń i podwijając rękaw. Wstęga czerwieni zatrzepotała na wietrze. — Idę po *vasagar*.

Nawet nie drgnął.

— Naprawdę? A po co chłeptałaś jego krew? Sądzisz, że Oko cię nie pochłonie, prawda?

Nie zamierzała wdawać się z nim w dyskusję, więc tylko położyła dłonie na rękojeściach szabel.

— Odstąp. Nikt nie ma prawa mi tego zabronić. Nawet Dziecię Ognia, którym twój nowy pan jeszcze nie jest.

Wzruszył ramionami i na ten gest jego dwóch starszych towarzyszy ruszyło w dół. Zaszli ją z boków.

Uśmiechnęła się. Teraz wszyscy na placu i w świątyni patrzyli na nich, issarską wojowniczkę i trzech zabójców Rodu Trzciny. Nikt nie zwracał uwagi na gorączkową krzątaninę wokół Laweneresa. Położyła dłonie na rękojeściach szabel i zrobiła krok do przodu.

— Kim jesteś?

— Ka'eliru. Szafirowy Miecz Domu Trzcin. Pierwszy wśród jego szermierzy. Miałem dziewięć lat, gdy zostałem Wyniesiony, i od tamtej chwili każdy dzień poświęciłem na ćwiczenia. — Młodzieniec wyjął miecz

z pochwy i wskazał na swoich kompanów. — To moi nauczyciele, którzy twierdzą, że od stu lat nie było nikogo, kto tak szybko i dokładnie opanowałby szermierkę. Zabijałem już Issarów.

— Wierzę. Kazali ci mnie zatrzymać?

— Powiedzieli, że raczej nie przyjdziesz. Ale cieszę się, że jesteś.

— Nowy książę zabija starego, a jego — przekrzywiła głowę w namyśle — ulubiony nowy szermierz pokonuje dziką lwicę? Marzy ci się zostanie częścią takiej historii?

Nawet nie drgnął, ale w jego oczach ujrzała odpowiedź.

Więc wyciągnęła broń.

Gdy zrobiła pierwszy krok, prawie niedostrzegalnie skinął mieczem.

Wywinęła się spod płaskiego sztychu wojownika z lewej strony, wyszła mu naprzeciw i głowicą wyciąganego *talhera* walnęła w szczękę. Głowa mężczyzny odskoczyła, Deana dokończyła ruch szabli, płynnie podrzynając mu gardło. Zakręciła się i pchnęła padającego prosto pod nogi drugiego Trzciny, zbiła lekko, prawie lekceważąco, prowadzone od dołu cięcie i płytkim ciosem z przedramienia rozrąbała twarz przeciwnika.

A nie weszła jeszcze w bitewny trans.

Albo weszła, tylko tego nie zauważyła.

Spojrzała na pierwszego szermierza Trzcin, który ujął mocniej miecz i, o dziwo, uśmiechnął się.

— Mistrzyni?

— Niektórzy tak twierdzą.

Skoczył na nią z góry, zasypując gradem ciosów. Tak. Prawdziwa walka, szczęk stali, uderzenia, które czuje się w dłoniach, przedramionach, całym ciele. I to uderzenia prawdziwego zabójcy, szybkie jak myśl, podstępne, zaskakujące. Ciosy w pół ruchu zamieniające się w pchnięcia, sztychy wychodzące z niemożliwych pozycji, taniec ciała, mamiący oczy i oszukujący co do intencji.

Parowała jego ataki jeden po drugim. Miał dłuższą broń, lepszą pozycję, większy zasięg ramion i, na Imię Matki, wykorzystywał to bez wahania. Już po kilku pierwszych ciosach musiał się zorientować, z kim ma do czynienia, więc teraz parł naprzód, nie dając jej czasu na kontrę, naciskał z całą biegłością mistrza miecza, od małego chłopca przyuczanego do walki.

Ten pojedynek, pomyślała, toczony na schodach świątyni, gdy jeden książę Konoweryn konał, a drugi szykował się do objęcia władzy, ta walka

przejdzie do legendy. Będą opiewać w pieśniach tę chwilę, gdy ognista biegłość Dalekiego Południa zderzyła się z zimną furią Północy. I nawet gdybyśmy walczyli przez pół dnia, nikt by się stąd nie ruszył, bo człowiek ma szczęście, jeśli raz w życiu ujrzy na własne oczy takie widowisko.

Trans *khaan's* pojawił się nagle, jako odpowiedź na serię straszliwych ciosów, i znów to poczuła, jak w czasie walki z Omalaną, uniesienie, radość, ocierające się niemal o ekstazę szczęście. Walka. Walka! Dziki taniec ze śmiercią, po którym życie smakuje sto razy lepiej, krew krąży szybciej, a każdy oddech jest jak haust najlepszego wina.

Parada, kontra, parada, kontra, parada, kontra, kontra, kontra! Szybciej, szybkiej, szybciej, góra, dół, lewa, prawa i jeszcze raz, i jeszcze szybciej, i krok do przodu, bo przeciwnik się cofa, i jeszcze jeden krok, szybszy, nie pozwolić mu uciec poza zasięg *talherów*, parada, kontra, unik, bo ten cios jest taki dziecinnie prosty, rozpaczliwy wręcz, parada, kontra, szybciej, szybciej. Szybciej!

Czuła go, czuła Ka'eliru Szmaragdowy Miecz każdym włóknem ciała. Chłopak, niewolnik wybrany spośród wielu, od razu zwrócił uwagę nauczycieli szermierki, bo był szybki i zwinny. Ćwiczył dwa, trzy razy więcej i ciężej niż inni, by w końcu osiągnąć pozycję pierwszego wśród szermierzy Trzcin. Wiele pojedynków i walk stoczonych dla przyjemności *af'gemida* Rodu, sława i chwała. Zadowolenie.

Po sposobie, w jaki spróbował ją zaskakiwać, wiedziała, że mówił prawdę, skrzyżował już, i to nie raz, ostrze z wojownikami Issaram. Zapewne jakimiś młodzikami, którzy zawędrowali na Dalekie Południe z karawaną i dali się sprowokować do walki. Kilka sztychów, dwa ciosy, które musiał podpatrzeć w czasie tych pojedynków. Pewne szermiercze sztuczki zdradzają twoje pochodzenie niczym akcent albo ulubiona potrawa.

Ale to, co odziewa twoją broń w biel, zmienia cię w tancerza śmierci, a z kimś takim nawet pierwszy szermierz Trzcin nigdy nie miał do czynienia.

Czuła go, znała i kochała. W tej chwili był dla niej najbliższą istotą pod słońcem, cały świat znikł, rozpłynął się w szczęku stali i zostali tylko oni. Dwoje ludzi, którzy mieli zamiar się zabić.

Po raz pierwszy spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich zdumienie i radość. Czuł to samo co ona, dary, jakie niesie bitewny trans, i jemu

zostały udzielone. Uśmiechał się.

Targnął nią żal, jakby na dnie kielicha znalazła gorzki osad. Gdyby urodził się wśród Issaram, z pewnością nosiłby miecz w białej pochwie.

Przyspieszyła, znów zmuszając go do cofnięcia, i nagle zachwiała się lekko, jakby potknęła się o coś na schodach.

A potem przepuściła bokiem jego sztych, prowadząc go wzdłuż własnej klingi, a drugą wyciągnęła i trafiła Trzcinę pod pachę. Głęboko, aż do serca.

Zastygli, on w wypadzie, ona w paradzie i kontrze jednocześnie, i widziała, jak w jego oczach gaśnie radość. Jakby ktoś zdmuchnął kaganek.

Upadł u jej stóp, a cały plac, ściany domów i dachy westchnęły jednym głosem.

I zapadła cisza.

Poczuła zew, tętniące przyciąganie, jakby łagodny wiatr dmuchał jej w plecy, a z każdym jego oddechem *sani* rozpalał się w niej coraz bardziej.

Ruszyła w stronę Oka.

Szereg zbrojnych zagradzających przejście zafalował, zakłębił się. Uniosła lewą dłoń i zobaczyła mężczyzn głównie w żółtych strojach, którzy odpychają resztę na boki, by zrobić jej przejście. Uśmiechnęła się. Słowiki i ich wierność tradycjom. Zapomnieli już, kim powinni być, spętani kajdanami pustych rytuałów, ale przynajmniej teraz zachowali się, jak powinni.

Minęła ich – świadoma, że nagle wszyscy zastygli, a cisza rozlewa się, jakby cały świat wstrzymał oddech – i spojrzała na swojego wroga.

Odległy o jakieś trzydzieści kroków Obrar z Kambehii patrzy na nią spokojnie, szablę ma w pochwie, ręce założone na piersi. Kilku jego osobistych gwardzistów staje jej na drodze, ale krótkie warknięcie osadza ich w miejscu. Ustępują. Książę też chce mieć swoje przedstawienie, a śmierć pustynnej wojowniczki w Oku może być lepszym akcentem, wstępem do rządów niż jej ciało padające na schody Świątyni. Patrzą na siebie po raz pierwszy z tak bliska, książę i dzikuska spoza pustyni.

Obrar jest przystojny, wysoki i szeroki w ramionach, włosy przystrzygł krótko, a ciemne oczy uśmiechają się szyderczo. Szkarłatny strój ma upstrzony plamkami krwi, kilka kropel znaczy gładko ogoloną twarz. Deana nie chowa *talherów* do pochew, porusza nimi delikatnie, po kilku ruchach dostosowując się do rytmu, którym wabi ją Oko. Książę też czuje ten rytm, jest w końcu potomkiem *awenderi*, patrzy na kołyszące się klingi

i nagle wie, że zew Agara płonie w jej żyłach, że splótł się z jej wewnętrznym płomieniem, a na jego twarzy, spokojnej i dumnej, wyrasta zdziwienie.

Otwiera usta, wskazując na Deanę, ale ona rusza nagle, dwóch strażników zagradza jej drogę, wpada między nich, pancerne dłonie łapią powietrze, a ona niesiona pędem przekracza granicę Oka.

Ogień. Ogień jest wszędzie. Otacza ją, oddycha nim, żółty jedwab kurczy się i znika, palą się jej włosy, skóra, mięśnie i kości. Płoną płuca.

Tak to jest, rozumie nagle, tak to jest, gdy wchodzi się w serce boga. I rozumie też, jak wiele Agar zaryzykował, wysyłając cząstkę siebie w świat śmiertelników. To miejsce jest fragmentem jego królestwa, bramą i, w pewnym sensie, sercem.

Rozpada się na pył.

Rozdział 23

Myśl. Myśl, bo cię tu zabiją jak zwierzę!

Nóż drapie szyję, krew ścieka, a jej zapach zdaje się przyciągać uwagę miecza. Okowy zaciskają się Altsinowi na nadgarstkach, łańcuch zdaje się kurczyć, jakby byt zakuty w formę wielkiego ostrza chciał go przycisnąć do piersi.

Oum!

Nie ma odpowiedzi.

Seehijski bożek oszukał go, pewnie po to, by złodziej, wierząc w jego wsparcie, zdecydował się na to szaleństwo.

Obiecana pomoc była tylko pułapką pozwalającą mu się pozbyć niechcianego gościa z wyspy. Nie miał dość odwagi albo sił na walkę z nim, więc wymyślił bajeczkę o sposobie na „wyleczenie", by złodziej sam popłynął do Ponkee-Laa i tam popełnił samobójstwo. To nasiono… nie było nasieniem, a pomoc Aonel ograniczała się do wystawienia go hrabiemu.

Głupiec kończy tam, gdzie zaczął. Koło się zamknęło. Pora umierać.

Ale nie w ten sposób.

Altsin cofnął się o kilka cali i oparł plecami o lodowatą klingę. Tak jak sądził, kobieta z nożem musiała stać za nią, obejmując ostrze. Lewą ręką wciąż trzymała go za włosy, w prawej ściskała broń. Między jej rękoma tkwiło ostrze Dengothaaga. Nie mogło być inaczej.

— Co zrobiłaś? — jej syk zabrzmiał groźbą i tłumioną furią. — Co zrobiłaś na Południu, Kanayoness?

— Ja? Nic. Nie użyłam swoich talentów, nie wpłynęłam na ludzki umysł, nie narzuciłam nikomu swojej woli. Wszystko dzieje się zgodnie z waszą umową, przez ludzi wymyślone i rękoma ludźmi dokonane. A jego nie muszę mieć żywego.

Młodsza nagle znalazła się przed złodziejem. Poczuł zapach perfum i lekkie muśnięcie na twarzy.

— Przepraszam — jej głos był poważny, bez zwykłego cienia kpiny. — Miałeś prawo być na mnie wściekły, sądzić, że cię zdradziłam. Naprawdę cię szukałam przez te lata, ale on — uderzyła go otwartą dłonią, a ten policzek był przeznaczony tylko dla Altsina — był uparty, głupi i sprytny. Uciekał, krył się, bronił. Ja też musiałam uciekać. Dużo się wydarzyło. Opowiem ci kiedyś. Teraz musisz to zrobić. Opuść to ciało, na górze czeka inne, starsze i pewnie bardziej zużyte, lecz zabezpieczone tatuażami.

Nóż ukłuł mocniej i złodziej poczuł, że krew nie tyle sączy się, ile wypływa gorącym strumykiem.

— Słucham? — w głosie Ogewry słychać było strach. — To ty to uczyniłaś?

— Chyba nie sądziłaś, że twój hrabia sam wpadł na pomysł z tatuażami? Potrzebował wskazówek i inspiracji. I możesz mi wierzyć, nie użyłam czarów, by go przekonać, skarbie. Wystarczyło zagrać na ambicji, poczuciu misji i manii wielkości. Wizję siebie samego jako pierwszego od trzech i pół tysiąca lat *awenderi* stąpającego po ziemi miał w głowie od lat. Sam też uznał, że po Objęciu zdoła kontrolować Bitewną Pięść. Głupiec. Czy buty, które wkładasz, mówią ci, gdzie masz chodzić? — Dziewczyna znów poklepała Altsina po policzku. — Z początku chciałam tego tu schwytać, obezwładnić i siłą wytatuować bariery na skórze. Naprawdę byłam zdesperowana. Ale teraz nie ma na to czasu.

— Zabiję go!

— Och, proszę. Piękne naczynie do przesiadki już czeka. Zrób to.

Teraz.

Nóż drgnął i przesunął się wyżej, aż pod ucho, a Altsin poczuł na szyi także wąską dłoń. Przycisnął więc brodę do piersi, więżąc ją na mgnienie oka, i szarpnął się w bok.

Dengothaag miał klingę ostrzejszą niż brzytwa, ostrzejszą niż cokolwiek, co zdołałyby stworzyć dłonie śmiertelników. Ale teraz ważniejsze było, że klinga ta znajdowała się między ramionami służki Eyfry.

Głownia rozcięła jej prawe ramię aż do kości, poczuł to, a w następnej chwili szarpnął się w drugą stronę.

Krzyk wybuchł w komnacie i zdawało się, że nagle wypełnił ją olej. Trudno było oddychać, ciemność nabrała namacalnego ciężaru, przez miecz przebiegło szalone drżenie.

Altsin kopnął wściekle przed siebie, trafił, dziewczyna nazywana Kanayoness jęknęła. Możesz być nie wiadomo czym, nawet boskim bytem, ale solidny kopniak potrafi pozbawić cię oddechu, suko! Buty? Ja ci dam buty!!!

Ziemia stęknęła, a potem ze wszystkich stron zwaliła się na nich Moc.

Dengothaag zawibrował, jak uderzony młotem.

Cichy śmiech zabrzmiał Altsinowi w głowie.

No, chłopcze, nieźle, nieźle. Tak jak się po tobie spodziewałem, nawet jeśli jesteś związany, potrafisz bogów doprowadzić do szaleństwa.

To ty, Oum? Co się dzieje?

Nie rozumiesz?

Eyfra, Pani Losu, jedna z najpotężniejszych bogiń, jakie zna świat, przez te kilka chwil skoncentrowała całą swoją uwagę w tym miejscu, na swojej służce, która stała się jej oczyma, uszami i ciałem. To nie było Objęcie, jak w przypadku awenderi*, bo nie dusza bogini dzieliła ciało ze śmiertelniczką, lecz jej umysł. Jednak umysł też może czuć ból, szok i wściekłość.*

Być może po raz pierwszy od tysiącleci Eyfra czuła ostrze tnące ciało, krew tryskającą z przeciętych tętnic i, przede wszystkim, czarną klingę pijącą z niej życie.

Ciało służki stało się kanałem, przez który ostrze próbowało pożreć byt po drugiej stronie. A wściekła bogini odpowiedziała kontratakiem.

Oum!

Tak, masz rację. Okłamałem cię. Ale nie miej pretensji do Aonel, nie wiedziała, że to, co ci podaje, to nie moje nasiono. Nie ma już tych nasion. To była moja krew. A w jej środku coś, czego na pewno dobrowolnie byś nie połknął.

Obraz małego, okrągłego wisiorka z kości tańczy wewnątrz umysłu chłopaka. Owal pęka na kilka kawałków, które otacza krzepnący drzewny sok.

Po co? Odpowiedz mi. Po co?!

By zobaczył. I zdecydował.

Kto? I co takiego ma zobaczyć?

Fragmenty kości wynurzają się z tego niekształtnego pseudonasiona, wirują w powietrzu i składają się w całość. A potem rosną, zamieniają się w otwór, furtkę, drzwi. Wrota.

Wrota, które chlustają, rzygają na niego opowieścią.

Altsin był… kimś innym. Pamiętał rozległe stepy, które wiosną odziewały się w płaszcz zielonych traw, sięgających na wysokość wzrostu dorosłego mężczyzny.

Biegał wśród tych traw, zastawiając sidła na zające, kuropatwy i dropie. Gdy był nieco większy, uczył się strzelać z łuku podarowanego mu przez ojca i tropić stepowe lisy, których futro późną jesienią i zimą było gładkie i jedwabiste jak… jak pierwszy dotyk dzielony z dziewczyną. Nie pamiętał, jak miała na imię, ale była piękna, wtedy najpiękniejsza na świecie. Wiedział, że pochodzi z sąsiedniego szczepu, spotkali się na dorocznym święcie, wymknęli w noc… Potem ujrzał ją jeszcze tylko raz.

Niebo daleko na zachodzie tętniło grzmotami, marszczyło oblicze burzowych chmur. Gdy zbliżały się do ich obozu, zwijali go w pośpiechu i uciekali. Miał trzynaście lat, gdy pojawili się jeźdźcy. Wśród nich jego ojciec. Stary, stary mężczyzna z oczami pustymi jak osuszone do dna studnie. Poznał go po znamieniu na lewej dłoni, sam takie nosił. Matka wyszła przed jurtę z dzbanem sfermentowanego kobylego mleka, by powitać go zgodnie ze zwyczajem. Spojrzał na nią, jakby nie rozpoznawał. Zabrali ich, wszystkich chłopców, którzy sięgali głowami do tyczki trzymanej na wysokości czterech stóp i ośmiu cali, wiek się nie liczył. Naznaczyli mu skórę tatuażem Kamii, błyskawica Pana Burz paliła przez wiele dni…

Pierwsza bitwa.

Atakowali falami, cwał, strzała za strzałą w niebo, w kierunku stojących nieruchomo szeregów zdrajców, i odwrót. Zginął Anuhe, jego najlepszy przyjaciel, padli Tamhi, Egaa i Munwe. Bał się jak nigdy w życiu, bał się zawrócić konia i zaatakować jeszcze raz, ale wtedy Kamii zapłonęła i Wola Pana Burz spadła na niego jak grom, a strach nie miał już znaczenia.

Skończyły im się strzały, więc w ostatnim ataku runęli na linię pikinierów niczym ciężka jazda, nadziewając piersi koni i swoje ciała na stalowe groty. Wybili krwawą wyrwę, otworzyli przejście dla bardziej wartościowych oddziałów.

Podobno wygrali.

Nie widział zwycięstwa, bo wcześniej spadł z konia, a kopnięcie w głowę wgniotło mu kawałek czaszki do środka.

Z jego oddziału przeżyło trzech chłopców. Z rodzinnego obozu tylko on.

Ojciec przyszedł tylko raz, by zobaczyć go po bitwie. Nie rozpoznał wtedy rodzica, w głowie miał szary szum, a oczy i ręce jakoś nie chciały się

dogadywać.

Nigdy już go nie zobaczył.

Potem miał kłopoty z chodzeniem i mówieniem. Nie był głupi, o nie, po prostu słowa opuszczały go, gdy ich potrzebował. I nigdy już nie strzelał tak dobrze z łuku, jak kiedyś.

Przydzielono go do hiriwi. *Niepełnych. To były oddziały pomocnicze, składające się z kalek i tych, którym w głowach pomieszały czary. Szli do ważniejszych bitew tylko wtedy, gdy trzeba było własnymi ciałami zasypać okop albo przygiąć nimi do ziemi najeżone piki. Odebrali mu imię,* hiriwi *nie nosili imion, tylko numery. Był Stopiętnastym z Ósmego Oddziału. Tyle mógł zapamiętać.*

Doszły do nich wieści o szczepach, które zbuntowały się przeciw Panu Burz i nie chcą oddawać swoich chłopców na wojnę. Ósmy poszedł tłumić bunty z innymi oddziałami. Najeżdżali na obozy, palili jurty, zabijali każdego, kto stawiał opór. Zrezygnowali z tatuowania – mieli teraz żelaza, którymi wypalano znak na skórze. Chwila bólu i Kamii płonie, dosłownie płonie na ciele, a Wola Gallega liże twój umysł.

Nie wszyscy buntownicy dali się wziąć żywcem.

Spotkał ją po bitwie w jednym z obozów, po której jego oddział stopniał do trzydziestu ludzi. Dziewczyna o dotyku delikatnym jak zimowe futro lisa. Wyglądała, jakby spała.

Bardzo chciał zapłakać, ale nie mógł. Po tym kopnięciu w głowę już nigdy nie płakał, a oczy bez przerwy piekły go i zawsze były czerwone.

Poza tym spieszyli się, bo Galleg potrzebował ich gdzie indziej.

Płynął statkiem, a od nieustannego kołysania bez przerwy wymiotował. Na wyspie, do której dotarli, zabijali kobiety i dzieci. Nie wypalali im znaków na skórze, tylko zabijali. Ale w końcu miejscowi zebrali się i stawili im opór, więc musieli walczyć w lasach, na bagnach i wzgórzach, a nie umieli tego robić. Z Ósmego został sam.

Czołgał się po leśnej ściółce, strzała w brzuchu zahaczała o wystające korzenie drzew. Zbliżali się, słyszał ich głosy.

Bardzo chciał przypomnieć sobie, jak nazwała go matka.

Bardzo chciał jeszcze raz poczuć dotyk miękki jak zimowe futro lisa.

Bardzo…

Potok obrazów trwał dwa, trzy uderzenia serca. Altsin nie poznał tej historii, tylko przypomniał ją sobie, stała się jego częścią, tak samo jak

wspomnienia portowych zaułków i pierwszych rzezanych mieszków.

Oum!!! Coś ty mi zrobił!?

Spokojnie. To przejdzie, minie. Będziesz to pamiętał, ale będziesz też wiedział, skąd masz te wspomnienia.

— Ale po co!? — Altsin wywrzeszczał to pytanie, nie spodziewając się, że ktoś je usłyszy. Dengothaag wciąż wibrował za jego plecami, mierząc się z całą potęgą rozwścieczonej bogini. Dźwięk był taki, jakby tysiąc kowali waliło jednocześnie w tysiąc podków. Kanayoness wciąż leżała pod ścianą. Najwyraźniej wyszedł mu solidny kopniak.

Gdy przybyłem na wyspę, gdy się na niej rozbiłem, poznałem historię Imwiliego oraz jego walki. I uznałem tych, którzy przypłynęli, by mordować kobiety i dzieci, za bestie, potwory bez serca, godne jedynie pogardy i nienawiści. A potem znaleziono stosy, na których Imwili kazał palić ciała najeźdźców, a ja, kierowany ciekawością, sięgnąłem do tych szczątków, by poznać swoich przyszłych wrogów. Bo w tym czasie spodziewałem się inwazji na wyspę, przynajmniej do momentu, gdy przyszła ona i przekazała mi wyrok. I wiesz, co odkryłem? Ludzi. Zagubionych, okaleczonych, nieszczęśliwych tak, że nie ma słów, by to opisać. Nie mieli nic, tylko wojnę, nie znali niczego, tylko wojnę, i wierzyli, że nic więcej nie ma…

Oum w głowie złodzieja umilkł. Dengothaag za jego plecami drżał już tylko, wydając niski, buczący dźwięk. Gdzieś na górze, w mieście – Altsin wiedział to z taką pewnością, z jaką pewien był wschodów i zachodów słońca – wyznawcy Miecza przystawali, zdumieni, zmieszani i ogarnięci nagłymi wątpliwościami. Durwony na przedramionach przestały sączyć w ich serca bezwzględność i zdecydowanie. Ktoś zawahał się, widząc po drugiej stronie barykady twarz sąsiada, z którym jeszcze kilka dni temu pił wino, ktoś zamiast cisnąć pochodnię w wybite okno, upuścił ją na bruk.

Uwaga ich pana skupiła się na czymś innym.

Kazałem moim wiedźmom zabezpieczyć szczątki i nosić je przy sobie. By przypominały im i mnie, zwłaszcza mnie, że relacja między opiekunem a podopiecznym to coś innego niż to, co łączy pana i niewolnika.

Bitewna Pięść też musi to dostrzec. Gdy leżałeś u mnie nieprzytomny, wejrzałem w jego duszę. Nie wiedziałem jeszcze, kim jest, ale nie znalazłem tego, co z braku innego określenia nazywamy złem. Podłości, mściwości, głupoty, wynoszenia własnego ego nad dobro innych. Ma w sobie wspomnienia krwawego szaleństwa, lecz ja również je mam. W czasie tamtej

wojny robiłem rzeczy, za które będę musiał zapłacić, jeśli kiedykolwiek wypuszczę pędy pod Pierwszym Drzewem…

— To bez sensu!

Jeśli tak twierdzisz… Może masz rację. Ale on musi wiedzieć, co Nieśmiertelni zrobili z ludźmi. Nie tylko widzieć we wspomnieniach spustoszone ziemie i spalone miasta, stosy trupów i rzędy grobów. Musi wiedzieć, dlaczego jego dzieci odwróciły się od niego. Tak jak od Gallega, Dress, Laal i innych. Niech wie, jaką stratą jest tylko raz w życiu poczuć dotyk miękki jak zimowe futro lisa. A potem już tylko patrzeć, jak wszystko ginie i płonie.

— Po co…

Bo nadszedł czas wyborów. Kres świata, jaki znamy. Bo daleko na północy zaczęła się budzić Ona. Pierwsza i Ostatnia, a czas wkrótce zwinie się w węża i połknie własny ogon. Albo i nie.

Bełkoczesz!, pomyślał ogarnięty nagłą wściekłością. On tu zaraz umrze, a ten drzewny bożek raczy go swoimi wymysłami.

Nie. Nie tym razem, chłopcze. Od stu lat nie byłem tak przytomny i świadomy tego, co mówię. I wierz mi, moje dzieci płacą za to wielką cenę. A ty jesteś głupcem nad głupcami. Przykuty do rodzącego się bóstwa, wiedzący, jak ono powstało, noszący w sobie inny kawałek duszy tego boga, dalej nie potrafisz poskładać tego do kupy. Tobie i jemu groziło Przemieszanie się. To dlatego tatuowano awenderi*, dusza boga mieszkała w tych znakach, sięgając po ciało swojego sługi tylko wtedy, kiedy potrzebowała. To pozwalało spowolnić proces mieszania dusz, choć nie powstrzymywało go do końca. Dlatego niektórzy Nieśmiertelni zmieniali naczynia jak próżna kobieta suknie.*

Altsin poczuł, do czego zmierza ta rozmowa, zobaczył na jej końcu odpowiedź na pytanie, którego nie zadał.

Już w czasach, które nazywacie Wojnami Bogów, starano się, aby ta wiedza została zapomniana, bo wiodła na ścieżkę prowadzącą do Przebudzenia. Nikomu nie zależało na tuzinach nowych ana'bóstw. *Kluczem do Przebudzenia jest zaś ból, umartwienie ciała, sięgnięcie poza granice ludzkich możliwości. Tak robili i robią szamani najprymitywniejszych plemion, rzucając krwawe wyzwania duchom, nakłuwając swoje ciała, okaleczając je, znacząc bliznami. A gdy znajdą się o krok od śmierci, gdy ich dusze szykują się do opuszczenia ciała, otwiera się przed nimi świat duchów, które przy-*

chodzą i dają się spętać, zamknąć w znakach, amuletach i talizmanach – albo rozrywają takiego głupca na strzępy. Tak też postępują kapłani, szukający kontaktu ze swoimi bogami. Modlą się, medytują, poszczą, umartwiają się, wdychają niezdrowe opary bądź piją mikstury, których skład niewiele się różni od trucizn wlewanych królom do kielichów. Niektórzy tracą czwartą część wagi w rytuałach, które trwają czasem wiele dni i mają przybliżyć ich do Królestw Nieśmiertelnych. To łagodniejsza wersja, lecz chodzi o to samo: o otwarcie się na absolut, wyjście jedną nogą z własnego ciała, uchylenie furtki, którą dusza może je opuścić albo którą inne dusze mogą w nie wejść.

Jeśli chodzi o ból, to wtedy każdy z zepsutym zębem mógłby zostać półbogiem. Powinny być ich setki od czasów Wojen.

Głos Ouma w głowie Altsina stwardniał, nabrał ciemnych barw.

Sięgnij do wspomnień, które mu podkradłeś, i powiedz, co takiego istnieje dziś, czego nie było wtedy? Jak zmieniono oblicze świata? Jaką zbrodnię popełniono, jaki gwałt zadano istocie rzeczy, przez co tyle gałęzi odpadło od Drzewa Wieczności, a ich owoce zginęły? Na szczęście nie wszystkie, nie wszystkie…

Altsin poczuł w ustach żywiczny posmak, jakby połknięte „ziarno” próbowało się wydostać. Bóg Seehijczyków kontynuował:

Ten, kto spróbuje Otworzyć się na duchy, musi być wrażliwy na Moc, co bardzo zawęża grono kandydatów. Jego cierpienie musi być… absolutne, sięgające poza granice ludzkiej wytrzymałości, w miejsce, gdzie skamle się o śmierć. A już gdy przygotowywano kandydatów na awenderi, *czasem co trzeci ginął albo popadał w obłęd. Tatuowano im ciała farbami, które były trujące albo piekły jak poparzenie morskiej osy, a przecież chodziło tylko o stworzenie naczynia dla kawałka bożej duszy. Nie liczy się zresztą jedynie cierpienie ciała, ale też umysłu. O rozpacz i brak nadziei. Najlepsi kandydaci na boże naczynia wywodzili się z tych, którzy nie mieli już nic do stracenia. To drugi warunek. Jednak żeby nastąpiło Przebudzenie, by powstała istota będąca zjednoczonym bytem składającym się z setek albo i tysięcy dusz, musi zostać spełniony i trzeci. W pobliżu Budzącego się powinna się znaleźć odpowiednia liczba odpowiednich duchów. Nie pierwszych lepszych, lecz zjednoczonych jakimś wspólnym celem. Kiedyś było o to łatwiej. Dużo łatwiej.*

Oum umilkł, a Altsin miał wrażenie, że bóg odszedł na zawsze. Miecz brzęczał za jego plecami coraz wyższym tonem.

Wielki Kodeks – odezwał się ponownie bożek – *zabrania bawienia się magią duchów. Przywoływania ich, więzienia, używania do tkania zaklęć. Ludzie mają prawo do korzystania tylko z aspektowanych źródeł, które zdołają opanować własnym umysłem. Wszystkie religie zgadzają się z tą polityką Meekhanu. Imperium nie może jednak kontrolować całego świata, a i sami bogowie muszą czasem przymknąć oczy na zwyczaje swoich wiernych. Dla przykładu Laal, która od wielu lat traciła ziemie i ludzi na rzecz Gallega, tolerowała, że jedno z plemion jej wyznawców zamiast wysyłać wszystkich zmarłych do Domu Snu, czci duchy przodków, pozwalając wędrować ze sobą najpotężniejszym z nich niczym stadu półdzikich psów. Tak jak za dawnych, dawnych czasów.*

A teraz doszło do bitwy, i było dziecko, które zapewne kiedyś wyrosłoby na wielką czarownicę, było też cierpienie, nie tylko jej, bo tysiące umierały przez cały dzień, aż duchy, które lubią krew, zaczęły dostawać szału. A ona zaczęła się Otwierać. Dla tych, co umarli, to silniejsze od wszystkiego, ta żądza, by znów mieć ciało, oddychać, czuć deszcz na twarzy i wino szumiące w głowie. A potem…

Potem?

Przerwano Przebudzenie. Ktoś zajął się dziewczynką, zanim duchy weszły w jej ciało, choć dzieliło je od tego kilka chwil. Gdyby tego nie zrobiono… Ten miecz za twoimi plecami pożarł kilkaset, może tysiąc dusz i już ma aspiracje do boskości. Na tamtym polu bitwy było pięćdziesiąt, może sto tysięcy duchów. Nawet jeśli tylko co dziesiąty wszedłby w to dziecko, żywa noga nie pozostałaby w promieniu trzydziestu mil. Widziałeś kiedyś tłum ogarnięty szałem? Taki, który nie da się kontrolować, a pragnie tylko krwi i zniszczenia? Duchy zalałyby jej umysł, pamiętając jedynie cierpienie i ból, a ona…

Przemieszałby się z tysiącami innych.

Tak. Rozpłynęła się. Powstałaby istota pozbawiona własnej świadomości, za to dysponująca niewyobrażalną potęgą. Taką, jaką mieli awenderi *waszych najpotężniejszych Nieśmiertelnych. Ciało dziecka rozpadłoby się w ciągu kilku godzin, lecz ta istota…*

Przetrwałaby?

Najpewniej tak. Trzeba by było potęgi boga, by ją zniszczyć albo opanować. Sama Laal, przerażona tym, co się dzieje, postawiła kopyto na ziemi, gotowa to zgnieść albo pożreć.

Żaba, przyszło mu nagle go głowy. Żaba pożerająca inne żaby, aż nie zostanie nic w sadzawce.

Jeśliby jakimś cudem do tego nie doszło, po wielu miesiącach, może latach, z chaosu duszy dziewczynki wyłoniłaby się nowa osobowość. Być może nawet pamiętałaby siebie, jako wozackie dziecko, lecz byłaby kimś innym. To właśnie przetoczyło się przez świat, Przebudzenie, które przerwano w zarodku. Gdyby go nie przerwano, cały czas słyszelibyśmy wrzask i ryk nowo powstałego bóstwa, a wszystko, od dzikiej Mocy po ziemię pod naszymi stopami, trzęsłoby się i drżało.

Oum przerwał, jakby zmęczył się tym monologiem.

— No i? — Altsin ponaglił go, zniecierpliwiony. — Narodziłby się ten… *ana'bóg*, jak to się ponoć kiedyś działo? Zabiłby wszystkich, albo został zabity i pożarty, co też pewnie niejeden raz się wydarzyło? — Złodziej szarpnął łańcuchy. — Co to ma ze mną wspólnego?!

Bożek Seehijczyków poruszył się w jego umyśle i Altsin poczuł nagle obezwładniające zagubienie i niepewność, które wypełniały ten przedwieczny byt.

Interludium

Miotła, popiół i zamiatanie przestają się liczyć.

Wszyscy w komnacie wstrzymali oddech, gdy issarska kobieta wpadła w krąg wyznaczony przez osmalone cegły i zatrzymała się nagle, jakby otaczające ją powietrze zgęstniało niczym smoła. Ktoś zabawił się czasem, rozciągnął mgnienie oka w całe kwadranse. Najpewniej, by nacieszyć się chwilą. Rzut oka na uśmiech błąkający się po twarzy gospodarza wyjaśnia wszystko.

Czasem zachowuje się jak dzieciak.

Przez dwa albo trzy wypełnione najczystszym zdumieniem uderzenia serca panowała cisza, i nagle mężczyzna w czerwonym pancerzu zrobił krok do przodu i zamachał rękami.

Są momenty, gdy dobrze jest nie znać cudzego języka.

Towarzysząca wojownikowi kobieta otrząsnęła się z szoku i otwiera usta.

— Zdrada — powiedziała cicho, groźnie, a w jej głosie brzmiała zapowiedź fali przemocy i krwi wypełniającej komnatę. — Zdrada i oszustwo. Ona ma spłonąć, ty mała gnido. Ma się zamienić w popiół, by nasz kandydat zasiadł na tronie. Tylko ci, w których płynie Krew Agara, mogą bezkarnie wejść do Oka.

Kitchi od Uśmiechu miała minę równie wstrząśniętą, jak kobieta w szkarłatnej sukni. Jakby nie mogła pojąć tego, co się dzieje.

— Ocalenie jej jest równoznaczne ze sprawieniem cudu — odparła. — A to oznacza złamanie umowy. Pan Ognia okazał się kłamcą i oszustem, a jego…

Gospodarz oderwał wzrok od sceny zastygłej w płomieniach i spojrzał na służkę Pani Losu, ledwo musnął ją spojrzeniem, a szaty kobiety zadymiły i buchnęły ogniem. Jej krzyk trwał dłużej niż sam wybuch żaru, który ledwo osmalił kolorowe szmatki i znikł.

Gospodarz wstał z tronu, wyprostował się na swoje cztery stopy i wykrzywił usta w czymś, co mogło być albo zapowiedzią uśmiechu, albo narodzinami grymasu furii.

— Agar od Ognia nie kłamie i nie oszukuje, nawet jeśli robią to wokół wszyscy inni. Bo choć te ograniczenia potrafią być bolesne, przysięgał. — Dotknął palcami opuchlizny, w której ginęło jego lewe oko, i jednak się uśmiechnął, prezentując szczerbę po wybitym zębie. — Jesteśmy tu, w Komnacie Popiołu, pod Świątynią Ognia w Białym Konoweryn, by zagrać o los tego księstwa. Uczciwie. A ja jestem Samiy ad'Agara, Oko Pana Ognia. Mój Pan woli, by ludzie myśleli, że Oko to ten kawałek spalonej ziemi nad nami, lecz tam znajduje się tylko brama do jego Królestwa. Bo Oko jest po to, by patrzeć i czuwać, a lepiej robić to w tajemnicy. To ja od tysiąca lat pilnuję ciągłości linii krwi. W Białym Konoweryn zawsze jest jakiś kornak, posługacz, książęcy paź, chłopak na posyłki, który kręci się wokół pałacu. Lecz nie oszukuję. Nawet gdy byliśmy na pustyni, tysiąc mil od domu, gdy kończyła nam się woda, a śmierć szczerzyła nad nami swój czerep, nie sięgnąłem po Moc, bo słowo wiązało mnie jak żelazny łańcuch. Nawet wtedy, gdy na prowincji szlachta karała bez umiaru swoich niewolników, pchając ich do buntu, nawet gdy af'gemidzi Rodów Wojny przyjmowali dziwnych gości, którzy zostawiali po sobie kufry pełne złota, a kapłani Świątyni Ognia, JEGO świątyni, spiskowali przeciw uznanemu przez NIEGO księciu. Nawet wtedy zachowałem powściągliwość. Miałbym ochotę ich spalić, lecz On, Agar od Ognia, przyrzekł wam, że nie użyje Mocy, bo w końcu ten drugi, wasz kandydat na księcia, też ma w sobie krew jego *awenderi*.

Kitchi od Uśmiechu otwarła i zamknęła usta, ale nie wydusiła z siebie ani słowa. Jej szaty są poczerniałe i tlą się gdzieniegdzie.

— Moja pani — odezwała się wreszcie — będzie bardzo niezadowolona.

— Twoja pani, która była gotowa utopić tutejsze księstwa we krwi, byleby tylko odwrócić uwagę wszystkich od północy, wije się teraz, szarpie i wrzeszczy w uścisku szczęk głodnego półbożka, którego też zamierzała wykorzystać. Miną miesiące, nim dojdzie do siebie. I lepiej, by nie wchodziła Panu Ognia w najbliższym czasie w drogę. Wiesz dlaczego, prawda? Bo pewien Słowik zaprowadził pewną dziewczynę do niewłaściwej komnaty, przez co Laweneres nie dowiedział się, co dzieje się wśród niewolni-

ków. — Spojrzenie chłopca sprawiło, że Kitchi, już nie pstrokata i roześmiana, skuliła się jak chlaśnięta batem. — Jeśli tam na północy to Ona wydała pierwszy krzyk, mój pan stanie do Niej plecami, osłaniając tarczą płomieni. Tak przyrzekł, a wiesz, że on dotrzymuje słowa.

— Dotrzymuje? Jak dotrzymuje, skoro ta dziwka żyje?! — Kobieta w szkarłatnej sukni wskazała na obraz zastygły w płomieniach, a ponieważ drugą rękę podała wojownikowi, z którym przyszła, nie wiedzieli, czyje to słowa, jego czy jej.

— Ależ przyjaciele… — Uśmiech Samiyego ad'Agara był dokładnie taki, jaki powinien być, protekcjonalny, lekceważący i odrobinę zakłopotany. — „Każdy, kto ma w sobie Krew Agara". A ona ją ma, na razie niewiele, tyle co w małej rybce albo dużej kijance, ale ma. I nie chodzi o tą, którą połknęła, o nie. E'mnekosowi się nie dziwię, ale ty powinnaś się domyślić.

Stojący za jego tronem wojownik w pustynnym stroju zmarszczył brwi, a potem błysnął zębami w uśmiechu.

Gospodarz klasnął w dłonie i płomienie ożyły.

* * *

Deana słyszy odległy grzmot, jak pomruk nadciągającej burzy, czuje drżenie kamiennych płyt, widzi błysk stali pędzącej ku swojej piersi.

Odruchowo odbija i kontruje, wygięta głownia szabli mija ją o ułamek cala, rozpruwając odświętną szatę, Deana robi unik, przepuszczając pędzącego mężczyznę obok siebie, i tnie go szeroko, przez plecy. Tu nie ma miejsca dla honorowej walki. To miejsce kultu i poświęcenia. Tak kiedyś, gdy bogowie byli jeszcze młodzi, zawiązywano z nimi przymierza, przez ból i cierpienie. Nie zawodzącymi modlitwami, tylko ofiarą z ciała i krwi.

Obrar robi jeszcze dwa kroki, odwraca się i wyciąga w jej stronę stalową rurkę wydobytą z rękawa. Szczęka sprężyna, mała strzałka mknie ku Deanie, *talhery* kreślą zawiły, niemożliwy do powtórzenia taniec i pocisk znika gdzieś pod kopulastym sufitem.

To nie jest przeciwnik dla niej, dopada go więc w dwóch skokach, wiąże sztych krótkim młynkiem, a drugą szablą tnie w nadgarstek. To jej sztuczka, to ona nauczyła swoich braci tego ciosu, po którym wróg zazwyczaj wrzeszczy i odskakuje, trzymając się za kikut dłoni.

Tak jak teraz Obrar z Kambehii.

Krew z przedramienia tryska jasnym strumieniem i dymi, gdy pada na czarne kamienie Oka.

Pomruk burzy nasila się.

Deana patrzy na taniec rannego księcia, widzi szok na jego twarzy, niewiarę w spojrzeniu, strach, po czym uznaje, że już dość, więc skacze i w płytkim zwodzie celuje w twarz, a gdy mężczyzna odruchowo unosi ręce w górę, drugą szablą trafia go w pierś.

Przytula się do niego, blisko, podtrzymuje. Pragnienie, by patrzeć na śmierć tego, który omalże nie odebrał jej wszystkiego, jest silne i… jakby nie jej. Ale patrzy. Obrar otwiera usta, kaszle i pluje krwią, oczy uciekają mu w głąb czaszki, nogi się uginają. Trzepocze się na jej szabli, aż w końcu ona, niezdolna dłużej go utrzymać, cofa się i wyrywa ostrze.

Oko eksploduje ogniem i przygasa.

Odszedł kolejny z potomków *awenderi*.

Plac, mury domów, dachy zapadają w otchłań ciszy, jakby nagle nikt nie wiedział, co robić.

Deana też nie wie. Łomotanie, rytm Oka cichnie w niej, a wraz z nim gaśnie *sani*. Czuje się wypalona, pusta i lekka jak wylinka zostawiona na piasku przez węża. Dłonie jej drżą, nogi się trzęsą. Ktoś woła jej imię, wychodzi naprzeciw temu głosowi. Mija granicę Oka, mija żołnierzy, którzy patrzą na nią jak na dziwne zjawisko spoza tego świata, niezdolni do ruchu. Słowiki, Trzciny i Bawoły przemieszane z gwardią Obrara zamieniły się chwilowo w kamienne posągi.

Staje na szczycie schodów.

Słyszy pojedynczy głos, przebijający się dwoma słowami przez szum tysięcy innych, dwoma słowami, które biją w całe miasto.

Agares achi! Agares achi! Agares aaachiiii!!!

Lekcje, których udzielał jej Samiy, powracają. Ognik – *vaschi*, żar – *sanachi*, płomień – *achien*. Mowa Ognia nie wyprze się pokrewieństwa z *suanari*.

Achi – płomień.

Płomień Agara.

Zerka na siebie, ciemnożółta *ta’chaffda* aż do kolan jest schlapana krwią, zacieki rozmazują się na kształt trawiących ją od dołu płomieni.

Szczerzy się uśmiechem, który mógłby przerazić szaleńca.

— *Agares achi!!!* — Dobiega ze wszystkich stron.

* * *

— *Agares achi* — powtarza chłopiec będący Okiem Boga. — Płomień Agara. I zgodnie z umową nie ma w tym wydarzeniu boskiej interwencji, są tylko śmiertelnicy, wiara i płomień trawiący ich dusze. — Unosi głowę i patrzy wyzywająco po wszystkich. — Czy ktoś uważa inaczej?

Dwie rzeczy dzieją się w sali jednocześnie.

Mężczyzna w czerwonym pancerzu puszcza rękę kobiety i sięga po jej laskę. Wyrywa do przodu, laska uderza o posadzkę i pryska na wszystkie strony rdzawym pyłem, uwalniając długie na cztery stopy, lśniące ostrze. Jego sztych mknie ku piersi siedzącego na tronie chłopca, lecz nagle staje mu na drodze huragan bieli.

To ta druga kobieta, cała w bieli, która do tej pory nie odezwała się ani słowem i wydawała się drzemać.

Jej szata opada na ziemię, odsłaniając czarne jak heban ciało, obleczone tylko w przepaskę biodrową i przystrojone w kilka złotych łańcuszków. Imponujący widok, zwłaszcza gdy patrzy się na trzymaną przez nią broń, przypominającą ciężką szablę z rozszerzonym sztychem i rękojeścią dwuręcznego miecza.

Atakujący mężczyzna stęka, gdy próbuje sparować cios zadany z góry, bo teraz wyraźnie widać, że kobieta jest od niego wyższa o głowę. Jej broń przełamuje niezgrabną zastawę i muska maskę przypominającą zasychający strup.

Maska pęka na tysiąc kawałków z odgłosem tłukącego się kryształu, odsłaniając…

Drugą.

Otwory na oczy przesłaniają dwa kawałki czegoś, co wygląda jak wulkaniczne szkło, pionowa szczelina, szeroka na ćwierć cala, zaczyna się pod podbródkiem i kończy tam, gdzie u człowieka jest nos. Ta maska nie jest maską, takie oblicza wyłaniają się z mroków pamięci, choć pamięć próbuje zepchnąć je w kąt przeznaczony dla legend i bajek.

Mężczyzna odskakuje, chwieje się na nogach. Jedną ręką wykonuje skomplikowany młynek bronią, drugą szarpie się za bok. Pancerz spada z niego z suchym szelestem, okazując się niczym więcej, jak kilkoma

kawałkami cienkiej, pokrytej laką skóry. To maskarada, a skoro maski opadły, wojownik zamierza wystąpić we własnej postaci.

Czarnoskóra kobieta pozwala mu na to, przyglądając się spokojnie. Nie boi się, jej piękna twarz z wyraźnie rzeźbionymi kośćmi policzkowymi i pełnymi ustami nie wyraża nic poza podszytą obrzydzeniem ciekawością.

Pancerz jej przeciwnika ukazuje się w całej krasie. Jest biały, a w miejscach, gdzie pracują stawy, przechodzi w kolor starej kości słoniowej. To słabsze punkty i kobieta wpatruje się w nie uważniej.

— Venleggo — mówi cicho czarnoskóra olbrzymka. Słowo pada po raz pierwszy i tylko wojownik z pustyni, stojący obok gospodarza z mieczami w ręku, wydaje się zaskoczony. — To źle, że się wtrącacie.

Biały pancerz milczy, co teraz jest zrozumiałe, bo kobieta, z którą przyszedł, cofnęła się o kilka kroków i nikt nie może być jego ustami. Trzymana przez niego oburącz broń mierzy w pierś ciemnoskórej. Przegrał. Musi wiedzieć, że przegrał, bo tutaj, w komnacie pod świątynią Pana Ognia, tylko niespodziewany atak mógł dać mu szansę na zabicie tego chłopca. Jego towarzyszka stoi obok i patrzy na czarną olbrzymkę hardo, bez strachu.

— Nie udawaj, że jesteś zaskoczona, Demenayo. Wiedziałaś, kim jesteśmy. Odmówiono nam praw, więc bierzemy, co nasze.

Gospodarz wstaje z tronu i mijając swoją obrończynię, wychodzi im naprzeciw.

— Bierzecie? Nie wydaje mi się. Mieliście szansę, ale przegraliście. Uczciwie. A w zamian próbowaliście skrytobójczego zamachu.

Wąska klinga drży, lecz nie zbliża się do Samiyego nawet na włos.

Każdy chce żyć.

— Odejdziesz. Przez pamięć dawnych sojuszy i rozpacz po *kaaf*. Ale nie obowiązują nas już żadne obietnice ani przyrzeczenia. Chcecie wojny, będziecie ją mieli. A jak ona wygląda, patrz.

* * *

Krzyczy plac, mury domów, dachy. Tłum ogarnia religijna ekstaza. Ktoś wyrywa się za kordon żołnierzy, tańczy, kręci się i wiruje, jakiś pawężnik zamierza się włócznią, ale nagle przewraca – pchnięty dłońmi, wieloma dłońmi – a jego towarzysze szarpią się chwilę, po czym zbijają w ochronny krąg, zamykają za ścianą tarcz jak w twierdzy, gdzieś za plecami Deany

wybucha szczęk ostrzy, odwraca się powoli, gdyby ktoś zamierzył się na nią, padłaby od pierwszego ciosu, bo *talhery* ma ciężkie jak kowadła, ledwo może utrzymać je w dłoniach, ale nie, to nie ona jest celem ataku, to żółć, zieleń, brąz i czerwień zwarły się w walce, każdy przeciw każdemu, takie ma wrażenie, choć czerwone tuniki gwardii Obrara padają częściej, a wokół niej wyrasta nagle mur dwóch, trzech szeregów zbrojnych, to Słowiki oddzielają ją od świata, znalazły wreszcie swoją lojalność, swoją chwilę, zerka na twarze młode i stare, odziane w strach, uwielbienie i poczucie winy, i wie, że są jej, nie na zawsze, o nie, ale teraz, w tym momencie, trzyma ich życie w dłoni, choć żaden nawet nie pomyśli, by podejść, podtrzymać, pomóc, a ona zaraz się przewróci…

Zamrugała i poczucie nierzeczywistości i pustki znikło. Znów twardo stała na ziemi, a przed nią plac kłębił się i kotłował. Po alejkach wyznaczonych przez linię pawężników nie został ślad, tłum przelewał się w miejscach, gdzie wcześniej stali żołnierze, otaczał ich w grupkach po kilkunastu, kilkudziesięciu, i parł naprzód.

Było tak ciasno, że Bawoły nie miały szans opuścić włóczni, mogły tylko stać i próbować utrzymać szyk. W kilku miejscach nad tłumem unosiło się to, co zostało z pechowych wojowników, zakrwawione szczątki przekazywane z rąk do rąk, szarpane i podrzucane niczym szmaciane kukły. Odgłosy walki za Deaną przybrały na sile, nie odwróciła się jednak, wynik tego starcia nie miał znaczenia, teraz liczyła się tylko żałośnie mała grupka skupiona wokół leżącego na schodach mężczyzny.

Ruszyła przed siebie, a kordon Słowików szedł za nią.

Laweneres był blady, a na widok tych kilku szwów, które założył mu truciciel, przeciętny krawiec wykłułby sobie oczy z rozpaczy. Zignorowała padających na kolana dworzan, zignorowała proszący gest, który wykonała Varala. Przyklękła i dotknęła czoła rannego. Chłodne jak kamienne stopnie, na których leżał.

— Zabierzmy go do pałacu — powiedziała. — Tam, gdzie jego miejsce.

— A to — Suchi wskazał na plac. — Zostawisz to tak? Jedno twoje słowo…

Spojrzała na niego. Nawet gdyby stała przed nim odziana w najprawdziwszy boski ogień, i tak odzywałby się do niej jak do zwykłej dziewczyny. Tacy jak on to skarb.

— Niech się wypali.

— Co?
— Wszystko, co się tu zebrało. A my chodźmy.
Tłum rozstępował się przed nią jak fala przed dziobem łodzi.
A ona zaprowadziła swojego księcia do pałacu.

* * *

Miotła. Popiół. Zamiatanie.
Jest cicho i pusto, a szare płatki spadają coraz gęściej i gęściej.
Sługa wie, co to oznacza. Bóg jest zasmucony i zaniepokojony.
Idą dni popiołu.

Rozdział 24

Miecz brzęczy i wibruje, aż w końcu obręcze łańcuchów trzymające nadgarstki złodzieja zdają się parzyć. Głos Ouma cichnie, oddala się, jakby plemienny bożek wyczerpał wszystkie siły. Nieważne.

Powiedział dość.

Choćby to, że on, Altsin Awendeh, się nie liczy. Jest tylko butem, w który trafiła stopa boga. Butem na tyle bezczelnym, że ośmielił się zgubić. Ale też butem całkowicie zbędnym, teraz, gdy w pobliżu czeka inny. Uległy i gotów, by się podporządkować.

Tak było zawsze. Ludzie to tylko pył pod ich stopami, wierni, którzy mają swoimi modłami, wiarą i skupieniem tkać Moc dla Nieśmiertelnych; mięso, dobre jedynie do Obejmowania i narzucania woli. Naczynie.

I nic tego nie zmieni.

Policzek, którym poczęstowała go ta dziwka, piekł bardziej niż lanie, jakie dostał od hrabiego. Bo był taki… lekceważąco-protekcjonalny. Jakby dawała pstryczka w nos nieposłusznemu pieskowi, który trochę narozrabiał.

Zacisnął zęby.

Ból? Cierpienie? Otworzyć się na duchy? A może na jednego ducha, co? Tego, który jest tak blisko, że bliżej nie można. Objęcie? Przemieszanie? Wszystko jedno. Byle nie być zabawką w tej grze. Słyszysz, Oum? Nie będę zabawką w waszych gierkach! Mam zdechnąć, to zdechnę, mam się Przemieszać z szalonym bożkiem, to się Otworzę na niego i Przemieszam. Ale nikt nie będzie mnie traktował jak pionka albo niedopasowany but.

Słyszysz? To moja wola! Moja decyzja!

Stojąc plecami do miecza, kopie nogą w tył i czuje, jak ostrze rozcina mu mięśnie. I jeszcze raz, i jeszcze. Krzyczy, bo klinga jest ostra jak cholera, tnie głęboko i ból wybucha w nim niczym wulkan. Tu nie chodzi tylko o ranę ciała, to ostrze harata duszę. Rany zadane przez hrabiego odzywają się wszystkie naraz, jakby tamte ciosy spadły na niego w tej dopiero chwili, jego krzyk przechodzi w wycie.

Kopie drugą nogą, bardziej wisząc, niż wspierając się na tej poranionej.

Ból jest…

Dziwny. Odrętwiający.

To krew, dociera do niego, krew musi z niego tryskać jak z zarzynanego barana i dlatego wszystko robi się tak odległe.

Zaraz umrze.

Naprawdę, chłopcze? – głos Ouma brzmi, jakby bożek mówił do niego zza grubej ściany. – Naprawdę chcesz umrzeć albo Przemieszać się z Bitewną Pięścią, nie wiedząc, o co chodzi? Czemu jakaś bitwa na północy wstrząsnęła całym światem? Dlaczego dziewczynka, która prawie Otworzyła się na tysiące duchów, wzbudziła takie zainteresowanie Pani Losu, że ta postanowiła podpalić dwa wielkie miasta, by odwrócić uwagę od tego dziecka?

Odwal się… umieram…

Nie, nie umierasz. Twój gość nie pozwoli ci umrzeć. Nie wiem dlaczego, ale chyba niepokoi go perspektywa skorzystania z Naczynia, które przygotowała Kanayoness. Hrabia najwyraźniej nie znalazł uznania w jego oczach, a ty, co budzi moje zdumienie, tak. On patrzy i słucha.

Dengothaag zwarł się w walce z Panią Losu. Bogini spycha Miecz krok po kroku w tył, bo jej potęga jest nieporównywalnie większa, lecz nawet najliczniejsza armia ugrzęźnie, jeśli będzie musiała szturmować wąską bramę. Dusza służki już nie istnieje, rozpadła się w trakcie starcia bóstw, lecz ciało Ogewry stało się właśnie taką furtką, przez którą Moc Eyfry wlewa się do komnaty.

Bo bogini chce zemsty.

Nie na Mieczu, o nie. Dziewczyna zwana Kanayoness leży pod ścianą, upadając, musiała uderzyć się w głowę, trudno ocenić, czy to wynik ciosu złodzieja, czy zwykły pech. Pani Losu chce Małej Kany, dlatego powoli przelewa swoją Moc do tej komnaty, a gdy będzie jej dość, zostaną tu tylko spopielone ściany. Kimkolwiek jest ta dziewczyna, musiał mocno nadepnąć jej na odcisk.

Altsin wie te wszystkie rzeczy, widzi Moc wciekającą do środka, mimo iż byt mieszkający w mieczu rozpaczliwie stara się ją powstrzymać. I widzi ten byt, czarny kleks tkwiący wewnątrz ostrza, dziki i wrzeszczący. Przypomina trochę worek walczących ze sobą kotów, wszelkie pozory inteligencji i rozumu, które utrzymywał przez ostatnie miesiące, znikły. Konglomerat

dusz pożartych przez miecz jest czystym obłędem i przerażeniem, usiłującym ze wszystkich sił powstrzymać napierającą na niego falę.

Oum odzywa się nagle ochrypłym szeptem.

Miecz długo nie wytrzyma. Eyfra zwycięży i zniszczy tu wszystko do gołego kamienia. Słuchaj… jeśli to ona… jeśli to właśnie ona miała… ma się narodzić, musisz jej pomóc. Obaj musicie. Ja… ja nie chcę znów patrzeć, jak nicość pożera wszystkie przeszłe dni, jak coś wymazuje nam z pamięci każdą chwilę. Nie chcę być rozbitkiem, który uczepiony czubka masztu, patrzy, jak czarny ogień trawi drewno od dołu. Pokochałem tę gałązkę i moje dzieci…

Głos boga Seehijczyków ścichł do ledwo słyszalnego szeptu.

Gromadzimy Jej słowa. Ja też je gromadzę. Staramy się je zapamiętać. Zapamiętać wszystkie słowa, jakie powiedziała. Pamięć tych słów wskazywała nam drogę. Pewnego razu nazwała Maychę swoją rodzicielką. O Reagwyrze wspomniała jak o ojcu… Rozumiesz? Pani Wojny i Pan Bitew. Czy to znaczy, że narodziła się na zakrwawionym pobojowisku? Powiedziała, że najczystsza dusza była jej sercem… czy chodziło o dziecko? Wszyscy wiedzieliśmy, że musi pochodzić z dni przyszłych. Nie było innego miejsca, z którego mogłaby przyjść. Rozumiesz?

Altsin zwisa bezwładnie, poranione nogi odmawiają posłuszeństwa; stawy barkowe pulsują, choć ból jest odległy i nieważny, głowa mu opada. Widzi szare i czerwone pasma kłębiące się wokół jego stóp.

Pole widzenia zawęża się do małego punktu, jakby patrzył przez dziurkę od klucza.

Umiera.

A ten stary bożek zadręcza go swoim bełkotem.

— Kto! — wrzeszczy. — O kim ty mówisz?

Głowę wypełnia mu pełen zdumienia szept.

To ty nie wiesz? Nie domyśliłeś się? Nie… naprawdę nie. Sięgnij do wspomnień Bitewnej Pięści i powiedz, kogo brakowało w czasie wojen, które nazwaliście Wojnami Bogów albo Wojnami z Niechcianymi. Niechcianymi… dobre słowo, nie chcieliście nas, choć nasze prawa były nie gorsze od waszych… nie… to historia na później… Kogo nie było?! – głos bożka odzywa się nagle rykiem oburzonego oceanu. *– Kto jest nieobecny w jego wspomnieniach, co?! Kogo Bitewna Pięść nie pamięta?!*

Coś porusza się wewnątrz niego, napiera na brzuch, serce, płuca, rozrywa go od środka. Złodziej patrzy na siebie, zapada się w głąb i unosi jednocześnie. Jest ciemno, całkiem ciemno, a pośrodku tej ciemności migocze biały punkt. Altsin pędzi ku niemu, a punkt rośnie w postać siedzącego w kucki mężczyzny, którego twarz… Zna tę twarz… to twarz jego brata… bliźniaka, który umarł, bo był… butem, który się zużył.

To jego własna twarz, ciemne oczy, czarne włosy, blada skóra. Ma dwadzieścia, trzydzieści, sto lat, patrzy, jak płoną miasta i wioski, widzi rzeki niosące tyle trupów, że da się suchą stopą przejść na drugi brzeg. Kocha, nienawidzi, wypala sobie duszę w proch i snuje się po świecie, niszcząc wszystko, co znajduje się w zasięgu wzroku. Płacze nad tym, co zrobił, i nad tym, czego nie zrobił. Tęskni za dotykiem miękkim jak zimowe futro lisa. Za pocałunkiem ciepłych warg. Za…

Złodziej patrzy na niego. Znają się. Ich dusze zajmują to ciało od lat, więc wymieniają myśli i emocje bez żadnego problemu. Wie, że tamten wchłonął wspomnienia, którymi obdarował ich bożek Seehijczyków, i że coś w nim się zapadło. Łatwo jest nienawidzić nieznanego wroga. Wejrzyj mu w duszę, a ręka trzymająca nóż zadrży.

Kogo nie pamiętasz? – pyta bezpośrednio mężczyzny. – *Kogo wtedy nie było?*

Tamten patrzy na niego udręczonym wzrokiem, w którym znużenie miesza się z bólem i ponurą determinacją. Złodziej uśmiecha się, akurat determinacja jest mu znana, to ona miotała nim po świecie przez ostatnie lata. Zaprawdę, mają ze sobą coś wspólnego, fragment duszy boga i portowy rzezimieszek.

A potem Bitewna Pięść składa dłonie niczym do modlitwy i zrozumienie jest jak błyskawica trafiająca Altsina prosto w głowę. Złodziej czuje, że wszystko wokół rozpada się na kawałki i – choć, na litość Matki, tysiąckroć przysięgał, że więcej tego nie zrobi – rzuca się we wspomnienia, które dzielił z tym szalonym sukinsynem.

Szuka.

Nie ma jej.

Baelta’Mathran.

Nie było Jej.

Rozumiesz? – Oum też wdziera się w jego myśli. – *Nie było Jej! Przez prawie całe Wojny Bogów, przez ponad sto lat nie było po Niej nawet śladu!*

A przecież Baelta'Mathran ma być Przedwieczną, ma być Pierwszą i Ostatnią. Pramatką Bogów i Tą, Która Wszystko Stworzyła.

Altsin próbuje wypchnąć ten głos z głowy, uporządkować myśli, ale seehijski bożek nie daje mu szansy.

Ona pojawiła się pod sam koniec, gdy Bitewna Pięść był już całkowitym szaleńcem. Wyczuliśmy Ją, jak rozbitek uczepiony deski wyczuwa przepływającego pod nim wieloryba. Wszystko się poruszyło. Wszystko zadrżało. A gdy przyszła, zaczęła porządki. Bez trudu przygięła do ziemi harde karki. Maycha, Laal, Galleg, Agar, wszyscy najpotężniejsi bogowie przychodzili do Niej w pełni swych Mocy, i odchodzili, upokorzeni i przerażeni. My… Nieśmiertelna Flota… jednym ruchem odarła nasze okręty z barier ochronnych i rozpaliła nad każdym małe słońce. Tylko dla ostrzeżenia. I kazała odpłynąć. Jej Moc była… nieobjęta rozumem.

Oum zawahał się.

Widziałem Ją później… rozmawiałem… Przyszła do mnie w rok po katastrofie. Moje bariery… gdybym wzniósł je z bibuły, miałyby więcej sensu… stanęła przede mną… nie pytaj, jak wyglądała, Jej twarz zmieniała się płynnie, od dziewczynki po staruszkę, nieważne. Spodziewałem się śmierci w ogniu, w końcu byłem okrętem Nieśmiertelnej i nie wykonałem polecenia. Ale powiedziała, że dała miejscowym bogom wybór, a oni głosowali, czy mnie zniszczyć, czy nie. Wygrałem życie jednym głosem.

Altsin milczy. Nie czuje już kajdan na nadgarstkach ani bólu poranionych nóg. W ogóle nie czuje swojego ciała. A Oum szepcze.

Skąd pochodziła? Najbardziej oczywiste wyjaśnienie, że jest jedną z Niechcianych, z kolejnej fali, która tu dotarła, upadło po tym, jak tutejsi bogowie uznali Jej zwierzchnictwo. Wielka Matka pochodziła z tej gałęzi. Jej Moce były zakorzenione w tym świecie. Więc skąd przyszła? I skąd miała taką Moc, skoro bogowie czerpią siły od wiernych, a na całym świecie nie było dość ludzi, by mogła mieć tylu wyznawców? Gdzie były Jej dzieci?

Oum wydaje się czekać na odpowiedź.

Ech, chłopcze, odpowiedź masz przed oczyma w każdym mieście i wiosce Imperium. I nie tylko Imperium. Pomyśl o tym, miliony wyznawców, dziesiątki tysięcy kapłanów, świątynie, kapliczki, znaki noszone przez wiernych. Ona przyszła z dni, które miały dopiero nadejść. Narodziła się tysiące lat po tej krwawej rzezi zwanej Wojnami Bogów, a potem sięgnęła w przeszłość i zrobiła tam porządek. I wiesz co jeszcze? Wymusiła ocalenie jednego

z plemion należących do oszalałej części Reagwyra – w szepcie Ouma zabrzmiał niekłamany podziw. – *Słyszysz mnie, Bitewna Pięści? Ocaliła twoje zdradzieckie dzieci, te, które ośmieliły się wyciągnąć na ciebie broń. Zamiast zgodnie z prawem wojny wybić zdrajców do nogi, pozwolono im żyć, bo Baelta'Mathran zagrała o nich z samą Panią Losu. Rzut kością przesądził. Kazano im osiedlić się na pustyni, w najbardziej niegościnnym rejonie świata, ale przetrwali i ponieśli w przyszłość opowieść o Wielkiej Matce. Ocalając ich, zasiała ziarno wiary, ideę własnego istnienia. Powstała religia opiewająca boginię, zanim ta się narodziła. Rozumiesz? Jej teraz, w tej chwili, nie ma, wasze modły do Wielkiej Matki trafiają w pustkę… pojmujesz to? To najpiękniejszy żart we Wszechrzeczy, ale potwierdzający to, co wszyscy wiemy: bóg bez religii jest niczym, ale religia bez boga… o, religia bez boga poradzi sobie świetnie.*

Słuchają go obaj, Altsin i Bitewna Pięść. Złodziej czuje zdumienie, ale i nagły spokój, jaki ogarnął kawałek duszy boga. Patrzy na niego, prawie jednocześnie kiwają sobie głowami.

Oum zdaje się tego nie zauważać. Mówi jak najęty.

Ana'bóg, *który zaczął się rodzić na Wyżynie Lytherańskiej, w samym środku bitwy, pamiętasz? Dziewczynka, co by się zgadzało, bo niemal zawsze płeć pozostaje niezmieniona, narodzona na polu walki… Wasza Wielka Matka nie była zbyt rozmowna, ale raz powiedziała, że ognisty miecz pasował ją na władczynię… A za rok ma pojawić się kometa… Rozumiesz? W tej chwili Jej królestwo jest puste, nikt nie siedzi na tronie. Być może, a wielu w to wierzy… ja też, Ona właśnie teraz zaczyna się rodzić. A jeśli się nie narodzi? Tak naprawdę przegrywaliście tamtą wojnę. Gdyby nie przyszła, nic by nie zostało z tego świata. A wtedy zobaczycie, jak to jest zapominać to, co się nie wydarzyło, poczujecie bestię, która zacznie pożerać was od stóp…*

Są siły, które tego pragną.

Altsin przestaje słuchać plemiennego bożka, w oczach Bitewnej Pięści widzi zdecydowanie i zachętę. Półbóg podjął decyzję i jest gotów zapłacić adekwatną cenę. Potrzebują się, więc niech tak będzie.

Złodziej Otwiera się na niego, na tę przeogromną, potężną Moc, której rozmiarów nawet się nie domyślał. Wchłania ją i spala się.

Po raz pierwszy od początku dziejów człowiek Obejmuje boga.

Załatwmy to, myśli w ostatniej chwili.

* * *

Miecz pęka. Nie ma szans w starciu z tym, co zerwało właśnie jego łańcuchy, bo sam był kiedyś maleńkim fragmentem całości, której mężczyzna przed nim jest znacznie większą częścią. Odgłos jest taki, jakby trzasnął szklany firmament, a deszcz odłamków zabrzęczał o ziemię.

Mężczyzna staje, jednym ruchem strząsa z siebie okowy i patrzy, jak czarna klinga rozpada się w pył. Moc Pani Losu wlewa się do komnaty szeroką falą. Zatrzymuje ją jednym ruchem; to inna skala, on nie jest *ana'bogiem*, półświadomym bytem, który trochę się zagalopował, jest sobą. Moc kipi w nim i wokół niego, ponieważ w mieście nad nimi dwadzieścia tysięcy wyznawców nosi jego znak na ciałach. Sięga po Durwony, tym razem lekko, nie ma potrzeby wypalać ich ze skóry, zwija Moc w pięść i bezceremonialnie wali w ciało Ogewry. Krzyk po drugiej stronie jest dziki. Pani Losu cofa się i wrzeszczy z wściekłości. Traci kontakt z lochem.

Mężczyzna patrzy w górę. Wyznawcy Pana Bitew w całym mieście czują nagłą pustkę w sercach, gaśnie ich zapał, opadają dłonie trzymające broń. Ich dusze wypełnia smutek i żal. Walki będą trwały, ale bez wcześniejszej zajadłości, a rzeź będzie miała mniejsze rozmiary.

Mężczyzna wie, że zbliża się świt, rankiem Rada Miasta wyśle na ulice wszystkich strażników, jakich ma, wspomoże ich załogami statków, składającymi się w większości z wyznawców Bliźniąt Mórz. Teraz, gdy zabrakło woli pchającej do walki, Ponkee-Laa nie utonie w morzu krwi, bo tutejsi mieszkańcy są zbyt pragmatyczni i rozsądni.

Przynajmniej na razie.

Słyszy szelest i wie, że dziewczyna zwana Kanayoness stoi za jego plecami. Ona też od razu zdaje sobie sprawę, co się stało.

— Nie mam już u ciebie długu — mówi cicho. — Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Człowiek Obejmujący boga wie o tym. To nie jej wina. I wie teraz o wiele więcej.

— Odejdź — mówi cicho. — Będą cię ścigać, córko.

— Ciebie też.

— Ale ja jestem dobry w ukrywaniu się. Przecież wiesz.

Dziewczyna uśmiecha się.

— Tyle planów… moich, Eyfry, Agara, tego, co żyło w mieczu, tyle potęg, i wszystko rozbija się o was. Śmiertelników. Zakochana kobieta i wściekły na wszystko miejski szczur. Pionki stały się figurami, a my nawet tego nie zauważyliśmy. — Jej twarz kurczy się nagle i brzydko. — Ale ostrzegam, jeśli wejdziesz mi w drogę, będziemy walczyć. Ja Ją znajdę i zabiję.

Płacze. I znika w cieniach.

Mężczyzna wychodzi z lochu, u szczytu schodów spotyka kobietę spowitą w smugi szkarłatnej Mocy.

— Mój pan, Oum, ma dla ciebie propozycję — mówi Aonel. — Możesz zostać na kontynencie albo wrócić ze mną na Amonerię. Na jakiś czas. Musisz też wybrać sobie imię. Jak najszybciej. Oum powiedział, że po Przemieszaniu imię staje się punktem równowagi.

Mężczyzna kiwa głową.

— Dobrze. Odpłyniemy pierwszym statkiem. Porozmawiam sobie z tym twoim bogiem — mówi, a potem uśmiecha się, dokładnie tak, jak widziała to już wiele razy. — I mam już imię. Możesz mi mówić Altsin.

Gdy wychodzą ze świątyni, nikt na nich nie patrzy.

Epilog

Zawieja skończyła się przed dwoma dniami, lecz po niej przyszedł śnieg i białe płatki sypały się z nieba przez wiele godzin. Świeży puch zalegał wszędzie w zaspach sięgających na wysokość dwóch stóp. Obóz znikł, wtopił się w krajobraz; obcy, nieświadomy obecności Straży, mógłby go nie zauważyć, przechodząc w odległości kilku kroków.

Obóz. To była stanowczo zbyt nobilitująca nazwa dla kilku jam wygrzebanych w ubitym śniegu, który na tej przełęczy zalegał na głębokość wielu łokci. Nie rozkładali namiotów, ostrzeżeni wyglądem okolicy; gładkie skalne ściany wznosiły się na pół mili, zlodowaciały śnieg pomiędzy nimi wyglądał jak wylizany. Nazwa, jaką miejscowi nadali przełęczy, Świstawka Dress, też nie wzięła się znikąd. No ale jeśli los albo rozkaz dowództwa pośle człowieka na jedyną drogę prowadzącą za Wielki Grzbiet, na daleką Północ, ziemie mroźnych pustkowi i smaganego wiecznymi wichrami oceanu, na którym góry lodowe i płaty kry tańczą ze sobą od tysiącleci, czyli tam, gdzie zaczynało się prawdziwe królestwo Anday'yi, to powinien się spodziewać, że w tym miejscu może być zimno i wietrznie.

Wygrzebali jamy na aherską modłę, kopiąc doły przykryte od góry półokrągłym dachem ze śnieżnych bloków, a gdy Dress zachciało się świsnąć, siedzieli w nich, pilnując na zmianę, by tumany niesionego z północy śniegu nie zasypały wejść.

To była trzecia, najdłuższa, trwająca prawie cztery dni wichura, którą musieli tu przetrwać. Po wszystkim, tak jak i wcześniej po podobnych zadymkach, niebo się przejaśniło, a temperatura gwałtownie spadała. Najlepszym sposobem ustalenia, jak bardzo, była obserwacja, w jakim tempie broda i wąsy pokrywają się szronem. Jeśli człowiek po przejściu dwudziestu kroków wyglądał niczym posiwiały dziad, było naprawdę zimno. Ale w gruncie rzeczy ten mróz ich cieszył. Oznaczał, że przez najbliższe cztery albo pięć dni nie będzie kolejnej śnieżycy.

Siedzieli na przełęczy od miesiąca, zgodnie z rozkazem obserwując drugą stronę Wielkiego Grzbietu. Kenneth początkowo uważał ten rozkaz za absurd, idiotyczny wymysł armijnej biurokracji, w której jakiś chędożony w zad oficerek, chcąc się popisać przed przełożonymi, postanowił, że Strażnicy zajmą się też kontrolą tego przejścia.

Jakby ktokolwiek mógł korzystać z przełęczy leżącej, jak podawały imperialne mapy, prawie trzy mile nad poziomem morza, zamkniętej z boków ośmiomilowymi szczytami i prowadzącej donikąd. Ale rozkaz to rozkaz. Mieli rozbić tu obóz i sprawdzać, czy nic nie próbuje się tędy przedostać.

Dziś polecenie sztabu nie wydawało się już tak idiotyczne.

Porucznik ruszył na obchód okolicy w towarzystwie Velergorfa.

— Co po drugiej stronie?

— Bez zmian. Taka wichura to dla nich nie nowina. Poza tym, panie poruczniku, sądzę, że tylko my jesteśmy tak głupi, żeby siedzieć na środku świstawki i brać na siebie całą jej moc.

— A ludzie?

Wytatuowany dziesiętnik spojrzał na niego z ukosa.

— Pyta pan o tych dwóch z Trzeciej, co się dwa dni temu wzięli za łby, czy o Wilka, który omal nie zastrzelił Blanda?

To była nowa wiadomość.

— O co im poszło?

— Nie wiem, nie chcą powiedzieć. Wie pan, jak to jest, siedzisz w norze parę dni i nocy i w pewnym momencie chcesz zabić najlepszego kompana, bo trąci cię przypadkowo łokciem.

— Nieraz siedzieliśmy w norach dłużej.

— Ale nie w takim miejscu. Tu jest wysoko, źle się oddycha, ciężko myśli, a jak przyjdzie wichura, to na zewnątrz nic, tylko ciemność i wycie, jakby świat się skończył. Zazwyczaj na patrolach więcej się dzieje.

— Więc? Twierdzisz, że chłopcy się nudzą?

Podoficer skinął głową.

— Nudzą. I są poirytowani. Potrzebują jakiegoś zajęcia albo sami je sobie znajdą.

No tak. Stare wojskowe powiedzenie twierdziło, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż żołnierze, którzy sami próbują wypełnić sobie wolny czas.

Zeszli nieco niżej, w miejsce, gdzie nad wąską, prowadzącą w dół ścieżką wznosiła się wysoka na pięćdziesiąt łokci skalna ściana, i stanęli oko w oko z Patykiem. Młody żołnierz otworzył na ich widok usta i przełknął ślinę.

Zasalutował, co wyglądało dość dziwnie, bo lewą ręką trzymał swoją ciężką tarczę nad głową.

— Patyk?

— Tak jest, panie poruczniku!

— Co ty robisz?

— Eeee… nic, panie poruczniku. Ale nie stałbym w tamtym miejscu, panie poruczniku.

— Bo?

Z góry dobiegło coś jakby sapnięcie.

— Proszę do mnie, panie poruczniku. Szybko. Obaj.

Stanęli przy Strażniku, kryjąc się pod jego tarczą, i w tej samej chwili z góry sypnęły się drobinki lodu. Żółte perełki, odbijając się od skalnej ściany, padały na śnieg, garść zabębniła o tarczę. Kenneth zapatrzył się na to niezwykłe zjawisko.

— Żółty grad?

Velergorf też wyglądał na zaskoczonego.

— Nie mam pojęcia, co to. — Podrapał się po wytatuowanym policzku — ale na pewno jest jakieś mądre wyjaśnienie, panie poruczniku.

Z góry dobiegło pytanie:

— No i co, Patyk?

Żołnierz spojrzał na dowódców z przepraszającą miną, opuścił tarczę i zaryczał:

— Fenlo wygrał!

— Ha! Miałem rację! Jest tak zimno, że szczyny zamarzają w powietrzu. Jesteś mi winien…

Nie dosłyszeli, co mówił dalej, ale nie musieli. Kenneth spojrzał na Velergorfa i milczał.

— Masz rację — mruknął wreszcie. — Nudzą się. Od jutra dwumilowe marsze na południe i z powrotem. W pełnym rynsztunku. Dziesiątkami. A dzisiaj wieczorem zrobię niespodziewany przegląd ekwipunku i broni. Uprzedź wszystkich.

* * *

Jak powiadał jeden z jego byłych dowódców, plany robimy tylko po to, żebyśmy potem wiedzieli, co właściwie się nie udało. Gdy wrócili do obozu, do Kennetha swobodnym krokiem, ukrywając ziewanie, podszedł Wilk. Zasalutował niedbale i wskazując na północną stronę przełęczy, złożył raport. Porucznik wysłuchał go, poklepał po plecach, uśmiechnął się szeroko i znikł w jednej z wygrzebanych w śniegu nor.

Strażnik odwrócił się i ruszył przez obóz, leniwie pozdrawiając resztę żołnierzy. Minął Fenlo Nura, zajętego przeliczaniem leżących na kawałku skóry monet, pozdrowił Patyka, zawzięcie szorującego śniegiem swoją tarczę, machnął dłonią kilku żołnierzom, ubijającym właśnie sypki puch i rozkładającym na nim namiotowe płachty, na których lądowały części wojskowego oporządzenia. Ludzie wchodzili i wychodzili z nor, krzątali się, fruwały tumany śniegu, kilka psów hasało wokół, poszczekując radośnie. Im też siedzenie w jamach dawało w kość.

Sielanka.

Gdy słońce wzniosło się wystarczająco wysoko, by zajrzeć na przełęcz, porucznik wyszedł ze śniegowej nory ubrany tylko w spodnie i skórzane buty. Uniósł dłoń pod światło, uśmiechnął się i powoli, nie wykonując gwałtowniejszych ruchów, usiadł na rzuconej na śnieg skórze, wystawiając twarz i pierś do słońca.

Spokój i odpoczynek.

W ciszę wdarł się nagle odgłos biegnących psów, sapanie, poskrzypywanie uprzęży i świst płóz trących o śnieg. Pół tuzina sań wdarło się do obozu, rozbijając płytkie zaspy i sypiąc wokół bielą. Kilku żołnierzy ledwo uniknęło stratowania, leżące na skórach rzeczy znikły, ktoś klął soczyście i barwnie, mieszając słowa wessyrskie i meekhańskie.

Sanie zatrzymały się, ciągnące je psy przywarły do ziemi, szczerząc kły i powarkując gniewnie. Z każdego pojazdu zeskoczyło dwóch ludzi, wszyscy z bronią w ręku, lecz zanim Strażnicy zdążyli sięgnąć po własną, jeden z przybyłych odrzucił na plecy ciężki kaptur, ukazując czarne włosy oraz takąż gęstą brodę, i ryknął:

— Wywiad Wewnętrzny! Olag-hes-Brend, Szczur trzeciej klasy. Kto tu dowodzi?

Kenneth uśmiechnął się szeroko, bo mężczyzna cały czas patrzył na niego.

— Ja. Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt. Szósta Kompania Szóstego Pułku Górskiej Straży.

Podniósł się powoli. Przy tym mrozie wykonywanie jakichkolwiek gwałtowniejszych ruchów było proszeniem się o odmrożenie, a Anday'ya zawsze chętnie wysłuchiwała takich próśb.

— Wiem, jak się nazywasz, opisano mi twój wygląd, poruczniku. — Na brodatej twarzy zagościło na chwilę coś w rodzaju niesmaku. — Szukam słynnych Czerwonych Szóstek, które zabijają bandytów całymi setkami i w imieniu Imperium prowadzą armię barbarzyńców przeciw samemu Ojcu Wojny. To podobno wy. Dziwię się tylko, że wjechałem do tego obozu jak do kurnika. To ma być Górska Straż, która śpi pod śniegiem, żre kamienie i szczy lodem? Ja…

Zamilkł, z wyraźną konsternacją obserwując krąg uśmiechów, które wykwitły na brodatych, wąsatych i wytatuowanych gębach żołnierzy.

— Co was tak, do cholery, śmieszy?

Kenneth powoli pokręcił głową.

— Za dużo by mówić. Co cię tu sprowadza? Straż nie wykonuje poleceń Szczurzej Nory. Jeżeli jesteś Szczurem. Trzeciej klasy na dodatek. Bo słyszałem, że od Szczurów wymaga się myślenia. I tak między nami mówiąc, jeśli któryś z twoich ludzi wykona gwałtowniejszy ruch, będzie martwy.

— Co?

Czarnobrody zamrugał i rozejrzał się po raz pierwszy. Żołnierze stali wokół sań w luźnych grupkach. Na ich twarzach nie gościło nic poza spokojnym zainteresowaniem. Żaden nie trzymał broni w ręku.

— Lepiej go posłuchaj, Olag. — Jeden z przybyłych zdjął z twarzy oszronioną chustę i powoli zsunął kaptur na plecy. Kennetha nawet nie zdziwiło, że okazał się krótko ostrzyżoną blondynką. — Swędzi mnie między łopatkami jak jasna cholera.

— Ilu ludzi ma liczyć moja kompania? — Porucznik przestał się uśmiechać. — A ilu widzisz? Dwudziestu? Prawdę powiedziawszy, sam nie wiem, gdzie jest reszta. Wilk?

Śnieżna zaspa po lewej stronie kręgu sań zatrzęsła się i rozsypała. Czterech żołnierzy wyłoniło się spod śniegu, bełty położone w rowkach kusz błysnęły zimno.

— Znaleźliśmy ich ślady dziś o świcie, panie poruczniku. Musieli przeczekać wichurę parę mil stąd, poniżej siodła przełęczy, pewnie w tych jaskiniach, które minęliśmy. Tuzin ludzi, sześć sań, psy. Dwie godziny temu ruszyli w górę, starając się poruszać cicho. Godzinę temu zatrzymali za zakrętem, jakieś czterysta jardów od nas, i naradzali. I chyba wtedy wpadli na ten głupi pomysł. Gdyby rzeczywiście udało im się nas zaskoczyć, pewnie byłaby tu niezła jatka.

— Tak. — Kenneth cmoknął, jakby lekko zniecierpliwiony. — Jak już wspomniałem, lepiej, żebyście nie wykonywali żadnych gwałtownych ruchów, przynajmniej dopóki nie potwierdzę, kim jesteście. Jeśli będę miał jakiekolwiek wątpliwości…

Nie dokończył, bo kolejny stojący kilka kroków za brodaczem obcy zrzucił kaptur i odsłonił twarz. Szopa jasnych włosów rozsypała się w nieładzie, a wielkie błękitne oczy wlepiły się w Strażnika z niespotykaną intensywnością.

— To chyba nie będzie konieczne, poruczniku. To ja prosiłam, żeby się z wami spotkać. Ładna blizna.

Kenneth nagle poczuł się cholernie zakłopotany tym, że stoi półnagi przed tą dziewczyną. Blizna, o której mówiła, ciągnęła się od środka lewego obojczyka po sam mostek.

— Hrabianka Laiwa-son-Baren — mruknął, usiłując pokryć zmieszanie. — Nie spodziewałem się, że cię jeszcze ujrzę.

— Nie hrabianka i nie Laiwa. — Dziewczyna pokręciła głową. — Wie pan o tym, poruczniku. Matka dała mi na imię Onelia, ale wolę, jak nazywają mnie Nel.

— Czemu chciałaś się z nami spotkać?

— Potrzebuję ludzi, którzy pójdą ze mną przez *savhoren*. W Mrok.

Kenneth obrzucił wzrokiem towarzyszące jej Szczury. Żaden nie wyglądał na zszokowanego tą deklaracją.

— Po co?

— Odnaleźć jedną dziewczynkę.

Chwilę zajęło mu skojarzenie faktów.

— Podobno spłonęła.

— Nie. Raczej nie. Wiedzielibyśmy o tym.

— Dlaczego my? — Porucznik wskazał na towarzyszących jej ludzi. — Bojowa drużyna Szczurzej Nory nie wystarczy?

— To wy ściągnęliście ją z haków. To was mój… brat do niej zaprowadził. Wędrowaliście już tamtędy, piliście tamtejszą wodę, oddychaliście powietrzem. Wciąż nosicie ślad Mroku we krwi. Nie znajdę nikogo lepszego.

Kenneth pokiwał głową i wskazał kciukiem za swoje plecy.

— Mamy pilnować tej przełęczy, żeby aherowie nie dali rady nią przejść.

Czarnobrody Szczur sapnął i odezwał się, nie kryjąc sarkazmu.

— Aherowie, co? A iluż to ich zamierza nią przejść?

Kwadrans później stali w miejscu, skąd rozciągał się widok na północ. Prawdziwą Północ, gdzie nigdy nie stanęła stopa człowieka.

Porucznik, ubrany już i uzbrojony, wskazał mieczem na olbrzymie obozowisko, składające się z tysięcy skórzanych namiotów i śnieżnych chat.

— Jeśli dobrze liczę, to chyba wszyscy.

* * *

Drzwi kajuty otwarły się cicho, wpuszczając do środka świeże powietrze i mężczyznę w turbanie z twarzą ukrytą pod kilkoma zwojami tkaniny. Przybysz miał na sobie lekkie spodnie, jedwabną kamizelkę haftowaną w kwiaty i węże, a jego przedramiona zdobiły dwie stalowe bransolety, które szczęknęły głucho, gdy założył ręce na piersi i skłonił jednocześnie energicznie głowę. Kailean uznała, że to dziwny sposób witania się, ale co kraj, to obyczaj.

Laskolnyk zmierzył go wzrokiem, ale ani nie oddał powitania, ani nie wstał i nie wyszedł zza szerokiego biurka, ani nie wskazał na stojące naprzeciwko krzesło.

Zasłona na twarzy nie pozwalała stwierdzić, czy ta obcesowa niegrzeczność ubodła obcego.

— Kciuk — rzucił cicho kha-dar.

Po czym rozparł się na krześle, złożył dłonie w piramidkę i się uśmiechnął. To był jeden z tych uśmiechów, które powodowały, że stepowi bandyci schwytani przez *czaardan* popuszczali w spodnie i zaczynali opowiadać o wszystkim, co wiedzieli. I choć nie byli już na stepach, *czaardan* formalnie nie istniał, a ten obcy nie był zbójem, to widać było, jak się spina. Bransolety brzęknęły nerwowo.

Laskolnyk kontynuował.

— Tylko Kciuk? Nic więcej? To niezbyt wyszukany przydomek.

— Dla mnie jest w sam raz, generale.

— Dobrą miałeś podróż?

— Łodzią, konno, wielbłądem i znów łodzią. Dobrze było wyrwać się z miasta.

— Rozumiem. Moi ludzie cię sprawdzili. Wydajesz się tym, za kogo się podajesz.

Mężczyzna znów wzdrygnął się lekko.

— To było niepotrzebne.

Kailean łatwo mogła sobie wyobrazić, jak Kciuk zaciska usta i mruży oczy. Co jak co, ale gdy Niiar, Kocimiętka i Janne zabierali się do „sprawdzania" kogoś, to czasem człowiek przez następne miesiące budził się w nocy z krzykiem. Uprzejmy uśmiech nie znikł z twarzy Laskolnyka.

— Było potrzebne. Twoje uwierzytelnienia wydawały się w porządku. Znak Psiarni, hasło, pergamin. Ale znak i pergamin można podrobić, a hasło wydrzeć z czyjegoś wyjącego z bólu gardła. Potrzebowaliśmy odrobiny czasu, by się upewnić.

Berdeth łaskotał jej umysł od środka, gotowy i spięty. Mężczyzna też był spięty. Czuła od niego lekką woń słonej wody, konia i ostry dziwny zapach, który musiał pochodzić od tego wielbłąda. Ale przede wszystkim czuła pot i irytację. Nie strach, tylko raczej zniecierpliwienie.

Niemal takie samo jak jej.

Statek. Płynęli statkiem, kogą, jak nazywał krypę kapitan o wyglądzie pirata, który urwał się z szubienicy. Kocimiętka uspokoił ją, że to z pewnością nie piracki okręt, bo jest za wielki, zbyt powolny i mało zwrotny, by na morzu dogonić cokolwiek. Płynęli już prawie miesiąc na czele małej floty składającej się z kilku takich statków, wynajętych przez Imperium od kupców żeglujących po Morzu Białym. Płynęli na południe w stronę legendarnych krain, gdzie pieprz, imbir i szafran rosną na każdym krzaku, żebracy ubierają się w jedwab, a ulice są wybrukowane złotem. Gdy kha-dar powiedział im wtedy, w namiocie na skraju pobojowiska, że chce się rozejrzeć na Południu, nikt nie sądził, że trafią tutaj, na posklecaną z drewna łupinę, szarpaną przez fale wte i wewte. *Czaardan* przebył Małe Stepy, gdzie rzeczywiście wydawało się, że Laskolnyk ma znajomych w każdym plemieniu,

dotarł na skraj Travahen, a tam dopadły go rozkazy, dostarczone rękami czarownika wyplutego przez magiczny portal.

Statki czekają, mówiły rozkazy. Płyńcie.

Sześć statków miało na pokładzie czterystu osiemdziesięciu żołnierzy, formalnie wolną kompanię najemników, płynącą na służbę do gildii kupieckiej reprezentującej meekhańskie interesy na Dalekim Południu. *Czaardan* miał dołączyć do tych ludzi, a Laskolnyk objąć nad nimi dowództwo. Wszystko na sto mil pachniało Szczurzą Norą, a „najemnicy", mimo różnego uzbrojenia, trzaskali obcasami i salutowali jak imperialna gwardia, ich oficerowie zaś nosili płaszcze, na których jeszcze widniały ślady po odpruwaniu lamówek. Niby wszystko było w porządku, *czaardan* nadal służył Imperium, lecz w powietrzu unosił się smrodek szytych grubymi nićmi intryg i improwizacji.

W sumie to nie było dla nich nic nowego.

Kha-dar kontynuował:

— I to ja decyduję, co jest, a co nie jest potrzebne w kontaktach z Psiarnią. Po ostatnim spotkaniu z waszymi ludźmi pochowałem przyjaciółkę.

Kciuk skinął lekko głową.

— Czytałem o tym. Raport. Wśród Ogarów są różne Psy…

— … ale wszystkie szczekają dla Imperium. Znam to przysłowie. — Laskolnyk przestał się uśmiechać. — Nie jestem jednak pewien, czy to nadal prawda. Wścieklizna to zaraźliwa choroba.

Agent Psiarni opuścił ręce, a Berdeth w umyśle Kailean sprężył się do skoku. Ruch mężczyzny niósł w sobie nieokreśloną groźbę, Kocimiętka wprawdzie przeszukał go od stóp do głów, zabierając każdy przedmiot mogący służyć jako broń, ale słyszało się o szpiegach wytrenowanych do zabijania gołymi rękoma.

— My tutaj — głos Kciuka zmienił się, stał bardziej miękki, łagodny — na krańcach znanego świata, nie bawimy się w gierki między wywiadami, jak ci durnie w Imperium. Brak nam na to czasu i ochoty. Mam w Białym Konoweryn, mieście, w którym w środku sezonu handlowego kisi się ćwierć miliona ludzi, ośmiu — pokazał na palcach, żeby podkreślić wagę swoich słów — agentów. Każdy z nich prowadzi pięciu do dziesięciu szpiegów, z których większość jest całkowicie bezwartościowa. Ot, jakiś pomocnik kupca albo sekretarz w cechu rzemieślniczym. W pałacu nie

mamy nikogo, w Świątyni Ognia też. Wśród niewolników miałem trzech ludzi, ale od czasu wybuchu powstania nie wiem, co się z nimi dzieje.

Przerwał dla nabrania oddechu.

— Od dwóch lat słałem raporty na północ. Pisałem, że jeśli dojdzie do kolejnego powstania niewolników, będzie ono inne niż te dotychczasowe. Bo będą je organizować nasi ludzie. Pisałem, że takie powstanie może pogrążyć całe Dalekie Południe w chaosie, z którego nie podźwignie się ono przez lata. Prosiłem, by wpłynąć na tutejszych władców, przez handel albo politycznie, by zaczęli luzować niewolnicze obroże. Zignorowano mnie, a teraz, gdy wszystko trafił szlag, przysyłają sławnego generała Laskolnyka i garść piechoty przebranej za najemników.

Laskolnyk uśmiechnął się nieco inaczej. Łagodniej.

— Mieliśmy na północy swoje własne problemy do rozwiązania…

— Słyszałem. Verdanno i Ojciec Wojny, niezła…

— Słyszałeś. — Kha-dar zamknął Ogarowi usta jednym ruchem dłoni. — Ale ile zrozumiałeś z tego, co usłyszałeś? Sądzisz, że stać nas na pakowanie się w każdą awanturę w każdym miejscu na świecie? Że zaangażowalibyśmy się w wojnę dwa tysiące mil od serca Meekhanu, gdy za Amerthą czaił się ten stary śmierdziel ze swoją gromadą wilków złaknionych krwi? Odepchnęliśmy Ojca Wojny na wschód i postawiliśmy mu na drodze zależne od nas plemiona. Sowynenn Dyrnih, Amanewe Czerwony i sami Wozacy stali się naszą tarczą. Bunt niewolników…

— To nie jest zwykły bunt.

— Wiem, Kciuk, wiem. Też czytałem raporty. Chyba nawet napisane przez ciebie. Upadek dynastii, który nie nastąpił, religijny szał na ulicach, rzeź wśród tych ich… Bawołów i Trzcin… głupia moim zdaniem, bo teraz Konoweryn straciło połowę zawodowej armii. Kto rządzi w księstwie?

— Wybrana. Płomień Agara. Czyli issarska barbarzynka. Podobno razem z trucicielem, książęcą nałożnicą i garścią zaufanych ludzi.

— A książę?

— Od wielu dni nikt go nie widział. Nie żyje albo dochodzi do zdrowia.

— Świątynia Ognia?

Niepostrzeżenie kha-dar z dowódcy kompanii najemników stał się oficerem, generałem imperialnej armii, zbierającym informacje, na podstawie których ustali strategię działania. Stało się to tak naturalnie, że agent Psiarni odpowiadał na wszystkie pytania płynnie i bez zająknięcia.

— Większość kapłanów zginęła w czasie zamieszek, resztę ona, Wybrana, kazała odszukać i poddać sądowi Agara.

Zapadła cisza, w czasie której brwi Laskolnyka powędrowały w górę na znak uprzejmego zainteresowania.

— To znaczy wrzucono ich w Oko. Spłonęli — dodał szybko Kciuk.

— Armia Kambehii?

— Po stracie swojego księcia wycofała się spod miasta na południe.

— Dowództwo Rodów Wojny?

— *Af'gemid* Słowików zginął, *af'gemid* Bawołów został pojmany i trafił do Oka, *af'gemid* Trzcin znikł. Większość wyższych oficerów Bawołów i Trzcin uwięziono.

— Uwięziono?

— Tak. Wybrana… Deana d'Kllean nie jest tylko fanatyczną dzikuską, jak z początku myśleliśmy. Z pewnością wie, że może potrzebować tych ludzi. Zwolniła młodszych oficerów, kazała im się udać do koszar i zaprowadzić tam porządek. Nakazała również zmobilizować oddziały pomocnicze i przyspieszyć szkolenie słoni.

Kha-dar pokiwał głową.

— Jak sądzisz, przeciw komu się zbroi? Przeciw niewolnikom czy innym księstwom?

— A jakie to ma znaczenie?

Laskolnyk uśmiechnął się znów, po swojemu.

— Spore, przyjacielu, spore. Bo jeśli sądzi, że Meekhan wspomoże ją w walce z powstaniem meekhańskich niewolników, to, Wybrana przez Agara czy nie, chyba na głowę upadła. Kailean.

Dziewczyna wstała i skinęła głową.

— Pokaż Ogarowi miejsce, gdzie będzie spał. I przekaż kapitanowi, że płyniemy najszybciej, jak się da. Konoweryn czeka.

INDEKS

Ważniejsi bogowie, postacie, miejsca i pojęcia

Ważniejsi bogowie

Agar Czerwony
Anday’ya – Pani Lodu
Baelta’Mathran – pramatka bogów
Dress – Pani Wiatrów
Eyfra – Pani Przeznaczenia, Pani Losu
Galleg – Pan Burz
Ganr i Aelurdi – Bliźnięta Mórz
Kay’ll – córka Reagwyra
Laal Szarowłosa – Pani Koni, Pani Stepów
Laweira – Pani Plonów, bogini czczona szczególnie na południu kontynentu
Maycha – Pani Wojny
Reagwyr – Pan Bitew
Setren Byk

Vennisa od Włóczni

Słowniczek ważniejszych postaci i pojęć

a’Kamenoelewarrenn – zbiór świętych pism i przypowieści będący podstawą religijno-mistycznych rytuałów dominującego w państwach-miastach południowo-zachodniej części kontynentu

af’gemid – tytuł dowódcy Rodu Wojny

afraagra – w tradycji Issaram „miejsce narodzin”, dowolna issarska osada istniejąca na tyle długo, by zbudować w niej stałe domostwa i wychować dzieci

Ahyra – główna siedziba Rodu Wojny, najczęściej zamknięty kompleks garnizonowo-mieszkalny, gdzie mieszkają i ćwiczą konowerscy żołnierze-niewolnicy

al’fedri – przyjaciele

Amoneria – wyspa Seehijczyków

amri – „domowi”, najwyższa kasta niewolników w Konoweryn, obejmująca niewolników wykształconych w szczególnych umiejętnościach, np. nauczycieli języków, lekarzy, muzyków, kucharzy, osobistą służbę itp.

anwalar – tradycyjny tytuł przywódcy Ligi Czapki

Aonel Tamare z klanu Wyrhh – Czarna Wiedźma plemienia Ghamlaków

Audaaw z klanu Udruich – brat Urgwywa, wuj Ynao

auwini – „popielni”, średnia kasta niewolników w Konoweryn, zatrudniani zazwyczaj do prac wymagających biegłości w jakimś rzemiośle, np. kowale, rymarze, tkacze itp.

Aweloney Długi Palec – trzecia wśród sług Wielkiej Biblioteki

awenderi – „boże naczynia”, „wybrani”, „błogosławieni”; według powszechnych wierzeń śmiertelnicy, którzy w czasie Wojen Bogów dostąpili zaszczytu noszenia w sobie kawałka duszy boga

awyssa – „poszukująca”, tytuł przynależny Issaram pielgrzymującym do Kan’nolet

Baibru – jedno z plemion morskich nomadów wędrujących wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża kontynentu

Bendoret Terleach – jeden z najważniejszych arystokratów w Ponkee-Laa, noszący tytuł hrabiego, nieoficjalny przywódca Świątyni Reagwyra w tym mieście; fanatyczny wyznawca Pana Bitew

Biali Uwerunkowie – seehijskie plemię z południowego krańca Amonerii, rodzinne plemię Ynao

Białe Konoweryn – jedno z najmniejszych, choć jednocześnie najbogatszych księstw Daeltr'ed

Bracia Nieskończonego Miłosierdzia – jeden z dwudziestu trzech głównych zakonów męskich Wielkiej Matki, zajmujący się głównie nawracaniem ludów spoza terenów Imperium

chaffda – szata wierzchnia Issaram, składająca się z jednej do trzech warstw materiału, często zdobiona

cmanea – lek spowalniający bicie serca i zagęszczający krew

Cvaalowie – jedno z plemion nomadów zamieszkujących centrum i południowe krańce Travahen, migrujące na północ, naciskające na tereny Issaram

D'Artweena – dzielnica Ponkee-Laa zamieszkana w znacznej części przez czarowników, często specjalizujących się w magii wychodzącej poza oficjalnie tolerowane aspekty

d'ryss – plemię Lengany

d'yahirrowie – plemię Deany

Demenaya – Królowa Niewolników w Białym Konoweryn

Dengothaag – Miecz Reagwyra, według Świątyni Reagwyra prawdziwy miecz boga, którym Pan Bitew władał w czasie wojen z Niechcianymi, w rzeczywistości pozbawiony początkowo samoświadomości fragment duszy boga zamknięty w kształcie miecza, pełniący funkcję bramy łączącej królestwo Reagwyra ze światem śmiertelników

Dolina Dhawii – najświętsze miejsce Seehijczyków, na wpół mityczna dolina ukryta na zachodnim krańcu Amonerii, miejsce przebywania ich plemiennego boga

Domah – mnich zakonu Braci Nieskończonego Miłosierdzia w Kamanie, towarzysz Altsina

Durwon – znak Złamanego Miecza, stylizowany znak Świątyni Reagwyra w Ponkee-Laa, noszony na szatach straży świątynnej oraz tatu-

owany na ciałach najbardziej fanatycznych wyznawców

Eanassa – córka starszego oazy Savandarum

Eihey – termin określający w języku Nieśmiertelnej Floty wszystkich członków rodziny, dzieci, wnuki, prawnuki itd. oraz odnoszący się bezpośrednio do załóg olbrzymich okrętów

Ekchaar – zasłona na twarz

Enroh – przeor klasztoru Braci Nieskończonego Miłosierdzia w Kamanie

Esumi – „nieloty”, grupa obejmująca chłopców w wieku między 14 a 18 lat, szkolonych na żołnierzy w ahyrach Rodu Słowika; w przypadku wojny najczęściej walczący jako lekka piechota lub lekka jazda

Euruvi – Czarna Wiedźma

Evikiat, Wielki Kohir Dworu – najwyższy urzędnik książęcego dworu w Białym Konoweryn

gaaneh – skorupa, według wierzeń Issaram ciało pozbawione duszy

Ganwes h’Narwi – Wiedzący, dowódca issarskich strażników karawany do Kan’nolet

geijv – Mowa Ognia, tradycyjny język używany od stuleci przez arystokrację i kapłanów Białego Konoweryn

Ghamlakowie – plemię seehijskie

Gualara – najstarsza wiedźma klanu Udruich

Iavva – Córka Przysposobiona, towarzyszka Małej Kany i Yatecha

jezioro Araya – największe jezioro Amonerii, do którego wpływa i z którego wypływa Maluaryna

jezioro Kses – jezioro w pobliżu Białego Konoweryn

k’issari – dialekt najczęściej używany przez plemiona Issaram

K’warasi – plemię seehijskie

Ka’eliru – Szafirowy Miecz Rodu Trzciny, pierwszy spośród mistrzów miecza Trzcin

ka’hoona – na Amonerii grupa młodych, bezżennych wojowników, mających ograniczone prawa do dziedziczenia majątku po rodzicach

kaeri – modlitwa o radę przychodzącą we śnie

kaihowie – „brudni”, najniższa kasta niewolników w Konoweryn, pracujący w kopalniach i na plantacjach, przy karczowaniu lasu, nawadnianiu pól itp.

kaija – modlitwa po przespanej nocy i modlitwa o dobry dzień

Kaled On Bers – Palec Trupa, wschodni rejon Sak Ak Mayid, uznawany za jeden z najbardziej suchych i niegościnnych terenów pustyni Travahen

kalei – lek o silnym działaniu pobudzającym, uzależniający

Kamana – jedyne duże miasto na Amonerii, zamieszkane głównie przez handlarzy i cudzoziemców

Kambehia – południowo-wschodni sąsiad Konoweryn, główny handlowy, polityczny i militarny konkurent księstwa

kameluuri – „zapomnienie”, termin określający zawieszenie wszelkich wewnętrznych walk, waśni i wendet na Amonerii w czasie wojny z zewnętrznym wrogiem; na ogół przedłużany on jest o miesiąc od momentu odparcia inwazji, by wszyscy wojownicy mogli wrócić w rodzinne strony. Zwyczajową karą za złamanie kameluuri jest śmierć winowajcy i przeklęcie całego jego rodu

Kamień Popiołu – pierwszy kapłan Świątyni Ognia

Kan’nolet – oaza na Sak On Valla, gdzie według legend Issaram Harudi rozpoczął nauczanie

Kanayoness – Mała Kana

kendet’h – „droga”, sześćset dwadzieścia dwie modlitwy regulujące system religijny i etyczny Issaram

Keru’weln, Noszący Miecze – imię, które Mała Kana nadała Yatechowi

khaan’s – bitewny trans, osiągany przez mistrzów i najlepszych wojowników Issaram

khandawa – wierzchnia, świąteczna szata Issaram dla dziecka kończącego siedem lat i otrzymującego swoją pierwszą, prawdziwą broń

koe – bielizna ludów pustyni

królestwa Daeltr’ed – ogólna nazwa wielu królestw, księstw i wolnych miast z południowego krańca kontynentu

laagha – towarzysze podróży

laagvara – towarzysze walki

Labaya z Biuk, Kitchi od Uśmiechu, Ogewra Pani Nieszczęścia – na wpół legendarne postaci wywodzące się z mitologii Pani Losu

Laweneres z Białego Konoweryn – książę krwi, Brat Ognia

Lengana h’Lenns – kobieta z plemienia d’ryss poślubiona przez starszego rodu h’Lenns, owładnięta nienawiścią do Imperium i wszystkiego, co z nim związane

Magarhy – góry na południu Travahen, oddzielające królestwa Daeltr’ed od pustyni

mahiiuri – czas próby, issarski obyczaj polegający na szukaniu okazji do śmierci w walce, prowokowaniu losu, ignorowaniu oczywistych niebezpieczeństw

Maluaryna – największa rzeka Amonerii, dzieląca wyspę niemal dokładnie na pół w osi północ–południe

Maahir – pierwszy wśród książęcych słoni w Białym Konoweryn

Mahaaldzi – jedno z pustynnych plemion Travahen, cieszące się wyjątkowo złą sławą

Mama Bo – biała słonica, nestorka książęcych słoni, najważniejsze zwierzę w Białym Konoweryn

Mavvijczycy – jedno z pustynnych plemion Travahen

Naywir – mnich zakonu Braci Nieskończonego Miłosierdzia w Kamanie, towarzysz Altsina

neehas – „obmycie”, issarska pokuta za mniej ważne wykroczenie polegająca na postach i modlitwach

Neneloh z Malaweris – rzeźbiarz, twórca płaskorzeźby Odźwiernego na klifie koło Kamany

noasm – ubiór właściwy Issaram, luźna suknia u kobiet, luźne spodnie i bluza u mężczyzn

nuawachi – pomocnicze oddziały lekkiej piechoty składające się z łuczników, procarzy i oszczepników, rekrutowanych wśród poganiaczy słoni i miejskiej biedoty

obenusiy – tradycyjny konowerski teatr mimiczny, w mocno przerysowany i umowny sposób oddający rzeczywistość

Obrar Płomienny z Kambehii – książę pretendujący do tytułu Syna Ognia

Oglal z Fyz, Oglal Młodszy – uczeni z Biblioteki Konowerskiej

Omalana h’Lenns – daleka krewna Lengany, mistrzyni miecza

Omenar Kamujareh – tłumacz

onaew – „modlitwa o jeden sztych”, tradycyjna issarska modlitwa o szansę w szczególnie rozpaczliwym położeniu

onoled – tradycyjny tytuł przewodnika i dowódcy strażników karawany

Oomni – plemię seehijskie

Oum – plemienny bóg seehijskich plemion

oweyreth – modlitwa trzynasta, o zrozumienie wroga

Owiya – przełożona Domu Kobiet w książęcym pałacu w Białym Konoweryn

Ponkee-Laa – największe miasto zachodniego wybrzeża kontynentu, położone przy ujściu Elharan; oficjalnie część księstwa Fiilandu, rzeczywiście, ze względu na potęgę gospodarczą, polityczną i militarną, niezależne handlowe państwo-miasto

Punijczycy – jedno z plemion nomadów zamieszkujących centrum i południowe krańce Travahen, migrujące na północ, naciskające na tereny Issaram

ralia – deser gotowany z pszenicy, miodu, suszonych owoców i wanilii

saderi – pierwsza modlitwa w kendet'h; tradycyjnie odmawiana w chwilach przełomu w życiu lub w momentach szczególnie ważnych dla Issaram

Sak Ak Mayid – południowa część pustyni Travahen

Sak On Valla – północno-wschodnia, kamienista część pustyni Travahen

Samaidzi – ostatnia glihijska dynastia rządząca Konoweryn

Samiy – książęcy kornak

San Laweri – onoled, przewodnik karawany do Kan'nolet

sani – „płomyk", według wierzeń Issaram źródło siły mistrzów miecza

sanqui – długa, ciężka szabla o niewielkiej krzywiźnie głowni

seh'rodri – „akt wątpliwości", prawo pozwalające przedstawicielowi plemienia Issaram w szczególnych okolicznościach zdecydować, czy zabić osobę, która mogła ujrzeć jego twarz

Sever Raja – przywódca złodziei i morderców w Kamanie

Shawaari – plemię seehijskie

soh awarej – „dni wstęgi", issarska tradycja rozdzielania zwaśnionych rodów, polegająca na pieczętowaniu ich domostw w taki sposób, by ich członkowie nie spotykali się ze sobą

suanari – powszechny język królestw Daeltr'ed

Suchi – książęcy truciciel

Syvherowie – plemię seehijskie

Szczelina Oweryńska – głębia położona ok. 50 mil na południowy zachód od Ponkee-Laa, niezbadana

ta'chaffda – kobieca odmiana szaty wierzchniej Issaram, bardziej zdobiona i kolorowa niż męska

taldesch – rzadko już używana krótka szabla o szerokiej klindze, z wyraźnym piórem i niewielkim łukiem głowni

talher – krótka szabla o esowato wygiętej głowni

tcharra – „modlitwa za duszę dobrego człowieka”, tradycyjna modlitwa odmawiana po śmierci kogoś, kto nie pochodził z plemienia Issaram, lecz zasłużył na ich szacunek

Travahen – pustynia zwana Issarskim Przekleństwem

treiwics – system skomplikowanych zwyczajów klanowych, obejmujący sprawy dotyczące honoru, godności, zemsty i rewanżu zarówno między pojedynczymi Seehijczykami, jak i między plemionami

Urgwyr Mała Pięść – członek rady klanu Udruich, ojciec Ynao

vanteri – lek uspokajający, nasenny

Varala z Omeru – pierwsza książęca nałożnica

vasagar – sąd, Objęcie Agara, tradycyjne samobójstwo polegające na wejściu w Oko Pana Ognia

Vegrela d’Kllean – pierwsza matrona rodu

Vostrczycy – jedno z pustynnych plemion Travahen

Wyniesienie – termin określający pobór młodych chłopców z niewolniczych rodzin do jednego z Rodów Wojny; zwyczajowo podlegają mu tylko niewolnicy z kast auwini i amri

Wyrwyrowie – plemię seehijskie

yilla – modlitwa pokuty

Ynao – seehijska dziewczyna znaleziona w kamańskim porcie, uciekinierka z mittarskiej galery

Yphir – średniej długości miecz z wygiętą głownią, potomek „długiego zęba”

Zaliya – niewolnica z pałacu

zavii – modlitwa o odwagę

zearon – modlitwa o zapanowanie nad gniewem

MEEKHAN.COM

Dotychczas w cyklu ukazały się:
Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Północ – Południe
Opowieści z meekhańskiego pogranicza. Wschód – Zachód
Niebo ze stali. Opowieści z meekhańskiego pogranicza
Pamięć wszystkich słów. Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Patroni medialni: